

ADRIAN

TCHAIKOVSKY

Autor bestsellerowego cyklu „Cienie Pojętnych”

DZIECI CZASU



ADRIAN
TCHAIKOVSKY

DZIECI
CZASU

PRZEŁOŻYŁ
JAROSŁAW RYBSKI



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Portii

PODZIĘKOWANIA

Wielkie podziękowania składam moim naukowym doradcom, do których należą też Stewart Hotston, Justina Robson, Michael Czajkowski, Max Barclay, oraz pracownikom Wydziału Entomologii Muzeum Historii Naturalnej.

Dziękuję również mojej żonie Annie, mojemu agentowi Simonowi Kavanaghowi, Peterowi Lavery'emu, ponadto Belli Pagan oraz wszystkim w wydawnictwie Tor. Jestem bardzo wdzięczny za wsparcie, gdyż ta książka jest głęboko i w dość pokrętny sposób osobista.

— 1 —

GENESIS

1.1 TO TYLKO BECZKA Z MAŁPAMI

W jednostce Brin 2 nie ma okien – rotacja oznacza, że pojęcie „na zewnątrz” zawsze znaczy „w dole” pod stopami, czyste wariactwo. Ekran na ścianach przekazuje przyjemną dla oka fikcję, kompozytowy obraz świata poniżej, który najwyraźniej ignoruje ich ciągły obrót, pokazując planetę jakby zawieszoną, całkowicie nieruchomą w przestrzeni: zieloną kulkę, zupełnie taką samą jak niebieska kulka w domu dwadzieścia lat świetlnych stąd. Ziemia była zielona swego czasu, choć od tamtej pory jej kolory nieco wyblakły. Być może nigdy nie była tak zielona jak ten pięknie stworzony świat, w którym nawet oceany połyskiwały szmaragdową barwą fitoplanktonu utrzymującego równowagę tlenową w atmosferze. Jakże misterne i wielowątkowe było zadanie zbudowania tego żyjącego pomnika, który pozostanie stabilny przez nadchodzące ery geologiczne.

Nie miał jeszcze oficjalnie potwierdzonej nazwy poza opisem astronomicznym, choć wśród członków załogi obdarzonych nieco mniejszą wyobraźnią sympatia była po stronie „Simiany”. Doktor Avrana Kern spojrzała teraz na nią i przyszedł jej do głowy tylko *Świat Kern*. Jej projekt, jej marzenie, jej planeta. Pierwsza z wielu, tak postanowiła.

To jest przyszłość. To tutaj ludzkość robi swój kolejny wielki krok. To tu stajemy się bogami.

– To przyszłość – powiedziała na głos. Jej słowa rozbrzmiewały we wszystkich dziewiętnastu komunikatorach członków załogi, choć piętnastoro z nich było w centrum kontrolnym wraz z nią. Nie było to oczywiście prawdziwe centrum, tylko pozbawiona grawitacji oś, wokół której się obracali – oś mocy, przetwarzania i ładunku. – To tu ludzkość robi swój kolejny wielki krok. – Przygotowanie tej przemowy zajęło jej więcej czasu w ciągu ostatnich dwóch dni niż wszelkie szczegóły techniczne. Niemal palnęła kolejne zdanie o przeistaczaniu się w bogów, ale to było tylko dla niej. *Zbyt kontrowersyjne, szczególnie dla błaznów z Non Ultra Natura w domu.* Już wystarczający smrodek unosił się wokół jej projektów. Och, różnice między obecnymi falcjami na Ziemi miały o wiele głębsze korzenie:

społeczne, ekonomiczne oraz proste *my przeciwko nim*, ale Kern doprowadziła do wystrzelenia Brina – lata temu – wbrew rosnącej opozycji. Teraz cały pomysł był swoistym kozłem ofiarnym podziałów rasy ludzkiej. *Handryczące się naczelne, cała ta banda. To postęp się liczy. Zrealizowanie potencjału ludzkości oraz innych form życia. Zawsze była jedną z najżarliwszych oponentek rosnącego konserwatywnego sprzeciwu, którego najlepszym przykładem byli terroryści z Non Ultra Natura. Gdyby było po ichniemu, wylądowalibyśmy z powrotem w jaskiniach. Na drzewach. Cały sens cywilizacji polega na przekraczaniu granic natury, wy nudne prymitywy.* – Oczywiście wiele zawdzięczamy innym. – Właściwe zdanie, które świadczyło o naukowej pokorze, zawierało też słowa „stoimy na barkach olbrzymów”, ale nie dotarła do tego miejsca, by uklęknąć przed minionymi pokoleniami. *Karły, zwykłe przebiegłe karły*, pomyślała i wtedy – nie potrafiła się powstrzymać od bulwersującego chichotu – *stoimy na barkach małp.*

Sterowany jej myślą jeden z przeziernych ekranów na ścianach oraz ich Oko Umysłu pokazał wszystkim schemat Brin 2.

Chciała skupić ich uwagę i sprawić, że wraz z nią właściwie docenią jej – o, pardon, ich triumf. Proszę bardzo – igła w głównym rdzeniu otoczona przez krąg życia i nauki, który był ich torusowym światem. Na końcu rdzenia widniało brzydkie wybrzuszenie Kapsuły Strażniczej, która wkrótce podryfuje swoją drogą, stając się najbardziej samotną placówką badawczą we wszechświecie. Na drugim końcu igły znajdowały się Beczka i Kolba. Zawartość: kolejno – małpy i przyszłość.

– Chciałabym szczególnie podziękować zespołom inżynierskim pod kierownictwem doktorów Fallarna i Mediego za ich niestrudzoną pracę przy przeformatowywaniu – niemal powiedziała: Świata Kern, wcale nie mając takiego zamiaru – naszej planety, by zapewnić bezpieczne i w miarę ukształtowane już środowisko dla naszego wspaniałego zamierzenia. – Oczywiście Fallarn i Medi byli już w drodze na Ziemię, bo ich piętnastoletnia praca dobiegła końca i zaczęła się trzydziestoletnia podróż powrotna. Było to jednak tylko ustawianie scenografii dla realizacji marzenia Kern. *To dla nas – dla mnie – była cała ta praca.*

Podróż do domu trwająca dwadzieścia lat świetlnych. Choć trzydzieści lat na Ziemi ciągnie się niemiłosiernie, tylko dwadzieścia minie dla Fallarna i Mediego w ich zimnych trumnach. Dla nich ta podróż odbywa się

z prędkością światła. Jakich to cudów można dokonać!

Z jej punktu widzenia silniki przyspieszające niemal do prędkości światła były niczym więcej jak dla pieszego nogi, przenosiły ją we wszechświat mający odziedziczyć ziemską biosferę. *Ponieważ ludzkość potrafi być krucha tak, że nie jesteśmy w stanie sobie tego wyobrazić, zarzucamy sieci coraz dalej i dalej...*

Ludzkość balansowała na ostrzu noża. Milenia ignorancji, uprzedzeń, przesądów i desperackich wysiłków przywiodły ją w końcu do punktu, w którym rodzaj ludzki stworzy nowe, świadome życie na swoje podobieństwo. Ludzkość nie będzie już sama. Nawet w niepojętej, odległej przyszłości, kiedy Ziemia rozpadnie się w proch i pył w ogniu, pozostanie dziedzictwo rozprzestrzenione wśród gwiazd – nieskończona i powiększająca się różnorodność zrodzonego na Ziemi życia przekształci się na tyle, że przetrwa wszelkie przeciwności losu aż do śmierci całego uniwersum, a może nawet i jeszcze dalej. *Nawet jak pomrzemy, będziemy żyć dalej w naszych dzieciach.*

Niech sobie NUN głosi swoje credo o żalonym koszyku pełnym jajek, o czystości i wyższości rasy ludzkiej, pomyślała. My ich przeewoluujemy. Zostawimy z tyłu. Ten będzie pierwszym z tysiąca światów, którym podarujemy życie.

Bo jesteśmy bogami i smutno nam samym, dlatego będziemy czynić dzieło stworzenia...

Na Ziemi było ciężko – tak przynajmniej sugerowały obrazy sprzed dwudziestu lat. Avrana przyglądała się obojętnie zdjęciom z zamieszek, dyskusji pełnych wściekłości, demonstracji i przemocy, myśląc tylko: *Jak w ogóle zaszliśmy tak daleko z tyłoma idiotami w puli genowej?* Lobby Non Ultra Natura było najbardziej skrajnym ze wszystkich ludzkich facji politycznych – konserwatywne, filozoficzne, nawet żarliwie religijne – spoglądało na postęp, mówiąc, że co za dużo, to niezdrowo. Walczyło zażarcie przeciwko dalszemu rozwojowi ludzkiej inżynierii genetycznej, przeciwko znoszeniu granic sztucznej inteligencji oraz przeciwko programom takim jak projekt Avrany.

I mimo to przegrywają.

Terraformacja i tak toczyłaby się gdzie indziej. Świat Kern był tylko jedną z wielu planet skupiających uwagę takich ludzi jak Fallarn i Medi, przekształconą ze sterty niegościnnych chemicznych skał – podobnych do

Ziemi pod względem wielkości i odległości od Słońca – w zrównoważone ekosystemy, do których Kern mogła wejść bez kombinezonu, odczuwając przy tym jedynie minimalny dyskomfort. Po dostarczeniu małąp i odpaleniu Kapsuły Strażniczej, by ich pilnowała, jej uwagę zaczęły przyciągać inne skarby. *Wyślemy we wszechświat wszystkie cuda Ziemi.*

W swej przemowie, na której prawie się nie skupiała, kluczyła po liście innych nazwisk, stąd albo z domu. Osobą, której chciała naprawdę szczerze podziękować, była ona sama. Walczyła o to, a jej sztucznie przedłużona żywotność pozwoliła jej toczyć tę bitwę przez okres kilkunastu ludzkich żyć. Walczyła w gabinetach finansjery, staczała boje w laboratoriach, na sympozjach akademickich i na imprezach masowych, żeby to doszło do skutku.

Ja, to ja tego dokonałam. Waszymi rękami budowałam, waszymi oczami oglądałam i oceniałam, ale umysł, który to stworzył, jest tylko i wyłącznie mój.

Usta kontynuowały zadaną pracę, ale słowa nudziły ją nawet bardziej niż wyraźnie znudzonych słuchaczy. Prawdziwi ich odbiorcy usłyszą je za dwadzieścia lat – w ostatecznym potwierdzeniu na Ziemi, jak się tu sprawy mają. Jej umysł dotknął podstawy komunikatora Brin 2. *Potwierdzić systemy Beczki*, rzuciła polecenie głównemu komputerowi – był to zwyczaj, który ostatnio zmienił się w nerwowy nawyk.

W normie, padła odpowiedź. Gdyby drążyła temat po tym beznamiętnym komunikacie, zobaczyłaby ciąg precyzyjnych odczytów dotyczących lądownika, stanu jego gotowości, nawet wskaźniki życiowe ładunku dziesięciu tysięcy naczelnych, z których garstka wybranych odziedziczy jeśli nie Ziemię, to przynajmniej tę planetę, bez względu na to, jak się będzie nazywać.

Tak jak oni w końcu ją nazwą, kiedy wynoszący je na drabinie ewolucji wirus zawiedzie ich wysoko na drodze rozwoju. Biotechnicy oceniali, że w ciągu ledwie trzydziestu–czterdziestu małąpich pokoleń będą w stanie nawiązać kontakt z Kapsułą Strażniczą i jej samotnym ludzkim lokatorem.

Obok Beczki była Kolba – system rozprowadzania wirusa, który miał przyspieszyć rozwój małąp – dojdą do tego w jeden–dwa wieki, pokonując fizyczne i mentalne bariery, których obejście zajęło ludzkości miliony długich, pełnych niebezpieczeństw lat.

Kolejną grupą ludzi, którym pragnę podziękować, są eksperci od biotechnologii, gdyż ona sama nie była specjalistką w tej dziedzinie. Widziała specyfikacje i symulacje przygotowane przez ekspertów i ubrane w takie

sformułowania, które ona, zwykły wszechstronny geniusz, była w stanie zrozumieć. Wirus był prawdziwym arcydziełem, na ile to wszystko pojęła. Zakażając jednostki, był w stanie zmutować w przychówku i być użyteczny na wiele sposobów: mógł zwiększyć objętość mózgu i jego złożoność, mógł zwiększyć rozmiary ciała, stworzyć bardziej elastyczne ścieżki behawioralne, przyspieszyć przyswajanie wiedzy... Wirus potrafił nawet rozpoznać siebie u innych jednostek tego samego gatunku, aby sprzyjać selektywnemu chowowi, gdy najlepsi z najlepszych płodzą jeszcze lepszych. W tej mikroskopijnej skorupce kryła się cała przyszłość, niemal tak zmyślna na swój jednotorowy sposób jak stworzenia, które wirus miał ulepszać. Wchodził w reakcję z genomem jednostki na głębokim poziomie, replikował się w jej komórkach niczym nowe organellum, przekazywał swoje cechy potomstwu jednostki, aż cały gatunek poddawał się tej dobroczynnej zarazie. Bez względu na zmiany zachodzące w organizmach mały wirus przystosowywał się i dostrajał współdziałający z nim genom, analizując, modelując i usprawniając to, co jednostka odziedziczyła – aż tak sztucznie ulepszona będzie w stanie spojrzeć swoim twórcom w oczy i zrozumieć.

Avrana mówiła o tym ludziom na Ziemi, opisując, jak koloniści będą mogli przylecieć na planetę, spadając z nieba niczym bóstwa na spotkanie swego nowego ludu. Zamiast trafić do surowego, nieokiełzanego świata, koloniści napotkają wyewoluowaną rasę swych pomocników i sług z rzędu naczelnych, którzy będą witali swoich stwórców. To właśnie mówiła na forum rozmaitych zarządów i komisji, ale to nie było jej głównym celem. To małpy stanowiły cel sam w sobie i to, czym się staną.

To właśnie najbardziej wściekało tych z NUN. Wykrzykiwali coś o tworzeniu superistot ze zwykłych zwierząt. Prawdę mówiąc, tym, co ich rozjuszało tak, że zachowywali się niczym rozwydrzone bachory, było *dzielenie się*. Ludzkość o mentalności jedynaka łaknęła wyłącznej uwagi wszechświata. Podobnie jak wiele innych projektów nacechowanych politycznie, namnażanie wirusa wywołało protesty, akty sabotażu, akty terroryzmu i morderstwa.

A jednak w końcu zatriumfowaliśmy nad ludzką naturą, pomyślała Kern z satysfakcją. No i oczywiście w zniewagach, jakimi obrzucał ją NUN, tkwiło ziarno prawdy, bo naprawdę miała gdzieś kolonistów czy też neoimperialistyczne marzenia swych kolegów. Chciała stworzyć nowe życie, zarówno na podobieństwo ludzkości, jak i swoje własne. Chciała się

dowiedzieć, co może się z tego narodzić, jakie społeczeństwo, jaka wiedza, kiedy jej małe będą pozostawione samym sobie... Dla Avrany Kern to była jej płaca, nagroda za wykorzystywanie jej geniuszu na rzecz rasy ludzkiej – ten eksperyment, to kosmiczne gdybanie. Dzięki jej staraniom powstał cały ciąg terraformowanych planet, ale jej marzeniem była ta pierwsza, nowo narodzona, będąca domem jej nowo stworzonych ludzi.

Cisza dzwoniła jej w uszach i uświadomiła sobie, że dotarła do końca swojej przemowy i teraz wszyscy myślą, że milczeniem przydaje wagi chwili, która nie wymagała pozłoty.

– Panie Sering, jest pan na stanowisku? – zapytała otwartym kanałem, tak żeby wszyscy słyszeli.

Sering był ochotnikiem, tym, którego tu zostawiają. Będzie orbitował wokół laboratorium na planecie, a lata będą mijały niepostrzeżenie. Będzie tkwił pogrążony w zimnym śnie, aż nadejdzie jego czas, by stać się mentorem nowej rasy myślących naczelnym. Niemal mu zazdrościła, bo będzie widział, słyszał i doświadczał rzeczy, jakich nie było dane doznać dotychczas żadnemu człowiekowi. Stanie się Hanumanem – bogiem małp.

Kern *niemal* mu zazdrościła, ale koniec końców wolała odlecieć, żeby zająć się innymi projektami. Niech inni stają się bogami pojedynczych światów. Ona będzie kroczyć wśród gwiazd i przewodzić ich panteonowi.

– Jeszcze nie jestem na stanowisku. – Najwyraźniej czuł, że on również zasługuje na szerszą publiczność, bo nadawał na kanale ogólnym.

Kern poczuła ukłucie irytacji. *Nie mogę przecież robić wszystkiego sama. Dlaczego inni tak często nie dorastają do moich standardów, kiedy chcę na nich polegać?* Do samego Seringa zaś wysłała wiadomość:

– Może wyjaśni mi pan dlaczego.

– Miałem nadzieję, że będę mógł powiedzieć kilka słów, doktor Kern.

Miał to być jego ostatni kontakt z rasą ludzką na długi czas, wiedziała o tym i to wydawało się na miejscu. Gdyby dobrze wypadł, jej legenda tylko by urosła. Jednak to ona sterowała komunikatorem i trzymała go na kilkusekundowym opóźnieniu, tak na wszelki wypadek, gdyby Sering zrobił się ckliwy albo zaczął mówić coś niestosownego.

– To jest punkt zwrotny w historii ludzkości. – Głos Seringa, zawsze o nieco żałościwej nucie, dotarł do niej, a następnie przez nią do wszystkich pozostałych. Jego obraz, ze starannie zapiętym pod szyją kołnierzykiem jaskrawopomarańczowego kombinezonu, pojawił się w Oku Umysłu. – Jak

pewnie wiecie, musiałem długo się zastanawiać, zanim zdecydowałem się na ten rejs. Ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Czasami trzeba zrobić to, co konieczne, bez względu na cenę.

Kern pokiwała głową wyraźnie zadowolona. *Bądź grzeczną małpką i kończ szybko, Sering. Niektórzy mają mnóstwo roboty przy własnym dziedzictwie.*

– Doszliśmy tak daleko, lecz wciąż popełniamy stare błędy – Sering ciągnął z uporem. – Stoimy tu, dzierząc wszechświat w ręku, i zamiast wykuwać swój los, tolerujemy własną niedbałość.

Jej uwaga nieco się rozproszyła i kiedy uświadomiła sobie, co powiedział, jego słowa zdążyły już dotrzeć do załogi. Nagle zanotowała szum zaniepokojonych głosów członków załogi, a nawet pojedyncze słowa szeptane przez tych najbliższych niej. Doktor Mercian tymczasem zaalarmował ją na innym kanale:

– Dlaczego Sering jest przy rdzeniu silnika?

Seringa nie powinno być w pobliżu rdzenia silnika. Sering powinien być w Kapsule Strażniczej i szykować się do zajęcia miejsca na orbicie – oraz w historii.

Odcięła Seringa od załogi i z wściekłością zakomunikowała mu, co o tym myśli. Przez chwilę jego awatar wpatrywał się w nią z ekranu, po czym jego usta zaczęły poruszać się zsynchronizowane ze słowami rozbrzmiewającymi w komunikatorze.

– Panią trzeba powstrzymać, doktor Kern. Panią i wszystkich pani pokroju – waszych nowych ludzi, nowe maszyny, nowe gatunki. Jeśli powiedzie się pani tutaj, powstaną nowe światy – sama pani tak mówiła, a ja wiem, że są terraformowane nawet w tej chwili. To już koniec. *Non Ultra Natura!* Nie ma nic większego niż natura.

Zmarnowała kilka kluczowych chwil na czcze pogrożki, klnąc na czym świat stoi, aż po chwili znów odezwał się do niej:

– Odciąłem panią, pani doktor. Może pani to samo zrobić ze mną, jeśli zechce, ale teraz coś powiem i nie przeszkodzi mi pani.

Starła się go zagłuszyć, dwojąc się i trojąc przy komputerach, żeby się dowiedzieć, co takiego zrobił, ale on odciął ją całkowicie z wielką elegancją. Z jej mentalnego obrazu zniknęły całe obszary urządzeń systemowych, a kiedy dopytywała o nie komputer, ten odmawiał potwierdzenia ich istnienia. Żadne z nich nie wpływało krytycznie na samą misję – ani na Beczkę, ani na Kolbę,

ani nawet na Kapsułę Strażniczą – tym samym nie były to systemy, które tak obsesyjnie testowała co dnia.

Może nie wpływało to krytycznie na misję, ale na obiekt już tak.

– Wyłączył systemy bezpieczeństwa reaktora – meldował Mercian.

– Co się dzieje? Dlaczego on w ogóle znajduje się w pobliżu silnika? – Był zaniepokojony, choć jeszcze nie panikował, odzwierciedlając ogólne nastroje wśród załogi.

Znajduje się w pobliżu silnika, ponieważ zginie od razu, i to prawdopodobnie bezboleśnie, podejrzewała Kern. Już ruszyła do działania ku zaskoczeniu pozostałych. Wspinała się w górę szybu dostępu wiodącego do wysmukłego centralnego pylonu stacji, oddalając się od zewnętrznego pokładu, wychodząc z obszaru sztucznej grawitacji w stronę igły, wokół której wszyscy się obracali. Pojawiało się wiele coraz to bardziej niepokojących informacji. Ktoś coś do niej wołał. Wiedziała, że niektórzy ruszą jej tropem.

Sering ciągnął niefrasobliwie dalej.

– To nawet nie jest początek, doktor Kern – mówił zupełnie obojętnym głosem. – Na Ziemi już wszystko się zaczęło. Na Ziemi pewnie już jest po wszystkim. Może za kilka lat usłyszysz pani, że Ziemia i nasza przyszłość zostały przekazane w ręce ludzi. Nie w łapy jakichś małp, doktor Kern. Nie w macki komputerów udających bóstwa. Nie w łapy dziwolągów udających ludzi. To my weźmiemy wszechświat w posiadanie, co było naszym przeznaczeniem. We wszystkich koloniach Układu Słonecznego i dalej nasi agenci ruszą do działania. Przejmiemy władzę – za zgodą większości, jak pani pewnie rozumie, doktor Kern.

Była coraz lżejsza, podciągając się w górę, do środka. Wiedziała, że może sobie kłać na Seringa ile wlezie, ale czy on w ogóle ją słyszał?

Do nieważkości wydrążonego wnętrza igły zostało parę kroków. Wtedy stanęła przed wyborem – albo skieruje się do rdzenia silnika, gdzie Sering bez wątplenia podjął wszelkie środki ostrożności, żeby nikt mu nie przeszkadzał, albo też w drugą stronę – z dala od niego. Z dala w ostatecznym sensie tego słowa.

Była w stanie odkręcić wszystko, co zepsuł Sering. Miała pełne zaufanie do swych doskonałych umiejętności. Jednak wymagało to czasu. Jeśli skieruje się w głąb igły, w stronę Seringa i jego pułapek oraz zapór, czas bynajmniej nie będzie działał na jej korzyść.

– A jeśli władze odmówią współpracy z nami, doktor Kern – wciąż sączył

się jej do uszu ten nienawistny głos – wtedy będziemy walczyć. Jeśli będziemy musieli siłą odwrócić los ludzkości, zrobimy to.

Niemal lekceważyła jego słowa, ale zimny strach zaczął ogarniać jej umysł – nie na skutek zagrożenia dla niej samej czy Brin 2, ale z powodu tego, co mówił o Ziemi i koloniach. *Wojna? Niemożliwe. Nawet ci z NUN nie mogli tego zakładać...* Ale rzeczywiście dochodziło do różnych incydentów – zabójstw, zamieszek, podkładania bomb. Ogarnęło to całą Bazę Europy. Jednak NUN pluło na nieuchronną burzę. Zawsze tak uważała. Tego typu wybuchy były przejawem agonii wsteczników człowieczeństwa.

Teraz kierowała się w drugą stronę, oddalając się od rdzenia silnika, jakby Brin posiadała wystarczająco dużą powierzchnię, by mogła uciec przed nieuniknioną eksplozją. Była jednak całkowicie racjonalna w swoich poczynaniach. Dokładnie wiedziała, dokąd zmierza.

Przed nią znajdowało się okrągłe wejście do Kapsuły Strażniczej. Dopiero widząc je, zdała sobie sprawę, że jej umysł – ta część, na której zawsze polegała w sprawach finezyjnych i bardziej skomplikowanych kalkulacjach – już w pełni pojął obecną sytuację i zaproponował dość ryzykowne, lecz możliwe wyjście.

To tu miał znajdować się Sering. To była szalupa do przyszłości, którą on by popilotował w odpowiednim momencie. Nakazała drzwicom otworzyć się i poczuła ulgę, widząc, że sprzęt uchronił się przed knowaniami Seringa.

Rozległa się pierwsza eksplozja i pomyślała, że ostatnia. Brin zazgrzytała i szarpnęła się pod jej stopami, ale rdzeń silnika był wciąż stabilny – świadczył o tym choćby fakt, że Avrana jeszcze nie uległa dezintegracji. Wsłuchiwała się w szum nerwowych informacji wymienianych przez załogę. Sering uszkodził kapsuły ratunkowe. Nie chciał, żeby ktoś zdołał uniknąć losu, jaki sam sobie zgotował. Dlaczego w takim razie zapomniał o Kapsule Strażniczej?

Eksplodujące kapsuły przesunęły Brin 2 z jej pozycji i dryfowała teraz w stronę planety albo wprost w kosmos. Kern musiała stąd zniknąć.

Drzwi otworzyły się posłusznie. Nakazała urządzeniom Strażnika przeprowadzić diagnostykę systemu uwalniania. W środku było mało miejsca, niczym w trumnie – *wypluj to słowo!* – do tego mieściły się tu też terminale wszystkich systemów.

Urządzenie zadawało jej pytania – nie była wyznaczoną osobą ani też nie miała na sobie sprzętu właściwego do przedłużonego snu. *Ale nie zamierzam*

tu tkwić całe stulecia, tylko tyle, by stąd wylecieć. Pospiesznie ucięła natarczywe dociekania maszyny i wtedy system diagnostyki wyodrębnił na zasadzie eliminacji to, przy czym majstrował Sering, usuwając z programu procedury uwalniania.

Odgłosy na zewnątrz sugerowały, że najlepiej będzie teraz zamknąć drzwi i odciąć system, żeby nikt nie mógł jej przeszkodzić.

Wpełzła do kapsuły zimnego snu i mniej więcej wtedy rozległo się walenie do drzwi – do niektórych członków załogi dotarło, co się dzieje, ale z opóźnieniem. Zablokowała przekaz informacji. Zablokowała też Seringa, który pewnie i tak nie przekazałby jej żadnych istotnych wiadomości. Lepiej, żeby teraz nic jej w głowie nie huczało, z wyjątkiem szumu systemów kapsuły.

Nie miała pojęcia, ile ma czasu, ale pracowała, wyważając staranność i szybkość, bo dzięki takiemu działaniu dostała się tutaj. *Zaprowadziły mnie do Brin 2 i zawiodły do Kapsuły Strażniczej. Ależ ze mnie sprytna, skazana na zagładę małpa.* Łomotanie do drzwi się nasiliło, ale w kapsule było miejsce tylko dla jednej osoby. Zawsze była twarda, ale odkryła, że jej serce stwardniało jeszcze bardziej, i przestała myśleć o tych wszystkich ludziach, lojalnych współpracownikach, których za sprawą jej i Seringa czekała śmierć w eksplozji.

Jeszcze nie uszłam śmierci, napominała się w myślach. Ale udało się – obeszła fantomowe zabezpieczenia, pułapki zastawione przez Seringa. Czy to aby zadziała? Nie miała czasu na próby, nie miała też innego wyjścia. Jak podejrzewała – nie miała także za wiele czasu.

Uwolnić, nakazała urządzeniom, wydając polecenia na wszelkie możliwe sposoby, by usłyszeć zaprogramowaną odpowiedź: Proszę potwierdzić, aż poczuła, że mechanizmy wokół niej budzą się do życia.

Urządzenie chciało ją od razu uspić, tak jak zaplanowano, ale nakazała mu czekać. Skoro kapitan nie wyruszał z nią w drogę na swoim statku, to przynajmniej będzie obserwować jego koniec z oddali. *Jak daleko powinnam odlecieć od stacji?*

W tym momencie miała już kilkanaście tysięcy wiadomości od dobijających się do niej ludzi. Każdy członek załogi chciał z nią mówić, ale ona nie miała im nic do powiedzenia.

Kapsuła Strażnicza nie miała też bulajów. Gdyby chciała, system wizyjny przekazałby jej obraz szybko oddalającej się stacji Brin 2, kiedy niewielka kapsuła życia wchodziła na zaprogramowaną orbitę.

Teraz powróciła do systemów stacji, a jej przekaz zwielokrotniony przez urządzenia komunikacyjne Kapsuły Strażniczej wydał polecenie: *Odpalić Beczkę*.

Zastanawiała się, czy to nie jest czasem zły moment, ale uznała, że było to pewnie pierwsze i do tego bardzo starannie wykonane zadanie Seringa – na tyle wyrafinowane, że umknęło to jej uwagi podczas wszystkich testów, ponieważ, oczywiście, właściwe mechaniczne wyrzucenie w przestrzeń Kolby i Beczki odbyło się dosłownie bez jej udziału. *Na ramionach innych*, mówiła i nie mogła pozbyć się myśli o wszystkich ludziach w piramidzie tego przedsięwzięcia. Także ci stojący najniżej w hierarchii musieli zgodzić się na to, że ona stała na samej górze, inaczej wszystko by się zawaliło.

Zobaczyła błysk, nawet nie okiem umysłu, lecz za sprawą chwilowego wysypu raportów uszkodzeń przekazywanych przez komputery Brin 2, kiedy wszyscy jej koledzy, jej stacja i zdrajca Sering oraz cała jej praca zmienili się raptownie w chmurę odłamków, ostatnie tchnienie rozrzedzającego się powietrza wraz z niedającymi się rozpoznać szczątkami organicznymi.

Wyrównać kurs i ustabilizować. Spodziewała się fali uderzeniowej, ale Kapsuła Strażnicza była już daleko i energia oraz materia Brin 2 były tak rozproszone, że wystarczyło tylko lekko wyrównać kurs, by kapsuła pozostała na zaprogramowanej orbicie.

Pokaż. Przygotowała się na tę wizję, ale tak naprawdę nie było na co patrzeć. Rozbłysk, niewielka spalona arka wszystkich jej pomysłów i przyjaciół.

Summa summarum pozostała jedynie Beczka wyładowana wyhodowanymi małpami. Z tej odległości, na tle przepastnej kurtyny Wszechrzeczy, trudno było stwierdzić, dlaczego cokolwiek miałoby mieć jakieś znaczenie.

Sygnal alarmowy, rozkazała. Ponieważ oni tam, na Ziemi, musieli wiedzieć, co się stało. Musieli ją stąd zabrać, obudzić niczym Śpiącą Królową. W końcu chodziło o doktor Kern. Ona była przyszłością rasy ludzkiej. *Potrzebowali* jej.

Jej sygnał dotrze na Ziemię po dwudziestu długich latach. O wiele dłużej potrwa misja ratunkowa, nawet na statku z najlepszymi silnikami fuzyjnymi zdolnymi przyspieszyć do trzech czwartych prędkości światła. Ale jej kruche ciało przeżyje taki okres w zimnym śnie – i jeszcze dłużej.

Kilka godzin później zobaczyła końcówkę – chwilę, w której Beczka weszła w atmosferę.

Nie posuwała się po zaplanowanej trajektorii, pożoga Brin 2 odbiła ją pod takim kątem, że cudem uniknęła wyrzucenia w przestrzeń kosmiczną. Na dłuższą metę ładunek nie miał znaczenia. Beczka spłonęła, pędząc niby meteoryt przez atmosferę zielonego świata. Świadomość bezmyślnej grozy ogarniającej jej pasażerów dotarła do niej, bo zginęli w niewiedzy, w strachu i płomieniach, i to poruszyło ją mocniej niż śmierć współpracowników. *Czy nie byłby to argument dla Seringa, że jednak miał rację?*

Siłą przyzwyczajenia, za sprawą zbędnej teraz profesjonalnej sumienności zlokalizowała Kolbę i obserwowała, jak niewielki pojemnik zagłębia się w atmosferę pod łagodniejszym kątem, dostarczając swój biologiczny ładunek do świata pozbawionego istot rozumnych, dla których był przeznaczony.

Zawsze możemy sprowadzić kolejne mały, powtarzała sobie. To była bardzo dziwna mantra, ale dzięki niej poczuła się lepiej. Rozwojowy wirus był w stanie przetrwać tysiąclecia. Projekt przeżyje zdradę i śmierć jego twórców. Ona dopilnuje tego osobiście.

Skanuj zmiany sygnałów radiowych. Obudź mnie, kiedy coś zanotujesz, poleciła.

Komputer kapsuły nie był z tego zadowolony. Potrzebował więcej dokładnych parametrów. Kern rozważyła różne możliwości rozwoju wypadków na Ziemi, które chciałyby ocenić. Wymienienie ich wszystkich było równoznaczne z próbą przewidzenia przyszłości.

A potem podaj mi opcje.

Komunikator zalał ją rozmaitymi ewentualnościami. Komputer kapsuły był niezwykle zaawansowanym urządzeniem, na tyle skomplikowanym, że mógł udawać wrażliwość czy też nawet ją posiadać.

Pobierz informacje, nakazała. Nie była to najszcześniejsza chwila w jej życiu, ale czy nie mówiła zawsze, że życie byłoby łatwiejsze, gdyby sama wszystko zaaranżowała? Kapsuła mogła pobrać obraz jej świadomości. Choć taka kopia nie była doskonała, tworzyła kompozyt z jej udziałem zdolny zareagować na zewnętrzne wydarzenia, symulujący jej własną ocenę sytuacji. Przejrzała wszystkie zastrzeżenia i notatki – więcej najnowszej technologii z uwagi na pionierski charakter misji. Przewidziano, że z czasem sieć sztucznej inteligencji będzie ściślej wiązała się z pobraną świadomością Kern, żeby taki twór był w stanie dokonywać coraz bardziej precyzyjnych obliczeń. Potencjalny wynik dałby urządzenie inteligentniejsze i bardziej skuteczne niż suma inteligencji i zdolności człowieka i maszyny.

Wykonaj, poleciła, kładąc się i czekając, aż urządzenie zacznie skanować jej mózg. *Niech się tylko pośpieszą z tą misją ratunkową.*

1.2 DZIELNA MAŁA MYŚLIWECZKA

Nazywa się Portia i poluje.

Ma osiem milimetrów długości, ale jest tygrysią w swym małym świecie, przebiegłą i zażartą. Jak wszystkie pająki ma ciało złożone z głowotułowia. Jej mały brzusek zawiera płucotchawki i wnętrzości. Na głowie zaś dominują wielkie oczy skierowane na wprost, by zapewnić jej idealne dwuoczne widzenie, a powyżej znajdują się dwie kępki, które wyglądają niczym rogi. Jest włochata i ma brunatno-czarne ubarwienie. Dla drapieżników wygląda niczym zwiędły liść, a nie żywa istota.

Czeka. Pod doskonałymi ślepiami szczękoczułki podobne do kończyn osłaniają kły, a jej nogogłaszczki mają białą barwę i przypominają wąsy. Nauka nazwała ją *Portia labiata* i jest kolejnym skromnym gatunkiem skakuna – skaczącego pająka.

Skupia uwagę na innym pająku, który siedzi w swoim domu z pajęczyny. Jest to *Scytodes pallida*, długonogi i przygarbiony osobnik potrafiący strzelać toksyczną siecią. *Scytodes* specjalizuje się w łapaniu i zjadaniu skakunów, takich jak Portia.

Portia specjalizuje się w zjadaniu pajaków jedzących pająki, z których większość jest większa i silniejsza niż ona.

Ma niewiarygodne oczy. Ze ślepi wielkości łebka szpilki wyzierają bystrość i przenikliwość, świdrują świat wokół niej.

Portia nie posiada zdolności myślenia. Jej sześćdziesiąt tysięcy neuronów nawet nie tworzy prawdziwego mózgu – ludzki mózg to sto miliardów. Ale coś się dzieje w tym ściśniętym węzle tkanki. Już rozpoznała wroga i wie, że w przypadku frontalnego ataku jego ślina będzie dla niej zabójcza. Delikatnie szarpie za skraj sieci *Scytodesa*, wysyłając kłamliwe sygnały o różnym napięciu, żeby sprawdzić, czy można go wywabić. Cel porusza się raz i drugi, ale nie daje się podejść.

To właśnie jest w stanie wykombinować parędziesiąt tysięcy neuronów – Portia spróbowała i nie udało jej się, ale naprowadziło ją to na bodźce, które wywołują najżywszą reakcję, i teraz podejdzie do sprawy w inny sposób.

Jej bystre oczy rozglądają się wokół pajęczyny, po gałęziach i gałązkach nad nią i pod nią. Gdzieś w jej małym zwoju neuronów pod wpływem tych baczących obserwacji powstaje trójwymiarowa mapa i teraz Portia opracowuje precyzyjną trajektorię, po której może spaść na Scytodesa z góry niczym zamaskowany zabójca. Podejście nie jest idealne, ale najlepsze w tych okolicznościach, i jej załączek mózgu opracował to wszystko wprzód, czysto teoretycznie. Zaplanowana trasa zaprowadzi ją daleko poza zasięg wzroku ofiary, gdzie pozostanie przez większość akcji, ale nawet jeśli Portia nie będzie widzieć swojej zdobyczy, pozostanie ona w jej miniaturowym umyśle.

Gdyby jej ofiara należała do innego gatunku niż Scytodes, obrałaby odmienną taktykę – albo też eksperymentowałaby, aż by się jej udało. Zwykle się udawało.

Przodkowie Portii dokonywali takich szacunków i podejmowali podobne decyzje od tysiącleci, a każde pokolenie było coraz sprawniejsze, ponieważ najlepszymi myśliwymi są ci, co lubią sobie podjąć i znoszą dużo jaj.

Jak dotąd wszystko idzie zgodnie z naturą i Portia już ma ruszyć na wyprawę, kiedy jakiś ruch przyciąga jej wzrok.

Pojawił się kolejny przedstawiciel jej gatunku. Samiec. On też przyglądał się bacznie Scytodesowi, ale teraz jego bystre ślepia wpatrują się w nią.

Kiedyś osobniki jej gatunku mogłyby stwierdzić, że mały samczyk jest o wiele bezpieczniejszym posiłkiem niż Scytodes, i mogłyby snuć plany z tym związane, ale teraz coś się zmieniło. Obecność samca do niej przemawia. Jest to złożone, nowe doznanie. Przyczajona sylwetka na przeciwległym brzegu sieci Scytodesa nie jest ani tylko ofiarą, ani zupełnie nieważną istotą. Portia nie całkiem pojmuje, że jest *stworzeniem podobnym do niej*, ale jej niezwykła zdolność opracowywania strategii zyskała nowy wymiar. Nowa kategoria pojawia się w jej umyśle, rozwijając zwielokrotnione możliwości – *sojusznik*.

Przez długie minuty dwa polujące pająki przyglądają się swoim mentalnym mapom, gdy tymczasem Scytodes wisi cierpliwie między nimi zupełnie tego nieświadomy. Wtedy Portia widzi, jak samczyk zachodzi ofiarę z drugiej strony skrajem sieci. Czeka na jej ruch. Ona się nie rusza. On znów się przesuwa. Przynajmniej do tego miejsca, w którym jego obecność zmienia jej instynktowne szacowanie szans.

Rusza zaplanowaną wcześniej trasą, podkradając się, skacząc, spuszczać się na nitce pajęczyny, i przez cały czas jej mózg zachowuje obraz trójwymiarowego świata i dwóch pająków w nim.

W końcu zajmuje pozycję nad siecią Scytodesa z dala od wzroku nieruchomego samca. Czeką, aż się ruszy. On tylko smyra jedwabiste festony, ostrożnie badając miejsca, po których stąpa. Porusza się niczym automat, powtarzając kolejne posunięcia, jakby był okruchem zwiędłego liścia, który wpadł z wiatrem w sieć. Scytodes rusza się raz, po czym zamiera. Bryza huśta siecią i samczyk stąpa dużo szybciej pod osłoną wiatru poruszającego pojedynczymi nitkami.

Gwałtownie się odbija i tańczy, przemawiając pajęczym językiem, dobitnie i wyraźnie komunikując: *Ofiara! Zwierzyna stara się wyrwać!*

Scytodes momentalnie rusza i wtedy Portia uderza, spadając tuż za wrogiem, i zatapia w nim kły. Jad unieruchamia ofiarę bardzo szybko. Łowy się dokonują.

Wkrótce potem niewielki samczyk się zbliża i patrzy tak na siebie, starając się stworzyć nowy obraz swojego świata. Jedzą. Ona wciąż ma wielką ochotę go odpędzić, a jednak nowy wymiar, owa wspólnota ją powstrzymuje. On jest zwierzyną łowną. I jednocześnie *nie jest*.

Później znów polują razem. Stanowią zgrany zespół. Razem są w stanie zaatakować cele w okolicznościach, w których w pojedynkę musieliby się wycofać.

W końcu samczyk dostępuje zaszczytu i z ofiary-nie-ofiary staje się jej partnerem, a jeśli chodzi o partnerów, jej wzorce zachowań są ograniczone. Po akcie płciowym dochodzą do głosu inne instynkty i partnerstwo kończy się raptownie.

Ma przychówek, wiele jajeczek, jak bardzo dobra łowczyni.

Ich potomstwo będzie piękne i mądre i urośnie dwa razy większe, zakażone nanowirusem, którego nosicielami byli zarówno Portia, jak i jej samiec. Późniejsze pokolenia będą jeszcze większe i inteligentniejsze oraz skuteczniejsze we wspólnym polowaniu, ewoluując w przyspieszonym tempie, aby kolejne osobniki mogły wykorzystać ten atut i zdominować zestaw genów przyszłości.

Dzieci Portii odziedziczą ten świat.

1.3 ŚWIATŁA GASNĄ

Doktor Avrana Kern obudziła się na dźwięk tuzina kompleksowych informacji komputera, ale żadna z nich nie pomogła w przywróceniu pamięci tego, co się stało ani dlaczego kawałkami wracała jej świadomość w tubie do zimnego snu. Nie była w stanie otworzyć oczu. Miała skurcze w całym ciele i jej mentalna przestrzeń była pusta, jeśli nie liczyć natłoku atakujących ją informacji, bo każdy z systemów Kapsuły Strażniczej z terkotem wyrzucał z siebie swój raport.

Tryb Eliza! – wykrztusiła, czując mdłości, opuchliznę, zatwardzenie i grad bodźców, kiedy maszyneria jej trumny dwoiła się i troiła, by przywrócić ją do czegoś, co przypominało czynne życie.

– Dzień dobry, doktor Kern – zadudnił komunikator kapsuły w jej ośrodku słuchu. Przemawiał kobiecym głosem, silnym i pewnym.

Kern była daleka od przytomności. Chciała zapytać, dlaczego znajduje się w Kapsule Strażniczej, ale czuła, że odpowiedź gdzieś się dobija do jej świadomości, tylko nie może dotrzeć.

Daj mi coś na przywrócenie pamięci! – rozkazała.

– To niewskazane – ostrzegł ją komunikator.

Jeśli chcesz, żebym była zdolna podjąć jakąkolwiek decyzję... i wtedy wszystko ułożyło się w jej umyśle w całość, tama pękła, spuszczając powódź straszliwej prawdy. Brin 2 została zniszczona. Jej koledzy zginęli. Małpy zginęły. Wszystko przepadło – z wyjątkiem jej samej.

Wzięła coś, co od biedy można było nazwać głębokim wdechem, ale jej klatka piersiowa jeszcze nie funkcjonowała poprawnie i tylko zaświszczała. *Najwyższy czas*, rzuciła do komunikatora, choć tego rodzaju stwierdzenie było dla komputera zupełnie pozbawione znaczenia. Mówił teraz do niej, a ona instynktownie czuła, że może z nim rozmawiać tak jak z człowiekiem. To zawsze był najbardziej irytujący efekt uboczny trybu Eliza. *Ile czasu minęło według ziemskich standardów?*

– Czternaście lat i siedemdziesiąt dwa dni, pani doktor.

To... Poczuła, że tchawica pozwala jej lepiej oddychać.

– Tak nie może być... – Nie było sensu mówić tego komputerowi, ale tak właśnie było. Nie dość czasu. Ani wiadomość nie miała prawa dotrzeć na Ziemię, ani statek ratunkowy nie miał czasu, żeby tu dotrzeć. Ale wtedy pojawiła się nadzieja. Naturalnie statek już leciał do nich, zanim Sering zniszczył Brin 2. Bez wątplenia dużo wcześniej odkryto, że jest agentem NUN. Kiedy upadło to ich idiotyczne powstanie. Była ocalona. Oczywiście, że tak.

Inicjacja kontaktu, rzuciła do komunikatora.

– Obawiam się, że to niemożliwe, pani doktor.

Cmoknęła tylko i znów przywołała dane z systemu, czując, że teraz lepiej sobie z nimi poradzi. Każda część kapsuły otworzyła się przed nią, potwierdzając sprawność układów. Sprawdziła system komunikacji. Odbiorniki były w normie. Transmisory działały, wysyłając jej sygnał alarmowy, a także wypełniając swoją podstawową funkcję, czyli nadawanie złożonych zestawów wiadomości na planetę poniżej. Oczywiście miało to służyć temu, że pewnego dnia planeta stanie się kolebką nowych gatunków, które odbiorą i rozkodują te wiadomości. Teraz nie było na to szansy.

– Wszystko to... – Wściekał ją jej własny skrzeczący głos. *Uściślij. Na czym polega problem?*

– Obawiam się, że nie ma z kim inicjować kontaktu, pani doktor – odpowiedział grzecznie komunikator w trybie Eliza.

Wtedy jej uwaga zwróciła się ku symulacji otaczającej ich przestrzeni: były tu planeta i Kapsuła Strażnicza. Ani śladu statku z Ziemi.

Wyjaśnij.

– Nastąpiła zmiana w sygnałach radiowych, pani doktor. Obawiam się, że z powodu wagi zagadnienia będę potrzebował wiążącej decyzji.

– Możesz skończyć z tym „obawiam się”? – warknęła ze złością.

– Oczywiście, pani doktor. – Wiedziała, że to się nie powtórzy. Od tej chwili z jego mowy zniknie owa szczególna fraza. – Gdy trwała pani w zimnym śnie, monitorowałem sygnały z Ziemi.

– No i? – Głos Kern zadrżał odrobinę. *Sering wspominał coś o wojnie. Czy były jakieś wieści o wojnie? A jeśli, to: Czy komunikator w ogóle wiedział, że ma mnie obudzić? Nie byłby zdolny przefiltrować takiej informacji. Więc co...?*

Tkwiła tam, zagubiona w natłoku danych, ale komunikator dopiero teraz ją wyłuskał. Nie obecność, lecz absencję.

Miała ochotę zapytać: *Co mi pokazujesz?* Miała ochotę wykrzyknąć do

urządzenia, że znów się pomyliło. Chciała, żeby sprawdziło to ponownie, jakby wcześniej nie robiło tego w każdej chwili.

Nie było już żadnych sygnałów z Ziemi. Ostatni ich ślad minął Kapsułę Strażniczą i pędząc z prędkością światła, już był przeterminowany o jakieś dwadzieścia lat, które umknęły jej w próżni.

Chcę odsłuchać ostatnie dwanaście godzin sygnałów.

Myślała, że będzie ich zbyt wiele, ale było ledwie kilka, rozproszonych, rozkodowanych. Te, które odczytała, były błaganiem o pomoc. Prześledziła wcześniejsze o czterdzieści osiem godzin, starając się je jakoś sklecić. Komunikator nie zarejestrował niczego więcej. Szczegóły już się zatarły, uciekając szybciej, niż była w stanie je wyłapać. Wybuchła ta wojna Seringa – tylko tyle zrozumiała. I zaczęła niszczyć wszystkie ludzkie kolonie w kosmosie. W Układzie Słonecznym wygasały światła, kiedy NUN i jego sojusznicy urosli w siłę i zaczęli zмагаć się ze swymi wrogami o losy ludzkości.

Niewątpliwie doszło do eskalacji. Kern wiedziała doskonale, że rządy na Ziemi i kolonie posiadały broń o przerażającym potencjale, a nauka zakładała stworzenie o wiele gorszych środków rażenia.

Wojna na Ziemi przybrała na sile, tyle mogła stwierdzić. Żadna ze stron nie zamierzała dać za wygraną. Napierały coraz mocniej, wyciągając z pudełka coraz to nowe zabawki. Początki wojny zniknęły z wąskiego okna radiowego, ale Avranę opanowało przerażające podejrzenie, że cały globalny konflikt nie trwał dłużej niż tydzień.

I teraz, dwadzieścia lat świetlnych stąd, Ziemię spowiła cisza – cisza trwająca od dwóch dziesięcioleci. Czy w ogóle byli tam jacyś ludzie? Czy cała rasa ludzka została zniszczona oprócz niej, a może nastał nowy wiek ciemności, w którym ogłupiali ludzie spoglądali w górę na przesuwające się po niebie światła, zapomniawszy, że skonstruowali je ich przodkowie.

– Stacje w koloniach Układu Słonecznego... inne... – wykrztusiła.

– Jednym z ostatnich przekazów z Ziemi nadanym na wszystkich częstotliwościach we wszystkich kierunkach była transmisja zawierająca komputerowego wirusa, pani doktor – ciągnęła boleściwie Eliza. – Miał zaatakować i unieszkodliwić każdy system, który go odbierze. Najwyraźniej potrafił przejść przez wszelkie znane zapory. Podejrzewam, że na skutek jego działania wszystkie systemy w koloniach zostały wyłączone.

– Ale to oznacza... – Avrana już czuła zimno jak cała reszta ludzkości.

Czekała na jakieś chłodne oświecenie, ale nie nadeszło. Kolonie w Układzie Słonecznym oraz garstka tych poza nim wciąż znajdowały się w fazie terraformacji. Zostały zbudowane na początku kosmicznej ery ludzkości, po tym jak rozwinęła się technologia, ale osadnictwo ludzkie spowolnił ten marsz ku gwiazdom – zbyt wielu ludzi się tam kręciło. Puste planety rozwijały się o wiele szybciej i Świat Kern był jednym z pierwszych ukończonych. Poza Ziemią rodzaj ludzki był przerażająco uzależniony od swojej technologii oraz komputerów.

Jeśli taki wirus dostał się do systemów na Marsie czy Europie i je unieszkodliwił, zginęli wszyscy. Chyż, zimną, pozbawioną powietrza śmiercią.

– W takim razie jak ty przetrwałaś? Jak *myśmy* przetrwali?

– Wirus nie został napisany z myślą o tym, by atakować eksperymentalne systemy powstałe z połączenia ludzkiej świadomości i elektroniki. Pani obecność w moim systemie uniemożliwiła załadowanie wirusa do oprogramowania.

Avrana Kern wpatrywała się w mrugający ekran komunikatora w ciemnym wnętrzu Kapsuły Strażniczej, myśląc o tych wszystkich miejscach w jeszcze większej ciemności na zewnątrz, w których ludzkość zbudowała tak kruche domy dla siebie, trwałe jak skorupka jajka. W końcu mogła zadać tylko jedno pytanie: *Dlaczego mnie obudziłaś?*

– Potrzebna jest mi decyzja dowódcy, pani doktor.

– A jakiej to niby decyzji dowódcy potrzebujesz w tej sytuacji? – zapytała komputer z jadem w głosie.

– Ważne, żeby wróciła pani teraz do zimnego snu – padło z komunikatora i słychać było, że Elizie bardzo brakuje owego „obawiam się”, które przydałoby tak bardzo potrzebnej temu zdaniu nuty ludzkiego wahania. – Jednak brak informacji dotyczących obecnych okoliczności zewnętrznych oznacza, że nie będę w stanie określić odpowiedniego sygnału, na który mam panią obudzić. Uważam też, że pani również nie będzie potrafiła przekazać mi, co miałyby spowodować przebudzenie, choć może mi pani wydać dowolne polecenie albo też po prostu określić konkretny czas trwania snu. W tym przypadku może pani po prostu polegać na tym, że pani świadomość w programie obudzi panią w stosownym czasie...

Niedopowiedziane zdanie dźwięczało jej pod czaszką. *Albo też nigdy. Może nie nadejść taki moment.*

Pokaż mi planetę.

Wielka zielona kula obracająca się na swojej orbicie została stworzona dla niej i wszystkie jej cechy i parametry były powiązane ze źródłem dodatkowymi szczegółami. Gdzieś tam znajdowały się podpisy, nazwiska zmarłych, którzy zaprojektowali i skonstruowali każdą jej część, którzy prowadzili płyty tektoniczne i pobudzili do życia system pogody, wywołali erozję gleby i zapłodnili ją życiem.

Ale małpy spłonęły. Wszystko na nic.

Wszystko zdawało się całkiem nierealne, a była tak blisko swego wielkiego marzenia, rozsiewania życia po wszechświecie, dywersyfikacji inteligencji, gwarantowanego przetrwania dziedzictwa Ziemi. *Ale wybuchła wojna i Sering zwariował o chwilę za wcześnie.*

Ile wytrwamy? – zadawała sobie pytanie.

– Pani doktor, nasz układ solarny pozwoli nam trwać niemal w nieskończoność. Choć jest możliwe, że zewnętrzne uszkodzenia albo skumulowany defekt mechaniczny kiedyś spowodują zakończenie funkcjonowania, to nie jest znana górna granica żywotności kapsuły.

To zdanie prawdopodobnie miało w niej wzbudzić nadzieję. W uszach Kern brzmiało raczej jak wyrok dożywotniego więzienia.

Pozwól mi spać, powiedziała do urzędnika.

– Potrzebne mi są wskazówki, kiedy mam panią obudzić.

Roześmiała się, słysząc to, a dźwięk jej własnego głosu zabrzmiał paskudnie w tak ograniczonej przestrzeni.

– Kiedy przybędą statki ratunkowe. Kiedy małpy dadzą znak. Kiedy tak postanowi moje elektroniczne ja. Czy to wystarczy?

– Myślę, że mogę zaakceptować takie ramy, pani doktor. Teraz przygotuję panią do powrotu do zimnego snu.

Długiego, bardzo długiego snu w samotności. Wracała do grobowca, a jej elektroniczne ja będzie stało na straży nad tą milczącą planetą w milczącym wszechświecie jako ostatnia placówka wielkiej kosmicznej cywilizacji ludzkości.

— 2 —

PIELGRZYMKA

2.1 DWA TYSIĄCE LAT OD DOMU

Holsten Mason zaczął się budzić w koszmarze klaustrofobii, tłumiąc to uczucie niemal w chwili, w której go dopadło. Doświadczenie pozwoliło mu rozpoznać, gdzie jest i dlaczego nie stanowi to powodu do niepokoju, ale stare małpie instynkty i tak miały swoje pięć minut, drąc się wniebogłosy: *Pułapka! Jestem w pułapce!* w zakamarkach jego umysłu.

Pierdolone małpy. Był cały przemarznięty i na dodatek zamknięty w przestrzeni, w której jego ciało z ledwością się mieściło. Do tego miał wrażenie, że tysiące igieł wysuwały się z jego szarej i pozbawionej zakończeń nerwowych skóry – jakby wyszarpywano mu jakieś rurki z okolic intymnych – i nikt nie dbał o to, by robić to delikatnie.

Czyli dzień jak co dzień w komorze zawieszenia. Miał ochotę głośno wyrazić swoją nienawiść do komór zawieszenia, ale było to zupełnie bez znaczenia dla wszystkich przedstawicieli rasy ludzkiej.

Przez chwilę pomyślał, że to już – że został obudzony, ale nie uwolniony, że ugrzązł za tą cholerną szklaną taflą. Że nikt go nie słyszy ani nie zauważa w przepastnym i opustoszałym statku pełnym lodowatych trupów pędzących od wieków w nicość głębi kosmosu.

Prymitywna klaustrofobia dopadła go po raz drugi. Ręce same rwały się do działania, żeby walić w to przezroczyście wieko, ale w tej samej chwili usłyszał syk dekompresji i jednostajne jarzenie lamp statku zastąpiło przyćmione, rozproszone światło.

Nawet nie mrugnął. Komora zawieszenia od jakiegoś czasu przygotowywała jego ciało do przebudzenia, na długo przedtem, nim tchnęła ożywczą iskrę w jego mózg, przywracając go do życia. Zastanawiał się poniewczasie, czy coś poszło nie tak. W końcu istniały określone okoliczności, w których miał zostać wybudzony. Nie słyszał jednak żadnego alarmu, a wyświetlacz stanu załogi w pomieszczeniu wszędzie zatrzymał się na bezpiecznych niebieskich kreskach. *O ile się nie zepsuł.*

Statek-arka o nazwie *Gilgamesz* został zbudowany, by przetrwać szmat czasu, przy użyciu całego kunsztu i technologii, jaką cywilizacja Holstena

mogła wyrwać ostatkiem sił z pomarszczonych od próżni dłoni swych przodków. Mimo to, gdyby mieli inne wyjście, nikt by nie zaufał technologii, bo przecież nie można naiwnie wierzyć, iż maszyna – jakakolwiek maszyna, dzieło rąk człowieczych – przetrwa tyle czasu w tej podróży.

– Wszystkiego najlepszego! Teraz jesteś najstarszym facetem w historii ludzkości! – rozległ się ostry głos. – No to rusz tyłek, leniwy nygusie. Potrzebujemy cię.

Wzrok Holstena skupił się na twarzy, nominalnie kobiecej. Było to twarde oblicze z licznymi zmarszczkami, o wystającej brodzie i kościach policzkowych. Włosy kobiety były tak samo krótko przycięte przy skórze jak u niego. Komory zawieszenia nie traktowały za dobrze ludzkiego owłosienia.

Isa Lain: główny inżynier na *Gilgameszu*.

Już chciał rzucić jakimś dowcipem, jak to nigdy nie podejrzewał, że będzie go potrzebowała, ale tylko coś zabełkotał i zamilkł. Zrozumiała tyle, że spojrzała na niego z przyganą.

– *Potrzebować* to nie to samo co *pragnąć*, staruszk. No i zapnij sobie kombinezon, bo coś ci wystaje.

Czując się jak stuletni kaleka, skulił się i zaczął gramolić z zasobnika w kształcie trumny, w którym spoczywał od...

Że niby najstarszy... najstarszy? Słowa Lain dopiero teraz w pełni do niego dotarły.

– Ej – rzucił chropawym głosem. – Od jak dawna? Jak daleko jesteśmy? *Czy w ogóle wylecieliśmy z Układu Słonecznego?* Co ona mówi... Gdyby tylko był w stanie zobaczyć cokolwiek przez otaczające go ściany, doznałby nagłego poczucia przepastnej pustki, która musiała rozciągać się tuż za kadłubem, próżni, jakiej nikt nie przeniknął od czasów sprzed epoki lodu, od czasów Starego Imperium odległych o tysiąclecia.

Pomieszczenie zawieszenia załogi było ciasne, ledwo wystarczało miejsca na dwie osoby i rzędy trumien: jego własna i dwie inne były otwarte i puste, a reszta wciąż zawierała pozostałych członków załogi, choć powinni z nich wyjść i zająć się swoimi zadaniami na statku. Lain przeszła do włazu i otworzyła go, zanim odpowiedziała na jego pytanie, zerkając przez ramię, lecz w jej spojrzeniu nie było już ani krzty kpiny.

– Tysiąc osiemset trzydzieści siedem lat, Mason. Tak przynajmniej mówi *Gilgamesz*.

Holsten aż przysiadł na krawędzi komory zawieszenia, bo nogi gwałtownie

odmówiły mu posłuszeństwa.

– A jak... jak on się trzyma? Czy ty...? – W głowie krążyły mu urwane zdania. – Od jak dawna jesteś na nogach? Sprawdziłaś... no, ładunek i innych...?

– Jestem na nogach od dziewięciu dni, podczas których cackano się z tobą przy wybudzaniu, Mason. Przejrzałam wszystko. I wszystko jest w stanie zadowalającym. Konstruktorzy tego malucha wykonali solidną robotę.

– Zadowalającym? – Wyczuwał jakąś skazę w tym słowie. – W takim razie wszyscy...?

– Zadowalającym, czyli mamy cztery procent uszkodzeń ładunku – odpowiedziała beznamiętnie. – W ciągu niemal dwóch tysiącleci. Myślę, że można to uznać za zadowalający wynik. Mogło być gorzej.

– No jasne. Tak, oczywiście. – Wstał ponownie i podszedł do niej, bosymi stopami czując zimną podłogę, i starał się wyczuć, czy przyspieszali, czy też tracili szybkość, no i czy pomieszczenia załogi zaczynają się obracać wokół swojej osi dla przywrócenia grawitacji. Z całą pewnością coś trzymało go na podłodze. Jeśli jednak istniał jakiś zmysł pozwalający rozróżnić rodzaje sztucznej grawitacji, to jego przodkowie go nie rozwinęli.

Próbował się nie zastanawiać, co oznaczało owe cztery procent ani że całkowicie odczłowieczone słowo „ładunek” odnosiło się do dużej części ocalałej rasy ludzkiej.

– A tak w ogóle to do czego jestem ci potrzebny? – Większość załogi była jeszcze pogrążona we śnie i był ciekaw, jakież to niezwykle okoliczności wymagały jego obecności, podczas gdy dowództwo, działy nauki, ochrony i inżynierii wciąż tkwiły w zahibernowanym, pozbawionym snu stanie zawieszenia.

– Jest sygnał – odpowiedziała Lain, obserwując bacznie jego reakcję. – Tak właśnie myślałam, że to cię ruszy.

Zasypał ją pytaniami, kiedy szli korytarzem do centrum komputerowego, ale Lain tylko przyspieszała, ignorując go i pozwalając mu chwiać się i potykać o własne nogi, które co kilka kroków najwyraźniej próbowały go zdradzić.

Vrie Guyen był trzecim, który wstał, czego zresztą Holsten się spodziewał. Bez względu na rodzaj zagrożenia wymagana była obecność dowódcy *Gilgamesza*, jego głównej inżynier oraz naukowca. To, co powiedziała Lain, usprawiedliwiała podjęcie takich środków. *Sygnał*. I do tego tutaj. Co to mogło znaczyć? Albo był całkowicie obcego pochodzenia, albo też stanowił

pozostałość Starego Imperium. Czyli wchodził w zakres wiedzy Holstena.

– Jest słaby i bardzo zakłócony. *Gilgameszowi* sporo czasu zabrało rozpoznanie, co to właściwie jest. Musisz to zobaczyć i powiedzieć, co o tym sądzisz. – Guyen był szczupłym, drobnym mężczyzną, a jego nos i usta zdawały się przeszczepione z innej, szerszej twarzy.

Holsten przypomniał sobie, że jego styl dowodzenia opiera się na agresywnej motywacji oraz umiejętności rozdzielania zadań. Wydawało się, że minęło ledwie kilka dni, kiedy Holsten, wchodząc do kapsuły zawieszenia, czuł na sobie jego surowe spojrzenie, ale kiedy sięgnął w głąb pamięci, by określić, ile to było dni, natrafił na nieprzenikniony szary obszar, rozproszone doznanie rozregulowanego poczucia czasu.

Najwyraźniej tak jest po prawie dwóch tysiącach lat. W każdej minucie rozpamiętywał, jak wielkie mieli szczęście, że są w komplecie. To zadowalające, jak powiedziała Lain.

– Skąd dochodzi ten sygnał? – zapytał. – Czy stamtąd, skąd podejrzewamy?

Guyen tylko pokiwał głową z nieprzeniknioną miną, ale Holsten wyczuł, że przechodzi go dreszcz podniecenia. *To tam jest! Cały czas tam tkwiło.*

Gilgamesz bynajmniej nie rzucił się na oślep w próżnię, by uciec przed końcem wszystkiego, co zostawiali za sobą. Gdyby tak było, balansowałiby na krawędzi samobójstwa. Śledzili mapy i wykresy Starego Imperium wykradzione z niesprawnych satelitów, z wraków statków, z wypalonych kadłubów stacji orbitalnych ze znumifikowanymi zwłokami byłych panów Ziemi. Uratowała ich próżnia i stare orbity, gdy tymczasem poniżej lód pokrywał całą planetę.

Wśród tych reliktyw przeszłości znalazły się mapy gwiazdne opisujące ze szczegółami galaktyczne szlaki przemierzone przez starożytnych.

Pokazali mu sygnał w takiej postaci, w jakiej został odebrany przez przyrządy *Gilgamesza*. Była to stosunkowo krótka, powtarzająca się wiadomość. Nie był to szum informacyjny tętniącej życiem kolonii spoza Układu Słonecznego – na to nie mieli co liczyć, biorąc pod uwagę upływ czasu.

– Może to ostrzeżenie – zastanawiał się Guyen. – Jeśli tak i jeśli grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, powinniśmy to wiedzieć.

– A jeśli jest jakieś niebezpieczeństwo, to co konkretnie mamy zrobić? – zapytał cicho Holsten. – Czy możemy zmienić kurs na tyle, żeby nie uszkodzić całego systemu?

– Możemy się przygotować – odparła pragmatycznie Lain. – Jeśli to jakieś kosmiczne zjawisko, w które się wplątaliśmy, i jeśli jakimś cudem nie uszkodziło transmitera, to może będziemy musieli zmienić kurs. A jeśli to... jakaś zaraza albo gdzieś w pobliżu czai się horda wrogich obcych czy coś podobnego, wtedy... cóż, założę się, że wiele czasu minęło od chwili, kiedy to się stało. Pewnie już wszystko się zdezaktualizowało.

– Mamy mapy. Jeśli dojdzie do najgorszego, zawsze możemy obrać kurs na inny świat – zauważył Guyen. – Przelecimy obok tutejszej gwiazdy i tyle nas będą widzieli.

Ale wtedy Holsten przestał zwracać na niego uwagę, siedział tylko przygarbiony, wsłuchując się przez słuchawkę w zapis sygnału zarejestrowany przez *Gilgamesza*, obserwując jednocześnie graficzny wykres, częstotliwość i wzorzec, przywołując odnośniki z biblioteki stacji.

Dostroił interpretację sygnału, porównując ją ze wszelkimi znanymi algorytmami dekodującymi używanymi przez dawno wymarłą cywilizację. Robił to już wcześniej wiele razy. Zbyt często sygnał był zakodowany w taki sposób, że odkodowanie wykraczało poza możliwości współczesnej kryptografii. Innymi razy pojawiała się zwykła mowa, ale w jednym z tych języków, których nikt nie potrafił zrozumieć.

Słuchał i próbował różnych metod deszyfracji, aż pojawiły się słowa w oficjalnym starożytnym języku z dawno minionego wieku cudów i dostatku, w którym panowała odrażająca skłonność do destrukcji.

– Imperialny C – stwierdził z pewnością w głosie. Był to jeden z powszechniejszych znanych języków i, jeśli jego tok myślenia był właściwy, dziecinną igraszką było jego odcyfrowanie. Teraz, po oczyszczeniu, transmisja ujawniła swoją zwięzłą, hasłową zawartość w języku, który wymarł, zanim wszystko skuł lód.

– Co...? – zaczął Guyen gniewnie, ale Holsten uniósł dłoń, by go uciszyć, i cała wiadomość została odtworzona ponownie, a on z zadowoleniem smakował swoje pięć minut.

– To sygnał alarmowy – oznajmił.

– Alarmowy, czyli mówi „odlatujcie?” – naciskała Lain.

– Alarmowy, czyli „przylećcie po mnie” – powiedział Holsten, spoglądając im w oczy i widząc w nich isierkę nadziei, choć on sam zastanawiał się, co czuje. – Nawet jeśli tam nie ma już nikogo – a to niemal pewne – będzie technologia, działająca i sprawna. Coś czeka tam na nas od tysięcy lat. Tylko

na nas.

Przez chwilę ta myśl była na tyle jasna, że ich i tak niewielka rezerwa wobec niego niemal całkiem zniknęła. Byli niczym trójka pasterzy wiodących swe ludzkie stadko ku nowej ziemi obiecanej. Byli niczym rodzice – fundatorzy przyszłości.

Guyen nagle klasnął w dłonie.

– Doskonale. Dobra robota. Niech *Gilgamesz* obudzi podstawową załogę, żebyśmy zdążyli z wyhamowaniem. Wygraliśmy to rozdanie. – Ani słowa o tych, którym się nie udało, którzy nie mieli okazji zagrać w tę grę, ani o tych w innych arkach, którzy obrali inny kurs, gdy Ziemia wypluwała resztki swych mieszkańców przed rosnącą falą zalewającej ją trucizny. – Wracajcie do swoich wyrek, obydwójce. – Czekał ich jeszcze przynajmniej wiek cichej, zimnej niczym śmierć podróży do źródła sygnału.

– Wolałbym tylko przymknąć oko – odparł odruchowo Holsten.

Guyen spojrzał na niego wilkiem, nagle przypominając sobie, że nie chciał widzieć Holstena w szeregach podstawowej załogi – był zbyt stary, zbyt zapatrzony w siebie i zbyt dumny ze swej wszechstronnej edukacji.

– Niby dlaczego?

Bo jest zimno. Bo pełny sen przypomina prawdziwą śmierć. Bo się boję, że się nie obudzę – albo że ty mnie nie obudzisz. Bo się boję, kropka. Ale Holsten tylko wzruszył ramionami.

– Bo możemy wypaść się później, prawda? Przynajmniej pozwólcie mi popatrzeć w gwiazdy. Tylko przez pół wachty, potem się położę. Komu to przeszkadza?

Guyen mruknął coś pogardliwego na jego temat, ale niechętnie pokiwał głową.

– Daj mi znak, kiedy wrócisz. Albo jak będziesz się kładł ostatni, to...

– Wiem, mam pogasić światła. Znam procedury. – Mówiąc szczerze, procedury polegały też na kompleksowym powtórnym sprawdzeniu systemów statku, ale *Gilgamesz* większość tych trudnych zadań brał na siebie. Wszyscy członkowie podstawowej załogi przeszli szkolenie w tym zakresie. Było to przeważnie przeglądanie, a nie wczytywanie się w długą listę czynności – robota dla małpy.

Guyen poszedł sobie, kręcąc głową, a Holsten mrugnął do Lain, ale ona już zaczęła przeglądać odczyty techniczne. Profesjonalna do bólu.

Jednak później, kiedy usiadł w kopule, patrząc na obcy układ gwiazdny

oddalony o dwa tysiące lat od jakiegokolwiek konstelacji, którą mogli znać jego przodkowie, przyszła do niego i usiadła z nim na nerwowy kwadrans, bez słowa. Żadne nie potrafiło tego wyrazić wprost, ale wystarczyło uniesienie brwi i nieznaczny ruch ręki, by wylądowali bez kombinezonów, spleceni na zimnej podłodze pod majestatycznie przesuającym się nad nimi wszechświatem.

2.2 INNE ZIEMSKIE DZIECI

Imię, na które reagowała, miało dwie formy – skróconą i rozwiniętą. Prosta forma składała się z serii gestów, precyzyjnych ruchów nogogłaszczek przekazujących ograniczoną liczbę informacji. Dłuższa forma była wzbogacona o serię tupotów i drgań, by dodać subtelny wibrujący podtekst do prostackiego wymachiwania odnóżami, który zmieniał się wraz z nastrojem i sytuacją, za każdym razem, kiedy zwracała się do dominującej bądź podporządkowanej samicy albo do samca.

Nanowirus nie próżnował i robił, co mógł, z tak nieoczekiwanym materiałem biologicznym. Była owocem bezpośredniej mutacji przekazywanej z pokolenia na pokolenie, niemym świadkiem niepowodzeń tych cech, które się nie rozwijały. Nazwijmy ją Portia.

Droga przez las to podróż na dużych wysokościach, z gałęzi na gałąź, gdzie każde drzewo jest światem w miniaturze – przechodzi się między nimi w miejscu, w którym krzyżują się konary: raz do góry nogami, raz odwrotnie śmiga po poziomych gałęziach lub przeskakuje luki między nimi, ciągnąc za sobą linę życia, ufna w oko i umysł, które obliczają odpowiednią odległość i kąt.

Portia przesuwa się do przodu, szacując zasięg – gałąź sterczy wprost w nicość, i poświęca długą minutę, ostrożnie kalkulując, czy uda się jej przeskoczyć na drugą, po czym stwierdza, że nie. Nad nią baldachim zieleni rozmywa się w płataninie gałązek, które nie udźwigną jej ciała.

Portia jest o wiele większa niż jej miniaturowi przodkowie, ma pół metra długości od kłów do kądziółków przednych. Prawdziwy koszmar dla każdego arachnofoba. Jej pancerz podtrzymuje też wewnętrzna chrząstka, niegdyś tylko wiążąca mięśnie. One też są mocniejsze i niektóre z nich rozwinęły się, by scalić tułów, i teraz czynnie pompują powietrze do płucotchawek, zamiast tylko biernie wchłaniać życiodajny tlen. Pozwala to poprawić metabolizm, ustabilizować temperaturę ciała i wieść aktywny żywot.

Pod nią znajduje się podłoże lasu i nie jest to miejsce, gdzie można spacerować ot, tak sobie. Żyją tu większe drapieżniki niż Portia i, choć jest

pewna swych zwiększonych zdolności poznawczych, wymagałoby to więcej czasu, a zmierzch już zapada.

Dokonuje przeglądu otoczenia i rozważa różne możliwości. Ma wyśmienity wzrok małej myśliweczki, z jakiej wyewoluowała. Wielkie, ciemne koła głównej pary oczu są znacznie większe niż ludzkie.

Odwraca się, by spojrzeć na swoich towarzyszy, ufna, że wyłupiaste oczy ostrzegą ją na czas przed niebezpieczeństwem. Bianca, druga samica, wciąż się chowa za pnem, obserwując Portię, wierząc w jej ocenę sytuacji. Bianca jest większa, lecz to Portia dowodzi, ponieważ rozmiary i siła przestały być najcenniejszymi cechami w ich gatunku już bardzo dawno temu.

Trzeci osobnik z jej grupy to samiec. Znajduje się niżej niż Bianca i rozpościera odnóża dla złapania równowagi, wisząc na drzewie do góry nogami. Pewnie sądzi, że trzyma straż, ale Portia podejrzewa, że prawdopodobnie się zamyślił. Niedobrze – potrzebuje go. Jest mniejszy od niej – może skakać dalej i opadać na bardziej wiotkie gałęzie.

Cała trójka już pięćdziesiąt dni przebywa poza swoim terytorium. Ich gatunek dręczy dojmująca ciekawość. Jest to ta sama cecha, która pozwalała ich mniejszym przodkom tworzyć mapę otoczenia, a przeistoczyła się w wyobraźnię i zdolność zadawania pytań, co znajduje się za lasem. Lud Portii to urodzeni odkrywcy.

Unosi nanogłaszczki białą stroną na zewnątrz i daje znaki: *Chodź tutaj!* Nie ma potrzeby nadawać mu imienia. Samice nie zwracają się do samców po imieniu. Zauważa ruch kącikami oczu i drga. Zawsze to robi, boi się własnego cienia – paskudne stworzenie. Portia ma wyrobione zdanie na jego temat i nieco lepsze na temat Bianki. Jej świat składa się z ponad setki osobników – głównie samic – z którymi utrzymuje ostrożnie poprawne stosunki. Nanowirus od dawna popychał jej gatunek w stronę współistnienia w większej społeczności. Jej mózg jest zdecydowanie mniejszy od ludzkiego, ale tak jak pierwotna Portia potrafiła wykorzystywać swój miniaturowy zwój neuronów, by dokonywać wielkich rzeczy, tak jej odległa krewna posiada niezwykłą zdolność rozwiązywania problemów – fizycznych, dotyczących odległości oraz teoretycznych i społecznych. Jej gatunek okazał się podatnym gruntem dla nanowirusa.

Samiec ostrożnie przechodzi pod Biancą i wskakuje na jej gałąź, a nic bezpieczeństwa ciągnie się za nim białym szlakiem.

Przed nami most, komunikuje Portia, kiedy jest na tyle blisko, że widzi

wszystkie niuanse przekazu. *Teraz szybko*. Posługuje się kodem wizualnym – błyskawicznymi ruchami nogogłaszczek. Mnogość kontekstów – głównie dotycząca jej niezadowolenia z jego postępowania – zostaje przekazana przez wibracje odnóży poruszających się w nerwowym pośpiechu.

Szybko daje znak, że zrozumiał, i posuwa się wzdłuż gałęzi tak daleko, jak się da, co rusz ponownie stawiając odnóża w tych samych bezpiecznych miejscach, gdy szykuje się do skoku. Portia daje upust swej irytacji, komunikując ją Bianca, ale towarzyszka obserwuje coś w dole. Na podobieństwo zjawy ruchomy kobierzec przesuwa się po ściółce leśnej – to pająk innego gatunku, któremu nanowirus podarował większy rozmiar i nic ponadto. Ogromny, wielkości sześciu Portii, zabiłby ją w jednej chwili, gdyby tylko potrafił ją schwytać.

Bianca jest głodna. Wskazuje na pełzacza i nieśmiało sugeruje przerwę w podróży.

Portia zastanawia się i dochodzi do wniosku, że ma to sens. Czeka, aż samiec przeskoczy na drugą stronę – sprawnie pomimo wszystkich trudności – i zostawia go wiszącego na linie, gdy zaczyna budować most. Daje znak Bianca i we dwie zaczynają się opuszczać.

Włochaty myśliwy na dole jest skupiony na własnym głodzie – las jest pełen zwierzyny różnych rozmiarów, a wiele gatunków oparło się działaniu nanowirusa. Niektórych gatunków kręgowców – myszy, ptaków, karłowatych jeleni, węży – wirusowi nie udało się zmienić. Eksperyment Kern był przeznaczony dla małp, więc dopilnowała, by wybrańcy zielonej planety nie mieli konkurencji. Kręgowce, z którymi małpy miały wejść w interakcję, zostały tak zaprogramowane, by odrzucić wirusa. Prawie się nie zmieniły.

Nikt nawet nie rozważał, żeby bezkręgowce, złożony ekosystem drobnych pełzaczy, były czymkolwiek innym niż rusztowaniem, po którym będą się wspinać małpy.

W wielu przypadkach – tak jak u potomka tarantuli, któremu przyglądała się Portia – wirus wpłynął na rozrost, choć oczekiwana zmiana na poziomie neuronów nigdy nie nastąpiła. Często nie było takiej możliwości z powodu niekorzystnych warunków zewnętrznych. Świadomość własnego ja oraz zdolność refleksji niekoniecznie są niezbędnymi cechami potrzebnymi do przetrwania. Portia stanowiła pod tym względem rzadki wyjątek – choć nie jedyny – gdy zwiększone możliwości myślowe od razu dawały błyskawiczną i nieodpartą przewagę.

Włochaty myśliwy zatrzymuje się, gdyż dochodzą do niego nawet najmniejsze wibracje. Podłoże lasu pokryte jest jego siecią, która tworzy pozornie chaotyczne, lecz niezwykle skuteczne narzędzie zawiadamiające go o ruchach zwierzyny. W starciu z tak prymitywnymi stworzeniami Portia i jej gatunek preferują metody łowieckie, które nie zmieniły się od tysiący lat.

Portia dostrzegła na ziemi nici biegnące przez pokłady suchych liści, niemal skryte przed wzrokiem bystrym tak jak jej. Sięga przednim odnóżem i szarpie nimi z rozmysłem, przemawiając elokwentnie językiem ruchu, tworząc widmową zwierzynę i za sprawą swych umiejętności dając stworzeniu iluzję wielkości, odległości i wagi. Lokuje się w prymitywnym umyśle naziemnego myśliwego tak pewnie, jakby dosłownie wkładała w niego swoje myśli.

Pająk przemieszcza się kilka kroków, badając nowe doznania, nie całkiem do nich przekonany. Portia zastanawia się, czy natrafił już wcześniej na sytuacje, w których zdołał ujść przedstawicielom jej gatunku. Wielki włochaty tułów unosi się, gotów wyrzucić chmurę kolczastych włosków zdolnych podrażnić płucotchawki Portii i poranić stawy.

Znów sięga do sieci, bardzo ostrożnie, szarpie i ciągnie, sugerując, że iluzoryczna ofiara odchodzi i może uciec. Jej ciało jest pokryte nieregularnymi cętkami, podobnie jak u jej przodków, i proste oczy naziemnego łowcy zwyczajnie nie mogą jej wyłowić z otoczenia.

Pająk gwałtownie rzuca się na sieć, niczym włochata kula sunąca błyskawicznie po ściółce, i wtedy Bianca spada mu na kark, wbijając kły w miejsce, gdzie odnóża łączą się z tułowiem, po czym odskakuje na kilka długości, by uniknąć kontrataku. Łowca rzuca się za nią, ale już chwiejnym krokiem, gwałtownie tracąc równowagę. Chwilę później drga i trzęsie się pod wpływem jadu, a dwie samice czekają, aż całkiem znieruchomieje – choć wciąż będzie żył – by zacząć ucztę. Szczególnie Bianca jest czujna, by zrobić kolejny uskok w razie potrzeby, a jej tułów porusza się miarowo, wtłaczając powietrze w płucotchawki.

Na górze samiec spogląda żałośnie w dół i kiedy Portia zerka w jego stronę, prosi o pozwolenie na przyłączenie się do posiłku. Każe mu najpierw dokończyć pracę.

Chwilę później, kiedy spada prawie na jej grzbiet, uskakuje instynktownie, ląduje niezgrabnie i upada na plecy, po czym podnosi się z gniewem. Bianca jest dosłownie o włos od zabicia samca, ale on tupie i sygnalizuje gorączkowo: *Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Plwacze!*

I ma rację – nadchodzi ich odwieczny wróg.

Plujące pająki, Scytodes, szły łeb w łeb z gatunkiem Portii w ich ewolucyjnym marszu od skromnych początków. Jeśli chodzi o rozmiary, znajdują się teraz pomiędzy Portią a naziemnym łowcą, ale wielkość nie jest kluczem do dominacji, nie była nawet w czasach starożytnych przed pojawieniem się wirusa. Widzi, jak podpełzają ostrożnie w ich kierunku, cała banda – sześć, nie – osiem osobników rozciągniętych w tyralierę po zejściu z nici. Te nowe płwacze polują w stadach i Portia wie, że choć nie osiągnęły takiego stadium rozwoju jak jej gatunek, to nie są tylko dzikimi, bezrozumnymi bestiami. Wyrosły na wielkich, powłóczących odnóżami zabójców stale przebywających na obrzeżach świata Portii. Brutalnych, czających się w cieniu prymitywów, których niezauważalna, choć pewna obecność sprawia, że młode nie oddalają się zbyt od gniazd.

Gdyby siły były wyrównane, Portia i Bianca rozważyłyby podjęcie walki – gdyż płwacze szły tropem tej samej zwierzyny. Jednak ośmioro osobników to za dużo, nawet przy użyciu dodatkowych sztuczek podróżników. Scytodes będą wyrzucać festony klejącej się, trującej sieci. Choć mają słaby wzrok, a Portia i jej towarzysze są na tyle mądrzy, by przewidzieć kierunek strzału i uchylić się na czas, sama ich liczba sprawiała, że szanse na wyjście z tej matni były mizerne.

Płwacze zaś doskonale wiedzą, jak niebezpieczni są Portia i jej kompani. Te dwa gatunki ścierały się od niepamiętnych czasów, za każdym razem lepiej poznając swego wroga. Teraz obydwie gatunki wiedzą, że ten drugi stanowi coś więcej niż tylko zwierzynę łowną.

Portia i Bianca odruchowo stosują zastraszenie – unoszą przednie odnóża, ukazując kły. Portia się zastanawia, czy jej nowa, tajna broń wyrównałaby szanse. W umyśle odgrywa prawdopodobne scenariusze z udziałem samca i bez niego. Przewaga wrogów zdaje się jednak za duża, by mogła być pewna zwycięstwa, a przecież jej zadanie jest teraz najważniejsze. W umyśle ma główny plan na podobieństwo dawnego planu pokonania odległości z A do B, tak jak to robili jej przodkowie, lecz jej celem nie jest tylko przemieszczanie się, ale uzyskanie przewagi w zupełnie niematerialnym aspekcie. A walka z płwaczami uniemożliwiłaby jej dokonanie tego, co sobie zaplanowała.

Daje znak pozostałej dwójce, by się wycofali, wykonując szerokie, powolne gesty, na tyle wyraźne, by słabe oczy płwaczy mogły je odczytać. Czy rozumieją? Nie wiedziała. Nie potrafiła nawet stwierdzić, czy mają jakiś

sposób komunikacji między sobą, który przypominałby jej wizualny i oparty na wibracjach język. Jednak zatrzymują się – nie plują i tylko z oddali wykonują ostrzegawcze gesty, gdy Portia i jej kompani się wycofują. Odnóże Bianki wybija cichy refren frustracji i złości. Ponieważ jest większa niż Portia, szuka okazji do fizycznej konfrontacji. Jest z nimi, bo się przydaje, ale też wie, że należy słuchać Portii.

Znów się wspinają, świadomi, że muszą zapolować, i mając nadzieję, że klan Scytodes zadowolony się tym, co dla nich zostawili. Czasami płwacze ruszają ich śladem, jeśli są w kupie, i wtedy nie ma wyjścia – trzeba walczyć albo zastawić pułapkę.

O zmroku upolowali pająka, który buduje kuliste sieci, a samiec dopadł nieświadomą niczego mysz, ale nie można powiedzieć, że była to ucztą. Aktywny tryb życia Portii i zmieniona anatomia wiązały się z tym, że potrzebowała znacznie więcej pożywienia niż jej przodkowie, stosownie do masy. Gdyby byli zmuszeni polegać wyłącznie na tym, co upolują, ich podróż trwałaby dłużej, niż powinna. Bianca jednak ma w swoim bagażu kilka żywych mszyc. Wyciąga niewielkie stworzenia, by je possać, odpędzając jednocześnie samca, na wypadek gdyby zapomniał, że mszyc się nie je – przynajmniej nie od razu. Po zmroku, kiedy Portia uplotła już prowizoryczne schronienie pod baldachimem liści wraz z linami ostrzegawczymi rozciągniętymi we wszystkich kierunkach, mszyce dają kleisty sok, który pająki mogą pić tak, jakby były to pożywne rozpuszczone wnętrza ofiary. Oswojone stworzenia pokornie wracają później do schowka Bianki, rozumiejąc, że są bezpieczne wyłącznie u niej, choć nie mają świadomości, że jak przyjdzie co do czego, staną się daniem głównym.

Portia wciąż jest głodna – sok mszyc jest pożywny, choć nie daje satysfakcji jak spożywanie prawdziwej zwierzyny. Trudno jej tak tu siedzieć, wiedząc, że mszyce, jak i samiec, znajdują się na wyciągnięcie odnóza, ale doskonale wie, że jej długoterminowy plan ucierpi, jeśli teraz ich zje. Jej ród zawsze był dobry w dalekosiężnych planach.

I w tym, że myślami wybiegał jeszcze dalej. Teraz przycupnęła u wejścia do prowizorycznego namiotu, a Bianca i samiec gnieźdzą się przy niej, bo tak jest cieplej, i przez szczeliny baldachimu patrzy na światła ożywiające nocne niebo. Jej lud zna je od dawna, tak samo jak ich ścieżki i wzory, i wie też, że one również się poruszają. Portia rozumie, że te podniebne szlaki są na tyle przewidywalne, iż można dzięki nim określać kierunki. Jedno światło jest inne

niż pozostałe. Nie porusza się wolno, rocznym szlakiem na nieboskłonie, ale mknie szybko, jak prawdziwy wędrowiec podobny do niej. Portia widzi ten niewielki błysk odbitego światła, który przemyka w górze, pojedynczy rozbłysk w przepastnej czerni, i czuje z nim więź, przydając temu orbitującemu światełku tyle arachnomorficznej osobowości, ile jest w stanie z siebie wykrzesać.

2.3 WARIACJE ENIGMY

Tym razem wyciągnęli z kostnicy całą podstawową załogę – Holsten pojawił się niemal na końcu, chwiejąc się na nogach i drżąc na całym ciele. Ale i tak wyglądał lepiej niż cała reszta. Jego drobna przyjemność – tych kilka chwil dla siebie ponad wiek temu – nieco go rozluźniła. Większość tych, na których teraz patrzył, ostatni raz otwierała oczy, kiedy *Gilgamesz* znajdował się w Układzie Słonecznym wraz z łupiną Ziemi.

Siedzieli stłoczeni w sali odpraw, wszyscy o ziemistych twarzach i ogolonych głowach. Niektórzy wyglądali na niedożywionych, a inni na spuchniętych. U kilkorga skórę pstrzyły blade cętki – był to jakiś efekt uboczny długiego snu, którego Holsten nie rozpoznawał.

Guyen wydawał się bardziej zaniepokojony niż inni i Holsten podejrzewał, że dowódca rozkazał obudzić go wcześniej, żeby mógł swoją rzeźkością i bystrością ożywić całą salę zombich.

Holsten sprawdził wszystkie działy: dowództwo, inżynierowie, nauka i to, co wyglądało na członków działu ochrony. Starał się spojrzeć Lain w oczy, ale ona ledwo zaszczyciła go spojrzeniem, co, jak uznał, było pokłosiem romansu sprzed stu lat.

– No tak. – Ostry głos Guyena zadźwięczał w uszach wszystkich, kiedy w końcu byli w komplecie. – Jesteśmy tutaj. Udało nam się tu dotrzeć z jedynie pięcioprocentowymi stratami i trzyprocentowym uszkodzeniem systemu, według szacunków naszych inżynierów. Uznaję to za wspaniałe potwierdzenie naszej siły i ducha w całej historii ludzkości. Powinniście być dumni z tego, co osiągnęliście. – Mówił nieprzyjaznym tonem, z całą pewnością nie takim, jakim składa się gratulacje. Ciągnął dalej tak samo: – Ale prawdziwa praca wciąż przed nami. Przybyliśmy do miejsca, do którego, jak wszyscy wiecie, miała dolatywać flota Starego Imperium. Obraliśmy kurs na ten system, ponieważ znajduje się najbliżej i posiada potencjalnie najlepsze warunki do życia, być może jest tu też dająca się odzyskać technologia. Wszyscy znacie plan – mamy mapy gwiazdne i w stosunkowo niewielkiej odległości znajdują się podobne lokalizacje – ledwie skok w porównaniu do odległości, którą

pokonaliśmy bez większych strat.

Tracąc tylko pięć procent składu osobowego, pomyślał Holsten, ale się nie odezwał. Z perspektywy reprezentanta klasycznej dziedziny wiedzy wiara Guyena w imperialną obecność w tym systemie była mocno spekulacyjna. Nawet sam termin „Stare Imperium” był irytująco niedokładny. Większość obecnych była wciąż jeszcze zbyt otumaniona, żeby się zastanawiać nad tym czy innym słowem. Znow zerknął na Lain, ale ona zdawała się skupiona całkowicie na dowódcy.

– Natomiast większość z was nie wie, że *Gilgamesz* po drodze przechwycił transmisję z tego systemu. Została ona zidentyfikowana jako automatyczny sygnał przywołujący. Czyli mamy działającą technologię. – Mówił pospiesznie, aby nikt nie zdołał mu przerwać: – *Gilgamesz* nakreślił trasę statku, tak że minie on tutejszą gwiazdę i zdąży wyhamować, aby znaleźć się w pobliżu źródła tego sygnału – tutejszej planety.

Teraz publiczność zaczęła naprawdę się budzić i w sali rozległ się potężniejący szum pytań, które Guyen uciszył ruchem ręki.

– No właśnie. Planetka jak na zawołanie, tak jak nam obiecano. Minęły tysiące lat, ale dla kosmosu to betka. Jest tutaj, bo *Ster Imperium* zostawił dla nas prezent. Może być dobrze, ale może być i źle. Będziemy musieli zachować ostrożność. Dla waszej wiedzy: sygnał nie pochodzi z planety, ale z satelity – może jest to tylko urządzenie pozycyjne, a może coś większego. Spróbujemy nawiązać łączność, ale nie ma gwarancji powodzenia.

– A co z planetą? – zapytał ktoś.

Guyen wskazał na *Renas Vitas*, szefową zespołu naukowców.

– Nie chcemy na razie udzielać wiążących odpowiedzi – zaczęła szczupła kobieta, kolejna, która pewnie została obudzona nieco wcześniej, choć być może z natury była opanowana. – Analiza dokonana przez *Gilgamesza* po drodze sugeruje, że jest to ciało niebieskie nieco tylko mniejsze od Ziemi, znajdujące się w podobnej odległości od gwiazdy, co Ziemia od Słońca, które posiada wszystkie właściwe komponenty – atmosferę, węgiel, wodę, minerały...

– Dlaczego więc nie ma ostatecznej diagnozy? Dlaczego nikt nie mówi otwarcie?

Holsten stwierdził, kto zacz – wielki Karst, szef działu ochrony. Miał zaognioną brodę i policzki, które straszliwie się łuszczyły. Holsten przypomniał sobie nagle, że mężczyzna nie zgodził się na zgolenie brody przed

wejściem do komory zawieszenia i teraz najwyraźniej płacił za to cenę.

Pamiętam, jak kłócił się o to z inżynierami, pomyślał. Zdaje się, że było to ledwie wczoraj, ale – jak zauważył ostatnim razem – w tym zawieszeniu najwyraźniej były jakieś usterki. Oczywiście Holsten nie mógł czuć brzemienia wieków, które minęły od opuszczenia Ziemi, ale coś w jego umyśle wyczuwało upływ czas – poczucie ziejącej, straszliwej pustki, czyśca wyobraźni. Nawet nie w głowie mu był powrót w sen.

– Ale niby dlaczego mamy od razu stawiać diagnozę? – odparła bystro Vitas. – To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Muszę zrobić przegląd naszych przyrzędów. Ta planeta zbyt przypomina Ziemię, żeby mogła być prawdziwa.

Przyglądając się nagle posmutniałym twarzom, Holsten uniósł dłoń.

– Ależ oczywiście, że jest taka jak Ziemia – wykrztusił. Spojrzenia, jakimi go obdarzyli, bynajmniej nie zachęcały go do kontynuowania – niektóre były niezyczliwe, ale w większości widać było irytację. *No i czego ten belfer znowu chce? Zwrócić na siebie uwagę?* – To projekt terraformiczny – wyjaśnił. – Jeśli przypomina Ziemię, to znaczy, że jest zakończony – albo prawie zakończony.

– Nie ma dowodów, że starożytni praktykowali terraformowanie – rzuciła Vitas wyraźnie lekceważącym tonem.

Pokazałbym wam archiwa, piszą o tym ze sto razy. Ale zamiast powiedzieć to głośno, Holsten tylko wzruszył ramionami, widząc w tym jedynie propagandowy występ na użytek załogi.

– Dowód jest tam – powiedział. – O, tam. Lecimy wprost na niego.

– Jasne! – Guyen klasnął w dłonie, być może poirytowany tym, że nie dane mu było wsłuchiwać się nieprzerwanie we własny głos przez ostatnie dwie minuty. – Każdy ma swoje zadania, więc się do nich szykujcie. Vitas, sprawdź wszystkie przyrządy, jak wspomniałaś. Chcę przeprowadzić pełny przegląd planety i satelity, kiedy się do nich zbliżymy. Lain, miej oko na systemy statku, gdy znajdziemy się w polu grawitacyjnym planety – od dłuższego czasu nasz *Gil* leciał tylko po prostej i nie wykonywał żadnych manewrów. Karst, zbierz swoich ludzi i zrób powtórkę szkolenia ze sprzętu, na wypadek gdybyśmy was potrzebowali. Mason, ty pracujesz z moimi ludźmi przy monitorowaniu sygnału. Jeśli cokolwiek zareaguje na naszą obecność, chcę o tym wiedzieć.

Minęło kilka godzin i Holsten był niemal ostatnią osobą w centrum komunikacji, gdyż jego uporczywa akademicka cierpliwość pozwoliła mu

przetrzymać większość ludzi Guyena. Sygnał, wciąż pełen zakłóceń, rozbrzmiewał mu w uszach, pulsując prostym przekazem, teraz o wiele wyraźniejszym, choć nie zdradzał niczego więcej. Regularnie wysyłał odpowiedzi, oczekując, że coś się pojawi, bawiąc się w skomplikowaną naukową grę, w jakiej formułował pytania w formalnym Imperialnym C w nadziei, że udatnie naśladowe rozmówcę, do którego sygnał miał dotrzeć.

Drgnął, czując ruch za plecami, ale to była tylko Lain, która opadła na fotel obok niego.

– Jak tam u inżynierów? – Wyjął słuchawkę z ucha.

– Nie pisałam się na zarządzanie ludźmi – mruknęła. – Musimy odmrozić jakieś pięćset trumien w ładowni, żeby dokonać napraw. A potem muszę powiedzieć pięciu setkom dopiero co przebudzonych kolonistów, że muszą wrócić do chłodni. Robi się paskudnie. To jak, doszedłeś do tego, co to w ogóle jest? Kto woła o pomoc?

Holsten pokręcił głową.

– To nie tak. No cóż, może i tak, ale jakby inaczej. Ten sygnał to wezwanie alarmowe. Jest to wezwanie o pomoc, ale bez żadnych szczegółów. Standardowy sygnał Starego Imperium, używany tylko w tym celu, miał być jasny, nagły i nie pozostawiać żadnych wątpliwości – przy założeniu, że odbiorcą jest członek danej kultury. Wiem o tym tylko dlatego, że nasi wcześniejsi eksploratorzy kosmosu potrafili reaktywować to, co znaleźli na orbicie Ziemi, i domyślić się funkcji na podstawie zawartości.

– No to nadaj sygnał „cześć”. Niech wie, że odebraliśmy.

Wciągnął głęboko powietrze przez zęby jak typowy poirytowany wykładowca, zwolennik precyzyjnych określeń.

– To nie jest... – zaczął, ale na widok jej zmarszczonego czoła postanowił wytłumaczyć to inaczej. – To system automatyczny. Czeka na odpowiedź, którą rozpozna. Nie przypomina to w niczym naszych placówek nasłuchowych poza Układem Słonecznym, które szukają jakiegokolwiek sygnału. A nawet do nich nigdy nie miałem przekonania, do idei, że jesteśmy w stanie rozpoznać każdy obcy przekaz. To jest zbyt zakorzenione w przeświadczeniu, że obcy będą w jakimkolwiek stopniu podobni do nas. To jest... rozumiesz koncepcję specyfiki kulturowej?

– Nie rób mi tu wykładów, staruszku.

– To jest... możesz już z tym skończyć? Jestem, no, ile, o siedem lat starszy od ciebie? Osiem?

– I tak jesteś najstarszym facetem we wszechświecie.

Słuchając jej, miał pełną świadomość, że nie ma pojęcia, co myśleć o nich dwojgu. *A może wtedy byłem jedynym facetem we wszechświecie? No, może oprócz Guyena. Najwyraźniej teraz nie ma to znaczenia.*

– Jasne. Ile czasu byłaś na nogach, zanim mnie obudziłaś? – próbował ją sprowokować. – Wystarczy posłędzieć parę godzin i szybko się nadrabia, co?

Nie miała gotowej odpowiedzi i kiedy na nią spojrział, zobaczył smutną i zamyśloną twarz. *Nie tak się kieruje cywilizacją, pomyślał. Ależ oczywiście, przecież już nią nie jesteśmy, od dawna. Jesteśmy cywilizacją w fazie przejściowej, która czeka, aż coś się wydarzy. Może tutaj. Jesteśmy ostatnim kęsem starej Ziemi.*

Milczenie ciągnęło się w nieskończoność i zrozumiał, że nie ma sposobu, by je przerwać, aż Lain otrząsnęła się gwałtownie i powiedziała:

– Specyfika kulturowa. Porozmawiajmy o tym.

Był jej niesłychanie wdzięczny za to koło ratunkowe.

– Wiem, że to sygnał alarmowy, tylko dlatego że mieliśmy wcześniej kontakt z technologią Imperium i w odpowiednim kontekście możemy wysnuwać różne wnioski – niektóre z nich mogą być błędne. Nie jest to żaden obcy gatunek, sygnał jest nasz, pochodzi od naszych przodków. A jednocześnie siłą rzeczy oni nie rozpoznają naszych sygnałów. Panuje mit, że zaawansowane kultury będą tak kosmopolityczne, że bez wysiłku zniżą się do poziomu małuczkich, prawda? Ale Imperium nigdy nie chciało, by jego technologia była kompatybilna z technologią prymitywów – czyli naszą. Bo niby po co? Jak wszyscy inni, chcieli rozmawiać tylko ze sobą. Więc przesyłam to – „Cześć, jesteśmy”, ale nie wiem, jakich procedur i jakiego kodowania system się spodziewał po ekipie ratowniczej, bo było to wiele tysięcy lat temu. Mogą nas nawet nie słyszeć. Możemy być dla nich jedynie pewną formą zakłócenia statycznego.

Wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Dolecimy tam, wyślemy Karsta z palnikiem i otworzymy tę puszkę.

Tylko na nią patrzył.

– Zapomniałaś, ilu ludzi zginęło we wczesnych latach podboju kosmosu, próbując zdobyć technologię Imperium. Nawet gdyby posłać w nich całą wiązkę starego, dobrego impulsu elektromagnetycznego, to i tak będą w stanie nas wykończyć na wiele sposobów.

Kolejne wzruszenie ramion wskazywało, że ma do czynienia ze zmęczoną kobietą na skraju wytrzymałości nerwowej.

– Może zapomniałeś, jak bardzo nie lubię Karsta.

Zapomniałem? Czy w ogóle o tym wiedziałem? Opanowało go przemożne przeświadczenie, że może i tak, ale tego rodzaju wiedza zupełnie wypadła mu z głowy podczas długiego, zimnego okresu zawieszenia. I był to naprawdę cały wiek. W historii rodzaju ludzkiego były okresy, które nie trwały aż tak długo. Spostrzegł, że trzyma się kurczowo konsoli, jakby w każdej chwili iluzja grawitacji będąca skutkiem hamowania *Gilgamesza* miała zniknąć, a on po prostu by odleciał, tracąc kontakt z podłożem.

Tutaj są wszyscy ludzie, jacy w ogóle istnieją, z tą myślą pojawił się obraz pomieszczenia wypełnionego niemal obcymi ludźmi, których nie miał okazji poznać, zanim zamknęli go w tej jego trumnie. Tu jest życie i społeczeństwo, i współobywatele, teraz i na zawsze.

Tym razem to Lain uznała, że cisza jest dość niezręczna, ale była kobietą praktyczną. Po prostu wstała i odeszła, wyrrywając się gwałtownie, kiedy próbował położyć jej rękę na ramieniu.

– Czekaj. – Zabrzmiało to jak błaganie, a nie tego chciał. – Jesteś tutaj i potrzebuję twojej pomocy.

– Niby w czym?

– Pomóż mi z tym sygnałem, z sygnałem przywołania. Zawsze jest tu dużo zakłóceń, ale myślę... myślę, że możliwe jest, że jakiś drugi sygnał ściera się z tym na bliskiej częstotliwości. Popatrz. – Wrzucił kilka wykresów na jej ekran. – Możesz mi pomóc to oczyścić, pozbyć się tych zakłóceń albo przynajmniej... coś z tym zrobić? Kończą mi się możliwości.

Widać było, że poczuła wyraźną ulgę, mogąc zająć się czymś konkretnym. Wróciła na miejsce. Przez godzinę pracowali wspólnie bez słowa, jedno obok drugiego, ona z nowym zadaniem, a on – wysyłając coraz to bardziej desperackie zapytania w stronę satelity, na które nie dostał ani jednej odpowiedzi. W końcu pomyślał, że równie dobrze może wysłać w kosmos jakiś bełkot, bo i tak niczego to nie zmieni.

I wtedy...

– Mason? – Lain odezwała się do niego i w jej głosie słychać było jakąś nową nutę.

– Hm?

– Masz rację. Jest tu drugi sygnał. – Chwila milczenia. – Ale nie dociera do

nas z satelity.

Czekał, obserwując, jak jej palce poruszają się na panelach, gdy sprawdzała wszystko raz za razem.

– Sygnał pochodzi z planety.

– Kurde! Poważnie? – I od razu zakrył usta dłonią. – Przepraszam, wybacz. Nie jest to język, który pasuje do tak wzniosłej chwili, ale...

– Nie, nie, to z całą pewnością jest odpowiednia chwila na „kurde”.

– Czy to sygnał alarmowy? Powtarza się?

– To nie przypomina tego sygnału alarmowego. Jest o wiele bardziej złożony. To chyba prawdziwa mowa. Nie powtarza się...

Przez chwilę Holsten czuł, jak rośnie w niej nadzieja, jak powietrze gęstnieje pod wpływem nieznanego potencjału przyszłości, ale wszystko to uleciało w niebyt, gdy zasyczała:

– Gównu.

– Co takiego?

– Sygnał się jednak powtarza. Jest dłuższy i bardziej skomplikowany niż tamto wołanie o pomoc, ale to powtarzalna sekwencja. – Znów zaczęła gestykulować. – I to jest... jesteśmy... – Wzruszyła kościstymi ramionami. – Myślę, że to... odbicie.

– Że jak?

– Myślę, że ten drugi sygnał odbija się od planety. Ja... Cóż, najbardziej prawdopodobna hipoteza: satelita wysyła sygnał na planetę, a my łapiemy jego odbicie. Kurwa, przykro mi. Naprawdę myślałam...

– Lain, jesteś pewna?

Uniosła brew, widząc, że nie zamierza dołączyć do niej w zwątpieniu.

– No co?

– Satelita wysyła przekaz na planetę – zaczął. – To nie jest odbicie sygnału alarmowego – to coś dłuższego. Inny przekaz jest wysyłany na planetę, a inny do reszty wszechświata.

– Ale jest zapętłony tak samo jak... – Przerwała. – Myślisz, że tam na dole coś jest?

– Któż to może wiedzieć?

– Ale przecież nie nadają.

– Kto wie? To świat terraformowany, jak mówi Vitas. Został stworzony, by dało się na nim żyć. I nawet jeśli satelita nadaje dzisiaj jedynie sygnał o pomoc, jeśli zaludnili ten świat... Może to naprawdę tylko dzikusy. Może

nie mają technologii, żeby odpowiedzieć ani transmitować, ale i tak mogą tam być... w świecie specjalnie stworzonym, dostosowanym do ludzkich potrzeb.

Lain podniosła się gwałtownie z fotela.

– Idę po Guyena.

Przez chwilę spoglądał na nią, zastanawiając się: *Naprawdę to była twoja pierwsza myśl?* Ale pokiwał głową z rezygnacją i już jej nie było. Zostawiła go z tym sygnałem, z nowo odkrytą wiadomością między satelitą i planetą. Musiał dojść, co to oznacza.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu zajęło mu to bardzo mało czasu.

– Co to ma być? – zapytał Guyen stanowczym głosem.

Więści ściągnęły tu nie tylko dowódcę, ale też większość podstawowej załogi.

– To seria zadań matematycznych – wyjaśnił wszystkim Holsten. – Trwało to tak długo dlatego, że spodziewałem się czegoś bardziej... złożonego, jakiejś informacji, takiej jak przywołanie. Ale to czysta matma.

– I do tego dziwaczna – skomentowała Lain, podnosząc wzrok znad transkrypcji. – Ciągi stają się dość skomplikowane, ale wywodzą się, krok po kroku, z podstawowych zasad pierwszej sekwencji. – Zmarszczyła brwi. – To jest jak... Mason, wspominałeś wcześniej o stacjach nasłuchowych spoza Układu Słonecznego?

– Tak, to jest test – zgodził się Holsten. – Test na inteligencję.

– Ale mówiłeś, że sygnał wędruje na planetę – zauważył Karst.

– Tak i tu pojawiają się nowe pytania. – Holsten wzruszył ramionami. – No bo to jest bardzo stara technologia. To najstarsza technologia, jaką ktokolwiek kiedykolwiek odkrył. Tak więc to, co widzimy, może być wynikiem awarii, błędu. Ale, tak, daje do myślenia.

– Albo też niekoniecznie – wtrąciła się Lain. Wszyscy popatrzyli na nią, a ona ciągnęła szyderczo: – Ludzie, dajcie spokój, czy tylko ja o tym pomyślałam? Mason, powiedz, od kiedy się tym zajmujesz. Okrążyliśmy gwiazdę, zbliżając się do planety, a ty wciąż teoretyzujesz. Teraz mówicie, że to jakiś sprawdzian matematyczny wysyłany na planetę?

– Tak, ale...

– No to wyślij im rozwiązania – zaproponowała.

Holsten gapił się na nią przez dłuższą chwilę, po czym zerknął z ukosa na Guyena.

- Nie wiemy, co...
- Zrób to – nakazał mu Guyen.

Bardzo ostrożnie Holsten przywołał zebrane odpowiedzi, pierwsze zadania rozwiązał sam bardzo szybko, przy późniejszych skorzystał z pomocy urzędzeń. Wiele godzin wysyłał prośby o kontakt do odległego satelity. Wysłanie ciągu cyfr nie stanowiło najmniejszej trudności.

Czekali, wszyscy z podstawowej załogi. Przez siedem minut i kilkanaście sekund w związku z dużą odległością wszyscy czekali z niecierpliwością, aż wiadomość dotrze. Ktoś się wiercił. Karst strzelał kłykciami. Ktoś zakaszłał.

Nieco ponad czternaście minut od wysłania sygnał alarmowy się urwał.

2.4 KIEPSKIE RELACJE

Lud Portii to naturalni odkrywcy. Jako że są drapieżcami o znacznie bardziej wymagającym metabolizmie niż ich przodkowie, gdy zbyt wielu z nich zgromadzi się w jednym miejscu, wkrótce ogołaca terytorium. Tradycyjnie poszczególne rodziny często się odłączają – najslabsze samice z najmniejszą liczbą sojuszników wędrują dalej, by założyć nowe gniazda. Takie diaspory tworzą się często, a choć samice te składają o wiele mniej jaj niż ich przodkinie i choć ich standardy opieki nad młodymi są niższe niż u ludzi, tak że śmiertelność nowo narodzonych jest większa, populacja gatunku znajduje się w fazie wielkiej ekspansji. Rozprzestrzeniają się po świecie – każda odłączona rodzina oddzielnie.

Wyprawa Portii jest czymś zgoła odmiennym. Nie szuka miejsca do gniazdowania, posiada dom, a jej plan zakłada powrót do niego. Cały czas myśli i mówi o Wielkim Gnieździe nieopodal Zachodniego Oceanu, gdzie mieszka kilka tysięcy jej pobratymców – w większości bliższych bądź dalszych krewnych. Oswojenie mszyc i ich zagospodarowanie przyczyniło się do rozrostu Wielkiego Gniazda do niespodziewanych rozmiarów bez braków, które powodowałyby migracje czy opuszczenie siedziby na stałe.

Przez kilkanaście pokoleń struktura społeczna Wielkiego Gniazda stała się bardziej złożona. Nawiązano kontakty z innymi gniazdami, z których każde posiadało własne sposoby na wyżywienie skromnej liczby mieszkańców. Nawiązano coś na kształt handlu, czasem pożywieniem, ale częściej wiedzą. Lud Portii jest niesłychanie ciekawy świata i wszystkich jego zakątków.

Dlatego właśnie Portia znajduje się teraz w podróży, idąc tropem opowieści, pogłosek i relacji z trzeciej ręki. Została wysłana.

Cała trójka wchodzi na już zajęte terytorium. Znaki wyraźnie na to wskazują – nie tylko regularnie konserwowane mosty czy liny pośród drzew, ale wizualne i zapachowe wzorce i ślady mówiące, że są to czyjeś tereny łowieckie.

Tego właśnie Portia szukała.

Wchodząc najwyżej jak się da, podróżnicy widzą, że na północy obraz

uprzednio niekończącej się kniei zmienia się radykalnie. Wielki baldachim liści przerzedza się i niknie, tworząc pojedyncze wyspy zieloności oraz ukazując niepokojące połączenie otwartej przestrzeni. Dalej wciąż rosną drzewa, ale należą do innego gatunku i są równo oddalone od siebie, co aż bije po oczach. Właśnie to mieli sprawdzić. Mogli po prostu ominąć ten skrawek ziemi, na który natrafili. Plan Portii jednak – przemieszczanie się po trasie, która przywiodła ich do tego miejsca – zakładał przede wszystkim zbieranie informacji. Dla jej przodków byłby to widok szokujący. U niej prowokuje kolejne pytania o miejscowych.

Ruszają ostrożnie, lecz jawnie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że miejscowi ich przegną, jednak Portia umie wczuć się w ich tok rozumowania, pojąć, jak mogą postrzegać intruzów. Jest w stanie rozważyć wystarczająco dużo możliwości, by wiedzieć, iż agresywne bądź też skryte wejście zwiększy prawdopodobieństwo wrogiego przyjęcia.

I rzeczywiście, miejscowi są na tyle bystrzy, że bardzo szybko dostrzegają przybyszów, i na tyle ciekawi, że się pokazują, już z oddali sygnalizując Portii i jej kompanom, by się zbliżyli. Jest ich siódemka – pięć samic i dwa samce – i mają zgrabne sieci rozpięte między drzewami otoczone potykaczami, które mają ich ostrzec przed zbliżającymi się zbyt śmiałymi gośćmi. Widać też przynajmniej dwa tuziny pajęczego potomstwa, wyklutego w zbiorczym gnieździe. Od razu są w stanie pełzać i jeść żywą zwierzynę. Potrafią też wykonywać rozmaite zadania oraz rozumieją proste pojęcia bez konieczności zdobywania tej wiedzy od dorosłych. Prawdopodobnie trójka–czwórka z nich osiągnie wiek dojrzały. Lud Portii pozbawiony jest bezradnego stanu niemowlęcego ssaków oraz towarzyszących mu rodzicielskich więzów. Te młode, które przeżyją, będą najmocniejsze, najbardziej inteligentne i najlepiej współpracujące z pobratymcami.

Nogogłaszczkowy język znaków pozwala na komunikację z bardzo dużej odległości przy sprzyjających warunkach pogodowych, ale nie nadaje się do bardziej wysublimowanych dyskusji. Bardziej subtelny język wibracyjny nie pokonuje dużych odległości ani gałęzi. Aby kontynuować szczerą i swobodną wymianę poglądów, jedna z samic plecie sieć między kilkoma drzewami, na tyle dużą, że można oprzeć wiele odnóży na licznych łączeniach i zatopić się w rozmowie. Jedna z miejscowych wspina się na sieć i Portia zaproszona przez nią dołącza.

Niesiemy wam pozdrowienia z Wielkiego Gniazda nad Zachodnim

Oceanem, zaczyna Portia, co ma oznaczać – jesteśmy tutaj, ale mamy licznych przyjaciół. *Przebyliśmy długą drogę i widzieliśmy wiele rzeczy.* Gdyż informacja jest często dobrym towarem sama w sobie.

Miejscowi są wciąż podejrzliwi. W ich imieniu przemawia największa samica, która drga na sieci i przestępuje z odnóza na odnóże, mówiąc: *Jaki jest cel waszej wizyty? To nie jest miejsce dla was.*

Nie przyszliśmy polować, oznajmia Portia. Nie przybyliśmy, by się osiedlać. Wkrótce wrócimy do Wielkiego Gniazda. Doszły nas wieści... – ta myśl jest wyrażona bardzo wyraźnie w umysłach zebranych przez wibracje napiętej nici. Mają naturalne umiejętności myślenia w kategoriach informacji przekazywanej z pewnej odległości. *Interesuje nas obszar za waszą krainą.*

Wśród miejscowych zapanowało poruszenie. *Nie można tam podróżować,* odpowiada ich przywódczyni.

Skoro tak, to właśnie przybyliśmy to odkryć. Powiecie nam, co wiecie na ten temat?

Kolejna fala zaburzeń i Portia ma świadomość, że w jej mentalnej mapie tego, co się dzieje, musi być gdzieś luka, bo rozmówcy reagują na jej słowa w zupełnie nieprzewidziany sposób.

Ich przywódcy chcą jednak uchodzić za odważnych przed przybyszami. *Dlaczego mielibyśmy to zrobić?*

Bo w zamian za to powiemy wam różne rzeczy. Mamy też Zrozumienie na wymianę. U pajaków opowiadanie o czymś oraz Zrozumienie to dwie zupełnie różne waluty.

Miejscowi schodzą z sieci na sygnał przywódczyni i zbijają się w gromadę, cały czas wbijając wzrok w nowo przybyłych. Rozlegają się ściszone rozmowy, bardzo delikatnie akcentowane przytupywaniem, aby nie doszły do gości. Portia też się wycofuje, a jej towarzysze przyłączają się do niej.

Bianca nie ma żadnych konkretnych pomysłów oprócz tego, że spodziewa się pojedynku z miejscową przywódczynią, która jest od niej znacznie większa. Jednak to samiec zaskakuje Portię.

Boją się, podejrzewa. Cokolwiek tam się znajduje, boją się, że możemy to coś pobudzić do ataku na nich.

Samiec w naturalny sposób myśli o strachu, stwierdza Portia. To, że się z nim zgadza, sprawia, że odkrycie prawdy o miejscu, do którego zmierzają, staje się jeszcze ważniejsze.

W końcu miejscowi wracają na sieć i wznowiają rozmowy. *Pokażcie nam*

wasze Zrozumienie, przywódczyni rzuca wyzwanie.

Portia daje znak Biance, która wyjmuje jedną ze swych posłusznych mszyc ze schowka na tułowi i pokazuje ją bojaźliwie zaskoczonym miejscowym. Stworzenie puszcza swój słodki sok i Portia zawija je w miękki worek, po czym kładzie pośrodku sieci, w pobliżu miejscowych.

Kiedy kosztują nektaru i pojmują mistrzostwo Portii w postępowaniu ze zwierzętami, są bardziej skłonni zawrzeć układ. Wartość niezależnego źródła pokarmu od razu do nich przemawia, szczególnie w obecności tajemniczych sąsiadów z północy, którzy mogą wkrótce zagrozić ich terenom łowieckim.

Za co chcecie to przehandlować? – pyta przywódczyni, a w jej ruchach wyraźnie widać większą skwapliwość.

Mamy dwa takie zwierzęta, za które przekazecie nam wszystkie informacje dotyczące tego, co leży za waszymi ziemiami, proponuje Portia, wiedząc, że nie jest to towar, który miejscowi oddadzą zbyt ochoczo. *Ponadto mamy też jaja, ale hodowla tych zwierząt wymaga umiejętności, bo inaczej zginą za młodu i zostanieie z niczym.*

Teraz następuje gorączkowa wymiana zdań między przywódczynią i pozostałymi. Portia przechwytuje dzięki sieci fragmenty tych rozmów. Są zbyt poruszeni, by zachować ostrożność. *Mówicie, że byście się wymienili?* – pyta duża samica.

Tak, chcemy zahandlować Zrozumieniem, ale poprosimy o więcej w zamian. Portia nie mówi o nauce hodowli, lecz o czymś ważniejszym – o jednym z sekretów pasma sukcesów jej gatunku.

Sam nanowirus również podlega zmianom w swojej transkrypcji. Został zaprojektowany tak, aby w sposób kreatywny osiągnąć zaprogramowany cel – doprowadzić nosiciela do zauważalnego poziomu zaawansowania ustanowionego przez jego twórców i jeśli spełnią się warunki jego zwycięstwa – zaprzestać ingerencji. Jego twórcy zastosowali tego typu zabezpieczenia, aby zapobiec przemianie swych podopiecznych w małych bogów o nadczłowieczych cechach.

Jednak wirus był przeznaczony dla naczelných, dlatego też końcowa faza, w której zakładano osiągnięcie takiej formy rozwoju, w przypadku *Portia labiata* miała nigdy nie nastąpić. Nanowirus natomiast przechodził cykl mutacji zgodnych ze swym zaprogramowanym zadaniem, by osiągnąć ów nierealny cel, który uświęcał wszelkie wyobrażalne środki.

Trafniejsze warianty dawały lepszych nosicieli, którzy tym samym przenosili najskuteczniejszą mutację. W mikroskali nanowirusa Portia i każdy z zarażonych gatunków na planecie były jedynie wektorami rozprzestrzeniania się własnych, rozwijających się genów wirusa.

Dawno temu w historii ewolucji Portii rozwój społeczny jej gatunku znacznie przyspieszył za sprawą serii mutacji w głównym wirusie. Zaczął on przekazywać nabyte cechy DNA plemników i komórek jajowych, co zaowocowało powstaniem memów – dziedzicznych zachowań. Ekonomiczne, sztucznie wyewoluowane mózgi gatunku Portii lepiej posługują się logiką strukturalną niż ludzkie umysły będące „dziełem przypadku”. Mentalne ścieżki można przekazywać, redukować do informacji genetycznej, rozpakowywać u potomstwa i zapisywać jako rozumienie instynktowne – czasem określone umiejętności i pamięć mięśniową, ale częściej jako całe transze wiedzy wyrwane z kontekstu, które nowo narodzony powoli skonkretyzuje na początku życia.

Z początku był to wyrywkowy proces, niedoskonały, czasami śmiertelny, lecz z każdym pokoleniem coraz bardziej niezawodny w miarę rozwoju bardziej efektywnych szczepów wirusa. Portia dowiedziała się bardzo wiele o swym życiu, z niektórymi wiadomościami albo się rodziła, albo przyswajała je w miarę rozwoju. Tak jak wszystkie nowo wyklute pająki potrafią polować, podkraść się, skakać i snuć sieć, tak z pierwszymi wylinkami Portii ujawniło się wrodzone zrozumienie języka i dostęp do fragmentów życia jej przodków.

Teraz to zamierzchła historia, umiejętność, którą gatunek Portii posiadał wcześniej, przed początkiem owych opowieści. Jednak ostatnio nauczyli się wykorzystywać zwiększone możliwości wirusa, tak jak sam wirus wykorzystywał ich do własnych celów.

On posiada Zrozumienie, potwierdza Portia i machnięciem nogogłaszczki wskazuje na samca. Ale wymienimy jedno na drugie. Wy posiadacie Zrozumienie życia tutaj oraz środków ostrożności. Tego właśnie szukamy.

W jednej chwili uświadamia sobie, że przeszarżowała, bo wielka samica zamiera w bezruchu na sieci – jest to bezruch łowczyni sygnalizujący jawną agresję.

A więc wasze Wielkie Gniazdo jednak chce przyjść na nasze ziemie. Nie przybyliście tu na polowanie, a mimo to jutro wasi krewni zamierzają tu polować. Tak wyhandlowane Zrozumienie nie przyniesie zysków samej Portii,

ale kolejnym pokoleniom, których genomy nie zostały jeszcze zapisane.

Szukamy Zrozumienia we wszystkich miejscach, protestuje Portia, ale w języku ruchów i wibracji trudno jest coś ukryć. Wystarczająco dużo sygnałów mowy ciała potwierdziło podejrzenia wielkiej samicy.

Miejscowa przywódczyni cofa się gwałtownie, wysoko unosząc przednie odnóża i ukazując kły. Jest to brutalny język niezmienny od milionów lat – *Popatrz, jaka jestem silna*. Ugina tylne odnóża, gotując się do skoku.

Zastanów się. Wycofaj, ostrzega Portia. Sama jest spięta, ale nie wykazuje oznak podporządkowania, nie cofa się ani nie wykonuje żadnych niepotrzebnych gestów.

Odejdź albo walcz, mówi rozzłoszczona samica.

Portia zauważa, że jej pobratymcy wcale nie stoją za nią murem, tylko sygnalizują zaniepokojenie albo wysyłają ostrzegawcze sygnały po sieci.

Portia schodzi na bok i czuje za sobą jakiś ruch – to naciera Bianca, a jej kroki stanowią swoisty hymn bitewny. Miejscowa przywódczyni jest wyraźnie zaskoczona tym, że ta, co przemawia w imieniu przybyszów, nie jest tą, która będzie walczyć, cofa się więc ostrożnie. Co więcej, Bianca jest opancerzona.

Istnieje limit porcji Zrozumienia, które jeden osobnik jest w stanie odziedziczyć dzięki wirusowi. Nowe informacje zastępują stare, choć być może z pokolenia na pokolenie zwiększa się nieco umiejętność przechowywania takiej wrodzonej wiedzy. Ta banda zacofanych miejscowych może mieć w zanadrzu kilka sztuczek starannie przechowywanych przez lata. Ich osobniki potrafią się uczyć i nauczać, ale podstawy ich wiedzy są mocno ograniczone.

Większa społeczność, taka jak Wielkie Gniazdo, posiada mnóstwo rodzajów Zrozumienia, z których może czerpać, różne rody przekazują swe tajemnice, wymieniając się z innymi. Odkrycia, sztuczki i talenty mogą być łączone i można z nimi eksperymentować. Wielkie Gniazdo jest czymś więcej niż tylko sumą swych części. Bianca nie jest biegła w rzemiośle – ani się go nie uczy, ani nie dziedziczy Zrozumienia – ale ma na sobie owoce pracy innych – zakrzywione drewniane płyty przyklejone do nogogłaszczek, pokryte agresywnymi, krzykliwymi kolorami. Wyciąga się wysoko, starając się zmierzyć odnóża z wielką samicą, ale po chwili przypada do ziemi, unosząc tarcze.

Walczą tak, jak to robi ich rodzaj – demonstrują siłę, grożą, obnażają kły. Tańczą po sieci, a każdy krok rozbrzmiewa niczym oścień ciśnięty

w przeciwnika. Samica miejscowych jest większa i dobrze wie, jak to się odbywa. Jej większe rozmiary skłonią mniejszą przeciwniczkę do wycofania się, inaczej zginie.

Pobratymcy Portii posiadają wspólną cechę z człowiekiem używającym narzędzi – są bardzo sprawni w krzywdzeniu siebie nawzajem. Od samego początku zabijali inne pająki, a ich jad unieruchamia wroga własnego gatunku równie łatwo jak plwacza. Jeśli sprawy zajdą tak daleko, zwykle zwycięzca idzie za głosem instynktu i ucztuje. Z tego powodu wykształcili kulturę unikającą bezpośredniej przemocy, bo każde starcie niesie ryzyko. Niebezpieczeństwo, jakie sami dla siebie stanowią, miało olbrzymi wpływ na cywilizację, podobnie jak poczucie braterstwa w dzieleniu się dziedzictwem.

Bianca się nie cofa, choć jej przeciwniczka góruje nad nią pod każdym względem. Pokazy siły stają się coraz bardziej agresywne, gdy wielka samica skacze i rzuca się po sieci, a Bianca usuwa się na boki, podnosząc tarcze na wypadek nieuchronnego ataku.

Portia natomiast plecie sieć i przygotowuje się do wykorzystania kolejnego wynalazku z Wielkiego Gniazda – na tyle nowego, że musiała się go nauczyć, choć może będzie w stanie podarować go swemu potomstwu.

Wielka samica skacze w chwili, w której Portia jest już gotowa. Bianca przyjmuje cios kłów na tarcze, a siła odrzutu sprawia, że pada na wznak. Wściekła samica wycofuje się, szykując do nowego ataku.

Cięnięty kamień przewraca ją i zrzuca z sieci, spada podtrzymywana jedynie swą liną bezpieczeństwa. Drga i wije się w konwulsjach. Jej tułów jest rozdarty z jednej strony, w miejscu, w które trafił pocisk, a utrata życiodajnych soków już powoduje, że jej odnóża odruchowo kurczą się do środka. Portia przeładowała i proca z jedwabistej sieci tworzy V między rozstawionymi przednimi i potężnymi tylnymi odnóżami.

Miejscowi wbijają w nią wzrok. Kilku rusza w stronę rannej przywódczyni, ale Bianca już spada na nią z góry i wbija kły w pogruchotany pancerz ofiary.

Portia ocenia zachowanie miejscowych. Całkowicie zastraszeni przyjęli postawę podporządkowaną. Jedna z wielu samic – nie największa, ale być może najodważniejsza – wchodzi ulegle na sieć. *Czego chcecie?* – odtąncowuje pytanie.

Dobrze. Pohandlujmy, oznajmia Portia, kiedy Bianca do niej dołącza. Powiedzcie nam o swoich sąsiadach.

Kiedy dobijają targu, każda ze stron ocenia swoje możliwości negocjacji wobec tego, co posiada druga strona. Samiec Portii śmiga na sieć i odsacza swoje Zrozumienie gospodarki mszycami do gęsto splecionego worka z nasieniem. Jeden z miejscowych samców robi podobnie, czyli dzieli się wiedzą kolonii na temat agresywnych sąsiadów. Aktywne wykorzystanie transkrypcji wirusowej nie jest spowodowane przez samego wirusa, lecz należy do kulturowej tradycji ludu Portii – informacja jest dobrą walutą, której wymiana ubocznie wspomaga wirus w rozprzestrzenianiu jego kodu genetycznego. Jednocześnie następne pokolenia pajaków będą już spowinowacane, staną się częścią wielkiej sieci takich wzajemnych powiązań, które można prześledzić ze społeczności na społeczność na przestrzeni całej planety.

Miejscowi utrzymują, że to, co się dzieje na północy, jest zatrważające i w najbliższej przyszłości będzie stanowić potencjalne zagrożenie również dla Wielkiego Gniazda Portii. Ale jednocześnie jest wielce intrygujące i Portia postanawia, że należy się dokładniej przyjrzeć całej tej sytuacji.

2.5 WSZYSTKIE TE ŚWIATY SĄ WASZE

Odpowiedź, która nadeszła z satelity, nie była celowo zakodowana, ale Holsten i tak nieźle się napocił, starając się przekształcić sygnał radiowy w bardziej zrozumiały komunikat. W końcu wiadomość ujawniła swoje tajemnice dzięki intensywnym działaniom Lain, *Gilgamesza* i jego samego w postaci zwięzłego, oszczędnego przekazu w języku Imperialnym C, z którego przekładem mógł się przynajmniej zmierzyć.

W końcu oparł się na fotelu świadomy, że wszyscy wbijają w niego wzrok.

– To ostrzeżenie – powiedział im. – Mówi, że transmitujemy z niepoprawnych współrzędnych czy coś takiego. I że nam nie wolno.

– Wygląda, jakby się rozgrzewał – zauważył jeden z ekipy naukowej, który odbierał odczyty z odległego obiektu. – Widzę szybki wzrost zużycia energii. Jego reaktor zaczyna pracować na zwiększonych obrotach.

– W takim razie się budzi – oznajmił Guyen, zdaniem Holstena nie wnosząc nic nowego.

– Podejrzewam, że to i tak sygnały automatyczne – zgadywała Lain.

– Przekaż, że odpowiadamy na jego sygnał alarmowy.

Holsten już miał gotową odpowiedź w języku literackim, która czytana brzmiała jak jakieś szkolne ćwiczenie. Następnie Lain i *Gilgamesz* przełożyli ją na ten sam elektroniczny format, którego używał satelita.

Oczekiwanie, aż sygnał pokona miliony kilometrów pustki, wkrótce dało się wszystkim we znaki.

– Satelita określa się jako Kapsuła Strażnicza Brin Dwa – przetłumaczył w końcu Holsten. – Informuje głównie, że mamy zmienić kurs, aby nie wpaść na planetę. – Zanim Guyen zdołał zapytać, dodał: – A teraz sygnał alarmowy zniknął. Myślę, że skoro odpowiedzieliśmy na pytania wysyłane na planetę, teraz rozmawiamy z systemem.

– Cóż, no to przekaz mu, kim jesteśmy i że lecimy na pomoc – poinstruował Guyen.

– Ale przecież... Nie jestem pewien, czy...

– Mason, masz to zrobić.

– Po co przesyłałby planecie zadania matematyczne? – Vitas nie kierowała swoich zastrzeżeń do nikogo konkretnego.

– Wydaje mi się, że uruchamiają się wszystkie możliwe systemy – dodał jej podkomendny przy czujnikach. – To niewiarygodne. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Wypuszczam drony, jednego do satelity, a drugiego na planetę – oznajmił Karst.

– Zgoda – powiedział Guyen.

– Ale przecież satelita nas nie rozpoznał – donosił Holsten, gorączkowo tłumacząc ostatnie przekazy z satelity i potykając się na antycznej gramatyce. – Mówi, że nie mamy autoryzacji. Mówi coś o... o zagrożeniu biologicznym. – Wszyscy zgromadzeni aż zadrżeli z przerażenia. – Nie, zaraz, to nas nazywa zagrożeniem biologicznym bez autoryzacji. To coś... myślę, że to coś nam grozi.

– Że zapytam jeszcze raz: to duży obiekt? – Karst musiał wiedzieć.

– Nieco poniżej dwudziestu metrów na najdłuższej osi – padła odpowiedź ekipy naukowej.

– No to dawać mi go tutaj.

– Karst, to technologia Starego Imperium – warknął Holsten.

– Zobaczmy, co jest warta, jak drony tam dolecą.

Ponieważ *Gilgamesz* wciąż wytracał prędkość, drony bardzo szybko zniknęły z pola widzenia, a ciąg silników wystrzelił je w stronę planety i jej samotnego strażnika z takim przyspieszeniem, że statek załogowy nie mógłby tego zrobić, nie miażdżąc załogi na placek.

– Mam kolejne ostrzeżenie, żeby zawrócić – meldował Holsten. – Patrzcie, myślę, że jesteśmy w takiej samej pozycji jak przy sygnale alarmowym. Nieważne, co wysyłamy, system tego nie rozpoznaje. Pewnie gdybyśmy mieli tu być, powinniśmy posłużyć się właściwym kodem czy czymś takim.

– Zajmujesz się nauką klasyczną, znajdź te kody – polecił Guyen.

– To tak nie działa. Stare Imperium nie posiadało jednego... no, hasła czy czegoś w tym rodzaju.

– Ale mamy przecież archiwa przekazów imperialnych, prawda? Po prostu wyłuskaj z nich odpowiednie protokoły.

Holsten posłał Lain błagalne spojrzenie, ale ona unikała jego wzroku. Nie mając ani krzty nadziei, zaczął parować numery i kody powitalne z tych fragmentów zapisów Starego Imperium, które przetrwały, wypuszczając je na

chybił trafił w stronę satelity.

– Mam na ekranie sygnał z dronów – zameldował Karst i chwilę później patrzyli już na samą planetę. Wciąż był to jedynie okruch, ledwo dostrzegalna kropka na tle czarnego w maksymalnym powiększeniu elektronicznych oczu dronów, ale się powiększała. Minutę później Vitas wskazała cień księżyca przesuwający się po powierzchni planety.

– A gdzie jest satelita? – zapytał Guyen.

– Z tej odległości go nie zobaczymy, ale nadleci z drugiej strony, wykorzystując atmosferę planety i księżyc, żeby odbić swój sygnał do nas.

– Drony się rozdzielają – meldował Karst. – Przyjrzyjmy się tej całej Brin.

– Kolejne ostrzeżenia. Nic nie trafia do tego pudła – włączył się Holsten, świadomy, że teraz to już naprawdę nikt go nie słucha.

– Karst, pamiętaj, przy kontakcie satelita ma pozostać nietknięty – mówił Guyen. – Bez względu na to, jaką tam mają technologię, chcę, żeby była w jednym kawałku.

– Nie ma sprawy. No i jest. Zaraz inicjujemy.

– Karst...

– Spokojnie, dowódco. One wiedzą, co robić.

Holsten zerknął do góry i zobaczył, że drony biorą na cel rosnącą w oczach zieloną kulę.

– Popatrzcie tylko na ten kolor – rzuciła Vitas na bezdechu.

– Niezdrowy – zgodziła się Lain.

– Nie, to... to jest stary kolor Ziemi. Zielony.

– To jest to – wyszeptał jeden z inżynierów. – Jesteśmy. Udało się nam.

– Kamery na satelitę – rzucił Karst, podświetlając niewielką, połyskliwą kropkę na ekranie.

– Tu Kapsuła Strażnicza Brin Dwa – odczytywał Holsten z uporem maniaka. – Planeta została objęta... Że co...? Programem wywyższeniowym i wszelkie naruszanie tego stanu jest zakazane.

– Że niby jaki program? Wywyższeniowy? – wtrąciła Lain ostrym głosem.

– Nie wiem. Ja... – Holsten gorączkowo szukał w komputerze odniesień, przekopując się przez archiwa statku. – Było tam coś o... upadku Starego Imperium z powodu zejścia na drogę grzechu. Znaście cykl mitów?

Rozległo się kilka potwierdzających mruknięć.

Wywyższenie zwierząt – to był jeden z grzechów starożytnych.

Karst aż jęknął z zaskoczenia i po chwili transmisja z jego kierujących się

w stronę satelity dronów zmieniała się w radiowy szum.

– Ach, o kant dupy! Drony lecące w stronę satelity zamilkły! – zadudnił.

– Lain... – zaczął Guyen.

– Już się tym zajmuję. Ostatnie chwile... – Podczas jej pracy panowała pełna napięcia cisza. – O, tutaj, ostatni z serii, w odstępie sekundowym. A tutaj – gwałtowny przepływ energii – wszystkie drony zniknęły. A potem ten ostatni. Satelita zestrzelił nasze drony, Karst.

– Ale czym? Po co satelicie broń...?

– Słuchaj, to może być poważny sprzęt wojskowy, nic o tym nie wiemy – warknęła Lain.

– Albo jest przygotowany, by śledzić i radzić sobie z obiektami nadlatującymi z kosmosu – zasugerowała Vitas. – Może ma jakieś lasery przeciwko asteroidom?

– Nie... – Lain spoglądała na odczyty, marszcząc czoło. – Nie jestem pewna, czy je ostrzelał... Karst, czy systemy dronów są jakoś specjalnie zabezpieczone?

Szef ochrony zaklął.

– Wciąż lecimy w jego stronę – zauważył Holsten. Kiedy tylko to powiedział, zaczęły gasnąć ekrany pozostałych dronów – tych, które Karst wysłał w kierunku planety. Satelita zestrzeliwał je, gdy okrężały nowy świat i znajdowały się w polu widzenia.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zaklął Karst. Posłał ostatnie dwie maszyny zygżakiem ku planecie. Chwilę później znów nastąpił wzrost energii i z satelity wystrzeliła olbrzymia wiązka – jedna z dwóch maszyn zniknęła.

– No nie mówcie, że to nie był strzał – stwierdziła Lain posepnie. – Drań rozwalił go na kawałki.

Karst klął już bez opamiętania, kodując instrukcje dla ostatniej maszyny i posyłając ją spiralnie w stronę planety, starając się zakrzywić horyzont między dronem i satelitą.

– Czy ta broń stanowi zagrożenie dla *Gilgamesza*? – zapytał Guyen i cała sala zamarła.

– Pewnie tak. – Głos Vitas brzmiał nienaturalnie spokojnie. – Jednak biorąc pod uwagę ilość wystrzelonej przez satelitę energii, jej użycie może być mocno ograniczone.

– Nie będzie musiał strzelać do nas dwa razy – stwierdziła Lain ponurym głosem. – Nie możemy zmienić kursu, nie drastycznie. Już i tak zwalnimy na

granicy bezpieczeństwa, mamy za dużą siłę bezwładu. Wciągnie nas ta orbita.

– Mówi, że mamy odlecieć albo nas zniszczy – powiedział niemal szeptem Holsten.

Kiedy komputery *Gilgamesza* się przystosowały, zaczęły pracować szybciej i dostarczały mu bardziej czytelne zapisy sygnału, a on sam przekonał się, że potrafi odczytywać starożytny zapis niemal płynnie. Zanim jeszcze Guyen zaczął się tego domagać, już formułował odpowiedź: *Podróżnicy w niebezpieczeństwie. Nie rozpoczynać wrogich działań. Cywilny statek transportowy wymaga pomocy.*

Lain nachyliła się nad jego ramieniem, przyglądając się krytycznym wzrokiem wysyланemu komunikatowi.

– Uaktualnia swoją pozycję – to jeden z ekipy naukowców.

– Celuje w nas – stwierdził Guyen.

– Określenie nie jest precyzyjne, ale... – *Ale tak*, zabrzmiało w głowach wszystkich obecnych.

Holsten czuł, jak serce wali mu wściekle w piersi. *Podróżnicy w niebezpieczeństwie. Nie rozpoczynać wrogich działań. Cywilny statek transportowy wymaga pomocy.* Ale wiadomość nie docierała tam, gdzie trzeba.

Guyen otworzył usta, by wydać jakiś desperacki rozkaz, ale Lain nie wytrzymała:

– Wyślij mu z powrotem jego własny sygnał alarmowy, do kurwy nędzy!

Holsten patrzył na nią przez chwilę, po czym wydał z siebie nieartykułowany okrzyk – triumfu pomieszanego z irytacją, że sam o tym nie pomyślał. Chwilę później było gotowe.

Kolejne minuty, kiedy czekali na reakcję satelity, żeby się dowiedzieć, czy zdążyli, ciągnęły się w nieskończoność. Nawet kiedy Holsten już odbił własny sygnał alarmowy satelity w jego stronę, atak już mógł się rozpocząć, biorąc pod uwagę dużą odległość między nimi, na tyle szybko, że nie wiedzieliby o tym do ostatniej chwili.

W końcu Holsten opadł na krzesło z westchnieniem ulgi. Pozostali tłoczyli się dookoła, wlepiając wzrok w ekran, ale nikt nie miał klasycznego wykształcenia pozwalającego na przetłumaczenie wiadomości. Mason musiał przerwać ten stan niepewności.

– Proszę czekać na kolejną transmisję, tak przekazali – powiedział – albo coś w tym stylu. Myślę – *mam nadzieję* – że teraz obudzi się jakieś bardziej

skomplikowane urządzenie.

Za plecami słyszał ściszone rozmowy, ale sam tylko odliczał minuty, aż pojawił się następny komunikat. Kiedy ekran w jednej sekundzie wypełnił się znakami kodów, przez chwilę poczuł uniesienie, ale zaraz syknął z irytacją:

– To jakiś bełkot. Stek bzdur. Dlaczego...?

– Czekaj, czekaj – przerwała mu Lain. – To po prostu sygnał innego typu. *Gilgamesz* dopasował to do materiałów dekodujących z twojego archiwum, staruszku. To jest... aha, to przekaz audio. Ludzka mowa.

Wszyscy znów zamarli w bezruchu. Holsten zerknął na zatłoczoną salę pełną łysych mężczyzn i kobiet, którzy wciąż wyglądali nie najlepiej, drżąc na skutek efektów ubocznych po niewyobrażalnie długim okresie zawieszenia, nie mogąc poradzić sobie z nowymi odkryciami oraz z emocjonalną traumą obecnej sytuacji. *Naprawdę nie wiem, kto jest w stanie śledzić to wszystko na bieżąco.* – Pewnie to znów przekaz automatyczny... – zaczął, ale umilkł, niepewny, czy ma dość sił choćby na kolejny spór.

– No tak. *Gilgamesz* zrobił, co mógł, opierając się na fragmentach z archiwum – donosiła Lain. – Wszyscy chcecie to usłyszeć?

– Tak – postanowił Guyen.

Z głośników statku zaczął się wylewać potok słów, który brzmiał okropnie – był poszarpany, pełen elektronicznych zakłóceń – wypowiedzianych głosem kobiety. Ledwo można było go usłyszeć – pojedyncze, rwące się słowa wyłaniające się i znikające w szumie zakłóceń – słowa w języku, którego nikt poza Holstenem nie potrafił zrozumieć. Holsten od dłuższej chwili obserwował oblicze dowódcy, ponieważ było dla niego oczywiste, co usłyszą, i zobaczył spazm wściekłości na jego twarzy, tylko na sekundę, zanim ten nad nim zapanował. *O, niedobrze.*

– Mason, tłumacz.

– Proszę dać mi chwilę. I gdyby można było to nieco odczyścić, Lain...?

– Już się biorę do roboty – wymamrotała.

Za nimi pozostali już zaczęli ostrożnie snuć domysły. Co ona mówiła? Czy to tylko przekaz automatyczny czy też... Vitas spekulowała na temat podobno obdarzonych sztuczną inteligencją maszyn Starego Imperium – nie tylko autonomicznych urządzeń, jak *Gilgamesz*, ale takich, które potrafiły myśleć i działać w taki sposób, jakby były ludźmi. Albo czymś więcej.

Holsten pochylił się nad konsolą ze słuchawkami na uszach, wsłuchując się w zdecydowanie czystsza wersję przygotowywaną dla niego przez Lain.

Z początku rozumiał tylko kilka słów, więc musiał spowolnić proces tłumaczenia i skupić się na drobnych wycinkach przekazu, jednocześnie zmagając się z całkowicie niespodziewaną intonacją i wzorcami mowy. Było też dużo zakłóceń – jakieś dziwne falowanie, które utrudniało odczytanie wiadomości.

– Mam drona w atmosferze – zakomunikował niespodziewanie Karst. Wszyscy już niemal zapomnieli, że wysłał instrukcje do jedyne go sprawnego urządzenia, nie mając pojęcia, jaka korekta kursu zapobiegnie jego destrukcji. Kiedy skupił uwagę większości obecnych, dodał: – Kto chce zobaczyć nasz nowy dom?

Obrazy przesyłane przez drona były pełne ziarna i zakłóceń, przedstawiały widok z dużej wysokości świata tak zielonego, że jeden z naukowców zapytał, czy majstrowano przy kolorach przekazu.

– Widzicie dokładnie to, co widzi dron – zapewnił Karst.

– Piękna jest – rzucił ktoś.

Większość tylko się gapiła. Obraz wykraczał poza ich doświadczenie i wyobraźnię. Ziemia, jaką pamiętali, zupełnie nie przypominała tej planety. Wszelkiego rodzaju zieleń została zamknięta w latach poprzedzających pojawienie się lodu i nigdy jej nie odzyskano po toksycznej odwilży. Przybyli z planety niezmiernie uboższej od tego świata.

– No dobrze. – W rozmowy za plecami Holstena, które najpierw przeszły w gwar domysłów, wdało się znużenie, co zapewniło mu czas, by popracować nad nowym przekazem. – Mam tłumaczenie.

Wysłał je na ich ekrany: *Kapsuła Strażnicza Brin Dwa potwierdza otrzymanie waszej prośby o pomoc. Obecny kurs zawiedzie was na planetę kwarantanny. Żadna zmiana kursu nie będzie tolerowana. Proszę o dostarczenie wszystkich szczegółów dotyczących sytuacji alarmowej, żeby nasz system mógł je przeanalizować i podać rozwiązanie. Wszelkie próby ingerencji w Świat Kern spotkają się z błyskawiczną i stanowczą reakcją. Nie wolno wam w żaden sposób nawiązywać kontaktu z tą planetą.*

– To się jeszcze zobaczy – rzucił Karst i dodał: – W takim razie nic nie wie o ostatnim dronie. Tak go ustawiłem, że utrzymuje pozycję po drugiej stronie planety.

Mason wciąż odtwarzał wiadomość, starając się dociec, czym jest to falowe zakłócenie. Podobnie jak sygnał alarmowy, brzmiało, jakby jakaś inna wiadomość zabrała się okazyjnie z pierwszym sygnałem satelity.

- Wciąż nadaje w kierunku planety? – zapytał Lain.
- Tak, ale zrobiłam kompensację. Nie powinieneś odbierać niczego...
- Świat Kern? – zauważyła w końcu Vitas. – To jakieś nazwisko?
- „Kern” i „Brin” są zbitkami fonemów – przyznał Holsten. – Jeśli to oznaczające coś słowa, to nie mam ich w moich słownikach. Jaką mam dać odpowiedź?
- Czy to coś zrozumie, jeśli do niego przemówimy? – zapytał Guyen.
- Wyślę zakodowaną wiadomość, tak jak poprzednio – powiedział Holsten.
- No... czymkolwiek jest to coś, nie mówi podręcznikowym Imperialnym C. Inny akcent, może inne podłoże kulturowe. Nie sędzę, żebym mógł się odezwać na tyle poprawnie, by zostać dobrze zrozumiany.
- Wyślesz to. – Guyen podsunął Holstenowi tekst do przekładu i kodowania. *Tu statek-arka Gilgamesz wiozący pięćset tysięcy ludzi w zawieszeniu. Naszym najwyższym priorytetem jest lądowanie na waszej planecie. To kwestia przetrwania gatunku ludzkiego. Domagamy się pomocy w kwestii zabezpieczenia naszego ładunku.*
- To nic nie da. – Holsten zastanawiał się, czy do Guyena w ogóle dotarła wiadomość wysłana przez satelitę, bo jego zdaniem to nie była właściwa odpowiedź. Wysłał ją jednak i wrócił do odsłuchiwania poprzednich wiadomości, zaprzęgając Lain do przetwarzania i dopasowywania głównego sygnału, by wyizolować z niego coś zrozumiałego. I nagle to usłyszał. Wsłuchiwał się i wyłuskał przekaz między pierwotną wiadomością. Zamarł w bezruchu, ściskając konsolę, kiedy dotarło do niego właściwe znaczenie.

Kapsuła Strażnicza Brin Dwa potwierdza otrzymanie waszej prośby o pomoc. Obecny kurs zawiedzie was na planetę kwarantanny. Żadna zmiana kursu nie będzie tolerowana. Proszę o dostarczenie wszystkich szczegółów dotyczących sytuacji alarmowej, żeby nasz system mógł je przeanalizować i podać rozwiązanie. Wszelkie próby ingerencji w Świat Kern spotkają się z błyskawiczną i stanowczą reakcją. Nie wolno wam w żaden sposób nawiązywać kontaktu z tą planetą.

Zimno, bardzo zimno tak długo tu czekam dlaczego nie przylatują co się stało czy wszyscy zginęli czy w domu zimna trumna zimna trumna nic nie działa nic nie pozostało Eliza Eliza Eliza może odpowiesz żebyś mogła skończyć z tym wszystkim powiedz mi że nadlatują powiedz że się zjawiają i mnie zabiorą obudzą mnie w ciepłe z tego zimna tak wielkiego zimna zimno tak mi zimno zimno zimno zimno

- Uch... – Mason zerwał się, przewracając fotel, ale głos ze słuchawek

wciąż tętnił boleśnie w bębenkach, z całą pewnością ten sam głos co w oficjalnym komunikacie, tutaj zniekształcony straszliwą rozpaczą. – Możemy mieć pewien problem...

– Nadchodzi nowa transmisja – odezwała się Lain, choć pozostali domagali się, aby Holsten powiedział, co ma na myśli.

– Co mam zrobić z dronem? – wtrącił się Karst.

– Na razie nic. Przekaż mu, żeby nie wchodził kapsule w obiektyw ani w sygnał – powiedział Guyen. – Mason...

Ale Holsten już pracował przy nowej wiadomości. Była o wiele krótsza i dosadniejsza niż pierwsza, ale jedno słowo wciąż tkwiło mu w głowie: *Kapsuła, tak to przetłumaczyłem. Czy takie znaczenie miało to u starożytnych? Przecież nie mogła to być przestrzeń mieszkalna. Dwadzieścia metrów średnicy przez... ile mileniów? Nie, to nie może być...*

– Pyta, czy chcemy rozmawiać z Elizą – wykrztusił.

Padło nieuchronne pytanie:

– A kto to jest Eliza?

Jakby ktoś był zdolny na nie odpowiedzieć.

– Chcemy – postanowił Guyen.

I bardzo dobrze, bo Holsten już zdążył wysłać odpowiedź.

Po kilku minutach – tym razem przerwa była krótsza, bo zbliżyli się do planety – przemówił do nich ktoś nowy.

Holsten rozpoznał jednak wcześniejszy głos, choć teraz brzmiał o wiele czyściej i wciąż posługiwał się tym straszonym strumieniem świadomości pojawiającym się w tle wypowiedzi. Tłumaczenie poszło gładko. We własnym mniemaniu stał się ekspertem w Imperialnym C, największym w polodowcowej historii ludzkości.

Przesłał tekst na ekrany załogi: *Dobry wieczór, podróżnicy. Nazywam się Eliza Kern i jestem kompozytowym systemem Kapsuły Strażniczej Brin 2. Przepraszam, że umknęła mi waga niektórych wysłanych przez was przekazów. Czy moglibyście łaskawie streścić to, co zostało już przesłane?*

Nastąpił ciekawy podział wśród załogi. Dowództwo i ochrona pozostały niewzruszone, gdy tymczasem działy nauki i inżynierii zagłębiły się w debacie: dlaczego głos określa się mianem systemu? Czy Holsten jest pewien, że dobrze przetłumaczył? Czy to prawdziwa inteligentna maszyna, czy też ktoś ją udaje?

Sam Holsten był zajęty składaniem do kupy wiadomości w tle, choć miał do tego coraz mniej serca. Słowa z nutą przerażenia i desperacji sprawiały, że

poczuł się słabo.

Dobry wieczór, podróżnicy. Nazywam się Eliza Kern i jestem kompozytowym systemem Kapsuły Strażniczej Brin 2. Przepraszam, że umknęła mi waga niektórych wysłanych przez was przekazów. Czy moglibyście łaskawie streścić to, co zostało już przesłane?

Co ty robisz dlaczego jesteś w moim umyśle i mówisz mówisz dlaczego nie mogę się obudzić i dlaczego widzę tylko pustkę żadnego statku dlaczego tu nie ma żadnego statku gdzie on jest nie ma żadnej Elizy Kern co ukradła mnie ukradła ukradziony umysł

Holsten wysłał ponownie ostatnią wiadomość *Gilgamesza: Tu statek-arka Gilgamesz wiozący pięćset tysięcy ludzi w zawieszaniu. Naszym najwyższym priorytetem jest lądowanie na waszej planecie. To kwestia przetrwania gatunku ludzkiego. Domagamy się pomocy w kwestii zabezpieczenia naszego ładunku.*

I otrzymał odpowiedź:

Przykro mi, ale nie ma możliwości, byście się zbliżyli albo wylądowali w Świecie Kern. Jest to całkowicie sprzeczne z wytycznymi programu wywyższenia. Proszę poinformować, czy mogę pomóc w jakiś inny sposób.

Avrana jestem Avrana liczą się tylko mały jeśli wszyscy inni przepadli cóż mamy wywyższyć aby ocalić wywyższanie nie dopuścimy do skażenia Sering nie wygra wywyższymy ale czy musi być tak zimno trudno myśleć

– Te same słowa z innego komputera – rzucił Guyen z wściekłością.

Lain zaglądała Holstenowi przez ramię, wpatrując się w jego tłumaczenie drugiego, ukrytego głosu. Widział, jak jej usta artykułują nieme: *Co jest, kurwa...?*

– Mason, nie obchodzi mnie, w jakie ubierzesz to słowa. Rób, jak ci się podoba. To coś musi zrozumieć, że jesteśmy ludźmi i potrzebujemy pomocy – powiedział Guyen. – Jeśli istnieje jakiś przedpotopowy sposób na obejście jego procedur, żeby dotrzeć do tego czegoś, to musimy tego użyć.

W takim razie się nie pali, ale Holsten już układał odpowiedź. Problem nie polegał na lingwistycznych zawiłościach, bez względu na to, co myślał Guyen. Problem tkwił w technologii, do której przejęcia Lain była z pewnością lepiej

przygotowana niż on. Rozmawiali z funkcjonującym autonomicznym systemem imperialnym. Te poszatowane giganty na orbicie ziemskiej z całą pewnością nie posiadały niczego takiego.

Eliza, wysłał sygnał, jesteście w rozpaczliwej potrzebie. Przylecieliśmy z dalekiej Ziemi, by znaleźć nowy dom dla tej części rasy ludzkiej, za którą jesteście odpowiedzialni. Jeśli nie zlokalizujemy takiego miejsca, setki tysięcy istnień ludzkich przepadnie. Czy twój system priorytetów weźmie za to odpowiedzialność? W archiwach Gilgamesza nie było o tym wzmianki, ale Holsten wpadł na pomysł, gdzieś o tym czytał, by odwołać się do zasad filantropii w kontakcie ze słynną starą sztuczną inteligencją.

Przykro mi, ale nie mogę pozwolić, aby teraz ktoś narażał na szwank eksperyment wywyższeniowy.

Rozumiem, że macie inne problemy, i wolno mi zapewnić wam pomoc zgodnie z moimi priorytetami. Jeśli spróbujecie zbliżyć się do planety, nie pozostawicie mi wyboru i będę zmuszona podjąć działania przeciw waszej jednostce.

Jaki statek pozwól mi zobaczyć statek lecący z Ziemi ale to jest Ziemia Seringa albo moja Ziemia albo nie ma Ziemi już wcale żeby mógł z niej przylecieć statek bez wieści bo przestali nadawać już tak dawno jest tak zimno więc wypuść mnie ty suko ty wiedźmo Elizo ukradłaś mój umysł moje imię nie możesz mnie tu trzymać pozwól mi się obudzić i porozmawiać pozwól mi umrzeć pozwól zrobić cokolwiek

No i po sprawie.

– To właściwie powtórzenie tego, co mówiła wcześniej. Nie mamy pola manewru, chyba że...

– Że co? – niecierpliwił się Guyen.

– Chcę spróbować czegoś na przekór – wyjaśnił Holsten.

– Czy to spowoduje, że od razu wysadzą nas w kosmos?

– Nie sądzę.

– W takim razie próbuj, Mason, próbuj.

Holsten opanował emocje i wysłał jedno, zdawałoby się, zupełnie idiotyczne pytanie: *Czy jest tam ktoś jeszcze, z kim moglibyśmy porozmawiać?*

– Jaja sobie robisz – powiedziała mu Lain wprost do ucha.

– Masz lepszy pomysł?

– Jestem inżynierem. My nie miewamy pomysłów.

Zmusił się do bladego uśmiechu, słysząc to. Wszyscy mieli nerwy napięte

jak postronki, oczekując odpowiedzi, oprócz Guyena, który patrzył na Holstena wilkiem, jakby jego srogie spojrzenie mogło zainspirować badacza kultur klasycznych do wzmożonej pracy.

Chcecie porozmawiać z moją siostrą?

Proszę proszę proszę proszę proszę proszę proszę

Lain znów zakłęła, a Guyen wpatrywał się w swój ekran. Wokół nich przetaczał się kolejny pomruk dzikich spekulacji.

– Słuchaj, mam swoją teorię – wyjaśnił Holsten. – Wciąż rozmawiamy z jakimś elektronicznym systemem, to pewne, nawet jeśli jest zaprogramowany tak, by odpowiadać jak człowiek. Ale jest tam coś jeszcze. To coś... się różni. Najwyraźniej jest mniej racjonalne. Sprawdzimy więc, czy pozwoli nam zrobić coś, czego zakazuje główny system. Najgorsze, co może się stać, to że może uda nam się w jakiś sposób spowodować konflikt między nimi... bo ja wiem.

– Ale czym jest to „coś”? – zapytała Vitas. – Po co by im były dwa systemy?

– Dla bezpieczeństwa? – zasugerował Holsten, ponieważ najgorsze hipotezy zatrzymywał dla siebie.

– Spróbuj – nakazał Guyen. – Karst, chcę mieć gotowe rozwiązania, gdyby doszło do najgorszego. Obecny kurs wprowadzi nas w strefę przyciągania planety i przy odpowiedniej prędkości wejdziemy na jej orbitę. Jedyne wyjście jest zaprzestanie wytracania prędkości i przelecenie obok, a wtedy... no właśnie, co wtedy? – Pytanie należało do gatunku retorycznych, a naciskany zewsząd dowódca najwyraźniej obliczał wszystkie za i przeciw. –

Wtedy ustalimy kurs na kolejny punkt na mapach gwiazdnych i będziemy mieć nadzieję, że tam będzie inaczej? Bzdura. Widzieliśmy planetę. To będzie nasz dom. Mason, powiedz temu tam.

Tak, Elizo, proszę, daj nam porozmawiać z siostrą, Holsten próbował dostosować ton do grzecznego i oficjalnego sposobu wypowiedzi systemu.

Nie był pewien odpowiedzi i był gotów zamknąć wszystkie komunikatory, jeśli tylko usłyszy ten wariacki bełkot, bo z tym nie sposób było nawiązać dialogu – nie było możliwości negocjacji z tą szalejącą wewnętrzną burzą.

– Każę nam czekać – zameldował, kiedy dostał wiadomość.

Później przez długi czas nie było niczego nowego – *Gilgamesz* w dalszym ciągu zbliżał się nieuchronnie do pola grawitacyjnego planety. Satelita wciąż milczał, a Lain z ekipą zaczęli pospiesznie sprawdzać systemy statku, gdy starożytna arka kosmiczna zaczęła skrzypieć i naprężyć się w nienaturalnej pozycji przy masie na zewnątrz na tyle dużej i bliskiej, że już wbijała swoje pazury w kadłub. Wszyscy odczuli lekki przechył, gdyż podczas podróży ich percepcja grawitacji pochodziła jedynie ze stopniowego wytracania prędkości. Teraz sięgała po nich obca siła, delikatnie ciągnąc swymi niewidzialnymi, upiornymi paluchami, pierwszym dotykem świata leżącego poniżej.

– Wszystkie wskaźniki sugerują stabilną orbitację – donosiła Lain spiętym głosem.

Następnie rozpoczęła się pantomima w zwolnionym tempie, aż włączyła się grawitacja, do której dostosowały się z pewnymi oporami konsole i instalacje *Gilgamesza*. Przez minutę zabrakło punktu odniesienia – ludzie w stanie nieważkości usiłowali przypomnieć sobie dawno zapomniane szkolenie i przyciągali się wzajem, by znaleźć jakiś punkt zaczepienia, i wpadali na siebie i ściany. Przy tym całym zamieszaniu i nieporadności oraz kilku niegroźnych obrażeniach sprawa ewentualnej zagłady została niemalże zapomniana.

– Nowa wiadomość – zaalarmował ich Holsten, kiedy otrzymał sygnał. W uchu rozbrzmiał mu ten sam kobiecy głos, ale intonacja, rytm były zgoła odmienne, a na dodatek pozbawione tego udręczonego echa.

– Tu doktor Avrana Kern, główny naukowiec i administrator projektu wywyższenia na Brin Dwa – tłumaczył. Nawet przez filtr archaicznego Imperialnego C w jej głosie pobrzmiwały surowość i duma. *Kim jesteście? Skąd pochodzicie?*

– To nie brzmi jak głos z komputera – mruknęła Lain.

– Oczywiście, że to komputer – warknęła Vitas. – Po prostu bardziej zaawansowany...

– Dość tego. – Guyen przeciął rodzący się spór. – Mason?

Jesteśmy statkiem-arką z Ziemi – nadał Holsten. – *Chcemy uzyskać pozwolenie na założenie kolonii w Świecie Kern.* Pomyślał, że jeśli rozmówczyni ma jakieś ludzkie cechy, odrobina pochlebstwa nie zaszkodzi.

Ale z jakiej Ziemi? Z Ziemi Seringa czy z mojej Ziemi? – odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

Teraz, kiedy znajdowali się na orbicie, nie było żadnych opóźnień. Przypominało to niemal prawdziwą rozmowę.

Prawdziwa rozmowa z elektronicznym umysłem bez twarzy, upominał się w myślach Holsten. Rozesłał swoje tłumaczenie po całej sali, szukając pomocy, ale nikt nie wiedział, o co chodzi satelicie. Zanim zdołał odpowiedzieć, pojawiła się nowa transmisja.

Nie rozpoznaję was. Nie jesteście ludźmi. Nie pochodzicie z Ziemi. Nie macie tu nic do roboty. Eliza pokazuje mi wszystko, co widzi, i nie ma w was nic z Ziemi, ale dlaczego nie mogę was sama zobaczyć dlaczego nie mogę otworzyć oczu gdzie są moje oczy gdzie są moje oczy gdzie są moje oczy. I przekaz urwał się gwałtownie, co rozstroiło Holstena, bo znowu, bez ostrzeżenia przeszedł w głos szaleńca.

– Nie sądzę, żeby to był komputer – powiedział, ale na tyle cicho, że usłyszała go jedynie Lain.

Wciąż czytała mu przez ramię i kiwała głową.

Nasz statek to arka o nazwie Gilgamesz, przylecieliśmy z Ziemi. Został skonstruowany w nowych czasach – przygotowywał się do wysłania wiadomości, mając gorzką świadomość słabości tych słów. Był przerażony perspektywą odpowiedzi, jaką mógł otrzymać.

Dobry wieczór, nazywam się Eliza Kern i jestem systemem kompozytowym, kompozytowym, kompozytowym i polecono mi, żeby przekazać wam, że musicie wrócić tam, skąd przylecieliście.

Odeślij ich nie chcę ich jak mówią że przylecieli z Ziemi mogą sobie wracać wracać ja nie mogę nie nie nie nie

– Bredzi jak nakręcona – stwierdził beznamiętnie Karst, i to słysząc tylko połowę przekazu. – Nie możemy wlecieć tak, żeby planeta nas zasłaniała?

– Nie utrzymamy wtedy stabilnej orbity – zameldował ktoś z zespołu Guyena. – Przypomnij sobie, jaki wielki jest nasz *Gil*. Nie możemy nim latać tak jak twoimi dronami.

Holsten już wysyłał wiadomość, którą Gueyn skończył dyktować, i teraz wszystko znalazło się w jego rękach. *Powrót na Ziemię nie jest możliwy. Czy możemy znów rozmawiać z twoją siostrą, Elizo?* Było to błaganie o życie dla ludzkości w martwym języku – musiał balansować między bezdusnością maszyny i czymś, co, przekonywał się o tym coraz bardziej, było prawdziwym

ludzkim szaleństwem.

Drugi głos pojawił się, znów bredząc: *Dlaczego nie możecie wrócić tam, skąd przylecieliście? Czy jesteście ludźmi Seringa? Czy on wygrał? Wyrzuciliśmy go? Przylecieliście tu, żeby skończyć to, co zaczął?*

– Co tu się stało? – pytała Vitas z niedowierzaniem. – Co to jest ten Sering? Jakiś okręt wojenny?

Ziemia nie nadaje się już do zamieszkania – wysłał Holsten, choć Lain go ostrzegała:

– To dopiero ją nakręci, Mason.

Wysłał wiadomość pomimo jej wątpliwości i chwilę później w żołądku pojawiła mu się pustka. *Ma rację.*

Ale kiedy doktor Avrana Kern odpowiedziała, w jej głosie słyhać było rzeczowość osoby zdrowej na umyśle. *Bzdura. Wyjaśnijcie.*

W archiwach *Gilgamesza* były liczne opowieści, ale nikt nie pomyślał, żeby tłumaczyć je na język, którym byli zainteresowani jedynie historycy. Holsten jednak zrobił, co mógł: przedstawił jej historię 101., o zagubionym podróżniku w czasie, opartą na najbardziej wiarygodnych hipotezach co do tego, co faktycznie zdarzyło się u zarania zapisanych dziejów, w czasach, kiedy Stare Imperium wciąż trzymało się mocno. Nie mógł przekazać za wiele. Przepaść między tym, co mogła wiedzieć Kern, a najwcześniejszymi faktami, na których mógł się oprzeć Holsten, była nie do zasypania.

W Imperium wybuchła wojna domowa między różnymi stronnictwami, wyjaśniał. Obie strony użyły broni, której natury nie rozumiem, ale która bardzo skutecznie zniszczyła wyższą cywilizację na Ziemi i całkowicie zniszczyła kolonie. Przypomniawszy sobie zmurszałe ruiny na Europie. Wszystkie kolonie w obrębie Układu Słonecznego wyprzedzały wszelkie dokonania w terraformowaniu będące dziełem Imperium. Stały się szklarniami na planetach i księżycach zmienionych w ryzykowny sposób, by lepiej podtrzymywać życie, w oparciu o biosfery wymagające stałego nadzoru. Ludzie na Ziemi stoczyli się ponownie w otchłań barbarzyństwa. W innych miejscach, tam gdzie wysiadło zasilanie, kiedy broń elektromagnetyczna zniszczyła silniki, albo gdzie elektroniczne wirusy zamordowały sztuczne umysły, ludzie zginęli. Zginęli w obcym zimnie, w znikającej atmosferze pod żącym niebem. Często ginęli, walcząc ze sobą wzajem. Tak niewiele się uchowało.

Wypisał to wszystko. Z beznamiętną precyzją, jakby streszczał jakiś tekst

historyczny. Odnotował, że powojenne społeczeństwo przemysłowe przetrwało jeszcze niemal stulecie i być może nawet odzyskałoby technologie swych przodków, kiedy pojawił się lód. Zniszczona atmosfera dusiła planetę zakrywającym słońce mrokiem, przez co pojawił się północny, lodowcowy ziąb, który zdusił w zarodku to odrodzenie. Spoglądając wstecz, Holsten nie był w stanie powiedzieć nic więcej na temat tych, którzy przeżyli, ani też na temat epoki zmarzliny, która potem nastąpiła. Niektórzy naukowcy wysuwali teorie, że w najgorszym okresie cała ludzka populacja Ziemi liczyła nie więcej niż dziesięć tysięcy osób skulonych w jaskiniach i norach nieopodal równika, wpatrujących się w skrzający się od mrozu horyzont.

Następnie wpłynął na bardziej znane wody, przechodząc do najwcześniejszych odkrytych zapisów ludu, który mógł uznać za prawdziwie swój. Lód się cofał. Ludzkość odradzała się, bardzo szybko powiększając swoje terytorium, tocząc swoje drobne wojenki, odbudowując przemysł, co i rusz potykając się o pozostałości osiągnięć z poprzedniej ery. Ludzki wzrok znów skierował się ku niebu przecinanemu przez tak wiele świetlnych punktów.

I powiedział Kern, dlaczego nie mogą wrócić: w wyniku wojny toczony przez Imperium tysiące lat wcześniej. Od zawsze akademicy nauczali, że im bardziej wycofywał się lód, tym było lepiej dla świata, ale nikt nie podejrzewał, jakie trucizny i choroby zostały uwięzione w lodzie, niczym owady w bursztynie, pod lodową ochroną drżała od chłodu biosfera ostatnich lat przesytu Imperium.

Nie ma możliwości powrotu na Ziemię, wysłał wiadomość do taktownie milczącego satelity. W końcu nie byliśmy w stanie zrównoważyć rosnącej toksyczności środowiska. Zbudowaliśmy więc statki-arki. Mieliśmy wyłącznie stare mapy gwiazdne, które mogły wskazać nam drogę. Jesteśmy przedstawicielami rasy ludzkiej. Nie mieliśmy łączności z resztą statków, które mogłyby nas poinformować, że znalazły miejsca dogodne dla osadnictwa. Doktor Avrano Kern, mamy tylko to. Czy możemy się osiedlić na pani planecie?

Ponieważ rozumował w kategoriach ludzkich, spodziewał się dłuższej przerwy, bo osoba po drugiej stronie powinna przez jakiś czas przetrwać tę pigułkę historii. Zamiast tego usłyszał, jak ktoś z działu naukowców wykrzyknął:

– Nowe odczyty wzrostu energii! Uruchamia coś!

– Broń? – zapytał Guyen, a wszystkie ekrany na sekundę zamarły, by po chwili znów rozbłysnąć, na nowo budząc się do życia i pokazując nonsensowne symbole – fragmenty kodu i tekstu oraz zakłócenia.

– To się dostało do systemu kontroli *Gilgamesza*! – wykrztusiła Lain. – Atakuje nasz system obronny – nie, już go obeszło. Kurwa, jesteśmy jak na widelcu. Ma pełną kontrolę. Tak, właśnie przechwyciło twoje drony, Karst, te, które nie wyparowały. Mamy przegwizdane!

– Rób, co możesz – popędzał ją Guyen.

– A co niby, kurwa mać, mam zrobić? Jestem zablokowana! A wsadź sobie w dupę tę swoją „specyfikę kulturową”, Mason. Dopadło nasz system jak jakaś zaraza.

– Co z naszą orbitą? – zapytał ktoś.

– Nie mam odczytu, nie mam danych, nic a nic. – Głos Vitas był bardzo napięty. – Nie zmienił się jednak ciąg, a zwykła utrata mocy czy kontroli nie powinna wpłynąć na naszą pozycję względem planety.

Tak jak w przypadku tych wielkich wraków na orbicie Ziemi, pomyślał bezradnie Holsten. Tych spalonych, martwych statków z odessanymi próżnią ciałami, tkwiących tam od tysięcy lat.

Nagle światła rozbłysły i zamigotały, a potem na ekranach pojawiła się twarz.

Była pociągła, koścista, z wydatną szczęką – nie od razu ewidentnie kobieca. Zaczęły się zarysowywać szczegóły – ciemne, zaczesane do tyłu włosy, ziemista, lekko pomarszczona skóra, wyraźniejsze zmarszczki wokół ust i oczu. Nie była bynajmniej piękna według współczesnych kryteriów, ale któż był w stanie dociec, jakie były kanony urody starożytnych? Była to twarz ze środowiska i kultury wymazanych już z osi czasu. Powinowactwo tego oblicza z twarzami załogi *Gilgamesza* zdawało się niezwykle wątle i przypadkowe.

Głos, który zabrzmiał w głośnikach, był niewątpliwie ten sam, ale tym razem przemówił językiem zrozumiałym dla załogi, choć ruch warg nie był zsynchronizowany z dźwiękiem.

– Nazywam się doktor Avrana Kern. To jest mój świat. Nie będę tolerować żadnego wtrącania się do mojego eksperymentu. Widziałam, czym jesteście. Nie pochodzicie z *mojej* Ziemi. Nie należycie do *mojego* rodzaju ludzkiego. Jesteście małpami, zwykłymi małpami. Nie jesteście nawet *moimi* małpami. Moje małpy przechodzą proces wywyższania w tym wielkim eksperymencie.

Są czyste. Wy jesteście małpami niższego gatunku. Nic dla mnie nie znaczący.

– Czy ona nas słyszy? – zapytał cicho Guyen.

– Jeśli wasz własny system was słyszy, to ja też – parsknęła pogardliwie Kern.

– Mamy rozumieć, że skazuje pani na śmierć ostatnich przedstawicieli swojego gatunku? – Była to niezwykle wyważona i dyplomatyczna wypowiedź Guyena. – Najwyraźniej to właśnie chce pani powiedzieć.

– Nie jestem za was odpowiedzialna – oświadczyła Kern. – Jestem odpowiedzialna za tę planetę.

– Proszę – powiedziała Lain, ignorując Guyena, który pokazał jej, że ma się zamknąć. – Nie wiem, czym jesteś, człowiekiem czy maszyną, czym tam chcesz, ale potrzebujemy twojej pomocy.

Twarz zamarła i przez kilka uderzeń serca na ekranie widniał wyłącznie nieruchomy obraz.

– Lain, jeśli ty... – odezwał się Guyen, lecz nagle oblicze Kern zaczęło się łamać, pojawiły się zakłócenia i pasy na ekranach, rysy zaczęły się zmieniać i wykrzywiać, po czym ekrany zamrugały i zgasły.

Głos znów się odezwał płaczącym szeptem w swym ojczystym języku i tylko Holsten go rozumiał. *Jestem człowiekiem. Z pewnością jestem człowiekiem. Czy jestem systemem? Jestem załadowanym programem? Czy jeszcze coś ze mnie zostało? Dlaczego nie czuję swego ciała? Dlaczego nie mogę otworzyć oczu?*

– Ta druga, ta niby Eliza, wspominała o jakiejś formie pomocy – mruknęła Lain, choć przecież nawet ich szepty były podsłuchiwane. – Czy możemy zapytać, co to takiego...?

– Pomogę wam – powiedziała Kern znów w ich języku, do tego dużo spokojniej. – Pomogę wam stąd odlecieć. Dostaniecie cały wszechświat oprócz mojego świata. Możecie polecieć dokądkolwiek.

– Ale my nie możemy... – zaczął Guyen.

Wtedy wtrąciła się Lain.

– Już odzyskałam kontrolę. Sprawdzam wszystkie systemy. – Po pełnej napięcia minucie, podczas której upewniała się, czy jest tak w istocie, komputer pokładowy powiedział jej, że wszystko działa poprawnie. – Mamy nowe dane. Zrzuciła nas stertą danych. To jest... *Gilgamesz* rozpoznaje gwiazdne mapy, Mason. Otrzymałam informację w tej twojej paplaninie.

Holsten skanował natłok informacji.

– Ja, eee... nie jestem pewien, ale jest połączenie z mapami gwiazdnymi. To jest... myślę, że to... – Zaszło mu w ustach. – Inne projekty terraformacji? Chyba... dostaliśmy klucze do kolejnego układu gwiazdnego. Podaje nam współrzędne. *Sprzedaje swoich sąsiadów*, nie powiedział tego na głos z uwagi na to, że to coś mogło go słyszeć. *Przekupuje nas, żebyśmy odlecieli*. – Myślę... że to mogą być kody dostępu.

– Jak daleko stąd? – zapytał ostro Guyen.

– Niecałe dwa lata świetlne – meldowała pospiesznie Vitas. – O krok stąd.

W długiej, pełnej napięcia ciszy czekali na decyzję Guyena. Twarz Avrany Kern pojawiła się znowu na ekranach i patrzyła na nich z gniewem – drgała, wyginała się, powracała do pierwotnej postaci.

2.6 METROPOLIS

Negocjacje z miejscowymi przebiegły dość dobrze – teraz, kiedy Portia i jej grupa pokazali, kto tu jest górą, starszyzna wypożyczyła trójce podróżnych samca, by służył im za przewodnika w drodze na północ. Był nieco mniejszy niż samiec Portii, ale cechował go zgoła odmienny charakter – był śmiały aż do bezczelności według standardów Portii. Miał też imię – nazywali go Fabian. Portia, choć świadoma, że samce nadają sobie imiona, bardzo rzadko chciała je znać, nawet u męskiej populacji w Wielkim Gnieździe. Zgadywała, że w niewielkich skupiskach rodzinnych, tak jak u tych miejscowych, samce są bardziej samodzielne, a tym samym bardziej sprawne i niezależne. Lecz i tak uważała takie zuchwalstwo za irytujące. Bianca najwyraźniej uznała, że nie jest taki zły, i podczas ich wędrówki na północ Portia przyłapała Fabiana, jak ostrożnie oferował jej swoje nasienie. Bianca jeszcze nie podjęła decyzji, ale też go nie odpędziła.

Sama Portia zostawiła w siedzibie kilka grup jaj lęgowych – samice rzadko opuszczają Wielkie Gniazdo, nie zostawiając po sobie genetycznych śladów – i ma wrażenie, że tego typu zachowanie odciąga ich od misji. Z drugiej strony Bianca walczyła dla niej i pewnie ma ochotę w nagrodę pobawić się z tym nowym samcem. Portia miała tylko nadzieję, że pohamuje swoje żądze. Byłoby niewątpliwie z korzyścią dla dyplomacji, gdyby Fabian nie został pożarty podczas miłosnych uniesień.

Nie muszą wędrować daleko, by zobaczyć, co rośnie na obrzeżach świadomości Wielkiego Gniazda. Wkrótce wchodzi pomiędzy ścięte drzewa – na ich pniach widać smolne ślady, znaki kłusowania oraz zaskakująco równe nacięcia, często pieczołowicie podzielone na segmenty. Widywali też wykopane całe systemy korzeniowe, co miało zagwarantować, że drzewo nie odrośnie. Las był atakowany na wielką skalę, a jego obrzeża systematycznie kłusowano. Fabian pamiętał, że było tu więcej drzew, co im zakomunikował. Oczyszczanie terenu ciągnęło się rok za rokiem i odziedziczone Zrozumienie Fabiana sugerowało, że teraz działa się to szybciej niż za czasów jego matki.

Za poszarpanym skrajem widać inne drzewa, obce drzewa w oddzielnych

grupach. Są niewielkie, pękate i bulwiaste, z mięsistymi liśćmi i pniami usianymi wyrostkami podobnymi do brodawek. Powiększona przestrzeń między każdą kępą to przecinka – rzecz doskonale znana pająkom. Stężenie tlenu na planecie jest o wiele wyższe niż na Ziemi i pożary wywołane piorunami stanowią stałe zagrożenie.

To, co widzą, nie jest jednak dziełem natury. To plantacja na wielką skalę i robotnicy pracujący na niej są wyraźnie widoczni. Wszędzie, gdzie spojrzeć, widać ich mnóstwo i gdy Portia patrzy poza szachownicę drzew, dostrzega stromy kopiec stanowiący zwieńczenie kolonii plantatorów, którego większość kryje się pod ziemią. Nad nim wisi obłok dymu niczym deszczowa chmura.

Pobratymcy Portii doskonale zdają sobie sprawę, że nie są jedynymi mieszkańcami tego świata. Chociaż nie wiedzą, w jaki sposób nanowirus przekształca ich od mileniów, istnieją pewne gatunki, z którymi dzielą prymat na tej planecie, gatunki, które jej lud uznaje za wyższe formy życia. Plwacze są przykładem z dolnego krańca skali, bo ledwie wyrwanym z łap bezwzględnej natury, ale wystarczy spojrzeć w ich małe, niedowidzące oczka, by rozpoznać, że posiadają zaczątek intelektu i tym samym stanowią zagrożenie.

Zachodni Ocean, przy którym mieści się Wielkie Gniazdo Portii, zamieszkuje pewien typ ustonogów, z którym jej lud ma ostrożne, zrytualizowane stosunki. Ich przodkowie byli srogimi, pomysłowymi myśliwymi wyposażonymi w niezwykle bystry wzrok i bardzo groźne naturalne narządy służące do zabijania. Mieszkali kiedyś w koloniach, gdzie spory dotyczące przestrzeni życiowej były na porządku dziennym. Oni też okazali się podatną glebą dla wirusa i rozwijali się równomiernie obok pobratymców Portii. Być może z powodu przebywania w środowisku wodnym oraz naturalnej skłonności do wyczekiwania na zdobycz ich społeczność jest prymitywna według standardów Portii, ale ich dwa gatunki nie mają o co konkurować i w strefie nadbrzeżnej często wymieniają podarki – owoce ziemi za owoce morza.

Jednym z powodów poważniejszego zaniepokojenia są natomiast mrówki.

Portia rozumie naturę mrówek. Nieopodal Wielkiego Gniazda znajdują się ich kolonie i Portia posiada zarówno osobiste, jak i zakodowane genetycznie sposoby postępowania z nimi. Zbiorcze doświadczenie Wielkiego Gniazda dowodzi, że kolonie mrówek to trudne sąsiedztwo. Należy postępować z nimi zdecydowanie – pozostawione samym sobie zawsze będą poszerzać swoje terytorium w sposób szkodliwy dla wszystkich innych gatunków, czyli

naturalnie także dla gatunku Portii. Można było je pokonać – jej odziedziczone Zrozumienie zawiera zapisy takich konfliktów – ale wojna nawet z niewielką kolonią jest kosztowna i wyniszczająca. Można też, co jest korzystniejsze, dostosować się do nich i ograniczać ich wpływy subtelnym modelowaniem postępowania.

Portia wie, że mrówki nie są takie jak jej lud ani jak płwacze czy ustonogi z zachodnich płyczn. Wie, że z pojedynczymi mrówkami nie można się komunikować czy nawet im grozić. Z konieczności zrozumienie tego zagadnienia jest pobieżne, ale też bliskie prawdy. Pojedyncza mrówka nie myśli. Dysponuje złożonym zestawem reakcji na szeroki zakres czynników stymulujących, z których wiele to chemiczne przekazy wysyłane przez inne mrówki. Kolonia nie posiada inteligencji, lecz panuje w niej takie współdziałanie i instynktowna współzależność, że Portii się zdaje, iż *jakaś* istota kryje się za działaniami i reakcjami kolonii.

U mrówek nanowirus poniósł porażkę i odniósł sukces zarazem. W procesie podejmowania decyzji w reakcji na okoliczności wirus wytworzył strategię eksperymentowania i badania, która zbliża się do rygorystycznej metody naukowej, ale nie wytworzył intelektu w pajęczym czy ludzkim rozumieniu tego słowa. Kolonie mrówek rozwijają się i dostosowują, tworzą nowe kasty, badają i wykorzystują środki, wypracowują nowe technologie, udoskonalają je i łączą, a to wszystko bez choćby cienia świadomości, która by tym kierowała. Nie istnieje umysł mrówiska, ale funkcjonuje dogłębna i elastyczna biologiczna machina dyferencyjna, samodoskonalący się mechanizm, którego jedynym celem jest przetrwanie. Nie rozumie, jak funkcjonuje, ale stale poszerza swój behawioralny arsenał i tworzy nowe struktury skutecznymi metodami opracowanymi w procesie prób i błędów.

Portia bardzo niewiele wie na temat samego mechanizmu, ale posiada wiedzę na temat funkcjonowania mrówek. Wie, że pojedyncze mrówki nie są pomysłowe, ale kolonia już tak – w przedziwny sposób – podejmuje coś, co można nazwać przemyślanymi decyzjami. Stosowanie kar i nagród, zawężanie dostępnych kolonii opcji w taki sposób, że najlepsze rezultaty będą po myśli pajaków – mogą prowadzić do tego, że kolonia zaakceptuje granice swego terytorium i swoje miejsce w świecie, a nawet stanie się produktywnym partnerem. Kolonie są doskonałymi przykładami teorii gier – będą współpracować tam, gdzie taki model postępowania jest mniej kosztowny i korzystniejszy niż inne strategie, na przykład wyniszczająca wojna.

Kolonie znane Portii z okolic Wielkiego Gniazda są dziesięć razy mniejsze niż ta, na którą teraz patrzy. Fabian wyjaśnia, że kiedyś było tu kilkanaście wojowniczych kolonii, ale jedna zaczęła dominować. Zamiast wyniszczać sąsiadów, wiodąca kolonia wchłonęła ich we własną strategię przetrwania, pozwalając im istnieć w zamian za poszerzenie swoich włości, korzystanie ze zbieranego przez nich pożywienia i technologii. To pierwsze mocarstwo na świecie.

Portia i jej towarzysze wdają się w krótką, podekscytowaną konwersację. Ta superkolonia leży na tyle daleko, że nie zagraża obecnie Wielkiemu Gniazdu, ale pająki potrafią wybiegać myślą w przód i wyobrazić sobie, że samo jej istnienie naraża ich gatunek w przyszłości. Należy znaleźć odpowiednie wyjście, opracować plan na taką ewentualność, a i krewni Portii w domu będą potrzebowali wszystkich informacji, jakie mogą tu zebrać.

Będą kontynuowali podróż po ziemi mrówek.

Fabian jest zaskakująco przydatny. Sam zapuszczał się jeszcze dalej – w gruncie rzeczy jego rodzina wykształciła sobie taki obyczaj. Jest to niebezpieczne, ale wypracowali metody minimalizowania ryzyka, a kiedy łowy są kiepskie, mrówcza spiżarnia spełnia swoją rolę.

Przybyła nowa kolumna mrówek, żeby zebrać drewno. Pająki wycofują się za drzewa i obserwują owady przy pracy: układają ścięte już drzewa w sterty przy użyciu kwasu i siły swych szczęk. Portia szybko zauważa pewne novum – kastę, której wcześniej nie знаła. Mniejsze gałęzie są oddzielane od pni i zabierane przez z pozoru zwykłe robotnice, a większymi pniami zajmują się mrówki z długimi, zakrzywionymi żuchwami wyposażonymi w poszarpane krawędzie wewnętrzne. Obejmują nimi pień i poruszają szczękami w dół, żeby odciąć kawałek. Te żuchwy jednak nie wydają się naturalną częścią ciała mrówek. Połyskują w świetle słonecznym tak, że Portia jeszcze czegoś takiego nie widziała – sztywne nakładki pełne zębów, dzięki którym odgryzanie i piłowanie drewna przebiega bardzo szybko.

Fabian teraz przejmuje dowodzenie i pająki zastawiają pułapkę na mrówczych drwali, zabijają ich szybko i skutecznie, po czym odrywają im głowy, by zdobyć ich gruczoły zapachowe. Mrówki są mniejsze niż Portia – mierzą od piętnastu do trzydziestu centymetrów – a pająki są silniejszymi, szybszymi i bardziej skutecznymi wojownikami w starciu jeden na jeden. Muszą natomiast unikać wzbudzenia pospolitego ruszenia, gdy spora część kolonii mogłaby się zmobilizować przeciwko nim.

Mrówki porozumiewają się przede wszystkim za pomocą feromonów – zmysły Portii wyczuwają, że powietrze jest aż od nich gęste. Wykorzystują zapach mrówek, by zamaskować swoją obecność. W tym celu zabierają ze sobą odcięte mrówcze głowy i przymocowują je sobie do odwłoków. W najgorszym przypadku spróbują zmylić mrówki, uciekając się do upiornego przedstawienia – będą poruszać czułkami swych ofiar, by udawać próbę komunikacji.

Idą bardzo szybko. Ktoś zauważył brak drwali, ale pierwszą reakcją będzie udanie się na miejsce, gdzie zniknęli, a nie szukanie ich tam, gdzie mogliby być. Droga wiedzie pod górę. Przemierzają obszary mrówczych plantacji i za każdym razem, kiedy docierają do przecinki, jedno z nich przeciąga nić tworzącą trzon tymczasowego mostu. Maskując własny zapach, przechodzą nad głowami mrówek niezauważeni.

Fabian pokazuje im, jak za pomocą kłków można uwolnić z wyrostków na drzewach pielęgnowanych przez mrówki słodki, sycący sok podobny do tego wydzielanego przez mszyce. Wiedzą, że jest to mrówczy przysmak. Ta plantacja to z pewnością wart poznania sekret i Portia dodaje ją do listy spostrzeżeń, które umieści w raporcie po powrocie do domu.

Na razie zmierzają w stronę głównego kopca kolonii, unikając mrówek, kiedy się da, i zabijając je błyskawicznie, kiedy jest to niemożliwe. Każdy, nawet drobny alarm rozleje się szeroką falą po całym gnieździe, aż znaczne siły mrówek zaczną lokalizować intruzów, których obecność zostanie odkryta przez nieuchronną wewnętrzną logikę kolonii.

Celem Portii jest zbadanie głównego kopca, który najwyraźniej kryje więcej tajemnic. Za dnia powietrze faluje nad jego fragmentami i unoszą się słupy dymu z przysadzistych kominów. Nocą niektóre z wejść jarzą się nikłym światłem.

W ciemnościach swego domostwa mrówki rozpalają ogniska w bogatej w tlen atmosferze za pomocą reakcji egzotermicznych substancji chemicznych produkowanych przez przedstawicieli ich pewnych kast. Złożony układ wewnętrznych korytarzy, wykorzystując różnicę temperatur, pobudza ciąg powietrza: ogrzewanie, chłodzenie i napowietrzanie ich gniazd. Mrówki wykorzystują ogień również do oczyszczania gruntu oraz jako broń.

Świat Portii – podstawowa geologia istniejąca przed terraformowaniem – zawiera płytkie pokłady rud metali, a mrówki, budując swoje gniazda, kopią głęboko. W tej kolonii wieki obcowania z ogniem zaowocowały produkcją

węgla drzewnego, co od czasu do czasu nieodłącznie wiązało się z wytapianiem materiału, który pozwolił na wykuwanie narzędzi, gdy ten proces usystematyzowano. Ślepy zegarmistrz nie próżnował.

Portia nie odważa się wejść do samego kopca i kusi ją, by się oddalić ze wszystkimi zebranymi już informacjami. Jednak ciekawość nie daje jej spokoju. Na szczycie kopca, pod wiszącym wokół całunem dymu, znajduje się wieża połyskująca w słońcu tak intensywnie, że przyciąga jej wzrok. Jak wszyscy przedstawiciele jej gatunku, zawsze jest gotowa badać wszelkie nowości. Ten odbijający światło element na samym szczycie kopca... Portia chce się dowiedzieć, co to takiego.

Wyszukuje swoim zwiadowcom punkt obserwacyjny na pobliskiej plantacji i przygląda się ścieżkom, po których poruszają się zastępy robotnic. W mózgu, który wybrzusza spodnią część jej ciała, zachodzi proces myślenia, który rozpoznałby jej mniejsi przodkowie – Portia tworzy wewnętrzną mapę świata, po czym rozkłada go na czynniki pierwsze, by znaleźć najlepszą drogę do miejsca, w które chce się udać.

Pójdę sama, instruuje Biancę. Jeśli nie wrócę, musicie udać się do domu i zdać relację.

Bianca rozumie.

Portia opuszcza się z drzewa będącego jej punktem obserwacyjnym i zaczyna swoją podróż szlakiem, który tak długo opracowywała. Mrówki wędrują wyznaczonymi ścieżkami, które pod ich odnóżami zmieniły się w płaskie, gładkie trasy w najdogodniejszych podejściach. Portia obiera niemal niewidoczną ścieżkę między nimi. Porusza się etapami, przystając, trwając z drzeniem w miejscu, po czym ruszając ponownie, dostosowując się do lekkich podmuchów wiatru, sunąc wraz z nim, jakby była przerośniętym przeganianym przez niego okruczem. Wibracje jej ruchów pochłania entropia otaczającego ją świata. Maskując swój zapach, jest w stanie przemknąć niczym duch obok niemal ślepych mrówek, jakby była niewidzialna.

Kiedy zbliża się do kopca, jej ruchy stają się bardziej skomplikowane i niebezpieczne dla niej samej. Starannie opracowany plan należy co chwila uaktualniać i kilkakrotnie niemal zostaje odkryta. Raz wykorzystuje oderwaną głowę swej ofiary, by przez sekundę markować kontakt i oszukać zabłąkanego owada, który zwrócił na nią zbyt baczna uwagę.

Jej mozolna wędrówka trwa wiele godzin i w końcu zachodzi słońce. Wtedy ustaje ruch mrówek na zewnątrz kopca, co ułatwia Portii podkradanie

się – wreszcie dociera na szczyt.

Jak już zauważyła, mrówki wybudowały tu przysadziłą wieżę, a na jej czubku widać coś nietypowego – jasny kryształ świecący w świetle księżyca. Nie ma pojęcia, do czego może służyć, czeka więc w nadziei, że same mrówki jej to pokażą.

I pokazują, kiedy księżyc zaczyna wędrować ku odległemu horyzontowi. Nagle mrówki zaczynają wychodzić w dużej liczbie na szczyt kopca, tak że Portia musi gwałtownie się przemieszczać ku miejscu, którego najwyraźniej nikt nie zamierza zająć, co wiąże się z zejściem do płytkiego wgłębienia. Owady tworzą kobierzec, sieć ciał, stykając się czułkami i kończynami. Portia nie może wyjść ze zdumienia.

Najwyraźniej na coś czekają – albo też ona tak interpretuje ich zachowanie. Zupełnie nie mrówcze. Niepokoi ją to.

Wtedy jeden z owadów wychodzi z niewielkiego otworu u podnóża wieży i wspina się po niej. Kieruje jeden z czułków w stronę kryształu, drugi zwraca ku zgromadzeniu poniżej. Powiększone, okrągłe oczy Portii zbierają tyle poświaty księżycowej, ile się da, i skupiają się na nowo przybyłym. Jest to zupełnie zwyczajna mrówka. Na czułkach ma sztuczne końcówki, podobnie jak drwale na szczękach, ale jest to cienka nakładka z jakiegoś materiału – metalu, choć Portia nie wie, co to takiego – prawie niewidoczna, tak że mrówka dotyka teraz kryształu cienkim, delikatnym jak włos drucikiem.

I na oczach Portii mrówki zaczynają tańczyć.

Nigdy nie widziała niczego podobnego. Przez cały ich kobierzec przebiega drżenie najwyraźniej wywołane kontaktem metalowego czułka z kryształem, które rozprzestrzenia się na całe zgromadzenie. Zmieniają się w nieustannie poruszającą się falę, bo każdy owad przekazuje swojemu sąsiadowi rytmiczną wiadomość, która wprawia całą kongregację w ekstazę.

Portia przygląda się temu w niemym zachwycie.

Nie zna matematyki. Nie rozumie ciągów arytmetycznych, serii przekształceń pod postacią fal przetaczających się po zbiorowisku – same mrówki też tego nie pojmują – ale jest w stanie dostrzec tu jakiś wzorzec, jakieś głębsze znaczenie tego, co widzi.

Stara się zinterpretować ten widok na podstawie swych doświadczeń i wiedzy odziedziczonej po przodkach, ale w jej historii nie ma niczego, co można by z tym porównać. Mrówki odbierają to tak samo. Ich stała eksploracja świata zaowocowała tym pojedynczym kontaktem z czymś

olbrzymim i niematerialnym i kolonia przetwarza otrzymaną informację, próbuje odgadnąć jej cel, zaprzęgając coraz większy biologiczny potencjał do tego zadania, tak że coraz więcej mrówek drga i kołysze się w pulsującym rytmie odległego sygnału radiowego.

Skupiona na odnalezieniu wzorca i zamysłu całej tej sceny Portia swym bystrym wzrokiem zauważa kolejny element i zastanawia się: *Czy to ważne?*

Podobnie jak ludzie, gatunek Portii bardzo szybko wychwytuje wzorce, czasami tam, gdzie ich nie ma. Dlatego bardzo szybko kojarzy fakty, widząc, że rytm drgań jest zbyt regularny, by mogło to być przypadkowe. Zbiorowisko mrówek rozchodzi się i pospiesznie znika w głębi kopca, bez ostrzeżenia, jak jeden mąż, kiedy podniebny wędrowiec, szybko poruszająca się gwiazda, którą Portia często obserwowała na niebie, znika za horyzontem.

Wtedy szybko opracowuje plan, pospiesznie, bez zastanowienia. Jest zaintrygowana. Jej gatunek musi zbadać każdą nową rzecz, tak jak mrówki, choć w inny sposób.

Kiedy większość owadów znika już w kopcu, zbliża się ostrożnie do wieży, uważając, by nie sprowokować alarmu. Unosząc nogogłaszczki, pozwala, by wiatr je owiał, bada tym samym jego siłę i kierunek, dostosowując do nich swoje ruchy.

Wspina się ostrożnie, aż staje przed kryształem. Nie wydaje się duży, nie dla niej.

Portia robi skomplikowaną siatkę z jedwabnej sieci i trzyma ją w tylnych odnóżach. Jest świadoma, że znajduje się w samym środku wielkiej kolonii mrówek. Każdy błąd skończyłby się bardzo źle.

Reaguje niemal zbyt późno. Jej obecność na skutek wibracji odnóży zostaje odkryta. Niewielka mrówka, która prowadziła ceremonię, nagle wyłania się ze swej norki u podstawy wieży i dotyka jej odnóży nieuzbrojonym czułkiem.

Momentalnie wszczyna alarm, ostry chemiczny sygnał wściekłości i furii, bo oto znalazł się tu obcy, intruz. Kiedy sygnał się rozchodzi, odbierają go strażnicy tunelu i inne kasty pozostające blisko powierzchni. Przekaz idzie dalej ze zwielokrotnioną siłą.

Portia spada na mrówkę i zabija ją jednym ukąszeniem, znowu oddzielając głowę od tułowia, choć wie, że teraz się nie wyłga. Wskakuje na wieżę, szacując jej wysokość, i łapie kryształ na jej szczycie.

Przymocowuje zdobycze do odwłoka za pomocą sieci, choć mrówki już się roją na powierzchni. Widzi całe ich mnóstwo, z narzędziami i nakładkami na

żuchwy, ale w tych okolicznościach opuściła ją nagle ciekawość.

Skacze. Gdyby po prostu zeskokczyła z wieży, wylądowałaby w środku mrówczej cizby i skończyłoby się na tym, że zostałaby pogryziona i rozczłonkowana żywcem. Skacze jednak wzwyż, wypuszczając z tylnych odnóży starannie poskładane zawiniątko gęstej sieci, i daje się unieść podmuchowi wcześniej bardzo dokładnie zbadanego wiatru.

Podmuch nie niesie jej jednak z powrotem do Bianki i innych, ale nie ma nad tym kontroli. W tej chwili priorytetem jest ucieczka, Portia szybuje więc nad głowami rozwścieczonych mrówek, które unoszą żuchwy z metalowymi nakładkami, starając się dociec, gdzie się podziała.

Jej potomkowie będą snuć opowieści o tym, jak Portia wdarła się do świątyni mrówek i wykradła im oko ich boga.

2.7 EXODUS

Guyen nie spieszył się z podjęciem decyzji, kiedy *Gilgamesz* szedł po długiej krzywej wokół samotnej wyspy życia w przepastnej przestrzeni kosmosu, cały czas balansując na granicy prędkości, która mogła wyrzucić ich z pola grawitacyjnego planety.

Twarz doktor Avrany Kern – kimkolwiek czy czymkolwiek naprawdę była – migąła i znikąła z ekranów, czasem wręcz nieludzka w swojej stoickiej cierpliwości, czasem wykrzywiona nienazwanymi, odruchowymi emocjami wściekłej bogini zielonej planety.

Wiedząc, że Kern słuca i nie można jej wyłączyć, Guyen nie mógł zwołać rady swej załogi, ale Holsten podejrzewał, że i tak nie słucałby swych doradców – dowodził i sam ponosił odpowiedzialność.

No i oczywiście przy całym tym bolesnym procesie podejmowania decyzji istniała tylko jedna możliwość. Nawet jeśli Kapsuła Strażnicza nie posiadała broni zdolnej zniszczyć *Gilgamesza*, systemy statku-arki były na łasce i niełasce Kern. Śluzы powietrzne, reaktor i wiele innych urządzeń chroniły tę bańkę przed szponami otaczającej ją próżni – Kern mogła je wszystkie wyłączyć.

– Polecimy – zgodził się w końcu Guyen i Holsten podejrzewał, że nie on jeden poczuł ulgę, słysząc tę odpowiedź. – Dziękujemy pani za pomoc, doktor Avrano Kern. Odnajdziemy te inne systemy solarne i spróbujemy się tam osiedlić. Opuścimy planetę pozostającą pod pani opieką.

Oblicze Kern zaczęło się poruszać na ekranach, wciąż były to przypadkowe ruchy zupełnie niepasujące do słyszanych w głośnikach słów.

– Oczywiście, że tak zrobicie. Zabierzcie swoją beczkę małp gdzie indziej.

Lain zamruczała Holstenowi do ucha:

– O co chodzi z tymi małpami?

Holsten zadawał sobie to samo pytanie.

– Małpa to takie zwierzę. Mamy dane na ich temat. Imperium wykorzystywało je przy eksperymentach naukowych. Wyglądały podobnie do ludzi. O tutaj, mam obrazy...

– *Gilgamesz* obrał kurs – oznajmiła Vitas.

Guyen sprawdził.

– Przekalkulujcie go. Chcę, żebyśmy przelecieli siłą odśrodkową przy tej planecie, przy gazowym olbrzymie.

– Nic nie zyskamy na tym manewrze...

– Po prostu masz to wykonać – warknął dowódca. – Masz... daj mi odpowiednią orbitę.

Vitas wydeła usta.

– Nie rozumiem, co by nam to dało...

– Wykonać – rzucił Guyen, marszcząc groźnie brwi do jednej z podobizn Kern, jakby szukał zwady.

Poczuli zmianę, kiedy reaktor *Gilgamesza* przywrócił pracę silników, gotów wynieść olbrzymią masę statku z wygodnej orbity i ponownie cisnąć go w kosmos.

Bez ostrzeżenia twarz Kern znikła z ekranów i Lain pospiesznie sprawdziła wszystkie systemy, nie znajdując ani śladu ingerencji intruza.

– Ale to o niczym nie świadczy – stwierdziła. – Mogła się tu zagnieździć za pomocą oprogramowania szpiegowskiego i furtek w systemie bezpieczeństwa, kto to wie. – Nie dodała: *Kern mogła nam podłożyć ładunek, żebyśmy eksplodowali gdzieś w kosmosie*, i Holsten stwierdził, że to bardzo miło z jej strony. Wiedział, że wszyscy o tym myślą, ale nie mieli nic do powiedzenia, nie mieli wyjścia. Tylko nadzieję.

Opieramy przyszłość całej ludzkiej rasy na nadziei, zastanowił się. Ale przecież czy cały projekt statków nie opierał się właśnie na niej?

– Mason, powiedz nam o tych małpach – zaproponowała Lain.

Wzruszył ramionami.

– To tylko domniemania, ale to coś mówiło o „programie wywyższeniowym”. O wywyższaniu zwierząt opowiadają stare historie.

– A jak się wywyższa małpę? – Lain przyglądała się obrazom z archiwum.
– Zabawne stworzenie, nie?

– Sygnał wysyłany na planetę opiera się na matematyce – zauważyła Vitas.

– I oni się spodziewają, że małpy na niego odpowiedzą?

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

– Ustaliliście kurs? – zapytał Guyen.

– Oczywiście – padła błyskawiczna odpowiedź Vitas.

– Dobrze. Cały wszechświat należy do nas oprócz jednej planety, na której

warto żyć – oznajmił dowódca. – Nie stawiajcie więc wszystkiego na jedną kartę i nie pokładajcie zbytnej nadziei w miejscu, do którego zmierzamy. Byłaby to czysta głupota – może ono być równie nieprzyjazne jak to tutaj. Może nawet gorsze. Może tam niczego nie być. Chcę, żebyśmy... żeby ludzkość miała tu punkt oparcia, tak na wszelki wypadek.

– Gdzie ma być ten punkt oparcia? – zapytał Holsten. – Sam pan mówił, że to była jedyna planeta...

– O tutaj. – Guyen przywołał na ekran obraz innej planety systemu – prążkowanego, napompowanego gazowego olbrzyma przypominającego niektóre z zewnętrznych planet Układu Słonecznego, po czym zawęził obraz do jej bladego, błękitnawego księżyca. – Imperium skolonizowało kilkanaście księżyców w Układzie Słonecznym. Mamy zautomatyzowane podstawowe urządzenia, które mogą nam tam postawić dom – moc, ogrzewanie, wytwarzanie wody – wystarczy, żeby przetrwać.

– Sugeruje pan, że tak ma wyglądać przyszłość rasy ludzkiej? – spytała beznamiętnie Vitas.

– Prawdziwa przyszłość? Nie, jedna wersja przyszłości – powiedział Guyen do wszystkich. – Najpierw polecimy i sprawdzimy, czy ta Kern przekazała nam wiarygodne dane – w końcu to tutaj nigdzie nie ucieknie. Ale nie postawimy wszystkiego na jedną kartę. Zostawimy za nami działającą kolonię – tak na wszelki wypadek. Inżynierowie, chcę, żeby urządzenia konstrukcyjne były gotowe, kiedy tylko tam dolecimy.

– Hm, no dobrze. – Lain robiła obliczenia, spoglądając na wyświetlacze sensorów *Gilgamesza*, by sprawdzić, co mówią o tym księżycu. – Widzę zamrożony tlen, zamrożoną wodę, nawet ciepło od gazowego olbrzyma, ale... tam wcale nie będzie przytulnie. Automatom zajmie wiele czasu... powiedzmy, całe dekady – żeby wszystko tam postawić, tak by ktoś mógł tam zamieszkać.

– Wiem. Wyznacz zmianę ekipy naukowej i inżynierów, aby budzili się regularnie, żeby sprawdzać postępy. Obudźcie mnie, kiedy będzie blisko końca budowy. – Słyszając gremialny jęk, Guyen spojrział na nich groźnie. – No co? Tak, musimy wracać do naszych komór. Oczywiście, że tak. A coście sobie myśleli? Jedyna różnica polega na tym, że będziemy mieli jeszcze jedną pobudkę przed opuszczeniem tego układu. Będziemy maksymalizować szanse przetrwania gatunku. Zdomowimy się tutaj. – Patrzył na ekrany, na których wciąż było widać stopniowo oddalającą się zieloną kulę Świata Kern.

Niewypowiedziany zamiar powrotu widać było na jego twarzy, można go było wyczytać też w tonie jego głosu.

Tymczasem Vitas przeprowadzała symulacje.

– Dowódco, doceniam cel, ale nie przetestowaliśmy do końca automatycznych systemów konstrukcji baz, a środowisko, w którym zostaną uruchomione, zdaje się ekstremalne...

– Stare Imperium miało swoje kolonie – oznajmił Guyen.

Które wyginęły, pomyślał Holsten. Wszystkie wymarły. To prawda, stało się to podczas wojny, ale przede wszystkim zniknęły, bo nie były ani stabilne, ani samowystarczalne, a kiedy podwaliny cywilizacji zostały zachwiane, nie mogły się same uratować. *Nie zmusicie mnie do życia w takich warunkach, jeśli będę miał wybór.*

– Wszystko jest wykonalne – meldowała Lain. – Mam moduł bazowy gotowy do wystrzelenia za burtę. Wystarczy dać mu odpowiednio dużo czasu, a kto wie, co możemy tam zмайstrować. Prawdopodobnie prawdziwy pałac. Z gorącym i zimnym metanem w każdym pomieszczeniu.

– Zamknij się i do roboty – powiedział jej Guyen. – A reszta przygotować się do stanu zawieszenia.

– Ale najpierw kto chce zobaczyć małpę? – wtrącił się Karst.

Wszyscy popatrzyli na niego obojętnie, a on tylko się uśmiechnął.

– Wciąż odbieram sygnały od ostatniego drona, zapomnieliście? No to popatrzmy sobie.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? – odezwał się Holsten, ale Karst już wysyłał obrazy na ich ekrany.

Dron poruszał się nad baldachimem zieleni, tym niewyobrażalnym bogactwem listowia, którego im odmówiono.

Nagle obraz zapikował i Karst posłał drona w dół, wbijając się w przerwę między drzewami. Urządzenie leciało lekkim zygakiem między koronkami gałęzi. Ujawniany przez nie świat wywoływał prawdziwy podziw i przypominał leśną katedrę z wysokim sklepieniem, zacienioną nachodzącymi na siebie gałęziami, niczym zielone niebo podtrzymywane kolumnami z drzew.

Dron sunął przez tę przepastną, przestronną budowlę natury, trzymając się w równej odległości zarówno od ziemi, jak i od baldachimu.

W oczach załogi *Gilgamesza* widać było łaknienie i gorycz, kiedy tak patrzyli na swoje zakazane dziedzictwo, na Eden stworzony nie dla ludzi.

– Co tam jest na wprost? – zapytała Lain.

– Dron niczego nie wykrywa. Pewnie jakiś błąd w kamerze – odparł Karst i nagle obraz zakołysał się dziko, obracając się w zakłóconym pędzie.

Karst zaklął i już miał wysłać kolejne polecenie, ale dron zdawał się tkwić w czymś niewidzialnym lub prawie niewidzialnym. Holsten widział tylko jakieś rozbłyski w powietrzu, kiedy obraz zakręcił się i zakołysał.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. W jednej chwili patrzyli w pustą przestrzeń na wprost, gdzie ich dron nie był w stanie dolecieć, a potem widok przesłonił jakiś olbrzymi, podobny do dłoni cień. Przez ułamek sekundy zobaczyli szeroko rozstawione kończyny najeżone szczecina, dwa kły niczym zakrzywione haki uderzające wściekle w kamerę z drapieżną szybkością. Po drugim uderzeniu na ekranie zostały tylko pasy.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, nikt się nie odzywał. Niektórzy, jak na przykład Holsten, wpatrywali się tylko w ekran. Vitas cała zeszywniała, a w kąciku jej ust nerwowo drgał mięsień. Lain odtwarzała ostatnie sekundy przekazu, analizując go.

– Mierząc według długości drona i biorąc pod uwagę ustawienia kamery, to coś musiało mieć prawie metr długości – zauważyła w końcu drżącym głosem.

– To nie była żadna pieprzona mała – wykrztusił Karst.

Zielony świat za *Gilgameszem* i jego orbitujący satelita niknęli w oddali, pozostawiając załogę statku w najlepszym przypadku z mieszanymi uczuciami.

— 3 —

WOJNA

3.1 PRZYKRE PRZEBUDZENIE

Został brutalnie wyrwany z błogiej nieświadomości w ciasnym pomieszczeniu zawieszenia, z kołącą się w umyśle myślą: *Czy nie robiłem tego już wcześniej?* To pytanie pojawiło się, zanim był w stanie przypomnieć sobie, jak się nazywa.

Holsten Mason. Brzmi znajomo.

Wracały do niego fragmenty pamięci, jakby mózg odhaczał kolejne punkty z listy.

...z Lain...

...zielona planeta...

...Imperialny C...

...Czy chcę rozmawiać z Elizą?...

...Doktor Avrana Kern...

...kolonia na księżycu...

Kolonia na księżycu!

I aż podskoczył w pełnej świadomości, z całkowitą pewnością, że zaraz wyślą go do kolonii, na ten mroźny ugór z niemal zamarznąłą atmosferą, którą Vrie Guyen wybrał na przyczółek nowego domu dla ludzkości. Guyen nigdy go nie lubił. Guyen już go nie potrzebował. Budzili go teraz, żeby przetransportować do kolonii.

Nie...

Dlaczego mieliby go budzić przed wysyłką? Jaki wkład mógłby wnieść w powstawanie lunarnej kolonii? Już go tam zabrali śpiącego w kapsule. Budził się w zaczątkach bazy, by zajmować się kadziami szczepów bakterii przez całą wieczność.

Nie potrafił odgonić myśli, że już mu to zrobili, i próbował kopać i walić w ścianki kapsuły zawieszenia, krzycząc na cały głos do siebie, napierając na zimny plastik ramionami i kolanami, ponieważ nie mógł podnieść rąk.

– Nie chcę tam jechać! – krzyczał, choć wiedział, że już tam jest. – Nie możecie mnie zmusić! – Choć wiedział, że mogli.

Nagle wieko się otworzyło – odskoczyło, kiedy zamek puścił – i niemal

wyrzuciło go ze środka, tak że spadł twarzą na podłogę. Pochwyciły go czyjeś ręce i przez chwilę tylko się rozglądał, nie mogąc dociec, gdzie się znajduje.

Nie, nie, nie, wszystko w porządku. To pomieszczenie podstawowej załogi. Wciąż jestem na Gilgameszu. Nie jestem na księżycu. Nie zabrali mnie tam...

Ramiona, które go pochwyciły, niezbyt delikatnie stawiały go do pionu i kiedy kolana się pod nim ugięły, ktoś chwycił go mocno i pchnął na kapsułę tak, że wieko zamknęło się z hukiem, przytrzaszczając mu fałdę kombinezonu.

Ktoś krzyczał do niego. Krzyczeli, żeby się zamknął. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wrzeszczał na nich – powtarzał raz za razem, że nie chce lecieć i że nie mogą go zmusić.

Jakby na przekór temu przekonaniu ten, który go trzymał, walił go na odlew w twarz i Holsten słyszał, jak jego własny głos cichnie do zaskoczonego skomlenia, zanim zdołał nad nim zapanować.

Mniej więcej wtedy zrozumiał też, że w pomieszczeniu znajduje się czworo ludzi i że nie zna nikogo z nich. Trzech mężczyzn i kobieta – nieznajomi, nigdy ich nie widział. Mieli na sobie kombinezony z ich statku, ale nie należeli do podstawowej załogi. A nawet jeśli, to Guyen ich nie obudził, kiedy mijali zieloną planetę.

Holsten zamrugał gwałtownie. Przytrzymujący go mężczyzna był wysoki, szczupły, o długich kościach, chyba w wieku Holstena, z niewielkimi szramami wokół oczu, które były śladem niedawnej interwencji chirurgicznej – co oznaczało, że wykonano ją kilkanaście tysięcy lat temu, zanim ułożyli go do snu.

Mason spoglądał na pozostałych – na młodą kobietę o mocnej budowie ciała, niewielkiego, szczupłego mężczyznę o wąskiej twarzy, która wykrzywiła się z jednej strony, być może pod wpływem przebywania w komorze zawieszenia, przysadzystego mężczyznę o mocnej szczęce, który stał przy włączniku i cały czas zerkał na zewnątrz. Miał w ręku broń.

Miał broń.

Holsten wpatrywał się w coś, co wyglądało jak pistolet. Wciąż miał problemy ze zrozumieniem, na co patrzy. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego ktoś miałby tu trzymać broń w pogotowiu. Oczywiście na pokładzie *Gilgamesza* znajdowała się broń. Miał tego świadomość, bo wśród wszystkich przedmiotów ze starej Ziemi wniesionych na pokład arki z całą pewnością nie pominęli broni. Z drugiej strony, broń nie była rzeczą, którą można wymachiwać na statku pełnym delikatnych urządzeń z zabójczą próżnią

czyhającą na zewnątrz.

Chyba że broń miała posłużyć do zmuszenia go do lotu na kolonię księżycową – ale do tego nie potrzeba było broni. Karst czy też kilku jego ochroniarzy wystarczyłoby w zupełności i nie wiązałoby się to z ryzykiem uszkodzenia czegoś istotnego na pokładzie *Gilgamesza*. Czegoś bardziej istotnego niż Holsten Mason.

Próbował zadać inteligentne pytanie, ale tylko coś zamamrotał.

– Słyszeliście to? – zapytał pozostałych wysoki, szczupły mężczyzna. – Nie chce iść. No i co wy na to?

– Scoles, ruszajmy – zasyczał ten przy drzwiach, ze spluwą.

Holsten wodził wzrokiem za bronią.

Chwilę później znalazł się między Scolesem i kobietą, którzy po trosze go pchali, po trosze przeciągali niezdarnie przez właz. Ten z bronią szedł na czele, celując nią przed siebie. Ostatni rzut oka na pomieszczenie, zanim ten z wąską twarzą zamknął właz, upewnił Holstena, że wyświetlacze na panelach komór zawieszenia informowały, iż wszystkie są puste. Był ostatnią osobą, której pozwolono pospać dłużej.

– Niech mi ktoś powie, co się dzieje – rzucił stanowczo, choć zabrzmiało to jak bełkot.

– Potrzebujemy cię – zaczęła kobieta.

– Zamknij się – warknął Scoles i kobieta zamilkła od razu.

Wtedy właśnie Holsten się przekonał, że może człapać o własnych siłach, ale oni ciągnęli go szybciej, niż był w stanie powłóczyć nogami. Chwilę później usłyszał jakieś hałasy z tyłu, tam skąd przyszli, jakby ktoś rzucał czymś ciężkim. W tej samej sekundzie facet z bronią odwrócił się i zaczął się ostrzeliwać, a Holsten zrozumiał, że były to odgłosy wystrzałów. Pistolet szczekał cichutko, co było dziwnie mało imponujące, jakby wielki pies szczekał falsetem. W odpowiedzi usłyszał dudnienie, które zatrzęsło powietrzem i wtargnęło w bębunki, jakby w pomieszczeniu obok rozpętał się gniew Boga. Broń hukowa, rozpoznał – do tłumienia demonstracji, której zasada działania opiera się na detonacji fragmentów powietrza. Teoretycznie niegroźna i z całą pewnością mniej szkodliwa dla statku.

– Kto do nas strzela? – wykrztusił i tym razem słowa w jego własnych uszach zabrzmiały jasno i wyraźnie.

– Twoi przyjaciele – odpowiedział zdawkowo Scoles, co w tych okolicznościach dało mu palmę pierwszeństwa w konkursie na najmniej

pocieszającą odpowiedź na świecie. Tym samym utwierdziło to Masona w przekonaniu, że nie uważają go za przyjaciela i że jego prawdziwi przyjaciele – kimkolwiek byli – mieli w najlepszym przypadku ambiwalentne odczucia w kwestii zrobienia mu krzywdy.

– Czy statek... coś nie tak ze statkiem? – zapytał, a ton jego głosu ujawnił jemu samemu, jak musi być przerażony. Jego myśli kotłowały się wokół czegoś trzymanego w najgłębszych zakamarkach umysłu, co teraz przesączało się wolno przez rozmarzającą ścianę komory zawieszenia.

– Zamknij się albo zrobię ci krzywdę – zapowiedział Scoles tonem sugerującym, że sprawi mu to przyjemność.

Holsten się zamknął.

Ten o wąskiej twarzy włókł się za nimi i nagle padł na ziemię. Holsten pomyślał, że się potknął – nawet próbował odruchowo mu pomóc – nieskutecznie, ale został odciągnięty. Tamten jednak nie wstawał, a rewolwerowiec przykląkł przy trupie, wyciągnął drugi pistolet zza jego paska i wycelował w atakujących, których Holsten nie widział.

Strzał. Żadna tam broń hukowa. Ci po drugiej stronie – podobno przyjaciele Holstena – najwyraźniej wyczerpali swoje pokłady cierpliwości, ostrożności i litości.

Nagle nadeszły dwie osoby, by dać wsparcie rewolwerowcowi – mężczyzna i kobieta, oboje uzbrojeni – i nawałnica ognia zwiększyła się dramatycznie, ale po wolniejszym kroku Scolesa widać było, że czuje się bezpieczniej. Czy przekładało się to na zwiększone bezpieczeństwo Holstena, wciąż pozostawało palącą kwestią. Instynktownie chciał zasypać prześladowców wszelkiego rodzaju protestami, pytaniami, błaganiami i nawet groźbami, ale ugryzł się w język.

Kiedy go ciągnęli korytarzem, minęli kolejną grupkę uzbrojonych ludzi – nieznanym w kombinezonach – po czym przepchnięto go przez jakiś wąż i bezceremonialnie rzucono na podłogę w niewielkim pomieszczeniu sterowniczym, które było tylko wąską przestrzenią między dwiema konsolami z ekranem zajmującym większość tylnej ściany.

Tam zobaczył kolejnego zbrojnego, którego zaskoczenie na jego widok było tak wielkie, że prawdopodobnie był o krok od zastrzelenia go. Znajdował się tam też inny więzień. Kobieta siedziała oparta plecami o jedną z konsol, z rękami spętanymi z tyłu. Była to Isa Lain, główny inżynier.

Cisnęli go obok niej, w ten sam sposób wiążąc mu ręce. Scoles zdawał się

stracić wszelkie zainteresowanie jego osobą i wyszedł na zewnątrz, by zatopić się w szeptanej, gorączkowej dyskusji z innymi, z której Holsten wyłapywał jedynie pojedyncze słowa. Nie słyszał już wystrzałów.

Kobieta i rewolwerowiec, którzy go tu przywiedli, wciąż przebywali w pomieszczeniu, co oznaczało, że nie zmieściłby się w nim już nikt inny. Powietrze było zatęchłe i gorące i śmierdziało ostro potem oraz nieznacznie moczem.

Holsten złapał się na tym, że zaczął się zastanawiać, czy to nie sen, czy nie śniło mu się to wszystko od czasu opuszczenia Ziemi – czy jakaś wadliwa komora zawieszenia nie wywołała tych halucynacji, w których on, filolog klasyczny, nagle został uznany za potrzebną i użyteczną postać wśród załogi.

Zerknął na Lain. Patrzyła na niego żałośnie. Uderzyło go, że na jej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, a włosy podrosły na tyle, że nie przypominały już jeża. *Dogania mnie. Czy wciąż jestem najstarszym facetem we wszechświecie? Pewnie tak.*

Zerknął na wartowników, którzy zdawali się zwracać większą uwagę na słowa Scolesa na zewnątrz niż na dwójkę więźniów. Wyszeptał:

– Co tu się dzieje? Kim są ci wariaci?

Lain popatrzyła na niego posępnie.

– To koloniści.

Zastanowił się nad tym słowem, otwierającym drzwi do ukrytej przeszłości, w której ktoś – pewnie Guyen – spartolił wszystko na całej linii.

– O co im chodzi?

– Żeby przestali być kolonistami.

– No tak, mogłem się domyślić, ale... oni mają broń.

Jej wyraz twarzy powinien wyrażać teraz pogardę, bo była to oczywistość w sytuacji, gdy należało ważyć słowa – ale tylko wzruszyła ramionami.

– Dostali się do zbrojowni, zanim wszystko się zaczęło. No i tyle pozostało, kurwa, po *ochronie* Karsta.

– Chcą przejąć statek?

– Jeśli będą musieli.

Podejrzał, że Karst z ochroniarzami chciał odkupić swoje winy i robił, co mógł, by ich powstrzymać, choć najwyraźniej wydarzenia eskalowały do strzelania w kruchych korytarzach statku. Nie miał pojęcia, ile osób jest w to zamieszanych. Kolonia księżycowa mogłaby pomieścić przynajmniej kilka tysięcy kolonistów, może więcej, gdyby przenieść tam komory zawieszenia.

Przecież to niemożliwe, żeby tylu buntowników ganiało się po pokładzie *Gilgamesza*. A ilu ludzi ma Karst? Czy budził ekipę pomocniczą, żeby zrobić z nich posłusznych żołnierzy, wciskając im broń w zimne palce?

– Co się stało? – zapytał i pytanie to było skierowane raczej do całego wszechświata niż do konkretnej osoby.

– Miło, że pytasz. – Scoles wcisnął się do pomieszczenia, dosłownie przepychając się łokciami koło rewolwerowca, żeby ten zrobił mu miejsce. –

Co tam mówiłeś, jak cię wyciągnęliśmy z wyrka? Nie chcę lecieć, tak? No to witamy w klubie. Nikt się nie pisał, żeby wylądować w jakiejś zamarzniętej na kość pułapce na księżycu, na którym nie ma atmosfery.

Holsten wpatrywał się w niego przez chwilę i zauważył, że chudzielec zaciska pięści, a skóra wokół oczu i ust drga w nerwowym tiku – podejrzewał, że to skutek działania jakiegoś leku, dzięki któremu ten człowiek nie śpi nie wiadomo od jakiego czasu. Scoles nie miał broni, ale był niebezpiecznym, gwałtownym facetem przypartym do muru.

– Ach, proszę pana... – zaczął Holsten tak spokojnie, jak tylko mógł. – Pewnie pan wie, że jestem Holsten Mason, filolog klasyczny. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście to mnie pan potrzebował, bo jeśli chciał pan znaleźć kogoś na... na zakładnika albo... Naprawdę nie wiem, co się tu dzieje. Jeśli jest coś... jakiś sposób, żebym...

– Żebyś ocalił skórę? – przerwał mu Scoles.

– No właśnie...

– To nie zależy ode mnie – odparł lekceważąco Scoles i już chciał się odwrócić, ale spojrzał ponownie na Holstena. – Dobra, kiedy ostatni raz byłeś wybudzony, rzeczy miały się inaczej. Ale, możesz mi wierzyć, dużo wiesz – znasz wiele pożytecznych rzeczy. I rozumiem, że nie jesteś tu winny, staruszku, ale chodzi o ludzkie życie, setki istnień. Tkwisz w tym po uszy, czy to ci się podoba czy nie.

Nie podoba mi się, pomyślał posępnie Holsten, ale cóż mógł powiedzieć?

– Dajcie znać do centrum komunikacji – rozkazał Scoles i kobieta przekręciła się w stronę konsoli, dosłownie przysiadając Holstenowi na ramionach, gdy wysyłała wiadomość.

Trochę później na ekranie pojawiło się srogie oblicze Guyena, który patrzył na wszystkich złym okiem. On też wyglądał, jakby mocno się posunął i odebrano mu resztki uprzejmości.

– Rozumiem, że nie zamierzacie złożyć broni – warknął dowódca

Gilgamesza.

– Dobrze rozumiesz – odparł beznamiętnie Scoles. – Mamy tu jednak twojego przyjaciela. Może zechcesz odnowić znajomość. – Szturchnął Holstena w głowę dla podkreślenia swych słów.

Guyen spoglądał przymrużonymi oczami.

– No i co z tego? – W ogóle nie było widać, że rozpoznaje Holstena.

– Wiem, że go potrzebujesz. Wiem, dokąd zamierzałeś uciec, zostawiając nas wszystkich na tym pustkowiu – mówił Scoles. – Wiem, że będziesz potrzebował swojego słynnego filologa, kiedy odnajdziesz tę starą technologię, której jesteś tak pewien. I nawet nie myśl o szukaniu kogoś w manifestach *ładunku*. – Powiedział to z gorzkim naciskiem człowieka do niedawna będącego jedynie częścią ładunku. – Ponieważ to nasza Nessel jest druga w kolejności – nie jest może taką ekspertką jak ten tutaj staruszek, ale wie więcej niż inni. – Klepnął w ramię kobietę obok niego. – No to pogadajmy, Guyen. Albo marnie widzę szanse przetrwania twojego filologa i twojej pani inżynier.

Guyen popatrzył na niego – na wszystkich – całkowicie bez emocji.

– Zespół inżynier Lain może poradzić sobie sam podczas jej absencji – powiedział, jakby mówił o jakiejś niegroźnej chorobie zakaźnej. – Co do tego drugiego, to mamy już kody aktywacji instalacji Imperium. Poradzi sobie z nimi zespół naukowy. Nie będę negocjował z kimś, kto nie uznaje mojej władzy.

Jego twarz zniknęła, ale Scoles jeszcze długo wpatrywał się w pusty ekran, zaciskając pięści.

3.2 OGIEŃ I MIECZ

W zielonym świecie minęło wiele pokoleń w nadziei, strachu, z odkryciami i porażkami. Dawno przewidziana przyszłość mijała bez śladu.

Kolejna Portia z Wielkiego Gniazda przy Zachodnim Oceanie jest tym razem wojowniczką zgodnie z charakterem swego gatunku.

Mieszka nie w Wielkim Gnieździe, lecz w innej metropolii pajaków – nazywanej przez nich Siedmioma Drzewami. Portia przebywa tu jako obserwatorka i żeby służyć pomocą. Wokół niej panuje nieopisany rwetes, bo członkowie tutejszej społeczności pędzą dokądś, skaczą, zajęci pilnymi sprawami, a ona ich obserwuje, bystry wzrok notuje wszelkie przejawy chaosu i porównuje ten widok do wzburzonego kopca mrówek. Jest zdolna do gorzkiej refleksji – oto okoliczności zepchnęły jej lud do poziomu wrogów.

Czuje strach i rosnący niepokój, od którego aż tupie i porusza nogogłaszczkami. Jej lud bardziej nadaje się do ataku niż obrony, ale w tym konflikcie nie udało im się przejąć inicjatywy. Będzie musiała improwizować. Tego, co nastąpi za chwilę, nie można zaplanować.

Może zginąć, jej oczy spoglądają w otchłań i sycą ją grozą zagłady, niebytu, który jest być może schedą wszelkiego życia.

Posłańcy nadają sygnały za pomocą flag, podobnie ci z posterunków wysoko na drzewach, gdzie wznoszą się jedwabne rusztowania Siedmiu Drzew. Sygnalizują regularnie. Odliczając – ile czasu zostało do nadejścia wroga. Rozciągnięte między drzewami liny sygnalizacyjne wraz z ich domostwami z pajęczyny tętnią gwarem rozmów, jakby społeczność buntowała się przeciw zagładzie.

Ani śmierć Portii, ani zniszczenie Siedmiu Drzew nie są nieuchronne. Społeczność ma swoich obrońców, gdyż w tym czasie, w tym wieku każda pajęcza osada posiada wojowników, którzy cały czas szkolą się do walki. Portia znalazła się tutaj wraz z tuzinem walecznych z Wielkiego Gniazda, by wesprzeć swoich pobratymców. Noszą pancerze z drewna i jedwabiu i mają proce. Są rycerzami swego świata, stają oko w oko z wrogiem, który przewyższa ich liczebnością stukrotnie.

Portia wie, że musi się uspokoić, ale jest zbyt poruszona, by się opanować. Potrzebuje jakiejś otuchy z zewnątrz.

Znajduje ją na wysokim stanowisku w głównym drzewie gniazda. Jest tu rozpięty jedwabny namiot o ścianach splecionych w skomplikowane wzory geometryczne, gdzie splatające się linie przebiegają zgodnie z precyzyjnym zamysłem artysty. Kilkoro z jej rodu już tu szuka otuchy u wszechświętych, zapewnienia, że na świecie istnieje coś więcej, niż ich zmysły są w stanie wychwycić, że istnieje jakieś większe Zrozumienie. Że nawet kiedy wszystko wydaje się stracone, nie musi tak być.

Portia kuca wraz z nimi i zaczyna prząść węzły nici układające się w język liczb, święty tekst zapisywany wciąż na nowo, za każdym razem, kiedy ktoś z jej ludu klęka w nabożnej kontemplacji, i zjadany, kiedy wstają. Urodziła się z tym Zrozumieniem, ale również nauczyła się tego, przychodząc do Świątyni w młodym wieku, tak jak przyszła teraz. Wrodzone, podkrecone wirusem Zrozumienie matematycznych transformacji, które odziedziczyła, nie inspiruje jej w taki sam sposób jak wtedy, gdy pod okiem nauczycieli z wolna dochodzi do objawienia, że to, co opisują te pozornie dowolne ciągi cyfr, nie jest tylko zwykłą nowinką, lecz oczywistą i wewnętrznym spójną uniwersalną prawdą.

Oczywiście w Wielkim Gnieździe, w jej domu, mają kryształ, który przekazuje te prawdy na własny, nieopisany sposób – kryształ skupiający teraz większość znacniejszych sieci, do których odbywają się pielgrzymki z mniejszych ośrodków, często z bardzo daleka, wszyscy chcą go zobaczyć. Obserwowała, jak kapłanka wotywna dotyka kryształu metalową różdżką, odbierając pulsującą wiadomość z nieba i tańcząc do tej niebiańskiej arytmetyki na użytek kongregacji. W takich momentach Portia wie, że Emisariuszka jest na niebie nad ich głowami, zatraca się w swej nieustannej podróży – czy to widoczna w nocy, czy skryta w jasności dziennego światła.

W Siedmiu Drzewach nie ma kryształu, ale proste powtarzanie przekazu w całej jego zdumiewającej, lecz spójnej złożoności, snucie nici, pochłanianie jej i snucie od nowa jest uspokajającym rytuałem, który koi skołatany umysł Portii i pozwala jej z wielkim opanowaniem stawić czoło temu, co wkrótce nadejdzie.

Jej lud rozwiązał matematyczne zagadki postawione przez orbitującego satelitę – Emisariuszkę, jak go nazywają – ucząc się wyników najpierw na pamięć, a potem z pełnym zrozumieniem, co jest obywatelską i religijną powinnością. Pojawienie się tego sygnału skupiło uwagę większości gatunków

w stosunkowo krótkim czasie, z powodu ich wrodzonej ciekawości. Jest to coś, co ewidentnie pochodzi gdzieś z oddali, i to ich fascynuje – mówi im, że świat jest większy, niż przypuszczają. Kieruje ich myślenie na nowe tory. Piękno matematyki jest obietnicą wszechświata cudów, jeśli tylko trochę mocniej wyteżą umysły – to skok, do którego są już prawie gotowi.

Portia tka i rozplata, i znów tka, uśmierzając trawiące ją troski, zastępując je niezaprzeczalną pewnością, że istnieje coś więcej. Cokolwiek się dzisiaj wydarzy, nawet jeśli skończy we wzmocnionych żelazem żuwaczkach swych wrogów, w życiu istnieje głębszy wymiar niż ten, który da się zmierzyć i wyliczyć, i dlatego... któż to wie?

Nadchodzi ten moment i Portia wycofuje się ze Świątyni, by chwycić za broń.

Osady ludu Portii różnią się znacznie od tych tutaj, ale dla ludzkiego oka jest to bezładna plątanina na granicy koszmaru. Siedem Drzew powiększyło się od pierwotnej siódemki i gęstwina pni jest powiązana setkami tysięcy lin, z których każda ma swoje przeznaczenie, każda ma spełnić swój cel, czy to konstrukcyjny, komunikacyjny czy łącznościowy. Wibracyjny język pajaków doskonale się przenosi po jedwabnych niciach na pewną odległość i jego użytkownicy wynaleźli węzły napiętych zwojów wzmacniające sygnał, tak że przy spokojnej pogodzie można się komunikować na wiele kilometrów między miastami. Jej gatunek mieszka w jedwabnych namiotach wspartych napiętymi linami i układających się w różne kształty stosowne dla gatunku, który wie, że swój żywot w trzech wymiarach i może zwisać z pionowej ściany z taką samą łatwością, jak odpoczywać na poziomej powierzchni. Miejsca spotkań to obszerne pajęczyny, w których słowa mówcy są przekazywane odbiorcom za pomocą tańca na jej festonach. W samym środku znajduje się rezerwuuar zasłaniający większość miasta – wodoodporna sieć zbierająca deszczówkę i spływy z wielkiego obszaru wokół Siedmiu Drzew, a woda jest tu kierowana przez kanaliki i rury z mnogich łapaczy deszczu.

Wokół Siedmiu Drzew las został wycięty przez niemal oswojone miejscowe mrówki. Poprzednio była to tylko przecinka. Teraz zmieni się w pole bitwy.

Portia pełźnie i skacze przez Siedem Drzew, i widzi, że strażnicy sygnalizują pierwsze starcia z wrogiem – uruchomiły się automatyczne środki obrony miasta. Wszędzie trwa ewakuacja i ci, którzy nie są zawodowymi żołnierzami, zbierają, co mogą – zapasy i drobne przedmioty, których nie da

się odtworzyć – i opuszczają miasto. Niektórzy niosą jaja przyklejone do odwłoków. Wielu niesie przywierające do nich młode. Te młode, które nie mają tyle oleju w głowie, żeby się z nimi zabrać, niechybnie zginą.

Portia zwinnie wspina się na jedną z wież obserwacyjnych i spogląda ku linii drzew. Gdzieś tam armia setek tysięcy mrówek naciera na Siedem Drzew. To odnoga tej samej wielkiej kolonii, do której jej antenatka poszła na zwiady – wielowiekowa kompozytowa forma życia, która dzień za dniem zawłaszcza kolejne terytoria.

Las jest pełen pułapek. Są sieci gotowe schwytać nieostrożne mrówki. Są liny rozpięte między gruntem a baldachimem konarów, które przylgną do nieostrożnego owada i wyrzucą go wysoko w górę, żeby utknął w gałęziach. Są rowy i jamy, ale to nie wystarczy. Nacierająca kolonia stawia czoło tym niebezpieczeństwom, jak zwykle poświęcając część swych zasobów, żeby je zneutralizować, tak że główne uderzenie nawet nie zwolni. Istnieje kasta zwiadowców przeznaczonych na zatrącenie, która podąża przed główną kolumną mrówek, aby w samobójczym szale rozbijać te wszystkie pułapki.

Wśród drzew widać jakiś ruch. Portia skupia się na nim, widząc, jak zwiadowcy, którzy przeżyli natarcie w chaotycznej masie, postępują zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Teren pomiędzy nimi i Siedmioma Drzewami nie obfituje w większą liczbę pułapek, ale muszą pokonać inne przeszkody. Miejscowe mrówki spadają na nich błyskawicznie, robiąc wypad na pierwszą linię, by kąsać i rozszarpać, tak że kilka metrów za linią drzew zaczyna się prawdziwa jatka walczących owadów, które beznamiętnie rozczłonkują wroga, by po chwili podzielić jego los. Ludzkie oko nie rozpoznałoby dwóch frakcji mrówek z różnych kolonii, ale Portia potrafi dostrzec różnice w ubarwieniu i wzorach na pancerzach, które sięgają nawet zmian widocznych w ultrafiolecie. Przygotowuje swoją procę.

Pajęczy obrońcy zaczynają ostrzał ciężką amunicją, zwykłymi kamieniami zebranych z ziemi, wybranymi za sprawą swych rozmiarów i kształtów. Celują w zwiadowców, którzy wyrwali się z mrówczego młyna, biorąc ich na cel z morderczą dokładnością, a każdy strzał jest wyliczony i oszacowany. Mrówki nie umieją uchylać się czy reagować w inny sposób, nie mogą nawet dostrzec obrońców na ich stanowiskach strzeleckich. Śmierć zbiera obfite żniwo i byłoby to dla mrówek tragiczne w skutkach, gdyby nie fakt, że jest to awangarda przeznaczona na straty, by zrobić miejsce liczniejszemu oddziałom.

Niektórzy ze zwiadowców docierają do podnóża Siedmiu Drzew pomimo

ostrzału. Ale na wysokości metra na każdym ogołoconym pniu drzewa znajdują się zapory z sieci ustawione pod różnymi kątami – powierzchnie, których mrówki nie są w stanie się chwycić. Wspinają się i spadają, wspinają i spadają, początkowo bezmyślne w swym uporze. Wtedy następuje koncentracja przekazywanych informacji i zmieniają taktykę, wspinając się jedna po drugiej, by stworzyć żywą, piętrzącą się konstrukcję, która pnie się na oślep do góry.

Portia wystukuje odnóżami wezwanie do broni i jej siostry z Wielkiego Gniazda stają w szyku wokół niej. Miejscowi obrońcy są gorzej uzbrojeni, nie mają ani doświadczenia, ani wrodzonego Zrozumienia zasad wojny z mrówkami. Wraz z towarzyszkami Portia prowadzi natarcie.

Spadają błyskawicznie z dużej wysokości na mrówczych zwiadowców i biorą się do roboty. Są o wiele większe, silniejsze i szybsze. Przy ukąszeniu wstrzykują jad, ale jest on najbardziej skuteczny wobec pajaków, więc kłami rwą ciała mrówek, oddzielając głowy od tułowia. Przede wszystkim jednak górują nad swymi wrogami inteligencją i lepiej wychodzą im manewry, kontry i uniki. Rozdzierają na sztuki żywe mosty mrówczych zwiadowców, z wściekłym pośpiechem, zawsze w ruchu, nie pozwalając, aby mrówki je oblażyły.

Portia odskakuje na pień, po czym rzuca się, by bez wysiłku przywrzeć do tego samego nawisu z jedwabnej sieci, po którym mrówki nie dają rady się wspiąć. Wisząc głową w dół, widzi kolejny ruch przy granicy drzew. Przybyła główna kolumna wojsk.

Nowe mrówki są większe – choć wciąż mniejsze niż ona. Pochodzą z różnych kast i każda ma swoją specjalność. Na czele kolumny, już przyspieszając za zapachem zwiadowców, ku Siedmiu Drzewom nadchodzą wstrząsacze. Ich niezwykle żuchwy najeżone są kolczastymi, metalowymi ostrzami podobnymi do piły. Mają też pancerze chroniące ich ciało od głowy aż do końca tułowia. Mają skupić na sobie uwagę obrońców i drogo sprzedać życie, żeby pozwolić bardziej niebezpiecznym kastom zbliżyć się do celu.

Mnóstwo wrogów wkracza do tuneli gniazda miejscowych mrówek, rozsiewając otumaniające substancje chemiczne, co dezorientuje obrońców, a nawet sprawia, że przyłączają się do agresorów. To jeden ze sposobów, w jaki rośnie tak wielka kolonia – pozyskuje sobie inne mrówcze gniazda, zamiast je niszczyć. Dla obcych gatunków, do jakich należy Portia, nie ma litości.

W Siedmiu Drzewach pozostałe w mieście samce ciężko pracują. Niektóre uciekły, ale większość ewakuowanych to samice. Samca zawsze można zastąpić, zawsze płaczą się pod nogami, zawsze jest ich za dużo. Wielu dostało rozkaz, by pozostać w mieście do końca pod karą śmierci. Niektóre i tak uciekły, ryzykując, ale i tak jest ich mnóstwo, by przecinać liny łączące osadę z ziemią, aby uniemożliwić mrówkom wspięcie się na górę. Inne kursują pospiesznie od rezerwuaru z jedwabnymi gęstymi torebkami wypełnionymi wodą. Portia z aprobatą przygląda się takiemu gospodarowaniu.

Zbliża się pierwszy szereg kolumny. Opancerzone mrówki nie są tak podatne na strzały z procy, ale teraz do gry wchodzi inny rodzaj amunicji. Pobratymcy Portii mają dryg do chemii. Żyjąc w świecie, w którym zapach ma kluczowe znaczenie – jest śladowo wykorzystywany w ich języku, lecz stanowi olbrzymią część sposobu określania się reszty świata – wykształcili liczne dziedziczne Zrozumienia, jeśli chodzi o mieszanie i łączenie substancji chemicznych, a szczególnie feromonów. Procarze miotają zawinięte w jedwab kulki z cieczą, która rozbryzguje się między nacierającymi mrówkami. Uwolniony w ten sposób zapach tłumi woń nacierających, uniemożliwiając im nie tylko komunikowanie się z sobą, ale też myślenie czy identyfikację. Dopóki związki chemiczne się nie rozproszą, spryskane nimi grupy atakujących pozostaną całkowicie dezorientowane, pierwotny instynkt każe im się wycofywać i nie będą stosownie reagować na bieżącą sytuację. Ich formacja traci impet i załamuje się, a niektóre osobniki walczą między sobą, nie potrafiąc rozpoznać kamratów. Portia i pozostali obrońcy atakują błyskawicznie, zabijając tylu wrogów, ilu zdołają, dopóki trwa to zamieszanie.

Obrońcy ponoszą straty. Metalowe mrówcze szczęki potrafią odcinać odnóża, rozrywać ciała. Wojownicy Portii mają na sobie pancerze z jedwabiu i miękkiego drewna dla obrony przed metalowymi zębami, a w razie potrzeby zrzucają je i naprawiają, jeśli się da. Szpica wciąż naciera pomimo wszystkich wysiłków obrońców.

Samce polewają wodą dolne partie Siedmiu Drzew, co ma uchronić miasto przed rozprzestrzenieniem się ognia, mrówcza kolonia bowiem szykuje się do użycia prawdziwej broni.

Niedaleko Portii rozbłyska i bucha płomień, spowijając dwójkę jej towarzyszy, są niczym chwiejące się, kurczące i gasnące pochodnie. Nowa kasta mrówek posiada zasobnik substancji chemicznych w odwłoku, tak jak pewne gatunki żuków. Kiedy wystawiają odwłoki do przodu i mieszają te

substancje, następuje gwałtowna reakcja egzotermiczna, oprysk podgrzanym płynem. Atmosfera świata Portii posiada o kilka procent więcej tlenu niż Ziemia, wystarczy, by żrąca mikstura uległa samozapłonowi.

Technologia ludu Portii opiera się na jedwabiu i drewnie, a potencjalną energię dają im napięte liny i prymitywne sprężyny. Tę odrobinę wykorzystywanego metalu kradną od mrówek. Niepotrzebny im ogień.

Portia wznosi się i sięga po procę. Mrówki miotające ogniem są zabójcze na małą odległość, ale bezbronne wobec jej ostrzału. Agresorzy jednak kontrolują cały grunt wokół Siedmiu Drzew i teraz ściągają broń o większym zasięgu.

Pierwszy pocisk wystrzeliwuje w powietrze, a oczy Portii śledzą jego ruch automatycznie, jaśniejąca kula twardego, przezroczystego kruchego materiału – mrówki przypadkowo odkryły szkło na przestrzeni kilku pokoleń – teraz szybuje nad nią i roztrzaskuje się z tyłu. Jej boczne oczy widzą rozbłysk, kiedy substancje chemiczne w środku kuli mieszają się i eksplodują.

Pod nimi za opancerzonymi wstrząsaczami artyleria zaczyna ostrzał: mrówki z głowami zamkniętymi w metalowych maskach z jęzorem – paskiem sprężystego metalu, który można zapiąć i uwolnić szczękami – ciskają granatami zapalającymi na sporą odległość. Są bardzo niecelne, kierując się ślepo wskazówkami zapachowymi swych towarzyszy, ale jest ich cała masa. Choć samce z Siedmiu Drzew pędzą z wodą, by gasić płomień, ogień rozprzestrzenia się bardzo szybko, pochłaniając jedwab i osmalając drewno.

Siedem Drzew płonie.

To koniec. Obrońcy muszą uciekać albo się upiekać. Jednak na tych, którzy skaczą na oślep, czekają metalowe szczęki mrówek.

Portia wspina się coraz wyżej i wyżej, ścigając się z płomieniami. Wyższe rejony osady są wypełnione zdesperowanymi obrońcami: wojownikami, cywilami, samicami i samcami. Niektórzy drgają spazmatycznie i spadają, kiedy dusi ich dym. Inni nie są w stanie przegonić wygłodniałego ognia.

Portia przedziera się na górę, zrzucając z siebie drewniane płyty zbroi i gorączkowo przędać. Zawsze tak było i przynajmniej w jednym może jej się przydać to rozszalałe inferno pod nią – gorące powietrze wyniesie ją na prowizorycznym spadochronie daleko poza żarłoczną kolonię mrówek.

Na razie. Tylko tymczasowo. Ta armia stopniowo naciera na Wielkie Gniazdo i później będzie tylko ocean. Jeśli pobratymcy Portii nie powstrzymają bezrozumnego marszu mrówek, nie będzie nikogo, kto spisze

historię dla przyszłych pokoleń.

3.3 MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Po wyjściu Scolesa przez jakiś czas trwała niezręczna cisza. Bezimienny rewolwerowiec i ta kobieta, Nessel, ruszyli do swych zadań, nie odzywając się do siebie ani słowem. Ona pochyliła się nad komputerem, a on patrzył spode łba na więźniów. Potwierdziwszy dla własnej satysfakcji, że próżne wiercenie się powoduje jedynie, że pęta wrzynają się mocniej, Holsten czuł, jak ta tętniąca cisza wbija się jeszcze głębiej w jego mózg. Tak, celowano do niego z broni. Owszem, na *Gilgameszu* rozgorzał konflikt, który mógł go uśmiercić w każdej chwili, ale on był *znudzony*. Świeżo po zawieszeniu, ledwo co wybudzone po dziesięcioleciach przymusowej hibernacji, jego ciało rwało się do czynu. Musiał gryźć się w język, by nie wypowiadać na głos swoich myśli, na co miał wielką ochotę, tylko po to, by zakłócić tę monotonię.

Wtedy inni zakłócili ją za niego. Rozległy się huki z oddali, które poniewczasie zidentyfikował jako strzały, i ktoś ściszym głosem przez wąż wydał jakieś instrukcje, których nie udało mu się usłyszeć. Rewolwerowiec jednak zrozumiał, w jednej chwili wypadł na zewnątrz i pobiegł korytarzem, zabierając ze sobą broń. Bez niego niewielkie pomieszczenie wydało się wręcz przestronne.

Holsten zerknął na Lain, ale ona wpatrywała się w swoje stopy, unikając jego spojrzenia. Poza nią w pomieszczeniu była tylko Nessel.

– Ej, ty – spróbował.

– Zamknij się – syknęła na niego Lain, ale dalej nie nawiązywała kontaktu wzrokowego.

– Ej – powtórzył Holsten. – Nessel, tak? Posłuchaj mnie... – Wydawało mu się, że go ignoruje, ale jednak posłała mu ponure spojrzenie.

– Bernjit Nessel – poinformowała. – A pan to doktor Holsten Mason. Czytałam pana publikacje... jeszcze wtedy.

– Jeszcze wtedy – potwierdził Holsten słabym głosem. – Cóż, to... chyba komplement. W takim razie Scoles mówił prawdę. Jest pani znawcą klasyki.

– Studentką – powiedziała. – Nie skończyłam studiów. Kto wie, gdybym skończyła, może bylibyśmy teraz w innym położeniu, pan i ja. – W jej głosie

słysząc było emocje i zmęczenie.

– Studentka. – Przypomniały mu się ostatnie zajęcia – jeszcze przed końcem. Studia nad Starym Imperium były niegdyś życiodajnym źródłem. Wszyscy na wyrywki chcieli uszczknąć coś z tajemnic starożytnych. W czasach Holstena wypadły one z łask. Wtedy widzieli już zbliżający się koniec i wiedzieli, że żadne skorupy z dawnych lat nie są w stanie temu zapobiec, wiedzieli, że ci sami starożytni ze swą bronią i odpadami ściągnęli na nich kres. Badania i zachwyty nad tymi antycznymi psychopatami w ostatnich toksycznych latach Ziemi nie należały do dobrego tonu. Nikt nie lubił klasyków.

Nessel odwróciła się, więc zawołał ją po imieniu ponownie, bardziej natarczywie.

– Słuchaj, co się z nami stanie? Może przynajmniej tyle nam powiesz?

Kobieta strzeliła oczami w stronę Lain z wyraźną odrazą, ale złagodniała, kiedy zwróciła się do Holstena:

– Tak jak mówi Scoles, to nie zależy od nas. Może Guyen ruszy do szturmowania i pana zastrzeli. Może przedrą się przez nasze zapory i odetną powietrze albo ogrzewanie czy może jeszcze coś innego. A może zwyciężymy. Jeśli wygramy, będzie pan wolny. Przynajmniej pan.

Kolejne spojrzenie z ukosa na Lain, która teraz miała oczy zamknięte i albo pogodziła się z sytuacją, albo starała się ją wyprzeć, zapomnieć o swoim położeniu.

– Słuchaj – próbował znowu Holsten. – Rozumiem, że walczyście z Guyenem. Może nawet sympatyzujecie z wami. Ale ani ja, ani ona nie jesteśmy za to odpowiedzialni. Nie bierzemy w tym udziału. No bo przecież nikt się ze mną nie konsultuje, prawda? Nawet nie wiedziałem, że... że coś takiego się dzieje, dopóki nie wyrwaliście mnie ze snu.

– Pan? Może – powiedziała Nessel nagle poirytowana. – Ale ona? Ona wiedziała. Komu dowódca powierzył nadzór nad szczegółami technicznymi? Kto robił przygotowania, żeby nas tam wysłać? Kto maczał paluszki dosłownie we wszystkim? Tylko główna inżynier. Jeśli ją teraz zastrzelimy, to będzie sprawiedliwie.

Holsten przełknął ślinę. Lain wciąż nie reagowała, ale teraz chyba wiedział dlaczego.

– Słuchaj – powtórzył delikatniej – przecież wiesz, że to szaleństwo.

– Wie pan, co uważam za szaleństwo? – odparła Nessel ostro. – Stawianie

pieprzonej bazy w tej lodowni na księżycu tylko po to, żeby Guyen mógł sobie, kurwa, wciągnąć flagę na maszt i zagarnąć ten układ dla Ziemi. Uważam, że to szaleństwo oczekiwać, iż pójdziemy tam spokojnie jak barany, potulnie, po to, żeby zamieszkać w tym sztucznym piekle, podczas gdy reszta załogi spierdoli w kolejny cudowny rejs, który potrwa jakąś wielokrotność ludzkiego życia, tam i z powrotem. Jeśli w ogóle będzie jakieś z *powrotem*.

– Jesteśmy wiele setek lat świetlnych od domu – przypomniał jej Holsten.

– Ale to przespaliśmy! – krzyknęła Nessel. – I byliśmy wszyscy razem, cała ludzka rasa, więc to się nie liczyło i nie miało znaczenia. Zabraliśmy nasz czas ze sobą, zatrzymaliśmy zegar we śnie i uruchomiliśmy ponownie po przebudzeniu. Dlaczego miałoby nas obchodzić, ile tysięcy lat minęło na martwej starej Ziemi? Ale kiedy *Gil* wyruszy tam, dokąd, kurwa, leci, my, biedne głupki, nie zapadniemy w sen. Mamy niby tworzyć życie tam na powierzchni, na lodzie, w tych głupich pudełkach postawionych tam przez maszyny. Życie, doktorze Mason! Całe życie w pudle! I co? A dzieci? Wyobraża pan to sobie? Pokolenia mieszkańców lodów zapominające coraz bardziej, kim byli, marniejące bez śladu słońca. Doglądające cystern i jedzące papkę, wydające kolejne pokolenia na zatracenie, podczas gdy wy – wszyscy wspaniali podróżnicy do gwiazd – będziecie sobie spać w niebycie i obudzicie się dwieście lat później, jakby to był kolejny dzień?! – krzyczała już teraz pełnym głosem, niemal wrzeszczała i zrozumiał, że została obudzona dużo za wcześnie, bo tama pękła i wylały się wszystkie te bezsensowne słowa.

– A kiedy wy się obudzicie, wybrańcy nieskazani na lód, my będziemy już dawno martwi. I w imię czego? Bo Guyen chce wbić flagę w ten martwy księżyc.

– Guyen chce zachować rasę ludzką – powiedziała ostro Lain. – A to, na co możemy się natknąć w następnym projekcie terraformacji, może, z tego, co wiemy, zniszczyć *Gilgamesza*. Guyen po prostu chce zwiększyć szanse naszego gatunku. Wiesz o tym dobrze.

– No to niech on sobie, kurwa, tu zostanie. I ty też możesz zostać. Co ty na to? Kiedy przejmie kontrolę i statek, możecie sobie walczyć o przetrwanie gatunku w tej lodówce na własną rękę. Tak właśnie zrobimy, możesz mi wierzyć. Jeśli pożyjesz wystarczająco długo, tak z wami zrobimy.

Lain usiłowała to zlekceważyć, ale Holsten widział, jak zaciska szczęki.

Na to wszedł z powrotem Scoles, pochylając głowę w otworze włazu. Chwytał Nessel za ramię i odciągnął na bok na tajną szeptaną konferencję

w wejściu.

– Lain – odezwał się Holsten.

– Przepraszam – rzuciła beznamiętnie, co go zdezorientowało.

Nie miał pojęcia, za co go przeprosza.

– Jaki to ma zasięg? – zapytał szeptem. – Ilu ich jest?

– Przynajmniej dwa tuziny. – Ledwo słyszał szept Lain. – Mieli być pionierami, taki był plan Guyena. Mieli polecieć tam wybudzeni, żeby wszystko rozpocząć. Reszta miała zostać przewieziona jako ładunek do wybudzenia na miejscu.

– W takim razie widzę, że wszystko się pięknie udało – zauważył.

Znów spodziewał się zjadliwej riposty, ale ta nie nastąpiła. Nie było nawet śladu po złośliwości sprzed dekad.

– Ilu ludzi ma Karst? – naciskał.

Wzruszyła ramionami.

– Ochrona to jakiś tuzin, ale są też żołnierze, których mógł obudzić. I tak pewnie zrobi. Będzie miał armię.

– Nie, jeśli ma choć trochę oleju w głowie. – Holsten się nad tym zastanawiał. – Dlaczego mieliby w ogóle słuchać jego rozkazów?

– A kto jeszcze pozostał?

– To nie wystarczy. Pomyślałaś w ogóle, co my robimy, Lain? Nawet nie mówię o tym. – Kiwnął głową w stronę Scolesa. – Ale o tym całym cyrku. Nie mamy kultury. Nie posiadamy hierarchii. Mamy tylko *załogę*, na miłość boską. Guyen, którego ktoś kiedyś wyznaczył na dowódcę dużego statku, stał się teraz tytularnym przywódcą rasy ludzkiej.

– Tak musi być – odparła Lain z uporem.

– Scoles ma odmienne zdanie. Myślę, że wojsko też będzie odmiennego zdania, jeśli Karst okaże się na tyle głupi, by zacząć budzić żołnierzy i wkładać im broń do ręki. Wiesz, czego pożytecznego można się nauczyć z historii? Jak nie możesz zapłacić wojsku, to masz przechłapanie. A my nawet nie mamy gospodarki. Co możemy im dać, kiedy tylko zorientują się, co jest grane? Gdzie hierarchia dowodzenia? Jaką władzę mają poszczególni oficerowie? I kiedy dostaną broń z jasnym przekazem, gdzie mogą się obudzić za drugim razem, co ich skłoni do powrotu do komór zawieszenia? Jediną walutą, jaką dysponujemy, jest wolność, a jest jasne, że Guyen nie zamierza tego oddać.

– Och, odpierdol się, historyku. – W końcu udało mu się ją sprowokować,

choć nie taki teraz miał cel.

– I choć nie chcę myśleć, co się stanie, jeśli Scoles wygra, to co się stanie, jak przegra?

– Kiedy przegra.

– Nieważne. Co wtedy? – nalegał Holsten. – Skończy się na tym, że wyślemy tych wszystkich ludzi na księżyc do – no właśnie – kolonii karnej na dożywocie? I co się stanie, kiedy wrócimy? Co mamy nadzieję zastać tam na dole, skoro tak się to wszystko zaczyna?

– Nie będzie żadnego *tam na dole*, nie dla nas. – Scoles ponownie uraczył ich sztuczką pojawiania się znienacka. Kucał teraz przed nimi, opierając dłonie na kolanach. – Jak zdarzy się najgorsze, wciąż mamy plan B. Dzięki panu, doktorze Mason.

– Jasne. – Patrząc mężczyźnie w twarz, Holsten nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. – Może zechce pan wyjaśnić?

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności. – Scoles uśmiechnął się półgębkiem. – Kontrolujemy luk wahadłowca. Jeśli wszystko zawiedzie, wydostaniemy się z *Gila* i, doktorze Mason, poleci pan z nami.

Holsten, mając wciąż spowolnione myślenie po zawieszeniu, tylko na niego patrzył.

– Wydawało mi się, że chodzi o to, by nigdzie nie lecieć.

– Na pewno nie w lód – rzuciła Nessel zza pleców Scolesa. – Ale wiemy, że istnieje jakieś miejsce w tym systemie, stworzone dla nas.

– Och. – Holsten gapił się na nich. – Poszaleliście. Tam... tam są potwory.

– Z potworami można walczyć – oznajmił nieugięcie Scoles.

– Ale to nie wszystko, jest też satelita. O mało nie zniszczył całego *Gilgamesza*. Ta kobieta nas odesłała. Nie ma możliwości, żeby wahadłowiec... mógł... – jękał się i zacinał, bo Scoles wciąż się do niego uśmiechał.

– Wiemy o wszystkim. *Ona* nam powiedziała. – Przyjaźnie skinął głową do Lain. – Powiedziała nam, że nigdy nie uda nam się dolecieć na zieloną planetę. Że najpierw dopadnie nas technologia starożytnych. Ale dlatego właśnie mamy pana, doktorze Mason. Umiejętności Nessel w zakresie języków starożytnych mogą nie wystarczyć, a ja nie będę ryzykował. Po co miałbym to robić, skoro jest pan tutaj i bardzo chce nam pomóc? – Herszt buntowników wstał lekko wciąż z tym drapieżnym uśmiechem na twarzy.

Holsten spojrział na Lain, tym razem ich spojrzenia się spotkały i w końcu

mógł odczytać emocje w jej oczach – poczucie winy. Nic dziwnego, że go nie atakowała. Aż kuliła się w środku, wiedząc, że to ona go tu sprowadziła.

– Powiedziałaś im, że potrafię ominąć Kern? – zapytał ostro.

– Nie! – zaprotestowała. – Powiedziałam im, że tego nie można zrobić. Powiedziałam, że nawet z *tobą* ledwo się nam udało. Ale ja...

– Ale udało ci się skierować ich uwagę na mnie – dokończył.

– Skąd miałam wiedzieć, że te nygusy tak po prostu... – zaczęła Lain, ale Scoles stanął jej na kostce.

– To tak dla przypomnienia – warknął – kim jesteś i dlaczego dostaniesz to, na co zasłużyłaś. I nie przejmuj się, jeśli wsiądziemy do wahadłowca, polecisz z nami, pani inżynier. Może wtedy będziesz skłonna wykorzystać swoją wiedzę do przedłużenia własnego życia zamiast do rujnowania go innym.

3.4 NAD ZACHODNIM OCEANEM

Wielkie Gniazdo. Największa metropolia gatunku Portii. Dom.

Powracając w ten sposób – na czele grupy pokonanych wojowników – tych, co mieli tyle szczęścia, że udało im się ujść płomieniom w Siedmiu Drzewach – Portia czuje coś w rodzaju wstydu. Nie powstrzymała wroga ani nawet nie spowolniła jego marszu. Każdego dnia kolonia mrówek będzie maszerować w kierunku Wielkiego Gniazda. Spoglądając na połąć, na której rozciągało się jej ukochane miejsce urodzenia, wyobrażała je sobie w gorączce ewakuacji. Oczami duszy – zdolność występująca już nawet u jej najmniejszych przodków – widzi, jak jej dom płonie. Mrówki oczywiście nie wiedzą, gdzie jest Wielkie Gniazdo – ich rozprzestrzenianie się po świecie jest niezwykle metodyczne, choć bezrozumne – ale wkrótce dotrą na wybrzeże. Zaczęło się odliczanie do dnia, w którym zjawią się u bram miasta.

Wielkie Gniazdo jest przepastne i stanowi dom dla kilkunastu tysięcy pajaków. Naturalna knieja jest tu wciąż gęsta, ale włożono wiele wysiłku i kunsztu, by wznieść sztuczne drzewa dające więcej przestrzeni życiowej. Z powalonych pni zrobiono olbrzymie kolumny pokryte i wzmocnione jedwabiem, rozciągające się od żywego zagajnika w centrum miasta i sięgające aż do morza, gdzie sieci pozwalały na wyjście daleko nad wodę.

Jest tu dużo przestrzeni i w ostatnim stuleciu Wielkie Gniazdo rozrosło się niepomiarowo we wszystkich kierunkach, również w górę.

Poza właściwym miastem rozciągają się poletka farm; hoduje się tu mszyce na nektar, myszy na mięso. Rosną też drzewa z naroślami uprawiane przez mrówki – kolejna tajemnica wykradziona wrogom. Morze obfituje w ryby, które łapie się w sieci – przy brzegu znajduje się siostrzana osada na dnie morza. Stosunki z morskimi ustonogami są serdeczne i wzajemnie korzystne w minimalnym zakresie. Pokolenie temu były pewne tarcia, kiedy pająki zaczęły ekspansję w morze. Jednak zatopione podstawy kolumn wzbogaciły morskie środowisko, tworząc sztuczną rafę, z której bardzo szybko zaczęły korzystać morskie stworzenia. Z perspektywy czasu mieszkańcy oceanu przyznają, że zyskali na takim rozwoju sytuacji, choć było to niezamierzone.

Portia i jej grupa bardzo szybko wspinają się na górę w stronę miasta na linach zawieszonych nad ziemią uprawną w pewnym oddaleniu. Sprowadziła z sobą wojowniczkę oraz rozsądną liczbę samców, choć nie podziękują jej za tych ostatnich. Mniejsze samce lepiej potrafią latać na spadochronach – oni przeżyli, gdy tymczasem wiele siostr zginęło. Zgoda, walczyli, przyznaje Portia. Sama myśl, by samiec był wojownikiem, jest absurdalna, ale i tak są silniejsi, szybsi i bardziej inteligentni niż mrówki. Przez chwilę miała szalony pomysł – uzbroić i wyszkolić samców, jednocześnie znacznie zwiększając liczbę wojowników w Wielkim Gnieździe. Ale od razu go odrzuca – w ten sposób rodzi się anarchia, odwrócenie naturalnego porządku. Co więcej, nawet z samcami liczba obrońców będzie niewystarczająca. Choćby uzbroić wszystkie samce w mieście, to i tak pająki będą kroplą w morzu mrówczej kolonii.

Dociera do punktu obserwacyjnego, spogląda w dół na wielką, elegancką przestrzeń swego domu, miriady nici łączących to wszystko w całość. W zatoczce widzi wielki jedwabny balon na poły zanurzony w wodzie, osiadający i falujący podczas napełniania powietrzem. To ambasada ustonogów: nurkujący dzwon pozwalający dociekliwym umysłom z jej gatunku odwiedzać swych podwodnych przyjaciół. Nie można wymienić się Zrozumieniem z mieszkańcami morza, ale i tak mogą się uczyć i nauczać nawzajem za pomocą prostego języka gestów, który wypracowały między sobą te dwie kultury.

Odszukajcie swoje towarzyski, instruuje powracające wojowniczkę. *Oczekujcie wezwania*. Samców zostawia samym sobie. Jeśli wykażą jakąś inicjatywę, znajdą pracę i dostaną jeść. W tak przepastnym mieście jak Wielkie Gniazdo istnieje stałe zapotrzebowanie na drobne prace – liny i płachty jedwabiu trzeba cały czas naprawiać. Przedsiębiorczy samiec może być na tyle przydatny, że mu się to opłaci. Alternatywą jest życie polegające na umizgiwaniu się i pochlebstwach, co nie wymaga takiego wysiłku, lecz jest stosunkowo bardziej niebezpieczne.

Portia przemierza miasto, pełznąć i przeskakując z liny na linę, w drodze do domu swych towarzyszek.

Lud Portii korzysta z komunalnych żłobków i nie posiada żadnych instynktów macierzyńskich, dlatego też nie istnieje tu nic, co przypominałoby zaczątek rodziny. Najmłodsze pajęczki, w żłobku, dostają jeść od miasta, ale ten okres darmowych frykasów nie trwa długo. Szybko dojrzewające młode

mają stać się niezależne w ciągu pierwszego roku życia. Tak samo jak samce, muszą być użyteczne.

Ponieważ jeden pająk jest bezbronny, zawsze na łasce bardziej agresywnych, większych krewnych, dojrzewające pajęczki zbijają się w grupy stworzone z tych, co wylęgły się w tym samym żłobku mniej więcej w tym samym czasie. Więzy między młodymi, które pomagają i wspierają się nawzajem, trwają również w dorosłym życiu. Związki takich towarzyszek tworzą podstawową komórkę społeczną w większości pajęczych osad i to one organizują nowe żłobki, opiekują się jajami i nieodwracalnie utrwalają ciągłość dziedziczenia żeńskiej linii. Więzy społeczne w takich grupach są mocne, nawet po tym, jak osobniczki się rozchodzą i podejmują swoje konkretne profesje i specjalności. Wszystkie większe grupy towarzyszek utrzymują domostwa w mieście – „domostwo” oznacza tutaj kompleks komnat z jedwabnymi ścianami.

Samce nie tworzą takich grup – bo na co komu duża grupa samców? Młode samce robią, co mogą, by orbitować na peryferiach grupy towarzyszek jakiejś samicy, flirtując, wykonując drobne prace, płacąc swoją przydatnością i zapewniając rozrywkę za resztki jedzenia, jakie za to dostają. Portia wie, że samce walczą z sobą i że niższe – mniej pożądane – rejony miasta są sceną niezliczonych małych dramatów, gdzie samce walczą o pożywienie bądź status. Mało ją to jednak interesuje.

Wyczerpana wpełza do swego domu umiejscowionego w najniższym punkcie ciągu pęcherzykowatych komnat, w których jej towarzyszki mieszkają i się spotykają. Od jej ostatniego pobytu dodano kilka nowych pomieszczeń – przebudowy nie są głównym zajęciem jej gatunku – i przez chwilę czuje się dumna i szczęśliwa, że jej towarzyszki mają się dobrze, ale po chwili zdradzieckie obawy dają o sobie znać i powraca myśl o nieuchronnym ataku mrówek. Kiedy się więcej buduje, można więcej stracić.

Te spośród jej towarzyszek, które są na miejscu, witają ją ciepło. Kilka jej przyjaciółek wie prym wśród czcigodnego grona młodszych samic oraz drżących, płasających samców. Ich taniec to rytuał zalotów, który niemal stale, lecz nie do końca wypełniają. Poza tą służebną pracą na tym polega miejsce samca w społeczeństwie Portii: są ozdobą, dekoracją i dopełnieniem życia samic. Większa, znaczniejsza bądź ważniejsza samica ma więcej samców płasających stale wokół niej. Tłumek bezużytecznych, lecz eleganckich samców wokół samicy świadczy o jej statusie. Gdyby Portia – wielka

wojowniczką – pozostała odpowiednio długo w domostwie, przyciągnęłyby własne stadko ufnych pasożytów – gdyby zaś odrzuciła ich zaloty, umniejszałyby siebie w oczach swych towarzyszek.

Czasami zaloty kończą się parzeniem, jeśli samica czuje się wystarczająco bezpieczna i dostatnia, by złożyć jaja. Zaloty są dopełniane w publicznym rytuale, gdy starające się samce – w chwili wyniesienia – dokonują aktu na oczach grupy towarzyszek czy nawet całego miasta, zanim samica pozwoli partnerowi, by ją zapłodnił. Wtedy może go zabić i zjeść, co jest uważane za wielki zaszczyt dla niego, choć Portia podejrzewa, że samce widzą to w nieco innym świetle.

To etap, do którego doszedł jej gatunek, jest to jedyny jawnie akceptowalny moment, w którym zabicie samca jest uważane za właściwe. Prawdą jest też jednak, że grupy samic – szczególnie młodych, być może w nowo powstałej grupie towarzyszek – przeczesują dolne partie miasta i zabawiają się polowaniem na samce. Ta praktyka cieszy się cichym przyzwoleniem – w końcu dziewczyny muszą się wyszaleć – choć oficjalnie nie jest pochwalana. Zabicie samca, usankcjonowane bądź nie, różni się diametralnie od zabicia zwierzęcia. Nawet jeśli kiel zagłębia się w ciało, zabójczyni i ofiara wiedzą dobrze, że stanowią część większej całości. Wirus przemawia do jednego i drugiego. Kultura Portii stoi na rozdrożu podstawowej pajęczej natury oraz nowej empatii, jaką wywołał u nich wirus.

Jest tu więcej jej towarzyszek, niż Portia spodziewała się zastać. Jedna ze starszych osiąga swój ustalony wiek i tym samym musi się wycofać ze społeczeństwa na jakiś miesiąc, a jej siostry gromadzą się wokół niej, by uczynić tę ciężką próbę jak najmniej bolesną. Portia schodzi do wewnętrznej komnaty, by popatrzeć na rytuał, ponieważ dla niej to przynajmniej złudzenie, że życie tutaj toczy się według ustalonych wzorców i będzie tak przez kolejne pokolenia. Przybywa w samą porę, by ujrzeć, jak jej obolała siostra wycofuje się do swego kokonu. W starożytnych, prymitywnych czasach zostawiano taką towarzyszkę w jakimś wysoko położonym, bezpiecznym miejscu, gdzie przedła swoją samotnię, po czym chowała się w niej skrycie i w osamotnieniu. Teraz ma siostry, które pomagają jej tworzyć tę przystań i będą jej potem towarzyszyć przy wylince.

Gatunek Portii musi zrzucić chitynowy oskórek, żeby rosnąć. Kiedy nadchodzi moment, że duża samica zrzuca skórę – kiedy czuje, że jej ciasno, gdy się porusza i oddycha – udaje się do domostwa swych towarzyszek, gdzie

wszystkim ufa, a one plotą dla niej kokon, który będzie chronił jej rosnące ciało, aż nowy oskórek wystarczająco stwardnieje.

Na oczach Portii liniejąca samica zaczyna trudny, bolesny proces pozbawiania się starego oskórka, najpierw prężąc odwłok, aż skorupka pęknie, a potem odzierając ciało z wylinki od tyłu do przodu. Cały proces zajmie wiele godzin, więc jej siostry gładzą kokon, przekazując słowa otuchy i solidarności. Wszystkie przez to przechodziły.

Samcom musi być ciężko, bo najwyraźniej sami tego doświadczają, ale w końcu samce są mniejsze i mniej wrażliwe. Szczerze mówiąc, Portia nie jest pewna, jak radzą sobie na wyższych poziomach myślenia i odczuwania.

Garstka jej sióstr zauważa Portię i pędzą do niej na pogaduszki. Słuchają z natężeniem o tym, co wydarzyło się w Siedmiu Drzewach – są to wieści, które wkrótce pozna całe Wielkie Miasto, bo samce nie potrafią trzymać odnoży w bezruchu, kiedy mają coś do powiedzenia. Jej towarzyszki dotykają się nogogłaszczkami, próbując jej powiedzieć, że to, co stało się w Siedmiu Drzewach, nie może przecież wydarzyć się tutaj, ale żadne słowo nie jest w stanie zagłuszyć wspomnień Portii – płomieni, całej struktury kwitnącej osady, która kurczy się i czernieje, kotłującego się i rozpadającego rezerwuaru, z którego wody spadają w kłębach pary, tych, którzy nie potrafiąc skoczyć ani poszybować wystarczająco daleko, zostają wchłonięci przez przetaczającą się falę mrówek, żywcem rozrywani na sztuki.

Przeprowadza staranną kalkulację na podstawie liczby dni i położenia słońca na niebie i mówi im, że idzie do Świątyni. Bardzo potrzebuje spokoju ducha, a Emisariuszka będzie wkrótce przelatywała.

Idź szybko. Będzie tam wiele innych szukających tego samego, radzi jej jedna z sióstr. Nawet bez osobistego doświadczenia Portii populacja Wielkiego Gniazda szybko zyskuje świadomość, że stają oko w oko z zagrożeniem pozornie bez granic. Wszystkie stulecia kultury i wysublimowania mogą stać się jedynie blaknącym wspomnieniem w umysłach mieszkających w morskiej toni ustonogów.

Świątynia znajduje się w najwyższym punkcie miasta i jest przestrzenią nieograniczoną ścianami, rozciągającą się między krańcem baldachimu nad głowami z obniżającym się do środka podłożem. W jego centrum, na wierzchołku jednego z pierwotnych drzew miasta, znajduje się kryształ, który antenatka Portii wykradła mrówkom, co było czynem już legendarnym. Kiedy Portia sięga do wewnątrz, jest w stanie dotknąć Zrozumienia tamtej Portii

w prywatnej relacji tej dobrze znanej opowieści, przez pryzmat doświadczenia z pierwszej ręki.

Przybywa przed pojawieniem się Emisariuszki, ale już prawie nie ma miejsca wśród stłoczonych wiernych ciągnących się aż do głównego pnia. Wielu wygląda na uchodźców, co uciekli z Siedmiu Drzew i innych miejsc. Przyszli tutaj, by znaleźć nadzieję, bo materialny, zewnętrzny świat nie oferuje jej wiele.

Trudno powiedzieć, jak lud Portii podchodzi do Emisariuszki i jej przesłania: wiedzą, że jest to obca mentalność, i próbują rozplątać nici zjawiska, które są w stanie przeanalizować, choć jeszcze nie zrozumieć. Patrzą w niebo na Emisariuszkę, która szybko przelatuje nad ich głowami, i widzą obiekt przemawiający do nich matematycznymi zagadkami estetycznie atrakcyjnymi dla gatunku, który odziedziczył geometrię jako podstawę swej cywilizacji. Nie postrzegają jej jako jakiegoś pajęczego boga, który zstąpi do ich zielonego świata i ocali ich przed nawałnicą mrówek. Choć przekaz istnieje. Emisariuszka istnieje. Takie są fakty i stanowią one bramę do niewidzialnego świata wielkiej niewiadomej. Prawdziwe znaczenie posłania mówi, że jest coś więcej, niż mogą dostrzec pajęcze oczy, i coś więcej, niż mogą wyczuć ich odnóża. Tam właśnie jest nadzieja, gdyż wybawienie może być ukryte w *tych czymś*. Stanowi to dla nich natchnienie, by szukać dalej.

Kapłanka oddała się tańcowi, a jej różdżka wyłapuje punkty łączności na kryształach, kiedy skryta przed ich wzrokiem Emisariuszka przemierza błękitne sklepienie, nadając wciąż tę samą wiadomość. Portia przędzie i splata, recytując w duchu mantrę liczb, obserwując, jak kapłanka wykonuje eleganckie ruchy, a każdy krok, każdy ruch jej nogogłaszczek mówi o pięknie uniwersalnego porządku, zapewnia, że świat kieruje się logiką wykraczającą dalece poza zwykły chaos fizycznych manifestacji.

Ale nawet tam istnieje zapowiedź zmiany i zagrożenia. Kiedy Portia przygląda się tym pląsom, wydaje jej się, że kapłanka czasem się zatrzymuje, tylko na sekundę, nawet potyka. Fale niepokoju przetaczają się po gęstej kongregacji, która plecie coraz mocniej, jakby chciała przysłonić tę pomyłkę. *Niedoświadczona kapłanka*, uspokaja się Portia, ale czuje gdzieś w głębi narastającą groźbę. Czy zagłada wisząca nad jej ludem w materialnym świecie znajduje odbicie w niebiosach? Czy odwieczna wiadomość uległa zmianie?

Po zakończeniu obrzędku, czując się raczej wstrząśnięta niż uspokojona, napotyka na swej drodze samca, który gorączkowo sygnalizuje swoje dobre

zamiary, mówiąc, że ma dla niej wiadomość.

Potrzebują cię, mówi do niej ów maluch, podchodząc na tyle blisko, że znajduje się w zasięgu jej kłów. *Bianca cię wzywa*.

Bianca – ta konkretna Bianca – jest jedną z grupy Portii, ale nie rozmawiała z nią od dłuższego czasu. Nie jest wojowniczką, tylko jedną z najbardziej uczonych wśród pobratymców Portii.

Prowadź, nakazuje samcowi.

3.5 TRZYMAJĄC PŁONĄCY MIECZ

Holstena i Lain pozostawiono samym sobie na jakiś czas, choć stale pod nadzorem któregoś z ludzi Scolesa. Holsten miał nadzieję na dłuższą rozmowę z Nessel, bo jego akademicki autorytet mógł być niezłą kartą przetargową w negocjacjach, ale została odesłana przez dowódcę, być może właśnie z tego powodu. Zamiast niej zjawiali się jedno po drugim małomówni mężczyźni i kobiety z bronią, a któryś rozbił Holstenowi wargę tylko za to, że otworzył usta.

Co jakiś czas słyszeli pojedyncze strzały, choć spodziewane nasilenie ognia nie następowało, ale też odgłosy walki nie cichły całkowicie. Zdawało się, że ani Scoles, ani Karst nie mieli ochoty na siłowe rozwiązanie konfliktu.

– W takich sytuacjach... – zaczął Holsten szeptem wyłącznie na użytek Lain.

Uniosła brew.

– W takich sytuacjach, Mason? Kiedy zwariowani buntownicy trzymają cię jako zakładnika i mogą zabić w jednej chwili? A ile takich sytuacji przeżyłeś konkretnie? A może świat akademicki jest bardziej interesujący, niż myślałam?

Wzruszył ramionami.

– Cóż, skoro wszyscy żyliśmy na Ziemi z wyrokiem śmierci, a potem, kiedy pracowaliśmy razem, szalona hybryda człowieka i komputera chciała nas zabić za zakłócanie spokoju małpom, to mówiąc szczerze, myślę, że takie sytuacje mamy co rusz.

Uśmiechnęła się blado, ale jednak.

– Przykro mi, że cię w to wpakowałam.

– Mnie jest bardziej przykro, możesz mi wierzyć.

W tej właśnie chwili do korytarza wpadł Scoles z sześcioma swoimi ludźmi tłoczącymi się przed wjazdem. Wepchnął coś w dłonie wartownika, co ten pospiesznie założył.

Maska – wszyscy zakładali maski tlenowe.

– O kurwa – rzuciła Lain. – Karst przejął kontrolę nad systemem wentylacji. – Z jej tonu wynikało, że było to coś, czego oczekiwała od

dłuższego czasu.

– Zdjąć mu pęta. – Spod maski głos Scolesa brzmiał z precyzją przekaźnika radiowego.

W jednej chwili ktoś się nachylił nad Holstenem, przeciął mu więzy i podniósł go na nogi.

– On idzie z nami – warknął Scoles i Holsten znowu usłyszał wystrzały, i to dużo więcej niż wcześniej.

– A co z nią? – Ktoś wskazał Lain.

– A zastrzel dziwkę.

– Czekajcie! Stójcie! – wykrztusił Holsten, a broń wycelowała na powrót w niego. – Potrzebujecie mnie? A ja potrzebuję jej. Jest głównym inżynierem, na miłość boską! Jak zamierzacie lecieć dokądkolwiek wahadłowcem... jeśli mówicie serio, że chcecie się postawić Kern i temu zabójczemu satelicie – to będziecie jej potrzebować. No co wy? Ona jest z podstawowej załogi. To oznacza, że jest najlepszym inżynierem na statku! – Pomimo tej przemowy broń znów wycelowała w Lain. – Nie, zaczekajcie. Ja... ja wiem, że możecie mnie zmusić do wszystkiego, ale jeśli ją zabijecie, będę z wami, kurwa, walczył do ostatniego tchnienia. Będę sabotował. Ja... nie wiem, co zrobię, ale coś wymyślę. Jak ją oszczędzicie, zrobię wszystko, czego chcecie, i wszystko, co przyjdzie mi do głowy, żeby zachować was przy życiu. Żeby zachować nas przy życiu. Dajcie spokój! To przecież ma sens. Przecież sami to widzicie!

Nie widział miny Scolesa i przez chwilę główny buntownik tylko stał w bezruchu niczym posąg, ale po chwili skinął głową i warknął z niechęcią:

– Dajcie im obojgu maski. Zwiążcie im z powrotem ręce, zabieramy ich. Wsiadamy z tego statku.

Na zewnątrz w korytarzu czekał jakiś tuzin ludzi Scolesa, większość w maskach. Holsten spoglądał po kolei w oczy w goglach, aż wyłowił Nessel – nie była to całkiem znajoma twarz, lecz lepsza taka niż żadna. Pozostali, mężczyźni i kobiety, byli mu zupełnie nieznani.

– Do wahadłowca, *ale już!* – padł rozkaz Scolesa i wszyscy ruszyli, popychając przed sobą Lain i Holstena.

Holsten nie miał zbyt wielkiego pojęcia o rozkładzie *Gilgamesza*, ale Scoles i jego grupa poruszali się bardzo zdecydowanie i pewnie. Główny buntownik stale coś mrucał pod nosem, pewnie utrzymując kontakt radiowy z podkomendnymi. Najwyraźniej ochrona przypuściła zdecydowany szturm, bo szli coraz szybciej. *Kto pierwszy przy wahadłowcu?*

Nagle jeden z buntowników potknął się i przewrócił, a Holsten zastanawiał się, czy przegapił odgłos wystrzału. Nessel przypadła na jedno kolano obok niego, zaczęła majstrować przy jego masce i chwilę później mężczyzna zaczął się poruszać jak pijany, chwiejnie wstał na nogi przy akompaniamencie przekleństw Scolesa.

– Od kiedy to mamy trujący gaz na pokładzie? – rzucił Holsten z wściekłością. Cały epizod znowu zaczął przypominać zły sen.

Usłyszał głos Lain wprost w uchu.

– Idiota, wystarczy coś sknocić w mieszalni powietrza. Myślę, że walczyli o kontrolę klimatyzacji od chwili, w której zaczęli się głupio stawiać, a teraz przegrali. Pamiętaj, to statek kosmiczny. Atmosfera jest taka, jaką zrobią maszyny.

– Dobrze już, dobrze – udało się odpowiedzieć Holstenowi, gdy ktoś pchnął go mocno w plecy, żeby się pospieszył.

– No co? – zapytał mężczyzna obok niego, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie.

Holsten zdał sobie sprawę, że głos Lain nie dociera do wszystkich, a jedynie do niego.

– Zaczynam wątpić w ciebie, staruszkule – dobiegł go jej szept. – Te maski mają kontrolkę, nie wiedziałeś? Oczywiście, że nie. Nie wiedzą też tego te błazny. Masz cztery przyciski przy języku. Drugi wybiera menu komunikatora. A trzeci wybiera prywatny kanał. Wybierz 9. Pokaże się na wyświetlaczu.

Prawie dziesięć minut gmerał językiem przy przyciskach, śliniąc się niemiłosiernie, przerażony, że śluz odetnie mu powietrze. W końcu kiedy ich strażnicy zatrzymali się gwałtownie, aby wdać się we wściekłą awanturę, udało mu się to rozpracować.

– Co powiesz na to?

– Słyszę cię dobrze – padła oschła odpowiedź Lain. – No to jak bardzo mamy przegwizdane?

– Naprawdę właśnie o to chciałaś zapytać?

– Słuchaj, Mason, oni mnie nienawidzą. Naprawdę chcę powiedzieć, że powinieneś ich namówić, żeby sobie odpuścili. Powiedz im, że kiepski z ciebie zakładnik albo że cię nie potrzebują, cokolwiek.

Zamrugnął, próbując odszukać jej oczy, ale w goglach widać było tylko odbicie światła lamp.

– A ty?

– Ja mam przechlapane bardziej niż ty w zupełnie innej skali, staruszk.

– Wszyscy mają przeje... mają wielki problem – odparł. – Nikt nie dotrze na tę planetę.

– Któż to wie? Nie planowałam czegoś takiego, ale rozmyślałam nad tym.

– Ruszać się! – warknął Scoles.

Wtedy zaczęto do nich strzelać z przodu.

Holsten uchwycił dwie postacie w jakby zbrojach, ciemnych plastikowych płytach na połyskliwej szarej tkaninie, najwyraźniej w mundurach oddziałów ochrony. Nacierali, trzymając niezgrabnie strzelby, i Scoles zastawił się Lain.

– Cofnąć się albo ona dostanie pierwsza! – krzyknął.

– To jest twoja pierwsza i ostatnia szansa, żeby się poddać! – Z jednego z pancerzy dobiegł ich głos – chyba Karsta. – Opuścić broń, gnojki!

Jeden z buntowników strzelił do niego i zaraz zaczęli strzelać wszyscy. Holsten zobaczył, jak dwie postacie się chwieją – jedna upadła na plecy. To był jednak tylko impet kul. Nie było widać ran wlotowych i powalony ochroniarz już się podnosił, celując z broni.

– Osłony twarzowe! Celujcie w twarze! – wrzasnął Scoles.

– Też są kuloodporne, ty kretynie. – Napięty głos Lain zabrzmiał w uchu Holstena.

– Czekać! – krzyknął klasyk. – Zatrzymać się, stać!

Lain wyrwała się z uścisku Scolesa, drąc się koszmarnie głośno wprost do ucha Holstena.

– Ty cipo! Ogłuchłam od tego wrzasku!

Mężczyzna obok Holstena złapał go za ramię i starał się go użyć jako drugiej żywej tarczy, ale klasyk instynktownie się odsunął. Chwilę później buntownik leżał na ziemi, a trzy ciemne plamy wykwitły na jego kombinezonie. Stało się to tak szybko, że Holsten nawet nie zareagował.

Jednej z kobiet z grona buntowników udało się zbliżyć do ochroniarzy i Holsten zauważył błysk noża. Właśnie sobie myślał, że taki nóż to żadne zagrożenie dla opancerzonego człowieka, kiedy kobiecie udało się wbić ostrze i wyciąć otwartą ranę w ramieniu ochroniarza – szary materiał z oporami się poddawał, a pancerne płyty zaczęły odpadać. Ranny ochroniarz runął na ziemię, a jego towarzysz – Karst? – odwrócił się i zaczął strzelać do kobiety, aż kule zaterkotały, odbijając się od pancernych płyt leżącego.

– Ruszać! – Scoles już był w ruchu, ciągnąc Lain. – Zamknijcie za sobą drzwi. To nam da trochę czasu. Niech wahadłowiec będzie rozgrzany

i w pogotowiu! – Ostatnie słowa najwyraźniej były skierowane do kogoś już siedzącego na stanowisku.

Kule śmigły ich śladem i przynajmniej jeden z buntowników padł na ziemię podczas ucieczki. Ale wtedy Nessel zasunęła za nim ciężkie drzwi i pochyłona nad panelem sterowania starała się je zablokować w jakiś przemyślny sposób, żeby nieco spowolnić ochronę. Scoles ją z tym zostawił, a ona dołączyła wkrótce do reszty, wykazując się zaskakującą sprawnością.

W takim razie nie będziemy czekać na maruderów przy wahadłowcu. Holsten widział szansę w zmniejszającej się liczbie buntowników. Gmerał językiem przy kontrolkach maski, aż udało mu się uzyskać połączenie ze wszystkimi.

– Posłuchaj mnie, Scoles, wszyscy słuchajcie – zaczął. Jeden z buntowników walnął go w głowę, ale wytrzymał. – Wiem, że myślicie, iż macie szansę, jeśli uda się wam uciec ze statku i polecieć w stronę projektu terraformacji. Prawdopodobnie widzieliście zdjęcia tego pająka, który tam mieszka, i tak, wiem, że macie broń. Będziecie mieli do dyspozycji wszystkie urządzenia z wahadłowca. Pająki, nie ma sprawy, jasne. Jednak mówiąc serio, satelita nie będzie słuchać ani jednego waszego słowa. Jak myślicie, czy gdyby było inaczej, byłibyśmy gdzieś w kosmosie zamiast na tej cholernej planecie? Satelita był o włos od wybebeszenia *Gilgamesza*, rozwalił też całą flotyllę szpiegowskich dronów, które próbowały się tam zbliżyć. I tak, wasz wahadłowiec jest o wiele mniejszy niż *Gil*, ale o wiele mniej sterowny niż drony. I daję wam słowo, nie mam niczego w zanadrzu, co mogłoby wzruszyć tę wariatkę zamkniętą w satelicie.

– W takim razie coś wymyśl – padła chłodna odpowiedź Scolesa.

– Mówię wam... – zaczął znowu Holsten, lecz wtedy wyszli na przestrzeń lądowiska wahadłowca. Była mniejsza, niż podejrzewał, i stał tu tylko jeden statek. Zrozumiał, że nic nie wiedział o tej stronie statku. Czy była to jakaś specjalna, luksusowa jednostka dowódcy do wypadów na zewnątrz, czy też wszystkie wahadłowce miały oddzielne lądowiska? Nie wiedział nic na ten temat – nie była to jego dziedzina, nic, co powinien wiedzieć.

– Proszę, posłuchajcie mnie – próbował.

– Popełnili błąd, pokazując nam, jaki będzie nasz nowy dom – dobiegł go głos Nessel. – Założę się, że dowódca nigdy sobie nie wyobrażał, że ktoś mógłby zakwestionować jego wielką mądrość. Może sobie pan mówić, co chce, doktorze Mason, ale nie widział pan tego. Nie widział pan, jak tam było.

– Zaryzykujemy z pajakami i ze sztuczną inteligencją – zgodził się Scoles.

– To nie jest sztuczna inteligencja... – Ale już pociągnięto go wraz z Lain do wahadłowca. Słyszał strzały, ale nie na tyle blisko, żeby mogło to coś zmienić.

– Otwórzcie grodzie. Ominąć zabezpieczenia – rozkazał Scoles. – Jeśli ruszą za nami, sprawdźcie, czy ich kombinezony radzą sobie z próżnią.

A kiedy tylko Lain mruknęła Holstenowi do ucha: – Radzą sobie – poczuł, jak reaktor wahadłowca zaczyna wypychać ich naprzód. Miał opuścić *Gilgamesza* po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat.

W kabinie wahadłowca panował ścisk. Połowa buntowników przegrupowała się do ładowni, w której, jak miał nadzieję Holsten, były zabezpieczające pasy. Przyspieszenie sprawiało, że każdy nieprzymocowany obiekt – czy osoba – leciał na tył statku, który obecnie był dołem, a po uzyskaniu odpowiedniej bezpiecznej prędkości nawet nie będzie można się zorientować, gdzie jest ten *dół*.

Holsten i Lain zajmowali dwa ostatnie fotele w kabinie, gdzie można było mieć na nich oko. Sam Scoles usadowił się obok pilota, z Nessel i dwójką innych siedzących za nim przy konsolach.

Żołądek Holstena podskoczył do gardła pod ciśnieniem przyspieszenia, kiedy startowali, żeby uciec. Przez chwilę pomyślał, że wyrzuci z siebie jego zawartość przez właz, wprost do ładowni znajdującej się za nim, ale szybko mu minęło. W jego krwiobiegu wciąż krążyły środki medyczne, pozostałość po zawieszeniu, które bardzo dzielnie walczyły z nagłą utratą stabilności.

Pierwsze, co powiedziała mu Lain, kiedy statek wystartował:

– Zatrzymaj maskę. Musimy mieć bezpieczny kanał komunikacji.

Jej starannie wyważony ton dobiegł go z głośnika obok ucha. Wkrótce buntownicy zdjęli maski, bo mieli już pełną kontrolę nad otoczeniem. Jeden z nich sięgnął do twarzy Lain, a ona cofnęła się gwałtownie, kiedy chwycił jej maskę, tak że zsunęła się, niczym elektroniczny knebel zakrywając jej usta. Holsten próbował tego samego, ale skończyło się na niezdarnych zapasach z buntownikiem bez wyraźnych efektów.

– No to chrzań się – powiedział mu tamten. – Jak chcesz, możesz się udusić. – I odwrócił się.

Lain nachyliła się do Holstena błyskawicznie i chwyciła gumową maskę zębami, żeby ściągnąć ją do takiej pozycji jak u niej. Przez chwilę trwali policzek przy policzku, oko w oko, i opanowało go dziwne uczucie bardzo

niestosownej intymności, bo wyglądało to tak, jakby chciała go pocałować.

Wreszcie odzyskała równowagę i oboje siedzieli z maskami w identycznych, dziwacznych pozycjach. Holsten pomyślał: *Ale z nas konspiratorzy!*

Buntownicy mieli jednak inne priorytety. Jeden z mężczyzn siedzących przy konsoli najwyraźniej zmagął się z *Gilgameszem*, który próbował odzyskać kontrolę nad wahadłowcem, a Nessel i druga kobieta dostarczały raporty na temat zasilania systemów. Holsten słuchał tego przez chwilę i uświadomił sobie, że czekają, żeby sprawdzić, czy statek-arka ma jakąś broń, której Karst mógłby użyć.

Oni nawet tego nie wiedzą. Zastanawiają się teraz, czy nasza obecność może ich ocalić. Jeśli tak, to nie dość uważnie słuchali Guyena.

W końcu Lain przemówiła do wszystkich, ale jej głos rozbrzmiewał również głucho w głośniku maski Holstena:

– *Gilgamesz* posiada układ obronny jedynie przeciwko asteroidom, skierowany na wprost. Jeśli nie macie zamiaru pokazać tyłka przednim kamerom, to nic nie poleci w naszą stronę.

Przyglądali się jej nieufnie, ale raporty Nessel zdawały się potwierdzać jej słowa.

– A co byłoby, gdyby asteroida uderzyła nas w bok? – zapytał Holsten.

Lain posłała mu spojrzenie, które mówiło: *I to jest teraz takie ważne?*

– Prawdopodobieństwo takiego uderzenia jest bardzo nikłe. Nie było potrzeby zabezpieczania statku przed nim.

– Nie było potrzeby chronić całej rasy ludzkiej? – zapytała Nessel, raczej żeby wbić Lain szpilę niż z innego powodu.

– *Gila* projektowali inżynierowie, nie filozofowie. – Isa Lain wzruszyła ramionami, na tyle, na ile mogła ze związanymi rękami. – Uwolnijcie mnie. Muszę popracować.

– Siedź, jak ci dobrze – odezwał się Scoles. – Już nic nam nie grozi. Nie mogą przecież nawrócić i polecieć za nami. Będziemy na drugim końcu tego układu gwiazdowego, zanim zdążą nabrać prędkości.

– A konkretnie jak daleko ma nas zabrać ta puszcza? – Lain rzuciła mu wyzwanie. – Jakie macie zapasy? Ile paliwa?

– Wystarczy. I zawsze wiedzieliśmy, że to będzie wycieczka w jedną stronę – rzucił ponuro szef buntowników.

– Nawet w jedną stronę może zabraknąć – powiedziała Lain.

W jednej sekundzie Scoles odpiął pasy i ruszył w ich stronę, chwytając się oparcie kolejnych siedzeń. Poruszał się jak ryba w wodzie, zupełnie bez wysiłku, i widać było, że musiał to trenować.

– Skoro *Gil* nie strzela, to właściwie nie wiem, po co jesteś tu potrzebna – zauważył.

– Ponieważ to nie statkiem powinieneś się przejmować. Ten satelita to morderca. Ma laser obronny zdolny pokroić tę łódkę na drobne kawałki. Broń *Gilgamesza* to przy tym betka.

– Właśnie po to mamy tutaj szanownego doktora Masona – mruknął Scoles, unosząc się nad nią niczym chmura gradowa.

– Musicie mnie dopuścić do waszego systemu. Dać mi pełny dostęp i pozwolić rozpierdolić wasz panel komunikacyjny. – Lain uśmiechnęła się pogodnie. – Albo wszyscy zginiemy, nawet jeśli *Gil* nie będzie strzelać. Mason, powiedz im. Opowiedz, jak doktor Avrana Kern się z nami przywitała.

Prędkość się stabilizowała, nieważkość ustąpiła ciężkiej łapie, która wbijała Holstena w fotel. Po chwili zamyślenia, pochwyciwszy spojrzenie Lain, pokiwał energicznie głową.

– Satelita przejął całkowicie nasze systemy. W kilka sekund przedarł się do komputerów *Gilgamesza*, zablokował nas. Mógł otworzyć wszystkie śluzy, zatruć powietrze, oczyścić wszystkie kapsuły zawieszenia... – Głos mu się urwał. Wtedy chyba nie całkiem rozumiał, co się mogło stać.

– A kto to jest doktor Avrana Kern? – zapytał jeden z buntowników.

Holsten wymienił spojrzenia z Lain.

– To... ona jest w satelicie. Jest, powiedzmy, jednym ze sprzętów. Są komputery podstawowe i tak zwana Eliza, która... może to sztuczna inteligencja, prawdziwa sztuczna inteligencja, albo też po prostu bardzo zaawansowany komputer. I jest też doktor Avrana Kern, która też może być sztuczną inteligencją.

– A jeśli nie, to może być czym? – dopytywała się Nessel.

– Może być bredzącą istotą ludzką o osobowości psychotycznej, która została po Starym Imperium i wbiła sobie do głowy, że niedopuszczenie nas do tej planety jest najważniejszym celem w całym wszechświecie – powiedział, spoglądając im po kolei w twarze.

– Kurwa mać – rzucił ktoś niemal z nabożną czcią. Najwyraźniej coś w relacji Holstena zabrzmiało bardzo przekonująco.

– A może będzie miała lepszy dzień i po prostu przejmie systemy

wahadłowca i wyśle nas z powrotem na *Gilgamesza* – zasugerowała Lain ze słodyczą w głosie.

– A w tej sprawie – wtrącił się pilot – wygląda na to, że zniszczenie wyrzutni dronów się opłaciło. Nie ma śladu ich wystrzelenia, ale... zaraz, *Gil* wysłała wahadłowiec naszym tropem.

Scoles obrócił się i ruszył, żeby to zobaczyć.

– Guyen jest naprawdę wkurzony – rzuciła Lain *sotto voce* w ucho Holstena.

– To wariat – odparł.

Przyglądała mu się beznamiętnie i przez chwilę wydawało się, że będzie go bronić, ale przyznała:

– Jasne... ma świra, to pewne. Być może tylko świr był w stanie nas tu przywlec, ale teraz zaczyna przeginać.

– Kazań nam wyłączyć silniki, złożyć broń i wydać więźniów – relacjonował pilot.

– A niby czemu mielibyśmy to zrobić teraz, kiedy wygrywamy? – zapytał Scoles.

Lain i Holsten spojrzeli po sobie porozumiewawczo – mieli przed sobą duchowego bliźniaka Vriego Guyena.

Znów stanął nad nimi i patrzył z góry.

– Wiesz, że cię zabijemy, jeśli będziesz próbowała jakichś sztuczek? – zapowiedział Lain.

– Staram się zapamiętywać wszystkie okoliczności, które mogą doprowadzić do mojej śmierci, i tak, to jest jedna z ewentualności. –

Podniosła na niego wzrok bez lęku. – Naprawdę bardziej się martwię tym satelitą. Musisz nas teraz uwolnić. Musisz pozwolić mi odizolować systemy statku, żeby to coś nie mogło tu wparować i przejąć kontroli.

– A może w ogóle odciąć komunikatory? – zaproponował jeden z buntowników.

– A jak niby Mason ma zagadać do tego satelity bez transmitowania i odbierania? – rzuciła jadowitym głosem. – Proszę bardzo, wyznaczcie kogoś, kto będzie mi cały czas zaglądał przez ramię. Mogę nawet opowiadać, co robię.

– Jeśli utracimy moc albo kontrolę choć na chwilę, jeśli pomyślę, że próbujesz nas spowolnić, żeby mógł nas dogonić tamten wahadłowiec... – zaczął Scoles.

– Wiem, wiem.

Przywódca buntowników, patrząc spode łba, wyjął nóż i przeciął więzy Lain. Holstena też, po namyśle.

– Siedź tutaj – nakazał klasykowi. – Póki co nie masz nic do roboty. Kiedy ona skończy, będziesz mógł zawalczyć z satelitą. – Najwyraźniej nie uważał, żeby potrzebne były groźby, aby utrzymać Holstena w ryzach.

Lain – niezdarna w nieważkości – poleciała w stronę konsoli komunikacyjnych i przypięła się pasem w fotelu obok Nessel.

– No dobra, musimy tutaj... – zaczęła i nagle język stał się na tyle techniczny, że Holsten przestał rozumieć.

Jasne było, że prace trochę potrwają, zarówno przeprogramowanie, jak i fizyczne odcięcie połączeń między komunikatorami i resztą systemów wahadłowca.

Holsten stopniowo zapadał w sen. Miał przy tym świadomość, że to dość idiotyczne, biorąc pod uwagę zagrożenie życia i zdrowia w połączeniu z faktem, że tkwił w zawieszeniu przez ponad stulecie, całkiem niedawno. Zawieszenie i sen to jednak nie to samo i kiedy adrenalina ustępowała z jego organizmu, poczuł się wydrenowany i zmęczony.

Obudził go dotyk dłoni na ramieniu. Przez chwilę wydobywał się ze snów, których po sekundzie już nie pamiętał, wymówił imię ze starego świata, osoby zmarłej dekadę przed jego wejściem na pokład *Gilgamesza*, teraz martwej od wielu tysięcy lat.

– Lain? – zapytał, bo usłyszał kobiecy głos, ale to była Nessel.

– Doktorze Mason – powiedziała z tym dziwnym szacunkiem, jakim najwyraźniej go darzyła – czekają na pana.

Odpiął pas i pozwolił zaprowadzić się bezceremonialnie za rękę po suficie, aż Lain mogła go dosięgnąć i ściągnąć do fotela przy komunikatorach.

– Jak daleko jesteśmy? – zapytał.

– Zajęło mi to więcej czasu, niż myślałam. Trzeba było odciąć każde połączenie z komunikatorami. A ponieważ nasi przyjaciele mi nie ufają, wciąż mnie spowalniali, podejrzewając, że robię coś niegodziwego. Osłoniliśmy wszystkie systemy wahadłowca przed transmisją z zewnątrz. Nie przyjmują żadnego połączenia zewnętrznego spoza statku, oprócz komunikatorów, te zaś nie przekazują niczego reszcie tego złomu. Jedyne, co doktor Avrana Kern może zrobić, to przejąć panel kontrolny komunikacji i pokrzyczeć sobie na nas.

– I zniszczyć nas laserami – zauważył Holsten.

– No tak, jeszcze to. Ale lepiej zacznij ją przekonywać, żeby tego nie robiła, bo satelita zaczął nadawać.

Holsten poczuł się wstrząśnięty.

– Pokaż mi.

Była to dobrze znana wiadomość identyfikująca satelitę jako Kapsułę Strażniczą Brin 2 i nakazująca im ominięcie planety. Taki sam przekaz odebrali, kiedy przerwali sygnał alarmowy po raz pierwszy. *Ale tym razem sygnał pochodził od nas, bo satelita nie dostrzegł, że nadlatujemy. Tym razem jesteśmy w o wiele mniejszym statku, więc to coś przejmuje inicjatywę. Coś wciąż tam czuwa.*

Przypomniała mu się elektroniczna zjawia Avrany Kern pojawiająca się na ekranach centrum komunikacji *Gilgamesza*, kiedy jej słowa tłumaczono na ich język – udogodnienie, z którego ani on, ani Lain nie czuli potrzeby tłumaczenia się buntownikom. Postanowił robić wszystko jawnie i oficjalnie, przynajmniej na razie. Przygotował wiadomość: *Mogę rozmawiać z Elizą?*, przetłumaczył to na Imperialny C i wysłał, odliczając minuty do spodziewanej odpowiedzi.

– Zobaczmy, kto jest w domu – mruknęła mu do ucha Lain, zerkając przez jego ramię.

Odpowiedź nadeszła i była jednocześnie niepokojąca i uspokajająca – to drugie z uwagi na to, że przynajmniej sytuacja w satelicie wyglądała tak jak poprzednio.

Znajdujecie się obecnie na kursie, który zaprowadzi was na planetę kwarantanny. Nie będzie tolerowana ingerencja w tę planetę. Również wszelka ingerencja w Świat Kern spotka się z natychmiastowym odwetem. Nie wolno kontaktować się z tą planetą w żadnym zakresie.

Małpy, małpy wróciły i chcą zabrać mi mój świat który jest tylko dla mnie i moich małp co nie są takie jakimi się zdają bo mówią że są z Ziemi ale to tylko robactwo co opuszcza tonący statek Ziemia już utonęła i ani słowa ani słowa więcej

Tłumaczenie poszło gładko. Nessel uwieszona u jego drugiego ramienia aż prychnęła z niedowierzania.

Elizo, nie będziemy ingerować w Świat Kern. Mamy naukową misję, by obserwować postępy twojego eksperymentu. Proszę potwierdzić pozwolenie na lądowanie. Holstenowi wydawało się, że warto tego spróbować.

Oczekiwanie na odpowiedź tak samo szarpało nerwy, jak to zapamiętał.

– Masz jakieś pojęcie, kiedy znajdziemy się w zasięgu jej laserów? – zapytał Lain.

– Sądząc po ataku na drony Karsta, myślę, że mamy cztery godziny dziewiętnaście minut. Wykorzystajmy je.

Odmowa pozwolenia na zbliżenie się do planety. Wszelkie próby wykonania takiego manewru napotkają bezwzględny opór zgodnie z dyrektywą decentralizacji projektów naukowych. Izolacja eksperymentalnego środowiska jest najważniejsza. Wymagamy stosownej zmiany kursu ze skutkiem natychmiastowym.

Brudne pełzające robactwo przylatuje żeby zarazić moje małpy i nie będzie mi się tu rządzić bo już tak dawno tak dawno Elizo dłaczego do mnie nie mówią czemu nie nadają do mnie moje małpy milczą tak bardzo milczą a ja muszę rozmawiać z tobą i tylko z tobą która jesteś moim zniekształconym odbiciem

Elizo, chcę porozmawiać z twoją siostrą Avraną, Holsten wysłał błyskawiczną wiadomość, świadomy upływu czasu, ograniczonego zasobu sekund opadających na dno klepsydry.

– Przygotujcie się – ostrzegła Lain. – Jeśli nie zrobimy tego jak należy, możemy stracić wszystko, włącznie z życiem.

Głos, który przemówił przez panel komunikacyjny – choć nikt mu nie dał pozwolenia – trzymał się Imperialnego C, a Holsten wyraźnie wyczuwał w nim wyniosłe tony. Przekaz zawierał więcej niż agresywne żądanie zmiany kursu.

Doktor Kern, wysłał Holsten, znaleźliśmy się tutaj, by obserwować pani wielki eksperyment. Nie zmienimy niczego na planecie, ale przecież jakaś obserwacja musi być możliwa. Pani eksperyment trwa już od bardzo dawna. Powinien dać już jakieś rezultaty. Możemy pani pomóc? Może gdybyśmy zebrali dane, mogłaby je pani wykorzystać? W rzeczywistości nie miał pojęcia, na czym polegał eksperyment Kern – choć miał już kilka gotowych teorii – po prostu opierał się na tym, co był w stanie wyłowić ze strumienia świadomości i myśli Kern transmitowanych wraz z rzeczowymi słowami Elizy.

Kłamiesz, nadeszła odpowiedź i serce mu zamarło. Myślisz, że jestem głucha i niczego nie słyszę? Jesteście zbiegami, przestępcami, najgorszym robactwem. Statek, który was ściga, już mnie prosił, żebym unieruchomiła waszą jednostkę, żeby mogli doprowadzić was przed oblicze

sprawiedliwości.

Holsten wpatrywał się w słowa, a jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Przez chwilę negocjował z Kern w dobrej wierze, jakby sam był buntownikiem. Niemal zapomniał, że jest tylko zakładnikiem.

Uniósł dłonie gotowy wysłać kolejny sygnał. *No to może zrób to...?*

Poczuł, jak coś zimnego przyciska mu się do ucha. Spojrzał w bok i uchwycił wyraz twarzy Nessel.

– Niech pan nawet o tym nie myśli – powiedziała. – Bo jeśli zatrzymają ten statek, to pan i pani inżynier nie doczekacie się ratunku.

– Zaczynj tutaj strzelać, a wybijesz dziurę w pokładzie – rzuciła dobitnie Lain.

– W takim razie nie dawajcie mi pretekstu. – Nessel wskazała na konsolę. – Może i jest pan ekspertem, doktorze Mason, ale niech pan nie myśli, że ja nic nie rozumiem.

To typowe, teraz natrafiam na zdolną studentkę, pomyślał z rozpaczą Holsten.

– No to co mam napisać? – zapytał.

– Słyszał pan to co ja, w takim razie ona wie, kim jesteśmy. Odbiera wiadomości z *Gilgamesza* i drugiego wahadłowca.

– Powiedz jej o kolonii na księżycu – warknął Scoles. – Powiedz, co kazali nam zrobić!

– Z czymkolwiek teraz rozmawiamy, tkwiło w satelicie mniejszej niż ten wahadłowiec od końca Starego Imperium. A ty oczekujesz *współczucia*? – zakpiła Lain.

Doktor Kern, jesteśmy istotami ludzkimi, tak jak pani, wysłał Holsten, zastanawiając się, na ile prawdziwe jest to ostatnie. *Mogła pani zniszczyć Gilgamesza, ale tego pani nie zrobiła. Rozumiem, jak ważny jest dla pani ten eksperyment – kolejne kłamstwo – ale proszę, jesteśmy ludźmi. Ja jestem zakładnikiem na tym statku. Jestem naukowcem, tak jak pani. Jeśli robi pani tak, jak zapowiada, oni mnie zabiją.* Słowa układały się w zimny i martwy Imperialny C niczym rozprawa naukowa, jakby Holsten Mason już był postacią historyczną, przedmiotem debat akademickich w późniejszych wiekach.

Przerwy między wiadomościami i odpowiedziami były coraz krótsze, bo zbliżali się do planety.

Znajdujecie się obecnie na kursie, który zaprowadzi was na planetę kwarantanny. Nie będziemy tolerować jakiegokolwiek ingerencji w tę planetę. Również wszelka ingerencja w Świat Kern spotka się z natychmiastowym odwetem. Nie wolno kontaktować się z tą planetą w żadnym zakresie.

Nie jestem za nich odpowiedzialna tak ciężko cała planeta jest moja nie wolno im zakłócać eksperymentu musi trwać dalej albo wszystko na próżno jeśli mały się do mnie nie odzywają a moje mały tylko to pozostało z człowieka bo robactwo to robactwo

– Nie! – krzyknął Holsten. – Nie wracaj do Elizy! – Buntownicy aż podskoczyli ze strachu.

– Co się dzieje? – zapytał Scoles. – Nessel...?

– Właśnie... cofnęliśmy się mniej więcej o krok.

Holsten siedział otępiały, czując zupełną pustkę w głowie.

Nagle Scoles znalazł się tuż przy jego uchu.

– Czyli po sprawie, tak? Skończyły się pomysły? – W jego głosie wyraźnie było słycać niebezpieczne nuty.

– Zaraz! – rzucił Holsten, ale w tej żałosnej chwili jego umysł pozostawał całkowicie pusty. Nie miał niczego w zanadrzu. I wtedy coś zaczęło mu kiełkować. – Lain, mamy zdjęcia z drona?

– Ach... – Lain przepychała się, by dojść do drugiej konsoli, i dosłownie wyrzuciła jednego z buntowników, który tam siedział. – Nagranie Karsta? Tak, mam je.

– Prześlij do panelu komunikacyjnego.

– Pewien jesteś? Tylko...

– Proszę cię, Lain.

Obejście izolacji komunikatorów bez otwierania statku na zanieczyszczenie było skomplikowanym procesem, ale Lain wraz z jednym z buntowników założyła drugą izolowaną skrzynkę odbiorczą z danymi, a potem podpięła ją do systemu komunikatorów. Holsten wyobraził sobie niewidoczne fluidy doktor Kern, wlewające się w nowy kanał tylko po to, by znów zabrnąć w ślepią uliczkę.

Doktor Avrano Kern, przygotował wiadomość. Myślę, że powinna pani rozważyć konieczność umieszczenia obserwatora w pani eksperymentalnym świecie. Kiedy nasz statek ostatnio mijał pani świat, zdalnie sterowana kamera uchwyciła obrazy z powierzchni planety. Myślę, że powinna pani to zobaczyć.

To było ryzyko, straszliwa gra z opętanymi szczątkami Kern wciąż zalegającymi w satelicie, ale Holsten miał broń przystawioną do głowy. Poza tym nie mógł zaprzeczyć, że w pewnym stopniu opanowała go naukowa ciekawość. *Jak zareagujesz?*

Wysłał wiadomość oraz plik wideo, zgadując, iż ostatnie pojawienie się Kern w systemach *Gilgamesza* pozwoli jej na odkodowanie danych.

Kilka minut później rozpoczęła się niezrozumiała transmisja z satelity, jakieś szumy, sprzężenia, a potem:

Proszę czekać na dalsze instrukcje. Proszę czekać na dalsze instrukcje.

Co zrobiliście z moimi małpami? Co zrobiliście z moimi małpami?

A potem cisza, całkowita przerwa transmisji z satelity, w wyniku czego cała załoga wahadłowca wdała się w żarliwą dyskusję na temat tego, co Holsten zrobił i co mógł tym osiągnąć.

3.6 *DULCE ET DECORUM EST*

Wielkie Gniazdo nie posiada ścisłej hierarchii. W gruncie rzeczy według ludzkich standardów pajęczne społeczeństwo jawiłoby się organizmem na podobieństwo sprawnie działającej anarchii. Społeczna pozycja jest wszystkim, a zdobywa się ją poprzez zaangażowanie. Te grupy, w których wojowniczkę wygrywają bitwy, a uczone dokonują odkryć, które mają najwytworniejsze tancerki, elokwentne gawędziarki albo biegle adeptki rzemiosła, uzyskują status dający im wielbicieli, podarki, przysługi, większe roje pochlebnych samców, którzy są ich siłą roboczą, patentów chcących zasilić swoimi talentami potencjał grupy. Żyją w płynnym społeczeństwie, w którym zdolna samica jest w stanie stymulować niezwykłą aktywność społeczną. Czy też, ich własnym zdaniem, ich kultura jest złożoną siecią powiązań, które splata się na nowo każdego ranka.

Jedynym racjonalnym powodem, dla którego to wszystko funkcjonuje, jest fakt, że wszystkie nieprzyjemne i znużające prace wykonują samce, bo bez tego nie mogłyby w ogóle szukać schronienia w Wielkim Gnieździe, muszą mieć swoje zadania i swoją opiekunkę. Ciężką pracę – wycinanie drzew, rolnictwo i tym podobne – wykonują przeważnie udomowione kolonie mrówek, które pająki z Wielkiego Gniazda podstępem zaprzęły do pracy dla nich. W końcu praca jest drugą naturą mrówek. Nie mają inklinacji ani zdolności do rozważania szerszych kwestii filozofii życia, więc dana im szansa poszłaby na marne. Z punktu widzenia kolonii mrówek wiedzie im się bardzo dobrze w tym dziwnym, sztucznym otoczeniu, w które zostały wplątane. Kolonie nie są świadome, kto pociąga za sznurki ani też że ich pracowitość została zawłaszczona, by mogły służyć Wielkiemu Gniazdu. Wszystko tu działa bez zarzutu.

Społeczeństwo Portii zostało teraz wystawione na wielką próbę. Nadciągająca kolumna mrówek wymaga ofiar, na dodatek nie ma hierarchii dowodzenia, żeby ustalić, kto ma ponosić te ofiary i na czyją korzyść. Gdyby sytuacja się pogorszyła, Wielkie Gniazdo zaczęłoby się rozpadać, dzielić na mniejsze grupy uchodźców, pozostawiając jedynie wspomnienie po szczycie

kultury pajęczej. Mogłaby się też pojawić jakaś wielka przywódczyni, która przejęłaby kontrolę nad wszystkim dla wspólnego dobra – a później, zgodnie z przykładami zaczerpniętymi z ludzkiego społeczeństwa, dla dobra osobistego. Ale tak czy inaczej Wielkie Gniazdo, które zna Portia, przestałoby istnieć.

Nie byłaby to pierwsza utracona metropolia. W swym nieustannym marszu przez kontynent kolonia mrówek pochłonęła setkę oddzielnych, wyrazistych i niespotykanych kultur, które całkowicie znikły dla świata, eksterminując jednostki i pisząc na nowo prozę życia. Tak właśnie postępowały wszystkie wojownicze hordy w pościgu za swym przeznaczeniem.

Dokonania militarne Portii przysporzyły nieco szacunku grupie jej towarzyszek, ale Bianca to obecnie jej największy skarb – jest jedną z najbardziej uwielbianych uczonych, indywidualistek w Wielkim Gnieździe. Doprowadziła do poprawy życia gatunku na tuzin różnych sposobów, gdyż posiada umysł potrafiący rozwiązywać problemy, z których zgubnego wpływu poszkodowani nawet nie zdają sobie sprawy. Na dodatek żyje w swojej samotni pochłonięta wyłącznie eksperymentami – typowa cecha osobników bazujących na odziedziczonych Zrozumieniach – co bardzo pasuje towarzyszkom Portii, gdyż inaczej Bianca mogłaby zauważyć, że to właśnie jej grupa zawdzięcza większość sławy i powodzenia.

Kiedy jednak wysyła posłańca, każda z towarzyszek przybiega na zawołanie. Gdyby Bianca nagle poczuła się niedoceniana, mogłaby przebierać w grupach Wielkiego Gniazda, które z radością by ją przyjęły.

Bianca nie mieszka w ścisłym Wielkim Gnieździe. Prawdziwa nauka wymaga pewnego odosobnienia, choćby dlatego, żeby nieprzewidywalne wyniki eksperymentów nie zrobiły krzywdy innym. Lud Portii ma we krwi szukanie i próbowanie różnych rozwiązań, aż któreś okaże się skuteczne. Praca przy silnie reagujących związkach chemicznych często kończy się dość wybuchowo.

Obecne laboratorium Bianki znajduje się głęboko na terytorium gniazda miejscowych mrówek, zauważa Portia. Zbliżając się do kopca ścieżką oznaczoną dla mrówek zakazem wstępu, sama czuje się niepewnie, często się zatrzymuje, czasami unosi przednie odnóża, ukazując kły, choć wcale nie ma zamiaru ich użyć. Trudno jest się pozbyć utrwalonych odruchów w obliczu narastającego konfliktu.

Komnaty Bianki zostały wykopane przez same mrówki, zanim zostały

odgrodzone od gniazda za pomocą odstraszcających zapachów. Tego rodzaju środki stosowano w przeszłości, by chronić osady przed atakiem nadciągającej superkolonii, ale bez większych rezultatów. Mrówki zawsze znajdą sposób, żeby się przedostać, a ogień niewiele sobie robi z feromonów.

Ściany komnaty wyłożone są jedwabiem, a z sufitu zwiesza się skomplikowane olinowanie podtrzymujące tygły i retorty Bianki. W bocznym pomieszczeniu znajduje się zagroda z inwentarzem, który może być wykorzystywany do eksperymentów, ale równie dobrze po prostu jako spiżarnia. Bianca dogląda wszystkiego, siedząc wysoko na suficie, a jej liczne oczy mają baczenie na wszystko, tak że tylko daje sygnały swym podwładnym za pomocą nogogłaszczek i gwałtownych tupnięć, gdy wymagana jest jej interwencja. Z góry pada snop światła, Bianca nie podlega jednak zwykłym prawom dnia i nocy, bo wyhodowała fosforyzujące gruczoły z larw żuków, które świecą wplecione w pokrywę ścian niczym sztuczne konstelacje gwiazd.

Portia opuszcza się do komnaty świadoma, że podłoga jest otwarta i wie dzie aż do kolonii mrówek poniżej. Przez najcieńsze włókna jedwabiu widzi nieustanną, z pozoru chaotyczną krzątanicę tych owadów zajętych swoją pracą. Tak, pracują bez wytchnienia, może całkiem nieświadomie, dla powodzenia i bogactwa Wielkiego Gniazda, ale gdyby Portia przecięła tę membranę i weszła do ich królestwa, spotkałby ją taki sam los, jaki mrówki szykują dla wszystkich intruzów, chyba że dysponowałaby jakimiś środkami chemicznymi, które pozwoliłyby jej przeżyć.

Wita się z Biancą, sygnalizując swoje pojawienie się nogogłaszczkami i nie zapominając o grzecznościowych formach, skrupulatnie streszcza ich społeczne powiązania, wymienia wspólne towarzyszki, ich różnorodne specjalności oraz podkreśla szacunek, jakim cieszy się wśród nich Bianca.

Odpowiedź alchemiczki jest pobieżna, choć uprzejma. Bianca prosi Portię, by zaczekała, i zwraca główną parę oczu na laboratorium, żeby sprawdzić, czy może na kilka minut oderwać uwagę od bieżących eksperymentów.

Portia zerka jeszcze raz na tę krzątanicę i jest w szoku. *Trzymasz samców jako asystentów.*

No właśnie, przyznaje Bianca w sposób, który sugeruje, że nie pierwszy raz ktoś porusza ten temat.

Wydawało mi się, że nie nadają się do tak skomplikowanej pracy.

To powszechny błąd. Jeśli dobrze przeszkolić takich, którzy rodzą się ze stosownymi Zrozumieniami, są bardzo pomocni w bardziej rutynowych

zadaniach. Kiedyś zatrudniałam samice, ale kończyło się na tym, że walczyły między sobą o pozycję, a do tego musiałam stale bronić mego prymatu – zbyt wiele było tego mierzenia odnóży – a mnie interesują wyłącznie wyniki. Więc zastosowałam takie rozwiązanie.

Ale z pewnością cały czas się do ciebie zalecają, powiedziała Portia całkowicie zdezorientowana. W końcu czego innego samce oczekują od życia?

Zbyt dużo czasu spędziłaś w domach zamożnych leniuchów, obruszyła się Bianca. Wybieram swoich asystentów na podstawie ich pracowitości. A jeśli niekiedy przyjmuję od nich materiał do reprodukcji, to tylko po to, by zachować nowe Zrozumienia, które tu wymyślamy. W końcu, jeśli je poznają, a jestem o tym przekonana, istnieje duże prawdopodobieństwo, że potomstwo też je odziedziczy.

Niesmak Portii wobec takiego sposobu myślenia jest wyraźny w jej postawie, w pospiesznych ruchach nogogłaszczek.

Ale samce nie...

Samce potrafią przekazywać potomstwu wiedzę, którą zyskują podczas życia, to dowiedziony fakt, jeśli chcesz znać moje zdanie. Bianca tupie mocniej, by wbić te słowa Portii do głowy. Twierdzenie, że potomstwo odbiera Zrozumienie wyłącznie od matek, jest pozbawione podstaw. Powinnyście się cieszyć, że przynajmniej ja to rozumiem – staram się wybierać samców, którzy wykluli się w naszym żłobku, gdyż wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że już posiadają wartościowe Zrozumienia i mogą przekazać je dalej, a skumulowany efekt wzbogaca nasz ogólny potencjał. Moim zdaniem jeszcze za naszego życia stanie się to powszechną praktyką. Kiedy znajdę czas, zacznę wymieniać się tym Zrozumieniem z tymi nielicznymi w innych grupach, które dostrzegają tu logikę.

Zakładając, że będziemy mieli na to czas, mówi Portia z naciskiem. Nie pozostanę w Wielkim Gnieździe zbyt długo, siostró. Jak mogę ci pomóc?

No tak, byłaś w Siedmiu Drzewach. Opowiedz mi o tym.

Portia jest zaskoczona, że Bianca tyle wie o jej wyprawach i powrotach. Zdaje jej realistyczny raport, skupiając się głównie na kwestiach militarnych – taktyce obrony, broni wroga. Bianca słucha uważnie, zapamiętując najistotniejsze szczegóły.

Wielu w Wielkim Gnieździe uważa, że tego nie przetrwamy, mówi, kiedy Portia kończy swą relację. Żadna grupa nie chce zostać powszechnie wzgardzona za to, że pierwsza opuści miasto, ale tak się w końcu stanie.

Kiedy jedna grupa zniknie, kiedy padnie ten pierwszy most, wszyscy zaczną w pośpiechu się ewakuować. Sami się zniszczymy i stracimy wszystko, co stworzyliśmy.

Też mi się tak wydaje, zgadza się Portia. Byłam dzisiaj w Świątyni. Nawet kapłanka była jakaś rozkojarzona.

Przez chwilę Bianca przywiera do sufitu w pozie wyrażającej niepokój.

Mówi się, że wiadomość jest zaburzona, że są inne Emisariuszki. Rozmawiałam z kapłanką, która potwierdziła, iż wyczuła w kryształach nową wiadomość o zupełnie innej porze niż zwykle i do tego pozbawioną treści – samą gmatwaninę przypadkowych wibracji. Nie mam na to gotowej odpowiedzi, ale to niepokojące.

Może ta wiadomość jest przeznaczona dla mrówek. Portia zerka na krzątające się w dole owady. Poczucie „gmatwaniny przypadkowych wibracji” jest w tym przypadku jak najbardziej trafne.

Nie pierwsza to zauważasz, mówi Bianca. Na szczęście zachowuję wyłącznie dla siebie opinię na temat wiadomości i Emisariuszki i nie przeszkadza mi to w wysiłkach na rzecz ocalenia naszego gniazda. Chodź ze mną. Opracowałam plany nowej broni i potrzebuję twojej pomocy, by ją uruchomić.

Portia czuje przypływ nadziei po raz pierwszy od wielu dni. Jeśli ktoś jest w stanie znaleźć rozwiązanie, to z pewnością Bianca.

Idzie za alchemiczką do zagrody z inwentarzem i widzi tam bezładną grupę żuków wielkości mrówek – najwyżej dwudziestocentymetrowych. Mają ciemnoczerwoną barwę i bardzo długie czułki, które rozłożone układają się drobnymi listkami niczym okrągłe wachlarze.

Widziałam je wcześniej? – pyta niepewnie, zacinając się z każdym słowem.

Ponieważ często stawiasz czoło naszym wrogom, jest to więcej niż prawdopodobne, potwierdza Bianca. To gatunek o niezwykle obyczajach. Moi asystenci zeszli do kolonii, narażając się na niebezpieczeństwo, żeby je odnaleźć. Żyją wśród mrówek i nie doświadczają z ich strony niczego złego. Nawet jedzą ich larwy. Doniesienia moich asystentów wskazują na to, że same mrówki karmią te stworzenia.

Portia cierpliwie czeka. Cokolwiek by teraz powiedziała, nie dotrze to do adresatki. Bianca już zaplanowała całe spotkanie, punkt po punkcie, aż do konkluzji.

Chcę, żebyś zebrała sprawne i zaufane wojowniczeki, jakieś dwadzieścia

cztery wystarczą, poleca jej Bianca. Musicie wykazać się odwagą. Przetestujecie moją nową broń, a jeśli zawiedzie, próba najpewniej skończy się waszą śmiercią. Chcę, żebyście stawili czoło maszerującej na nas kolonii. Żebyście weszły w samo jej serce.

Infiltracja kolonii mrówek nie będzie już polegać na odrywaniu kilku głów i zabieraniu gruczołów zapachowych. Superkolonia rozwinęła swój system obronny – ślepy wyścig chemicznych zbrojeń przeciw pomysłowości pajaków. Mrówki wykorzystują obecnie chemiczny ekwiwalent zmieniających się w czasie cyfr, różnych dla poszczególnych oddziałów rozległej kolonii, i pobratymcy Portii nie są w stanie za tym nadążyć. Chemiczna broń, jakiej używają pająki, by zakłócać i dezorientować wroga, ma krótkotrwały żywot i powoduje wyłącznie kłopoty w obliczu całej siły mrówczych oddziałów.

Wzmocniona ochrona kolonii zaczęła wywierać katastrofalny wpływ na wiele innych gatunków. Część z nich żyje w niełatwej symbiozie w gniazdach mrówek będących osobnymi ekosystemami. Niektóre, takie jak mszyce, spełniają określone funkcje, a mrówki je hodują. Inne są organizmami pasożytniczymi – roztocza, robaki, żuki, nawet małe pająki – wszystkie przystosowały się, by kraść resztki z mrówczego stołu albo konsumować swych gospodarzy.

Większość tych gatunków zniknęła teraz z superkolonii. Wypracowanie obrony przed wrogiem zewnętrznym za pomocą skomplikowanego kodowania chemicznego przez mrówki spowodowało też wykrycie i eliminację tuzinów nieproszonych gości w ich królestwie. Jednak nielicznym udało się przeżyć dzięki pomysłowości i niezwykle zaawansowanym mechanizmom adaptacyjnym. Te właśnie owady, chrząszcze biegaczowate – obecnie badane przez Biancę – osiągnęły najlepsze rezultaty w dziedzinie chemicznej mimikry.

Biegaczowate żyły w mrówczych gniazdach od tysięcy lat, wykorzystując rozmaite środki, by uspić czujność nieświadomych gospodarzy. Teraz, pod wpływem działania nanowirusa, choć nie tak inteligentne jak Portia, wciąż posiadają odpowiedni zmysł i umiejętność współdziałania i posługują się swoim bogatym arsenałem feromonów z dużym znanstwem.

Każdy żuk biegaczowaty posiada zestaw substancji chemicznych pozwalający na manipulowanie mrówkami. Pojedyncze mrówki – ślepe, całkowicie polegające na zmysłach dotyku i zapachu – dają się oszukać. Biegaczowate w mistrzowski sposób tworzą świat chemicznej iluzji i dzięki

temu wpływają na całe grupy kolonii mrówek, tak by były im powolne. Dla Portii i jej ludu fakt, iż nie osiągnęły takiego poziomu intelektualnego, by dążyć do zmiany otoczenia, jest bardzo korzystny, bo szybko przestałyby pełnić funkcję wyłącznie piątej kolumny wśród mrówek. Łatwo sobie wyobrazić alternatywny scenariusz, kiedy nacierająca mrówcza kolonia stanowiłaby marionetkę o milionach części, w której to żuki pociągałyby za sznurki.

Zmieniające się kody chemiczne kolonii stanowiły ciągłe wyzwanie dla biegaczowatych i pojedyncze żuki stale wymieniały się informacjami, by być na bieżąco z mrówczymi schematami feromonowymi. Jednak umiejętność życia wśród mrówek stanowiła w dalszym ciągu tajną broń biegaczowatych – udoskonalony zapach odziedziczony po przodkach, który wykryła Bianca i który ją tak zafascynował.

Portia słuchała uważnie, kiedy Bianca przedstawiała jej swój plan. Zdawał się wahać między skrajnym niebezpieczeństwem a samobójstwem. Wymagał od niej i jej oddziału, by zastawiły pułapkę na kolumnę mrówek i by przeniknęły do środka mimo strażników, jakby ich w ogóle nie było. Portia już rozważa możliwości – atak z góry, skok na kolumnę z gałęzi albo z lin, rzucenie się wprost w wir kłębiących się ciał. Ale Bianca ma już ten element planu doskonale przemyślany. Odszukają kolumnę, kiedy zatrzyma się na noc, tworząc ogromną twierdzę złożoną z ciał jej żołnierzy.

Opracowałam coś nowego, wyjaśnia. Zbroję dla ciebie. Ale będziesz ją mogła włożyć wyłącznie bezpośrednio przed atakiem.

Zbroję na tyle mocną, żeby chroniła przed mrówkami? Portia ma uzasadnione wątpliwości. Na ciele pająka jest za dużo wrażliwych punktów, zbyt wiele stawów, na które mrówki mogą się rzucić.

Nic tak prymitywnego. Bianca zawsze lubiła mieć tajemnice. Żuki mogą przejść przez kolonię mrówek jak huragan. Ty też będziesz mogła to zrobić.

Niepewność Portii widać po nerwowych ruchach nogogłaszczek. I wtedy zacznę je zabijać? Tyle, ile zechcę? Czy to wystarczy?

Poza Bianki temu przeczy. Zastanawiałam się nad tym, ale obawiam się, że nawet ty, siostrze, nie będziesz mogła ich w ten sposób zatrzymać. Jest ich po prostu za dużo. Nawet jeśli moja ochrona będzie skuteczna bardzo długo i będziesz zabijać mrówki dzień i noc, i tak przybędzie ich dużo więcej. Nie powstrzymasz armii przed atakiem na Wielkie Gniazdo.

W takim razie co? – pyta Portia.

Mamy nową broń. Jeśli zadziała... Bianca tupie z irytacją. Nie ma innego

sposobu na jej przetestowanie, po prostu trzeba jej użyć. Oddziałuje na nasze małe miejscowe kolonie mrówek, ale najeżdźcy są inni, to trudniejszy przeciwnik, mniej podatny. Musisz mieć nadzieję, że moje wyliczenia się sprawdzą. Rozumiesz, o co cię proszę, w imię naszego siostrzeństwa? Naszego domu?

Portia przypomina sobie upadek Siedmiu Drzew: płomienie, dzika horda owadów, kurczące się trupy tych, którzy byli za wolni albo zbyt ostrożni podczas ucieczki. Strach jest odczuciem uniwersalnym i ona czuje to bardzo wyraźnie, desperacko pragnie wymazać te obrazy z pamięci, zapomnieć, że w ogóle istnieje coś takiego jak mrówki. Od strachu silniejsze są więzi ze społecznością, więzy krwi, lojalności wobec grupy i ludu. Pokolenia rosnące w siłę dzięki przodkom najbardziej podatnym na działanie wirusa – teraz wszystko to wysuwa się na pierwszy plan. Nadchodzi moment, w którym ktoś musi zrobić to, co zrobić trzeba. Portia jest wojowniczką szkoloną i indoktrynowaną od młodego wieku, więc teraz, w decydującej chwili, zaryzykuje swoje życie dla przetrwania gatunku.

Kiedy? – pyta Biancę.

Im szybciej, tym lepiej. Zbierz swoją grupę, przygotuj się na wymarsz z Wielkiego Gniazda rankiem. Bo dziś miasto należy do ciebie. Składałaś ostatnio jaja?

Portia potwierdza. Nie w głowie jej teraz samcze zaloty, ale w przeszłości składała jaja kilka razy. Jej genetyczne dziedzictwo i spuścizna w postaci wiedzy przetrwają, jeśli Wielkie Gniazdo zostanie uratowane. W większej skali będzie to oznaczało, że wygrała.

Tej nocy Portia wybiera kolejne wojowniczki, weteranki, na których może polegać. Wiele z nich pochodzi z jej siostrzanej grupy, ale nie wszystkie. Są też inne, u których boku toczyła boje – a też czasami przychodziło się jej z nimi mierzyć w walce o dominację – które szanowała i one ją też obdarzały szacunkiem. Do każdej z nich podchodzi, ostrożnie badając nastrój, informując o swoich zamiarach, wykładając plan Bianki krok po kroku, aż będzie ich pewna. Niektóre odmawiają – albo nie przekonuje ich plan, albo nie mają odpowiednich zasobów odwagi, która w tym przypadku jest bliska brawurze i wymaga poświęcenia, poczucia obowiązku niemal tak ślepego jak u mrówek.

Wkrótce Portia ma swoją grupę szalonych samic, a każda z nich śmiga teraz wysokimi szlakami Wielkiego Gniazda, by jak najlepiej wykorzystać tę noc,

rano zaś zgłosić się na miejsce zbiórki. Niektóre zaszywają się w gronie własnej grupy, inne szukają wrażeń w mieście – tańców w samczym gronie, emocji związanych z podziwianiem kunsztownej pracy tkaczy. Samice gotowe na ten krok przyjmują zaloty samców, by złożyć jaja w swym domostwie, żeby zostało po nich jak najwięcej. Portia zyskała bardzo dużą wiedzę od ostatniego lęgu i ma wyrzuty sumienia, że te Zrozumienia, subtelne pokłady wiedzy zaginę bezpowrotnie, jeśli jej misja zakończy się niepowodzeniem.

Znów idzie do świątyni, szukając ukojenia w modlitwie, ale przypomina sobie, co mówiła Bianca – że głos Emisariuszki nie jest już jedynym, że w kryształach pojawiły się słabe szepty, które bardzo niepokoją kapłanki. Zawsze wierzyła, że matematyczna doskonałość przekazu musi posiadać jakieś większe, transcendentne znaczenie, wykraczające poza zwykłe liczby, z których się składa, lecz teraz nowy rozwój wypadków musi mieć inny sens, zbyt rozległy, by go ogarnął rozum biednej pajęczycy supłającej i plotącej dobrze znane sekwencje równań i rozwiązań. W takim razie co to oznacza? Nic dobrego, jak podejrzewa. Nic dobrego.

Późno w nocy siedzi w najwyższych obszarach Wielkiego Gniazda, wpatrując się w gwiazdy, i zastanawia się, który z punkcików światła szeptem przekazuje teraz niezrozumiałe tajemnice świętemu kryształowi.

3.7 WOJNA W NIEBIOSACH

Kern zerwała wszelki kontakt, pozwalając, by wahadłowiec pokonujący olbrzymie odległości w kilka sekund sunął w stronę zielonej planety. Holsten robił, co mógł, by zasnąć w niewygodnej pozycji w fotelu, który został zaprojektowany idealnie, aby pomagać znosić niedogodności wytracania prędkości w kosmosie, ale nic poza tym.

Przysypiał i budził się co chwila, ponieważ nieobecność Kern nie wyeliminowała przekazów radiowych. Nie miał pojęcia, kto rozpoczął tę wojnę na słowa, ale co rusz budziły go kłótnie Karsta – z pokładu goniącego ich wahadłowca – z kolejnymi buntownikami stającymi za konsolą komunikacyjną.

Karst był jak zwykle dogmatyczny do szpiku kości, przemawiając w imieniu *Gilgamesza*, z autorytetem całej rasy ludzkiej stojącej za nim (a pośrednio jej samozwańczym przedstawicielem Vriem Guyenem). Domagał się bezwarunkowej kapitulacji, na zmianę groził zniszczeniem ich statku, choć nawet Holsten wiedział, że wahadłowce nie są zdolne do takiego ataku, i przywoływał uśpiony gniew satelity, a kiedy wszystko inne zawiodło, zniżył się do osobistych wycieczek. Holsten nabrał przekonania, że Guyen uważa Karsta za osobę odpowiedzialną za ucieczkę buntowników.

Pojawił się jednak wątek jego i Lain – to był jedyny pozytywny. Najwyraźniej rozkazy Karsta dotyczyły w pewnym stopniu odbicia zakładników, choć najwyraźniej ten punkt nie znajdował się na szczycie listy priorytetów. Domagał się rozmowy z nimi, żeby się upewnić, że wciąż żyją. Lain zamieniła z nim kilka gorzkich słów, które zarówno zaspokoily jego ciekawość, jak i zniechęciły do dalszych dociekań. W swych egocentryczno-maniakalnych wywodach wciąż mówił o uwolnieniu zakładników, co było niemal wzruszające.

Buntownicy ze swej strony bombardowali Karsta swymi żądaniami i poglądami, opisując szczegółowo trudy życia w księżycowej kolonii, z jakimi przyszłoby im się zmierzyć, i zapewniając, że mają inne plany. Karst kontrował tymi samymi argumentami, które wymieniała Lain, choć mniej

spójnie niż ona, bo brzmiało to, jakby małpował słowa kogoś innego.

– Dlaczego w ogóle nas ścigają? – Holsten zapytał Lain zmęczonym głosem, po tym jak językowy sparring ostatecznie zniweczył szansę na dalszy sen. – Czemu nie odpuszczają, skoro wiedzą, że nasza ucieczka skazana jest na porażkę? Przecież nie z naszego powodu?

– Przynajmniej nie z *twojego* – ripostowała. Ale opamiętała się. – Ja... myślę, że Guyen bierze to do siebie. – Powiedziała to w taki sposób, że zaczęła się zastanawiać, jakie ma doświadczenia w tym względzie. – Ale chodzi też o coś więcej. Kiedyś weszłam w archiwum *Gilgamesza* do dokumentacji na temat umiejętności załogi podstawowej.

– Tylko dowódca ma wgląd do tych akt.

– Byłabym kiepską szefową inżynierów, gdyby to mnie powstrzymało. Pisałam większość kodów dostępu. Zastanawiałeś się, w czym nasz pan, mistrz i nauczyciel był taki dobry, że dostał tę robotę?

– Cóż, dopiero *teraz* się zastanawiam.

– Planowanie długoterminowe. Możesz w to uwierzyć? Zdolność obierania celu i pracy nad jego osiągnięciem wszelkimi dostępnymi metodami. To jeden z tych, co zawsze ma przemyślane cztery ruchy naprzód. Jego postępowanie może wyglądać na rozgoryczenie, ale ma swoje powody.

Holsten zastanawiał się nad tym przez chwilę, a buntownicy dalej jechali po Karście jak po łysej kobyle.

– Konkurencja – powiedział. – Jeśli jakimś cudem ominiemy satelitę i wylądujemy na tej planecie... i przeżyjemy atak wielkich pajaków.

– Taa, to możliwe – przyznała Lain. – Spieprzamy na Terraformę B, czy gdzie to tam jest, wracamy kilka stuleci później i widzimy, że Scoles zadomowił się na planecie, może nawet ubił interes z Kern. Guyen...

– Guyen chce dostać planetę – dokończył Holsten. – Chce pokonać satelitę i przejąć planetę. Ale też nie chce o nią z nikim walczyć.

– I dalej: jeśli Scoles się zadomowi i pošle wiadomość: *Lądujcie, pająki są kochane*. Co będzie, jeśli mnóstwo ludzi zechce się do niego przyłączyć?

– Tak więc krótko mówiąc, Guyen nie może nas zignorować. – A na koniec w mózgu Holstena pojawiła się jeszcze jedna myśl: – Reasumując, najlepsze rozwiązanie dla niego, lepsze nawet niż złożenie broni przez buntowników, byłoby takie, że Kern rozwała nas na kawałki.

Lain uniosła brew i jej wzrok poszybował w kierunku osób toczących batalię na urządzeniach komunikacyjnych.

– Czy słyhać, że Karst nadaje do satelity? – zapytał ją Holsten.

– Nie wiem. Mogę sprawdzić, jeśli te głupki dopuszczą mnie do urządzeń.

– Myślę, że powinnaś.

– Jasne, ja też tak myślę. – Lain wypięła się z pasów i ostrożnie odepchnęła się od fotela, w jednej chwili przyciągając uwagę większości buntowników. – Słuchajcie, mogę na chwilę do komunikatorów? Tylko...

– Wypuścił drona! – krzyknął pilot.

– Pokaż. – Scoles rzucił się naprzód, chwycił Lain za ramię i po prostu pchnął ją tak, że puściła oparcie fotela Holstena i poleciała na tył kabiny. – A ona niech się nawet nie zbliża do urządzeń, dopóki się nie dowiemy, co się dzieje.

Rozległ się trzask i przekleństwo, bo Lain w coś uderzyła i próbowała się czegoś schwycić, żeby się znowu nie odbić.

– Od kiedy to na pokładzie wahadłowców znajdują się drony? – zapytała Nessel.

– Niektóre wyposażono w większe ładownie – z tyłu dobiegł ich głos Lain.

– A co te drony mogą? – spytał ktoś.

– Niektóre mogą być uzbrojone – odparł pilot z napięciem w głosie. – Albo mogą po prostu w nas stuknąć. Dron, przyspieszając, może osiągać większą prędkość niż my, a my i tak już zaczynamy zwalniać. Wypuścili go teraz, bo zbliżyli się na dogodną odległość.

– Więc dlaczego pozwalamy, żeby nas dogonili? – krzyczał na niego jakiś zniecierpliwiony buntownik.

– Ponieważ musimy zwolnić, jeśli nie chcemy wybić dziury w planecie, na której próbujemy wylądować, kutasie! – odkrzyknął pilot. – A teraz zapinać pasy!

Amatorzy, pomyślał Holsten z rosnącym niepokojem. Jestem na pokładzie statku, który chce wylądować na nieznaną planetę, i nikt z załogi nie wie, co ma robić.

Spód wahadłowca gwałtownie stał się jego przodem, kiedy pilot walczył, by ograniczyć prędkość. Holsten wczepiał się w fotel, ale i tak się ześlizgiwał, aż zawisł na pasach.

– Dron zbliża się bardzo szybko – donosiła Nessel.

Holsten przypomniał sobie, jak szybko poprzednim razem bezzałogowy dron pokonał odległość między *Gilgameszem* i planetą.

– Słuchajcie – dobiegł ich żalony głos Lain, która starała się przedostać na

przód kabiny, chwytając się wszystkiego, co miała pod ręką – czy była jakaś wymiana informacji między Karstem i satelitą?

– Co takiego? – wykrzyknął ostro Scoles, a potem w uszach wybuchł im świdrujący zgrzyt z komunikatorów, tak że wszyscy chwycili się za głowy.

Nessel walnęła z całej siły w panel.

Holsten widział, jak Scoles bezgłośnie krzyczy: *Wyłącz to!* Frustracja Nessel wyraźnie wskazywała, że nie potrafi.

Nagle dźwięk ucichł, ustępując miejsca dobrze znanemu głosowi.

Dobiegł z głośników, dudniąc niemiłosiernie niczym głos mściwej bogini, która wymawiała eleganckie sylaby w Imperialnym C, jakby głosiła zagładę wszystkich obecnych. I tak właśnie było.

Holsten tłumaczył na bieżąco: *Mówi doktor Avrana Kern. Ostrzegalam was przed powrotem na moją planetę. Nic mnie nie obchodzą jakieś pająki. Nic mnie nie obchodzą wy. Ta planeta to mój eksperyment i nie pozwolę wam jej zanieczyścić. Jeśli nie ma śladu po moich ludziach i ich cywilizacji, to Świat Kern jest moim dziedzictwem, a nie waszym, wy tylko małpujecie nasze zdobycze. Macie się za ludzi. Bawcie się w nich gdzie indziej.*

– Ona nas zniszczy! – krzyknął.

Przez dłuższą chwilę buntownicy tylko patrzyli po sobie.

Lain wisiała w powietrzu, trzymając się oparcia foteli. Błada i roztrzęsiona oczekiwała rozwoju wydarzeń.

– W takim razie po sprawie? – jęknęła.

– Nic takiego nie mówiła – zaprotestowała Nessel, ale słuchało jej ledwie kilka osób.

Witajcie w świecie wiedzy klasycznej, pomyślał Holsten z goryczą. Zamknął oczy.

– Wahadłowiec zmienia kurs – oznajmił pilot.

– Przywróć kurs. Sprowadź nas na planetę, bez względu na wszystko... – zaczął Scoles.

Pilot mu przerwał:

– Ten drugi wahadłowiec, statek ochrony, my się trzymamy, ale oni... – Zmrużył oczy, wpatrując się w przyrządy. – Dryfują? A dron wymknął się spod kontroli... nie leci naszymi koordynatami. Przeleci obok.

– Chyba że tego właśnie chcą. Może to bomba – snuł przypuszczenia Scoles.

– Toby musiała być strasznie potężna bomba, żeby nas dosięgnąć przy tych

odległościach – odparł pilot.

– To Kern – stwierdziła Lain. Widząc ich zaskoczone miny, wyjaśniła: – To ostrzeżenie nie było skierowane tylko do nas. Kern ich dopadła, przejęła ich systemy. Ale naszego nie może przejąć.

– Dobra robota – mruknął Holsten do radia w masce zsuniętej na szyję.

– Zamknij się – odpowiedziała mu na tym samym kanale.

Wtedy w głośnikach znów rozległ się głos Kern. Dało się słyszeć kilka trzasków i popłynęły słowa w zwykłym języku, żeby każdy mógł zrozumieć.

– Myślicie, że mi uciekliście, bo zablokowaliście dostęp do komputerów? Uniemożliwiliście tylko zatrzymanie waszego wahadłowca i odesłanie go na wasz statek. Uniemożliwiliście mi postąpienie z wami w humanitarny sposób. Daję wam ostatnią szansę: umożliwcie mi dostęp do waszego komputera albo nie będę miała wyjścia i będę zmuszona was zniszczyć.

– Gdyby chciała nas zniszczyć, już by to zrobiła – stwierdził jeden z buntowników, ale na jakiej podstawie, Holsten nie wiedział.

– Dajcie mi dostęp do komunikatorów – powiedziała Lain. – Mam pewien pomysł.

Ponownie wybiła się w stronę paneli i tym razem Scoles przyciągnął ją do siebie i podstawił broń niemal pod nos. Pociągnęła go za sobą siłą bezwładu i we dwójkę prawie spadli pilotowi na kark.

– Doktorze Mason, co pan sądzi o tej Kern? – zapytał Scoles, patrząc wilkiem na Lain.

– Jest człowiekiem. – Było to pierwsze, co przyszło Holstenowi do głowy. Wyjaśnił, widząc marsową minę Scolesa: – Myślę, że jest człowiekiem. Albo kiedyś nim była. Być może jest hybrydą istoty ludzkiej i maszyny. Przeglądała bazę danych na *Gilgameszu*, więc wie, kim jesteśmy, a przynajmniej że pochodzimy z Ziemi, i myślę, że ten fakt coś dla niej znaczy. Podejrzewam też, że laser, którym dysponuje, wymaga olbrzymiej energii przy strzale w porównaniu z komputerowym wyłączeniem naszych systemów albo przekazaniem wiadomości do reaktora, żeby zaczął się przegrzewać. Prawdziwej broni użyje wyłącznie w ostateczności. W zakresie zużycia energii nawet technologia Starego Imperium miała swoje ograniczenia. Dlatego będzie próbowała się nas pozbyć, nie zabijając nas. Ale teraz nie może tego zrobić, ponieważ uniemożliwiliśmy jej dostęp.

Scoles puścił Lain z wściekłym syknięciem, a ona od razu zaczęła wyjaśniać coś Nessel i jednemu z buntowników, mówiła coś o przywracaniu

niektórych połączeń z komputerem pokładowym. Holsten miał tylko nadzieję, że wie, co robi.

– Ale będzie próbowała nas zabić? – zapytał beznamiętnie Scoles.

Co mogę mu powiedzieć? Że to zależy od jej nastroju? Że zależy od tego, z którą Kern rozmawiamy w danym momencie? Holsten rozpiął pasy i wolno podpłynął w ich stronę, chcąc sprawdzić, czy uda mu się zagadać Kern.

– Należy do kultury, która wyniszczyła samą siebie i zatrąła Ziemię. Nie wiem, do czego jest zdolna. Myślę, że walczy sama z sobą.

– To ostatnie ostrzeżenie – dobiegł ich głos Kern.

– Widzę, jak rozgrzewają się systemy satelity – ostrzegł pilot. – Sądzę, że laser jest włączony i wycelowany.

– Jest jakiś sposób, żeby się schować za planetą, a wystawić tamtych? – zapytał Scoles.

– Nie ma szans. Jesteśmy na widoku. Podchodzę do lądowania. Mam dwadzieścia minut, żeby wlecieć w atmosferę, która może zakłócić jej lasery.

– Gotowe! – wykrzyknęła Lain.

– Co niby jest gotowe? – zapytał ostro Scoles.

– Wyizolowałyśmy pokładową bazę danych i połączyłyśmy ją z komunikatorami – wyjaśniła Nessel.

– Dałyście Kern dostęp do naszej bazy danych? – przełożył Scoles na swój język. – Myślicie, że to ją wzruszy czy co?

– Nie – oznajmiła Lain. – Ale potrzebowałam dostępu do transmisji. Holsten, chodź no tutaj.

Rozpoczął się niezwykle żałosny spektakl baletowy, w którym szarpano Holstena w przód i w tył, aż zapięto go w fotelu przy panelu komunikacyjnym, pochylonego w stronę dzioba wahadłowca, gdyż siła bezwładu ciągnęła go do przodu.

– Spali nas na popiół – mówiła Lain, kiedy Holsten się sadowił. Ta perspektywa zdawała się ją ekscytować. – Holsten, możesz ją zagadać? Albo w ogóle coś zrobić?

– Ja... mam pewien pomysł...

– Ty rób swoje, a ja będę robić swoje – powiedziała Lain. – Ale zacznij już *teraz*.

Holsten sprawdził panel, otworzył kanał z satelitą. *Zakładamy, że nie podsłuchiwała wszystkiego, o czym mówiliśmy.* I zaczął:

– Doktor Kern, doktor Avrano Kern.

- Nie jestem otwarta na negocjacje – dobiegł go ostry głos.
- Chcę mówić z Elizą.

Przez sekundę coś się zacięło w transmisji Kern – i serce skoczyło Holstenowi do gardła, bo przekaz był zagłuszany przez transmisję w Imperialnym C. Eliza znów stanęła za sterem.

Obecnie znajdujecie się w strefie zakazanej wokół planety pod kwarantanną. Wszelkie próby naruszenia Świata Kern spotkają się z natychmiastowym odwetem.

Nie Elizo oddaj mój głos oddaj mój umysł to moje moje dość tych ostrzeżeń zniszcz ich pozwól mi ich zniszczyć

Holsten przygotował odpowiedź tak szybko, jak zdołał, i przetłumaczył ją. *Elizo, potwierdzamy, że nie mamy zamiaru ingerować w Świat Kern.* Był więcej niż pewien, że Eliza to komputer, a kto mógł znać granice jego inteligencji i rodzaj oprogramowania?

Jest to sprzeczne z waszym obecnym kursem i prędkością. To ostatnie ostrzeżenie.

Kłamią jak z nut pozwól mi mówić pomóż mi niech ktoś mi pomoże

Elizo, proszę, pozwól nam rozmawiać z doktor Avraną Kern, wysłał wiadomość.

Jak można się było spodziewać, w głośnikach ciasnej kabiny zadudnił głos:

– Jak śmiesz?

– I poszło – powiedziała Lain, odcinając Kern.

– Co to było? – zapytał wzburzony Scoles.

– Sygnał alarmowy – wyjaśniła Lain. – Powtarzająca się transmisja jej własnego sygnału ratunkowego – mówiła to w chwili, w której Holsten wysłał: *Doktor Kern, mogę mówić z Elizą?*

Odpowiedź, która nadeszła, była zredukowana prawie do szumu komunikacyjnego. Usłyszał fragmenty zdań Kern i systemu Eliza, które były szatkowane, ponieważ system satelity próbował przetworzyć sygnał alarmowy o wysokim priorytecie.

– Zaraz wejdziemy w atmosferę – meldował pilot.

– Udało nam się – powiedział ktoś.

– Nigdy nie mów... – zaczęła Lain i nagle komunikatory zamilkły tak gwałtownie, że Holsten z głupią miną spoglądał na odczyty, nie wiedząc, czy coś się zepsuło.

Satelita przestał nadawać.

– Wyłączyliśmy ją? – zapytała Nessel.

– „Myśmy wyłączyli”, tak? – warknęła Lain.

– Ale słuchajcie, to oznacza, że wszyscy mogą przylecieć na tę planetę, wszyscy z *Gila* – zaczęła tamta, lecz wtedy komunikatory zamigotały nowym sygnałem i dało się słyszeć wściekły, smagający głos Kern:

– Nie, nie wyłączyliście mnie.

Lain w jednej chwili zaczęła zaciągać pasy, szykując się na wstrząs, po czym zrobiła to samo z pasami Holstena.

– Przygotować się! – wykrzyknął ktoś bez sensu.

Holsten spojrział na swój poprzedni fotel na tyłach wahadłowca. Nawet udało mu się zerknąć w głąb luku bagażowego i zobaczył, jak buntownicy miotają się gorączkowo, starając się zabezpieczyć przed uderzeniem. Potem pojawił się oślepiający błysk, który uwiecznił na dłuższą chwilę ten obraz na jego siatkówkach, i gładki lot wahadłowca zmienił się w beładny spadek... a z zewnątrz dobiegał straszliwy ryk. I pomyślał: *Atmosfera. Wpadliśmy w atmosferę*. Pilot klął jak szewc, walcząc ze sterami, a Lain mocno objęła Holstena, ponieważ nie zdążyła przypiąć wszystkich swoich kłamr. On z kolei wczepił się kurczowo w fotel, bo impet próbował go z niego wybić.

Drzwi do luku bagażowego zamknęły się automatycznie. Ale Holsten już tego nie zauważył, ponieważ tylna część wahadłowca została odcięta.

Przednia część – kabina – leciała w stronę wielkiej zielonej planety poniżej.

3.8 WOJNA ASYMETRYCZNA

Lud Portii nie posiadał palców, ale jej przodkowie konstruowali rozmaite budowle i używali narzędzi tysiące lat wcześniej, zanim zyskali coś na kształt inteligencji. Posiadali dwie nogogłaszczki, osiem odnóży chwytnych, którymi posługiwali się dowolnie. Całe ich ciało jest niczym dziesięciopalczysta dłoń z dwoma kciukami, która w razie potrzeby przywiera do różnych powierzchni bądź snuje nić. Ich jedynym prawdziwym ograniczeniem jest fakt, że muszą wykonywać prace, polegając wyłącznie na zmysłach dotyku i węchu, od czasu do czasu kontrolując wyniki wzrokiem. Najlepiej im się pracuje, gdy są zawieszani w powietrzu, myśląc i tworząc w trzech płaszczyznach.

Dwa strumienie twórczych zdolności przywiodły Portię do obecnej misji. Jeden z nich to płatnerstwo czy też jego odpowiednik w przypadku gatunku, który nie ma dostępu ani do ognia, ani do metalu.

Przed nimi kolumna mrówek zatrzymała się na noc, tworząc wyjątkową nieprzeniknioną fortecę. Portia wraz ze swoją kohortą wierci się i niecierpliwie przytupuje, świadoma, że mnóstwo zwiadowców wroga przeczesuje puszcę na oślep, atakując wszystko, co stanie im na drodze, i jednocześnie wysyłając wyraźne sygnały alarmowe. Przypadkowe spotkanie może ściągnąć im na głowy całą superkolonię.

Bianca biadoli nad swoimi samcami, którzy w roli rzeźników zostali wysłani do zabicia i rozczłonkowania jej ulubieńców. Samce, jak się wydaje, wykonają swoją część roboty, ale brakuje im odwagi, by stworzyć forpocztę. To Portia wraz z towarzyszkami podejmie straceńcze zadanie infiltracji śpiących mrówek, zabierając ze sobą tajną broń.

Stado żuków biegaczowatych zebranych przez Biancę zostało tu przypędzone z Wielkiego Gniazda. Z natury nie są to owady przebywające w dużych grupach i ściągnięcie ich tutaj było mocno kłopotliwe. Udało się to niebezpiecznie późno, tuż przed świtem, niedługo cała armia wroga znów ruszy w drogę.

Kilkanaście pomysłowych żuków uciekło, reszta najwyraźniej porozumiewa się za pomocą zapachu i dotyku czulek, więc Portia ma

wątpliwości, czy można planować z nimi zbiorową akcję. Nie ma pojęcia, czy biegaczowate potrafią myśleć, ale dostrzega, że ich postępowanie jest bardziej złożone niż u innych owadów. W jej świecie nie ma wyraźnego podziału na tych, co myślą, i na tych nieposiadających tej zdolności, stanowi on jedynie pewne kontinuum.

Żuki jednak za późno zaplanowały ucieczkę. Teraz są w zagrodzie i samce Bianki zabijają je szybko i skutecznie, oddzielając pancerze. Rzemieślnicy Wielkiego Gniazda natychmiast zaczynają tworzyć osłony z fragmentów pancerzy, odziewając Portię i jej towarzyszki prawie całe w ciężkie, niezgrabne chitynowe zbroje. Wykorzystują kły i siłę odnóży, by skręcać, zginać i łamać poszczególne części, tak by pasowały jak najlepiej, zabezpieczając wszystko nicią.

Podczas tej pracy Bianca wyjaśnia teorię. Żuki biegaczowate najwyraźniej wykorzystują rozmaite bardzo złożone zapachy, by skłonić mrówki, aby nie tylko je karmiły, ale też zapewniały im wszystko, czego potrzebują. Te zapachy zmieniają się stale wraz ze zmianą mrówczych środków obronnych. Język chemiczny żuków okazał się zbyt skomplikowany, by Bianca mogła go odczytać.

Istnieje jednak główny zapach i to się nie zmienia. Mówi on kolonii mrówek – *nic tam nie ma*. Żuki nie są w ogóle zauważane przez mrówki, chyba że aktywnie wchodzą z nimi w interakcję. To nie wróg, nie mrówka ani nawet grudka ziemi, ale *nic*. Wobec ślepych, kierujących się zmysłem węchu mrówek żuki wykorzystują swoistą niewidzialność, także w przypadku dotyku, nawet wtedy, kiedy czułki mrówki dotykają szorstkiego pancerza żuka, kolonia wyczuwa tylko brak, pustkę.

Główny zapach utrzymuje się nawet po śmierci, ale nie na długo, stąd masakra żuków nastąpiła o godzinie jedenastej. Bianca ostrzega Portię i jej towarzyszki, żeby działały szybko. Nie wie, jak długo się utrzyma ten feromonowy parasol ochronny.

Więc możemy je zabijać, a one nie będą nawet o tym wiedziały? – kończy Portia.

Absolutnie nie. Nie na tym polega twoja misja, odpowiada rozeźlona Bianca. Ile twoim zdaniem zdołasz zabić? A jak zaczniesz je atakować, to w końcu ich system ostrzegawczy zadziała.

W takim razie zabijemy ich kastę lęgową, mówi Portia.

Kolonia mrówek w drodze to wciąż powiększający się organizm, stale

składający jaja, by pokryć straty.

Nie zrobisz tego. Rozejdziecie się po kolonii, tak jak zaplanowałam, i poczekacie, aż wasze ładunki się rozpadną.

Ładunki to kolejna część planu i są dziełem drugiego rodzaju pajęczego rzemiosła. Bianca robiła je sama, warząc substancję chemiczną z przygotowanych składników i resztek po żukach i umieszczając ją w kulkach z jedwabiu. One też nie będą działać wiecznie.

Alchemia ludu Portii ma długą historię; ewoluowała najpierw z sygnałów zapachowych używanych przez ich dalekich krewnych, by szybko przekształcić się w bardziej złożone związki pod wpływem kontaktów z innymi gatunkami, takimi jak mrówki, którymi można manipulować, bez problemu pozyskując w ten sposób zapachy. Dla pajęczycy takiej jak Bianca, która posiłkuje się osobistymi doświadczeniami oraz darem Zrozumień poprzednich pokoleń, mieszanie substancji chemicznych jest doznaniem wizualnym, w którym ich zapachy nakładają się na siebie, pozwalając jej na wykorzystanie niezwykłych ośrodków wzrokowych w mózgu, tak by mogła sobie wyobrazić substancje, z którymi pracuje, i ich związki w obrazowym języku mentalnym chemii molekularnej. Wywołuje chemiczne reakcje przy użyciu egzotermicznych katalizatorów, by wytwarzać ciepło bez niebezpieczeństwa otwartego ognia.

Same substancje chemiczne mają ograniczoną żywotność, tak jak pojemniki z sieci. Idealnie zsynchronizowane uwolnią swój ładunek jeden po drugim i czas jest tu kluczowym czynnikiem, gdyż Portia i jej towarzyszki nie będą mogły koordynować między sobą momentu wyzwolenia substancji.

Bianca podaje im broń i już wiedzą, co muszą zrobić. Ruchoma forteca wroga rozciąga się przed nimi w całej mrocznej kniei. Muszą wykonać zadanie w krótkim czasie albo zginą, a cała cywilizacja pójdzie ich śladem. Mimo to każda ich cząstka odpowiedzialna za przetrwanie gatunku wzdraga się przed tym. Nikt nie przenika do fortecy mrówek i nie wychodzi z tego cało. Portia i jej towarzyszki zbliżają się do kolonii wolno i niechętnie, chociaż Bianca pogania je z tyłu. Strach przed wyginięciem był ich wrodzoną cechą na długo przedtem, zanim pojawiła się inteligencja, i z całą pewnością na długo przedtem, nim pojawiły się zaczątki społecznego altruizmu. Mimo wysokiej stawki, o którą toczy się gra, trudno słumić strach.

Wtedy noc nagle zmienia się w dzień i pająki podnoszą wzrok na niebo, z którego ktoś na chwilę zdmuchnął gwiazdy.

Coś nadciąga.

Czują wściekłe drgania powietrza, ziemia wibruje współczująco, a one przysiadają w swych ciężkich zbrojach, przerażone i całkowicie zaskoczone. Kula ognia przecina niebo, ciągnąc za sobą z hukiem płomienisty ogon. Żadna z nich nie ma pojęcia, co to może być.

Kiedy wali w ziemię, w pobliżu zwiadowców kolonii mrówek, siła uderzenia wciąż pobrzmiwa w ich wrażliwych odnóżach, jakby cały świat wykrzykiwał jakieś potężne, tajemne słowo.

Przez chwilę zamierają w bezruchu, sparaliżowane zwierzęcą grozą. W końcu jedna z nich pyta, co to jest, a Portia sięga do swej jaźni i odnajduje tę cząstkę, która zawsze była otwarta na to, co niepojęte: straszliwe i piękne zarazem zrozumienie, że na świecie istnieje coś więcej niż tylko to, co widzą jej oczy, więcej niż jej odnóża są w stanie wyczuć.

Emisariuszka przyleciała do nas z góry, mówi im. W tej właśnie chwili – poza strachem i nadzieją – jest całkowicie o tym przekonana, ponieważ to, co się wydarzyło, wybiega poza jej doświadczenie i można to wytłumaczyć jedynie kwintesencją tajemnicy.

Niektóre są pełne nabożnego podziwu, inne podchodzą do tego dość sceptycznie.

Co to oznacza? – pyta jedna z nich.

To oznacza, że musimy brać się do roboty! – dudni Bianca za ich plecami. Macie mało czasu! No już, ruszajcie! A jeśli Emisariuszka jest tu z wami, to znaczy, że wam sprzyja, ale tylko jeśli się wam powiedzie! Jeśli to Emisariuszka, pokażcie jej swoją siłę i pomysłowość Wielkiego Gniazda!

Portia wymachuje nogogłaszczkami, wyrażając żarliwą zgodę, podobnie jak reszta jej grupy. Wpatrując się w smugę dymu wciąż przesłaniającą gwiazdy, Portia wie, że to znak z nieba, z nieba Emisariuszki. Wszystkie te godziny spędzone na nabożnych kontemplacjach matematycznych tajemnic Świątyni, na skraju objawienia, najwyraźniej ją do tego doprowadziły.

Ruszać! Portia daje znak i rusza na wroga, wiedząc, że Bianca i jej grupa pójda jej śladem. Zbroja z żukowego pancerza jest ciężka, ogranicza jej pole widzenia, jest niewygodna i trudno w niej biegać, nie mówiąc o skakaniu. Są niczym pionierscy nurkowie mający się zanurzyć we wrogich wodach, w których jedyną ochronę stanowią ich stroje.

Tak szybko jak potrafią pędzą po ściółce leśnej, a zbroje wrzynają im się w stawy, sprawiając, że kuleją i potykają się. Są jednak zdecydowane i kiedy zbliżają się do mrówczych zwiadowców patrolujących obszar, mijają ich

w swych czarnych osłonach, jak powiew wiatru.

Zwiadowcy są poruszeni, pędzą w stronę słupa dymu i ognia, w miejscu, w którym nawiedziła ich Emisariuszka, i bez wątpienia są gotowi na swój ślepy, ateistyczny sposób kopać rów, by uchronić przed ogniem kolonię oraz – nieświadomie – jej wrogów.

Wtedy przed Portią i jej towarzyszkami pojawia się mrówcza forteca. Forteca *jest* kolonią. Mrówki stworzyły olbrzymią strukturę wokół pnia drzewa, pokrywając dziesiątki metrów kwadratowych przestrzeni horyzontalnie i wertykalnie. Głęboko w jej centrum znajdują się wylęgarnie i żłobki, spiżarnie i rzędy larw, czyli kolejne pokolenie żołnierzy, oraz wszystkie te pomieszczenia, tunele i trakty utworzone przez mrówki szczepione z sobą kończynami i żuwaczkami – całe ciało żarłocznego potwora, który pożre każdego intruza, jeśli ten odważy się tu wejść. Mrówki nie trwają w uśpieniu. Widać stały strumień robotnic kursujących tunelami, usuwających odpadki i ciała zmarłych, a same korytarze zmieniają się i przestawiają, by regulować wewnętrzną temperaturę fortecy i przepływ powietrza. Jest to zamek z osuwającymi się ścianami i gwałtownie powstającymi lochami.

Portia i jej towarzyszki nie mają wyboru. Są wojowniczkami Wielkiego Gniazda, zaprawionymi w bojach weterankami, które niejednokrotnie stawały przeciwko przeważającej mrówczej sile. Odnosiły jednak sporadyczne i drobne zwycięstwa. Zbyt często osiągały jedynie zmniejszenie strat bądź spowolnienie mrówek. Teraz wiedziały, że sama sprawność w posługiwaniu się bronią, prędkość i siła nie są w stanie pokonać takiej masy wrogów zebranych pod sztandarem wspólnego celu całej kolonii, której ta ruchoma forteca jest jedynie pojedynczą odnogą. I choć nie rozumiały tego do końca, wiedziały, że plan Bianki jest jedyną bronią, jaką mają do dyspozycji.

Przed fortecą rozdzieliły się, szukając sobie dróg do środka. Portia postanowiła się wspinać, dźwigając swoją masywną drugą skórę po drabinie z mrówek, i czuła, jak drgają ich czułki dotykające jej opancerzonego tułowia, kiedy po nich przechodziła. Jak dotąd nie została zdemaskowana. Doskonale wiedziała, co się stanie, jeśli kolonia pozna jej prawdziwą tożsamość. Ściana, po której mozolnie się wspinała, zmieni się w ostrą piłę, która rozerwie ją na kawałki i pochłonie z kretesem. Nie będzie miała najmniejszych szans.

W pewnym oddaleniu jedną z jej towarzyszek spotkał właśnie taki los. Przez szparę w zbroi przesączył się pajęczy zapach i w jednej chwili na jej odnózu zacisnęły się mrówcze szczęki, odcinając je w stawie. Gwałtowny

wypływ soków poderwał okoliczne mrówki i w jednej chwili podniosła się cała fala wściekłych owadów gotowych się bronić. Choć reszta ciała pajęczycy chroniona pancerzem pozostała dla mrówek niewidoczna, to bez trudu odnalazły ranę i wbiły się we wnętrze wyrywającego się intruza, rozrywając go od środka, a niewidzialna dla nich zbroja rozpadła się na kawałki.

Portia idzie posępnie dalej i odnajduje jeden z otworów wentylacyjnych fortecy. Przeciska się przez niego, chwytając się ruchomego kobierca owadów, by znaleźć punkty podparcia. Jej nogogłaszczki przyciskają wolno rozpadający się pakunek do ciała, żeby nie zaczął o kanciaste kształty tworzące ściany i podłogę. Zakopuje się w masę kolonii, podąża śladem wewnętrznych szlaków i prądów powietrznych, objając się o przemykające bokiem robotnice, ale nie zwraca na siebie uwagi. Zbroja spełnia swoje zadanie.

A jednak ma świadomość, że nie wszystko idzie jak należy – jest niewidoczna, ale i tak zostawia ślady. Kiedy jej ciało blokuje przepływ powietrza, kolonia to zauważa. Kiedy musi siłą przepchnąć się przez mrówcze ciała, w zbiorowej świadomości mrówki wiedzą, że coś jest nie tak. Kiedy przemierza całkowicie ciemne obszary żywej fortecy, wie doskonale, że wokół niej narasta poruszenie, zakłócenie, które może być jedynie skutkiem jej pojawienia się. Tunele za nią się zamykają, kolonia, nie mogąc nic wywęszyć, bada za pomocą skumulowanego zmysłu dotyku.

Czuje jakiś ruch przed sobą, ale to nie mrówka jest jego przyczyną. Przez chwilę nic nie widzi, a wreszcie staje oko w oko z żukiem biegaczowatym, który bada jej skradziony pancerz czułkami i przerażony podaje tyły. Portia instynktownie rusza jego śladem, pozwalając, by żuk poprowadził ją przez labirynt kolonii. Po chwili jest przegrzana, osłabiona, a jej serce ledwo pompuje natlenioną krew. Z sekundy na sekundę traci orientację i wyłącznie atawistyczny instynkt pcha ją dalej.

Czuje, jak cała kolonia rozstępuje się wokół niej, budząc się ze snu.

Wtedy nadchodzi ten moment. Badawczy czulek odnajduje lukę, w której prześwituje fragment jej skóry, i Portia w ułamku sekundy zakleszcza konającą mrówkę, która w ostatnim skurczu wydaje z siebie sygnał alarmowy, tak że cały tunel wokół niej rozpada się na pojedyncze owady, a każdy szuka intruza, o którym wiedzą, że musi gdzieś tu być.

Portia zastanawia się, czy znajduje się wystarczająco głęboko we wnętrzu fortecy. W końcu jej życie niewiele znaczy i jej przetrwanie nie jest konieczne,

by plan Bianki się powiódł, choć ona osobiście wolałaby to przeżyć.

Próbuje zwinąć się w kłębek, podkurczyć odnóża, ale mrówki są już na niej i szybko uniemożliwiają jej zaczerpnięcie oddechu. Jest zbyt gorąco, żeby się zastanawiać. Podduszają ją, niezmordowanie badając powierzchnię pancerza.

Pakunek tak bacznie strzeżony osiąga moment rozpadu, spowijająca go sieć pruje się w dokładnie wymierzonym czasie, a sprężony chemiczny ładunek uwalnia się w eksplozji cuchnącego, ostrego gazu.

Portia traci świadomość. Kiedy odzyskuje przytomność, nie wie, ile czasu minęło. Leży na plecach z podkurczonymi odnóżami, wciąż w zbroi z pancerza żuka, pośród martwych mrówek. Cała forteca zawaliła się i rozpląnęła w owadzich ciałach, spod których na jej oczach wygrzebuje się kilka pajęczyc. Mrówki nie stawiają oporu. Nie wszystkie też są martwe – machają ufnie czułkami, a niektóre poruszają się niemrawo, ale kolonii coś odebrano – jej cel.

Stara się wycofać, ale mrówki otaczają ją ze wszystkich stron – olbrzymia połać mrówczej architektury. Wydaje się jej, że w każdej chwili mogą przypomnieć sobie o swojej roli.

Mniej niż połowa oddziału Portii pozostała przy życiu i pajęczycy, chwiejąc się, potykając, podpełzają do niej, niektóre ranne, wszystkie wymęczone pod brzemieniem ciężkich zbroi. Nie są w stanie walczyć.

Nagle jedna z wojowniczek dotyka jej, by zwrócić jej uwagę. Podłoże z otumanionych mrówek jest zbyt chybotliwe, by normalnie porozmawiać, więc sygnalizuje, machając szeroko nogogłaszczkami. *Nadchodzi. Nadchodzą.*

To prawda: Bianca wraz z asystentami pojawia się na miejscu i nie są sami. U ich boku pokornie drepczą mrówki – mniejsze niż większość kast najeźdźców, najwyraźniej pochodzą z udomowionych kolonii Wielkiego Gniazda.

Portia chwieje się i unosi nad krawędź powalonej fortecy, podciąga się ponad morze niezdarnie kłębiących się ciał, by wreszcie paść przed Biancą na ziemię.

Co się dzieje? – pyta. Co zrobiłyśmy?

Po prostu nasączyłam cały obszar zmodyfikowaną formą związków chemicznych żuków biegaczowatych, które chroniły nas do tej pory, wyjaśnia Bianca precyzyjnymi ruchami odnóży, a jej nogogłaszczki bezustannie wydają instrukcje ekipie. Ty i twoje siostry wystarczająco głęboko wniknęłyście do kolonii, a zasięg działania gazu był wystarczający, tak że udało nam się

dopaść całą kolumnę – tak jak chciałam. Pokryłyśmy je kołderką nieobecności.

Samce zachęcają teraz oswojone mrówki do pracy, częstując je precyzyjnie sprokurowanymi zapachami. Portia zastanawia się, czy te małe robotnice staną się katami wielkiej masy ich wrogich pobratymców.

Wciąż nie rozumiem, wyznaje.

Wyobraź sobie, że większość wiedzy mrówek na temat świata, wszystkie modele ich zachowania i, co najważniejsze – sposobu, w jaki ich reakcje pobudzają do działania inne osobniki, to sieć – bardzo skomplikowana sieć, wyjaśnia Bianca machinalnie, myśląc o czymś innym. My rozplotłyśmy i wchłonęłyśmy tę sieć całkowicie. Pozbawiłyśmy je struktury i celów.

Portia przygląda się chmarze snujących się bez celu mrówek. *W takim razie pokonałyśmy je? Czy też może splotą tę sieć ponownie?*

Niemal na pewno, ale nie zamierzam dawać im ku temu okazji.

Oswojone stado mrówek wchodzi między większych najeźdźców, pospiesznie dotykając ich czułkami, przekazując swoje zwyczaje. Portia patrzy na ten pochód najpierw zdezorientowana, potem pełna podziwu i na koniec ze strachem na widok tego, czego dokonała Bianca. Każda mrówka, z którą porozmawiała już ta oswojona, momentalnie rusza do działania. Gorączkowo krząta się jak inne wokół niej, ale jej zadanie jest teraz proste: ma przemawiać do innych mrówek, cucić oszołomionych braci, przekonywać ich i naginać ich zachowanie do swych potrzeb. Wiadomość od Bianki rozprzestrzenia się niczym zaraza. Fala nowego rozlewa się po upadłej kolonii, pozostawiając po sobie jedynie oswojoną armię.

Snuję nową strukturę, wyjaśnia Bianca. Teraz będą szły za naszymi mrówkami. Dałam im jakby nowy umysł i odtąd będą naszymi sojusznikami. Mamy armię. Wynalazłyśmy broń zdolną pokonać mrówki bez względu na ich liczbę i pozwalającą pozyskiwać nowych sprzymierzeńców.

Naprawdę jesteś geniuszem, jesteś najmądrzejsza z nas wszystkich, chwali ją Portia. Bianca skromnie nie zaprzecza, przyjmując komplement, i wysłuchuje pytań wojowniczkii: W takim razie czy to ty sprawiłaś, że ziemia zadrżała? Że pojawił się błysk i dym, który zdezorientował ich zwiadowców?

To nie było moje dzieło, przyznaje Bianca z wahaniem. Wciąż czekam na wieści w tej sprawie, ale być może, kiedy zrzucisz tę przyciężką drugą skórę, zechcesz to sama sprawdzić. Myślę, że coś spadło z nieba.

3.9 PIERWSZY KONTAKT

Spadli.

Kabina wahadłowca wciąż zachowała cechy aerodynamiczne, a pilot zdołał odpalić hamulce rakietowe, uchylić wloty powietrza i uwolnić spadochrony, by spowolnić lot, lecz mimo to pierwszym śladem ludzkości na zielonej planecie był wielki krater. Jednak jakimś cudem poważnie uszkodzony wahadłowiec przebił się przez atmosferę, miotany turbulencjami, choć nie stracił całkiem kontroli. Holsten dowiedział się później, że odrzucenie luku bagażowego to w gruncie rzeczy *normalna* procedura przy awaryjnym lądowaniu. Pilot odrzucił ostatni kikut statku tuż przed wejściem w atmosferę, a pogruchootany kadłub objawił się na niebie nowego świata niczym mesjasz.

Nie można powiedzieć, że było to łagodne lądowanie. W gruncie rzeczy mocno gruchnęli o ziemię, i to pod fatalnym kątem, tak że jeden z buntowników został wyrwany z pasów i z całym impetem upadł – ze skutkiem śmiertelnym – na panel komunikatorów, a Holsten poczuł, jak szarpie nim do przodu, by w myśl praw fizyki wyrwać go z więzów, które w ostatnim momencie zapięła na nim Lain. Przy uderzeniu stracił przytomność. Podobnie jak wszyscy inni.

Kiedy się ocknął, uświadomił sobie, że są na ziemi, ale we wnętrzu kabiny nic nie było widać. Paliły się tylko światła awaryjne, żeby im oznajmić, że jest bardzo źle. Do tego ekrany zgasły, a niektóre były rozbite. Ktoś szlochał i Holsten poczuł zawiść, bo on sam miał trudności z zaczerpnięciem powietrza.

– Mason – usłyszał przy uchu. Lain mówiła przez komunikator maski, jak się zdawało – nie po raz pierwszy.

– Hkhhh – wykrztusił.

– Kurwa. – Słyszał, jak krząta się obok niego, mrużąc: – No, dalej, dawaj, musimy mieć zasilanie awaryjne. Widzę twoje światła awaryjne, ty suko. Nie świeć mi tymi pieprzonymi światełkami, cholera...

I nagle przyćmione bursztynowe światło zaczęło się sączyć z taśmy okalającejabinę przy suficie, ukazując zaskakujący w tych okolicznościach porządek. Pomijając pechowca, który zginął, pozostali byli wciąż przypięci

pasami: Scoles, Nessel, pilot, jakaś kobieta i jakiś mężczyzna, plus Lain i Holsten. Fakt, że kruche istoty ludzkie przeżyły katastrofę, oznaczał, że wnętrze kabiny było nienaruszone, choć najwyraźniej nic nie działało. Nawet panel komunikatorów został wyegzorcyzmowany ze złośliwego ducha Avrany Kern.

– Dziękuję ci, kimkolwiek jesteś – powiedział Scoles, ale rozpoznał Lain i się skrzywił. – Odzywać się! Ktoś jest ranny? Tevik?

Jak się okazało, Tevik był pilotem, co Holsten odnotował poniewczasie. Miał coś z ręką, meldował, pewnie złamana. Pozostali nie uniknęli sińców i wybroczyn – wszyscy mieli oczy czerwone aż do tęczówki – ale tylko Holsten miał poważniejsze obrażenia. Lain podejrzewała, że ma pęknięte zebro.

Scoles wyskoczył z fotela, przyniósł apteczkę i zaczął rozdawać środki przeciwbólowe – podwójną dawkę dla Tevika i Holstena.

– To silne środki – ostrzegł. – Znaczy, że w ogóle nie będzie was boleć – nawet wtedy, gdy powinno. Jak przesadzicie, to możecie poważnie nadwerekować mięśnie.

– Nie mam zamiaru przesadzać – powiedział Holsten słabym głosem.

Lain zdjęła mu kombinezon do pasa i założyła opaskę usztywniającą na piersi. Tevik dostał żelowy opatrunek, żeby jakoś zabezpieczyć dłoń.

– Jaki jest plan? – pytała, nie przerywając pracy. – Nasza siódemka ma zaludnić nową Ziemię, tak? – Podniosła wzrok i zobaczyła, że Scoles mierzy do niej z broni.

Holsten widział wyraźnie, że ma chęć rzucić jakąś sarkastyczną uwagę, ale mądrze zachowała ją dla siebie.

– Możemy zaludniać w piątkę – odpowiedział spokojnym głosem szef buntowników. Jego ludzie patrzyli na niego niepewnie. – A jeśli nie mogę na was liczyć, poradzimy sobie sami. Jeśli mamy przetrwać, może być ciężko. Musimy polegać na sobie nawzajem. Albo jesteś w zespole, albo będziesz marnować nasze zapasy, które można by przydzielić komuś, kto bardziej na nie zasługuje.

Lain spoglądała to na jego twarz, to na broń.

– Zdaje się, że nie mam wielkiego wyboru – i nie mówię tego tylko dlatego, że masz ochotę mnie zastrzelić. Jesteśmy na miejscu. Cóż mi pozostaje?

– Racja – przyznał niechętnie Scoles. – Jesteś inżynierem. Pomóż nam wydostać ze statku wszystko, co może być użyteczne. Wszystkie przedmioty,

które dają ciepło i światło. Wszelkie zapasy z kabiny. – Było to potwierdzenie faktu, że wszystko, cały sprzęt, którego planował użyć, żeby zbudować nowy wspaniały świat, został razem z większością jego zwolenników na granicy atmosfery.

– Mam odczyty z zewnątrz – meldował Tevik, próbując jedną ręką obsługiwać konsolę. – Temperatura sześć stopni ponad standard, atmosfera pięć procent tlenu ponad standard. Nie ma śladu żadnych trujących związków.

– A zagrożenie biologiczne? – zapytała Nessel.

– Któż to wie? Mogę wam jednak powiedzieć, że mamy dokładnie jeden szczelny kombinezon na nas wszystkich, ponieważ reszta uleciała z ładownią w przestrzeń. I wskaźniki mówią, że bez działającego systemu oczyszczania mamy powietrza w kabinie na dwie godziny maksymalnie.

Wszyscy zamilkli na chwilę, myśląc o zabójczych wirusach, mięsożernych bakteriach i niebezpiecznej grzybni.

– Śluza powietrzna pracuje na trybie ręcznym – odezwała się w końcu Lain. Podczas gdy wszyscy rozmyślali nad niechybnym końcem, ona po prostu *myślała*. – Zestaw medyczny może przeprowadzić analizę mikrobiotycznej zawartości powietrza. Jeśli jest obca, to mamy przejebane, ponieważ nie będziemy wiedzieli o niej nic, ale to świat terraformowany, więc wszystkie zarazki będą pochodzenia ziemskiego, miejmy nadzieję. Ktoś musi wyjść na zewnątrz i pomachać trochę sondą.

– Zgłaszasz się na ochotnika? – zapytał kwaśno Scoles.

– Pewnie, że tak.

– Nie, nie ty. Bales, przebieraj się. – Szturchnął drugą kobietę, która posępnie pokiwała głową i posłała Lain wrogie spojrzenie.

– Wiesz, jak się obsługuje medyczny analizator? – spytała ją Lain.

– Byłam asystentką lekarza, więc wiem lepiej od ciebie – odparła Bales zjadliwie i Holsten przypomniał sobie, że to ona opatrywała rękę Tevika.

Mieli pewne trudności z wbiciem jej w kombinezon – nie był to sztywny pancerz używany przez służby ochrony, tylko jednoczęściowy, opinający biały ubiór. Hełm posiadał wymienne wizury chroniące przed każdymi warunkami atmosferycznymi, od wciskającego się wszędzie szorstkiego pyłu do palącego słońca, i wystarczająco dużo kamer różnych wskaźników, żeby nosząca go osoba mogła biegać z zasłoniętymi oczami, gdyby była taka konieczność. Pracując bardzo metodycznie, Nessel podłączyła skaner medyczny do systemu kombinezonu, a Lain udało się wykorzystać zasilanie awaryjne, by połączyć

kamerę z jednym z niewielkich ekranów w kabinie. Nikt nie wspominał nawet o całym spektrum nieznanymi niebezpieczeństw, które mogły czekać tam na Bales, a przeciwko którym kombinezon nie posiadał stosownych zabezpieczeń.

Scoles otworzył służę, a potem ją za nią zamknął. Ponieważ nie działało zasilanie włazu, całą resztę musiała zrobić sama.

Obserwowali przez jej obiektywy, jak otworzyła zewnętrzny właz i jak mrok służby ustąpił bursztynowej poświacie. Kamera chybotąca się na prawo i lewo, kiedy Bales wychodziła na zewnątrz. Kiedy obraz się ustabilizował, przed ich oczami pojawił się widok niczym z dna piekieł – wszystko poczerniałe, wciąż widać było płomienie, a zewnętrzne światła awaryjne podświetlały unoszącą się wokół niezdrową żółtawą mgłę.

– To jakiś gór – skomentował ktoś i wtedy Bales przestała patrzeć w dół na spaloną brudę pozostawioną przez kabinę wahadłowca, i zwróciła wzrok na las na wprost.

Zielono, taka była pierwsza myśl Holstena. W gruncie rzeczy panował tam mrok wypełniony cieniami, ale pamiętał, jak planeta wyglądała z orbity, i to właśnie zobaczył – wielki pas zieleni, który otaczał planetę w regionach umiarkowanych i tropikalnych. Przyszła mu na myśl Ziemia – odległa, zatruta Ziemia. Jego pokolenie nie znało już niczego takiego jak to, nie było zagajników wysokich, strzelistych drzew tworzących baldachim z liści podpierany naturalnymi kolumnami pni, w których wybiła dziurę pięść spadającego wahadłowca. To było życie i dopiero teraz Holsten zrozumiał, że tak naprawdę nigdy nie widział ziemskiego życia, takiego, jakie zaplanowała natura. Dom, który pamiętał, był konającym, usychającym szczątkiem, ale to... Powoli, niemal niezauważalnie poczuł, jak coś się w nim łamie.

– Wygląda lepiej niż wewnątrz *Gila* – zasugerowała ostrożnie Nessel.

– Ale czy jest bezpiecznie? – naciskała Lain.

– Bezpieczniej niż tutaj, gdzie możemy się udusić? – zapytał szyderczo Tevik. – Skaner medyczny pracuje. Zbiera próbki, mam odczyt.

– ...słyszycie mnie...? – dobiegł ich słaby głos z konsoli pilota, który aż podskoczył.

– Komunikatory są popalone – rzuciła lakonicznie Lain. – W środku jest jednak wystarczająco dużo złomu, żeby mogły funkcjonować jako odbiornik. Ale raczej nie możemy odpowiadać.

– ...wiem, czy to odbieracie... – Głos Bales pojawiał się i znikał. – Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy...

– Ile potrwa to całe skanowanie? – zapytał ostro Scoles.

– Skaner działa – odparł niezobowiązująco Tevik. – Już wykrył wysokie stężenie mikrobiotyczne. Niektóre mikroby są znane, inne nie. Nie wykryto niczego zdecydowanie szkodliwego.

– Bierz cały zestaw i szykuj się do wyjścia, jak tylko dostaniemy zielone światło.

– ...nie widzę oznak zagrożenia biologicznego... – To Bales.

– Daj jej trochę czasu. – Tevik wyrażał niemą wolę pozostałych. – Pełno tam tego wszystkiego. Wciąż nie mamy...

Bales krzyknęła.

Usłyszeli ten metaliczny, odległy krzyk, jakby krzyczała mała istotka zamknięta w czeluściach urządzeń wahadłowca. Widok z kamery nagle dziko się zakołysał, bo Bales najwyraźniej walczyła z własnym kombinezonem.

– Ja pierdolę, popatrzcie na to! – rzuciła Lain.

Holsten widział tylko rozmazany obraz czegoś kolczastego z długimi odnóżami wczepionego w but kobiety. Wciąż krzyczała, ale teraz jej krzyk układał się w wyraźne słowa:

– Wpuśćcie mnie! Proszę!

– Otworzyć śluzę! – wykrzyknął Scoles.

– Czekajcie, nie! – odezwał się Tevik. – Słuchajcie, nie możemy wypchnąć powietrza. Nic nie działa. Powietrze pochodzi z planety. Jeśli jest tam jakieś gówno, wlezie tutaj, gdy tylko otworzymy zewnętrzny właz!

– Otwierać, kurwa, wyraźnie mówiłem!

Nessel zaczęła ciągnąć przekładnie otwierające właz. Holsten w przypływie szaleństwa wstrzymał oddech przed nadciągającą zarazą, ale po chwili stwierdził, że to głupie.

Cóż, wszyscy to teraz mamy.

– Weźcie broń. Weźcie sprzęt. Jesteśmy tutaj i możemy przeżyć na zewnątrz albo udusić się w środku – warknął Scoles. – Wszyscy wychodzić i to szybko!

Nessel już odciągała zewnętrzny właz, przedzierając się przez tę iluzję bezpieczeństwa. Na zewnątrz był prawdziwy świat.

Krzyk Bales usłyszeli, kiedy tylko otwarto zewnętrzny właz. Kobieta leżała na ziemi, uderzając się po kombinezonie, kopiąc i wymachując rękami, jakby broniła się przed niewidzialnym napastnikiem. Wszyscy z wyjątkiem Holstena i Tevika rzucili się jej na pomoc i starali się ją przytrzymać. Wykrzykiwali jej imię, ale ona była głucha na ich wołania i wrywała się, a po chwili

próbowała zdjąć hełm, jakby się dusiła. Jej stopa była w krwawych strzępach – najwyraźniej przecięta na pół – a nogawka kombinezonu została rozcięta z niespotykaną precyzją.

To Nessel odpięła zatrzask i ściągnęła Bales hełm, ale wtedy krzyk przeszedł w upiorne bulgotanie i po zdjęciu uszczelki pojawiła się krew.

Głowa Bales opadła na bok, oczy były szeroko otwarte, z ust ciekła krew. Coś poruszało się w jej krtani. Holsten to zobaczył i cofnął się gwałtownie, podobnie jak wszyscy – z rozszarpanego gardła kobiety wysunęła się głowa i wyszczerzyła podwójne żuwaczki pod parą zakrzywionych czułek, które rozbryzgiwały krople krwi Bales, kołyszając się na boki.

Wtedy Scoles krzyknął i wierzgnął dziko, strząsając coś z siebie, a Holsten zobaczył, że na ziemi jest pełno mrówek, dziesiątki mrówek, wszystkie wielkości dłoni. Może mały były jedynie wspomnieniem Starego Imperium, pająki i mrówki zaś towarzyszyły ludzkości do końca Ziemi i teraz czekały w tym odległym świecie. W migoczącym, przyćmionym świetle rzucanym przez palące się kikuty drzew owady uszły ich uwagi, ale teraz widać je było dosłownie wszędzie. Coraz więcej ich przedzierało się przez kombinezon Bales i każda kolejna rozbryzgiwała krew ze żłobionych przez siebie ran.

Scoles zaczął strzelać.

Był spokojny, idiotycznie spokojny, kiedy mierzył z pistoletu, wybierając starannie cel, ale i tak trafiał co drugi raz, nie będąc w stanie śledzić gwałtownych, niekontrolowanych ruchów owadów. Próżne nadzieje. Wszędzie, gdzie Holsten spojrzał, były mrówki, może nie cały kobierzec, ale i tak były ich dziesiątki i zacieśniały krąg wokół intruzów.

– Do środka! – krzyknął Tevik. – Do środka, ale już! – I padł z krzykiem, zaczął się tarzać, szarpiąc za udo, w którym owad zatopił szczęki, i odwinąwszy odwłok, żądlił raz za razem.

Nessel i Lain przepchnęły się obok Holstena, niemal wypychając go z wjazdu w pośpiechu. Scoles był tuż za nimi, popychając przed sobą Tevika i gorączkowo szukając kolejnego magazynka. Kolejny buntownik starał się wciągnąć Bales do środka.

– Zostaw ją! – krzyknął Scoles, ale mężczyzna najwyraźniej go nie słyszał. Mrówki już go oblażyły, a mimo to ciągnął poszarpane zwłoki Bales, równie ślepo jak owady skupiony na tym zadaniu.

Lain zdarła mrówkę z Tevika, ale głowa owada wciąż pozostała na nim z zaciśniętymi szczękami. Noga pilota puchła w oczach w miejscu, w którym

żądło przebiło kombinezon. Krzyczał, podobnie jak mężczyzna na zewnątrz – Scoles z całych sił próbował zamknąć właz śluzy, ale mrówki już były w środku, penetrując zakamarki kabiny w poszukiwaniu nowych ofiar.

Holsten przykląkł przy Teviku, starając się odczepić głowę owada od jego nogi ze świadomością, że gdyby nie środki przeciwbólowe, jego żebra by ostro protestowały. W końcu musiał ją usunąć kombinerkami, a Tevik leżał zwinięty na podłodze, bo nawet zwiększona dawka leków nie uśmierzała bólu.

Holsten przyjrzał się oderwanej mrówczej głowie. Zakrwawione żuwaczki wyglądały na dziwnie ciężkie i metaliczne.

Scoles w końcu zamknął właz i razem z Nessel i Lain zaczęli tratować wszystkie owady w polu widzenia, aż kabina wypełniła się żrącym odorem ich pogruhotanych ciał. Holsten zauważył jeszcze jedną na konsolach.

– Nie rozwalcie elektroniki – ostrzegła Lain. – Możemy potrzebować... co to było, płomień?

Zobaczyli krótki błysk i płomień strzelający z agresywnie wystawionego w ich stronę odwłoka.

Celuje, to słowo przyszło Holstenowi do głowy.

I nagle tył kabiny znalazł się w ogniu.

Wszyscy aż się zatoczyli pod strumieniem chemicznych substancji płonących w zamkniętej przestrzeni. Nessel przypadła do Holstena i Tevika, uderzając się dłonią po ramieniu, by ugasić ogień. Nagle ognista smuga dosięgła śluzy, rozpalając się nadspodziewanie wysoko – zdawała się płonąć szybciej i mocniej bez wyraźnego powodu. A mrówka wciąż pluła ogniem – plastikowe obudowy konsol zaczęły się topić, wypełniając pomieszczenie gryzącym dymem.

Lain rzuciła się do tyłu, kaszląc i waląc w jeden z paneli, by uruchomić spryskiwacze. Holsten zrozumiał, że chce otworzyć żaluzje do luku bagażowego – czy też miejsca, w którym się wcześniej znajdował. Chwilę później tylna ściana kabiny rozwarła się promieniście i Lain niemal wypadła na zewnątrz.

Scoles i Nessel wydostali się, od razu niosąc razem Tevika, a Lain podciągnęła Holstena pod pachy i pomagała mu wyjść.

– Mrówki... – wykrztusił.

Scoles się rozglądał, ale w przedziwny sposób wielkie stado owadów, które widzieli wcześniej, najwyraźniej rozpierzchno się w kilka chwil, kiedy przebywali we wnętrzu wahadłowca. Zamiast skupionej na jednym celu grupy

zobaczyli kilka grupek walczących ze sobą mrówek, które albo rzucały się na siebie, albo wałęsały się otumanione. Najwyraźniej wahadłowiec przestał je interesować. Wiele wracało w głąb lasu.

– Zatruliśmy je czy coś w tym stylu? – zapytał Scoles, przydeptyując najbliższą mrówkę, tak na wszelki wypadek.

– Nie mam pojęcia. Może wykończyliśmy je naszą florą bakteryjną. – Lain padła na ziemię obok Holstena. – No to co robimy, szefie? Większość naszych rzeczy płonie.

Scoles wpatrywał się w Holstena skonsternowanym, wściekłym spojrzeniem człowieka, który utracił kontrolę nad ostatnimi resztkami swego przeznaczenia.

– My... – zaczął, ale po tym słowie nie nastąpiło nic więcej.

– Patrzcie – powiedziała Nessel, ścisząc głos.

Coś się zbliżało od linii drzew, coś, co nie było mrówką – było większe i miało więcej odnóży. Obserwowało ich – nie było innego określenia. Miało olbrzymie czarne ślepia przypominające oczodoły w czaszce i zbliżało się gwałtownymi ruchami, jakby pospiesznymi krokami, a potem zamierało w bezruchu i znów się w nich wpatrywało.

Był to pająk, monstrualny pająk przypominający dłoń o zakrzywionych palcach, pokrytą szczecinią. Holsten patrzył na jego szorstkie, włochate ciało, rozkrok, w jakim stał, i zakrzywione, haczykowate kły. Kiedy jego spojrzenie powędrowało ku dwóm dużym oczom na przedzie, poczuł nieznośny wstrząs porozumienia, jakby pająk wkraczał na teren, który on sam wcześniej dzielił wyłącznie z inną istotą ludzką.

Scoles wycelował broń drżącą dłonią.

– Zupełnie jak na filmie z drona – powiedziała wolno Lain. – Kurwa mać, jest długi jak moje ramię.

– Dlaczego nas obserwuje? – zaniepokoiła się Nessel.

Scoles zaklął i broń zadudniła w jego rękę. Holsten zobaczył, jak potwór przewrócił się, po czym niezdarnie uciekł, przebierając pospiesznie odnóżami. Twarz szefa buntowników z wolna przybierała rozpaczliwy wyraz – minę człowieka, który, jak się zdawało, zaraz skieruje broń na siebie.

– Słyszycie to? – zapytała Nessel.

Holstenowi wydawało się, że to echo wystrzału, ale zdał sobie sprawę, że to coś więcej, jakby grzmot. Podniósł wzrok.

Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Na niebie pojawił się jakiś kształt.

Rósł w oczach, wolno ku nim opadając. Chwilę później wystrzelił z niego strumień światła i zalał całe miejsce katastrofy bladym blaskiem.

– Wahadłowiec Karsta – rzuciła Lain na bezdechu. – Nigdy nie przypuszczałam, że będę się cieszyć na jego widok.

Holsten spojrzał na Scolesa. Ten gapił się na lądujący statek i któż mógł zgadnąć, jakie gorzkie, desperackie myśli krążyły mu po głowie.

Wahadłowiec zawisł trzy metry nad ziemią, po czym odleciał nieco, wybierając miejsce lądowania w bruzdzie wyżłobionej przezabinę. Kiedy tylko osiadł na ziemi, otworzył się boczny właz i Holsten zobaczył trzy postacie w pancerzach ochronnych, z których dwie już celowały do nich z karabinów.

– Rzućcie broń! – zadudnił wzmocniony głos Karsta. – Poddajcie się i rzućcie broń! Przygotujcie się do ewakuacji.

Dłoń Scolesa drżała i w kącikach jego oczu pojawiły się łzy, ale Nessel położyła mu dłoń na ramieniu.

– To koniec – powiedziała. – Nie mamy tu czego szukać. Nic tu dla nas nie ma. Przykro mi, Scoles.

Szef buntowników zerknął po raz ostatni na olbrzymi las, który już nie wydawał się tak cudownie zielony i tętniący życiem, jak niegdyś na Ziemi. Cienie jakby skrzyły się od niewidocznych oczu i skrzypiały chityną.

Cisnął pistolet na ziemię z obrzydzeniem, jak człowiek, którego marzenia właśnie legły w gruzach.

– Dobra. Lain, Mason, najpierw wy podchodźcie. Chcę sprawdzić, czy nic wam nie jest.

Lain nie wahała się ani chwili, a Holsten poczłapał za nią i choć czuł jedynie ćmienie bólu, i tak miał problemy zarówno z oddychaniem, jak i z poruszaniem się, dziwnie odłączony od swego ciała.

– Włazcie – polecił Karst.

Lain zatrzymała się we włazie.

– Dziękuję ci – powiedziała bez zwyczajowej kpiny w głosie.

– Myśleliście, że was tu zostawimy? – zapytał Karst z twarzą wciąż zakrytą lustrzaną przyłbicą.

– Pomyślałam, że Guyen mógłby zrobić coś takiego.

– Chciał, żeby tak sądzili.

Lain nie była przekonana, ale pomogła Holstenowi wejść.

– No to jazda, zabierajcie więźniów i spadamy stąd.

– Żadnych więźniów – oznajmił Karst.

– Co takiego? – wykrzyknął Holsten i wtedy ludzie Karsta zaczęli strzelać.

Obaj obrali Scolesa jako pierwszy cel i przywódca buntowników padł od razu na ziemię, zdążywszy raz krzyknąć. Następnie skierowali broń na pozostałą dwójkę – Holsten rzucił się ku nim, domagając się, by przestali strzelać.

– Co wy robicie?!

– Rozkaz to rozkaz. – Karst go odciągnął.

Holsten kątem oka zobaczył, jak Tevik i Nessel próbują się schować za rozwalonąabinę. Pilot upadł, próbował wstać, trzymając się za zranioną nogę, i aż go odrzuciło, kiedy jeden z ochroniarzy go trafił.

Nessel dobiegła do linii drzew i zniknęła w gęstszej ciemności lasu. Holsten patrzył za nią, czując wzbierającą w nim grozę.

Czy wolałbym kulkę? Pewnie tak. Ale nikt nie oczekiwał od niego takiego wyboru.

– Musimy ją zabrać – nalegał. – Ona jest... bardzo cenna. Jest uczoną, ma...

– Żadnych więźniów. Nie będziemy hołubić przyszłych buntowników – powiedział Karst, wzruszając ramionami. – A tej baby tam w górze nic nie obchodzi, dopóki nikt nie będzie się wtrącał do jej drogocennej planetki.

Holsten zamrugał.

– Kern?

– Jesteśmy tu z jej woli, żeby posprzątać – potwierdził Karst. – Słucha nas teraz. Trzyma palec na wyłączniku wszystkich naszych systemów. Tak więc wlot i wylot, prosta sprawa.

– Poszedłeś na układ z Kern, żeby nas stąd zabrać? – uściśliła Lain.

Karst wzruszył ramionami.

– Chciała się was pozbyć. My chcieliśmy was z powrotem. Więc poszliśmy na układ. Ale musimy już lecieć.

– Nie możecie... – Holsten spoglądał z włazu na las. *Zawołasz Nessel, żeby mogli ją rozstrzelać?*

Zamilkł, zdając sobie sprawę, że w głębi ducha cieszy się, że jest bezpieczny.

– Kern! – zawołał Karst. – Co teraz? Nie uśmiecha mi się włożenie tam po nią, no i to wiązałoby się z dalszą ingerencją, której nie chcesz.

Z panelu komunikacyjnego dobiegły urywane słowa wrogiej Avrany Kern.

- Twoja nieskuteczność jest podręcznikowa.
- A co mi tam – mruknął Karst. – Wracamy na orbitę, tak? Może być?
- To najlepsze wyjście w tych okolicznościach – przyznała Kern, choć wciąż było słychać nutę niesmaku w jej głosie. – Odlećcie teraz, a ja zniszczę rozbity statek.
- Roz...? Może to zrobić? – syknęła Lain. – Znaczący, że mogłaby...
- To jednorazowy strzał. Przejęła kontrolę nad dronem – wyjaśnił Karst. – Wbije go w zniszczony statek i spowoduje kontrolowany wybuch reaktora. Spali wrak, nie demolując całego obszaru. Nie chce, żeby jej drogie mały dostały do łapek zabawki dorosłych, czy coś w tym stylu.
- Jasne, ale nie widzieliśmy żadnych pieprzonych mały – mruknęła Lain. – Zabierz nas stąd.

3.10 GIGANCI W ZIEMI

Portia przygląda się śpiącemu stworzeniu.

Nie zdążyła na czas, żeby być świadkiem tych przełomowych, tajemniczych wydarzeń, które zostawiły wielką, płonąca szramę na obliczu jej świata – pożary, które wciąż szaleją pomimo wysiłków mrówek, by je ugasić. Od innych z jej gatunku słyszała pokrętną relację, okaleczoną przez ich brak zdolności zrozumienia tego, co widzieli na własne oczy.

Zostanie to jednak zapamiętane na wiele pokoleń. Zrozumienie – ów kontakt z niepoznawalnym – będzie wielokrotnie analizowanym i interpretowanym wydarzeniem w opowieściach jej gatunku.

Coś spadło z nieba. Nie była to Emisariuszka, która wciąż regularnie kursuje po ich niebie, ale w umyśle Portii i jej pobratymców to wydarzenie zdaje się łączyć z orbitującą drobiną. To obietnica, że niebiosą są domem nie tylko jednej ruchomej gwiazdy i może spaść jeszcze więcej takich gwiazd. Ktoś wysnuł hipotezę, iż był to herold, wiadomość od Emisariuszki, i że jej znaczenie można interpretować wyłącznie w ten sposób, że Emisariuszka będzie miała dla nich nową lekcję. Przez pokolenia ten pogląd – że za zwykłym działaniem na liczbach kryje się jakiś sprawdzian – zyska zwolenników, a zarazem będzie postrzegany jako swoista herezja.

Samym wydarzeniom jednak nie można zaprzeczyć. Coś spadło i teraz jest to tylko skorupa metali i innych nieznanymi materiałami wymykających się analizie. Coś innego zstąpiło na Ziemię, by następnie wrócić do nieba. Co najważniejsze, były to żywe istoty. Giganci, którzy zstąpili z nieba.

Kiedy lud Portii zobaczył ich po raz pierwszy, walczyli ze zwiadowcami z mrówczej kolonii. Później, kiedy zwiadowców zabito lub oszołomiono, giganci zabili przedstawiciela ludu Portii – jednego z asystentów Bianki. Odchodząc, zostawili ciała swych pobratymców, niektórych zabitych przez mrówki, innych zmarłych po odniesieniu tajemniczych ran. Dzięki szybkiej pracy asystentów Bianki usunięto te szczątki z miejsca zdarzenia w samą porę, ponieważ wkrótce potem nastąpiła eksplozja, która zakończyła to użyteczne śledztwo i zabiła kilku kolejnych samców Bianki.

Wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy, że jedno gwiazdne stworzenie zostało przy życiu i zagłębiło się w las.

Teraz Portia przygląda się tej istocie, która zdaje się pogrążona we śnie. Kształt ludzkiego ciała nie przywołuje w niej żadnego odziedziczonego Zrozumienia. Nawet gdyby jej odlegli przodkowie posiadali jakieś wspomnienia, swym zawężonym polem widzenia nie ogarnialiby czegoś o takiej skali. Portia też ma z tym problem – sama wielkość i kształt tego obcego potwora sprawiają, że wyłącza się jej myślenie.

Stworzenie już zabiło dwóch osobników jej gatunku. Próbowali się zbliżyć, a ono z miejsca ich zaatakowało. Kąsanie nie przyniosło większych efektów – jad Portii przeznaczony dla innych pajaków miał ograniczony wpływ na kręgowce.

Gdyby była to tylko jakaś przerośnięta bestia, zastawienie pułapki i zabicie jej byłoby stosunkowo proste, stwierdziła Portia. Można by po prostu poszczuć ją mrówkami, gdyż najwyraźniej świetnie się do tego nadają. Mistyczne znaczenie tego stworzenia to jednak zupełnie inna sprawa. Przybyło z nieba, czyli od Emisariuszki. Nie jest to zagrożenie, któremu trzeba stawić czoło, lecz tajemnica do odgadnięcia.

Portia czuje dudnienie przeznaczenia pod odnóżami. Ma wrażenie, że przeszłość i przyszłość równoważą się w tym momencie, który stanowi punkt zwrotny. To chwila o boskim znaczeniu. Tutaj, w tej straszliwej formie życia, zawiera się część przesłania Emisariuszki.

Wpędzą je w pułapkę. Schwytają i sprowadzą do Wielkiego Gniazda, wykorzystując wszelkie dostępne im możliwości i fortele.

Znajdą sposób, by odkryć jego tajemnicę.

Portia zerka w górę – baldachim lasu nie pozwala gwiazdom obserwować stworzenia, ale Portia doskonale zdaje sobie sprawę z ich obecności: zarówno prawie nieruchomych konstelacji, które krążą ospale po rocznym łuku, jak i chyżej iskry Emisariuszki w ciemnościach. Uważa je za pierwotnych swego gatunku, gdyby tylko jej lud rozumiał, co się do niego mówi.

Jej gatunek odniósł wielkie zwycięstwo nad mrówkami, zmieniając wrogów w sojuszników i odwracając losy wojny. Od tej pory, kolonia za kolonią, będą im powolne. W uznaniu tego faktu, w nagrodę za ich mądrość, wytrzymałość i sukces Emisariuszka przesłała im ten znak.

Portia, czując dreszcze na całym ciele od takiego widomego znaku przeznaczenia, planuje schwywanie olbrzymiej nagrody.

3.11 GUŁAG NA WYSPIE

Holsten z pomieszczenia komunikacyjnego obserwował ostatni wahadłowiec startujący na bazę księżycową. Statki wiozły nieświadomy niczego ładunek.

Plan Guyena był prosty. Aktywna załoga złożona z pięćdziesięciu ludzi została wybudzona i poinformowana, czego się od nich oczekuje – czy też raczej żąda. Przygotowano dla nich bazę skonstruowaną przez automaty podczas ich ostatniego długiego snu na *Gilgameszu* i przetestowaną pod kątem potrzeb przyszłych mieszkańców. Zadaniem załogi miało być jej obsługiwanie i przekształcenie w nowy dom dla ludzkiej rasy.

Będą mieli do dyspozycji kolejne dwie setki w zawieszeniu – gotowych do przebudzenia, jeśli będzie taka potrzeba – by uzupełnić straty w najgorszym wypadku bądź też by powiększyć aktywną populację, kiedy baza dla nich będzie już gotowa. Będą rodzić dzieci. Ich dzieci odziedziczą to, co oni zbudują.

Spodziewano się, że w pewnym momencie w przyszłości, całe pokolenia później, *Gilgamesz* wróci ze swej długiej podróży na kolejny projekt terraformacji, przy odrobinie szczęścia z zagarniętą technologią Starego Imperium, żeby, jak to mówił Guyen, sprawić, by życie wszystkich stało się łatwiejsze.

Albo by umożliwić atak na satelitę Kern i zagarnięcie planety, pomyślał Holsten i z całą pewnością nie był odosobniony w tej kwestii, choć nikt nie wypowiadał się głośno na ten temat.

Gdyby *Gilgamesz* nie wrócił – gdyby, powiedzmy, kolejny układ posiadał bardziej agresywnego strażnika niż Kern albo coś innego dotknęłoby statek-arkę – wtedy kolonia księżycowa musiałaby sobie...

– Poradzić – Guyen używał takiego właśnie słowa.

Nikt nie szedł dalej w tych dywagacjach. Nikt nie chciał się zastanawiać nad niewielką liczbą ewentualności, jakie mogły przytrafić się ludzkiej drobince w przepastnej głębi kosmosu.

Nowo mianowany dowódca kolonistów z całą pewnością nie przypominał Scolesa. Dzielna kobieta słuchała rozkazów z posępną miną. Patrząc w jej

oblicze, Holsten wmawiał sobie, że widzi w jej oczach straszliwą rozpacz. Bo w końcu co dostawała? W najgorszym przypadku wyrok śmierci, w najlepszym – dożywocie. Niezasłużony wyrok więzienia, który odziedziczą jej dzieci jeszcze w łonie matki.

Podskoczył, kiedy ktoś klepnął go w ramię – Lain. We dwójkę – wraz z Karstem i jego zespołem – przeszli właśnie kwarantannę. Jedynym pożytkiem nieudanej wyprawy Scolesa na planetę było stwierdzenie, że nie ma tam żadnych groźnych bakterii, które stanowiłyby bezpośrednie zagrożenie dla ludzkiego życia. Bo niby dlaczego miałyby tam być? Jak zauważyła Lain, na planecie nie było niczego, co przypominałoby istotę ludzką, więc nie mogły się tam rozwinąć ludzkie bakterie.

– Czas spać – oznajmiła pani inżynier. – Ostatni wahadłowiec odleciał, więc możemy się zwijać. Będiesz chciał znaleźć się w zawieszeniu, zanim ustanie rotacja. Dopóki nie osiągniemy odpowiedniej prędkości, zwiększy się grawitacja na statku.

– A ty?

– Jestem głównym inżynierem. Przywykłam do tego, staruszk.

– Doganiasz mnie powoli.

– Zamknij się.

Kiedy pomagała mu wstać z fotela, poczuł ból w żebrach. Powiedziano mu, że podczas snu kapsuła zawieszenia wyleczy go całkowicie, i pragnął, żeby tak było w istocie.

– Rozchmurz się – powiedziała Lain. – Kiedy się obudzisz, dostaniesz cały skarbczyk starożytnych bzdurek. Jakbyś dostał nowe zabawki.

– Nie dostanę, jeśli Guyen będzie miał coś do powiedzenia – mruknął Holsten. Po raz ostatni rzucił spojrzenie na bladą tarczę księżycowego więzienia – *kolonii księżycowej*, poprawił się w myślach. Pojawiła się też niegodna myśl: *Lepiej, że to wy tam lecicie, a nie ja.*

Lekko opierając się na Lain, szedł ostrożnie korytarzem, kierując się do sypialni podstawowej załogi.

3.12 GŁOS W DZICZY

Powalona gigantka oczywiście zmarła, ale niedawno. Do tej chwili Portii i jej pobratymcom trudno było cokolwiek powiedzieć poza tym, że była to samica – żyła w niewoli, jadła ten ograniczony asortyment pożywienia, które gotowa była spożyć, gapiała się przez białe, ograniczające ją ściany, patrzyła w górę przez otwarty sufit jej zagrody, gdzie zbierali się uczeni, by ją obserwować.

Martwi giganci zostali rozkrojeni i okazało się, że w swej wewnętrznej strukturze bardzo przypominają myszy, oprócz różnic w proporcjach kończyn oraz pewnych narządów. Studia porównawcze potwierdziły hipotezę, że żyjąca gigantka była najprawdopodobniej samicą, przynajmniej tak się wydawało po porównaniu jej do mniejszych endoszkieletowych kuzynek.

Debata na temat celu i znaczenia – zakładając, że przybycie takich osobników miało cel dydaktyczny – trwała całe pokolenia, przez cały okres długiego życia stworzenia i później. Zachowanie samicy było dziwne i złożone, ale zdawała się niema, bo nie porozumiewała się żadnymi gestami czy wibracjami, które mogłyby zostać uznane za początek języka. Ktoś zauważył, że kiedy otwierała i zamykała otwór gębowy, gęsta sieć odbierała dziwne pomruki, takie same, jakie odczuwano, kiedy zderzało się dwa przedmioty. Był to rodzaj wibracji, który przenosił się w powietrzu, a nie po nici czy podłożu. Przez jakiś czas snuto hipotezy, że jest to rodzaj komunikacji, co stało się przyczynkiem niezwykle inteligentnych debat, ale wreszcie absurdalność takiego pomysłu wykluczyła je całkowicie. W końcu używanie tego samego otworu do jedzenia i komunikacji było ewidentnie zbyt nieskuteczne. Pajaki nie są właściwie głuche, ale ich słuch jest mocno powiązany ze zmysłem dotyku i wibracji. Dźwięki wydawane przez gigantów, wszystkie częstotliwości ludzkiej mowy, nie są dla nich nawet szeptem.

Tak czy inaczej, powietrzne wibracje stopniowo zanikały podczas życia tego stworzenia w niewoli i w końcu przestało je wydawać. Niektórzy sugerowali, że stworzenie w końcu pogodziło się z niewolą i ją polubiło.

Dwa pokolenia po schwytaniu stworzenia okoliczności jego pojawienia się

przekształciły się w coś, co przypominało teologię. Jeden z pomocników zauważył, że gigantka poruszała kończynami, zręcznymi odnóżami, które wykorzystywała do manipulowania przedmiotami w sposób przypominający sygnalizację nogogłaszczkami, jakby starała się naśladować podstawowy język pajaków. Ponownie wzrosło zainteresowanie tym zagadnieniem, przybyło mnóstwo gości z innych gniazd i nastąpiła wymiana Zrozumień, by oświecić przyszłe pokolenia. Eksperymenty wskazywały na to, że gigantka nie kopiowała w prosty sposób tego, co widziała, lecz potrafiła przypisywać znaczenie pewnym symbolom, co pozwoliło jej prosić o jedzenie i wodę. Próby skomunikowania się na bardziej złożonym poziomie były frustrujące z uwagi na jej niezdolność do opanowania czy zrozumienia więcej niż kilku prostych symboli.

Skonsternowani uczeni, podsumowując swe wieloletnie badania nad tym gatunkiem, stwierdzili, że gigantka jest nierozwiniętym stworzeniem, prawdopodobnie umiejącym wykonywać proste czynności zgodnie z jej wielkim rozmiarem i siłą, ale posiada inteligencję nie większą niż żuk biegaczowaty czy plwacz, a może jeszcze mniej.

Wkrótce potem gigantka zmarła, najwyraźniej na jakąś chorobę. Jej ciało zostało zbadane i przestudiowane oraz porównane z genetycznie zakodowanymi Zrozumieniami powstałymi po badaniu martwych gigantów sprzed kilku pokoleń.

Spekulacje dotyczące pierwotnego przeznaczenia gigantki i jej powiązań z Emisariuszką trwały nadal i do głosu dochodziła najbardziej powszechna teoria, iż Emisariuszka była obsługiwana na niebie przez takie właśnie gatunki, które wykonywały przy niej niezbędne prace. Tym samym wysłanie przez Emisariuszkę mało inteligentnych emisariuszy wiele lat temu wiązało się z pewnego rodzaju aprobatą wobec pajaków. Dziedziczenie Zrozumień hamowało w pewnym stopniu skłonność pajaków do mitologizowania swej historii, ale powiązanie ich zwycięstwa nad mrówkami z przybyciem gigantów zostało zdecydowanie potwierdzone.

Jednak gdy gigantka zmarła, pajęczy świat poruszyło kolejne objawienie.

Istniała druga Emisariuszka.

Mijał czas i wojna z mrówkami stała się zamierzchnią przeszłością. Strategia żuków biegaczowatych była skutecznie wykorzystywana przy kolejnych koloniach mrówek, aż pająki zredukowały wpływ tych owadów do ich pierwotnego terytorium, na którym legendarna Portia najechała ich

świątynię, skradła bożka i nieświadomie sprowadziła przekaz Emisariuszki do swych pobratymców.

Uczeni pilnowali, żeby nie przeprogramowywać kolonii mrówek, tak jak to zrobili z jej różnymi odnogami i siłami ekspedycyjnymi, ponieważ pod wpływem tego zanikały liczne umiejętności mrówek, a pająki nie były ślepe na to, co dawał rozwój kolonii. I tak zaczęły się lata niezwykle skomplikowanych zabiegów – kosztownych również pod względem utraconych istnień – aż kolonia mrówek została wmanewrowana we współpracę z pajęczymi sąsiadami, w myśl której kolonia dobrowolnie i bez oporów z nieprzejechanego wroga stała się uczynnym sojusznikiem.

Pająki bardzo szybko rozpoczęły eksperymenty z zastosowaniem metalu i szkła. Stworzeniom o bystrym wzroku bardzo łatwo było rozpocząć badania nad światłem, jego odbiciem i ogólnie optyką. Nauczyły się wykorzystywać starannie wykonane szkło, by poszerzyć spektrum widzenia od mikroskopowego do makroskopowego. Starsze pokolenie uczonych płynnie przekazało kaganek oświaty nowym pokoleniom naukowców, którzy zwrócili tak wyposażone oczy ku nocnemu niebu i przyglądali się Emisariuszce dokładniej, a także wybiegali wzrokiem dalej.

Z początku uważano, że nowa wiadomość nadeszła od samej Emisariuszki, ale astronomowie szybko obalili tę teorię. Współpracując z kapłankami ze świątyni, odkryli nowy ruchomy punkt na niebie, który potrafił mówić. Poruszał się za to wolniej i dziwnie nieregularnie.

Z wolna pająki zaczęły budować obraz układu słonecznego w odniesieniu do swojej planety, jej księżycy i Emisariuszki, słońca oraz zewnętrznych planet, które same posiadały orbitujące ciało wysyłające własny sygnał.

Jedyny problem z drugim posłaniem polegał na tym, że było niezrozumiałe. W odróżnieniu od abstrakcyjnie pięknych ciągów numerycznych, które stały się podstawą ich religii, nowa emisariuszka nadawała chaotyczne sygnały – zmienne, pozbawione znaczenia śmieci. Kapłanki i naukowcy wsłuchiwali się we wzorce tego przekazu, nagrywając je za pomocą skomplikowanego systemu pętli i węzłów, ale nie potrafili pojąć ich znaczenia. Lata bezowocnych prac skończyły się przeświadczeniem, że to nowe źródło sygnału było poniekąd antytezą samej Emisariuszki, jakimś wrogim źródłem entropii, a nie porządku. Z braku większej liczby danych przypisywano jej wszelkiego rodzaju dziwne intencje.

I wtedy, kilka lat później, drugi sygnał przestał się zmieniać i przeszedł

w pojedynczy przekaz, powtarzany raz za razem, i to również doprowadziło do całej masy spekulacji ze strony wtedy już luźno powiązanej globalnej społeczności kapłanek-uczonych. Raz za razem przetwarzano sygnał, doszukując się znaczenia, bo przecież wiadomość powtarzana w kółko musi być ważna.

Istniała jedna dociekliwa szkoła, która wykryła pewną potrzebę w sygnale, i osobliwie podobało jej się to, że gdzieś tam w niewyobrażalnej przestrzeni między ich światem i źródłem tej wiadomości istnieje coś zagubionego, co desperacko woła o pomoc.

Wtedy nadszedł dzień, kiedy sygnał zanikł, a zdziwione pająki wpatrywały się tylko w nagle zubożałe niebo, nic nie rozumiejąc.

— 4 —

OŚWIECENIE

4.1 JASKINIA CUDÓW

Holsten Mason, będąc dzieckiem, miał kompletnego świra na punkcie kosmosu. Eksploracja orbity ziemskiej trwała już wtedy od półtora wieku i całe pokolenie astronautów latało do wymarłych kolonii od bazy księżycowej do gazowych gigantów na innych księżycach. Mason zatracił się w dramatycznych rekonstrukcjach wyczynów śmiałych odkrywców wkraczających do niebezpiecznych, opuszczonych stacji kosmicznych, którzy musieli strzec się przed pozostałymi w nich automatycznymi systemami obrony, by brać łupy w postaci technologii i danych uzyskiwanych ze starych, wypalonych komputerów. Oglądał prawdziwe nagrania z bieżących ekspedycji – często niepokojących, które nagle urywały się w połowie. Pamiętał, że mając nie więcej niż dziesięć lat, zobaczył w snopie światła z hełmu wyschniętego na wiór trupa, który tkwił gdzieś tam wiele tysiącleci.

Kiedy dorósł, jego zainteresowania przesunęły się od dzielnych pionierów odzysku do czasów, z których pochodziły zaginione, odkrywane na nowo cywilizacje. Ach, te czasy odkrywców! Tak wiele ściągnięto z orbity, choć tak niewiele z tego rozumiano. Niestety, kiedy Holsten rozpoczął karierę, złote czasy klasyków były już w fazie schyłkowej. Za jego życia na tę dyscyplinę wiedzy kładł się coraz większy cień hańby za sprawą reputacji przedstawicieli badanej cywilizacji. Coraz mniej wiadomości można było wyciągnąć z pozostawionych przez Stare Imperium szczątków i resztek i stało się jasne, że owi dawno zmarli przodkowie wciąż są obecni na Ziemi na swój złośliwy, niematerialny sposób. Stare Imperium wyciągało łapska z zamierzchłej przeszłości, by nieubłaganie truc swoje dzieci. Nic dziwnego, że badania nad tymi dziwnymi ludźmi o morderczych skłonnościach straciły swój urok.

Teraz, niewyobrażalnie daleko od swego konającego domu, Holsten Mason dostał do ręki prawdziwego Graala z dziedziny badań klasycznych.

Siedział w centrum komunikacji *Gilgamesza* całkowicie zatopiony w przeszłości, kolejnymi transmisjami wypełniając wirtualną przestrzeń statku-arki wiedzą starożytnych. Swoim skromnym zdaniem trafił na złotą żyłę.

Był jednym z nielicznych członków podstawowej załogi mogącym cieszyć

się wygodami statku. Karst i Vitas zabrali wahadłowiec z kilkoma dronami, żeby sprawdzić jałową z wyglądu planetę pod nimi. Lain wraz z inżynierami przebywała na zewnątrz w na wpół ukończonej stacji, wolno poruszając się po kolejnych jej pomieszczeniach, i nagrywała wszystko, na co natrafiali. Kiedy znaleźli działający sprzęt, do którego mieli dostęp, wysyłali Holstenowi wyniki badań, a on je odcyfrowywał i katalogował, jeśli potrafił, albo odkładał do dalszych badań, kiedy mu to nie wychodziło.

Nikt nigdy wcześniej nie miał dostępu do stacji terraformacyjnej Starego Imperium, nawet do niekompletnej. Nikt nawet nie był całkowicie pewien, że coś takiego w ogóle istniało. Tutaj, w miejscu smutnego końca swej kariery oraz smutnego końca historii rasy ludzkiej, Holsten w końcu mógł niezaprzeczalnie nazwać się największym ekspertem od Starego Imperium.

Była to oszałamiająca myśl, która wywoływała jedynie poważne przygnębienie.

Holsten znalazł się w posiadaniu większej ilości materiałów – powieści, podręczników, oświadczeń i innych drobiazgów w kilku imperialnych językach – ale głównie w Imperialnym C używanym przez Kern – niż jakikolwiek uczony przed nim od schyłku Imperium. Myślał tylko o tym, że jego współbracia, kultura, która wyczołgała się, drąc pazurami ziemię, by stanąć na nogi po ustąpieniu lodu, była jedynie cieniem dawnej wielkości. I nie chodziło wyłącznie o to, że *Gilgamesz* i wszystkie ich dotychczasowe próby podboju kosmosu opierały się na składaniu do kupy adaptowanych, choć nie do końca zrozumiałych fragmentów wyższej technologii starożytnego świata. Chodziło o *wszystko*: od samego początku jego ludzie wiedzieli, że dziedziczą świat z drugiej ręki. Ruiny i rozpadające się relikty poprzedniego rodzaju ludzkiego były wszędzie – pod stopami, pod ziemią, w górach, unieśmiertelnione w podaniach. Odkrywanie całego bogactwa martwego metalu na orbicie nie było wcale zaskoczeniem, kiedy cała zapisana historia przypominała brnięcie przez pustynię usłaną kośćmi. Nie dokonano żadnego odkrycia, którego wcześniej nie poczyniliby starożytni, i to w dużo doskonalszej formie. Ilu wynalazców zostało relegowanych z kart historii z powodu jakiegoś poszukiwacza skarbów, który wykopał starszą, lepszą metodę pozwalającą osiągnąć ten sam cel? Broń, silniki, systemy polityczne, filozofie, źródła energii... Lud Holstena mógł się uważać za rasę szczęściarzy, bo ktoś wybudował im schody wiodące z ciemności do jasnego światła cywilizacji. Nigdy nie uświadamiali sobie, że te schody prowadzą jedynie do

tego właśnie, jedyne miejsce.

Kto może wiedzieć, co moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy tak ochoczo nie starali się naśladować wszystkich ich szaleństw, myślał. Czy moglibyśmy ocalić Ziemię? Czy mieszkalibyśmy teraz na naszej własnej zielonej planecie?

Choć cała wiedza wszechświata znajdowała się pod jego palcami, nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

Gilgamesz posługiwał się algorytmami translatorskimi, głównie zaprojektowanymi przez samego Holstena. Poprzednio suma słowa pisanego starożytnych była tak uboga, że automatyczne tłumaczenie opierało się na niekończącym się ciągu prób i błędów – a i tak nie odważyłby się, na przykład, powierzyć komputerom *Gilgamesza* prowadzenia rozmowy z Avrańką Kern. Teraz, mając do dyspozycji całą bibliotekę, zaprzęgnął do pracy komputery, by opracować przynajmniej w połowie zrozumiałą wersję Imperialnego C. Większość skarbnicy wiedzy pozostawała jednak zamknięta w starożytnych językach. Nawet za pomocą elektroniki najzwyczajniej nie było czasu, by je rozkodować, a najprawdopodobniej większość tych tekstów byłaby interesująca wyłącznie dla niego. Najlepsze, co mógł zrobić, to ustalić, co zawierają poszczególne pliki, skatalogować je na przyszłość i pracować dalej.

Czasami Lain i jej ludzie kontaktowali się z nim, zadając pytania, głównie odnośnie do znalezionej technologii, która pozornie do niczego się nie nadawała. Podawali mu mgliste wskazówki, zmuszając go do przekopywania plików w poszukiwaniu czegoś, co mogło być z tym powiązane. Dość często jego systematyczność oraz bogactwo materiału sprawiały, że w końcu udawało mu się znaleźć coś przydatnego. Wtedy zabierał się do przekładu. Czasami rzucał uwagę, że w końcu mogliby sami coś sprawdzić, ale było jasne, że zdaniem inżynierów przepatrywanie katalogu Holstena było o wiele trudniejsze niż nagabywanie go o pomoc.

Mówiąc szczerze, miał nadzieję na nieco bardziej towarzyską rozmowę z Lain, ale odkąd od czterdziestu dni budził się o tej porze, ani razu nie spotkał się z nią twarzą w twarz. Inżynierowie byli bardzo zajęci, praktycznie mieszkali w tym wielkim, pustym cylindrze, w którym mieściła się stacja. Obudzili załogę pomocniczą składającą się z trzydziestu osób, by im pomagała, a i tak mieli więcej pracy, niż mogli podołać.

Sześciu ludzi zmarło – czterech z powodu awarii systemu ochronnego bądź

wadliwego systemu konserwacji, jedna osoba na skutek wady kombinezonu, a jedna z powodu czystego niedbalstwa, bo próbowała w pośpiechu przepchnąć sprzęt przez dziurę o poszarpanych brzegach w infrastrukturze stacji i przecięła kombinezon.

Było tego o wiele mniej, niż mógłby się spodziewać po wczesnych nagraniach z eksploracji zabytków, ale nie było tu trupów starożytnych, ani śladu po tym, że budowla padła ofiarą konfliktów wewnętrznych, które doprowadziły do kresu Imperium wraz z całym jego sposobem życia. Dawni inżynierowie po prostu odlecieli, pewnie kierując się z powrotem na Ziemię, kiedy wszystko zaczęło się psuć na całego. Rozpoczęty przez nich projekt terraformacji został porzucony na powolną, bezmyślną niełaskę gwiazd.

Mogło być o wiele gorzej. Lain powiedziała, że to miejsce zostało zainfekowane swego rodzaju elektroniczną zarazą, która zniszczyła systemy podtrzymujące życie oraz większość systemów rdzeniowych stacji. Jednak *Gilgamesz* okazał się jedynie nędzną imitacją eleganckiej technologii Starego Imperium. Był niczym technologiczny ugór, a na jego prymitywnych systemach atak się załamał. Czy Kern o tym wiedziała i celowo posłała ich wprost w pułapkę – o tym dyskutowali wszyscy z wyjątkiem inżynierów, którym powierzono zadanie zabezpieczenia większości systemów stacji, tak aby nie ujawniały swoich sekretów.

Jakiś dźwięk gwałtownie wyrwał Holstena z rozmyślań. Był cichy, niepozorny i przez chwilę Holsten miał przebłysk grozy wspomnień z odległego zielonego świata pełnego gigantycznych pajęczaków. Nie znalazł jednak potwora za plecami – to był tylko Guyen.

– Mam nadzieję, że wszystko idzie dobrze? – rzucił dowódca, spoglądając na Holstena tak, jakby podejrzewał go o jakiś niecny uczynek. Był szczuplejszy i miał więcej siwych włosów niż wtedy, kiedy zostawiali za sobą księżycową kolonię. Kiedy Holsten smacznie spał, dowódca wciąż był na nogach i osobiście doglądał operacji przeprowadzanej ze statku. Teraz patrzył z góry na swego klasyka, posiadając rzeczywiste starszeństwo wieku pasujące do pozycji.

– Bez przeszkód – potwierdził Holsten, zastanawiając się, skąd ta wizyta.

Guyen nie bawił się w uprzejmości.

– Przeglądałem pański katalog.

Holsten zwalczył pokusę wyrażenia zdziwienia, że w ogóle ktoś ma na to ochotę, a zwłaszcza Guyen.

– Mam listę tekstów, które chcę przeczytać – ciągnął dowódca. – Oczywiście, kiedy będzie miał pan wolną chwilę. Inżynierowie mają pierwszeństwo.

– Naturalnie. – Holsten wskazał głową ekran. – Czy zechciałby pan...?

Guyen podał mu tablet z sześcioma cyframi wprowadzonymi ściśle według systemu katalogowania Holstena.

– Bezpośrednio do mnie – podkreślił. Nie powiedział: *Niech pan nie mówi o tym nikomu*, ale właściwie nie musiał, bo wszystko w jego zachowaniu na to wskazywało.

Holsten pokiwał głową bez słowa. Nie był w stanie zorientować się po liczbach, o co chodziło ani też dlaczego wymagało osobistej prośby.

– Aha, może pan przyjść posłuchać. Vitas opowie o tej planecie i wyjaśni, jak zaawansowany był proces terraformacji.

To może być ciekawe i Holsten na to właśnie niecierpliwie czekał. Wstał dziarsko z fotela i ruszył za Guyenem. Na razie miał dość tajemnic z przeszłości. Chciał usłyszeć coś więcej o teraźniejszości i przyszłości.

4.2 ŚMIERĆ NADCIĄGA BŁYSKAWICZNIE

Portia spogląda na olbrzymi złożony kompleks, który kiedyś był Wielkim Gniazdem, i widzi, że miasto zaczyna umierać.

W ciągu kilku ostatnich pokoleń populacja Wielkiego Gniazda rozrosła się do blisko stu tysięcy dorosłych pająków oraz niezliczonych – niepoliczalnych – młodych. Rozciąga się na kilkunastu tysiącach mil lasu, sięgając od ziemi do baldachimu gałęzi – prawdziwa metropolia epoki pająków.

Miasto, na które patrzy Portia, jest wyludnione. Choć agonia dopiero się rozpoczęła, setki samic opuszczają Wielkie Gniazdo i kierują się do innych miast. Inne po prostu ryzykują wyprawę w głuszę, by tam dzięki wielusetletniemu Zrozumieniu powrócić do sposobu życia swych starożytnych przodków – myśliwych. Uciekło też wielu samców. Już i tak krucha struktura miasta cierpi braku w podstawowym utrzymaniu.

Nadchodzi zaraza.

Na północy kilka wielkich miast już popadło w ruinę. Globalna epidemia przenosi się z jednego skupiska do drugiego. Setki tysięcy już zmarły, a i w Wielkim Gnieździe padły jej pierwsze ofiary.

Portia wie, że to było nieuniknione, ponieważ obecna Portia to kapłanka i uczona. Próbowała zrozumieć tę chorobę i znaleźć na nią lekarstwo.

Nie całkiem pojmuje, dlaczego choroba miała aż tak duży zasięg. Pomijając jej wysoką zaraźliwość oraz zdolność rozprzestrzeniania się – choć mniej drogą kropelkową – samo zagęszczenie ludu Portii w miastach zmieniło pomniejszą, dającą się kontrolować infekcję w coś groźniejszego niż Czarna Śmierć. Tak wielka koncentracja osobników doprowadziła do pojawienia się wszelkiego rodzaju plugastwa i problemów zdrowotnych. Lud Portii dopiero zaczął rozumieć potrzebę zbiorowej odpowiedzialności za tego typu kwestie, kiedy rozprzestrzeniająca się zaraza dopadła go niespodziewanie. Ich niezobowiązujący, ocierający się o anarchię system rządów nie sprzyja podejmowaniu stanowczych decyzji i sięganiu po ostre środki zaradcze, które mogłyby być skuteczne.

Kolejnym czynnikiem wysokiej śmiertelności jest coraz powszechniejsza

w ostatnim stuleciu praktyka polegająca na tym, że samice wybierają na partnerów samców urodzonych w tej samej grupie, aby koncentrować i kontrolować przekazywanie Zrozumień. Ta praktyka – wyrastająca z dobrych intencji i na swój sposób oświecona – prowadzi do chowu wsobnego, który osłabia system immunologiczny wielu potężnych domostw, co oznacza, że pająki posiadające władzę, by podjąć działania, często są pierwszymi ofiarami epidemii. Portia jest tego świadoma, choć nie zna przyczyny, na dodatek wie też, że jej własna grupa aż za dokładnie wpisuje się w ten wzorzec.

Zdaje sobie sprawę z istnienia drobnoustrojów związanych z chorobą, ale jej szkła powiększające nie są dostatecznie silne, by wyłowić sprawcę zarazy. Uczone z innych miast przeprowadzały eksperymenty i Portia zna wyniki ich badań. Wiele z nich padło od zarazy. Niektóre nawet sformułowały teorię szczepień, ale układ immunologiczny ludu Portii nie jest tak skutecznym i adaptującym się mechanizmem jak ten, którym chlubią się ludzie i inne ssaki. Celowe zarażenie po prostu nie przygotowuje ich na późniejsze infekcje.

Świat się rozpada, a Portia jest zaskoczona, jak niewiele było trzeba, by tak się stało. Nie uświadamiała sobie, że cała cywilizacja jest tak krucha. Słyszycie wieści z innych miast, w których zaraza już jest w rozkwicie. Kiedy populacja zaczyna spadać – czy to z powodu śmierci, czy migracji – cała struktura społeczna błyskawicznie wali się w gruzy. Elegancki i wysublimowany sposób życia, jaki pająki stworzyły dla siebie, zawsze rozciągał się nad wielką przepaścią barbarzyństwa, kanibalizmu i powrotu do prymitywnych wartości. W końcu w głębi duszy są drapieżnikami.

Wycofuje się do Świątyni, omijając masę pobratymców, którzy szukają schronienia w jej wnętrzu, spodziewając się zaznać odrobiny pociechy. Nie ma ich tak wielu jak dzień wcześniej. Portia wie, że to nie tylko z powodu wyludnienia miasta, ale też rozczarowania Emisariuszką i przekazem. *Co nam to pomoże?* – pytają. *Gdzie jest ogień z niebios, by wypalić zarazę?*

Dotykając kryształu metalową różdżką, Portia tańczy w rytm muzyki, kiedy Emisariuszka przelatuje nad ich głowami, a jej skomplikowane kroki idealnie oddają równania i rozwiązania. Jak zwykle jest przepelniona bezbrzeżną pewnością, że coś tam jest, a to, że nie potrafi zrozumieć czegoś *teraz*, nie oznacza, że nie można tego zrozumieć w ogóle.

Pewnego dnia pojmę twoje przesłanie, ta myśl jest skierowana do Emisariuszki, ale obecnie wydaje się jałowa. Jej dni są policzone. Dni

wszystkich są policzone.

W jej głowie pojawia się heretycka myśl: *Gdybyśmy tylko mogli wysłać ci naszą wiadomość*. Świątynia ostro się sprzeciwia takiemu myśleniu, ale nie pierwszy raz Portia zastanawia się nad czymś takim. Jest świadoma, że inne uczone – nawet kapłanki – eksperymentowały ze sposobem odtworzenia wibracji, za których pomocą wiadomość się rozprzestrzenia. Oficjalnie Świątynia nie może oczywiście przyzwalać na taką ingerencję, ale pająki to ciekawskie stworzenia, a ci, którzy ciągną do Świątyni, są najbardziej ciekawscy ze wszystkich. To było nie do uniknięcia, że kwiaty herezji zaczną w końcu hodować strażnicy ortodoksji.

Tego dnia Portia uzmysławia sobie, że wierzy, iż jeśli w jakiś sposób uda się im przemówić przez olbrzymią, pustą przestrzeń do Emisariuszki, wtedy ona będzie miała dla nich odpowiedź, lek na zarazę. Paradoksalnie równie mocno jest przekonana, że żaden dialog nie jest możliwy, żadna odpowiedź nie nadejdzie, dlatego sama musi znaleźć lekarstwo, zanim będzie za późno.

Po pobycie w Świątyni wraca do swego domostwa, wielkiej, rozłożystej konstrukcji rozwieszanej między drzewami, by spotkać się z jednym ze swych samców.

Odkąd zaraza zaczęła pustoszyć miasta, rola samca w społeczeństwie uległa nieznacznym zmianom. Tradycyjnie najlepszym losem dla samca było zawierzyć potężnej samicy i mieć nadzieję, że się nim zajmie, albo też – dla tych urodzonych z cennymi Zrozumieniami – zostać hołubionym faworytem w seraju, który następnie zostałby wymieniony albo też skonsumowany jako obiekt gier o władzę między domostwami. Ci, którym się nie poszczęściło, należeli do niższej klasy poszukiwaczy, stale walczących o resztki jedzenia, narażonych na niebezpieczeństwo bez protekcji samic. W tych trudnych czasach jednak ci spośród gromady bezużytecznych i niepotrzebnych osobników, którym w najlepszym przypadku powierzano prace porządkowe, a w najgorszym stawali się pożywieniem swych pań, okazali się bardzo poszukiwani. Samce są mniej niezależne, w leśnej głuszy nie potrafią się tak dobrze bronić, dlatego pozostały tam, skąd samice uciekły. To, że Wielkie Gniazdo i wiele innych miast wciąż funkcjonują, ich mieszkańcy zawdzięczają samcom, które zaryzykowały i zaczęły przyjmować typowe role samic. Są nawet męscy wojownicy, myśliwi i strażnicy, ponieważ ktoś musi chwycić za procę i tarczę albo granat zapalający, a często nie ma nikogo innego, kto by to zrobił.

Samice o pozycji Portii już dawno powybierały samców do swojej świty i choć niektóre trzymają ich tylko jako tancerzy, którzy przydają splendoru każdej samicy, inne wyszkoliły ich na wyspecjalizowanych asystentów. Nieodżałowanej pamięci Bianca w swym laboratorium miała asystentów i odkryła prawdę na temat pajęczej polityki gender, ujawniając, że żeńskie asystentki zbyt angażują się w walkę o dominację, a stare instynkty ledwo tylko skrywają się pod pozorem cywilizowanych zwyczajów. Również współczesna Portia dość niechętnie, ale zaczęła ufać samcom.

Nie tak dawno wysłała z misją grupę awanturników, z których usług już korzystała. Wszyscy byli bardzo zaradni, przywykli do współdziałania od pierwszych dni jako miot porzucony na ulicach Wielkiego Gniazda. Ich misji nie zaakceptowałyby żadna samica, a nagrodą miało być dalsze wsparcie grupy Portii, pożywienie, ochrona, dostęp do edukacji, rozrywki i kultury.

Jeden z nich wrócił – tylko jeden. Nazwijmy go Fabian.

Ma się z nią teraz zobaczyć w domostwie grupy. Fabian stracił jedno odnoże i wygląda na zagłodzonego i wycieńczonego. Portia jednym ruchem nogogłaszczek posyła podrostka ze żłobka, by znalazł dla nich jakieś pożywienie.

No i? – niecierpliwi się Portia, bacznie obserwując Fabiana.

Jest gorzej, niż myślałaś. Ponadto miałem problem z powrotem do Wielkiego Gniazda. Podróżni podejrzani o to, że przybywają z północy, są zawracani – w przypadku samic i zabijani od ręki, jeśli są samcami. Mówi, wolno poruszając odnóżami, zacina się i bełkocze.

Czy to właśnie przytrafiło się twoim towarzyszom?

Nie. Tylko ja wróciłem. Wszyscy nie żyją. Jest to zaiste bardzo zwięzła wzmianka o tych, z którymi spędził większość życia. Ale w społeczeństwie Portii powszechnie wiadomo, że samce nie mają tak głębokich uczuć jak samice i z całą pewnością nie są w stanie tworzyć takich samych więzi opierających się na przywiązaniu i szacunku.

Młody samczyk wraca z pożywieniem – powiązanymi żywymi świerszczami i pękami roślin uprawnych. Fabian z wdzięcznością wyłuskuje owada i zatapia w nim kieł. Jest zbyt wycieńczony, by używać jadu, wysysa więc drgającego spazmatycznie świerszcza do sucha.

W dotkniętych zarazą miastach nieliczni przetrwali, tak jak podejrzewałaś, mówi, jedząc. Ale żyją w wielkim upodleniu. Jak zwierzęta, tylko płotą sieci i polują. Samice i samce. Moi towarzysze zostali schwytani

i pożarci, jeden po drugim.

Portia tupie niecierpliwie. *Ale udało się wam?*

Udręczenie sprawia, że nie od razu odpowiada na to pytanie, ale zadaje własne: *Nie boisz się, że mogłem sprowadzić zarazę do Wielkiego Gniazda? Z pewnością miałem z nią styczność.*

Zaraza już tu jest.

Fabian wolno rozwiera nogogłaszczki w geście rezygnacji. *Udało mi się. Przeprowadziłem troje młodych ze strefy zarazy. Są zdrowe. Uodpornione, jak i ci, którzy przeżyli. Miałaś rację, choć nie wiem, jak to może nam pomóc.*

Zabierz je do mojego laboratorium, wydaje mu polecenie. I widząc drżenie jego odnóży, dodaje: Możesz swobodnie przebywać w domostwie. Zostaniesz nagrodzony za swoje nieocenione usługi. Po prostu proś, o co chcesz.

Fabian patrzy na nią, oko w oko, to dość śmiało – ale zawsze był odważnym samcem, bo jakież inny byłby tak użytecznym narzędziem? *Kiedy wypocznę, pomogę ci w pracy, jeśli mi pozwolisz, mówi do niej. Wiesz, że posiadam Zrozumienia nauk biochemicznych, pogłębiałem też wiedzę.*

Ta propozycja zaskakuje Portię, która daje temu wyraz.

Wielkie Gniazdo to też mój dom, przypomina jej Fabian. Całe moje życie zawiera się tutaj. Naprawdę wierzysz, że jesteś w stanie pokonać zarazę?

Wierzę, że muszę spróbować, bo inaczej będzie po nas. Ponura myśl, ale trudno odmówić jej logiki.

4.3 ZAPISKI Z SZAREJ PLANETY

Holsten był zaskoczony liczbą ludzi, którzy przyszli usłyszeć wiadomości. Na *Gilgameszu* nie było sal wykładowych, więc na miejsce spotkania wybrano dostosowane do tego celu stanowisko startu wahadłowców, w którego pustym wnętrzu niosło się echo. Zastanawiał się, czy nieobecne wahadłowce dokują teraz w porzuconej stacji oraz czy jest to to samo miejsce, z którego wraz z Lain zostali porwani przez buntowników. Wszystkie zatoki startowe wyglądały tak samo i wszelkie uszkodzenia z pewnością zostało już naprawić.

Podczas długich samotnych godzin pracy stracił rachubę, ilu właściwie ludzi obudzono, by osiągnąć zamierzony cel. Przynajmniej setka siedziała w hangarze i zdziwiła go jego niemal alergiczna reakcja na ich widok – było ich zbyt wielu, zbyt blisko, w zbyt ścisłym zamknięciu. W końcu znalazł sobie kącik przy drzwiach i uświadomił sobie, że jakaś część jego umysłu pogodziła się już z przyszłością, w której miałby do czynienia tylko z kilkoma osobami, i chyba zaczęło mu to odpowiadać.

A właściwie po co tutaj przyszliśmy? W końcu nie było wymogu obecności na tym spotkaniu. Mógł spokojnie kontynuować pracę i obserwować poczynania Vitas na ekranie czy też słyszeć jej terkotanie wprost w ucho. Nikt nie wymagał, żeby składali tu swe ciała tylko i wyłącznie po to, by nasycić ich odwykłe od aktywności oczy i uszy. Vitas nie miała żadnej konkretnej potrzeby, żeby przedstawiać osobiście jakąś prezentację. Nawet w domu tego rodzaju akademickie dywagacje były w większości przypadków przeprowadzane zdalnie.

No to dlaczego? I dlaczego ja też przyszedłem? Patrząc na zebrany tłum, słysząc gwar podekscytowanych rozmów, był w stanie określić, ilu z nich przyszło tu z pobudek towarzyskich, żeby pobyć trochę z kolegami. *Ale nie ja, prawda?*

Ale nagle uświadomił sobie, że oczywiście on też. Był zdecydowanie zwierzęciem stadnym, choćby wmawiał sobie, że jest samotnikiem. Nawet u niego pojawiło się pragnienie kontaktu z innymi istotami ludzkimi, dla podtrzymania więzów, jakie ich łączyły. Vitas była obecna nie dla prestiżu czy

pozycji wśród załogi, ale dlatego że łaknęła kontaktu i wiedziała, że będzie miała o czym porozmawiać.

Patrząc na tłum, Holsten wyłowił kilka znajomych twarzy. Poza zespołem naukowym Vitas większość załogi podstawowej była zajęta na stacji i niemal wszyscy tutaj po raz ostatni otworzyli oczy na Ziemi, więc nie mogli wiedzieć o Kern, o zielonej planecie i jej straszliwych mieszkańcach nic ponad to, co ktoś im powiedział albo co wyszperali w nieujawnionych materiałach w archiwach *Gila*. Choć większość z nich naprawdę była młoda, to dodatkowo ich niewiedza sprawiała, że czuł się przy nich staro, jakby nie spał od wielu stuleci, mimo że minęło tylko kilka wydłużonych dni w innym układzie słonecznym.

Guyen znalazł sobie miejsce na tyłach i podobnie jak Holsten trzymał się z dala, pojawiła się też Vitas i spoglądała na publiczność z niejakim niesmakiem, jakby nie była pewna, czy trafiła do właściwego pomieszczenia.

Ekran, który zamontował jej zespół, zajmował większość ściany za jej plecami i po chwili rozbłysnął migotliwą szarością. Vitas spojrzała nań krytycznie, ale zdobyła się na uśmiech.

– Jak wiecie, nadzorowałam przegląd planety, wokół której orbitujemy. Teraz wydaje się to już potwierdzone, iż – była na tyle uprzejma, że skinęła w stronę Holstena – zjawiliśmy się na jednym z szeregu projektów terraformicznych, które prowadziło Stare Imperium krótko przed swym rozpadem. Poprzedni, który widzieliśmy, został ukończony i z niewiadomych przyczyn poddany kwarantannie przez zaawansowanego technicznie satelitę. Tutaj zaś prace zostały przerwane w trakcie procesu terraformacji, a stacja kontrolna została opuszczona. Inżynierowie podjęli się niezwykłego zadania zbadania tego obiektu, ja natomiast sprawdzam samą planetę, by potwierdzić, czy może nam posłużyć jako nowy dom.

Nic w tej urywanej, zwięzłej wypowiedzi nie prowadziło do konkluzji – jeśli w ogóle były przewidziane jakieś konkluzje. Nie był to popis krasomówczy dla spotęgowania suspense po prostu dlatego, że Vitas uważała się przede wszystkim za naukowca i zarówno pozytywne, jak i negatywne wyniki relacjonowałyaby z taką samą bezstronnością, nie oceniając wartości rezultatów. Holsten znał ten rodzaj szkoły akademickiej, która stała się popularna pod koniec życia na Ziemi, kiedy o pozytywne rezultaty było coraz trudniej.

Vitas spoglądała po zgromadzonych i Holsten próbował odgadnąć, co kryje

się w wyrazie jej twarzy, języku ciała, uchwycić się czegokolwiek, byle tylko zyskać ogólne pojęcie, co się dzieje. *Zostajemy tutaj? Czy wychodzimy na zewnątrz? A może wracamy?* Niepokoiła go szczególnie ostatnia ewentualność, gdyż należał do wąskiego grona ludzi, którzy na własnej skórze doświadczyli zielonego Świata Kern.

Ekran pojaśniał, przechodząc przez kolejne odcienie szarości, i po chwili pokazała się na nim krzywizna ciemnego horyzontu szarej planety.

– Jak słusznie wszyscy zauważyliście, powierzchnia tej planety zdaje się dziwnie jednorodna. Analiza spektrograficzna wykazuje jednak bogactwo związków chemicznych, wszystkich elementów potrzebnych do przeżycia – mówiła Vitas. – Wystrzeliliśmy dwa drony, kiedy tylko ustawiliśmy się na orbicie. Obrazy, które zobaczycie, pochodzą z kamery w dronie. Kolory są prawdziwe, bez retuszu.

Holsten nie widział żadnych kolorów oprócz szarego, ale kiedy światło słońca przepełzło po orbicie, ukazało mu zarysy, cienie, kontury gór, nieck i kanałów.

– Jak widzicie, planeta jest geologicznie czynna, co może być czynnikiem warunkującym terraformację Imperium. Nie wiemy, czy jest tak dlatego, że ze wszystkich cech ziemskich w nowym świecie chcieli uzyskać właśnie te, które najtrudniej odtworzyć w sztucznych warunkach – może nawet jest to niemożliwe – albo też sami wprowadzili tę cechę we wczesnej fazie rozwoju planety. Mamy nadzieję, że odzyskane ze stacji informacje pozwolą nam się dowiedzieć, w jaki sposób im się to udało. Jest dość prawdopodobne, że pewnego dnia będziemy w stanie sami powtórzyć ten proces. – Teraz przynajmniej było słyhać, że taka perspektywa jest dla Vitas niezwykle ekscytująca. Holsten był pewien, że jej głos podniósł się odrobinę, a jedna brew nawet zadrgała. – Widać tutaj odczyty z drona dotyczące podstawowych warunków na planecie – ciągnęła. – I tak: grawitacja na poziomie około osiemdziesięciu procent grawitacji ziemskiej, wolny obrót wokół własnej osi daje około czterystu godzin dziennego cyklu. Temperatura jest wysoka, znośna na biegunach, do przeżycia na szerokości północnej, ale prawdopodobnie poza ludzką tolerancją na równiku. Proszę zauważyć, że poziom tlenu to tylko pięć procent, więc obawiam się, że nie będzie łatwo tam mieszkać. Niemniej jednak jest to cenna wiedza.

Obraz skoncentrował się na powierzchni, bo drony znacznie obniżyły lot, i szmer zaskoczenia i niepokoju przeszedł wśród zgromadzonych. Szara

powierzchnia żyła.

Cały teren, który obejmował obiektyw kamery, był pokryty gęstą, splątaną roślinnością barwy popiołu. Pierzyła się niczym liście paproci zachodzące na siebie, rozpościerające się niczym dłonie, by złapać światło. Wybuchiała w górę fallicznymi wieżami pokrytymi brodawkami pąków czy też owoców. Porastała też góry po same szczyty. Tworzyła gęsty, szary kobierzec na każdej widocznej przestrzeni. Obraz się zmieniał i Vitas omawiała różne lokalizacje, pokazując na ogólnej mapie miejsca, w których zrobiono materiał. Szczegóły jednak niewiele się różniły.

– To, co widzicie, to organizmy najbliższe grzybom – wyjaśniła. – Różne gatunki skolonizowały całą planetę, od bieguna do bieguna, na każdej szerokości geograficznej. Skany podłoża – przedstawione tutaj – wykazują, że topografia planety jest tak zróżnicowana, jak można by się spodziewać po substytucie Ziemi – są niecki mórz, ale mórz nie ma, są doliny rzeczne, ale nie ma rzek. Badania sugerują, że na całej planecie wodę wiąże organizm, który widzieliście na ekranie. Może to nawet być *pojedynczy* organizm. Nie zaobserwowano poszczególnych osobników. Zdaje się zdolny do swego rodzaju fotosyntezy, pomimo dziwnej barwy, ale niski poziom tlenu wskazuje, że pod względem chemicznym bardzo się różni od wszelkich znanych nam organizmów. Nie wiadomo, czy ten dominujący gatunek został w jakimkolwiek stopniu zamierzony w procesie terraformacji, czy powstał w wyniku błędu i jego obecność spowodowała, że inżynierowie porzucili pracę, lub też czy pojawił się już później. Czy jest naturalnym produktem ubocznym, czy niedokończonym dziełem. Tak czy inaczej, myślę, że można bezpiecznie uznać, że tego organizmu nie da się usunąć. Teraz to jego świat.

– Nie można oczyścić planety? – zapytał ktoś. – Nie możemy tego na przykład wypalić?

W końcu zewnętrzny spokój Vitas został zburzony.

– Powodzenia z paleniem czegokolwiek przy tak małym stężeniu tlenu – cmoknęła. – Poza tym moim zdaniem powinniśmy zaprzestać dalszych badań nad tą planetą. Kiedy już ustawiliśmy tam nasze stanowiska badawcze i rozpoczęliśmy prace, drony zaczęły wykazywać zmniejszoną funkcjonalność. Staraliśmy się utrzymać je tam jak najdłużej, ale w końcu oba całkowicie przestały działać. Atmosfera planety stanowi praktycznie zupełną zarodnikową, bo nowe kolonie grzybów szukają powierzchni, na której mogłyby osiąść. Co mi przypomina, że przy całym entuzjastycznym podejściu zarówno do tego

systemu planetarnego, jak i do poprzedniego, musimy skonstruować nowe drony, kiedy tylko będziemy mieli niezbędne środki. Bardzo mało nam ich już zostało.

– Zgoda – wtrącił się Guyen z tyłu sali. – Zabierzcie się do tego. Myślę, że możemy założyć, iż ta planeta nie stanie się wkrótce naszym nowym domem – dodał. – Ale to nie stanowi problemu. Naszym priorytetem jest zabranie wszystkiego, co się da, ze stacji, skatalogowanie, przetłumaczenie i opracowanie danych, które możemy wykorzystać. Jednocześnie będziemy przeprowadzać remont kapitalny systemów *Gilgamesza*. W tej stacji jest mnóstwo użytecznych technologii, jeśli tylko uda się nam je wykorzystać. I nie martwcie się tym, że nie możemy żyć w świecie grzybów. Mam pewien plan. Z tym, co tutaj znaleźliśmy, możemy lecieć i przejąć naszą schedę. – Ta przemowa tak szybko nabrała mesjanistycznego charakteru, że nawet sam Guyen był tym przez chwilę zaskoczony, ale zaraz odwrócił się i poszedł sobie, a po jego odejściu rozmowy się wzmożyły.

4.4 DOCIEKLIWE UMYSŁY

Zaraza z początku działała skrycie, potem wybuchła z pełną siłą, by przejść do prawdziwie przerażającej postaci. Jej symptomy były już dobrze udokumentowane, bardzo przewidywalne – w gruncie rzeczy wszystko było przewidywalne, choć zarazem niczemu nie można było zapobiec. Pierwsze objawy to uczucie gorąca w stawach, pieczenie oczu, otworu gębowego, kądziółków przednich, odbytu i płucotchawek. Dalej pojawiały się skurcze mięśni, szczególnie w odnóżach, z początku nieznaczące, zaburzenia mowy, niewytłumaczalny nerwowy płas, nasilający się z czasem, jakby odnóża należały do kogoś innego, co prowadziło do bełkotu, jąkania się, nerwowych, pozbawionych sensu wypowiedzi. Mniej więcej wtedy, jakieś dziesięć do czterdziestu dni po pierwszym odruchowym skurczu, wirus docierał do mózgu i ofiara traciła świadomość, kim jest i gdzie się znajduje. Objawiało się to w irracjonalny sposób. Paranoja, agresja i stany fugowe były w tym stadium powszechne. Śmierć następowała po kolejnych pięciu–piętnastu dniach, bezpośrednio poprzedzona nieodpartym pragnieniem wspięcia się jak najwyżej. Fabian w szczególności opisał doświadczenia z martwego miasta – najwyższe gałęzie drzew i porwane sieci były pełne sztywnych trupów, których szkliste oczy wpatrywały się w pustkę.

Przed wystąpieniem symptomów wirus jest obecny w organizmie ofiary przez nieokreślony czas, ale często nawet do dwustu dni, wolno i niepostrzeżenie infiltrując chorego. Ofiara ma napady gorąca i zawroty głowy, ale przyczyn takich stanów może być wiele i takie epizody przeważnie przechodzą bez echa – tym bardziej że zanim zaraza zaatakowała Wielkie Gniazdo, wszyscy podejrzani o chorobę byli wypędzani pod karą śmierci. Ci, u których choroba wykluwała się powoli, nieświadomie stali się częścią konspiracji maskującej oznaki epidemii do samego końca.

Podczas tej niewinnej z pozoru fazy choroba była średnio zakaźna. Przebywanie w otoczeniu chorego nawet przez dłuższy okres rzadko prowadziło do zarażenia, ale ukąszenie oszalałych z bólu ofiar w ostatnich stadiach je gwarantowało.

W Wielkim Gnieździe przebywało sześciu chorych w ostatnim stadium. Byli zabijani bez pardonu, z pewnej odległości. Trzykrotnie więcej było tych w fazie pośredniej i jak dotąd nie ustalono, co z nimi robić. Portia i pozostali upierali się, że istnieje lekarstwo. Wśród uczonych ze Świątyni panowało milczące porozumienie co do tego, by ukrywać, jak niewielkie mają pojęcie o sposobie opanowania choroby.

Portia robi, co może, wykorzystując łup Fabiana. Młode pająki pochodzą z miasta ogarniętego zarazą i może tylko mieć nadzieję, że są na nią odporne i że to jakoś pomoże jej w badaniach.

Testowała te osobniki, pobierała próbki ich hemolimfy do badań, ale jak dotąd jej szkiełko i oko nie wykryło niczego. Kazała szczepić bądź karmić ich płynami ustrojowymi chorych w stadium pośrednim w procesie swoistej transfuzji opracowanej kilka lat wcześniej. Ograniczony system immunologiczny pajaków sprawiał, że odrzucenie obcej hemolimfy nie stanowiło większego problemu. Ta próba nie przyniosła jednak efektu.

Pracując z zarażonymi, aby jak najbardziej oddalić nieuchronną chwilę, w której będzie eksperymentować na sobie, wykorzystywała Fabiana do kontaktów z samcami z domostw, gdzie zanotowano przypadki zarazy. Wiadomo, że samce są nieco odporniejsze na tę chorobę niż samice. Ironia losu polegała na tym, że prastare mechanizmy genetyczne wiązały elegancję i wytrzymałość w ich tańcach godowych z siłą układu immunologicznego, biorąc pod uwagę stałą presję selekcji naturalnej.

Wszystko, czego Portia próbowała, zawiodło i żadna z jej siostrzyc nie osiągnęła lepszych rezultatów. Teraz zaczyna błąkać się po obszarach bardziej spekulatywnych dziedzin nauki, starając się desperacko odnaleźć jedną poboczną myśl zdolną ocalić jej cywilizację przed upadkiem i regresem do rozproszonych barbarzyńskich plemion.

Pracuje całymi dniami w swym laboratorium. Fabian poszedł z nową partią roztworów, by przekazać je swoim towarzyszom w zamkniętych lazaretach, w które zmieniły się zainfekowane domostwa. Portia nie wierzy specjalnie, że te roztwory pomogą. Czuje, że doszła do kresu swych możliwości, sfrustrowana bezmiarem ignorancji, na którą natrafiła, zbliżając się do granic poznania swego ludu.

Ma gościa. W innych okolicznościach odmówiłaby jego przyjęcia, ale jest zmęczona, tak bardzo zmęczona i rozpaczliwie szuka nowej perspektywy. A właśnie niepokojąco nowe perspektywy reprezentuje jej gość.

Nazywa się Bianca, poprzednio była jedną z sióstr w grupie Portii. Jest dużą, przekarmioną pajęczycą, z jasnymi cętkami na całym ciele, która porusza się z niespokojną, nerwową energią, przez co Portia podejrzewa, że gdyby Bianca złapała chorobę, nikt by tego nawet nie zauważył.

Bianca poprzednio też była w Świątyni, ale nie wypełniała swoich obowiązków z należytyim szacunkiem. Jej ciekawość uczonej przytłoczyła nabożność kapłanki. Rozpoczęła eksperymenty z kryształem, a kiedy to odkryto, o mało jej nie wygnano. Portia i jej siostrzyce wstawiały się za nią, ale Bianca i tak spadła z wyżyn społecznych i utraciła zarówno status, jak i przyjaźnie. Domniemywano, że opuści Wielkie Gniazdo, może nawet zaginie.

Bianca jednak w jakiś sposób się trzymała, nawet całkiem nieźle. Zawsze miała niepospolity umysł – być może właśnie dlatego Portia będąca u kresu swych mentalnych możliwości ją wpuściła. A ona kupczyła swoimi umiejętnościami, jak jakiś samiec służąc w pomniejszych domostwach, a w końcu utworzyła nową siostrzaną grupę złożoną z innych niezadowolonych uczonych. W lepszych czasach główne domostwa w takich sytuacjach stosowałyby ostracyzm, doprowadzając do wyrzucenia renegatek z Gniazda, ale teraz każdy miał to gdzieś. Lud Portii miał inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Mówią, że jesteś bliska znalezienia lekarstwa. Postawa Bianki i lekkie opóźnienie ruchów wskazywały jednak na niejaki sceptycyzm.

Pracuję. Wszyscy pracujemy. W innych okolicznościach Portia wyolbrzymiałaby swoje osiągnięcia, ale teraz czuje się na to zbyt zmęczona. *Po co przyszłaś?*

Bianca przesuwa się nieznacznie, zerkając na Portię. *Cóż, siostrzo, wiesz przecież, po co przychodzę...*

Nie pora teraz na to. Zatem Bianca przychodzi po to co zwykle.

Portia kuli się żałośnie, a jej gość podchodzi bliżej, by ją lepiej słyszeć.

Z tego, co słyszałam, może już nie być innego dogodnego momentu, mówi Bianca, na poły prowokując gospodynię. *Wiem, jakie wieści wędrują po sieciach z innych miast. Wiem, że wiele innych siedzib nie przekazuje wiadomości. Ty i ja dobrze wiemy, co się święci.*

Gdybym chciała to roztrząsać, zostałabym w moim laboratorium, mówi Portia, gniewnie tupiąc. *Nie dam ci dostępu do kryształu Emisariuszki.*

Nogogłaszczki Bianki drżą. *Miałam nawet swój kryształ, wiesz? Ale Świątynia się dowiedziała i mi go zabrali. Byłam blisko...*

Portia nie musi pytać, blisko czego była Bianca. Ma jedną obsesję – mówi do Emisariuszki, próbując odesłać wiadomość z *powrotem* do mknącej po niebie gwiazdy. Mówi się o tym w Świątyni od wielu pokoleń – i w każdym pokoleniu jest ktoś taki jak Bianca, kto nie przyjmuje pewnych rzeczy do wiadomości. Takie osobniki zawsze są bacznie obserwowane.

Portia jest w pożałowania godnej sytuacji, ponieważ mając wolną rękę, pewnie wsparłaby Biancę. Jednak to większość podejmuje decyzje, kiedy wielcy i szlachetni stoją w jednej sieci i debatują. Stara strażniczka Świątyni, kapłanka z poprzedniego pokolenia, utrzymuje czystość przesłania. Lud Portii dąży do tego, by bardziej je docenić, poznać jego skrytą głębię, która czeka na swą odkrywczynię. Nie ich zadaniem wycie w ciemności, aby ściągnąć uwagę Emisariuszki. Przelatująca nad ich głowami Emisariuszka widzi wszystko. We wszechświecie panuje porządek, a Emisariuszka jest na to najlepszym dowodem.

W każdym kolejnym pokoleniu pojawiają się nowe głosy w tej dyspacie, ale jak dotąd ten dogmat jest nie do obalenia. W końcu czyż Emisariuszka nie interweniowała podczas wielkiej wojny z mrówkami bez wysyłania do niej próśb o pomoc? Jeśli plan Emisariuszki zakłada udzielenie pomocy ludowi Portii, nadejdzie ona samoistnie, bez wymuszania.

Dlaczego zwracasz się do mnie? Nie wystąpię przeciwko Świątyni, mówi Portia tak lekceważąco, jak tylko potrafi.

Ponieważ pamiętam cię z czasów, kiedy byłyśmy prawdziwymi siostrami. Chcesz tego samego co ja, tylko nie dość stanowczo.

Nie pomogę ci, oznajmia Portia, a w tych słowach można wyczuć jej zmęczenie. Poza tym i tak nie można zwracać się do Emisariuszki. Nasz lud potrzebuje Świątyni jako opoki. Twoje eksperymenty odbiorą mu nadzieję i w imię czego? Nie potrafisz osiągnąć tego, czego pragniesz, bo to niemożliwe.

Chcę ci coś pokazać. Bianca zaczyna gwałtownie gestykulować i jakieś samce wnoszą ciężkie urządzenie na pasach. Podchodzą bokiem, by opuścić je na naprężoną sieć podłogi, która rozciąga się jeszcze bardziej pod tym ciężarem.

Od dawna wiadomo, że pewne związki chemiczne reagują z metalami w przedziwny sposób, mówi Bianca. *Przy ich właściwym połączeniu wytwarza się energia, którą przewodzą metale i płyny. Pamiętasz takie eksperymenty, kiedy uczyliśmy się razem.*

Ciekawostka, nic ponadto, przypomina sobie Portia. Używa się tej metody do pokrywania metali innymi metalami. Pamiętam, jak jedna z mrówczych kolonii opracowała tę technologię i zaczęła produkować niesamowite rzeczy. To wspomnienie ze stosunkowo niewinnej młodości dodaje jej nieco siły. Wydzielają się przy tym trujące opary. Praca w sam raz dla mrówek. No i o co z tym chodzi?

Bianca majstruje przy urządzeniu, które przypomina sprzęt używany do eksperymentów, jak przypomina sobie Portia – pojemniki z chemikaliami zanurzone w innych pojemnikach, połączone metalowymi prętami, posiadające też inne metalowe części – metal rozciągnięty do takiej postaci, że przypomina jedwabną nić owiniętą na szpulce. Coś się zmienia w powietrzu i Portia czuje, jak jeżą się jej włoski, jakby nadciągała burza, która zawsze wywołuje uzasadniony strach, zważywszy na zniszczenia, jakie może wywołać w mieście naturalny pożar.

Ta zabawka znajduje się w sercu niewidzialnej sieci, mówi Bianca. Przy starannym ustawieniu potrafi szarpać niciami tej sieci. Czy to nie cudowne?

Portia już chce powiedzieć, że to nonsens, ale jest zaintrygowana, a myśl o wszechogarniającej sieci intuicyjnie ją pociąga. Jakże inaczej byłoby połączeni z...?

Chcesz powiedzieć, że Emisariuszka przemawia do nas przez tę sieć?

Bianca uwija się wokół swej nowatorskiej maszyny. *Cóż, musi istnieć jakieś połączenie, bo inaczej jak odbieralibyśmy przesłanie? A jednak Świątynia nie spekuluje na ten temat. Przesłanie po prostu jest. Tak, odnalazłam wielką sieć wszechświata, sieć, przez którą nadaje swoją wiadomość Emisariuszka. Tak, jestem w stanie wysłać odpowiedź.*

Nawet jak na Biancę jest to śmiała i wywołująca grozę przechwałka.

Nie wierzę ci, stwierdza Portia. Już byś to zrobiła, gdyby było to możliwe.

Bianca gniewnie tupie. *Jaki sens miałyby wysyłanie wieści do Emisariuszki, skoro nie usłyszałabym odpowiedzi? Muszę wejść do Świątyni.*

Chcesz, żeby Emisariuszka cię rozpoznała, żeby do ciebie przemówiła. A więc główną motywacją tego eksperymentu jest ego Bianki. Zawsze taka była – gotowa, by mierzyć odnóża ze wszystkimi. To nie jest odpowiedni moment. Portia znów czuje się wyczerpana.

Siostro, nie mamy już czasu. Wiesz o tym, nalega Bianca. Daj mi zrealizować mój plan. Nie można obarczać tym przyszłych pokoleń. Nawet gdybym chciała przekazać dalej to Zrozumienie, to nie będzie komu. Teraz

jest ostatni moment.

W ogóle nie będzie przyszłych pokoleń. Portia nie przekazuje tych słów, pojawiają się tylko w jej głowie. Fabian je widział – żyją jak zwierzęta w ruinach miast, mają w głowach Zrozumienia, których nie potrafią użyć, ponieważ cała struktura świata ich matek zniknęła. W takim razie po co komu nauka? Po co Świątynia? Po co komu sztuka, kiedy tak niewiele ich zostało i potrafią tylko jeść i spółkować? Nasze wielkie Zrozumienia wyginą, z pokolenia na pokolenie, aż żadne z tych pozostałych przy życiu nie będzie wiedzieć, kim jesteśmy. Ale myśl nie urywa się na tym, coś wciąż nie daje jej spokoju. Zaczyna się zastanawiać nad wyborem Zrozumień – ci, którzy przeżyją zarazę, będą z pewnością posiadać dawne Zrozumienia pozwalające im polować i potomstwo, które odziedziczy tego rodzaju pierwotne Zrozumienie, będzie rządzić światem. Ale odziedziczą nie tylko to...

Portia aż podskoczyła, jakby nieopatrznie dotknęła maszyny Bianki tam, gdzie nie trzeba. Przyszła jej do głowy szalona myśl. Nieprawdopodobna. Myśl naukowca.

Daje znać jednemu ze swoich asystentów i pyta stanowczo, czy wrócił Fabian. Tak, posyła więc po niego.

Muszę popracować w laboratorium, mówi Bianca, ale się waha. Bianca jest już na poły opętana, niebezpieczna, i działa w pojedynkę, może nawet szykować się do buntu, ale nikt nigdy nie kwestionował jej geniuszu. Pomożesz mi? Potrzebuję pomocy.

Zaskoczenie Bianki jest widoczne. *To byłby zaszczyt móc ponownie pracować z moją siostrą, ale...* – nie kończy, lecz jej spojrzenie kieruje się ku maszynie, która, teraz wyłączona, nie rozstrzuwa niewidzialnej sieci wokół.

Jeśli nam się uda, jeśli przeżyjemy, zrobię, co w mojej mocy, by przekazać twoją prośbę do Świątyni. I tu pojawia się własna buntownicza myśl Portii: Jeśli przeżyjemy, to za sprawą naszych umiejętności, a nie dzięki pomocy Emisariuszki. Teraz jesteśmy zdane na siebie.

4.5 MARZENIA STAROŻYTNYCH

Mason.

Holsten podskoczył w półśnie nad swoją pracą, tak że niemal spadł z krzesła. Za jego plecami stał Guyen.

– Ja... ach, coś się stało? – Przez chwilę starał się sobie przypomnieć, czy skończył już tłumaczenie, o które prosił dowódca. Ależ tak, wysłał je Guyenowi do wyłącznego użytku, no, wysłał. Czyżby już zdążył je przeczytać?

Guyen nie dawał nic po sobie poznać.

– Chcę, żeby poszedł pan ze mną.

W jego głosie nie było słycać niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Holsten zostanie rozstrzelany za jakąś zdradę popełnioną przeciw jednoosobowemu reżimowi Guyena. Krzepiący był też brak zbrojnej eskorty.

– No, ja... – Holsten wskazał na konsolę, ale prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich kilku dni stracił serce do pracy. Była monotonna, mozolna i w dziwnie osobisty sposób przygnębiająca. Perspektywa uwolnienia się od niej, choćby w towarzystwie Guyena, była niewyobrażalnie atrakcyjna. – Czego pan potrzebuje, szefie?

Guyen bez słowa nakazał mu iść za sobą i po kilku zakrętach w korytarzach *Gilgamesza* Holsten mógł odgadnąć, że kierują się do hangarów wahadłowców. To tu, to tam widział nawet ślady po kulach, których jeszcze nie zalepiły służby porządkowe.

Wtedy niemal popełnił błąd, wspominając Guyenowi o starych czasach. Powstrzymał się w samą porę. Mogło być tak, że Guyen popatrzyłby tylko na niego wilkiem, ale gdyby naprawdę zechciał porozmawiać o nieudanym buncie, to co Holsten miałby mu powiedzieć? Miał w głowie tylko jedno obsesyjne pytanie, które dręczyło go od chwili powrotu z Lain na pokład *Gila*. Kiedy siedział samotnie w komorze dekontaminacyjnej – podobnie jak Lain i cała załoga Karsta – raz za razem odtwarzał wydarzenia, starając się dociec, które słowa i czyny Guyena były blefem, a które stanowiły przykład jego zimnego wyrachowania. Chciał wtedy porozmawiać o tym z Karstem, ale nie dostał takiej szansy. Ile w tej desperackiej misji ratunkowej było zamysłu

Guyena, a na ile była to improwizacja Karsta? Zawsze uważał szefa ochrony za zbira, a jednak w końcu ten człowiek postawił wszystko na szali, by sprowadzić żywych zakładników na statek.

Jestem ci to winien, Karst, przyznawał w duchu Holsten, ale nie wiedział, czy zawdzięcza cokolwiek Guyenowi.

– Czy my...? – rzucił do pleców dowódcy.

– Wracamy na stację – potwierdził Guyen. – Chcę, żeby przyjrzał się pan czemuś.

– Jakiemuś tekstowi czy...? – Wyobraził sobie, jak przez cały dzień tłumaczy tabliczki ostrzegawcze i instrukcje coraz bardziej nieprzeniknionemu Guyenowi.

– Jest pan klasykiem. Przecież pańska praca nie polega wyłącznie na tłumaczeniu, mam rację? – Guyen go dociskał. – Zajmuje się pan też artefaktami, czy tak?

– No, tak, ale przecież inżynierowie... – Holsten miał świadomość, że Guyen zaskakiwał go na tyle często, że nie był w stanie wyartykułować składnie jednej myśli, od kiedy ten się zjawił.

– Inżynierowie chcą coś skonsultować. Podobnie jak ja. – Wyszli na otwartą przestrzeń lądowiska wahadłowców, gdzie już czekał na nich pojazd z otwartym włazem. Pilotka stała, stukając piętą w kadłub, i czytała coś z pada. Holsten podejrzewał, że jedną z książek, które Guyen udostępnił z przepastnej biblioteki *Gila*, choć istniał też spontaniczny handel wymienny książkami zakazanymi – dziełami i materiałami, które miały być zamknięte w systemie. Guyen złościł się z tego powodu, ale nie był w stanie tego ukrócić, i Holsten podejrzewał w duchu, że cenzura, jaką nakazał wprowadzić Lain, nie obejmowała głównej sprawczyni tego nielegalnego obrotu – mianowicie samej Lain.

– Musi pan z pewnością być wdzięczny za możliwość zbadania satelity na miejscu – zasugerował Guyen, kiedy zajmowali miejsca i przypinali się pasami. – Że może pan podążać śladami starożytnych i w ogóle. To marzenie każdego klasyka, powiedziałbym.

Z doświadczenia Holstena wynikało, że marzeniem klasyka jest raczej pozostawianie niebezpiecznej pracy komu innemu, a potem pisanie w wygodnym fotelu uczonych analiz na temat starożytnych czy też, w miarę postępu kariery naukowej, analiz prac innych uczonych. Poza tym, choć broń Boże nie mógł o tym powiedzieć Guyenowi, zdał sobie sprawę

z przytłaczającej prawdy – już nie lubił starożytnych.

Im więcej wiedział na ich temat, tym bardziej postrzegał ich nie jako podróżujące w kosmosie bóstwa, jak określała to początkowo jego kultura, ale jako potwory – niezdarne, swarliwe, krótkowzroczne. Owszem, rozwinęli technologię, która wciąż wykraczała poza wszystko, co osiągnęło pokolenie Holstena, ale prawda była następująca: świetlany przykład Starego Imperium omamił całą ich cywilizację, wpędzając ją w grzech mimikry. Próbując naśladować starożytnych, przypieczętowali swój los – nie osiągnęli ani ich wyzyna, ani też innych, skromniejszych, zostali za to skazani na trwanie w miernocie i zawiści.

Lot na stację trwał krótko i czas między przyspieszeniem i hamowaniem upłynął błyskawicznie, a pilotka okpiła wszelkie zasady fizyki połączona z *Gilem* i prowizorycznym systemem dokowania na stacji.

Stacja składała się z szeregu kręgów wokół pozbawionego grawitacji centralnego cylindra, który wciąż zawierał niemal nieuszkodzony reaktor z czasów Starego Imperium, jakiego do tej pory nikt nie widział. Zespołowi Lain udało się przywrócić zasilanie z niezwykłą łatwością, bo wszystkie urządzenia były gotowe do wznowienia pracy po mileniach uśpienia. Była to ta sama niezawodna, elegancka technologia, którą posiadli, małpując i odtwarzając pierwowzory, która wydała systemy *Gilgamesza* pozwalające im wylecieć tak daleko w kosmos kosztem jedynie kilku procent ludzkiego ładunku.

Niektóre fragmenty stacji znów się obracały, przywracając tam niemal idealną grawitację, za co Holsten był głęboko wdzięczny. Nie wiedział, co zastanie, wysiadając z wahadłowca, ale pierwszy krąg stacji został dokładnie zbadany i skatalogowany oraz – w rezultacie – skolonizowany przez mocno rozbudowany zespół inżynierów Lain. Wraz z Guyenem znaleźli się w obszarze emanującym energią, gwarem i hałasem, a wszystkie korytarze i pomieszczenia były wypełnione inżynierami po służbie. Założono tu prowizoryczną kantinę serwującą posiłki, pomieszczenie rekreacyjne, gdzie na zainstalowanych ekranach pokazywano materiały z archiwów *Gila*. Holsten widział ludzi grających w różne gry, obejmujących się w czułych uściskach i nawet coś, co można by uznać za spektakl dramatyczny, który został momentalnie przerwany na widok Guyena. Pod opieką Lain inżynierowie stali się ciężko pracującą, lecz dość zuchwałą grupą, i Holsten podejrzewał, że ich Wielki Przywódca nie cieszy się powszechnym szacunkiem.

– No to gdzie jest to coś, co mam zobaczyć? – zapytał. Coraz bardziej ciekawiły go motywy Guyena, bo zdawało się, że przecież nie może chodzić o nic, czego nie można by skonsultować zdalnie. *Dlaczego więc Guyen mnie tu przywłókł?* Miał kilka gotowych odpowiedzi na to pytanie, ale żadna z nich mu się nie podobała. Na pierwszy plan wybijała się ta, że praktycznie żadne połączenie między stacją a *Gilgameszem* nie było bezpieczne. Teoretycznie każdy z odrobiną rozeznania mógł podsłuchiwać. Oczywiście nie mogli przecież wchodzić w grę informacje natury wrażliwej, prawda?

Może jednak.

Dreszcz przeszedł po plecach Holstena, kiedy tak deptał Guyenowi po piętach, przemierzając pierwszą sekcję okręgu, aż stanęli przed wjazdem stanowiącym przejście do drugiej.

Czyżby coś znalazł? Wyobrażał sobie, jak dowódca przegląda raporty, szukając Bóg wie czego. Coś jednak przyciągnęło jego wzrok – coś, czego być może nikt inny nie postrzegał w ten sam sposób. A teraz było jasne, że Guyen nie zamierzał o tym nikogo informować.

Czyli co, stałem się jego powiernikiem? Nie była to kojąca myśl.

Szli dalej przez pomieszczenia stacji, z jednego kręgu w drugi, z jednej śluzy do drugiej, a grupki relaksujących się inżynierów ustępowały zgoła innej, skupionej aktywności. Przechodzili teraz ostrożnie przez te obszary stacji, które wciąż badano. Pierwsze sekcje uznano już za bezpieczne, tym samym mogli w nich przebywać najmłodszy z grupy Lain – często świeżo wybudzeni, o ograniczonym doświadczeniu – którzy przywracali funkcjonowanie systemów lub kończyli katalogowanie. Dalej jednak Guyen kazał Holstenowi włożyć kombinezon i hełm. Mieli wejść w rewiry stacji, w których grawitacja i powietrze były rzadkością.

Od tego miejsca wszyscy, których mijali, byli podobnie ubrani i Holsten widział, że tempo odkrywania nowych obszarów stacji było ograniczone sprzętem, który znajdował się na pokładzie *Gilgamesza* albo można go było tam wytworzyć. Mijali kurczące się grupki inżynierów pracujących na kluczowych systemach, próbujących przywrócić funkcjonowanie urządzeń podtrzymujących życie do takiego poziomu, aby można było tu bezpiecznie pracować. Żarty i beztroska z poprzednich pomieszczeń zniknęły bez śladu, a zastąpiły je skupienie i praca.

Następna sekcja, do której dotarli, posiadała grawitację, ale była pozbawiona powietrza. Musieli też znosić koszmar mrugających świateł

i świetlnych ostrzeżeń, które zapowiadały straszne konsekwencje w Imperialnym C. Inżynierowie, pozbawieni twarzy w kombinezonach, walczyli co siłą, by naprawić szkody powstałe na skutek upływu czasu i dociec, w którym miejscu stare systemy zawiodły i jak usprawnić starożytną i zastraszająco zaawansowaną technologię.

Cofamy się w czasie, pomyślał Holsten. Nie do epoki Starego Imperium, ale do prób inżynierów, by uratować stację. Kiedy nie było tu niczego: światła, atmosfery, zasilania, grawitacji. I wtedy zjawiała się Lain, bogini w miniaturze, by przywrócić pustce znaczenie.

– Przechodzimy do następnego kręgu. Jest tu trochę energii, ale nie udało im się wprawić tej sekcji w ruch rotacyjny – ostrzegł Guyen szorstkim głosem w głośniku w hełmie Holstena.

Holsten przez chwilę gmerał przy swoim komunikatorze i wreszcie przypomniał sobie, jak działa.

– To tam idziemy?

– W rzeczy samej. Lain?

Holsten podskoczył, zastanawiając się, która z trzech postaci w kombinezonach to główna inżynier. Kiedy jednak w komunikatorze zabrzmiał głos Lain, nie był w stanie przypisać go do żadnej z nich na podstawie ruchów i pomyślał, że główna inżynier pewnie znajduje się w jakimś innym miejscu stacji.

– Hola, szefie. Jest pan pewien, że chce to zrobić?

– Pani ludzie już przecież sprawdzili tę sekcję pod kątem aktywnego zagrożenia – stwierdził Guyen.

Holsten wiedział, że to zawsze pierwszy krok – krok, którego nigdy nie był naocznym świadkiem. Zanim zaczynano łątać główne systemy, załoga wchodziła do pozbawionego światła i powietrza obszaru i sprawdzała, czy starożytni nie zostawili czegoś, co będzie próbowało ich zabić.

Przynajmniej stacja nie została celowo zaminowana ani nic w ten deseń. Oczywiście była to klątwa starych astronautów – odkrywców z dawnych czasów. Starożytni zaczęli walczyć – między sobą. Nie próżnowali, jeśli chodzi o utrudnianie dostępu do stacji orbitalnych, i często rozmaite pułapki były ostatnimi działającymi urządzeniami w kupach złomu na orbicie.

– Szefie, wchodzi pan do miejsca bez podstawowych systemów podtrzymywania życia. Tam nie musi być niczego, co stanowiłoby aktywne zagrożenie – odparła Lain. – Wystarczy nieczynny złom. A w ogóle to kto jest

z panem? To nie żaden z moich, co?

Holsten zastanawiał się, skąd ich obserwuje, ale najwyraźniej wewnętrzny monitoring łatwiej było przywrócić niż urządzenie do wytwarzania powietrza.

– Mason, klasyk.

Chwila milczenia i:

– O, cześć, Holsten.

– Cześć, Isa.

– Proszę posłuchać, szefie. – W głosie Lain słyhać było niepokój. – Mówiłam, żeby zabrał pan kogoś z sobą, ale myślałam, że będzie to ktoś przeszkolony.

– Ja jestem przeszkolony – zauważył Guyen.

– On nie jest. Widziałam go w stanie nieważkości. Siedźcie tam, zaraz przyjdę...

– Nic z tych rzeczy – warknął gniewnie Guyen. – Proszę zostać na pozycji. Wiem, że ma pani sześciu ludzi w następnej sekcji. Jeśli będą jakieś problemy, damy im znać. – Jak na gust Holstena, był zdecydowanie zbyt stanowczy w tej kwestii.

– Szefie...

– To rozkaz.

– Jasne – dobiegł go głos Lain. – Kurwa, nie wiem, co knuje ten nygus, ale uważaj na siebie. – Dopiero po chwili Holsten zrozumiał, że nadaje wyłącznie do niego. – Słuchaj, dam znać ekipie od zasadzek i powiem, żeby mieli na ciebie oko. Krzycz, jak będzie jakaś wtopa, dobra? Tak, sprawdzili to miejsce i pracują, żeby przywrócić pełnię mocy i tak dalej. Ale bądź ostrożny i cokolwiek będziesz robił, *nie włączaj* żadnych urządzeń. Wysłaliśmy ekipę na wstępny przegląd, ale nie mamy pojęcia, do czego to wszystko służy. Ten krąg wygląda, jakby znajdowało się tu stanowisko dowodzenia i sterowania, albo może jest to centrum terraformacji. Tak czy inaczej, nie naciskaj żadnych guzików i od razu mów, jakby Guyen miał na to ochotę. Pamiętasz, jak używać wyselekcjonowanego kanału?

Ku swemu zaskoczeniu Holsten wiedział i zaczął manipulować językiem przy przyciskach, które działały tak samo jak w masce założonej mu przez buntowników.

– Sprawdzam.

– Grzeczny chłopiec. A teraz uważaj na siebie, dobrze?

– Postaram się.

Niedługo trwało, a młodzieńcze marzenia klasyka o odkrywaniu kosmosu zostały brutalnie stłamszone. Kombinezony miały magnetyczne buty, co Holsten przyjął z całym dobrodziejstwem inwentarza, kiedy jako dziecko oglądał filmy o dzielnych odkrywcach, ale w praktyce były niewygodne i irytujące. Posuwanie się przez pomieszczenia stacji niczym nurek po dnie oceanu również okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. W końcu Guyen, który poruszał się w takim środowisku niczym małpa w dżungli, musiał spiąć Holstena smyczą, żeby mógł go ściągać, gdy ten co chwila odlatywał w górę.

Wnętrze tego kręgu – najdalsza granica ich ekspansji na stacji – nie było jeszcze dobrze oświetlone, ale znajdowało się tu mnóstwo uspiionych paneli i drzemiących czytników, które przez sen komunikowały się ze sobą cicho, ponadto oświetlenie z kombinezonu wystarczało, by się poruszać. Guyen przemieszczał się całkiem szybko, najwyraźniej wiedząc, dokąd zmierzają. Własna niewiedza nie dawała Holstenowi spokoju.

– Włamałam się do twojej kamery w kombinezonie – dobiegł go głos Lain we wnętrzu hełmu. – Chcę wiedzieć, co zamyśla ten staruch.

W tej chwili Holsten dyndał za Guyenem niczym balon, mógł więc poświęcić chwilę na rozmowę.

– Wydawało mi się, że to ja jestem stary.

– Już nie. Widziałam go. Nie wiem, co robił w międzyczasie, ale wygląda na to, że ma więcej lat na karku niż my. – Usłyszał, jak Lain wciąga powietrze, żeby coś dodać, ale Guyen zaczął zwalniać, przyciągnął go i przystawił do ściany, aby jego buty mogły znaleźć punkt oparcia. Odezwała się Lain: – A więc o to chodzi?

W pomieszczeniu znajdowała się trumna – podobna do kapsuły zawieszenia, wbudowana u góry w ścianę. Holsten wiedział, że stacja posiada urządzenia do utrzymywania w stanie zawieszenia o bardzo ograniczonej pojemności – przynajmniej na podstawie tego, co do tej pory odkryli – więc nie była przeznaczona dla osób zamierzających spędzić tu wiele lat. Poza tym, jaki byłby sens utrzymywania tego pomieszczenia wraz z całym wyposażeniem, by zachować jedno ciało dla potomnych?

Pad przy kombinezonie Holstena zasygnalizował, że otrzymał nowe informacje, więc go wyjął i gmerając palcami w grubych rękawicach, wyświetlił dane: pierwszy raport z przeglądu tego pomieszczenia i jego zawartości. Inżynierowie nie wiedzieli, co to jest, tym samym zanotowali tylko podstawowe cechy, zrobili zdjęcia i poszli dalej. Uaktywnili też niektóre

konsole w pomieszczeniu, zrzucili dane do dalszej analizy przez kogoś takiego jak Holsten i nie zastanawiali się nad tym dłużej. Były to pliki, które miał przetłumaczyć dla Guyena. Holsten wyłowił je, rozważając, jak dobrze się spisał. Tekst napisano złożonym technicznym żargonem, choć był to jedynie powierzchowny fragment wiedzy zamkniętej w tym pomieszczeniu.

Teraz znów przeglądał te pliki, oryginały oraz własne tłumaczenia przy asyście komputera wraz ze wszystkimi danymi uwzględnionymi w przeglądzie technicznym. Guyen spoglądał na niego wyczekująco.

– Ja... co ja mam z tym zrobić?

– Ma mi pan powiedzieć, co to jest.

– I po to pan mnie tu ściągnął? – Temperament Holstena dał o sobie znać. – Szefie, mogłem po prostu...

– Pańskie tłumaczenie jest w większości niezrozumiałe – zaczął Guyen.

– Cóż, przy tych wszystkich szczegółach technicznych...

– Nie, wszystko się liczy. W ten sposób to zostanie między nami. Chcę więc, żeby pan jeszcze raz to sprawdził, potwierdził i powiedział mi, co to jest. A jesteśmy tu głównie po to, żeby widząc urządzenie, mógł pan zrozumieć. – Guyen odwrócił się do trumny i pochylił nad nią, sięgając do pasa z narzędziami, który zwisał z uprząży jego kombinezonu.

Holsten poczuł przypływ niepokoju i już niemal zakomunikował Guyenowi o swoich wątpliwościach, ale przypomniał sobie, że musi zmienić kanał, żeby przekazać to Lain.

– On coś włącza – wykrztusił i wtedy cały rząd świateł wokół trumny rozbłysł niczym żarówki na jarmarku. Ekrany i panele zamigotały, budząc się do życia, a wnęka o kształcie ludzkiego ciała rozjarzyła się błękitnym światłem.

– Widzę – rozległ się głos Lain poprzez trzaski, ale po chwili się ustabilizował. – Słuchaj, mam ludzi tuż za drzwiami. Jakby co, wpadną tam wszyscy. Ale chcę zobaczyć.

Tak jak ja, uświadomił sobie Holsten, nachylając się bliżej do wyświetlaczy.

– A to są... raporty błędów? – mruknął Guyen.

– Utracone połączenia... Inżynierowie uważają, że główny komputer został wybebeszony przez wirus – spekulował Holsten – więc teraz mamy tylko wyizolowane systemy. – I wszystko, co *mamy*, to przeładowana biblioteka wiedzy ezoterycznej. – Wygląda to tak, jakby próbował się połączyć z czymś,

czego tam nie ma. Wymienia całą listę, czego... czego nie może znaleźć.

Guyen przyglądał się panelom kontrolnym, a jego pękate dłonie w rękawicach zbliżały się raz za razem do ich powierzchni, choć unikały kontaktu.

– Niech pan zmusi to coś do mówienia. Niech powie, czym jest – polecił. Zostawił kanał otwarty i Holsten nie był pewien, czy te słowa były przeznaczone dla niego.

– Posłuchaj uważnie. – Głos Lain odezwał się bardzo wyraźnie w uchu Holstena. – Chcę, żebyś spróbował zrobić coś z tym panelem. To rutynowa procedura, którą opracowaliśmy tu na początku, żeby przedrzeć się przez to całe gówno. Działa na większości tutejszych zestawów. Będziesz musiał zbajerować Guyena, że to twój pomysł albo że wyczytałeś to w naszych raportach, bo ja wiem...

– Jasne.

Guyen pozwolił mu przejąć panel skąpany w bladym świetle bijącym z trumny i Holsten starannie wypełniał poszczególne polecenia Lain, wahając się za każdym razem, żeby mogła go poprawić w razie konieczności. Sekwencja liczyła tylko piętnaście kroków i dotykając ostrożnie ekranu, Holsten otwierał nowe kaskady opcji i warunków, aż w jakiś sposób pozbył się wszystkich żalonych skarg na utracone połączenia i sparował to z tym, co zostało.

Czyli...

– Awaryjne urządzenie przesyłu – przetłumaczył dość niepewnym głosem. Wpatrywał się w pustą przestrzeń o kształcie ludzkiego ciała w sercu maszyny.
– Przesyłu czego?

Wtedy zerknął na Guyena i zobaczył pospiesznie skrywaną minę, którą widać było nawet pod hełmem. Twarz dowódcy wyrażała triumf i głód. Bez względu na to, czego szukał, właśnie to odnalazł.

4.6 EMISARIUSZKA W ŚRODKU

Zaraza wdarła się do serca Wielkiego Gniazda i bezpośredni kontakt między domostwami urwał się całkowicie. Jedynie zdesperowani i wygłodniali wałęsali się po ulicach. Zdarzały się napaści – zdrowi napadali na tych, których uważali za chorych, na głodnych kradnących pożywienie, a chorzy i niepoczytalni atakowali za każdym razem, kiedy nakazywały im to ich demony.

Mimo to napięta sieć społeczności nie została przerwana, strumyczek uchodźców nie zamienił się w powódź – po części za sprawą Portii i jej podobnych. Pracują nad lekarstwem. Mogą ocalić Wielkie Gniazdo i tym samym cywilizację.

Portia zaprzęła do pracy nie tylko Biancę, ale wszystkie uczone – ze Świątyni i spoza niej – w które wierzyła. W końcu nie czas, by zagarniać sławę tylko dla własnego domostwa.

Kontaktując się z nimi wszystkimi, dopilnowała jednak, by wiedziały, kim jest – pomysłodawczynią i przywódczynią całej grupy badawczej. Jej polecenia przesyłane z przytupem po napiętych niciach są odbierane i przekazywane za pośrednictwem sumiennych samczych asystentów. W normalnych okolicznościach współpraca na takim poziomie pomiędzy domostwami nie układała się gładko – zbyt wiele ego, zbyt wiele samic walczących o dominację. Stan wyższej konieczności skutecznie wyeliminował te czynniki.

To jest moje nowe Zrozumienie, wyjaśniła im Portia. Odporne na zarazę dzieci mają jakąś cechę, która wyróżnia je spośród rówieśników. Przyszły na świat w mieście dotkniętym zarazą, ale przetrwały. Wydaje się prawdopodobne, biorąc pod uwagę czas, w jakim zaraza pustoszyła ich dom, że musiały wylegnąć się z jaj złożonych przez matki równie odporne na zarazę. Mówiąc w dużym skrócie, tę odporność odziedziczyły. To jest Zrozumienie.

Wywołało to burzę sprzeciwów. Proces tworzenia nowego Zrozumienia nie był oczywisty, oprócz aspektów związanych z konkretną wiedzą –

wspomnieniami, jak się coś robi albo czym są rzeczy. Gdzie dowody, że reakcja na chorobę też może być przekazywana potomstwu?

Te małe pająki stanowią dowód, odpowiadała Portia. *Jeśli w to wątpicie, nie będę miała z was pożytku. Odpowiedzcie na mój apel, tylko jeśli chcecie mi pomóc.*

Straciła około jednej trzeciej swych asystentek, które od tej pory szukały odpowiedzi gdzie indziej – bez skutku. Sama Portia jednak, poczyniwszy na tyle znaczące postępy, by mogła usprawiedliwić zakres badań, zbliżała się do granic technologii swego ludu, nie mówiąc już o granicach ich pojmowania.

Jedna z uczonych, które postanowiły wesprzeć Portię – nazwijmy ją Viola – studiowała mechanizm Zrozumienia całymi latami i przekazała Portii wszystko, co wiedziała – wielką, skomplikowaną sieć notatek na temat jej procedur i wyników. Pająki bardzo ufają w pokoleniowy rozwój nauki poprzez Zrozumienia. Ich język pisany, system węzłów i splotów, jest niewygodny, rozwlekły i trudny do zachowywania oraz przechowywania, co bardzo spowolniło prace Portii. Nie może się doczekać, aż potomstwo odziedziczy znajomość tematu po jej koleżance – teraz potrzebuje tej cechy. Sama Viola początkowo bała się nawet przejść przez miasto z obawy przed zarażeniem.

Dzisiaj potwierdzono, że choroba Violi weszła w drugie stadium, i to jest silnym bodźcem dla Portii – jej koleżanki padają jedna po drugiej z ręki wroga, którego chcą pokonać. To pewnie tylko kwestia czasu, kiedy Portia poczuje zarazę we własnych stawach.

Bianca już jest zarażona, tak twierdzi. Na osobności wyznała Portii, że czuje owe ulotne symptomy pierwszego stadium choroby. Portia i tak trzyma ją przy sobie, wiedząc, że w całym Wielkim Gnieździe może nie być zdrowego pająka.

Oprócz tych kilku niezwykle rzadkich osobników, które są w jakiś sposób odporne na zarazę.

Jednak dzięki swej zarażonej koleżance posiadała narzędzie, jakiego wcześniej nie miała. Domostwo Violi leży w kolonii mrówek, które przeszkolono do analizowania fizjologicznych przejawów Zrozumień.

To kolejny wielki krok społeczeństwa Portii, choć jednocześnie poważne ograniczenie jego dalszego rozwoju. W obrębie Wielkiego Gniazda istnieją setki kolonii oswojonych mrówek, nie licząc tych okolicznych, które wykonują codzienne prace związane z produkcją żywności, oczyszczaniem terenu,

obroną przed dzikimi gatunkami. Każda z kolonii została dokładnie przeszkolona za pomocą subtelnej metody kar i nagród oraz bodźców chemicznych, by wykonywać konkretne zadania, co dało wielkim umysłom pajaków dostęp do swoistej analitycznej maszyny, gdzie grupowe decyzje zarządu samej kolonii służą jako siła napędowa. Każda z kolonii pracuje z bardzo ograniczonym zestawem powiązanych ze sobą zmiennych – posiada bardzo wąską specjalizację – a przesterowanie mrówczej społeczności na inne zadanie jest niezwykle długim i bolesnym procesem.

Viola jednak zabrała się do pracy i Portia wysłała jej próbki od swych trzech pajęczków jako materiał porównawczy do badań, które już wcześniej podjęła na przedstawicielach swojego gatunku. Wyniki zostały dostarczone na prawdziwym kobiercu z sieci wraz z zapiskami na temat rozwoju choroby sporządzonymi przez samą Violę.

Od tej pory Portia i Bianca brną przez jej rozważania, zatrzymując się co jakiś czas, żeby się naradzić, co Viola miała bądź czego nie miała na myśli. Ich system zapisu został opracowany na nowo, by wyrazić ulotne, ezoteryczne myśli – jest elegancki, misterny i obrazowy. Ale nie idealny do zapisu empirycznych naukowych teorii.

Fabian często się pojawia, przynosząc pożywienie, napitki i proponując własną interpretację, kiedy go o to proszą. Jak na samca ma bystry umysł i wprowadza inną perspektywę. Co więcej, najwyraźniej nie stracił nic ze swego wigoru i poświęcenia, pomimo kilku wyraźnych symptomów pierwszego stadium choroby. Zwykle gdy jakiś pajak, samica czy samiec, rozpoznaje, że jest zarażony, jakość świadczonych przez niego usług gwałtownie spada. Problem jest tak poważny, że nawet najmniej atrakcyjny samiec może znaleźć opiekę, jeśli wykazuje chęć pracy. Społeczeństwo Wielkiego Gniazda przechodzi dziwne, bolesne zmiany.

Badania Violi zostały zapisane innym językiem, niewprawnie przelanym na ich pleciony skrypt. W swoich zapiskach nazywa to językiem ciała. Wyjaśnia, że ciało każdego pajaka jest nośnikiem tego języka i że różni się on w zależności od osobnika, lecz nie w sposób przypadkowy. Viola eksperymentowała na młodych pajakach pochodzących z jaj znanych jej rodziców i odkryła, że ich wewnętrzny język jest ściśle związany z językiem rodziców. Miało to być jej wielkim odkryciem w nadchodzących latach, ukończone studium pozwoliłoby jej zdominować życie intelektualne Wielkiego Gniazda. Portia jest świadoma, że ma przed sobą skromnego geniusza. Viola

odkryła tajemny język Zrozumień – gdybyż tylko można było go przetłumaczyć.

I w tym miejscu utknęły. Viola wie wystarczająco dużo, by oznajmić z całą pewnością, że to, co jej mrówki wyławiają z próbek po biopsji, jest ukrytą księgą tkwiącą w każdym pająku, ale wciąż nie potrafi jej odczytać.

Jej mrówki podarowały jednak Portii ostatni dar. W „księdze” młodych pajaków pozyskanych przez Fabiana istnieje nowy rozdział. Mrówki z innych kolonii Violi zostały przeszkolone, by porównywać owe ukryte „księgi” i wykrywać różnice. Taki sam akapit, nigdy wcześniej niewidziany, pojawia się u trzech odpornych na zarazę młodych. Może to być, jak spekuluje Viola, odbiciem ich Zrozumienia, w jaki sposób odeprzeć chorobę.

Portia i jej koleżanki doznają przyływu uniesienia, stojąc u progu sukcesu, bo czują, że epidemia za chwilę zostanie pokonana. Viola komentuje to po raz ostatni, a jej sploty są zauważalnie trudniejsze do odczytania.

Wskazuje, że tak jak nie ma sposobu na odczytanie zapisów wewnętrznej księgi, tak samo nie ma środków, żeby coś w niej zapisać. Można oczywiście pozwolić pająkom rosnąć i wydać nowe pokolenie, które wykształci odporność na chorobę i regres, ale ta nowa wiedza, choć teoretycznie fascynująca, jest praktycznie bezużyteczna.

Kolejne dni przynoszą postępujący rozpad miasta, a każda godzina drganie nici z ponurymi wieściami o nowych ofiarach, o zamykaniu domostw, o znanych postaciach z Wielkiego Gniazda, które oszalały i trzeba było skrócić ich cierpienia albo które targnęły się na własne życie za pomocą trucizny, ponieważ oddanie z takim trudem zdobytego daru inteligencji jest jeszcze gorsze. Portia i Bianca są w szoku, jakby zaraza przyspieszyła, by okaleczyć ich umysły. A były tak blisko.

To Bianca jako pierwsza wraca do pracy. Jej kroki są chwiejne i jąka się, nie panując nad tym, co mówi. Jest bliższa śmierci, a tym samym ma mniej do stracenia. Ślęczy nad notatkami Violi, Portia zaś odzyskuje mentalną siłę, a potem, pewnego ranka, Bianca znika.

Wraca późno w nocy i ma chwilową nerwową scysję ze strażnikami domostwa, ale Portia przekonuje ich, żeby ją wpuścili.

Jak tam jest? Portia już nie wychodzi poza gniazdo.

Szaleństwo, pada zwięzła odpowiedź Bianki. *Widziałam Violę. Nie pociągnie długo, aale zdołała mi powiedzieć. Muszę ci pokazać, póki wciąqąqż jesteem w stanie.* Choroba ogarnia odnóża, powodując, że Bianca się zacina i powtarza. Jest w ciągłym ruchu, kręci się po domostwie i stara się

formułować słowa, jakby chciała uciec przed tym, co ją zabija. Wspina się po napiętych jedwabnych niciach ścian, a gdzieś w jej ciele narasta pragnienie, by się wspinać, wspinać i potem zginąć.

Powiedz mi, nalega Portia, idąc jej krętym śladem. Widzi, że Fabian trzyma się tuż za nią w stosownej odległości, i daje mu sygnał, żeby się zbliżył, bo inne spojrzenie na to, co Bianca ma do powiedzenia, może być użyteczne.

Wypowiedź jest ograniczona do minimum i Portia myśli, że Bianca zastanawiała się nad tym podczas drogi powrotnej przez miasto, wiedząc, że jej zdolność wypowiadania się stale upośledzają kolejne ataki choroby.

Istnieje jeszcze jedna księga, wystukuje z trudem każde słowo na uginającej się podłodze, jakby chciała zagłuszyć wszystko tupaniem. *Viola ją odnalazła. Druga księga, drugi kod. Krótsza, ale pełna informacji i różna, tak bardzo różna. Pytałam Violę, co to takiego. Mówi, że to Emisariuszka w każdym z nas. Mówi, że Emisariuszkę zawsze można znaleźć, kiedy pojawia się nowe Zrozumienie. Mówi, że żyje w nas, w jajach, i rośnie z nami, nasz niewidoczny strażnik, w każdym z nas.* Bianca odwraca się w miejscu, jej szerokie okrągłe oczy wpatrują się we wszystko dookoła, nogogłaszczki drżą w szaleństwie. *Gdzie jest opracowanie Violi?*

Portia prowadzi ją do wielkiego, nierozwiniętego motka, który zawiera dzieło życia Violi, i Bianca po kilku próbach odnajduje tę „drugą, głębszą księgę”. Jest to właściwie przypis, zwarta płatanina, której Violi nie udało się rozsypać, ponieważ jest zapisana w ciele pajaków w całkowicie pozaziemski sposób, o wiele bardziej zwarty, wydajny i gęściej utkany niż reszta. Pajaki nie mogą tego wiedzieć, ale są istotne powody tych różnic. Nie jest to produkt ewolucji naturalnej czy nawet wspomaganey – to raczej to, co ją wspomaga. Viola i jej mrówcza farma wyizolowały nanowirusa.

Portia ślęczy nad tym bardzo długo po tym, jak Bianca odchodzi chwiejnym krokiem. Czyta, czyta wciąż od nowa i robi to, co zawsze najlepiej wychodziło jej gatunkowi – tworzy plan.

Na drugi dzień posyła wiadomość do domostwa Violi – potrzebuje dostępu do wyspecjalizowanych kolonii. Jednocześnie prośbą i groźbą wydostaje ekspertyzy od kolejnych sześciu uczonych, które wciąż chcą i mogą jej pomagać. Wysyła Fabiana z instrukcjami do jej własnych kolonii, mogących wypełniać szereg zadań włącznie z duplikowaniem wszelkich związków chemicznych, których próbki się im dostarczy.

Domostwo siostrzane Violi – choć jego uczonej pani nie można już pomóc –

izoluje fragment księgi ciała występujący wyłącznie u odpornych na zarazę młodych pajaków, ale robi też coś więcej. Izoluje nanowirusa – Emisariuszkę w Środku. Po kilku cennych dniach ich samce wkraczają do domostwa Portii, niosąc jego próbki – przynajmniej paru z nich. Inni zostają zabici na ulicy albo po prostu uciekają. Wielkie Gniazdo stoi na skraju zagłady.

Portia spędza jakiś czas w Świątyni, wsłuchuje się w głos Emisariuszki na niebie i stara się słuchać tej Emisariuszki, która tkwi w niej samej. Czy to próżność ze strony Violi, że posłużyła się tym określeniem? Nie, miała swoje powody. Zrozumiała, że cokolwiek ta obca, sztuczna płatanina języka robi, posiada boski plan – wyciąga ich z barbarzyństwa, kierując ku wysublimowaniu. To jest dłoń, która umieszcza Zrozumienia w umysłach i tkance życia, żeby każde pokolenie mogło stać się większe niż poprzednie. *Żebyśmy mogli cię poznać*, zauważa Portia, obserwując odległe światło na niebie. Wydaje się teraz oczywiste, że Bianca przez cały czas miała rację. Oczywiście, że Emisariuszka oczekuje odpowiedzi. Jeszcze niedawno była to czysta herezja, ale Portia od tamtego czasu zajrzała w głąb siebie. *Z jakiej innej przyczyny stworzono nas tak, byśmy cały czas się doskonalili, jeśli nie po to, byśmy sięgali gwiazd?*

W przypadku Portii – jak i całego jej gatunku – konkluzje są kwestią logiki opartej na zrozumieniu zasad ujawnianych przez wszechświat.

Kilka dni później mrówki wyprodukowały pierwszą partię serum, mieszanek złożoną z genetycznych fragmentów materiału młodych odpornych na zarazę pajaków oraz nanowirusa – w roztworze krążyli bez końca Emisariuszka i jej przesłanie.

Mniej więcej w tym czasie ponad połowa domowników Portii znajdowała się w drugiej fazie choroby. Bianca i kilka innych weszły w stadium trzecie i zostały zamknięte w osobnych celach, gdzie czekała je śmierć głodowa. Co jeszcze można było z nimi zrobić?

Portia wie, co jeszcze.

Fabian oferuje się pójść z nią, ale ona wie, że pajęczycyca w ostatnim stadium choroby zabije małego samczyka, takiego jak on, bez najmniejszego wysiłku. Gromadzi garstkę zdesperowanych, zdeterminowanych samic i bierze swój sztuczny kiel, za którego pomocą ma zamiar wstrzyknąć serum w miejscu, gdzie odnóża stykają się z korpusem, blisko mózgu.

Bianca walczy z nimi. Kąsa jedną z asystentek Portii, wbijając w ofiarę dwa kły jadowe, co w jednej chwili ją paraliżuje. Wierzga, słania się, staje na

tylnych odnóżach, rzucając wyzwanie im wszystkim. Wiążą ją i pętają brutalnie, po czym przewracają na plecy, na co ona może tylko szczyrzyć wściekle kły w ich kierunku. Władze umysłowe ją opuściły i Portia przyznaje, iż nie wie, czy w tym stadium choroby można ją jeszcze uleczyć.

Mimo wszystko Bianca będzie dowodem na skuteczność bądź nieskuteczność leczenia. Portia wbija w nią kieł.

4.7 NIE KSIĄŻĘ HAMLET

Napływ nowego materiału z opuszczonej stacji drastycznie zwolnił, a wszystkie bazy danych i magazyny zostały wybebeszone i przeniesione na *Gilgamesza*. Prace katalogowe Holstena właściwie dobiegły końca i teraz był tylko tłumaczem na zawołanie inżynierów, którzy potrzebowali pomocy, by coś zaczęło działać.

Większość czasu spędzał nad prywatnym projektem Vriego Guyena. A jeśli nad nim nie pracował, Guyen się zjawiał, chcąc się dowiedzieć, dlaczego tego nie robi.

Po całym statku-arce snuli się wyobcowani członkowie załogi, bo kilku setkom ludzi, wybudzonych po raz pierwszy od lat świetlnych, udzielano pospiesznych, zupełnie niezadowolających wyjaśnień i kierowano ich do pracy. Na statku panował *hałas* i Holsten był stale skonsternowany tym harmidrem. Słyszał było nie tylko huki i trzaski związane z pracą, ale też niekończące się szemranie *ludzi*, którzy *żyli i rozmawiali* oraz, jakby tego było mało, bawili się setnie na wiele rozmaitych sposobów. Zdawało się, że dokądkolwiek Holsten poszedł, widział skojarzone ad hoc pary – czy w takich okolicznościach ludzie mogli poznawać się inaczej niż naprędce? – zwarte w uściskach.

Czasami ten widok sprawiał, że czuł się bardzo stary. Wszyscy byli tacy młodzi, cały personel *Gila*, oprócz kilku wiekowych, zmęczonych specjalistów, jak on.

Robili generalny przegląd statku – *a skoro ja się tak czuję, to jakie brzemię lat musi czuć Gilgamesz, co?* – za pomocą wszelkiego rodzaju zabawek, które wyszabrowali z opuszczonej stacji. Taki też był nowy reaktor, jak oszacowała Vitas, dwukrotnie bardziej wydajny niż ten o wiele później skonstruowany, będzie w stanie utrzymać oszczędne przyspieszenie o wiele dłużej przy tej samej ilości paliwa. Inne technologie służyły tylko do dostrajania systemów *Gila* zgodnie z parametrami starożytnych odpowiedników.

Holstenowi kołatała się pod czaszką ta sama mantra: *Wozimy się na nich*. Wciąż trzymali się kurczowo znikających śladów po Starym Imperium, wciąż

robili, co mogli, by trzymać się w jego cieniu. Nawet kiedy jego koledzy świętowali nowo odkryty skarb, on widział tylko ludzi potępiających swych potomków za to, że nigdy nie stali się takimi, jakimi mogli się stać.

Wtedy dostał wiadomość od Lain – chciała, żeby znów zjawił się na stacji. A konkretnie: *Żebyś zrobił jakieś niebezpieczne przekłady czy coś w ten deseń.*

Czując ciągłą presję ze strony Guyena oraz agresywnie sekciarską obecność młodzieży na statku, Holsten uzalał się nad sobą. Nie uśmiechało mu się, że ktoś z niego żartował, choć najwyraźniej inżynierowie sądzili, że taka jest jego rola. Poważnie rozważał zignorowanie Lain, skoro nie chciało jej się poprosić go jak należy. W końcu Guyen stał się głównym argumentem za, ponieważ wyprawa na stację przyniosłaby Holstenowi błogosławione wytchnienie od dowódcy, który wisiał nad nim niczym sęp.

Dał Lain znać, że przyleci, i odnalazł wahadłowiec z czekającym na niego pilotem. W drodze na miejsce skierował zewnętrzne kamery w stronę planety i gapił się tęsknie na kulę o sinej grzybiczej barwie, wyobrażając sobie, jak tamtejsze organizmy – olbrzymie, wielkości budynków – wyrzucają w górę swe macki kielkujące sporami, pęczniejące w atmosferze, by pochwycić małych intruzów, którzy ośmielili się zakwestionować ich całkowite panowanie nad światem.

Dwójka inżynierów – jak podejrzewał, z podstawowej załogi Lain – czekała na niego na stacji i zapewniła, że nie będzie musiał wkładać kombinezonu.

– Wszystkie części, które wciąż mamy na oku, są stabilne – wyjaśnili. Kiedy Holsten zapytał, na czym polega problem, jedynie wzruszyli ramionami, jakby ich to w ogóle nie obchodziło. – Szefowa powie panu sama. – Tylko tyle od nich usłyszał.

I w końcu został bezceremonialnie wepchnięty do pomieszczenia w drugim segmencie obrotowym, gdzie czekała na niego Lain.

Siedziała przy stole, najwyraźniej przed posiłkiem, i przez chwilę stał w wejściu, zakładając, że jak zwykle zjawił się nie w porę, ale zaraz spostrzegł, że są dwa nakrycia.

Uniosła brwi, jakby rzucała mu wyzwanie.

– No wchodź, staruszk. Skosztuj żarcia liczącego dziesiątki tysięcy lat. Opowiedz mi całą jego historię.

Wszedł do środka, patrząc na nieznanne pożywienie – jakąś gęstą zupkę czy

sos i szarawe kawałki czegoś, co wyglądało niepokojąco, jakby zostało wycięte z szarej planety.

– Żartujesz chyba.

– Nie. Jedzenie starożytnych, Holsten. Pokarm bogów.

– Ale to... przecież może nie nadawać się do spożycia. – Usiadł na wprost niej, zafascynowany wpatrując się w danie.

– Tu na stacji jedziemy na tym niemal od miesiąca – powiedziała mu. – Lepsze to niż papka produkowana przez *Gila*.

Nastała dłuższa chwila ciszy, po czym Holsten podniósł na Lain gniewne spojrzenie, na co zaśmiała się z goryczą.

– Moje pierwsze rozdanie wyszło aż za dobrze. W zasadzie nie powinieneś aż tak interesować się jedzeniem, staruszku.

Zamrugnął, przyglądając się jej twarzy, i spostrzegł na niej upływ czasu, który nadrobiła zarówno tu, na stacji, jak i w drodze ze Świata Kern, kiedy pilnowała, by statek nie pochłoniął więcej swego drogiego ładunku na skutek awarii czy ludzkiego błędu. *Stanowimy teraz dobraną parę, uświadomił sobie. Naprawdę dobraną parę.*

– A więc to jest... – Wskazał na zestaw misek na stole i na chybił trafił zanurzył palec w jednej z nich, aż przykleiła się do niego jakaś pomarańczowa breja.

– No co? – rzuciła Lain. – Milutko tu, nie? Mamy wszystkie udogodnienia: światło, ogrzewanie, powietrze i rotacyjną grawitację. Tu jest luksus, możesz mi wierzyć. Zaraz, poczekaj chwileczkę. – Pogmerała przy czymś na krawędzi stołu i ściana po lewej stronie zaczęła się osuwać. Przez jedną straszłą sekundę nie miał pojęcia, co się dzieje, oprócz tego, że rozpad całej stacji wydawał się nieuchronny. Ale po tym, jak zewnętrzne stopy podniosły się z jękiem, ściana stała się prawie idealnie przezroczysta, a za nią otworzyła się przepastna przestrzeń. I jeszcze jedno.

Holsten patrzył teraz na *Gilgamesza*. Nie widział go nigdy z zewnątrz, nie dokładnie. Nawet kiedy wracał na statek po buncie, przeszedł z wahadłowca do wnętrza statku, w ogóle nie myśląc o tym, co było na zewnątrz. W końcu w kosmosie wielkie przestrzenie istniały prawie wyłącznie po to, by cię zabić.

– Popatrz, możesz zobaczyć, gdzie wkładamy nowy złom. Wszystko wygląda na mocno sfatygowane, prawda? Wszystkie te mikrouderzenia po drodze, erozja w próżni. Staruszek nie jest już taki jak kiedyś – dodała cicho Lain.

Holsten się nie odezwał.

– Wydawało mi się, że będzie... – zaczęła znowu Lain. Próbowała się uśmiechnąć, ale musiała ponowić próbę.

Holsten uświadomił sobie, że nie jest go pewna i zachowuje się dość nerwowo.

Pochylił się nad stołem, żeby dotknąć jej dłoni, ponieważ szczerze mówiąc, żadne z nich nie było dobre w czułych słówkach – nie byli też na tyle młodzi, by mimo wszystko brnąć w nie z mozołem.

– Nie mogę uwierzyć, jak krucho wygląda. – Przyszłość, czy też jej brak, opierała się na stanie metalowego jaja – zniszczonego, połatanego, co było widać dopiero stąd. Jakże *niewielki* był ich *Gilgamesz*.

Jedli w zamyśleniu – Lain od krótkich chwil, kiedy to mówiła o wiele za szybko, starając się podjąć konwersację z tego oczywistego powodu, że przecież powinni rozmawiać, przechodziła do przedłużającego się milczenia.

W końcu Holsten uśmiechnął się do niej podczas jednej z tych chwil ciszy, czując, że młodzieńcza mina odmienia jego twarz.

– Dobre to jest.

– Mam nadzieję. Przewozimy całe tony tego żarcia na *Gila*.

– Nie mówiłem o jedzeniu. Nie tylko o tym. Dziękuję ci.

Po posiłku i bez taktownie trzymającej się z dala załogi Lain, bo jak wiadomo, co z oczu, to z serca, przeszli na odpoczynek do innego starannie przez Lain przygotowanego pomieszczenia. Dużo czasu upłynęło od ich ostatniej chwili intymności na *Gilgameszu*. Minęły stulecia oczywiście – długie, zimne stulecia podróży międzygwiazdnej. Stali się częścią gatunku, który uwolnił się z więzów czasu, pozostały tylko ich wewnętrzne zegary bez większego znaczenia, bo reszta wszechświata przemijała własnym rytmem i nic jej nie obchodziło: żyją czy umarli.

Jeszcze na Ziemi byli tacy, którzy twierdzili, że wszechświat jednak nie pozostaje obojętny i że przetrwanie ludzkości jest ważne, ustalone, *świadomie sterowane*. Ci ludzie przeważnie trzymali się z boku, wczepieni w swą mocno nadszarpniętą wiarę, że jakaś wielka moc będzie interweniować, jeśli sprawy potoczą się w złym kierunku. Być może tak właśnie było – ci na statku-arce nigdy nie dowiedzą się tego na pewno. Holsten jednak miał własną wiarę, która mówiła, że zbawienie ludzkości leży wyłącznie w jej własnych rękach.

– Czego on chce? – zapytała go później Lain, kiedy leżeli obok siebie pod narzutą, która być może tysiące lat wcześniej była używana jako kołdra przez

jakiegoś terraformera.

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie wiem. – Zmarszczyła brwi. – To mnie niepokoi, Holsten. Nawet ściągnął swoich inżynierów, wiesz? Wybrał ich sobie spośród śpiących, obudził kilku z drugiego rzutu i zrobił z nich swoją osobistą ekipę techniczną. Teraz instalują na *Gilu* wszystko to, przy czym im pomagales. I nie wiem, do czego to służy. Nie podoba mi się, że mamy na statku jakieś urządzenia, a ja nie wiem, jakie jest ich przeznaczenie.

– Prosisz mnie, żebyś nadużył zaufania naszego dowódcy? – Holsten zażartował, ale nagle ta myśl go uderzyła. – O to w tym wszystkim chodzi?

Lain wpatrywała się w niego.

– Tak właśnie myślisz?

– Nie wiem już sam, co myślę.

– Chodzi tu o to, staruszk, że chcę się podrapać, nie zakłócając pracy mojej ekipy... Zauważył, że próbuje mówić surowszym tonem, i usłyszał, jak mimo to głos jej się łamie. – I wiesz co? Byłam sama przez ostatnie...no, ile? Dwieście, kurwa, lat, tyle właśnie. Byłam sama, łąziłam po *Gilu* i łątałam go, jak mogłam. Albo czasami z moją ekipą coś naprawiałam. A czasami Guyen też tam był, co było lepsze, niż siedzieć samej. A potem zaczęło się to szaleństwo... bunt, planeta... i wydaje mi się, że zapomniałam, jak się rozmawia z ludźmi, czasami, no, po pracy. Ale ty...

Holsten uniósł brew.

– Ty też jesteś do dupy, jeśli chodzi o relacje z innymi – dokończyła ze złością. – Więc może kiedy jesteś w pobliżu, nie jest tak źle.

– Dziękuję ci bardzo.

– Proszę bardzo.

– Ta maszyna Guyena służy do łączenia ludzkiego umysłu z komputerem. – Czuł się dziwnie dobrze, nie będąc jedynym powiernikiem tej informacji. Bo oprócz niego wiedział o tym tylko Guyen, tak podejrzewał. Nawet jego potulni inżynierowie pracowali na swoich odcinkach, każdy nad osobnym fragmentem urządzenia.

Lain zastanowiła się nad tym.

– Nie jestem pewna, czy to dobrze.

– To może być bardzo przydatne. – Ton Holstena nie przekonałby nawet jego samego.

Lain tylko mruknęła – nie było to konkretne słowo, nic podobnego – chciała

mu tylko zasygnalizować, że usłyszała, co mówił. To mruknięcie sprawiło, że Holsten wrócił myślami do wszystkiego, czego dowiedział się z instrukcji podsyłanych mu przez Guyena. Oczywiście zostały napisane dla tych, którzy wiedzieli, jak działa to urządzenie. Nie było dogodnej chwili, w której ich autorzy zatrzymaliby się i wrócili do początku, by wyjaśnić podstawy swym nieskończenie odległym małpim potomkom.

Holsten jednak zyskiwał coraz większą pewność, że wie, czym było urządzenie do zrzutu mózgu. Co więcej, podejrzewał, że widział efekty takiego zrzutu i co się działo, kiedy ktoś był na tyle szalony, by poddać się takiej procedurze.

Gdyż tam daleko, w odległej mrocznej przestrzeni innego świata trwała doktor Avrana Kern w swojej wyciszonej metalowej trumnie.

4.8 WIEK POSTĘPU

Później Bianca już stale cierpiała na okresowe napady, zaburzenia mowy i skurcze, nagłe ataki epilepsji i czasami traciła kontakt z rzeczywistością. Jej odnóża bębniły o podłogę i drgały, jakby starała się gorączkowo przekazać jakąś wiadomość w dziwnym narzeczu.

Ale przeżyła chorobę i kiedy nie miewała ataków, jej umysł pracował bez zarzutu. Dla Violi, której biochemiczny geniusz doprowadził do opracowania lekarstwa, pomoc przyszła za późno. Wielu innych – wielkie myślicielki, wspaniałe wojowniczkę, wiodące samice z wielkich domostw, głodujące samce z rynsztoka – zostało zmiecionych. Wielkie Gniazdo ocalało, ale tysiące jego mieszkańców nie miało aż tyle szczęścia. Inne miasta ucierpiały podobnie, choć produkcja leku szła pełną parą w każdej nadającej się do tego kolonii mrówek, a założenia teoretyczne były przekazywane poprzez nici łączące pajęcze społeczności. Katastrofa została zażegnana, ale o włos. Teraz nastał nowy świat i lud Portii rozumiał kruchość swej egzystencji w nowych okolicznościach. Bardzo wiele rzeczy miało się zmienić.

To nie sama Portia jako pierwsza zrozumiała wagę swego lekarstwa. Trudno powiedzieć, która z uczonych pierwsza to dostrzegła – był to jeden z tych pomysłów, który zdawał się wszechobecny, pobudzając każdy dociekliwy umysł. Kuracja Portii pozwoliła dorosłym pająkom czerpać korzyści z obcego Zrozumienia. Owszem, chodziło o odporność na zarazę, ale przecież cały proces mógł odnosić się także do innych Zrozumień, gdyby tylko dało się wyizolować odpowiednią stronę w wielkiej „księdze ciała” autorstwa Violi. Rozpowszechnianie wiedzy nie będzie już spowalniane przez mozolną przemianę pokoleń bądź też znużającą edukację.

Potrzeba upowszechnienia takiej technologii jest wielka. Zniszczenia po zarazie sprawiły, że Zrozumienia stały się towarem deficytowym – podczas gdy wcześniej jakaś idea mogła egzystować w dziesiątkach umysłów, obecnie w najlepszym przypadku tkwiła w garstce. Wiedza stała się cenniejsza niż kiedykolwiek.

Dopiero kilka lat po zarazie dorośli wymienili się pierwszą ideą. Nieco

przekręcone Zrozumienie astronomii zostało przekazane samcowi wybranemu do testów (wszystkie obiekty testowe były samcami, choć we wczesnych eksperymentach nie uchroniono się od błędów). Od tego momentu każdy pająk mógł nauczyć się wszystkiego. Każda uczona z pokolenia Portii i z późniejszych będzie stać na ramionach olbrzymów, których wybierze, by w niej trwali. To, co wie jedna, może wiedzieć każda – za odpowiednią cenę. Wkrótce rozwinie się gospodarka wiedzy modułowej, którą można handlować.

Ale to nie wszystko.

Po tym, jak uratowano Biancę, Portia wprowadza ją do Świątyni. Wyjaśnia wkład koleżanki w wynalezienie lekarstwa. Biance wolno przemówić do zgromadzenia kapłanek.

W religijnej ortodoksji również zachodzą zmiany po zarazie. Wszyscy muszą wysilić umysły, by wypełnić ziejącą pustkę po tych, co nie przeżyli. Stare idee są ponownie rozpatrywane, dawne zakazy poddawane ponownej ocenie. Panuje powszechne poczucie, że istnieje przeznaczenie, ale jest to przeznaczenie tworzone przez społeczność. Zdali ten egzamin. Przeżyli dzięki sobie. Chcą przekazać coś jednemu intelektowi spoza ich sfery – najprostszy, zwięzył sygnał.

Chcą przekazać Emisariuszce – *Jesteśmy tutaj*.

Akumulator Bianki sam w sobie nie jest przekaźnikiem radiowym. Równolegle z eksperymentami z przekazywaniem Zrozumień między pająkami prowadzi się również badania transmisji wibracji po niewidocznej sieci rozwieszanej między ich światem a odległym satelitą na niebie.

Wiele lat później starzejące się Bianca i Portia stoją w tłumie wtajemniczonych Świątyni, gotowe przemówić do nieznanego, posłać ich elektromagnetyczny głos w eter. Odpowiedzi na matematyczne zadania Emisariuszki – które zna i rozumie każdy pająk – są gotowe do transmisji. Czekają, aż Emisariuszka pojawi się na nocnym niebie nad ich głowami, i wtedy wysyłają ten pierwszy wyrazisty przekaz.

Jesteśmy tutaj.

Sekundę po wysłaniu ostatniego rozwiązania Emisariuszka przerywa transmisję, co wywołało panikę u całego ludu Portii – wszyscy przestraszyli się, iż ich pycha właśnie rozgniewała wszechświat.

Kilka pełnych napięcia dni później Emisariuszka odzywa się ponownie.

4.9 EX MACHINA

Sygnal z zielonej planety rezonuje w Kapsule Strażniczej Brin 2 niczym trzęsienie ziemi. Starożytne systemy czekały na ten moment – zdawałoby się – od zawsze. Protokoły sporządzone w czasach Starego Imperium przez wieki okryły się patyną, przez cały okres rozwoju nowego gatunku, który teraz właśnie oznajmiał swoje istnienie. Skorodowały. Straciły znaczenie, zostały zastąpione, przenicowane przez schorowany substytut umysłu Kern, który Kapsuła Strażnicza hodowała przez te wszystkie lata niczym cenną roślinę.

Systemy odebrały sygnał, sprawdziły dane i oszacowały, że mieszczą się w normie, oceniły pułap krytyczny. Główny cel, zakurzony po eonach zapomnienia, nagle znów stał się ważny.

Przez rekurencyjną, niemierzalną chwilę systemy Kapsuły Strażniczej – fale obliczeń kotłujące się pod ludzką maską Elizy – nie były w stanie podjąć decyzji. Zbyt wiele utracono, źle przypisano, wymazano z tego umysłu.

Eliza zaatakowała luki we własnym systemie. Choć nie była to w pełni świadoma sztuczna inteligencja, znała siebie. Przywróciła wszystko, pracując stale od nowa nad nierozwiązywalnymi zagadnieniami, dochodząc do właściwych wniosków dzięki szacunkowej i okrężnej logice.

Robiła, co mogła, by obudzić Avranę Kern.

Granice między żywą kobietą, zrzutem osobowości i systemami kapsuły nie były ściśle wyznaczone. Zazębiały się, tak że sen w hibernacji jednej przenikał koszmarami do chłodnej logiki pozostałych. Minęło mnóstwo czasu. Nie cała Avrana Kern pozostała nietknięta, a jednak kapsuła robiła, co w jej mocy.

Doktor Kern obudziła się – albo śniło się jej, że się budzi – i w jej śnie Eliza trwała przy jej łóżku niczym anioł przekazujący cudowne zwiastowanie.

Ten dzień to nowa gwiazda na niebie. Ten dzień przynosi zbawiciela życia na Ziemi.

Avrana walczyła z ciągnącymi się za nią śladami jej horrorów, zmagając się, by wynurzyć się z tych koszmarów na tyle, aby mogła zrozumieć, co słyszy. Przez jakiś czas nie była w pełni świadoma – czy była kiedykolwiek? Miała sprzeczne wspomnienia jakiejś mrocznej istoty, intruzów atakujących jej

planetę, która była jej celem, sumą jej dziedzictwa. Jakiś podróżny przybył, by wykraść tajemnicę jej projektu – ograbić ją z nieśmiertelności pod postacią jej nowego życia, jej progenitury, jej małych dzieci. Czy tak było? Czy jej się to tylko śniło? Nie była w stanie oddzielić od siebie faktów po długim, zimnym śnie.

– Miałam umrzeć – powiedziała do czujnej kapsuły. – Miałam tkwić w zamknięciu niepomna na nic. Nie miałam śnić.

– Pani doktor, upływ czasu najwyraźniej doprowadził do homogenizacji systemów informacyjnych w Kapsule Strażniczej. Przepraszam za to, ale działamy poza zaplanowanymi parametrami.

Kapsuła Strażnicza została zaprogramowana, by trwać w uśpieniu przez wieki. Avrana tyle pamiętała. Ile mogło zająć pobudzenie intelektu przez nanowirusa w pokoleniach małych? Czy to znaczyło, że jej eksperyment zakończył się porażką?

Nie, w końcu nadali sygnał. Wysłali wiadomość i dotknęli nieopisanego. I nagle czas przestał być walutą, którą był kiedyś. Przypominała sobie, dlaczego w ogóle trafiła do Kapsuły Strażniczej, wykonując zadanie, które miał wykonać ktoś o wiele bardziej zbędny. Czas nie miał znaczenia. Liczyły się jedynie małe, bo do nich teraz należała przyszłość.

A jednak niepokojące senne mary wracały do niej. W jej śnie znalazła się prymitywna łajba pełna podróżnych, którzy twierdzili, że są jej pobratymcami, ale ona przyjrzała się im dobrze i odkryła ich prawdziwe oblicze. Przejrzała ich opowieści i zdolność pojmowania. Byli tylko formą wyrosłą na trupie jej cywilizacji. Byli beznadziejnie wypaczeni tą samą chorobą, która zabiła współczesnych Kern. Lepiej zaczynać od nowa z małpami.

– Czego ode mnie chcecie? – zwróciła się stanowczo z pytaniem do otaczających ją istot. Patrzyła w ich twarze i widziała nieskończone fazy między nią i zimną logiką systemów kapsuły, i nie była w stanie stwierdzić, gdzie kończyła się ona, a zaczynała maszyna.

– Faza druga projektu wyniesienia jest gotowa – wyjaśniła Eliza. – Do rozpoczęcia wymagana jest pani zgoda.

– A gdybym umarła? – Avrana się zakrztusiła. – Jakbym zgniła? Co by było, gdybyś nie mogła mnie wybudzić?

– Wtedy wirtualna osobowość odziedziczyłaby pani odpowiedzialność i władzę – odparła Eliza i po chwili, jakby przypomniała sobie, że ma pokazać ludzką twarz, dodała: – Ale cieszę się, że nic takiego nie nastąpiło.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy „cieszyć się”. – Ale kiedy to powiedziała, nie była pewna, czy to prawda. Wystarczająco dużo z niej samej tkwiło w każdej cząstce tego elektronicznego życia i Eliza posiadała więcej ludzkich emocji, niż zostało samej Kern.

– Rozpocznij fazę drugą. Oczywiście, że tak, zaczynaj nową fazę – warknęła w ciszy, która zapadła zaraz potem. – No bo po co tu tkwimy? Co tu jest poza tym? *No właśnie, co tak naprawdę tu jeszcze jest?*

Przypomniała sobie, jak ci fałszywi ludzie, ta zaraza, która przeżyła jej ludzkość, zbliżyli się do planety. Czy tak było? Czy to się w ogóle wydarzyło? Rozmawiała z nimi. Ta, która nawiązała z nimi kontakt, musiała rozpoznać w nich wystarczającą dozę człowieczeństwa, by się układać, oszczędzić ich, pozwolić im ratować się samodzielnie. Za każdym razem, kiedy się budziła, zdawało się, że różny zestaw myśli przejmował ster jej umysłu. Wtedy była w łaskawym nastroju. Rozpoznała w nich ludzi – na tyle, żeby okazać im łaskę.

Tego dnia była w nastroju sentymentalnym. Odtworzyła wspomnienia. Oni ze swej strony dotrzyмали słowa i odlecieli. Nie było po nich śladu, nie było też żadnych przekazów w tym układzie słonecznym.

Opanowało ją dręczące uczucie, że to nie jest takie proste. Miała przeczucie, że wrócą. A teraz miała o wiele więcej do stracenia. Jakież zniszczenia mogli spowodować ci fałszywi ludzie w jej budującej się cywilizacji małp?

Musiała być twarda.

Faza druga projektu polegała na kontakcie. Odkąd małpy rozwinęły kulturę na tyle, że mogły posługiwać się transmisją radiową, były gotowe na kontakt z wszechświatem. *A teraz to ja jestem wszechświatem.* Kapsuła Strażnicza zaczęła tworzyć środki komunikacji, począwszy od najprostszego zapisu binarnego, i w każdej kolejnej fazie będzie rozwijać bardziej skomplikowany język, tak jakby programowano komputer od podstaw. Zajmie to trochę czasu, w zależności od chęci i zdolności małp do nauki, pokolenie za pokoleniem.

– Ale najpierw wyślę im wiadomość – postanowiła Avrana. Bo choć mieszkańcy planety nie mogli przecież jej zrozumieć, chciała zainicjować kontakt. Chciała, żeby rozumieli, po co tam są, kiedy w końcu będą mogli się porozumieć.

– Oczekuję wiadomości – odpowiedziała Eliza.

– Przekaż im – oznajmiła Avrana. Być może w swej małpiej ignorancji zapisać to i odczytają później, kiedy zrozumieją wszystko.

Przekaż im: Jestem waszym stwórcą. Jestem waszym bogiem.

— 5 —

SCHIZMA

5.1 WIĘZIENÍ

Holsten zastanawiał się nad swoją relacją z czasem.

Nie tak dawno temu wydawało się, że czas dotyczy ludzi czy też – skoro ludzi panował wtedy niedostatek – innych części wszechświata. Czas był brzemieniem, które jemu najwyraźniej zdjęto z ramion. Wkraczał i schodził z toru lotu strzały czasu i w jakiś sposób nigdy nie poległ. Lain mogła go sobie nazywać „staruszką”, ale w rzeczywistości obiektywna rozpiętość czasu, który minął między jego narodzeniem a tą chwilą, była absurdalna i nierealna. Żaden człowiek nigdy nie oszukał czasu tak jak on, podróżując tysiące lat.

Teraz w tej celi czas go przytłoczył i deptał mu po piętach, przykuwając do mozolnie powolnego kroku kosmosu, gdy poprzednio przeskakiwał stulecia, lawirując między jasnymi punktami w historii ludzkości.

Wyciągnęli go z komory zawieszenia i wrzucili do tej klatki. Dopiero po dwudziestu siedmiu dniach ktoś raczył go poinformować, co się właściwie działo.

Z początku myślał, że to sen o buntownikach, którzy go porwali. Zachowywał optymizm, dopóki nie uświadomił sobie, że ludzie ciągnący go przez *Gilgamesza* to nie dawno zmarły Scoles i spółka, ale całkowicie obcy ludzie. Wtedy znalazł się w kwaterach mieszkalnych.

Od progu uderzył go smród – zupełnie nieznan, straszliwy odór, z którym nawet system wentylacyjny *Gilgamesza* nie mógł sobie do końca poradzić. Był to zapach zagęszczonych skupisk ludzkich.

Jak przez mgłę przypominał sobie dawne centrum komunikacji, obecnie poprzedzielane zasłonami z szarego płótna, tak że powstało istne zakazane miasteczko z prowizorycznych szmat i kotar oddzielających poszczególne domostwa – i ludzie, mnóstwo ludzi.

Widok ten wstrząsnął nim do głębi. Po części przyzwyczał się do wygod spokojnego życia w wyselekcjonowanej i niewielkiej społeczności, a tu naraz zobaczył przynajmniej setkę nieznanym mu osób. Ich natłok, stłoczenie prowizorycznych mieszkań, smród, nieustanny gwar, wszystko to wymieszało się, tworząc wrażenie konfrontacji z jakąś groźną istotą, czymś drapieżnym,

wrogim i bezwzględny.

Były też dzieci.

Wtedy zaczął kojarzyć, co się dzieje, i opanowała go jedna myśl: *Ładunek się uwolnił!*

Jego prześladowcy nosili szaty z tego samego szarego materiału, z którego koczujący stawiali koślawe namioty – materiału, który był magazynowany na *Gilgameszu* w całkiem innym celu albo też został wytworzony w warsztatach. Holsten dostrzegł kilka kombinezonów podczas szybkiego przemarszu przez kwatery mieszkalne, ale większość nieznajomych nosiła te bezkształtne, workowate ubrania. Wszyscy byli chudzi, niedożywieni i słabo rozwinięci. Mieli długie, sięgające za ramiona włosy. Cały ten obraz przywodził na myśl prymitywne społeczeństwa, jak w początkach ludzkości.

Pojmali go, zamknęli. I nie było to jakieś pomieszczenie czy kajuta na *Gilgameszu*. Na jednym z lądowisk dla wahadłowców zespawali klatkę, która stała się jego domem. Prześladowcy karmili go i sporadycznie usuwali wiadro z nieczystościami, ale przez dwadzieścia siedem dni żył właśnie w takich warunkach. Najwyraźniej na coś czekali.

Holsten ze swej strony przyjrzał się dobrze śluzie powietrznej wahadłowca i zaczął się zastanawiać, czy w przyszłości nie skończy jako ofiara dla jakiegoś kosmicznego bóstwa. Z całą pewnością zachowanie jego prześladowców nie było typowym zachowaniem dręczycieli i porywaczy. Niektórzy przejawiali nawet jakiś dziwny szacunek, niemal nabożną cześć wobec niego. Nie dotykali go, a ci, którzy prowadzili go do klatki, nosili rękawiczki, nie chcieli też patrzeć mu w oczy. Wszystko to wzmacniało w nim przekonanie, że są wyznawcami jakiegoś kultu, a on sam stał się świętą ofiarą, oraz że ostatnia nadzieja ludzkości niknie na jego oczach w fali przesądów.

Wtedy kazali mu pracować i uświadomił sobie, że to z pewnością zły sen.

Pewnego dnia obudził się w swej klatce i zobaczył, że prześladowcy przynieśli mu przenośny terminal: kiepskiej jakości wybebeszone urządzenie, ale przynajmniej coś na kształt komputera. Zajął się nim ochoczo, ale odkrył, że nie jest do niczego podłączony i działa całkowicie na własnym zasilaniu. Znajdowały się w nim jednak dane, pliki o znanych mu formatach zapisane w martwym języku, który zaczął już szczerze nienawidzić.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że jeden z nich zerka na urządzenie – mężczyzna o pociągłej twarzy, przynajmniej dziesięć lat młodszy od Holstena, ale drobny jak oni wszyscy, z ospowatą skórą będącą pozostałością po jakiejś

chorobie. Podobnie jak wszyscy ci dziwni nieznajomi, miał długie włosy, ale u niego były starannie splecione w warkocz zwinięty na karku w przemyślny splot.

– Musisz nam wyjaśnić. – Był to pierwszy raz, kiedy ktokolwiek powiedział coś do Holstena.

Zaczął już myśleć, że nie mówi tym samym językiem co oni.

– Wyjaśnić – powtórzył odruchowo.

– Wyjaśnić, żeby można było zrozumieć. Ułożyć w słowa. To twój dar.

– Och... chcecie, żebym to wam przetłumaczył?

– Nawet tak.

– Muszę mieć dostęp do głównego systemu *Gilgamesza* – oznajmił Holsten.

– Nie.

– Są tam algorytmy translatorskie, które napisałem. Są też moje wcześniejsze tłumaczenia, do których muszę się odnieść.

– Nie, wszystko, co potrzeba, masz *tutaj*. – Z wielkim namaszczeniem mężczyzna w szarej szacie wskazał na głowę Holstena. – Pracuj. Tak nakazano.

– Niby kto nakazał? – zapytał rozeźlony Holsten.

– Twój pan. – Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się chłodno w Holstena, po czym nagle odwrócił wzrok jakby zawstydzony. – Będziesz pracował albo nie będziesz jadł. Tak jest nakazane – mruknął. – Nie ma inaczej.

Holsten usiadł przy terminalu i sprawdził, czego od niego chcą.

Dopiero wtedy zaczął kojarzyć. Najwyraźniej to wszystko mu się śniło. Został uwięziony we śnie. W tym koszmarnym otoczeniu – zarazem znajomym i obcym. Otrzymał zadanie pozbawione logiki, które jednak było w swych fragmentach, popękanych niczym rozbite lustro, podobne do tego, które wykonywał, kiedy ostatni raz był na jawie, kiedy *Gilgamesz* znalazł się na orbicie szarej planety. Wciąż przebywał w komorze zawieszenia – a to się mu śniło.

Ale oczywiście w zawieszeniu nie miewa się snów. Nawet Holsten pamiętał tyle z nauk ścisłych, żeby to wiedzieć. Nie ma snów, ponieważ proces hibernacji ogranicza aktywność mózgu do niezbędnego minimum, zawiesza nawet podświadome funkcje. Była to konieczność, ponieważ niekontrolowana aktywność mózgowa podczas wymuszonego bezruchu w długim śnie mogła doprowadzić śpiącego do obłądu. Tego rodzaju sytuacja zaistniała na skutek awarii urządzenia. Holsten pamiętał doskonale, że już były

z tego powodu straty w ludzkim ładunku – być może właśnie tak było z tymi męczennikami.

Była to dziwnie uspokajająca konstatacja – jego kapsuła zawieszona miała głęboko ukrytą mechaniczną awarię, a on sam zagubił się w meandrach własnego umysłu. Próbował wyobrazić sobie, jak miota się w kapsule, próbuje pełznąć w górę stromizny z lodu i środków chemicznych, żeby się obudzić, tłucze w niewzruszone wieko swej trumny, pogrzebany żywcem w wadliwym pomniku absurdalnej ludzkiej nieustępliwości.

Nie czuł jednak przyływu adrenaliny. Jego umysł uporczywie odmawiał wyjścia z tej prowizorycznej klatki ustawionej na lądowisku wahadłowców, jednocześnie wolno przedzierając się przez pliki, z którymi go zostawiono. I oczywiście, że był to sen, ponieważ wszystkie były mniej więcej takie same – zawierały kolejne informacje o maszynie Guyena, urządzeniu do zrzutu mózgu, który ten człowiek wyszabrował z opuszczonej stacji terraformacyjnej. Holsten tkwił we własnym administracyjnym czyścisku.

Mijały dni, a wiedział o tym, bo jadł, spał i opróżniali mu wiadro. Nie miał poczucia, że cokolwiek dzieje się poza klatką. Niespecjalnie rozumiał, po co ci ludzie się tu znaleźli, oprócz tego, że żyli z dnia na dzień, zmuszali go do tłumaczenia i rozmnażali się na potęgę. Była to jakaś dziwna populacja sierot niczym plaga wszy na statku-arce, które, jak się zdawało, *Gil* mógł w każdej chwili usunąć. Musieli zacząć swój żywot jako ładunek, ale jak dawno temu? Ile pokoleń minęło?

Wciąż patrzyli na niego z tą dziwną atencją, jakby uwięzili w klatce bóstwo. Dopiero kiedy przyszli, żeby ogolić mu głowę, w pełni to zrozumiał. Żadne z nich nie obcinało włosów, ale ważne było dla nich, żeby u niego na głowie został tylko meszek. Była to oznaka jego pozycji. Był człowiekiem z dawnych czasów, jednym z tych prawdziwych.

Tak jak Vrie Guyen. Ta przykra myśl w końcu rozproszyła poniekąd naiwną wiarę, że to wszystko jest koszmarem hibernacyjnym. Brnąc przez pokrętne traktaty filozoficzne na temat implikacji procesu załadowania umysłu, Holsten wcisnął się w zakleszczony, łaknący władzy umysł Guyena. Zaczął zbierać wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne teorie dotyczące tego, co mogło się wtedy dziać, a tym samym – co mogło pójść nie tak.

Pewnego dnia otworzyli klatkę i garstka postaci w szarych szatach wyprowadziła go z niej. Nie dokończył ostatniego zadania, a u jego prześladowców pojawiło się zupełnie nowe napięcie. Umysł od razu zaczął na

wyrywki podsuwać mu wszystkie potencjalne męki, jakie mogli dla niego szykować.

Wyprowadzili go z hangaru i powiedli korytarzami *Gilgamesza*, wciąż się do niego nie odzywając. Zdawało mu się, że nie wyczuwa już tego wielkiego szacunku, jakim go uprzednio darzyli, co nie wróżyło mu dobrze.

Wtedy zobaczył pierwsze ciała – mężczyzny i kobiety, którzy padli po drodze niczym marionetki po odcięciu sznurków, barwiąc chropowatą podłogę bryzgami krwi. Zostali posiekani nożami, a przynajmniej takie Holsten miał wrażenie. Popędzili go szybko dalej – jego strażnicy-prześladowcy – nie zwracając w ogóle uwagi na trupy. Próbował ich wypytać, ale tylko go poganiali.

Zastanawiał się, czy nie zacząć się wyrywać, krzyczeć, protestować, ale się bał. Wszyscy byli słusznej postury, więksi niż te szare kosmiczne pluskwy, które widywał do tej pory. Mieli noże przy pasach, a jeden miał plastikowy pręt z wtopionym na końcu ostrzem – były to starożytne narzędzia myśliwych-zbieraczy zrobione z części wyrwanych ze statku kosmicznego.

Wszystko rozegrało się tak szybko, tak pewnie, że dopiero pod koniec uświadomił sobie, że został porwany – jedna grupa wyrwała go drugiej. W jednej chwili okazało się, że scenariusz jest gorszy, niż mógł przypuszczać. Potomkowie wybudzonego ładunku nie tylko snuli się po *Gilgameszu*, ale zaczęli ze sobą walczyć. Była to klątwa Starego Imperium, podziały między ludźmi, które stale hamowały postęp ludzkości.

Mijał strażników i wartowników, przynajmniej tak mu się wydawało – mężczyzn i kobiety, niektórzy mieli mundury, inni nosili uszyte własnoręcznie szaty, jeszcze inni mieli na sobie kawałki wyklepanych pancerzy, jakby lada moment miał się tu zjawić ktoś, kto rozstrzygnie konkurs na najgorszy strój na świecie. Powinien co i rusz parskać śmiechem. Powinien im współczuć, bo takie to było żalosne. Ale patrząc im w oczy, Holsten czuł tylko zimny dreszcz, widząc w nich nieugiętą determinację.

Sprowadzili go do jednej z pracowni na statku mieszczącej kilkadziesiąt terminali, z których połowa była nieczynna, a reszta mrugała kapryśnie diodami. Pracowali przy nich ludzie. Była to prawdziwa praca pasująca do prawdziwych cywilizowanych ludzi – i Holsten miał wrażenie, że walczą o panowanie nad nimi uwikłani w jakąś wielką wirtualną bitwę na niewidzialnym polu.

Na końcu pomieszczenia zobaczył kobietę z krótko przyciętymi włosami,

niecو starszą niż on. Miała na sobie kombinezon wyposażony w plastikowe łuski i płyty i wyglądałoby to tak, jakby ktoś dla żartu chciał ją przebrać za wojowniczą księżniczkę, gdyby nie fakt, że wydawała się bardzo poważna. Na brodzie miała poszarpaną szramę, za jej paskiem tkwił długi pistolet – pierwsza współczesna broń, jaką Holsten zobaczył w nowej rzeczywistości.

– Cześć, Holsten – powiedziała i obraz, który widział, zmienił się, jakby ktoś odkrył kartę.

– Lain? – zapytał z niedowierzaniem.

– Znow masz tę swoją minę – zauważyła, dając mu czas, by otrząsnął się z zaskoczenia. – Tę, która mówi: „Nie mam pojęcia, co się dzieje”, i szczerze mówiąc, ja sama w to nie wierzę. W końcu to ty masz być tym mądrym. Więc może mi powiesz, co wiesz, Holsten. – Mówiła po części jak kobieta, którą znał, ale i taka, która od pewnego czasu wiodła bardzo ciężki i niebezpieczny żywot.

Zastanowił się nad jej propozycją. Z jednej strony bardzo chciał podzielić się z nią wszelką wiedzą, ale miała rację: byłoby to wyrachowane kłamstwo. *Jestem tylko biednym uczonym, który robi, co mu każą. Nie jestem za nic odpowiedzialny.* Zaczął myśleć, że wręcz przeciwnie, po części jest odpowiedzialny. Odpowiedzialny za to, co się teraz dzieje.

– Guyen przejął władzę.

– Guyen jest dowódcą. Już miał władzę. Daj spokój, Holsten.

– Obudził cały ładunek. – Holsten zerknął na bandycką ekipę Lain. Wydawało mu się, że w niektórych rozpoznaje jej inżynierów. Inni mogli równie dobrze należeć do tej części ładunku, którą Guyen powołał do służby. –

Powiedziałbym, że zaczął już jakiś czas temu – wygląda mi to na dwa, trzy pokolenia? Czy to w ogóle możliwe?

– Ludzie są nieźli w produkcji nowych ludzi – potwierdziła Lain. – Ten pojeb nie przemyślał sobie tego dokładnie, a może właśnie tak. Są jak jego wyznawcy. Gównu wiedzą, bo on im wszystko mówi, kapujesz? Wszyscy, którzy byli w ładunku, a mogliby mieć odmienne zdanie, dawno już kopnęli w kalendarz. Te chude świry zostały wychowane na opowiadkach Guyena. Słyszałam ich rozmowy i są naprawdę popierdoleni. On jest ich zbawicielem. Za każdym razem, kiedy wracał do zawieszenia, oni mieli już legendę na temat jego powrotu. Mają łby pełne tego mesjanistycznego gówna – parsknęła z obrzydzeniem. – Powiedz mi dlaczego, Holsten.

– Kazał mi pracować nad urządzeniem do zrzutu mózgu zabranym ze stacji.

– W niepewne słowa Holstena wkradła się nuta dydaktyczna. – Zawsze istniały podejrzenia, że starożytni odkryli sposób na przechowywanie umysłów w formie elektronicznej, ale kolejna faza wojny musiała wszystko wymazać albo też nie odnaleźliśmy niczego podobnego. Jednak nie jest do końca jasne, do czego używali tej technologii. Nie ma o tym nawet wzmianki. Nie wygląda mi to na standardową sztuczkę z nieśmiertelnością.

– Oszczędź nam tego! – wtrąciła się Lain. – A więc tak, Guyen chce żyć wiecznie.

Holsten pokiwał głową.

– Rozumiem, że wypadłaś z łask.

– Holsten, to jest Guyen. Na zawsze. Guyen na wiečność. To bardzo źle wróży.

Zerknął na jej przybocznych, zastanawiając się, czy doszło do tego, że w obozie Lain różnica zdań jest w jakiś sposób karana.

– Słuchaj, rozumiem, że to nie jest najprzyjemniejsza myśl, ale on nas doprowadził aż tutaj. Jeśli chce zrzucić swój umysł na starożytny twardy dysk, to czy możemy być całkiem pewni, że przeciwstawianie się temu jest warte życia ludzi? – Holsten wciąż miał w pamięci te trupy, które widział – była to cena jego wolności.

Lain zrobiła minę, jakby chciała pokazać, że się nad tym zastanawia.

– Jasne, pewnie masz rację. Pamiętaj tylko o dwóch rzeczach. Po pierwsze, zanim się poróżniliśmy, widziałam to jego ustrojstwo tylko raz, ale nie sądzę, żeby to urządzenie mogło być komorą dla ludzkiego umysłu – myślę, że to tylko translator. Jedyne miejsce, do którego może się udać, to główny system *Gilgamesza* i zupełnie serio uważam, że nie jest on przygotowany, by kierować statkiem z wciśniętym weń ludzkim umysłem. Zgadza się?

Holsten pomyślał o swojej stosunkowo szerokiej wiedzy na temat urządzenia.

– Mówiąc krótko, tak. Urządzenie, które zabraliśmy ze stacji, to nie jest tylko twardy dysk. Ale można by pomyśleć, że zabrał stamtąd coś jeszcze...

– Czy w swoich starych plikach widziałeś coś, co wskazywałoby na to, że tak zrobił?

Holsten skrzywił się.

– Nie.

– No właśnie. – Lain pokręciła głową. – Serio, staruszkule, kiedy nad tym pracowałeś, nie zastanowiłeś się, po co to wszystko?

Holsten rozłożył ręce.

– To nie w porządku. To wszystko było... Nie miałem powodów, by myśleć, że coś jest nie tak. A co z tym drugim?

– Co?

– Powiedziałaś, że są dwie rzeczy. Dwa powody.

– A, tak, on jest zdrowo szurnięty. I to właśnie zostanie zachowane dzięki twojej sumiennej pracy. Umysł wariata, który myśli, że jest bogiem.

– Guyen? To prawda, tyran z niego, ale trzymał całą ludzką rasę w swym ręku. Owszem, niełatwo z nim współpracować, bo skrzętnie ukrywa swoje zamiary przed innymi. Lain, wiem, że ty i on...

– Że się nie dogadywaliśmy?

– No...

– Holsten, on jest zajęty. Był mocno zajęty od dawna, odkąd opuściliśmy szarą planetę. Założył ten swój pieprzony kult i wyprał mózgi ludziom, żeby uwierzyli, że jest wielką nadzieją wszechświata. Jego maszyna działa prawie cały czas. Testował ją na swoich ludziach – i możesz mi wierzyć, że nie poszło jak z płatka, dlatego też maszyna wciąż działa co jakiś czas. Ale jest już blisko. Na pewno.

– Niby dlaczego?

– Bo wygląda, jakby miał przynajmniej setkę! Holsten, on się budził i zasypiał w sumie przez jakieś pięćdziesiąt lat, wte i wewte. Powiedział tym swoim, że jest jedynym Bogiem, i tak się to rozhulało, że sam w to uwierzył. Widziałeś go po tym, jak cię wybudzono?

– Tylko jego ludzi.

– No to możesz mi wierzyć, że każda cząstka jego umysłu, którą mógłbyś rozpoznać, opuściła ten statek już dawno temu. – Lain spojrzała Holstenowi w twarz, doszukując się resztek współczucia dla dowódcy. – Serio, Holsten, taki jest plan: chce umieścić kopię swego umysłu w *Gilu*. Chce *stać się Gilem*. I wiesz co? Kiedy tego dokona, nie będzie potrzebował ładunku. Nie będzie potrzebował większości statku. Nie będzie potrzebował systemów wspomagania życia ani niczego podobnego.

– Zawsze miał na względzie dobro statku, stawiał go na pierwszym miejscu – odparł defensywnie Holsten. – Skąd ty to...?

– Bo to już trwa. Wiesz, do czego ten statek *nie został* zaprojektowany? Żeby kilka tysięcy ludzi żyło na nim przez stulecie. Niszczuje i rozpada się, Holsten, nie uwierzyłbyś jak bardzo. Całe *plemię* ludzi, którzy nie wiedzą, jak

co działa, wchodzi do miejsc, w których nie powinni przebywać, pchane szczerą wiarą, że spełnia wolę bożą. Wszystko tu się rozpada. Kończą się nam zapasy, nawet te, które zabraliśmy ze stacji. A oni tylko żrą i się pierdola, ponieważ wierzą, że Guyen zaprowadzi ich do ziemi obiecanej.

– Na zieloną planetę? – rzucił cicho Holsten. – Może tak będzie.

– No jasne – parsknęła Lain. – I właśnie tam teraz lecimy. Ale jeśli nie wróci porządek i ludzie nie wylądują z powrotem w zamrażarce, Guyen dotrze tam sam – on i statek pełen trupów.

– Nawet jeśli uda mu się załadować do systemu, będzie potrzebował kogoś, kto się zajmie naprawami. – Holsten nie był pewien, dlaczego właściwie broni Guyena, poza tym, że przyzwyczał się do negocjowania wszystkiego z założenia.

– No tak, jasne. – Lain potarła kark. – Ze stacji zabraliśmy też system autonaprawczy.

– Nie wiedziałem o tym.

– To był priorytet mojego zespołu. Wtedy wyglądało to bardzo dobrze. Wiem, wiem, przemykaliśmy oczy na własne zaniedbania. System jest włączony i działa, czy też ma działać. Ale z tego, co widziałam, nie obsługuje ani ładowni, ani nawet większości potrzebnych systemów. Jest ustawiony wyłącznie na te części statku, które interesują Guyena. Te nieobsługujące żywych istot. Albo też takie odniosłam wrażenie, zanim się zwolniłam.

– Po tym jak Guyen cię wybudził.

– Chciał, żebym została częścią jego wielkiego planu. Tylko że kiedy dał mi dostęp do *Gilgamesza*, odkryłam za dużo i za szybko. Poważne, bardzo poważne sprawy, Holsten. Pokażę ci.

– Wciąż masz dostęp do systemu?

– Dostęp jest w każdej części statku, a Guyen nie jest na tyle dobry, by mnie od tego odciąć... Teraz się zastanawiasz, dlaczego go nie wykasowałam z komputera.

Holsten wzruszył ramionami.

– Cóż, właściwie tak.

– Powiedziałaś ci, że testował to ustrojstwo? Otóż odniósł połowiczny sukces. Są... *pewne rzeczy* w systemie. Kiedy próbowałam wyciąć Guyena albo go po prostu wychujać, zostałam zauważona. Wtedy zaczęli napierdalać we mnie. Z Guyenem dałabym sobie radę, ale tamci są... to takie nieco debilne wersje programów sztucznej inteligencji, które wciąż uważają, że są

ludźmi z krwi i kości. I większość z nich należy do Guyena.

– Większość?

Lain wyglądała na nieszczęśliwą – czy też jeszcze bardziej nieszczęśliwą.

– Wszystko o kant dupy potłuc, Holsten. *Gil* zaczyna się rozpadać już na poziomie systemowym. Jesteśmy na statku kosmicznym, Holsten. Masz w ogóle pojęcie, jaki to złożony mechanizm, kurwa mać? Ile różnych podsystemów musi działać sprawnie, by zachować nas przy życiu? A w tej chwili właściwie tylko system autonaprawy trzyma to wszystko w kupie, omijając zepsute części, łatając, co się da, ale też ma swoje ograniczenia. Guyen przegina, kierując dostępne środki na wsparcie swojego projektu o nazwie nieśmiertelność. Więc mamy zamiar go powstrzymać.

– No to... – Holsten spoglądał na Lain i jej załogę, widząc znane i nowe twarze. – Posiadam wiedzę na temat tego urządzenia. Dlatego mnie wyciągnęliście.

Lain tylko patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a na jej twarzy pojawiały się szczątkowe emocje.

– Co takiego? – rzuciła w końcu. – Nie wolno mi cię ratować tylko dlatego, że jesteś moim przyjacielem? – Wytrzymała jego spojrzenie na tyle długo, że musiał odwrócić wzrok, w duchu zawstydzony tym, co było, obiektywnie rzecz biorąc, całkowicie uzasadnioną paranoją na temat jej i Guyena i – szczerze mówiąc – na punkcie wszystkiego innego.

– Nieważne, doprowadź się do ład. Zjedz coś – poleciła mu. – Potem mamy spotkanie.

Holsten uniósł brwi.

– Z kim?

– Ze starymi przyjaciółmi. – Lain uśmiechnęła się cierpko. – Cała banda znowu razem, staruszk. Co ty na to?

5.2 W BOŻYM KRAJU

Portia rozciąga się i pręży odnóża, czując rwanie twardego pancerza i zaciskającą się sieć kokonu, który dla siebie uplotła. Pragnienie wylinki przyszło nie w porę i odkładała ją tak długo, jak się dało, ale wywołująca skurcze ciasnota we wszystkich stawach w końcu stała się nie do zniesienia i była zmuszona przejść w stan spoczynku – cały miesiąc z dala od wszystkich, spędzony na szarpaniu się i pozbywaniu starego oskórka i oczekiwaniu, aż nowy stwardnieje i dopasuje kształt do ciała.

Podczas wylinki doglądali jej członkowie jej domostwa, które dominowało teraz w Wielkim Gnieździe. Są jeszcze dwa–trzy inne, które zjednoczone mogłyby przewyższyć domostwo Portii, ale bynajmniej nie pałają do siebie sympatią. Agenci wpływu Portii pilnują, by stale ze sobą konkurowały o drugie miejsce w hierarchii.

Teraz jednak polityczna rzeczywistość Wielkiego Gniazda trwa w idealnej równowadze. Pomimo codziennych raportów dostarczanych jej podczas wylinki Portia wie, że będzie musiała poskładać kilkanaście elementów szpiegowskich informacji. Na szczęście jest na to gotowy sposób.

Portia jest największą kapłanką Emisariuszki w Wielkim Gnieździe, ale miesiąc poza obiegiem sprawi, że jej liczne siostry będą miały różne pomysły. Będą rozmawiać z tym ulotnym, niezwykle ważnym światłem na niebie, odbierać dziwaczną, pokrętną wiedzę o wszechświecie i wykorzystywać do swych celów. Będą dyskutować na temat wielkich, często niezrozumiałych projektów zleczanych przez głos Boga. Portia będzie musiała walczyć o odzyskanie dawnej pozycji.

Opuszcza się do kolejnej komnaty w towarzystwie młodszych samic. Wystarczy nieznaczny ruch nogogłaszczek, by sprowadziły jej samca. Miał bardzo pracowity miesiąc i był obecny na spotkaniach, na które samce zwykle nie mają wstępu. Wszędzie tam, gdzie miała się zjawić Portia, był wprowadzany przez jej popieczniczki. Wszystkie wiadomości, każde odkrycie i zmiana, każde oświadczenie Boga zostało mu cierpliwie objaśnione. Był dobrze karmiony, hołubiony i nikt od niego niczego nie chciał.

Teraz jedna z samic przynosi wypchany bukłak z jedwabiu. W środku znajduje się destylat Zrozumienia, które przez miesiąc zbierał samiec. Zawiera raport wywiadowczy, który, przekazany w tradycyjny sposób, cechowałaby nieskończona ilość szczegółów. Ten jeden szkic zawiera wystarczająco dużo sekretów domostwa Portii, by podać na półmisku całe Wielkie Gniazdo którejś z jej przeciwniczek.

Portia pije gęsty płyn zawierający wiedzę. Trzyma bukłak nogogłaszczkami, starannie osuszając jego zawartość, po czym przekazuje podwładnym do zniszczenia. Już czuje trzepot rozdźwięków w ciele, kiedy świeżo połknięty nanowirus zaczyna wprowadzać wykradzioną wiedzę do jej umysłu, docierając do struktury mózgu i kopiując wspomnienia samca. W ciągu doby będzie wiedzieć wszystko to, czego on się dowiedział, i możliwe też, że utraci pewne nieodwiedzane ścieżki, jakieś nieistotne umiejętności albo odległe wspomnienia, które zostaną przekonfigurowane na nowo, tak by stały się niezbędne.

Muszę szepnąć o nim słówko. Wskazuje na samca. Kiedy się upewni, że nowe Zrozumienia się przyjęły, pozbędą się samca – któraś z towarzyszek z kręgu Portii zabije go albo zje. Wiedział stanowczo za dużo.

Spółczeństwo Portii bardzo się zmieniło od dawnych czasów, gdy co jakiś czas samice zjadały swoich kochanków, ale pod pewnymi względami jednak nie tak bardzo. Zabicie samca będącego pod ochroną innego domostwa jest przestępstwem i wymaga rekompensaty. Zabicie samca bez potrzeby wzbudza powszechną dezaprobatę i jest praktykowane rzadko, a sprawczyń z reguły się unika jako niegospodarnych i nieposiadających złotej cnoty samokontroli. Wciąż jednak akceptowalne jest zabijanie samca z ważnego powodu albo po stosunku, choć się na ten temat czasem debatuje. Tak się sprawy mają, poza tym ostatnimi czasy w Wielkim Gnieździe niezwykle ważne stają się rozmowy dotyczące tradycji.

Wielkie Gniazdo jest rozległą leśną metropolią. To setki kilometrów kwadratowych porośniętych wielkimi drzewami zwieńczonymi przyczepionymi pod kątem domami z jedwabiu, do których stale się coś dobudowuje lub poprawia w zależności od wzrostu znaczenia bądź upadku danego domostwa sióstr. Najpotężniejsze pajęcze klany mieszkają na środkowym poziomie – skryte przed atakami kapryśnej aury, lecz dogodnie oddalone od gruntu, gdzie samice nieprzynależące do żadnego domostwa

muszą walczyć o miejsce z rojem na wpół zdziczałych, drapieżnych samców. Między domostwami znajdują się warsztaty rzemieślników, produkujących rozmaite artykuły, których nie potrafią wytworzyć mrówki, pracownice artystek, które tkają, tworzą i konstruują eleganckie pismo węzełkowe, oraz laboratoria uczonych wielu dyscyplin. Nad gruntem, pośród korzeni wiją się zazębające się sieci mrówek, a każda kolonia ma własne, szczegółowe zadanie. Inne, większe kolonie rozchodziły się promieniście aż do granic metropolii, wyspecjalizowane w drwalstwie, górnictwie, wytopie metali i produkcji artykułów przemysłowych. No i okazjonalnie w wojnie. Walka z *innymi* to coś, co każda kolonia mrówek umie robić, jeśli zajdzie taka potrzeba, choć Wielkie Gniazdo, podobnie jak jego rywale, posiada również wyspecjalizowanych żołnierzy.

Portia po drodze do Świątyni czuje już, jak fragmenty bieżących wydarzeń zapadają w jej jaźń. Tak, ciągle są problemy z sąsiadami Wielkiego Gniazda – pomniejszymi sieciami – Siedmioma Drzewami, Rzeczną Rozpadliną, Płonącą Górą – ponownie sprawdzają trwałość granic z zawiści o supremację domostwa Portii. Najprawdopodobniej wybuchnie nowa wojna, ale Portia nie martwi się o wynik. Jej pobratymcy potrafią zmobilizować o wiele więcej mrówek – i to o wiele lepiej zaprojektowanych – w zbliżającej się walce.

Sam rozmiar Wielkiego Gniazda wymusza zorganizowanie transportu publicznego w wyższych regionach miasta. Główna Świątynia, w której króluje Portia, znajduje się w pewnej odległości od jej miejsca wylinki. Jest świadoma, że przewożenie rzeczy to domena Boga, a pośród boskich, trudnych do zrozumienia planów znajdują się i środki przemieszczania się z miejsca na miejsce z wielką prędkością, ale jak dotąd żadne domostwo ani miasto nie poważyło się ich użyć. Pająki na razie jakoś sobie radzą, choć z dojmującą świadomością, że to, co robią, nie zgadza się z boskim planem.

Portia wsiada na pokład cylindrycznej kapsuły zawieszanej na grubej, splecionej nici i daje się porwać oszałamiającemu pędowi przez nadrzewne obszary, które są jej domem. Energia, która porusza kapsułę, jest po części wytworem jedwabnych sprężyn, dzieła makroinżynierii opartego na strukturze samego pajęczego jedwabiu, a po części pochodzi z wyhodowanej tkanki mięśniowej, bezrozumnego kurczącego się połcia biegnącego wzdłuż grzbietowego pałąka kapsuły, który, nieświadomy niczego, ciągnie z całych sił raz za razem – jest skuteczny, samonaprawialny i łatwy do utrzymania. Wielkie Gniazdo to złożona sieć takich kapsułowych wyciągów, sieć w sieci, taka jak

nici komunikacji wibracyjnej, która dociera wszędzie, ponieważ Świątynia rygorystycznie utrzymuje monopol na niewidoczne fale radiowe.

Wkrótce wchodzi do Świątyni i bacznie obserwując reakcję zgromadzonych, stara się wyłuskać potencjalne rywalki.

Jaka jest pozycja Emisariuszki? – pyta i mówią jej, że głos Boga jest w niebiosach, niewidoczny na jasnym niebie.

Dajcie mi z nią mówić.

Pomniejsze kapłanki schodzą jej z drogi, dość niechętnie, gdyż zarządzały tym miejscem przez miesiąc. Stary odbiornik kryształowy jest stale ulepszany, odkąd zaczęto rozumieć wiadomości od Boga – czyli od jego pierwszej lekcji, i jednej z najbardziej skutecznych. Teraz to cała maszyna z metalu, drewna i jedwabiu, która działa jako odbiornik niewidocznych nici wielkiej i nieuchwytej sieci wszechświata, łączącej wszystkie odbiorniki, co pozwala Portii rozmawiać bezpośrednio z innymi świątyniami rozsianymi po połowie świata oraz z samym Bogiem.

Po tym, jak Bóg zaczął z nimi rozmawiać, wielkie umysły kilkunastu pokoleń w końcu nauczyły się boskiego języka czy też może nauczyły się poruszać w jego meandrach, spotykając się z Bogiem w połowie drogi. Nawet teraz pewna część tego, co Bóg ma do powiedzenia, nie jest dla Portii i reszty całkiem zrozumiała. Jednak wszystko jest zachowywane i czasami jakiś szczególnie zapętlony fragment pisma poddaje się pod rozwagę późniejszym teologom.

Powoli, ale skutecznie przodkowie Portii sporządzali zapisy swoich kontaktów z bóstwem i tak powstała cała historia. Tym samym, rozwijając swoją kulturę, lud Portii odziedziczył mit stworzenia i podporządkował swoje przeznaczenie przekazowi istoty wyższej, której pochodzenie wymykało się całkowicie ich pojęciu.

Emisariuszka była ostatnią, która przetrwała młody wiek wszechświata, jak im powiedziano. W ostatnich drgawkach tego wieku to Emisariuszka została wybrana, by przybyć do tego świata i narażać życie na ziemi jałowej. Emisariuszka – bogini zielonej planety – zasadziła drzewa i inne rośliny, a potem zaludniła ją pomniejszymi zwierzętami. Ostatniego dnia poprzedniego wieku, u szczytu stworzenia, Emisariuszka wysłała odległych przodków Portii na ten świat i cierpliwie czekała na ich głos.

I po wielu pokoleniach ciszy, podczas których jedynie głos Emisariuszki dotykał niewidzialnych nici oplatających cały świat, teraz świątynie zaczęły

jej śpiewać, a pozostałe elementy boskiego planu są przekazywane we fragmentarycznych objawieniach, jakich niemal nikt nie rozumie. Emisariuszka próbuje nauczyć ich, jak żyć, a to wymaga budowania maszyn, by osiągnąć cele, które lud Portii ledwo jest w stanie pojąć. Wymaga obcowania z niebezpiecznymi siłami – takimi jak iskra, która wysyła sygnały po niciach w eter do Emisariuszki, ale o wiele większej mocy. Wymaga korzystania z dziwacznych, przyprawiających o ból głowy pomysłów co do ruchomych kół i oczu, ognia i okiełznanych błyskawic. Emisariuszka próbuje im pomóc, ale lud jest niegodny, jak naucza Świątynia – bo niby czemuż tak często zawodzą Boga? Muszą się doskonalić i stawać takimi, jakimi wymyślił ich sobie Bóg, ale ich sposób życia, budowania i kreatywność są całkowicie sprzeczne z wizją, jaką przedstawia im Emisariuszka.

Portia i jej siostry często kontaktują się ze świątyniami w innych miastach, niemniej są samodzielne. Bóg przemawia do każdej z nich, każda świątynia ma swoją częstotliwość, ale wiadomość jest zasadniczo taka sama – Portia już wcześniej podsłuchiwała polecenia Boga przekazywane innym. Każda świątynia tłumaczy dobrą nowinę inaczej – interpretuje słowa tak, by pasowały do obowiązujących struktur. Co gorsze, niektóre świątynie całkowicie tracą wiarę i zaczynają przekazywać słowa Emisariuszki jako coś bynajmniej nie pochodzenia boskiego. Jest to herezja i na tym tle rodzi się konflikt. W końcu ten mały punkcik przemieszczającego się światła jest ich jedynym łącznikiem z wielkim wszechświatem, który – jak im zapowiedziano – mają kiedyś odziedziczyć. Kwestionowanie tej chyżej gwiazdy może sprawić, że zostaną porzuceni i znajdą się sami w kosmosie.

Pod koniec dnia, przeczytawszy raporty i przyswoiwszy Zrozumienie, które podarował jej samiec, Portia nadrabia wszystko, co się działo podczas jej nieobecności. Tarcia z odszczepieńczą świątynią w Siedmiu Drzewach są duże, do tego poważne naruszenia w licznych kopalniach. Bóg żądał, by wydobycie surowców – szczególnie rud metali – było priorytetem. Wielkie Gniazdo utrzymywało monopol na wszystkie bogate złoża żelaza, miedzi, złota i srebra na swoich terenach wpływu, ale inne miasta stale to kwestionowały i wysyłały zwarte kolumny mrówczych najeźdźców. W tej wojnie bronią, jak dotąd, byli raczej skutecznie hodowani górnicy niż zaciekli wojownicy, ale Portia ma świadomość, że tak dalej nie może być. Sam Bóg podkreśla, że każdy konflikt zawsze kończy się tak samo, jeśli żadna ze stron nie chce

ustąpić.

Pająki zawsze zabijały się wzajemnie. Od początku gatunek miał skłonności do kanibalizmu, szczególnie samice, które zjadały samców i często walczyły o terytorium, o dominację. Nanowirus krążący w ich organizmach tworzy kolejną sieć powiązań, przypominając im o wrażliwości wobec innych. Nawet samców to obejmuje – każda ich mała śmierć nabiera znaczenia i wagi, których nie można lekceważyć. Z całą pewnością pająki nigdy nie upadły tak nisko, żeby się zatracić w wyniszczającej powszechnej rzezi. Swoje wojny ograniczają do obrony przed zagrożeniem ze strony agresywnych sąsiadów, takich jak wojna sprzed wieków z wielką kolonią mrówek, która w rezultacie doprowadziła do rozwoju technologii. Dla gatunku, który w naturalny sposób myśli w kategoriach powiązań, sieci i systemów, idea wojny ofensywnej, zakładającej eksterminację przeciwnika zamiast jego przekształcania, pozyskiwania do swoich celów i modelowania do konkretnych zadań, jest zbyt trudna do pojęcia.

Bóg ma jednak inne pomysły i ich nadrzędność stała się podstawą dogmatów Świątyni – w końcu inaczej po co byłaby komuś potrzebna Świątynia?

Kiedy Portia wreszcie ogarnia rozwój wydarzeń zarówno teologicznych, jak i politycznych, kiedy podróżuje w kapsule poza granice miasta, by odwiedzić pracownie, w których jej kapłanki pracują ciężko, by urzeczywistnić coś z boskich skomplikowanych projektów, dopiero wtedy ma czas na załatwienie własnej sprawy. Dla Portii to, co osobiste, i to, co kapłańskie, praktycznie stanowi jedność, ale w tym folguje swojej zachciance – znajduje chwilę, by spotkać się z jednym z wielu maluczkich umysłów, który zarazem jest klejnotem bez skazy. W tym niezwykłym umyśle zrodziło się kilka kluczowych objawień pomagających rozwikłać przekaz Boga. A jednak czuje ukłucie wstydu, że poświęca czas na podróż do tego niepozornego laboratorium, w którym jej nieoficjalny protegowany ma sposobność eksperymentowania i konstruowania bez ścisłej kontroli, jaką zwyczajowo nakłada na innych Świątynia.

Wchodzi bezceremonialnie do środka i zastaje obiekt swej ciekawości nad wynikami ostatnich eksperymentów, nad złożonym zapisem analizy chemicznej utkanej automatycznie przez jedną z miejskich kolonii mrówek. Zaskoczony jej obecnością naukowiec odwraca się i gestykułuje nogogłaszczkami, przyklękając nieco w płasie wyrażającym szacunek, poddanie i błaganie

jednocześnie.

Fabian, zwraca się do niego Portia, a samiec drży i kołysze się na boki.

Przed przyjściem tutaj odwiedziła zewnętrzne laboratoria, by sprawdzić postępy realizacji boskiego planu, ale te wizyty bynajmniej nie dodały jej otuchy.

Kontakty Emisariuszki z jej wybranymi polegają na wprowadzaniu boskiego planu w życie. Kiedy została pokonana bariera językowa, waz z kolejnymi przekazami Bóg nie marnował czasu na określanie swego miejsca w kosmosie. W tamtych czasach wśród uczonych rozgorzała debata, ale cóż mogli zaproponować sceptycy zamiast głosu z gwiazd, który oferował im wszechświat wspanialszy, niż mogli to sobie wyobrazić? Istnienie Boga było niezaprzeczone.

Portia jest w pełni świadoma, iż posłużyło to Świątyni do propagowania boskich idei. Wie doskonale, że pierwsza próba kontaktu z Bogiem była sprzeczna z ówczesnymi edyktami Świątyni. Teraz zaczyna się zastanawiać, co by się stało, gdyby Świątynia Wielkiego Gniazda po raz kolejny sprzeciwiła się Bogu.

Niestety najbardziej oczywistą konsekwencją byłoby to, że Bóg mógłby obdarować swym przesłaniem inne świątynie. Jedność religii doprowadziła do rywalizacji i frakcyjności między gniazdami. W całej swej długiej historii jej pobratymcy współdziałali niczym bratnie więzy na światowym kontinuum. Teraz boska uwaga stała się wartością, o którą muszą się spierać. Oczywiście Wielkie Gniazdo wie prym wśród boskich ulubieńców, własnym węzłem częstotliwości monopolizując przekaz. Pielgrzymi z innych gniazd muszą błagać o wyjaśnienie, czego Bóg sobie życzy.

Jedynie wtajemniczone ze Świątyni mają dręczącą świadomość, iż przekaz, jaki rozpowszechniają wśród wiernych, jest jedynie domysłem. Bóg jest zarazem szczegółowy i enigmatyczny.

Portia przeglądała wyniki laboratoriów wysokiego ryzyka poza miastem. Znajdują się w pewnej odległości, ponieważ muszą być otoczone przesieką. Bóg kocha tę samą siłę, która płonie w odbiornikach radiowych. Mrówki wytapiają mnóstwo miedzi, która przenosi puls tej oswojonej błyskawicy, podobnie jak jedwab potrafi przenosić proste słowa. Tylko że oswojenie błyskawicy nie jest prostą sprawą. Często wystarczy iskra, by doszło do zapłonu.

Uczone ze Świątyni próbują wytworzyć sieć błyskawic zgodnie z projektem

Boga, ale nie udaje im się nic poza okazjonalnym zabiciem twórców urzędnika. Gdzieś tam, obawia się Portia, jakaś inna społeczność może być bliższa osiągnięcia zamiaru Boga niż Wielkie Gniazdo.

Nie wolno powierzać boskiego dzieła samcom, ale Fabian jest przypadkiem szczególnym. Przez kilka ostatnich lat Portia stała się dziwnie zależna od jego talentu. Jest chemikiem o niezwykłych umiejętnościach.

Istnieje natomiast stary jak świat czynnik ograniczający – mrówki są powolne. Naukowe przedsięwzięcie każdego pajęczego gniazda zależy od jego umiejętności takiego wytresowania mrówczych kolonii, by mogły wykonywać konkretne zadania: produkcja, konstrukcja, analiza. Choć każde pokolenie było w tym coraz biegłejsze dzięki przesuwaniu granic technologii organicznych, to każde nowe zadanie wymagało nowej kolonii albo też przemodelowania zachowania kolonii już istniejącej. Pająki takie jak Fabian tworzą chemiczne instrukcje nadające mrówczej kolonii właściwy cel, czyli skomplikowaną kaskadę bodźców pozwalających im wykonywać powierzoną pracę. Ale prawdę mówiąc, niewielu jest takich jak Fabian, który potrafi w krótszym czasie osiągnąć więcej i sprawniej niż inni.

Fabian posiada wszystko, czego mógłby pragnąć samiec, a mimo to jest nieszczęśliwy. Portia uważa go za dziwnego osobnika – jego wartość sprawia, że jest szczerzy, aż czasami wydaje jej się, że ma do czynienia z konkurującą z nią samicą.

Zanim Portia rozpoczęła wylinkę, Fabian sugerował, że jest u progu wielkiego odkrycia, ale miesiąc później nie poruszył tego tematu z żadną z jej podwładnych. Zastanawia się, czy chciał poczekać na nią. Jej stosunki z Fabianem były złożone. Tańczył dla niej tylko raz, a ona przyjęła dar jego genetycznego materiału i dodała do własnego, aby ich połączony geniusz zachować dla potomności. Od tamtego czasu nauczył się o wiele więcej, lecz niczego do tej pory nie przekazał dalej. Właściwie powinna poczekać, aż sam się do niej zwróci, ale teraz, kiedy się tu zjawia, temat sam wypłynął.

Nie jestem gotów, odparł lekceważąco. Muszę dowiedzieć się więcej.

Ale twoje wielkie odkrycie, podpowiada. Fabian jest nieprzewidywalnym geniuszem. Należy z nim postępować ostrożnie, co w przypadku samców raczej się nie zdarza.

Później. Jeszcze nie jest gotowe. Przy niej jest poruszony i nerwowy.

Jej receptory węchowe informują ją, że Fabian jest gotów do kopulacji i że świadomie się powstrzymuje.

Miejmy to za sobą, sugeruje Portia. A może po prostu wydestylujesz swoje nowe Zrozumienie? Nie chcę, by coś ci się przytrafiło, ale wypadki się zdarzają.

Nie zamierzała mu grozić, lecz samce są zawsze bardzo ostrożne w obecności samic. Fabian zamiera na chwilę, jeśli nie liczyć nerwowych ruchów nogogłaszczek, co jest podświadomym błaganiem o życie, cechującym ich gatunek już przed wieloma pokoleniami, zanim w ogóle wypracował jakiś język.

Osric nie żyje, mówi jej nagle, a ona nie potrafi sobie przypomnieć, kto to, więc Fabian dodaje: Był jednym z moich asystentów. Został zabity po spólkowaniu.

Powiedz, kto to zrobił, a ukarzę ją. Twoi współpracownicy są zbyt cenni, by można ich było w taki sposób pochłaniać. Portia jest szczerze niezadowolona. W Wielkim Gnieździe istnieje hermetyczna ultrakonserwatywna frakcja, jej członkinie uważają, że samce nie posiadają żadnych własnych wartości, które nie byłyby odbiciem cech otaczających je samic, ale ta ortodoksyjna filozofia zanikała od czasu zarazy, kiedy to wyludnienie sprawiło, że samce przejęły role zwykle zarezerwowane dla silniejszej płci. W innych miastach, takich jak Siedem Drzew, zaszło to jeszcze dalej, bo zaraza poczyniła tam większe spustoszenia. W Wielkim Gnieździe, gdzie powstał lek, dominacja kulturowa sprzyjała większemu skostnieniu społecznemu niż gdzie indziej.

Udoskonalona konstrukcja kopalni została ukończona, wystukuje odnóżami rozkojarzony Fabian. Masz świadomość, że każdego dnia mogą zginąć?

Portia zamiera. *Któż ośmieliłby się wywołać moje niezadowolenie?*

Nie wiem, ale to się może zdarzyć. Gdy zostaje zabita najbliższa samica, zaczyna się śledztwo i wymierza karę, tak jakby ktoś poważył się uszkodzić wspólną sieć miasta albo przemawiać przeciwko Świątyni. Gdybym ja został zabity, to jedynym przestępstwem sprawcy byłoby wywołanie twojego niezadowolenia.

A byłabym bardzo niezadowolona – i dlatego właśnie tak się nie stanie. Nie musisz się obawiać, wyjaśnia cierpliwie Portia, myśląc sobie: Te samce są strasznie nerwowe!

Ale Fabian jest dziwnie spokojny. *Wiem, że tak się nie stanie, dopóki zachowam twoje względy. Ale niepokoję się, że może tak się stać, że jest*

przyzwolenie na coś takiego. Wiesz, ilu samców ginie w Wielkim Gnieździe każdego miesiąca?

Padają jak muchy w dolnych obszarach, mówi Portia. Nikomu nic po nich, no chyba że do rozplodu, ale też marni z nich partnerzy. Nie musisz w ogóle się tym przejmować.

A jednak się przejmuję. Fabian najwyraźniej ma do zakomunikowania coś jeszcze.

Portia widzi to, ale Fabian przestaje się odzywać.

Martwisz się, że stracisz moje względy? Jeśli będziesz pracował jak dotychczas, to w Wielkim Gnieździe niczego ci nie zabraknie, zapewnia drobnego samca. Będziesz miał wszelkie wygody i smakołyki. Wiesz przecież.

Fabian zaczyna układać odpowiedź – Portia widzi, że wyłaniająca się myśl zostaje zduszona w zarodku, a on próbuje zapanować nad drżeniem nogogłaszczek. Przez chwilę ma wrażenie, że samiec wymieni to wszystko, czego nie może mieć, bez względu na to, jak byłby przez nią chroniony, albo też poruszy temat (znowu!), że owszem, może mieć wszystko, ale tylko dzięki niej albo innej dominującej samicy. Czuje wzbierającą w nim frustrację, czego on *właściwie* chce? Nie zdaje sobie sprawy, jakie ma szczęście w porównaniu z wieloma swoimi braćmi?

Gdybyż tylko nie był tak użyteczny... ale jest w tym coś więcej. Fabian jest dziwnie pociągającym małym pajęczkiem, nawet pominiawszy jego osiągnięcia. Splot Zrozumień, arogancji i bezbronności czyni z niego supełek, nad którym Portia nie może przestać się zastanawiać. Musi kiedyś rozsypać ten węzeł albo go po prostu przeciąć.

Po niesatysfakcjonującej rozmowie z Fabianem wraca do swych oficjalnych obowiązków. Ponieważ jest starszą kapłanką, poproszono ją, by przesłuchiwała heretyka.

Z komunikatów radiowych wymienionych z innymi świątyniami wie, że inne gniazda cechuje różny stopień tolerancji dla herezji w zależności od siły miejscowego kapłaństwa. Są nawet takie gniazda – niepokojąco blisko – w których Świątynia jest jedynie cieniem swej dawnej postaci, więc rządy w mieście opierają się na znowie heretyków, ekskomunikowanych kapłanek i uczonych – odszczepieńców. Wielkie Gniazdo pozostało opoką ortodoksji i Portia wie, że są plany, by zastosować siłową perswazję wobec niepokornych sąsiadów. Jest to novum, ale wieści od Boga można

interpretować w taki sposób, że podobne środki mają boskie poparcie. Emisariuszka irytuje się, kiedy ktoś ignoruje jej słowa.

W samym Wielkim Gnieździe ziarno herezji ostatnio zakorzeniło się u tych samych uczonych, na których polega Świątynia. Łatwo jest ignorować przebąkiwania o rzemieślniczkach, które utraciły względy Świątyni, albo o bezdomnych samcach załęcznionych o swe bezwartościowe życie. Jednak kiedy światłe umysły Wielkiego Gniazda zaczynają kwestionować nakazy Świątyni, wtedy wkraczają ważne figury, takie jak Portia.

Bianca jest jedną z podejrzanych – uczona, członkini domostwa Portii, niegdysiejsza sojuszniczka. Najwyraźniej już dawno sympatyzowała z poglądami heretyków. Po donosie innej krnąbrnej uczonej niezapowiedziana rewizja w laboratoriach Bianki wykazała, że jej badania ocierały się o astronomię, naukę szczególnie podatną na myśli heretyckie.

Przedstawicielkę kasty Portii niełatwo jest uwięzić, ale Bianca jest obecnie zamknięta w komnacie w tunelach wyspecjalizowanej kolonii mrówek hodowanych w tym właśnie celu. Nie ma tu żadnego zamka, lecz nie wydzielając konkretnego zapachu, codziennie zmienianego, po wyjściu z celi Bianca zostałaby rozszarpana przez owady, gdyby próbowała uciec.

Mrówcze strażniczki odbierają właściwe kody feromonowe od Portii i oblewają ją dzisiejszym zapachem-przepustką. Ma do dyspozycji wyznaczony czas, by załatwić sprawę, a jeśli nie wyjdzie w porę, stanie się więźniem, tak jak Bianca.

Czuje wyrzuty sumienia z powodu swojej misji. Bianca powinna już zostać skazana, ale Portia wciąż pamięta towarzystwo i pomoc swej siostry. Utrata Bianki równałaby się utracie części jej własnego świata. Portia nadużyła władzy, by mieć okazję na oczyszczenie heretyczki z zarzutów.

Bianca to duża pajęczycza z nogogłaszczkami i przednimi odnóżami zabarwionymi abstrakcyjnymi wzorami w kolorach niebieskim i fioletowym. Takie ubarwienie jest rzadkością, uzyskuje się je powoli i dużym kosztem, żeby ukazywało znaczny wpływ, status – niematerialną, lecz niekwestionowaną walutę – którym do niedawna Bianca mogła się cieszyć.

Witaj, siostrze. Postawa Bianki i precyzyjna kombinacja kroków dodają powitaniu drapieżnej emfazy. *Przyszłaś się pożegnać?*

Portia, już przytłoczona całym dniem, garbi się jeszcze bardziej, porzucając wszelkie zwykłe pozy i buńczuczność. *Nie odpychaj mnie. Masz teraz naprawdę niewielu przyjaciół w Wielkim Gnieździe.*

Tylko ciebie?

Tylko mnie. Portia przygląda się językowi ciała Bianki i widzi, że wielka pajęczycza zmienia pozę, zastanawiając się nad tym.

Nie ujawnię ci żadnych imion, nie zdradzę nikogo, bo nikogo nie ma. Oskarżona ostrzega inkwizytorkę. *Moje przekonania należą wyłącznie do mnie. Nie potrzebuję żadnej trzódki wokół siebie, żeby mnie utwierdziła w tym, że mam rację.*

Jako że wiele jej współpracowników już zostało schwytanych i skazanych przez Świątynię, Portia i tak postanowiła porzucić tę linię przesłuchania. Pozostaje tylko jedno na szali. *Jestem tu, by cię ocalić. Tylko ciebie, siostrze.*

Nogogłaszczki Bianki poruszają się nieznacznie w nieświadomym geście zainteresowania, ale nic nie mówi.

Nie chcę domostwa, którego nie mogłabym dzielić z tobą, ciągnie Portia. Jej kroki i gesty są bardzo staranne, nacechowane troską. *Jeśli cię zabraknie, w moim świecie pojawi się wyrwa, więc i tak wszystko się zniekształci. Jeśli wszystko odwołasz, pójdę do moich sióstr w Świątyni i one mnie posłuchają. Nie będziesz u nich w łaskach, ale pozostaniesz na wolności.*

Odwołać? – powtarza Bianca.

Jeśli wyjaśnisz Świątyni, że się myliłaś albo ktoś sprowadził cię na manowce, wtedy będę mogła cię uratować. Przygarnę cię, żebyś mogła ze mną pracować.

Ale ja się nie mylę. Ruchy Bianki są kategoryczne i stanowcze.

Z pewnością się mylisz.

Gdybyś zwróciła silne i czyste soczewki na nocne niebo, też byś to zobaczyła, wyjaśnia spokojnie Bianca.

To tajemnica, której nie może pojąć nikt spoza Świątyni, upomina ją Portia.

Tak mówią kapłanki. Ale ja sprawdzałam. Widziałam twarz Emisariuszki, zmierzyłam i przestudiowałam, kiedy przelatywała po niebie. Ustawiłam przyrządy i przeanalizowałam światło, które wydaje się rzucać. Jest to wyłącznie światło odbite od słońca. A tajemnica polega na tym, że nie ma żadnej tajemnicy. Mogę ci podać wielkość i prędkość Emisariuszki. Mogę nawet powiedzieć ci, z czego jest zrobiona. Emisariuszka to bryła metalu, nic więcej.

Wygnają cię, mówi Portia. *Wiesz, co to znaczy?*

Samice już nie zabijają innych samic, a najgorszym wyrokiem w Wielkim

Gnieździe jest pozbawienie skazanej wszystkich cudów metropolii. Zostaje chemicznie napiętnowana, co równa się śmierci, jeśli zbliży się do którejkolwiek mrówczej kolonii miasta – oraz do wielu kolonii poza nim, gdyż piętno jest uniwersalne. Wygnanie często wiąże się też z powrotem do barbarzyństwa w głębi dzikich lasów, na zawsze poza cywilizacją.

Przyjęłam wiele Zrozumień w moim życiu. Bianca najwyraźniej nie chce tego słyszeć. Słuchałam po nocach niezrozumiałych sygnałów drugiej Emisariuszki. To coś, co nazywacie Bogiem, nie jest nawet jedyne na niebie. To metalowa bryła, która domaga się od nas, byśmy produkowali więcej metalu – i widziałam ją, jest mała.

Portia nerwowo drepcze w miejscu, choćby dlatego, że w godzinach słabości ją samą opanowywały podobne myśli. *Bianco, nie możesz odwracać się od Świątyni. Nasz lud śledzi słowa Emisariuszki od najwcześniejszych dni, choć nie rozumieliśmy wtedy jej celu. Nawet jeśli ogarnęły cię wątpliwości, nie możesz wyrzekać się tradycji, na których zbudowano Wielkie Gniazdo, co pozwoliło nam przetrwać wiele zagrożeń. Dzięki nim jesteśmy tym, kim jesteśmy.*

Bianca wyraźnie posmutniała. *A teraz nie pozwalają nam one stać się tym, kim moglibyśmy być, dodaje. Ale to tkwi we mnie. Gdybym nawet zdołała się od tego odciąć, nic by ze mnie nie pozostało. Ja nie tylko czuję, że Świątynia się myli, wierzę, że Świątynia stała się niepotrzebnym brzemieniem. I wiesz, że nie jestem w tym osamotniona. Rozmawiasz ze świątyniami w innych miastach, także w tych nieprzychylnych Wielkiemu Gniazdu. Wiesz, że inni myślą tak jak ja.*

I zostaną za to po kolei ukarani, mówi Portia. Tak jak ty.

5.3 STARZY ZNAJOMI

Cała czwórka spotyka się w dawnym pomieszczeniu obsługi, które wydawało się najbardziej neutralnym miejscem na statku opanowanym przez różne frakcje. Lain i tych dwoje mają swoich ludzi, którzy czekają na zewnątrz i przyglądają się każdemu nerwowo niczym wrodzy żołnierze podczas zimnej wojny.

W środku nastąpiło zjednoczenie.

Vitas nie zmieniła się wcale – Holsten podejrzewa, że przebywała w zawieszeniu tak długo jak on sam, ale może lepiej znosiła upływ czasu – schludna, zadbana kobieta, z uczuciami zakopanymi tak głęboko, że jej twarz pozostaje zagadką. Wciąż ma na sobie mundur, jakby wyłoniła się prosto ze wspomnień Holstena niedotknięta chaosem, w jakim pogrążał się *Gilgamesz*. Lain już wyjaśniła Vitas, w jaki sposób została zaangażowana przez Guyena do pomocy przy maszynie. Nie wiadomo, co Vitas naprawdę myśli na ten temat, ale przychodzi na spotkanie po otrzymaniu wiadomości od Lain, przemykając przez kręgi wiernych Guyena niczym dym, za którym postępuje garstka jej asystentów.

Karst wygląda starszej i zbliża się do wieku Holstena. Znowu ma brodę – z wyraźnymi nitkami siwizny – a włosy związuje z tyłu. Na ramieniu nosi karabin z lufą skierowaną w dół, ma też na sobie pancerz, pełną zbroję – Holsten pamięta, że lubił ją zakładać. Jest skuteczną obroną przeciwko pistoletowi Lain, ale już nie przeciwko ostrzu noża. Jego ulubiony postęp technologiczny ma sporo wad w zetknięciu ze wsteczną naturą nowych czasów.

On również pracował z Guyenem, ale Lain wyjaśniła, że Karst ostatnio stanowi prawo sam dla siebie. Kontrolował zbrojownię statku i tylko on miał wolny dostęp do broni wszelkiego rodzaju. Jego ochrona plus ci, których skaptował, byli ślepo lojalni wobec niego i tylko niego. Dla Karsta priorytetem był Karst, tak przynajmniej uważała Lain.

Szef ochrony zakrzyknął głośno z wyraźną drwiną:

– Wydostałaś nawet staruszka z jego grobu! Czy to nostalgia, Lain? A może coś więcej?

– Wyciągnęłam go z klatki w sektorze Guyena – oznajmiła Lain. – Siedział tam wiele dni. Najwyraźniej nie wiedziałeś.

Karst spojrzał na nią wilkiem, a potem na Holstena, który potwierdził to skinieniem głowy. Nawet Vitas zdawała się niezbyt zaskoczona, na co szef ochrony podniósł ręce w geście rezygnacji.

– Nikt mi, kurwa, nic nie mówi – warknął. – No, no, to jesteśmy w komplecie. Pięknie, kurwa, pięknie. To może zaczniesz gadać.

– A co tam u ciebie, Karst? – powiedział cicho Holsten, zaskakując wszystkich, włącznie z Lain.

– Serio? – Brwi szefa ochrony zetknęły się z kudłatą czupryną. – Naprawdę chcesz iść w pogaduszki?

– Chcę się dowiedzieć, jak to w ogóle możliwe, to... to, co Lain mi powiedziała. – Holsten postanowił, że nie będzie wyłącznie przytakiwał pani inżynier. – Znaczą się... jak długo to wszystko trwa? To przecież... szaleństwo. Guyen ma swój kult? Ciągnie to przez ile? Dziesięciolecia? Pokolenia? Po co? Mógł to przecież omówić z podstawową załogą. – Podchwycił zmieszane spojrzenia pozostałych. – A może... no dobra. Więc może tak się właśnie stało. Jak sądzę, nikt nie zaliczył mnie do podstawowej załogi i nie pofatygował się, żeby mnie zaprosić na to spotkanie.

– Przecież nie było niczego do tłumaczenia z obcych języków – powiedział Karst, wzruszając ramionami.

– Odbyliśmy wtedy wyczerpującą debatę – dodała cierpko Vitas. – Zdecydowano jednak, że w tym procesie jest zbyt wiele niewiadomych, szczególnie jeśli chodzi o skutki dla *Gilgamesza*. Ja osobiście byłam za eksperymentami i próbami.

– Więc co? Guyen ustawił sobie wcześniejsze wybudzanie, wy dostał ekipę zastępczą z ładunku i ruszył do pracy? – zaryzykował Holsten.

– Wszystko było już ustawione, kiedy mnie obudził. I mówiąc szczerze, nie będę udawał, że zrozumiałem te techniczne szczegóły. – Karst znowu wzruszył ramionami. – Ale potrzebował mnie, żebym wyłapywał ludzi, którzy uciekali z tego jego religijnego obozu zamkniętego. Stwierdziłem, że najlepsze, co mogę zrobić, to zająć się moim zespołem i dopilnować, żeby nikt nie położył łapy na broni. To co, Lain, teraz potrzebujesz broni? O to chodzi?

Lain rzuciła okiem na Holstena, żeby sprawdzić, czy znów będzie się spierał, po czym przytaknęła.

– Chcę, żeby twoi ludzie nam pomogli. Chcę powstrzymać Guyena. Statek

się rozpada, jeszcze chwila, a główne systemy zostaną nieodwracalnie uszkodzone.

– To ty tak twierdzisz – odparł Karst. – Guyen mówi, że kiedy mu się to uda... no, to, co tam majstruje, wtedy wszystko wróci do normy – on wejdzie w komputer albo zostanie na niego skopiowany i będzie pięknie i cudownie.

– I to jest możliwe – dodała Vitas. – Nie pewne, ale możliwe. Dlatego musimy porównać potencjalne zagrożenie, jakie płynie zarówno z planu Guyena, jak i prób jego przerywania. Nie jest to proste.

Lain przyglądała się po kolei twarzom zebranych.

– A jednak obydwójcie się tu stawiliście, o czym, założę się, Guyen nie ma pojęcia.

– Wiedza to potęga – zauważyła Vitas ze spokojem.

– A co by było, gdybym powiedziała, że Guyen ukrywa tę wiedzę przed wami? – naciskała Lain. – Co z przekazami z kolonii księżycowej? Słyszeliście coś stamtąd ostatnio?

Karst spojrział z ukosa na Vitas.

– Taa? A niby co mają do powiedzenia?

– Bardzo niewiele, kurwa. Bo wszyscy nie żyją. – Lain uśmiechnęła się ponuro w ciszy, jaka zapadła po tych słowach. – Zginęli jeszcze wtedy, kiedy lecieliśmy do układu szarej planety. Wzywali nas, ale Guyen przechwycił transmisje. Mówił wam o tym? Mnie z całą pewnością nie. Zupełnie przypadkowo odkryłam zarchiwizowane wiadomości.

– Co się z nimi stało? – zapytał niechętnie Karst.

– Umieściłam te transmisje w systemie, gdzie będziecie mieli do nich dostęp. Przekażę je wam. Ale pospieszcie się. Obecnie niezakodowane dane bardzo szybko znikają – dzięki pozostałościom Guyena w systemie.

– Jasne, pewnie, ale on wini za to ciebie. Albo czasem Kern – zauważył Karst.

– Kern? Zjawę z satelity? – zapytał głośno Holsten.

– Była w naszych systemach – zauważyła Vitas. – Możliwe, że zostawiła jakiś widmowy twór, żeby nas monitorować. Guyen tak myśli. – Skrzywiła się nieznacznie. – Ma lekką obsesję. Wierzy, że Kern stara się go powstrzymać. – Skłoniła się głęboko w stronę Lain. – Kern i ty.

Lain skrzyżowała ramiona na piersi.

– Karty na stół. Kurwa, nie widzę żadnej korzyści w tym, żeby Guyen stał się nieśmiertelną istotą w naszym systemie komputerowym. W gruncie rzeczy

widzę tylko same minusy, niektóre mogą być zgubne dla nas, dla statku i całej rasy ludzkiej. Ergo – musimy go powstrzymać. Kto jest za? Holsten jest ze mną.

– No, kurde, skoro masz jego, to do czego my ci jesteśmy potrzebni? – warknął Karst.

– On jest członkiem podstawowej załogi.

Wyraz twarzy Karsta dobitnie świadczył o jego zdaniu w tej kwestii.

I do tego jestem jej potrzebny? Mam przeważyć w tym sporze na jej korzyść – niepytany?! – zastanawiał się Holsten markotnie.

– Wyznaję, że jestem ciekawa wyniku eksperymentu dowódcy. Możliwość zachowania ludzkiego umysłu w formie elektronicznej z całą pewnością byłaby korzystna – oznajmiła Vitas.

– Chcesz zostać narzeczoną Guyena? – zapytał Karst, a ona aż podskoczyła i posłała mu złe spojrzenie.

– Karst? – ponagliła Lain.

Szef ochrony uniósł ręce.

– No nie, nikt mi tutaj niczego nie mówi. Wszyscy chcą tylko, żebym robił swoje i nie zadawał pytań. Ja? Ja jestem za moimi ludźmi. Teraz Guyen otacza się tymi dziwolągami, którzy od kołyski uważają go za pieprzonego mesjasza. Ty masz garstkę przyzwoicie wyposażonych i przeszkolonych ludzi, ale nie można o nich powiedzieć, że to oddział komandosów. Zadrzesz z Guyenem i będzie po tobie. Ja nie jestem jakimś jebanym naukowcem czy kimś w tym rodzaju, ale wedle mojej rachuby nie mam interesu w tym, żeby ci pomagać, bo moi na tym ucierpią.

– Ale masz wystarczająco dużo broni, żeby pohamować ludzi Guyena.

– To żaden powód – stwierdził Karst.

– Ale jeśli to ja mam rację i Guyen doprowadzi do zniszczenia systemów statku, próbując na siłę wcisnąć swoje pieprzone ego do naszych komputerów, to będziemy mieli przechłapanie.

– Znów to tylko twoje zdanie. On uważa inaczej – odparł Karst z uporem. –

Słuchaj, masz jakiś plan, który ma szansę powodzenia, a nie tylko: „niech Karst odwali całą robotę”? Przedstaw mi go, a może cię posłucham. Do tego czasu... – Machnął lekceważąco ręką. – To, co masz, nie wystarczy, Lain. Nie masz szans i nie masz argumentów.

– W takim razie daj mi broń. – Lain nie ustępowała.

Karst westchnął ciężko.

– Obecnie mam jedną podstawową zasadę: nikt nie dostanie broni. Martwiłaś się o zniszczenia, jakie spowodują poczynania Guyena? Cóż, nie chwytam tego. Ale co ze zniszczeniami, kiedy wszyscy zaczną do siebie strzelać i dziurawić statek? O, tak, to już rozumiem. Wystarczył nam jeden bunt. Jak mówiłem, wróć do mnie, kiedy będziesz miała coś więcej.

– W takim razie daj mi zakłócacze.

Szef ochrony pokręcił głową.

– Słuchaj, przykro mi to mówić, ale wciąż nie uważam, że masz jakiegokolwiek szanse, żeby to wygrać. A Guyen nie będzie się patyczkował i drapiąc w głowę, dumał, skąd te wszystkie trupy miały nowe zabawki. Daj mi konkretny pomysł. Pokaż, że jesteś w stanie to przeprowadzić.

– A więc pomożesz mi, kiedy pokażę ci, że praktycznie cię nie potrzebuję? Wzruszył ramionami.

– No to skończyliśmy, prawda? Powiadom mnie, kiedy będziesz miała jakiś plan, Lain. – Odwrócił się i wyszedł kołyszącym się krokiem przy wtórze delikatnego zgrzytu zbrojonych płyt pancerza.

Po wyjściu Karsta i Vitas Lain opanowała zimna furia; zaciskała i rozprostowywała palce.

– Co za zadufane i wierzące w swoją nieomyślność pojeby! – rzuciła. – Wiedzą, że mam rację, ale to sprawka Guyena – przywykli robić to, co im ten pieprznięty sukinsyn każe.

Spojrzała wilkiem na Holstena, jakby rzucała mu wyzwanie, by zanegował jej opinię. W gruncie rzeczy on poniekąd rozumiał stanowisko Karsta, ale najwyraźniej nie to chciała od niego usłyszeć Lain.

– No i co zrobisz? – zapytał.

– Och, zrobimy bardzo wiele – zarzekała się Lain. – Niech sobie Karst trzyma tę swoją drogocenną broń pod kluczem. Mamy działający warsztat i już zaczęłam produkcję broni. Nie będzie może zbyt piękna, ale lepsza niż noże i pałki.

– A Guyen?

– Jeśli ma trochę oleju w głowie, będzie robił to samo, ale ja jestem w tym lepsza. W końcu jestem inżynierem.

– Lain, jesteś pewna, że chcesz wojny?

Zamilkła. Spojrzenie, jakim obdarzyła Holstena, pochodziło z innych czasów – było to spojrzenie męczennicy, wojowniczej księżniczki z dawnych

legend.

– Holsten, nie chodzi tylko o to, że nie lubię Guyena. Nie chodzi o to, że chcę zająć jego pozycję albo że uważam go za wcielenie zła. Podeszłam do tego jak profesjonalistka i uważam, że jeśli rozpocznie proces wprowadzania swojego umysłu do systemu, spowoduje przeładowanie komputerów *Gilgamesza*, wywołując śmiertelną kolizję naszej technologii z tym, co odzyskaliśmy po Imperium. A kiedy to się stanie, zginą wszyscy. I mówię to wyraźnie: wszyscy. Nie obchodzi mnie, że Vitas chce zebrać materiały dla nieistniejącej potomności ani też że Karst nie chce się zgodzić, bo nie zna, kurwa, konkretnych planów. To wszystko spoczywa na mnie – na mnie i mojej załodze. Masz szczęście. Obudziłeś się późno i potem zasiedziałeś się w klatce. Niektórzy z nas zmagają się z tym od dłuższego czasu, próbując to wszystko odwrócić. I teraz jestem praktycznie osobą wyjętą spod prawa na własnym statku, w otwartym konflikcie z dowódcą, którego szaleni fanatyczni wyznawcy zabiliby mnie z miejsca. I zamierzam poprowadzić moich inżynierów do prawdziwej *walki*, i zacząć *zabijać*, ponieważ jeśli ja tego nie zrobię, Guyen zabije nas wszystkich. To jak, jesteś ze mną?

– Wiesz, że tak. – Słowa te zabrzmiały niepewnie i głucho w uszach samego Holstena, ale Lain najwyraźniej wzięła je za dobrą monetę.

Zostali zaatakowani, kiedy wkraczali na teren, który Lain uważała za swój. Wnętrza *Gilgamesza* wymagały nietypowej taktyki – była to sieć niewielkich pomieszczeń i przejść tworzących przestrzeń dla załogi, zakrzywioną i biegnącą wokół stanowiącej trzon maszynierii. Właśnie dotarli do ciężkich drzwi, które, jak spodziewała się idąca na czele Lain, miały otworzyć się automatycznie. Kiedy zacinając się, rozsunęły się na cal i zatrzymały, inżynierowie jeszcze niczego nie podejrzewali. Holsten pomyślał, że przy obecnym stanie statku gdzieś zawsze musi się coś zepsuć.

Kiedy jeden z nich ze skrzynką otworzył panel sterowania, Holsten usłyszał:

– Szefowo, ktoś przy tym majstrował.

Nagle kłapa włazu u góry spadła z łoskotem i wyskoczyło z niego trzech oberwańców, wyjących jak potępieńcy.

Mieli długie noże – najwyraźniej nie ze zbrojowni, więc Guyen improwizował – ale zaatakowali w amoku. Holsten zobaczył, jak jedna kobieta od Lain zatacza się do tyłu, bryzgając krwią z szerokiej rany tułowia,

a reszta w tym samym momencie zwarła się z napastnikami w śmiertelnej walce.

Lain wyjęła broń, ale nie mogła wycelować. Dopiero po chwili jej się to udało, kiedy sześcioro kolejnych napastników nadbiegło z kierunku, z którego przyszli. Broń szczeknęła trzykrotnie, a zamknięta przestrzeń spotęgowała huk. Jedna z postaci w szarych szatach została odrzucona do tyłu, a jej okrzyk bitewny przeszedł we wrzask bólu.

Holsten tylko się uchylił i zakrył głowę rękami, widział teraz wyłącznie kolana i stopy walczących. Jako historyk z krwi i kości pomyślał: *Tak właśnie musiało się dziać na Ziemi pod sam koniec, kiedy wszystko było już stracone. Uciekliśmy z Ziemi, żeby tego uniknąć. Ale to przez cały czas podążało naszym śladem.* Nagle ktoś kopnął go w brodę, pewnie całkowicie przypadkowo. Padł na ziemię jak długi, a oni tratowali go i kopali w ogniu walki. Widział, jak ktoś wytrącił Lain broń z ręki.

Ktoś spadł mu na nogi całym ciężarem ciała i poczuł, jak wykręca mu kolano do granic wytrzymałości, w całym tym zamieszaniu ból był szokująco wyrazisty i natarczywy. Szarpał się, żeby się uwolnić, i okazało się, że wściekle kopie przygniatające go ciało jednego z szalonych mnichów Guyena. Jego umysł, tymczasowo utraciwszy iluzję kontroli, zastanawiał się, czy dowódca obiecał swoim pomagierom jakąś wyimaginowaną nagrodę po śmierci i czy ta obietnica mogłaby pocieszyć kogoś z dziurą w bebeczach.

Nagle był wolny i opierając się o ścianę, podnosił się na nogi. Skręcone kolano opierało się wściekle, nie chcąc przyjąć na siebie jego ciężaru, ale był tak napompowany adrenaliną, że przewyciężył i to. Stał o dwa kroki od walczących, gdzie też został pochwycony. Bez ostrzeżenia dwóch wielkich drabów Guyena dopadło go i w dłoni jednego z nich dostrzegł błysk ostrza. Krzyknął coś o darowaniu życia, a oni w odpowiedzi cisnęli nim o ścianę na wszelki wypadek. Był przekonany, że za chwilę zginie, wyobraźnia podpowiadała mu najgorsze możliwe scenariusze, gdy starał się przygotować na pchnięcie, widząc w duchu całe to zdarzenie w najdrobniejszych szczegółach. Przeżywał wzbudzający mdłości impet uderzenia, chłodną ostrość noża, ciepły strumień krwi, gdy wszystkie jego narządy, tak długo więzione pod skórą, w końcu skorzystają z okazji, by się wyzwolić.

Przeżywał to wszystko w myślach. Po chwili jednak zorientował się, że cios nie padł. Draby ciągnęły go z dala od walczących, nie bacząc na to, że wlecze nogami po ziemi i się potyka. Poczuł ukłucie grozy – jakby to było

dużo gorsze od zadźgania nożem – kiedy uświadomił sobie, że nie była to tylko zwykła potyczka w starciu Guyena z Lain.

Najwyższy kapłan *Gilgamesza* odzyskiwał swoją własność.

5.4 PRAWO DO ŻYCIA

Fabian staje przed obliczem Portii po tym, jak eskorta doprowadza go do domostwa. Na jego widok czuje mieszaninę ulgi i irytacji. Nie było go prawie cały dzień. Teraz zostaje wprowadzony do pomieszczenia o krzywych ścianach głęboko w siostrzanej siedzibie, gdzie Portia zwisa z sufitu i się denerwuje.

Nie pierwszy raz uszedł swoim opiekunom i wyruszył w nieznanym kierunku, ale dzisiaj odnaleziono go w dolnych partiach Wielkiego Gniazda, najbliższej gruntu, w miejscu, gdzie wałęsają się wygłodniałe samice, które albo nie mają siostrzanych grup, albo je opuściły, gdzie mają lokum rozbiegane chmary kolonii porządkowych, których owadzia populacja utrzymuje ład w mieście, gdzie rezyduje mrowie pozbawionych opieki i niechcianych samców.

Dla kogoś takiego jak Fabian było to idealne miejsce, by umrzeć.

Portia jest wściekła, ale wyraźnie daje się odczuć jej prawdziwy strach o jego życie, co widać po chaotycznej mowie ciała. *Mogłeś tam zginąć!*

Sam Fabian jest bardzo spokojny. *Owszem, mogłem.*

Czemuś tam polazł? – pyta stanowczo.

Byłaś tam kiedykolwiek? Wchodzi do pomieszczenia, widząc wbite w siebie nieruchome spojrzenie okrągłych oczu. Z tej pozycji w jednej chwili mogłaby skoczyć na niego i unieruchomić. Panuje między nimi dziwne napięcie niczym między łowczynią i ofiarą, samicą i samcem.

Ziemia tam na dole jest usłana płataniną porwanych jedwabnych nici, mówi jej. *Pełno tam skleconych z resztek chat, w których co noc śpi po tuzin samców. Żyją jak zwierzęta, z dnia na dzień. Łowią mrówki i same są ich zwierzyną. Ziemia jest też usłana wyschniętymi pancierzami znaczącymi miejsca, w których pożywiały się samice.*

Słowa Portii z dudnieniem dochodzą do niego po ścianach pomieszczenia: *To kolejny powód, żebyś był wdzięczny za to, co masz, i nie wystawiał się na niebezpieczeństwo.* Jej nogogłaszczki migają w furii.

Mogłem zginąć, powtarza, naśladowując jej postawę i tym samym idealnie oddając jej intencję. *Mogłem przeżyć tam całe swoje życie bez wspomnień*

czy osiągnąć. Co różni mnie od tamtych?

Jesteś wartościowy, upiera się Portia. Jesteś samcem o niezwykłych umiejętnościach, które należy doceniać, chronić i pielęgnować. Czy odmówiłam ci czegokolwiek, o co prosiłeś?

Tylko jednego. Robi kilka ostrożnych kroków naprzód, jakby dotykał nici sieci, którą tylko on dostrzega. Jego nogogłaszczki poruszają się leniwie. Podchodzi w płasie niemal przypominającym umizgi, choć nacechowanym goryczą. Ich bezgłośny język posiada wiele subtelnych odcieni. Są tacy jak my i wiesz o tym dobrze. Nie możesz wiedzieć, do czego byliby zdolni, gdyby pozwolono im żyć normalnie i się rozwijać.

Przez chwilę Portia nawet nie pojmuje, o co mu chodzi, ale widzi, że jego myśli wciąż krążą wokół stada skazanych na zagładę samców, które nigdy nie dojdą wyżej niż do korzeni drzew.

Nie są nic warci, nie ma z nich pożytku.

Nie możesz tego wiedzieć. Może codziennie kona tam z dziesięciu geniuszy, którzy nigdy nie mieli okazji zademonstrować swych zdolności. Myślą tak samo jak my. Planują, mają nadzieję i boją się. Wystarczy ich zobaczyć, a ta łączność staje się jasna. To moi bracia. I twoi również.

Portia zaprzecza gwałtownie. Gdyby byli coś warci, wspięliby się na wyżyny za sprawą swych zalet.

Przecież nie ma drabiny, po której mogliby się wspinać. Cała struktura społeczna odrzuca ich istnienie. Portio, mogłem zginąć. Sama tak powiedziałaś. Mogła mnie schwytać jakaś wygłodniała samica i nikt by nawet słowa nie powiedział, tylko ty byłabyś zła. Podszedł bliżej i Portia czuje przypływ drapieżnych instynktów, jakby jakiś ślepy owad zawieruszył się za blisko, prosząc się o cios.

Zbliża tylne odnóża i napina mięśnie do skoku, z czym bardzo usilnie walczy. I tak nie czujesz wdzięczności za to, że myślę o tobie, że chcę cię zachować przy życiu.

Nogogłaszczki Fabiana drgają z irytacją. Wiesz, ilu samców kręci się po Wielkim Gnieździe. Wiesz dobrze, że spełniamy tysiące drobnych funkcji, nawet kilka większych. Gdybyśmy wszyscy razem wyszli z miasta albo gdyby jakaś zaraza wytrzebiła wam wszystkich samców, gniazdo by upadło. A jednak każdy z nas musi się zadowolić tym, co mu dają, co można mu równie szybko odebrać. Każdy z nas żyje w ciągłym strachu, że jego przydatność się skończy i że zostanie zastąpiony przez bardziej zdolnego

tancerza, nowego faworyta, albo że będzie zbyt ponętny i będzie się parzyć, a potem okaże się zbyt powolny, by uciec przed waszymi żądzami.

Tak już jest w życiu. Po kłótni z Biancą Portia jest zbyt zmęczona, by polemizować z kimkolwiek. Ma wrażenie, że jej ukochane Wielkie Gniazdo jest atakowane ze wszystkich stron, a najzacieklej przez tych, którzy powinni być jej sprzymierzeńcami.

Życie jest takie, jakie sobie stworzymy. Nagle jego poza się zmienia i zaczyna bokiem od niej odchodzić, poluzowując napiętą nić, która rozciągała się między nimi. Wcześniej pytałaś o moje odkrycie. O moje wielkie przedsięwzięcie.

Tańcząc, jak jej zagra, Portia schodzi ze swej grędy, odnóże za odnożem, jednocześnie zachowując bezpieczną odległość. Mów dalej, sygnalizuje nogogłaszczkami.

Wynalazłem nowy związek chemiczny. Jego zachowanie zmienia się diametralnie, znika intensywność, jaka cechowała je kilka chwil temu. Teraz zdaje się obojętny, intelektualnie chłodny.

W jakim celu? Portia podchodzi bliżej, a on znów odstępkuje na kilka kroków; nie ucieka przed nią, lecz sunie po niewidzialnej sieci własnego pomysłu.

W każdym celu. I zarazem w żadnym. Nowa struktura sama w sobie nie zawiera żadnych instrukcji, żadnych poleceń. Nie wyznacza mrówkom wzorców zachowań ani zadań.

W takim razie jaki z niej pożytek?

Fabian zatrzymuje się i znów spogląda na nią, zwabiwszy ją blisko. Może zdziałać wszystko. Wtórny związek może być rozprowadzony w kolonii, funkcjonując w obrębie pierwotnego. I kolejny, i jeszcze jeden. Kolonia otrzymuje nowe zadanie w jednej chwili, a jej członkowie zmieniają polecenia z prędkością rozchodzenia się zapachu, przekazując je z mrówki na mrówkę. Można przydzielić różnym kastom różne instrukcje, co pozwoli kolonii wykonywać zadania różnego typu w tym samym czasie. Pojedyncza kolonia wykonywałaby sekwencje oddzielnych zadań bez potrzeby długotrwałej reorganizacji. Kiedy mój podstawowy związek zostanie zaszczerpiony na miejscu, każda kolonia może zostać przekonfigurowana do każdego nowego zadania tak często, jak potrzeba. Wydajność prac mechanicznych zwiększy się dziesięciokrotnie w zależności od wydajności wtórnego związku.

Zaskoczona Portia zamiera w bezruchu. Wystarczająco dobrze rozumie, jak działa organiczna technologia jej gatunku, by pojąć doniosłość tego, co proponuje Fabian. Jeśli można tego dokonać, Fabian przewycięży główny czynnik ograniczający, który nie daje spokoju Świątyni i uniemożliwia realizację planu Emisariuszki. Przełom wpłynie na postęp ich gatunku. *Masz już to Zrozumienie?*

Mam. Pierwotny związek jest zaskakująco prosty. Wszystko opiera się na tworzeniu związków złożonych ze związków prostych. Przypomina to budowanie sieci. Mam również sposób na tworzenie wtórnych związków, pasujących do wszelkich zadań. To jest jak język, zwarty, matematyczny język. Podchodzi na kilka kroków, jakby się z nią drażnił. Spodoba ci się. Jest równie piękne jak pierwsze Przesłanie.

Musisz natychmiast przekazać mi to Zrozumienie. Przez chwilę Portia czuje silną potrzebę połączenia się z nim, by wchłonąć jego materiał genetyczny wraz z nowym Zrozumieniem i jednocześnie ustanowić pierwsze z kolejnych pokoleń, które będzie rządziło światem. Może powinna kazać mu wydestylować tę nową wiedzę, żeby mogła wypić destylat i sama wszystko pojąć, zamiast zostawiać ją dla potomstwa, ale sama myśl zdaje się przerażająca. Jakże będzie wyglądać świat, kiedy Fabian odda jej tajemnicę stanowiącą klucz do przyszłości?

Fabian nic nie mówi. Szura odnóżami i nogogłaszczkami sygnalizuje dziwną rezerwę.

Fabianie, musisz przekazać mi Zrozumienie, powtarza Portia. Nie pojmuję, jak mogłeś wystawiać się na niebezpieczeństwo, posiadając taką wiedzę.

Podchodzi całkiem blisko, niemal w zasięg jej przednich odnóży. Jest mniej więcej o połowę od niej mniejszy – słabszy, wolniejszy, bardziej bezbronny, choć tak niezwykle cenny!

Tak niepodobny do reszty moich braci? Jakby czytał jej w myślach. Wcale nie albo po prostu tego nie wiesz. Ile Zrozumień zniknęło dzisiaj bezpowrotnie wraz z nimi?

Nie ma drugiego takiego jak twoje, odpowiada mu od razu.

Nigdy się nie dowiesz. Na tym polega problem ignorancji. Nigdy nie poznasz rozmiarów swojej niewiedzy. Nie zrobię tego.

Aż ją odrzuciło. Mów jaśniej.

To zginie wraz ze mną. Nie będę destylował tego Zrozumienia. Podejmę

kroki, żeby nie odebrano mi go siłą. Ponieważ oczywiście były na to odpowiednie chemiczne środki.

Dlaczego miałbyś robić coś takiego?

Fabian patrzy wprost w oczy Portii. *Chyba że...*

Chyba że co? – ponagła.

Jesteś najwyższą kapłanką Wielkiego Gniazda. Myślę, że nie ma bardziej wpływowej samicy, mówi Fabian, wciąż bacznie ją obserwując.

Chcesz się parzyć...? – zaczyna ostrożnie, ponieważ z niejaką trudnością przychodzi jej wyobrażenie sobie, czego on naprawdę chce oprócz tego, co ma na wyciągnięcie odnóza.

Nie. Chcę, żebyś poszła do swego domostwa i do Świątyni oraz innych matron Wielkiego Gniazda i powiedziała im, że ustanawiasz nowe prawo. Powiedz, że zabicie samca będzie czynem równie odrażającym jak zabicie innej samicy. Powiedz, że moi bracia zasługują, by żyć.

Portia znowu zamiera w bezruchu, ponieważ owszem, w przeszłości istniały szalone adeptki filozofii, które mogłyby przedstawić tego rodzaju pomysł jako ćwiczenie intelektualne, i są też inne miasta, w których samce wzięły na siebie więcej prac po spustoszeniach, jakie poczyniła zaraza, i później nie dały za wygraną. Ale to nie Wielkie Gniazdo – w Wielkim Gnieździe panują inne obyczaje, prawdziwa droga Emisariuszki.

Czuje, jak wewnątrz niej biologia toczy walkę z tradycją. W umyśle jakaś część, w której tkwi nanowirus, podpowiada jej, że wszyscy jej pobratymcy należą do jednego gatunku w sposób, w jaki inne stworzenia się od nich różnią, a jednak brzemień społecznych uwarunkowań tłamsi ten głos. Samce mają swoje miejsce – wie o tym.

Nie bądź głupi. Nie możesz zrównać każdego durnia, każdego pełzającego samca z sobą. Oczywiście jesteś chroniony i ceniony za swoje osiągnięcia. To naturalne, że zasługi są nagradzane. Ale wielkie stado samców pod nami, ta nadwyżka, do czego one się nadają? Co z nich za pożytek? Ty jesteś wyjątkowy. Jakaś samicza część dostała się do twego jaja i uczyniła cię takim, jaki jesteś. Ale nie możesz oczekiwać, że moje siostry obejmą ochroną każdego samca w mieście wyłącznie z twego powodu. Co miałybyśmy z nimi robić?

Zatrudnić ich do pracy. Poszukać ich mocnych stron. Szkolić. Wykorzystać. Najwyraźniej Fabian dłużej się nad tym zastanawiał.

Wykorzystać ich? Do czego? Co mieliby robić?

Nigdy się nie dowiesz, jeśli nie sprawdzisz.

Aż się cofnęła w irytacji, na co on sam odruchowo się skulił, czując chwilowy przypływ przerażenia. Nie zaatakowałaby go, ale przez moment się zastanawia, czy ten nagły lęk nie przeważy szali na jej korzyść. Kiedy jednak Fabian sadowi się na drugim końcu komnaty na wprost niej, zdaje się jeszcze bardziej zdecydowany.

To, o co prosisz, to jakieś wynaturzenie, mówi surowo, starając się zapanować nad sobą.

Nic, co robimy, nie jest naturalne. Gdybyśmy postępowali zgodnie z naturą, wciąż polowalibyśmy w głuszy na plwaczy albo padali ofiarą mrówczych żuwaczek, zamiast tworzyć nasz świat. Z wynaturzenia uczyniliśmy prawdziwą cnotę.

Nie ufa sobie na tyle, żeby mu odpowiedzieć, więc śmiga obok niego, niemal go przewracając. *Dojdiesz do właściwych wniosków,* mówi w końcu Fabianowi, zatrzymując się w drzwiach, żeby wytupać swój gniew. *Porzucisz te mrzonki.*

Fabian odprowadza ją wzrokiem, a w jego oczach pojawia się buntownicza iskra.

Nie może tak po prostu wyjść z domostwa. Z prawdziwej troski o jego bezpieczeństwo Portia wydała polecenie, żeby nie wypuszczać Fabiana. Ona nie uważa tego za uwięzienie – po prostu nie uchodzi, żeby samiec chadzał samopas. Od cenionych samców, które mają opiekę potężnych samic, wymagano, by byli na ich zawołanie albo pracowali skryci przed wzrokiem swych pań. Co do innych samców panowała zasada, że nie tylko z oczu, ale i z serca.

Fabian obchodzi swoją komnatę-laboratorium, wiedząc, że musi wyciąć sobie wyjście, ale boi się wykonać ten nieodwracalny krok. Jeśli wyjdzie stąd teraz, po konfrontacji z Portią, porzuci wszystko, co ma. Ciekawość stanowi nierozzerwalną część pajęczego genomu, ale nie jest dobrze widziana u samców. Fabian walczy z wiekami uwarunkowań.

W końcu pokonuje swą bojaźliwość i wysyła chemiczny sygnał. Wkrótce potem zapach podchwytuje para mrówek ze służb miejskich, które akurat drepczą obok w niekończącym się obchodzie. Cała kolonia została przeprogramowana przez Fabiana, a jego uniwersalny związek chemiczny wchodzi na właściwe miejsce. Nikt niczego nie zauważył, ponieważ wtórne

związki przekazujące kolonii zadania są funkcjonalnie identyczne jak te, które wszczepiono mrówkom pokolenia temu – choć może nieco bardziej elegancko zaprojektowane. Teraz jednak feromony wypuszczone przez Fabiana wpływają na zachowanie tych konkretnych mrówek, sprowadzając je do jedwabnej ściany jego komnaty, w której wycinają schludne wyjście pozwalające mu opuścić domostwo Portii. Uwalnia je po skończonym zadaniu, ruszają więc do swych obowiązków bez świadomości, że zostały przechytrzone. Fabian bardzo pilnie pracował nad swym odkryciem przez ostatnich kilka miesięcy, eksperymentując na całej populacji Wielkiego Gniazda.

Stale słuchał wiadomości pojawiających się w domostwie. Wie, kto wywołuje niepokój Portii, kto kopie pod nią dołki w walce o władzę nad miastem – poza nim oczywiście. Jest samcem, bezbronnym w chwili, w której opuszcza domostwo. Wie, dokąd musi pójść, ale boi się samotnej podróży. Potrzebuje strażnika. Krótko mówiąc, potrzebuje samicy, bez względu na to, jak bardzo będzie tego żałować.

Idealna samica dla Fabiana musi posiadać trzy cechy – musi być intelektualnie przydatna, bo będzie stanowić wartość samą w sobie. Musi znajdować się w niekorzystnej sytuacji, co pozwoli paktować z nią nawet samcowi. Nie może być zainteresowana parzeniem się z nim, bo inaczej zrobi mu krzywdę. Trzecia cecha była ryzykowna i wiedział, że musi zaufać swemu szczęściu. Pierwsze dwie cechy już wskazywały na właściwą towarzyszkę podróży. Fabian wie, kto wywoływał największy strach Portii.

Fabian ma zamiar uwolnić Biancę.

Zatrzymuje się w połowie pnia i spogląda w górę na domostwo, podziwiając złożoną konstrukcję zawieszonych na drzewie komnat i namiotów. Przez chwilę ogarniają go wątpliwości – czy nie powinien skryć się w tych bezpiecznych ścianach i zapomnieć o swoich ambicjach?

I co pomyśli Portia, kiedy go nie zastanie? Reprezentuje wszystko to, co on pragnął obalić, a mimo to lubi ją i szanuje, poza tym zawsze robiła dla niego, co tylko mogła. Wszystko, co osiągnął, zawdzięcza Portii.

Ale nie, to taki rodzaj dobroczynności, od którego musi się uwolnić. Od życia, które całkowicie opiera się na zachciankach innych. Zawsze był zaskoczony tym, ilu samców miało odmienne zdanie i wolało pławić się w luksusach słodkiej niewoli.

Poprzednie wypadki na zewnątrz dały mu szansę na przygotowanie gruntu, a tam, gdzie nie dotarł sam, wysyłał swoich prokurentów. Jego nowy

chemiczny związek pozwala mu wykorzystywać mrówki jako przekazicielki instrukcji, a ich kolonie programują inne kolonie. Nikt jednak nie podejrzewał, jak daleko to zajdzie.

Stosunkowo niedawno podporządkował sobie kolonię więzienną, torując sobie drogę do powstania. Kiedy się tam zjawia, mrówki u wylotu tunelu zbliżają się, machając czułkami i szeroko otwierając żuwaczki. Wpuszcza wyrazisty, prosty zapach, wytrych do ich struktur społecznych, i od razu ma je po swojej stronie. Przy gwałtownej cyrkulacji bodźców zapachowych zmienia ich zachowanie w specyficzny, precyzyjny sposób. Strażnicy tunelu zawracają i wkraczą do kolonii, wypuszczając kaskadę zmodyfikowanej substancji Fabiana wśród swych pobratymców. Fabian idzie za nimi do środka i wygląda to tak, jakby strażnicy stanowili jego gwardię przyboczną.

Odnalezienie celi Bianki pośród innych zatrzymanych trwało jakiś czas. Wielkie Gniazdo nie przetrzymuje długo swoich więźniów. Wykonuje wyroki na samcach i wypędza z miasta samice, ale wraz ze wzmocnieniem dogmatycznego uścisku Świątyni zwiększa się tylko liczba tych, którzy zostali przezeń zmiażdżeni. Nie mogąc skłonić mrówek do zlokalizowania konkretnego więźnia, Fabian ma świadomość upływającego czasu – pewnie już zauważono jego nieobecność w domostwie Portii, choć nikt nie będzie wiedział, dokąd się udał.

Przychodzi mu na myśl, że powinien w jakiś sposób zorganizować próbkę tkanki Bianki, bo potrafił zlecić mrówce, by odnalazła źródło pochodzenia. Fabian często myśli o wielu rzeczach naraz, żeby zaoszczędzić czas.

I wtedy trafia na celę Bianki, która przez chwilę wycofuje się przestraszona i wściekła. Ma wrażenie, że może go zaatakować, nie wysłuchawszy nawet, co ma do powiedzenia.

Przybyłem tu z propozycją, pospiesznie wystukuje odnóżami.

Portia cię wysłała? Bianca jest podejrzliwa.

Nasze drogi się rozeszły.

Znam cię. Jesteś jej podopiecznym, jednym z jej samców.

Fabian zbiera się na odwagę. Musi to powiedzieć, żeby się uwiarygodnić. *Nie należę do niej. Należę wyłącznie do siebie.*

Bianca przygląda mu się uważnie, jakby był zwierzęciem, które dziwnie się zachowuje. *Naprawdę?*

Mam zamiar opuścić Wielkie Gniazdo jeszcze dziś wieczór, mówi jej. Pójdę do Siedmiu Drzew.

Po co? Widać, że jest zainteresowana. Zbliża się.

Bacznie obserwuje jej kły w tym zamkniętym pomieszczeniu. Nie zna Bianki tak, jak zna Portię, nie potrafi ocenić granicy jej tolerancji. *Ponieważ Siedem Drzew zostało odbudowane przez samców. Ponieważ w tym mieście uznano samców za wartościowe jednostki.*

Jej nogogłaszczki trzepoczą cynicznie. *Siedem Drzew to biedne miasto. Tamtejsze samce oddałyby całą swą pozycję za zamknięcie w jednym z siostrzanych domostw Wielkiego Gniazda, tak jak to było twoim udziałem. Życie tam jest ciężkie, jak słyszałam.*

Tak, słyszałaś, powtarza. A jednak ja dokonam odwrotnej zamiany. Będę miał swoje domostwo, choć nie będzie bogate. Oddałbym wszystko, co dostałem od Portii, w zamian za odrobinę własnego miejsca na świecie.

Bianca jest wyraźnie zde gustowana. *Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że zjawiałeś się tutaj wyłącznie po to, by mi to powiedzieć. Życzę przyjemnej podróży.*

Może zechcesz mi towarzyszyć?

W takim razie będziesz musiał poczekać, aż Portia skaze mnie na wygnanie, i mam nadzieję, że czymkolwiek napiętnują mnie mrówki w Siedmiu Drzewach, będą równie wrogo nastawione jak te tutaj, wytupuje Bianca z goryczą.

Ale przecież już kontaktowałaś się z Siedmioma Drzewami. Fabian czuje, że musi to powiedzieć.

Przez chwilę Bianca zamiera w bezruchu. Po jakimś czasie gestem zachęca go, by kontynuował.

Poszedłem do twoich komnat po tym, jak ogłoszono cię heretyczką i pojmano. Przeczytałem kilka węzłkowych ksiąg, w których robiłaś notatki. Pasują do filozofii i ideałów, które, jak meldowali agenci Portii, obowiązują w Siedmiu Drzewach. Widziałem różne rzeczy, fragmenty urządzeń w twojej pracowni. Przyszło mi do głowy, że można skonstruować z nich wiele pożytecznych mechanizmów, a nie tylko teleskopy, z których wytwarzania jesteś znana. Może nawet radio?

Bianca patrzy na niego ciężkim wzrokiem. Jej słowa szybko wychodzą spod odnóży. *Jesteś niebezpiecznym, małym potworem.*

Jestem tylko samcem, któremu pozwolono używać mózgu. Pójdiesz ze mną?

Masz w zanadrzu jakąś sztuczkę, że tak swobodnie sobie łazisz, skoro nie

zjawiłeś się tu z rozkazu Portii, pojmuje Bianca.

To prawda, mam kilka sztuczek w zanadrzu. Mam też takie, z których będą zadowoleni w Siedmiu Drzewach, jeśli tam dotrzemy.

Siedem Drzew, zastanawia się Bianca. Siedem Drzew to będzie pierwsze miasto, które poczuje ukąszenie Wielkiego Gniazda. Wiem, że Portia to planuje, wiem o tym, nawet siedząc tutaj. Możesz nie nacieszyć się swoim nowym domem.

W takim razie pójdę gdzie indziej. Wszędzie, byle nie tutaj. Fabian pomija płasy i tany, żeby nie marnować czasu, bo wie, że w końcu ktoś zacznie go tu szukać albo po prostu sprawdzi, co u Bianki. Może to być nawet sama Portia. Co by powiedziała, widząc dwójkę konspiratorów razem?

No to chodźmy, zgadza się Bianca. Wielkie Gniazdo straciło swój urok, kiedy skurczyło się do tej celi. Pokaż mi swoją sztuczkę.

Pokazuje jej o wiele więcej, bo zamiast wyjść górą do Wielkiego Miasta, Fabian przeprogramowuje dwudziestu strażników i zmienia ich w górników. Osobista mrówcza straż Bianki kopie dla niej tunel, przez który może uciec, i rankiem we dwójkę są już daleko na drodze do Siedmiu Drzew.

5.5 NAJSTARSZY CZŁOWIEK WE WSZECHŚWIECIE

Holsten założył, że znów wpakują go do klatki, ale najwyraźniej sprawy się nieco zmieniły w Wariatkowie. Dziwaczne slumsy utworzone z prowizorycznych przepierzeń i namiotów, które przelotnie widział wcześniej, ponownie go otoczyły. Znów wprowadziły go w zdumienie. Na *Gilgameszu* nie było czegoś takiego jak pogoda, a wszelkie ekstremalne temperatury mogły okazać się zabójcze. A jednak wszędzie ludzie tworzyli schronienia przed nieistniejącymi żywiołami, wieszali koce na linach, wyrwali panele ścienne, by zaznaczyć własne terytorium, które było tak niewielkie, że ledwo można się było tam położyć. Jakby po całych wiekach spędzonych w zimnych trumnach rasa ludzka nie była skłonna wyzwolić się ze swych cel.

Poprzednio przyjrzał się dobrze tylko tym wyznawcom, którzy doglądali jego więzienia. Teraz trzymali go pod strażą w pomieszczeniu, w którym rozpoznał dawne centrum komunikacji. Jakże dawno temu – a zarazem tak niedawno w zapamiętanym czasie – siedział tutaj, starając się zainicjować kontakt z Kapsułą Strażniczą Brin. Teraz konsole zostały złożone – albo wyrwane – a ścian nie było nawet widać przez warstwy obsiadłych je ludzi. Zerkali na niego, owi długowłosi, posępni mieszkańcy arki. Rozmawiali ze sobą. Cuchnęli. Już był gotów ich zniecierpliwić, z wzajemnością, widząc, jak ci zdegenerowani dzikusy zamknięci we wnętrznościach statku z wolna go unicestwiają. Nie potrafił jednak. Rozbroiły go dzieci. Niemal zapomniał o ich istnieniu.

Dorośli zdawali się posiadać irytującą cechę ludzi karmionych przez całe życie strużką kłamstw, która z wolna zmieniała ich twarze, zamykała w masce desperackiego spokoju, jakby potwierdzenia rozpacz i beznadziei, jakie wisały na nich niczym brzemień, i obawy, iż utracą błogosławieństwo Boga. Dzieci jednak – dzieci wciąż były dziećmi. Biły się i goniły, krzyczały i zachowywały tak, jak pamiętał, że dzieci się zachowują, nawet na toksycznej Ziemi, gdzie ich pokolenie nie miało innej przyszłości jak powolna śmierć.

Siedząc tam, obserwował, jak wyglądają z ukrycia, biegną na jego widok, by za chwilę się schować. Widział, jak tworzą swoje małe światy we wspólnej zabawie, niedożywione i kruche oraz *ludzkie* w stopniu, w jakim zdaniem Holstena nie byli ani ich rodzice, ani on sam.

Od Ziemi do tego miejsca wiodła długa droga, ale nie tak długa, jaką on sam przebył od stanu niewinności. Brzemie wiedzy w jego głowie paliło niczym gorejące węgle – świadomość martwej Ziemi, zamrożonych kolonii, gwiazdnego imperium, które skurczyło się do jednego oszalałego umysłu w zimnej satelicie... oraz arki zawłaszczonej przez małpy.

Holsten poczuł, że zaczyna dryfować odcięty od wszelkich emocjonalnych pęt. Odnalazł miejsce, z którego mógł patrzeć naprzód – w stronę przyszłości – i nie dostrzegać niczego, czego mógłby chcieć, skąd żadne niesione nadzieją rozwiązanie nie było nawet w przybliżeniu możliwe. Poczuł się, jakby doszedł do kresu całego użytecznego czasu.

Kiedy napłynęły łzy, kiedy niespodziewanie ramiona zaczęły mu się trząść i nie mógł się powstrzymać, było tak, jakby zawładnęły nim dwa tysiące lat smutku i wywracały go na nice, wyciskając z jego wyczerpanego ciała wszystko, dopóki nie pozostanie w nim już nic.

Kiedy dwóch rosnących mężczyzn przyszło w końcu po niego, jeden z nich dotknął jego ramienia niemal z czułością, by zwrócić jego uwagę. Wciąż darzyli go szacunkiem, jak wtedy, kiedy siedział w klatce, a wybuch emocji zdawał się tylko go pogłębiać, jakby jego łzy i żal były nieskończenie więcej warte niż uczucia któregośkolwiek z nich.

Powiniennem wygłosić przemowę, pomyślał cierpko. Powiniennem wstać i zacząć ich podburzać: Zrzućcie kajdany! Nie musicie żyć w ten sposób! Tylko co ja o tym wiem? W ogóle nie powinno ich tu być, trzech pokoleń okrętowych szczurów zajmujących każdy zakątek, oddychających tym samym powietrzem, zjadających całą żywność. Nie miał w zanadrzu żadnej ziemi obiecanej, do której mógłby ich poprowadzić, nawet zielonej planety. Pełnej pajków i potworów, a w ogóle czy statek przetrwałby taką podróż? Według Lain nie miałby szans. Zastanawiał się, czy Guyen przemyślał, co będzie się działo po jego wyniesieniu. Kiedy zdeprawowana, na poły szalona kopia jego umysłu zostanie załadowana do systemów Gilgamesza, czy będzie przyglądał się obojętnie śmierci swych odzianych na szaro wyznawców? Czy przyrzekł im, że zabierze ich ze sobą do życia wiecznego? Czy będzie go obchodziło, że kiedy te dzieci dorosną, zginą śmiercią głodową, a może nic ich życia zostanie

przerwana nagle, kiedy zawiodą systemy podtrzymywania życia?

– Zabierzcie mnie do niego – powiedział, a oni pomogli mu, bo wciąż utykał.

Obywatele miasta namiotów obserwowali go, jakby miał być ich pośrednikiem, wstawić się u złego bóstwa, do którego być może suplikanci mogli wznosić błagania w imieniu wiernych tylko po wyrwaniu im serca.

Lądowiska wahadłowców należały do największych przestrzeni na pokładzie statku. Jego klatka znajdowała się na jednym z nich, ale więcej niż połowa miejsca była tam zagrożona stertami maszynierii, bękartą chimerą składającą się z urządzeń *Gila* oraz starożytnych relikwii ocalonych ze stacji terraformacyjnej. Przynajmniej połowa tego, na co patrzył Holsten, najwyraźniej nie była podłączona do niczego ani nie spełniała żadnej funkcji – był to tylko odzyskany złom, którego jeszcze się nie pozbyto. W samym środku tego wszystkiego, na krzywym metalowo-plastikowym podwyższeniu z kilkoma schodkami, znajdowało się urządzenie do przesyłu, centrum sieci kabli i przewodów, które wychodziły z przestrzeni wokół trumny otoczonej kordonem maszynierii wspomagającej.

Ale nie tylko. Niektóre z tych urządzeń najwyraźniej utrzymywały Guyena przy życiu.

Siedział na schodach przed maszyną niczym giermek oczekujący na nieobecnego króla albo kapłan u stóp tronu, na którym godna jest zasiadać wyłącznie boska istota. Ale to on był giermkiem i królem w jednej osobie, kapłanem własnej boskości.

Ten widok był namacalnym dowodem na to, że prymitywny kult, którym się otaczał, wciąż potrafił okiełznać technologię *Gila*, a szczególnie ambulatorium. Guyen siedział w tak naturalnej pozie, jakby lada chwila miał wstać i pójść na przechadzkę. Ale tak jak piekielna maszyna była połączona ze statkiem, tak samo podłączony był Guyen. Nosił szaty, pod którymi widać było mundur najwyraźniej połatany z fragmentów innej odzieży, ale ani szata, ani mundur nie mogły ukryć dwóch grubych karbowanych rurek wetkniętych pod żebra ani tego, że jedna z maszyn obok wspomagała jego oddychanie, a oklapłe gumowe worki unosiły się i opadały miarowo. Cieńsze rurki wystawały tuż nad lewym obojczykiem niczym ogniska jakiegoś grzybiczego zapalenia, po czym niknęły w masie urządzeń medycznych i najwyraźniej służyły do oczyszczania krwi. Holsten znał te wszystkie urządzenia jeszcze z domu i wiedział, że przechowywano je na pokładzie *Gila* dla przedłużenia

życia w ekstremalnych przypadkach. Nie spodziewał się jednak, że sam będzie naocznym świadkiem ekstremalnego przypadku. W końcu był najstarszym żyjącym człowiekiem i jeśli ktoś potrzebował tych wszystkich urządzeń, to z pewnością on.

Guyen był ekstremalnym przypadkiem. Pokonał Holstena pod tym względem o dwie długości. Lain mówiła, że Holsten jest stary, ale on sam nie zastanawiał się nad tym. Myślał, że wie, co znaczy to słowo. Ale dopiero Guyen był prawdziwie stary.

Skóra dowódcy miała odcień szarości, jakiego Holsten w życiu nie widział, była obwisła i pomarszczona na twarzy o zapadniętych policzkach i oczodołach. Niemal ukryte oczy nie ogniskowały się na niczym i Holsten nagle spostrzegł, że gdzieś tam maszyna również patrzy za Guyena, jakby zaczął jej przekazywać wszystkie swoje biologiczne funkcje.

– Dowódco. – Zupełnie absurdalnie Holsten poczuł dziwny przypływ szacunku na dźwięk tego słowa, jakby miał się odrodzić w idiotycznym kulcie Guyena. Sam wiek tego człowieka stawiał go poza sprawami ludzi i przenosił w obszar zainteresowania badacza kultury klasycznej.

Warga Guyena drgnęła i gdzieś z wnętrza gniazda tej sfuszerowanej technologii popłynął głos.

– Kto tu? Mason? – Nie był to głos Guyena, na pewno nie. Nie był to głos nikogo konkretnego, brzmiał jak coś, co może przyśnić się komputerowi, który myśli, że jest mądry.

– Dowódco, to ja, Holsten Mason.

Mechaniczny dźwięk, jaki popłynął z głośników, nie był specjalnie ośmielający, jakby reakcja Guyena była zbyt ordynarna, żeby automatyczny tłumacz mógł ją przekazać. To nagle przypomniało Holstenowi, że dowódca nigdy za nim nie przepadał.

– Widzę, że ma pan maszynę... – Holsten badał teren. Nie miał pojęcia, jak działa to urządzenie.

– Nie dzięki tobie – zaskrzeczał Guyen. Wstał gwałtownie, bo jakiś siłownik czy egzozkielet postawił go na nogi bez udziału jego kośćca i absurdalnie zawiesił, tak że zdawało się, iż stoi na palcach. – Uciekłeś z tą swoją dziwką. Mogłem przewidzieć, że nie można na tobie polegać.

– Żadna z podróży, jakie odbywałem, odkąd twoje błazny mnie obudziły, nie była moim pomysłem – wypalił rozgorączkowany Holsten. – Ale mówiąc serio, chyba nie oczekujesz, że będę zadawał pytania po tym, co tutaj

zobaczyłem. Kazałeś ludziom... żyć przez ostatnie sto lat? Umościłeś się tutaj niczym jakiś szurnięty cesarz i oszukałeś tych wszystkich biednych sukinsynów, żeby stali się twoimi niewolnikami.

– Szurnięty, tak? – Holsten przez chwilę myślał, że Guyen rzuci się na niego, po drodze wyrwie sobie te wszystkie rurki, ale dowódca zaraz nieco się uspokoił. – Dobrze, widzę, że to może wyglądać na szaleństwo. Ale był to jedyny sposób. Było tyle pracy. Nie mogłem tak po prostu spustoszyć działu nauki i inżynierów, wykorzystując ich życie tak, jak zużyłem swoje.

– Ale... – Holsten wskazał stertę maszynierii za Guyenem. – Jak to się w ogóle mogło stać? Dobra, rozumiem, ta machina to stara technologia. Będzie wymagała napraw, przeglądów – to pojmuję. Ale nie całego stulecia, Guyen. Jak to możliwe, że robisz to od tak dawna i nie masz wyników?

– To? – zabalgotał Guyen. – Myślisz, że tyle czasu zabrało uruchomienie maszyny?

– No, ja, tego... tak... – Holsten zmarszczył brwi. Najwyraźniej się pomylił. – W takim razie co?

– Naprawiłem cały ten cholerny statek, Holsten. Napęd został ulepszony, system ochrony, osłony kadłuba. Nie rozpoznałbyś specyfikacji *Gilgamesza* – zakładając, że masz jakiegokolwiek pojęcie, jak wyglądała wcześniej.

– Ale... – Holsten zamachał rękami, jakby chciał objąć ogrom tego, o czym mówił ten starzec. – Dlaczego?

– Bo idziemy na wojnę i ważne jest, żeby wszystko było gotowe, kiedy tam dolecimy.

– Na wojnę z... – Nagle zrozumiał. – Z Kern? Z satelitą?

– Tak! – Guyen wykrztusił drżącymi ustami, a mechaniczny głos przy tym jednym słowie spotężniał na tyle, że nie było wątpliwości, że to mówił on. –

Ponieważ widzieliśmy już dość: lodowe światy i szare ohydztwo, które zostawiliśmy za sobą. Ale jest jeszcze zielona planeta, planeta życia, którą nasi przodkowie stworzyli dla nas, i kiedy to zobaczyliśmy, wszyscy pomyśleli: „To będzie nasz dom”. I tak jest! Wrócimy i rozbijemy satelitę, i wreszcie będziemy mogli przestać podróżować. A wtedy to, co tu widzisz, to, co cię tak obraża swoją nienaturalnością, wszyscy ci ludzie – wszystko zostanie naprawione. Powróci normalna służba. Ludzka rasa będzie mogła w końcu się odrodzić po dwóch tysiącach lat. Czy to nie jest warte odrobiny wyrzeczeń i trudów?

Holsten wolno pokiwał głową.

– Owszem, myślę... myślę, że tak.

– A kiedy wszystko zostanie wykonane, stracę ich wszystkich, tak jak specjalistów z ładunku, Mason! Bo zmarli ze starości! Wziąłem więc ich potomków i kazałem uczyć, ukazałem im swoją wizję – *zaprzągłem* ich do tego! – a potem rozpoczęliśmy przygotowania do obrony przed atakami satelity. Dlaczego więc nie miałem wrócić do tego urządzenia i nie spróbować go uruchomić? Myślisz, że to wszystko zdarzyłoby się bez mojego udziału? Rozumiesz, jak ważna jest jedna spójna wizja? To nie jest coś, co można powierzyć jakiemuś komitetowi, tu chodzi o przetrwanie rasy ludzkiej. A ja jestem stary, Mason. Nikt nie pracował ciężiej ode mnie i jestem na krawędzi upadku. Każdy lek, jaki mamy, jest potrzebny, by mój organizm funkcjonował, a praca wciąż nie jest skończona. Muszę wszystkiego dopilnować. Załaduję się do tej maszyny, Mason. To jedyny sposób, żeby mieć pewność.

– Chcesz być nieśmiertelny. – Miało to zabrzmieć jak oskarżenie, ale wyszło inaczej, jakby miało znamiona podziwu.

Rozległ się upiorny odgłos dławienia i przez chwilę Holsten myślał, że Guyen kona. Ale nie – to był śmiech.

– Myślisz, że tak właśnie jest, Mason? Ja naprawdę umieram. Maszyna tego nie zmieni. To „ja” wewnątrz mnie skona. I to wkrótce, zanim znów zobaczymy zieloną planetę. Nie mogę już nawet wrócić do zawieszenia. Nie ma mowy, żebym się kiedykolwiek obudził. Ale teraz uruchomiłem maszynę. Mogę zachować mojego dublera, żeby się upewnić, że wszystko się uda. Nie jestem jakimś oszalałym dyktatorem, Holsten. Nie jestem wariatem opanowanym obsesją boskości. Dostałem zadanie: zaprowadzić ludzkość do nowego domu. Nie ma nic ważniejszego. Ani moje życie nie jest ważniejsze, ani twoje.

Holsten żałośnie zdał sobie sprawę, że wskazówka jego kompasu moralnego wiruje jak szalona.

– Lain uważa, że zniszczysz systemy *Gila*, jeśli tego spróbujesz. Mówi, że kopie twoich królików doświadczalnych szaleją w softwarze.

– Ja jestem królikiem doświadczalnym – warknął Guyen. – Wszystko, co jest w systemie, to moje odrzuty. Ale żaden z wcześniejszych eksperymentów się nie powiódł. Żaden z nich nie stał się mną – wystarczającym odbiciem mnie. A co do ciebie, to niewiele pracy byłbym w stanie z ciebie wycisnąć, zanim znów zacząłbyś myśleć o dupie Maryni. Być może na tym polega cała ironia. Maszyna jest gotowa. Mogę dokończyć ładowanie i nieważne, czy umrę. Kiedy umrę, też nie ma znaczenia. Co do tego, co mówi Lain, *Vitas* nie

uważa, że to zniszczy komputer. Ona chce, żebym to zrobił.

Na liście krzepiących zapewnień Holstena to ostatnie zdanie nie występowało.

– Lain jest pewna, że to będzie katastrofa.

– Lain nie wie. Myśli w małej skali, brak jej poświęcenia – warknął znowu Guyen, a jego twarz pomarszczyła się niczym zmięta kartka. – Tylko ja potrafię planować tak dalekowzrocznie, żeby udało się nas ocalić, Mason. Dlatego mnie wybrali.

Holsten patrzył na niego. Strażnicy stali w pewnym oddaleniu i spostrzegł, że mógłby skoczyć na zgrzybiałego Guyena i zacząć wyszarpywać z niego te wszystkie rurki, aż natura wzięłaby sprawy w swoje ręce. Ale nie miał takiego zamiaru.

– W takim razie dlaczego mnie odbiłeś, skoro mnie nie potrzebujesz?

Guyen zrobił kilka sztywnych kroków na smyczy systemów podtrzymywania życia.

– Jesteś słynnym historykiem, prawda? Cóż, teraz możesz wykonać kolejny etap swojej pracy, Mason. Masz pisać historię. Kiedy będą się uczyć o tym, jak przyszło nam żyć w tym zielonym świecie, na tej drugiej Ziemi, chcę, żeby poznali prawdę. A więc musisz ją dobrze przekazać. Opowiedz, czego dokonaliśmy. Spisz to. To, co tu robimy, tworzy przyszłość, jedyną możliwą przyszłość, w której ludzkość przeżyje.

5.6 WOJNA O ZASOBY

Struktura pajęczych miast-państw opiera się na licznych kopalniach, choć same pająki nie są górnikami. Mają od tego swoje owady – jest to jedno z zadań, które w naturalny sposób przypadają mrówczym koloniom i które one same wykonują na wiele różnych sposobów. Przez wieki urobku wystarczało dla wszystkich, ponieważ pajęcza technologia nie opiera się na metalach, ważniejsze są dla nich związki chemii organicznej wytwarzane z pospolitych elementów fauny i flory.

I tu się wszystko zaczyna.

Mrówka z kolonii prowadzonej przez Siedem Drzew przedziera się głębiej w ciągu galerii w pewnej odległości od miasta. Kolonia ta rozciąga się wszędzie wokół – kopalnia z przyległościami jest jej domem, a sztolnie są tylko zmodyfikowaną formą takich samych tuneli, jakie mrówki kopią, by powiększyć swoje gniazdo. To prawda, większość kolonii wchodzi na litą skałę i mrówki używają nowoczesnej technologii, by ją pokonać. Ich żuwaczki są wyposażone w metalowe ciosaki, które w połączeniu z różnymi kwasami i innymi substancjami osłabiają kamień. Kolonia sama planuje rozkład kopalni, włącznie z systemem odwadniania i wentylacji, aby stworzyć dogodne miejsce pracy dla setek ślepych górników, którzy tam pracują.

Ta konkretna mrówka bada nowe żyły rudy miedzi w skale. Ruda zostawia ślady, które wykrywają jej wrażliwe czułki, i mrówka pracuje, cierpliwie wgrzając się w miejsca, gdzie ten ślad jest silniejszy, kopiąc cal za cal w stronę kolejnego złoża.

Tym razem nagle przedziera się do kolejnego tunelu.

Zaskoczona, chwilowo nie wie, co robić, i krąży wzdłuż krawędzi, starając się przetworzyć tę nową i niespodziewaną informację. Po chwili doznania zapachowe i dotykowe tworzą precyzyjny obraz otoczenia. Wiadomość jest jasna – ostatnio były tu inne mrówki. Należące do innej, nieznannej kolonii. Jeśli nie ma innych uwarunkowań, mrówki z innej kolonii traktowane są jak wrogowie. Mrówka od razu wysyła sygnał alarmowy, po czym idzie dalej, by zbadać sprawę. Wkrótce natrafia na górników drugiej kolonii i ulegając

przeważającej sile, zostaje szybko zabita. Nieważne – członkowie jej kolonii są tuż za nią, wezwani na pomoc. Rozpoczyna się zażarta walka w ciasnym tunelu, mrówki obu stron biją się bez litości. Żadna z kolonii nie dostała polecenia od pajęczych władców, by przekraczać tę linię, ale natura bierze sprawy we własne ręce.

Druga kolonia, która dosłownie podkopała sieć korytarzy Siedmiu Drzew, została wysłana przez Wielkie Gniazdo w poszukiwaniu nowych pokładów miedzi. Wkrótce potem całe wieki dyplomatycznych zabiegów zaczęły się sypać.

Od pierwszego kontaktu z Emisariuszką wykorzystanie metali znacznie wzrosło, aby pająki mogły nadążyć za złożonymi wykresami zawartymi w boskim planie. Miasta, takie jak Wielkie Gniazdo, które najbardziej żarliwie wypełniają plan Boga, muszą stale poszukiwać nowych złóż metali. Popyt nie nadąża za podażą, otwiera się więc nowe kopalnie – lub przystosowuje.

W konsekwencji kolejne miejsca stają się kością niezgody między rywalizującymi koloniami. Do tego karawany z bogactwami mineralnymi nie docierają tam, gdzie trzeba. Niekiedy całe kolonie górnicze są wysiedlane, rozpędzane lub podporządkowywane innym. Najbardziej tracą na tym małe miasta, które na dodatek nie trzymają się wiernie przesłania. W wyniku tego rozpoczynają się gorączkowe zabiegi dyplomatyczne przy znacznej niewiedzy, co się właściwie dzieje. Otwarty konflikt między pajęczymi miastami jest zjawiskiem niemal nieznanym, ponieważ setki więzów łączą każde miasto z jego sąsiadami. Toczą się walki o dominację, ale do tej pory w historii pajaków zawsze było tak, że musiało istnieć coś, co mogły zdominować. Być może powodował to nanowirus nadal dążący do gatunkowej jedności między tymi, którzy noszą to kainowe piętno. A może dlatego, że potomkowie *Portia labiata* wykształcili sobie pogląd na świat, wedle którego należy unikać brutalnego i bezwzględnego konfliktu.

Wszystko to miało ulec zmianie.

Kiedy w końcu prawda wyszła na jaw i wszystkie zainteresowane strony poznały fakty, przekazniki Wielkiego Gniazda przesyłają ultimatum swoim słabszym sąsiadom. Oskarżają ich o odstępstwo od czystego przekazu i roszczą sobie prawo do podjęcia stosownych kroków, by wprowadzić w życie wolę Boga. Przekazy od Emisariuszki, choć zawsze zawoalowane i dające pole do interpretacji, tym razem są tłumaczone jako zgodne

z proklamacją Wielkiego Gniazda. Z początku z wolna, a potem coraz szybciej ten jawny podział się rozprzestrzenił, od lokalnych różnic do globalnego rozłamu ideologii. Niektóre wierne miasta popierają wizję Wielkiego Gniazda, inne natomiast – te odległe – wysuwają konkurencyjne żądania w oparciu o odmienną interpretację przekazu Emisariuszki. Pewne miasta, które już dawniej zaczęły się odwracać od posłania, obiecują wspierać te, którym zagraża Wielkie Gniazdo, ale same nie są zgodne w swych reakcjach. Jeszcze inne ogłaszają niepodległość i neutralność, a niektóre nawet zrywają kontakty ze światem zewnętrznym. Siostrzane konflikty wybuchają wśród miast-państw, między którymi zawsze dochodziło do tarć, bo zawsze walczyły o terytoria, o pożywienie i przestrzeń życiową.

Do spornych miejsc, w których występowały złoża metali, a które kilkakrotnie zmieniały właściciela, Wielkie Gniazdo wysłało oddziały specjalne. Kolejnym zadaniem, jakie kolonie mrówek będą wykonywały bez specjalnego uwarunkowywania, jest walka z obcymi mrówkami. Kopalniana kolonia nie jest jednak przeciwnikiem dla atakującej kolumny pajęczego wojska wyposażonego w technologię i posiadającego kasty bojowe. W ciągu dwóch miesięcy nieustępliwych walk nie zginął ani jeden pajek, ale ich owadzi poddani byli wycinani tysiącami.

Wielkie Gniazdo może wystawić o wiele większą i bardziej skoordynowaną armię niż jego oponenti, na dodatek lepiej sformowaną i wyszkoloną do wojny, ale te pierwsze miesiące nie przynoszą jednoznacznego wyniku. Kiedy Portia i jej siostry się zbierają, by sprawdzić postępy, stają oko w oko z niewygodną prawdą.

Myślałyśmy, że to załatwi sprawę, rozważa Portia, słuchając, jak jej siostry snują razem kolejne posunięcia – sekwencję kroków, która doprowadzi je... no właśnie, dokąd? Kiedy uzgadniano pierwsze ruchy w sprawie spornych kopalń, cel wydawał się bardzo prosty. Wszyscy wiedzieli, że są w swoim prawie. Wola Emisariuszki musi być spełniona, do tego potrzeba wielkich ilości miedzi – której Siedem Drzew i inne heretyckie miasta prawie nie używały i tylko handlowały nią po paskarskich cenach z Wielkim Gniazdem. Tak więc trzeba przejąć kopalnie. To był prosty cel i mimo przeciwności został zrealizowany stosunkowo szybko i skutecznie.

A jednak najwyraźniej budowanie przyszłości nie jest takie proste. Każda nić łączy się z kolejną i niełatwo jest przestać je splatać. Już agenci Portii w Siedmiu Drzewach i innych miastach wiedzą, że wrogowie Wielkiego

Gniazda tworzą doborowe oddziały, żeby odbić kopalnie, a być może też w innym celu. Tymczasem grupy możnych siostrzyc we wrogich gniazdach toczą podobne debaty na temat tego, co należy zrobić. W każdej radzie zasiadają ekstremistki, które chcą więcej niż tylko zwykłego przywrócenia status quo. Nagle nawoływanie o rozważę niknie w innych głosach.

Wokół Portii są siostry, które twierdzą, że należy zabezpieczyć Wielkie Gniazdo przed nowymi wrogami i tym samym zagwarantować realizację woli ich boskiego stwórcy. Stosują najstarszą ze znanych sztuczek – tworzą ścieżkę, by dojść do miejsca przeznaczenia, tylko że w tym przypadku jest nim trwałe bezpieczeństwo. Paradoksalnie z każdym krokiem w tę stronę bezpieczeństwo maleje. I z każdym kolejnym krokiem koszt tych dążeń rośnie, a działania konieczne, by iść naprzód, stają się coraz bardziej skrajne.

Gdzie to wszystko się kończy? – zastanawia się Portia, ale nie jest w stanie głośno wyrazić swoich wątpliwości. W wyłożonej siecią komnacie zapanował podły nastrój. Wielkie Gniazdo ma w innych miastach swoich pojedynczych szpiegów lub całe grupy siostrzane, które zostały podkupione albo sympatyzują z dominującą ideologią. Podobnie inne miasta mają swoich agentów w Wielkim Gnieździe. Poprzednio tego rodzaju wielokulturowość zawsze była zaletą, sposobem życia. Teraz jest katalizatorem podejrzliwości, napięć między grupami, rodzi podziały i brak zaufania.

Nie podjęto żadnych decyzji, więc Portia kieruje się do Świątyni. Wydaje się jej, że potrzebuje takiego przewodnictwa.

Najlepiej jak potrafi, przekazuje zarówno raport o bieżącej sytuacji, jak i swoje obawy, wiedząc, że choć swą przemowę kieruje tylko do Emisariuszki, odpowiedź bóstwa zostanie odebrana przez każdego nasłuchującego częstotliwości Wielkiego Gniazda – czyli z całą pewnością przez niektórych mieszkańców Siedmiu Drzew.

Emisariuszka nie jest dobra w udzielaniu konkretnych rad, czego Portia jest boleśnie świadoma. Wie, że nie może oczekiwać niczego wielkiego, bo ona nie zaprzęta sobie głowy błahymi sprawami maluczkich. Bóstwo koncentruje się wyłącznie na swych maszynach, które najwyraźniej rozwiążą wiele problemów, między innymi irytująco niedoskonałą komunikację między Emisariuszką i tymi, których osadziła na dole.

Dlatego Portia nie spodziewa się klarownej odpowiedzi, choć Emisariuszka rozumie ją lepiej, niż podejrzewała. Zamierzone znaczenie nie jest do końca jasne, gdyż pomimo używania zrodzonego w bólach wspólnego

języka Emisariuszka i jej kongregacja są oddzielone brakiem wspólnej płaszczyzny porozumienia i konceptów, która to luka dopiero ostatnio z wolna jest uzupełniana. Portia jednak rozumie wystarczająco dużo.

Emisariuszka jest świadoma tego, że istnieją różnice zdań między jej pupilami.

Wie, że niektórzy, jak Portia, ciężko pracują, by wypełnić jej polecenia.

Wie, że inni, jak Świątynia w Siedmiu Drzewach, tego nie robią i że utracili sporo nabożnej czci dla Emisariuszki i jej posłania.

Przekazuje teraz Portii, że najbliższa przyszłość jej ludu zależy od wypełniania jej woli szczegółowo i bez zwłoki. Oznajmia, że nadchodzi okres wielkiego zagrożenia i jedynie wypełniając jej wolę, można go uniknąć.

Mówi – słowami na tyle jasnymi, że Portia pojmuje je bez śladu wątpliwości – że Portia powinna podjąć wszelkie kroki, by osiągnąć jej cel, i że nie ma wyższego celu.

Portia wychodzi ze Świątyni jako ofiara burzy mieszanych uczuć. Uczucia pajaków nie są uczuciami ludzi, ale Portia czuje silny wstrząs i coś w rodzaju uniesienia. Nigdy wcześniej Emisariuszka nie wypowiedziała się tak jasno.

Teraz Wielkie Gniazdo ma jasno wytyczony cel. Nie tylko ich powinność wobec Boga została potwierdzona, ale także szpiedzy w Siedmiu Drzewach i w innych wrogich miastach też usłyszeli ostatnie słowa Boga i nie będą musieli mocno główkować, jakie pytanie sprowokowało tak dogmatyczną odpowiedź.

Życie w Siedmiu Drzewach okazało się nie tak beztrudne i łatwe, jak spodziewał się Fabian.

Przynajmniej Bianca wpasowała się tam idealnie. Jej kontakty wśród starszyny astronomów pozwoliły jej wygodnie się usadowić w szanowanej grupie siostrzanej, choć potężna grupa w Siedmiu Drzewach jest znacznie mniejsza i uboższa niż nawet poślednie domostwo w Wielkim Gnieździe. Zapropozowała Fabianowi eksponowaną pozycję w tym domostwie i trzeba przyznać, że mocno się starała, by ją dostał – być może chciała spłacić dług wdzięczności, a może po prostu wiedziała, jak użyteczny potrafi być ten jego niebezpieczny mózdek. Odmówił.

Życie nie pieściło Fabiana przez miesiące, jakie minęły od tego czasu, ale miał plan. Zaczął się wspinać po nici życia, tym razem nie jako czyjś pupilek czy faworyt, bez patronki i nie poświęcając osławionej wolności.

Samce w Siedmiu Drzewach może i miały więcej swobody i wpływów niż te z Wielkiego Gniazda, ale i tak mogły zostać zabite bez powodu. Wciąż nie miały więcej praw, niż dawała im chwilowa użyteczność.

Siedem Drzew również posiadało rysztyki, choć plebsu było mniej niż w Wielkim Gnieździe – tak jak zresztą wszystkiego – ale i tak sporo pechowych samców i samic polowało na siebie, a szczątki sprzątały mrówki.

Fabian niemal zginął kilka razy, zanim udało mu się zrobić pierwsze kroki na drodze do uzyskania niejakiej władzy w Siedmiu Drzewach. Nachodziły go głodne samice, oszalałe samce przeganiały go ze swego terytorium, a on kurczył się w oczach z głodu i na skutek życia na krawędzi. W końcu jednak nawiązał kontakt z grupą samic, które straciły wszystko, choć jeszcze nie spadły na dno zwierzęcego kanibalizmu. Udało mu się je złapać na samej granicy barbarzyństwa.

Były to trzy wynędzniałe siostry, starzejące się potomkinie grupy, która istniała już wyłącznie we wspomnieniach w wyższych partiach miasta. Kiedy Fabian je odnalazł, wciąż miały niewielki namiocik w dobrym stanie, zabrany z domostwa i rozpięty u podnóża jednego z drzew, które wyrosło po wielkiej starożytnej wojnie, kiedy mrówki spaliły las. Słuchały go, znikając pojedynczo z widoku, rzekomo by wydawać polecenia domowym samcom w kwestii jego skromnego początku. Wiedział, że nie ma tu żadnych samców, a poczęstunek, na jaki było je stać, składał się z samych resztek: drobnych owadów i starej, na wpół zmumifikowanej muchy, którą karmiły się wiele dni.

Odwróć wasze koło fortuny, powiedział im. Ale musicie robić, co każę.

Potrzebował ich. Godził się w duchu z goryczą, że na czele każdej grupy społecznej musi stać samica. *Na razie.*

Co mamy robić? – pytały. Wszelki posmak nadziei był dla nich najśłodszym nektarem, nawet tej oferowanej przez wynędzniałego cudzoziemskiego samca.

Po prostu bądźcie sobą, zapewniał je. Ja zrobię resztę.

Przyłączywszy się do nich, z większą pewnością wyruszał na poszukiwania.

W mieście żyły setki porzuconych samców próbujących przetrwać na najniższym poziomie. Brakowało im wyszkolenia, ogłady, wykształcenia oraz pożytecznego doświadczenia, ale wszyscy odziedziczyli jakieś Zrozumienia. Fabian ich wyszukiwał, rozmawiał z nimi, przygarniał tych, których umiejętności mogły mu się przydać.

Jako zwykły sługa jednej z podstarzałych samic, dla której oficjalnie

pracował, zaczął podejmować prace w znacznie większych domostwach, używając związków chemicznych z kolonii mrówek. Wkrótce zaczął być znany w różnych kręgach społecznych za sprawą tak niespotykanych umiejętności. Domostwo trzech starych samic zaczęło zbierać przysługi i dobra dzięki handlowi wymiennemu. Wkrótce zaczęły tkać nowy dom umiejscowiony wyżej na drzewie, sięgając przyprawiających o zawrót głowy wyżyn, które kiedyś znały.

Kiedy próbowały mu to wszystko odebrać, co Fabian przewidział, po prostu przestał pracować. Wtedy pozostali samcy już zaczęli rozumieć jego ambicje i również rzucili narzędzia. Osiągnięto nowe porozumienie. Samice mogły się cieszyć pozycją wypracowaną przez Fabiana, ale to on kierował domostwem i – co najważniejsze – jego towarzysze byli nie do ruszenia. Nie wolno było krzywdzić samców z jego domostwa.

A jednak przed nim była jeszcze długa droga. Nowatorskie metody Fabiana zaczęły przynosić owoce w społecznej sieci Siedmiu Drzew mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły się walki o kopalnie.

Kiedy dotarły do niego pogłoski na ten temat, błyskawicznie odnowił kontakty z Biancą. Jej pozycja się zmieniła – z niezależnej uczoney stała się politycznym doradcą, gdyż główny dom siostrzany Siedmiu Drzew i jego sąsiedzi starali się wymyślić stosowną reakcję na te wydarzenia. Wielkie Gniazdo niemal z pogardą odarło ich ze wszystkich kopalń, ale nikt się nie palił, by odpowiedzieć bezpośrednią przemocą.

Kiedy jednak miejscowe dyplomatki skontaktowały się z Wielkim Gniazdem, żeby spróbować negocjacji, natrafiły na nowy świat, który stworzyła Portia po rozmowie z Bogiem. Zamiast po prostu rozpocząć negocjacje z pozycji siły w zamian za koncesje, jak to było wcześniej w zwyczaju, Wielkie Gniazdo było nieustępliwe. Wysuwało kolejne żądania dotyczące innych zasobów należących do Siedmiu Drzew i sojusznicznych miast – farm, kolonii, laboratoriów. Kiedy dyplomatki Siedmiu Drzew zaprotestowały, przedstawicielki Wielkiego Gniazda okrzyknęły je heretyczkami. Emisariuszka przemówiła. Wybrała swych ulubieńców. To nie była wojna, lecz krucjata.

Wtedy, jeden jedyny raz Siedem Drzew wysłało wojsko w dużej sile złożone z mrówek bojowych, by odbić kopalnie. Napotkały podobną siłę wysłaną z Wielkiego Gniazda i rozpoczęła się bitwa będąca ledwie preludium do tego, co miała przynieść przyszłość. Mrówki walczyły za pomocą

zuwaczek, ostrzy, kwasu i ognia. Walczyły za pomocą związków chemicznych, które dezorientowały wroga, wywoływały szal, atakowały narząd powonienia, tak że przeciwnicy zmieniali strony. Siły wysłane z Wielkiego Gniazda ochnoczo unicestwiały wroga.

W Siedmiu Drzewach odebrano prosty radiowy przekaz – podobnie jak we wszystkich sprzymierzonych miastach – już na drugi dzień.

Teraz przyjdziemy po was. Poddajcie się naszym Zrozumieniom albo zrobimy, co trzeba. Tako rzecze Emisariuszka.

Zapanował chaos, zagrażając luźno powiązanemu, niehierarchicznemu społeczeństwu pajaków będącemu, tak jak poprzednio, pod dużą presją. Rządzące rady powstawały i upadały. Niektórzy sugerowali poddanie się i załagodzenie sporu, inni otwarcie się temu sprzeciwiali, a jeszcze inni najzwyczajniej w świecie proponowali ucieczkę. Żadna z tych grup nie miała większości, a stale jeszcze bardziej się dzieliły, tworząc rozmaite frakcje. Codziennie podbijano stawkę.

Pewnego dnia, kiedy kolejna armia Wielkiego Gniazda była już w drodze, Bianca poprosiła o możliwość zwrócenia się do wielkich i możnych miasta.

Znalazła się w samym środku sieci, wokół której przycupnęło niemal czterdzieści potężnych samic wyciągających uważnie odnóża, by nie uronić ani słowa przekazywanego im przez poszczególne nici. Słuchały z uwagą. Wszyscy wiedzieli, że potrzebny jest cud, by ich uratować, ale nikt nie był w stanie ustalić, na czym miałyby polegać.

Ale sama Bianca nie miała nic do zaoferowania. Oznajmiła im tylko: *Sprowadzę tu jednego takiego, co znalazł sposób na to zagrożenie. Musicie wysłuchać go do końca. Musicie usłyszeć, co ma do powiedzenia.*

Natychmiastową reakcją na jej słowa były drwiny, szok i gniew. Potencjalne rządzące Siedmioma Drzewami nie miały czasu na takie głupstwa. Nic, co miałyby do powiedzenia jakiś samiec, nie było wcześniej brane pod rozwagę, i to po stokroć nie.

Bianca naciskała. *Ten samiec pochodzi z Wielkiego Gniazda, wyjaśniała. Jedyne dzięki jego pomocy zdołałam stamtąd uciec. Ma świetną rękę do mrówek. Nawet w Wielkim Gnieździe bardzo szanowano jego pracę, ale myślę, że odkrył jakąś tajemnicę, coś nowego. Coś, czego nie ma jeszcze w Wielkim Gnieździe.*

W końcu dzięki takim argumentom udało jej się skupić ich uwagę, uspokoić, przekonać, żeby wysłuchały Fabiana.

Na sieć wchodzi samiec prowadzony baczny spojrzeniem setki oczu. Fabian przemyślał to sobie dokładnie, pamiętając o niepowodzeniu w rozmowie z Portią. Nie będzie prosił o wiele. Pokaże im, zamiast mówić. Będzie je uwodził, ale tak jak samica – sukcesem, zamiast jak samiec – pochlebstwem.

Dajcie mi oddział mrówek, a pokonam armię wroga, deklaruje.

Ich reakcja nie jest aż tak negatywna, jak podejrzewał. W końcu wiedzą, że jest apostatą z Wielkiego Gniazda. Przepytyują go dokładnie, a on udziela zdawkowych, ostrożnych odpowiedzi w pojedynku na delikatne wibracje i wymijające gesty. Daje do zrozumienia, iż posiada jakąś tajną wiedzę na temat mrówczych kolonii Wielkiego Gniazda, ale nie powie nic więcej. Obserwuje, jak konferują, dyskretnie szarpiąc rozchodzące się koncentrycznie nici sieci, tak aby słać wiadomości dookoła niej, ale by ta narada nie trafiła do jej środka, w którym siedzi on.

Ile tych mrówek? – pyta w końcu jedna z nich.

Wystarczy kilka setek. Ma tylko nadzieję, że tyle będzie w sam raz. Ryzykuje wszystko, ale im mniejszą siłę weźmie ze sobą, tym cenniejsze będzie jego zwycięstwo.

To śmiesznie mała liczba w porównaniu do armii, która okrąża terytorium Siedmiu Drzew, i wreszcie samice stwierdzają, że to niewiele do stracenia. Jediną poważną alternatywą jest poddanie się i oddanie wszystkiego, co posiadają, domostwom Wielkiego Gniazda.

Fabian pędzi co sił w nogach do swego domostwa i wybiera dwudziestkę najsprawniejszych asystentów, samych samców. Wiedzą wiele o jego tajemnicy i nowej substancji. Wraz z nimi wyrusza od razu, by wykonać trudne zadanie modelowania podarowanych mu mrówek, tak by trzymały się jego pierwotnej substancji i mogły przyjmować polecenia w pełnym biegu.

Na drugi dzień wyruszają z Siedmiu Drzew ku – jak ma nadzieję Fabian – annałom historii. Idzie ze swą ekipą asystentów z mizerną grupą owadzych żołnierzy – oraz Bianką. Przywódczyni Siedmiu Drzew nie wysłałaby oddziału bez przewodnictwa samicy, więc Bianca została figurantką, szanowanym obliczem fabianizmu.

Nie została dopuszczona do tajemnicy Fabiana, ale pamięta cudowną ucieczkę z Wielkiego Gniazda i zna jego reputację chemicznego architekta. Związała z nim swoją przyszłość i teraz musi ufać, że jest tak dobry, za jakiego się uważa.

Stara broń, która pozwoliła ich gatunkowi w pełni zdominować mrówki – i tym samym wzbogacić ich społeczeństwo – już nie jest skuteczna. Obecnie mrówki są przygotowane na efekt odwarunkowania głównego zapachu żuka biegaczowatego zarówno na skutek rywalizacji między pajakami, jak i po prostu dlatego, że same biegaczowate stale łamią konstrukcję chemiczną kolonii dla własnych celów, pozostając tam niczym uporczywy duch w organicznej maszynie. Pajaki mogą jedynie usiłować minimalizować skutki ich działania.

Plan Fabiana jest bardziej złożony, a tym samym bardziej ryzykowny. Pierwsza faza opiera się na frontalnym ataku.

Droga, jaką podąży kolumna wojsk z Wielkiego Gniazda, już została zmieniona w skomplikowany labirynt wilczych dołów, sideł na sprężynach i pułapek ogniowych. Żaden pajak nie da się na to nabrać, ale zmysły mrówek łatwiej jest oszukać, szczególnie że nie posiadają zdolności wyczuwania na odległość. Siły Wielkiego Gniazda osłania rozproszona chmara zwiadowców, których zadaniem jest odnajdywanie i unieszkodliwianie tych pułapek, i to właśnie na nich Fabian wysyła swoje oddziały.

Reakcja jest natychmiastowa, sygnały alarmowe przyciągają coraz więcej najeźdźców. Usytuowany pod wiatr do walczących Fabian śle w powietrze kolejne feromony. Każdy zawiera nowy zestaw chemicznie zakodowanych instrukcji pozwalających jego niewielkiej grupie żołnierzy reagować szybko, zmieniać taktykę i wyprowadzać w pole wroga, gdy tymczasem mrówki z Wielkiego Gniazda po prostu idą jak po sznurku według podstawowej taktyki bitewnej, niewiele się różniące od starożytnych instynktów.

W kilka minut siły Fabiana wycofują się z minimalnymi stratami i z więźniami, bo garstka zwiadowców zostaje odcięta, unieruchomiona i wyniesiona z pola bitwy.

Fabian wraz ze swoją grupą wycofują się aż do chwili, gdy ścigający ich zwiadowcy z Wielkiego Gniazda przerywają pościg i wracają za zapachem do nacierającej kolumny. Pozostawiony w spokoju oddział Fabiana ustawia przenośne laboratorium i wykorzystuje próbki od schwytanych zwiadowców, by stworzyć nowe instrukcje dla ich żołnierzy.

Mrówki dostają pierwsze rozkazy. Niewielka ich grupa się rozdziela i każda mrówka wędruje samotnie w stronę wroga.

Co ty najlepszego wyrabiasz? – pyta Bianca. *Właśnie zmarnowałeś swoją armię. Wszyscy wiedzą, że mrówki są skuteczne tylko w masie. Jedna mrówka*

znaczy tyle co nic.

Musimy ruszać, tyle tylko mówi Fabian. *Musimy poruszać się pod wiatr*. Jest to irytujące ograniczenie jego technologii, ale wkrótce rozwiąże ten problem. Już opracowuje to w głowie – wykorzysta biegaczowate jako nosiciele nowej informacji albo w jakiś sposób wyzwoli chemiczne substancje za pomocą sygnałów wizualnych... ale na razie musi pracować z tym, co ma.

Pojedyncze mrówki docierają do kolumny wroga i przechodzą pełną kontrolę zwiadowców bez wzbudzania podejrzeń. Stykają się czułkami z najeźdźcami, omiatają im odnóża i zostają przepuszczeni – rozpoznani jako przyjaciele.

Z punktu obserwacyjnego w gałęziach drzewa Fabian z napięciem się przygląda, jak jego mrówki wnikają w szeregi wojska Wielkiego Gniazda. Teraz nadchodzi najtrudniejszy moment dla samego Fabiana. Nigdy nie był winny śmierci pająka. Wie, że niektórzy żyją w deprawacji i dla nich walka, zabijanie czy nawet pożeranie innego pająka to sposób na przetrwanie, ale on sam z tym walczy i uważa, że zabijanie się nawzajem należy do przeszłości. Nanowirus krążący w jego organizmie opiera się temu, co zamierza, rozpoznając pokrewieństwo potencjalnych ofiar.

Jego plan jest jednak niezwykle wyważony i nie może pozwolić, by coś go zepsuło.

Pośród kolumny tysięcy mrówek przebywa tuzin albo nieco więcej pajęczych obserwatorów z Wielkiego Gniazda. Mogą zauważyć obce mrówki pośród swych szeregów. Choć armia Wielkiego Gniazda ma sztywne konstrukcje zachowań, dostaną jeszcze serię przygotowanych komend pajęczych oficerów, w tym bez wątpienia również rozkaz ataku na Siedem Drzew. Możliwe, że jedna z tych przygotowanych zawczasu komend będzie dotyczyć zachowania w sytuacji alarmowej.

Fabian wypuszcza kolejny chemiczny zestaw instrukcji, ogarnięty złymi przeczuciami.

Jego posłańcy systematycznie wyszukują i mordują pająki z Wielkiego Gniazda towarzyszące armii. Atakują bez strachu, wypuszczając zapach alarmowy, który sprawia, że wróg w najbliższym otoczeniu wpada w szal. Jest to wyrachowane, bezlitosne działanie, starannie wcześniej zaplanowane. Obserwując rezultaty tych starć, gdy mrówki rozwlekają oderwane odnóża pająków, towarzysze Fabiana i Bianca milkną i zamykają się w sobie. Oczywiście nie jest to pierwszy raz, kiedy pająk zabija pająka czy też nawet

kiedy samiec zabija samicę, ale teraz jest inaczej. To furka do nowego rodzaju wojny.

Od tej chwili kolumna Wielkiego Gniazda jest skazana na zagładę. Żołnierze Fabiana wyzerają ją od środka. Wroga armia ma pewne środki obrony, ustawione warunkowanie, by bronić się przed niespodziewanym atakiem, oraz zmienne kody zapachowe następujące po sobie w określonych odstępach czasu. Ale nowa substancja Fabiana pozwala na szybką zmianę i przystosowanie. Ociężała, złożona z różnych elementów machina, jaką jest armia Wielkiego Gniazda, wyczuwa, że coś jest nie tak, ale po prostu nie potrafi odpowiednio szybko przystosować się do nowego, nieznanego zagrożenia. Wreszcie szlak martwych mrówek ciągnie się kilometrami. Straty Fabiana wynoszą mniej niż tuzin. Jego Termopile były nie fizycznym, lecz mentalnym przesmykiem, którego wróg nie był w stanie przekroczyć.

Wielkie Gniazdo nie zostało jeszcze pokonane. Kolumna zniszczona przez Fabiana to jedynie część militarnej siły, którą Świątynia może uruchomić. Zwycięstwo Siedmiu Drzew spotka się bez wątplenia z dalszą eskalacją agresji. Fabian wraca do domu i staje przed matronami miasta.

Żądają, by wyjawiał swoją tajemnicę. Nie przekazuje jej im i potwierdza, że on, jak i cała jego grupa podjęli środki zaradcze, by nie można było wydestylować nowego Zrozumienia z ich martwych ciał.

Jedna z samic – nazwijmy ją Viola – przejmuje inicjatywę. *A więc co zamierzasz?*

Fabian podejrzewa, że wybiega myślami w przód dalej niż jej siostry, ponieważ korzystała z jego usług przed wojną. Ma niejakie pojęcie o jego poglądach.

Pokonam Wielkie Gniazdo i jego sojuszników, deklaruje. Jeśli to będzie konieczne, zawiodę armię Siedmiu Drzew aż do ich miasta i pokażę im, co to znaczy groza.

Widzi, że reakcją na te słowa jest fascynująca mieszanka emocji – przerażenie, że samiec może mówić tak śmiało o tak wielkich sprawach, ambicja ujrzenia rywala całkowicie upokorzonego i desperacja – bo jakież mają wybór?

Viola zachęca go, by mówił dalej – wie, że to nie koniec.

Mam jeden warunek, przyznaje Fabian. Pod ciężarem wielu wrogich spojrzeń przedstawia w zarysach to, czego chce, do czego chce zobowiązać Siedem Drzew w ramach wdzięczności za ocalenie. Jest to ta sama

propozycja, którą złożył wcześniej Portii. Zebrane są nieco bardziej skłonne, by ją przyjąć, ale też Portia nie była w ich obecnym, trudnym położeniu.

Chcę prawa do życia, mówi im na tyle stanowczo, na ile pozwala mu odwaga. Chcę, żeby karano za śmierć samca tak samo jak za śmierć samicy, nawet za śmierć podczas spółkowania. Chcę prawa do zbudowania własnego domostwa i przemawiania w jego imieniu.

Spogląda na niego milion lat uprzedzeń. Starożytna pajęczycza żywiąca się innymi pajakami, której instynkty pochodzą ze skorupy będącej kolebką ich cywilizacji, cofa się z przerażeniem. Fabian widzi konflikt wewnętrzny – tradycja kontra postęp, znana przeszłość kontra nieznana przyszłość. Zaszli tak daleko jako gatunek – mają intelekt, by zerwać dawne więzy. Ale będzie trudno.

Odwraca się wolno w miejscu w krótkich, nerwowych ruchach, spoglądając im wszystkim po kolei w oczy. Szacują w myślach, wazą koszty związane z jego żądaniami w porównaniu z kosztem poddania się Wielkiemu Gniazdu. Rozważają, co właściwie przyniosło im jego zwycięstwo i jak poprawiło ich pozycję przetargową. Rozmyślają, co wymusiłoby na nich Wielkie Gniazdo, gdyby się poddali – z całą pewnością świątynia w Siedmiu Drzewach zostanie opróżniona i pojawią się obce kapłanki, hołdujące ortodoksyjnej wizji woli Emisariuszki. Kontrola nad Siedmioma Drzewami zostanie odebrana tutejszym matronom. Ich miasto stanie się marionetką poruszaną sznurkami z daleka, tańczącą w rytm radiowych instrukcji z Wielkiego Gniazda.

Radzą, cierpią, grożą sobie nawzajem i walczą o dominację.

W końcu udzielają odpowiedzi.

5.7 WNIEBOWSTĄPIENIE

Nie tak miało być. To nie miało zajmować tyle czasu.

Holsten je obiad z Guyenem. Wyznawcy dowódcy, czy też wielce wykwalifikowani inżynierowie albo kim tam są, przynieśli mu racje żywnościowe, które, jak pamiętał, zostały hurtem zabrane ze stacji terraformacyjnej. Posiłek został podgrzany i rozpuszczony do postaci ciepłej brei, więc zajada niechętnie tę papkę łyżką, wsuwając ją sobie do ust, a starcowi usta się nie zamykają. Nie wiadomo, co obecnie jada Guyen, ale pewnie ma do tego osobną rurkę – i kolejną po drugiej stronie, by poradzić sobie z tym, czego nie strawią jego poszatkiwane wnętrzności.

– Obudziłem załogę, która według danych najlepiej się nadawała. Wszyscy mieli doświadczenie w dziedzinie technologii – ciągnął Guyen, czy też raczej robiły to maszyny, które mówiły za niego. – Mieliśmy pełen zestaw zabrany ze stacji. Przygotowanie statku miało trwać krótko. Tylko kilka dni. Tylko kilka miesięcy. Tylko rok. Zawsze tylko kolejny rok. I wtedy przez chwilę sobie pospałem, obudziłem się, a oni wciąż pracowali... – Jego pomarszczona twarz oklapła na te wspomnienia. – I wiesz co? Pewnego dnia obudziłem się i wszystkie te młode twarze... Uświadomiłem sobie, że połowa pracujących urodziła się poza zawieszeniem. Zużywałem ludzi, całe ich życia, Mason – od tak dawna starali się to uruchomić. A nowe pokolenie... oni już tyle nie wiedzieli. Nauczyli się tyle, ile zdołali, ale... A potem przyszło kolejne pokolenie, już zdegenerowane, wiedzące mniej niż poprzednie. Wszyscy byli zbyt zajęci pracą, by przekazywać im wiedzę. Nie znali niczego poza statkiem i mną. Musiałem ich prowadzić, bo mieli zadania do wykonania, bez względu na to, jak byli głupi i ile czasu miało im to zająć.

– I to wszystko dlatego, że chcesz walczyć z satelitą Kern, z tym siedliskiem Brin? – dopowiada za niego Holsten w przerwach między kolejnymi łyżkami brei.

– Muszę ocalić gatunek – potwierdził Guyen, jakby to było to samo. – I udało nam się. Zrobiliśmy to, wszyscy razem. Życie tych ludzi jednak nie poszło na marne. Mamy systemy obronne Imperium, fizyczne i elektroniczne.

Nie ma słabego punktu, przez który mogłaby się przekraść Kern i wyłączyć nas na amen. Wtedy uświadomiłem sobie, że jestem stary, i zobaczyłem, jak bardzo statek mnie potrzebuje, ale przecież mamy to urządzenie do zgrywania umysłu, więc zabraliśmy się i do tego. Oddałem z siebie wszystko, Mason. Oddałem tyle lat na projekt „Gilgamesz”. Chcę... naprawdę chcę tylko zamknąć oczy i odpuścić. – Mechaniczny głos przeszedł w trzeszczący szept.

Holsten rozpoznał w tym uświęconą ciszę i nie próbował się odzywać.

– Gdybym stwierdził, że nie ma takiej potrzeby – mruknął Guyen. – Gdybym był pewien, że oni – wy – dalibyście sobie radę bez mojego wsparcia, tobym odszedł. Nie chcę tu być. Któż chciałby się stać taką zaintubowaną mumią? Ale nie ma nikogo innego. Ludzka rasa stoi na moich barkach, Mason. Jestem jej pasterzem. Jedynie dzięki mnie nasi ludzie znajdują prawdziwy dom.

Mason przytakiwał raz za razem i pomyślał, że bez względu na to, czy Guyen w to wierzy czy nie, i tak wyczuwa w tym wszystkim nutkę zakłamania. Guyen nie należał do ludzi, którzy korzystają z rad innych czy dzielą się władzą. Dlaczego nagle miałby się stać człowiekiem, który z tego zrezygnuje, szczególnie teraz, kiedy coś w rodzaju nieśmiertelności było na wyciągnięcie ręki, jeśli ta elektronika zadziała?

Pod warunkiem że to ustrojstwo nie zniszczy systemów *Gilgamesza*.

– A dlaczego nie Lain? – zapytał Guyena.

Starzec aż drgnął na dźwięk tego imienia.

– Co Lain?

– Jest głównym inżynierem. Skoro chciałeś to uruchomić, czemu nie wybudziłeś jej wcześniej? Widziałem ją. Jest starsza, ale nie aż... – *tak jak ty* – tak. Nie wyciągnąłeś jej dawno z komory. Dlaczego nie zacząłeś od niej?

Guyen patrzył na niego przez chwilę spode łba, a może to maszyna patrzyła na niego wilkiem w zastępstwie dowódcy.

– Nie ufam Lain – warknął. – Zawsze ma dziwne pomysły.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Ale teraz Holsten już miał niejakie pojęcie, co do tego, czy Guyen był szalony i czy Lain pozostawała przy zdrowych zmysłach. Niestety nie przekładało się to na całkowitą pewność co do tego, które ma rację.

Pozostała mu ostatnia strzała w kołczanie. Było kilka nagrań, które Lain mu odtworzyła przed spotkaniem z Karstem i Vitas – ostatnie przekazy z kolonii księżycowej, którą założyli w układzie gwiazdnym Kern. Była to tajna broń

Lain, by go przekonać, że coś trzeba zrobić. Wtedy jej się udało. Była bezwzględna i Holsten poczuł się tak przybity i smutny jak nigdy. Usłyszał desperackie, spanikowane głosy ludzi, których Guyen tam zostawił – ich błagania, relacje. Wszystko się waliło, infrastruktura kolonii po prostu nie była samowystarczalna. Po dekadach od założenia bazy zaczęła konać.

Guyen zostawił tam grupę ludzi, niektórzy zostali wybudzeni, a niektórzy wciąż trwali w zawieszeniu. Porzucił ich tam i kazał żyć, wychowywać dzieci, żeby mogły zastąpić rodziców przy sterach tego skazanego na zagładę przedsięwzięcia. Wtedy Guyen słuchał ich agonalnych krzyków, gorączkowych błagań tych, którzy musieli zmagać się z zimnem, z zanieczyszczonym powietrzem... Szczęśliwcy zgnili w spokoju w swych zimnych trumnach, kiedy zabrakło energii.

Ostatnia wiadomość była sygnałem alarmowym wysłanym automatycznie, powtarzającym raz za razem – ludzką wersją tysiącletniego sygnału Kern. W końcu nawet ten komunikat zamilkł. Nawet to nie przetrwało sprawdzianu tak krótkiego czasu.

– Słyszałem nagrania z bazy księżycowej – powiedział Guyenowi.

Łykowate oblicze dowódcy zwróciło się błyskawicznie w jego stronę.

– Naprawdę?

– Lain mi je odtworzyła.

– No pewnie.

Holsten czekał, ale się nie doczekał.

– Więc co... zaprzeczasz? Zaprzeczasz temu wszystkiemu? Chcesz powiedzieć, że Lain to sfałszowała?

Guyen pokręcił głową, czy też jakiś automat pokręcił nią za niego.

– A co miałem zrobić? – zapytał gromko. – Wrócić po nich?

Holsten miał ochotę potwierdzić, że tak właśnie powinien był zrobić. Zamiast tego nieśmiała naukowa świadomość przyhamowała jego emocje.

– Czas...

– Znajdowaliśmy się dziesięciolecia od nich – przyznał Guyen. – Całe dekady by zajęło wrócenie po nich. Kiedy odkryli, że mają kłopoty, nie było nas w pobliżu. Chciałbyś, żebym wykonał ryzykowny manewr i zawrócił statek tylko po to, by ich pochować?

Guyenowi niemal się udało. Poglądy Holstena na to, co dobre i złe, walczyły ze sobą zajadle i stwierdził, że mógłby spojrzeć w tę szarą, konającą twarz i zobaczyć w niej zbawcę ludzkości – człowieka, który został

przeszkolony w podejmowaniu trudnych decyzji i robił to z żalem, lecz bez wahania.

Lecz w końcu przez twarz Guyena przebiło się jego prawdziwe oblicze.

– A poza tym – dodał – przecież to byli zdrajcy.

Holsten siedział w całkowitym bezruchu, wpatrując się w tę straszliwą zmianę rysów dowódcy. Starca dopadło coś na kształt dziecięcej, kretyńskiej satysfakcji, być może całkowicie niezależnie od niego.

Byli buntownikami, oczywiście, że tak, co Holsten pamiętał dużo lepiej niż inni. Przypomnił mu się Scoles, Nessel i cała retoryka o składaniu w ofierze w lodowatym grobie.

I mieli rację.

I tak większość buntowników została zabita. W ładunku przewiezionym na księżyc nie było zdrajców, bo przecież nie mieli pojęcia, co się dzieje i jaki czeka ich los.

– Zdrajcy – powtórzył Guyen, jakby delektował się tym słowem. – Na koniec dostali to, na co zasłużyli. – Przejście od szczerego, poświęcającego się dla innych przywódcy do bredzącego psychopaty odbyło się całkowicie naturalnie, bez przekraczania wyraźnej granicy.

Wtedy do pomieszczenia zaczęli schodzić się ludzie – ludzie Guyena. Szurali dookoła w swych szatach, kłębili się i tłoczyli, tworząc kongregację obszarpańców przed wielkim mechanicznym majestatem podium Guyena. Holsten patrzył, jak przybywają całe ich setki – mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Jesteśmy gotowi – wydyszał Guyen. – Nadszedł czas.

– Będziesz się ładował?

– To będzie moje wniebowstąpienie, moja wieczna powinność, która pozwoli mi przewodzić moim ludziom na zawsze w tym i w kolejnym świecie.

– Zaczął szybko wchodzić na górę – krok za krokiem.

Vitas pojawiła się skądś wraz ze swymi ludźmi, którzy zawisli nad maszynami niczym kapłani przy ołtarzu. Szefowa działu nauki zerknęła raz na Holstena, ale jakoś tak obojętnie. Na obrzeżach szerokiego pomieszczenia stało kilkadziesiąt postaci, kobiet i mężczyzn, w opancerzonych kombinezonach – oddział ochrony Karsta. Musiał być w tej grupie, ale wszyscy mieli opuszczone przyłbice, więc nie dało się go rozpoznać.

No to mamy starą paczkę w komplecie, oprócz jednej osoby. Holsten wiedział doskonale, że Lain by chciała, aby kupił jej nieco więcej czasu, choć

nie miał pojęcia, czy w ogóle zmierza w tę stronę.

– Guyen! – zawołał za dowódcą. – A co z nimi? – Wskazał na zbierającą się kongregację. – Co się stanie z nimi, kiedy ty zostaniesz... zgrany? Będą się mnożyć, aż zapełnią cały statek? Dopóki nie zostanie nic do jedzenia? Co się stanie?

– Zapewnię im pożywienie – obiecał Guyen. – Pokażę im sposób.

– Będzie tak samo jak na księżycowej kolonii – warknął Holsten. – Zginą. Zjedzą całą żywność. Będą sobie żyć wszędzie wokół, aż wszystko się zawali. To nie jest statek rejsowy. Nie można *mieszkać* na pokładzie *Gila*. Oni stanowią ładunek. Wszyscy jesteście ładunkiem. – Wziął głęboki wdech. – Ale ty będziesz miał swojego elektronicznego awatara. Tak długo, jak będzie zasilanie, nic ci nie będzie. Pewnie na statku też wszystko będzie w porządku, ładunek w zawieszaniu... ale ci ludzie i ich dzieci i co potem? Może pokolenie po tym wszyscy zginą. Twój wyznawcy umrą straszliwą śmiercią głodową i na skutek awarii maszyn, z zimna, uduszeni i wszystkimi innymi rodzajami śmierci, jaka może im się przytrafić w pierdolonym kosmosie! –

Sam był zszokowany natężeniem własnej tyrady, myśląc: *Czy ja naprawdę tak się troszczę o tych wariatów?* Ale najwyraźniej tak właśnie było.

– Dam im, co trzeba! – Głos Guyena bez wysiłku przeszedł w dudnienie dzięki głośnikom w pomieszczeniu. – Jestem ostatnim pasterzem rasy ludzkiej.

Holsten spodziewał się, że jego słowa wzbudzą powszechny strach i niepewność zgromadzonych, ale zdawali się dziwnie obojętnie akceptować wszystko, co powiedział Guyen, prawie nie słysząc słów wypowiedzianych przeciwko niemu. W gruncie rzeczy jedyną reakcją, jaką wywołał, było to, że dwie większe owieczki ze stada Guyena stanęły obok niego i położyły mu dłonie na ramionach, jakby go chciały wyprowadzić. Potrzebował więcej amunicji, i to większego kalibru. Teraz musiał zagrać nieczysto.

– Jeszcze jedno! – wykrzyknął w chwili, w której Guyen już wspiął się na górę. – Wiesz, że Karst i Vitas współpracowali z Lain za twoimi plecami?

Martwą ciszę, jaka zapadła po tym oświadczeniu, przerwał sam Karst, wyrzucając z siebie stłumione przez hełm:

– Och, ty skurwysynu!

Guyen zamarł w bezruchu – tak jak wszyscy obecni. Holsten zerknął ukradkiem na Vitas, która obserwowała całą sytuację ze spokojnym zdziwieniem, jakby nie wyczuła nagłej zmiany nastroju w tłumie. Ludzie Karsta zaczęli się gromadzić. Wszyscy mieli broń i celowali z niej

w wiernych.

Czyżbym zrobił coś najsensowniejszego w tych okolicznościach?

– Nie wierzę ci – zaskrzeczał Guyen, a choć w jego pozacielesnym głosie rzeczywiście brak było wiary, to był pełen elektronicznego zwątpienia. Najwyraźniej paranoja Guyena zatoczyła koło.

– Kiedy te pajace mnie schwytały, wracałem właśnie ze spotkania z Lain, z nią i z nim. – Wskazywał niczym prokurator w sądzie.

– Mason, zamknij się albo odstrzelę ci ten pierdolony łeb! – zadudnił Karst, bardzo sprawnie usuwając wszelkie pozory swej niewinności.

Zgromadzeni byli uzbrojeni, choć tylko w noże, prowizoryczne dzidy i pałki. Było ich dużo więcej niż ludzi Karsta, do tego kwatery pozostałych znajdowały się blisko.

– Wróćcie do zawieszenia! – warknął Guyen. – Ty, Vitas i wszyscy twoi ludzie!

– A odpieprz się! I co dalej? – odwarknął Karst. – Myślisz, że ci ufam?

– Ja stanę się statkiem! – Guyen dosłownie zawył. – Stanę się *wszystkim*. Będę władał życiem i śmiercią każdego przedstawiciela rasy ludzkiej. Myślisz, że unikanie zawieszenia ocali cię przed moim gniewem, jeśli mi się sprzeciwisz? Ukorz się teraz, a okażę miłosierdzie.

– Dowódcu... – zaczęła Vitas.

W rosnącym gwarze kongregacji Holsten starał się odczytać słowa z ruchu warg.

– Ty też, zdrajczyń! – Guyen wycelował chudym jak gałązka palcem w Vitas.

Nagle Karst albo ktoś z jego ludzi – Holsten nie widział – próbował wycelować broń w Guyena i wtedy zaczęła się bitka. Padło kilka strzałów, aż iskry poszły z sufitu, niektóre przedarły się przez tłum, ale bijatyka zaczęła się niemal natychmiast i niewyszkolone, lecz wzburzone masy natarły na garstkę Karsta.

Wtedy właśnie Lain postanowiła wkroczyć do akcji.

Grupka odzianych w szaty akolitów Guyena wyrwała się z ciżby i ruszyła po schodach w jego stronę i nawet Holsten myślał, że to fanatycy chroniący swego przywódcę, którzy chcą go otoczyć żywą tarczą. Dopiero kiedy jeden z nich wyciągnął jakąś prowizoryczną broń i kapturek spadł mu z głowy, Holsten zrozumiał swój błąd.

Chwilę później przystawiła broń – zdaje się, że elektryczny młotek – do

głowy Guyena i zaczęła krzyczeć, by zwrócić na siebie uwagę.

Wtedy już około dwudziestki leżało rannych i zabitych – kilku z grupy Karsta, a pozostali spośród pechowców wyznających Guyena. Lain nie udało się uciszyć zgromadzonych – rozlegały się szlochy, wołania o pomoc i przynajmniej jedna osoba zawodziła żałośnie, oznajmiając wszem i wobec swój ból i rozpacz. Jednak gros zebranych zamarło, widząc, że ich prorok zaraz padnie u progu swej przemiany.

– No dobra! – krzyknęła Lain tak głośno, jak się dało. Nie miała głosu odpowiedniego do publicznych wystąpień ani też do głoszenia herezji, ale robiła, co w jej mocy. – Nikt się nigdzie nie wybiera i to dotyczy również tego pierdolonego kompa!

– Karst... – To był głos Guyena, choć jego usta się nie poruszały.

Holsten spojrzał na ochroniarzy ściśniętych w zwartej grupie z dowódcą w środku. Jeśli w ogóle padła jakaś odpowiedź, to zbyt cicho, by można ją było usłyszeć, ale było jasne, że Guyen nie może oczekiwać pomocy z tej strony, już nie.

– Vitas, porozłączaj to gówno – poleciła Lain. – Wtedy możemy zacząć ogarniać ten bajzel.

– Hm... – Szefowa działu nauki przekrzywiła głowę. – To co, ma pani jakiś plan, pani inżynier? – Dziwne były to słowa w ustach kogoś, kto nie lubił pogaduszek o niczym.

Holsten dostrzegł zmarszczkę na twarzy Lain.

Oczywiście Vitas chciała, żeby proces ładowania wznowiono. Chciała zobaczyć, co się stanie.

– Lain! – krzyknął Holsten. – Zaczęło się! On się teraz ładuje! – Był to przydługi proces, ale Guyen cały czas był podłączony. Prawdopodobnie karmił pamięć *Gila* od wielu lat, bajt po bajcie.

Lain uświadomiła to sobie w ułamku sekundy i pociągnęła za spust.

Twarz Vitas błyskawicznie się zmieniła – w końcu pojawił się na niej prawdziwy szok, ale jednocześnie jakieś chorobliwe zainteresowanie, jakby nawet ten zwrot wydarzeń zapewnił jej cenne dla badań dane. Twarz Guyena i reszta głowy bryzgała czerwoną posoką na urządzenie.

Po sali rozszedł się głośny, wzmocniony elektronicznie jęk, który łamał się i charczał gardłowo, by zmienić się w mechaniczny szum, ale w strzępach powrócił jako głos.

– Ja! – wykrzyknął Guyen, padając na kołyskę z przewodów i rurek – Ja!

Ja! Ja!

Światła zgasły i zapaliły się ponownie, mrugając. W pomieszczeniu ożyły ekrany, wypluwając z siebie chaotyczne rozbłyski kolorów i światła, fragmenty ludzkiej twarzy przy wtórze zacinającego się głosu.

– Ja! Ja! Moje! Ukorzcie się! – Jakby Guyen wlał się na twarde dyski, co od początku było jego celem.

– Raport uszkodzeń! – Zespół Lain już był na podium i wchodził do stojącej tam machinerii. – Karst, opanuj sytuację, ty beużyteczny pojebie!

Karst wycelował karabin w sufit i oddał kilka strzałów, huk broni rozszedł się po pomieszczeniu, choć nie był w stanie zagłuszyć erupcji dźwięków z głośników. Coś próbowało pojawić się na ekranach, coś o zarysach twarzy Guyena – dowód wniebowstąpienia dla prawdziwych wyznawców – próbowało bezskutecznie, a twarz pojawiała się pokawałkowana i zniekształcona. Czasami Holstenowi się wydawało, że to twarz Kern.

Pospieszył po schodach, żeby dołączyć do Lain.

– Co się dzieje?

– Jest w systemie, ale... to kolejna niedokończona kopia, tak jak podczas testów. Tylko jest... jest w niej go więcej. Staram się go wyizolować, ale walczy ze mną, wszystkie jego kopie ze mną walczą. Jakby zaludnił komputer swoimi ludźmi, wysłał ich przodem, żeby oczyścili przedpole. Ja...

– Nie przeszkodzisz mi! – zadudnił wirtualny Guyen i było to pierwsze ukończone zdanie w elektronicznym wykonaniu. – Ja! O mnie! Ze mną! Na wieczność! Ja jestem!

– Co to...? – zaczął Holsten, ale Lain tylko na niego machnęła.

– Po prostu się zamknij, dobrze? Stara się przejąć kontrolę nad systemem podtrzymywania życia.

Ludzie Karsta wyprowadzali wyznawców Guyena, którzy najwyraźniej nie wiedzieli, co mają sądzić o częściowej przemianie swego przywódcy, mniej wyraźnej niż oczekiwali.

– Vitas, *pomóż mi*, dobrze?

Szefowa działu nauki do tej pory tylko wpatrywała się w ekrany, ale teraz najwyraźniej podjęła decyzję.

– Zgoda, to zaszło za daleko. – Jakby była to tylko kwestia eksperymentu, któremu minął przeznaczony czas.

– Co mogę...?

Lain uciszyła Holstena, ufając swojej ekipie na tyle, by mogła na moment

oderwać się od konsoli.

– Słuchaj, zrobiłeś, co mogłeś. To, co należało zrobić. Dobrze się spisałeś. Ale teraz? To przekracza twoje pojęcie, staruszk. Jeśli chcesz, pomóż Karstowi i trzymaj kciuki, żebyśmy opanowali tego pierdolonego wirusa, zanim przegnie pałę...

Statkiem targnął silny wstrząs i twarz Lain zrobiła się kredowobiała.

– Kurwa. Idź już, Holsten. Pilnuj się.

Były to słowa jednego mieszkańca kosmicznej skorupy do drugiego.

5.8 ZWYCIĘSKI BOHATER

Fabian przybył z armią do wrót Wielkiego Gniazda.

Praktycznie armia nie należała do niego. Siedem Drzew nie było aż w takiej desperacji, żeby oddać swoje wojsko pod oficjalną komendę samca. Viola, jedna z najpotężniejszych samic w mieście, jest rzeczniczką swego domostwa i tym samym sprawuje władzę nad wojskiem. Fabian ma wykonywać jej rozkazy. Spodziewał się, że taki układ będzie bardziej jątrzący, niż był w rzeczywistości.

Dobrze, że Viola jest spokojna, dalekowzroczna i inteligentna. Nie próbuje nawet mówić mu, jak ma wykonywać swoją pracę. Daje mu ogólny zarys strategiczny, wnosi swoje zrozumienie konfliktu i pajęczej natury, która jest dużo silniejsza niż jego własna. On zajmuje się taktyką, rozgrywając armię tysięcy mrówek po mistrzowsku ze swą płynną, przystosowaną substancją chemiczną. Zaskakująco dobrze się dogadują.

Kolejnym powodem do zadowolenia jest to, że przy braku całkowitej władzy nie ponosi również całkowitej odpowiedzialności. By dojść do tego momentu, Siedem Drzew i jego sojusznicy urządzili wrogowi taką krwawą jatkę, że nawet Fabian drży za każdym razem, kiedy sobie o tym przypomni. Poza niezliczonymi martwymi mrówkami, kilkoma setkami pajaków, które padły w boju – niektóre uśmiercone celowo, inne przez przypadek – Wielkie Gniazdo zrobiło, co w jego mocy, by odwrócić losy wojny, zabijając przywódczynię Siedmiu Drzew, hołdując przy tym przeświadczeniu, że dowódcami muszą koniecznie być samice. Tym samym Fabian kilkakrotnie uszedł zabójczyniom, natomiast Viola straciła dwa odnóża i osobiście zakończyła żywot trójki zamachowców. Wszyscy uczestnicy konfliktu odkryli straszliwą prawdę na swój temat, że choć nie należą do rasy, która zabija od niechcenia, to jednak wystarczy dać im powód, aby to robili.

I teraz są w Wielkim Gnieździe, a ich armia staje na wprost hordy mrówek ściągniętych tu z kolonii miasta, choć większość z nich nie została nawet przeszkolona do służby wojskowej, ale będzie walczyła z wrogimi mrówkami, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Przed nimi przepastne skupisko miejskie, największe miasto pajaków, zdaje się tak kruche jak zwykle strzępy jedwabiu, które może zwiać byle podmuch wiatru. Fabian mieszkał tu przez większą część swego życia. Setki tysięcy pajaków warowały teraz w swych domostwach, pod baldachimami z liści, przywierały do pni drzewnych w oczekiwaniu, co będzie dalej. Ewakuacji niemal nie było i Fabian słyszał, że Świątynia usiłowała uniemożliwić mieszkańcom opuszczenie miasta.

Viola wysłała posłańca do domostw Wielkiego Gniazda z listą żądań. Posłańcem był samiec i Fabian w ogóle mu nie zazdrościł. Kiedy to oprotestował, Viola oznajmiła posępnie, że skoro Fabian naprawdę domaga się wszystkich swobód dla swej płci, jego samce muszą ponosić takie samo ryzyko.

Fabian mógł jedynie próbować wyobrazić sobie te wszystkie debaty toczone obecnie w Wielkim Gnieździe. Portia i jej kapłanki pewnie nawoływały do oporu. Być może wierzyły, iż zbawi je Emisariuszka, tak jak interweniowała w wielkiej wojnie z mrówkami w zamierzchłych czasach. Z całą pewnością częstotliwości radiowe Świątyni przekazują w tej chwili modlitwy o pomoc. Jeśli Emisariuszka posiada moc, by pomóc swoim wiernym, to dlaczego zwleka?

Radio...? I nagle Fabian zanurzył się na krótką chwilę w naukowych domniemaniach, co by było, gdyby każdy żołnierz został wyposażony w odbiornik radiowy i w jakiś sposób mógł opisać własną chemiczną strukturę na podstawie sygnałów przekazywanych niewidzialną siecią. Kolonia mrówek, która przyjmowałaby polecenia tak szybko, jak biegnie myśl...? Zadrzał. *Czy jest coś, czego nie możemy dokonać?*

I to nie daje mu spokoju, atakując jego umysł raz za razem, i nie wierzy, że taka myśl w ogóle wpadła mu do głowy. Czuje nagły wstrząs, kiedy zdaje sobie sprawę, że wielki projekt Emisariuszki, który przekazała Portii i jej akolitam – pośredni powód tej wojny – mógłby właśnie temu służyć. Nie mrówki, nie substancje chemiczne, ale sieć z miedzi mogłaby przenosić impulsy tak jak radio, podobnie jak każda pojedyncza mrówka z kolonii. I nie byłoby żadnych wyłączników, anten, zamkniętych bram logiki...? Tego rodzaju pomysł miał niewątpliwą zaletę – szybkość, ale przecież nie mógł być tak różnorodny i złożony jak mrówcza kolonia pracująca z całą skutecznością?

Znasz Portię. Ulegnie? – dopytuje się Viola. Czekali na odpowiedź tak długo, aż słońce zaczęło zachodzić. Termin ustalono na nadejście nocy, bo

mrówki mogą bez problemu walczyć po ciemku.

Jeśli wciąż jest u władzy, to nie.

Siły Siedmiu Drzew rozerwą Wielkie Gniazdo, jeśli zostaną do tego zmuszone, i Fabian bardzo się obawia, że w zakamarkach miasta może stracić kontrolę. Części jego armii mogą zostać od niego odcięte, nie będzie można nimi sterować, bo wciąż będą wykonywać ostatnie polecenie. Śmiertelne żniwo wśród tych, których jedyną zbrodnią jest mieszkanie w Wielkim Gniewdzie, będzie zatrważające. Fabian wolałby zawrócić, niż to zobaczyć.

Viola jednak wszystko mu cierpliwie wyjaśniła. Wpływ Wielkiego Gniazda został ograniczony wyłącznie do granic miasta, ale i tak musi ono doświadczyć porażki. Na świecie istnieją dziesiątki miast zdominowanych przez Świątynię. Muszą dostać nauczkę.

Fabian już poznał wyniki walk w innych konfliktach. Całe miasta spłonęły – podpalone celowo lub przypadkowo, biorąc pod uwagę, jak żarłoczny jest płomień i jak łatwopalna jest większość pajęczych konstrukcji. Masakrowały obie strony. Zdarzyło się, że mrówcze armie wpadły w szal i powróciły do starych zwyczajów, kiedy nikt nie kontrolował ich kolonii. Radio codziennie podawało wiadomości o eskalacji walk.

Wielkie Gniazdo jest jednak symbolem ortodoksji. Jeśli Wielkie Gniazdo się podda, wtedy być może będzie można jeszcze ocalić zdrowy rozsądek w tym chaosie.

Pewnie będą musiały same ją zabić, zastanawia się Viola.

Dopiero po chwili Fabian uświadamia sobie, o kogo jej chodzi – o Portię. On sam nie może myśleć o Portii, nie czując wyrzutów sumienia. Ona jest przyczyną tej wojny w takim stopniu jak każda inna pajęczyca, ale Fabian ma gorzką świadomość, że zrobiła to wszystko jej zdaniem z najszlachetniejszych pobudek. Rzuciła na szalę losy całego miasta, ponieważ *wierzy*. A on wciąż czuje dla niej szacunek oraz to dziwne uczucie skręcające samców od środka, że oto jest samica godna, by dla niej tańczyć i oddać za nią życie. Jest to wstydlive, wsteczne uczucie, ale przez miliony lat pchało samców do działania, by brać udział w niebezpiecznej grze przetrwania gatunku.

Fabian chciałby, żeby było inaczej, ale nie potrafi obrać takiej drogi, żeby móc wybrnąć z tej sytuacji i pogodzić się z Portią.

W takim razie przygotuj szpicę. Viola wie, że z pewnością ma już rozeznanie w terenie, ma informacje o siłach przeciwnika i możliwościach własnych oddziałów i tworzy już warunki dla pierwszego ataku – które

zostaną skonkretyzowane w miarę postępu walk. Jego rewolucyjne techniki walki przynosiły mu już wcześniej zwycięstwa przy przeważającej sile wroga. Nie użyje ich przeciwko obrońcom, którzy ustępują jego wojskom pod względem liczebności i wyszkolenia.

Wypuszcza feromony. Udoskonalił technikę. Oprócz feromonów wystawia też szereg żuków, które zaprzęgnięte do służby będą roznosić instrukcje dla całej jego armii. Wciąż zawdzięczają swoje przetrwanie użyteczności, oferując swe usługi z iskrą zrozumienia całego układu, bo są to niepokojąco mądre owady.

Jeden z obserwatorów Violi daje sygnał mocnym światłem, a nogogłaszczki sygnalizują jasny przekaz.

Z Wielkiego Gniazda wychodzi grupa około dwudziestu albo więcej osobników. Na czele kroczy emisariusz posłany przez Violę.

Fabian czuje, jak obezwładniająca napięcie w odnóżach zaczyna ustępować. Wielkie Gniazdo chce pertraktować.

Nie rozpoznaje, kto stoi na czele delegacji wroga. Z całą pewnością nie zna żadnej samicy, która tam dowodzi. Kilka sobie przypomina. Są to kumy Portii z jej domostwa albo ze Świątyni. Są spętane jedwabiem i poganiane przez swe niegdysiejsze polityczne przeciwniczki. Zostaną wydane wrogowi.

Więści niosą się szybko. W Wielkim Gnieździe doszło do zmiany władzy. W mieście toczyły się walki, pajęczycy walczyła z pajęczycą na najwyższych szczeblach władzy. Kapłaństwo zostało złamane i strącone z piedestału. Niektóre kapłanki pozostają wciąż w ukryciu, przechowywane przez tych, którzy wierzą w świętość przekazu. Niektóre podobno uciekły. Reszta została przywiedziona tutaj w dowód dobrej woli.

Nie ma natomiast żadnych wieści na temat Portii. Fabian wyobraża sobie, że ucieka osamotniona. Jest na tyle pomysłowa, by przetrwać, a teraz, bez infrastruktury Świątyni i Wielkiego Gniazda, nie stanowi zagrożenia dla światowego pokoju. Bez wątpienia Viola i inne będą na nią polować, tak jak na jej siostrzyce w Wielkim Gnieździe, ale Fabian ma nadzieję, że Portia im umknie. Ma nadzieję, że ucieknie i zazna gdzieś spokojnego żywota, że zrobi coś dobrego.

Omawiają warunki kapitulacji, które są surowe, ale nie absurdalne. Nowa ekipa rządząca Wielkim Gniazdem plecie cienką nić między oporem i zgodą – Viola doskonale zna tę grę i oddaje się jej. Dopiero kiedy Fabian widzi, jak samica z Siedmiu Drzew rzuca się w wir negocjacji, zdaje sobie sprawę, jak

bardzo ona również chciała uniknąć tego ostatniego, drastycznego kroku.

Nie jest to koniec wojny o doktrynę, ale początek końca. Upadek i nawrócenie Wielkiego Gniazda jest zarówno katalizatorem, jak i wzorcem na przyszłość. Walki wciąż trwają w różnych regionach, lecz ci, którzy uważają, że najważniejsze jest przesłanie Emisariuszki, tracą grunt pod nogami.

Nie oznacza to oczywiście, że nikt już nie rozmawia z Bogiem, ale nie słuchają jej już z takim nabożeństwem, jak to robiła Portia i jej zwolennicy. Postęp prac nad maszyną Emisariuszki wytraca swój pierwotny impet, choć bynajmniej nie zostaje zatrzymany. Zawsze znajdą się światłe umysły gotowe podjąć wyzwanie, które będą przemawiać do Emisariuszki w obwarowanych zakazami, monitorowanych przekazach i próbować uprościć skomplikowany, techniczny język do postaci pasującej do pajęczej technologii. Ironia polegała na tym, że podchodząc do boskich poleceń ze świeckiego punktu widzenia, osiągnięto pewien postęp, którego nie byli w stanie zapewnić wierni ze swym doktrynerskim nastawieniem.

Wkrótce po tym, jak Wielkie Gniazdo kapituluje, Fabian staje przed wiodącymi samicami Siedmiu Drzew – jest to bardzo podobne spotkanie, w jakim uczestniczył podczas wojny. Viola dominuje w tym gronie i ma utwierdzoną pozycję bohaterki wojennej. Oczywiście wszystkie pamiętają, jaki układ zawarły w chwili niedoli. Czekają na ten moment, kiedy wielkość i dobro będą próbowały wrócić do ich świata.

Ma sojuszników? Być może. Bianca jest obecna, jedna z najmniejszych pośród wielkich, niemniej jednak wielka, zarówno za sprawą koneksji z Fabianem, jak i własnych osiągnięć naukowych.

Matrony kręcą się i sadowią, a w sieci słychać gwar ściszonych rozmów. Viola bardzo sprawnie zaprowadza porządek.

Oczywiście, Siedem Drzew i nasi sojusznicy mają wobec ciebie i twoich odkryć wielki dług, zaczyna. Nasze chemiczki już rozważają aspekty życia codziennego, które można by ulepszyć za pomocą twojej techniki.

Nie pracowałem nad moim wynalazkiem, żeby stał się narzędziem przemocy, stwierdza dobitnie Fabian. I owszem, daje to niemal nieskończone możliwości.

Zechcesz podzielić się z nami swoimi planami?

Wszystkie zamierają w bezruchu, czekając na jego pierwsze potknięcie.

Mam własne domostwo, mówi im, na początku przypominając o jednym

z ich głównych zobowiązań. Wyczuwa niechęć i falę zaniepokojenia, po czym powrót do niewzruszonej postawy. *Mam swoich braci, którzy posiadają moje Zrozumienia. Jak mówiłaś, jest wiele rzeczy do zrewolucjonizowania. Ja dopiero zacząłem.*

Pamięta, jak jeszcze w Wielkim Gnieździe Bianca nazwała go niebezpiecznym potworkiem. Teraz wszystkie go tak widzą. Co więcej, boją się go i być może jest to pierwszy przypadek w tym świecie, kiedy samice boją się samca. Pewnie muszą się zastanawiać, czy mógłby poprowadzić armię przeciwko nim, zrobić z nich niewolnice swej woli i nowej substancji.

Nie jest to jednak jego zamiarem. Fabian podejrzewa, że jeśli będą się go zbyt bały, zabiją z miejsca jego samego i jego popleczników, bez względu na to, ile potomność na tym straci. Musi szybko temu zapobiec. *Moje domostwo będzie pomagać naszemu miastu, aby stało się wielkie jak nigdy dotąd. Choć to prawda, że moje odkrycie musi w końcu wydostać się na szerokie wody, ten, kto wykorzystał je jako pierwszy, na zawsze pozostanie jego matką i tym samym nigdy nie będzie obawiał się armii, która go nie posiada.*

Na krawędzi sieci można wyczuć przytłumione wibracje skrytych rozmów. Twarde, taksujące spojrzenia samic spoczywają na Fabianie, zwykłej drobinie w ich oczach. Widzi, że większość z nich chce ustawić go do pionu, odebrać mu to, co wcześniej obiecały pod presją. Pewnie by to zrobiły, kierując się najlepszymi intencjami, w głęboko zakorzenionym przekonaniu, że samcowi nie można powierzać odpowiedzialności za tak ważne sprawy. Pewnie teraz kombinują, jak to zrobić, na wiele sposobów, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie. Zaproponują mu układ Portii: *Pozwól nam się karmić, doceniać i chronić, czego jeszcze możesz chcieć?*

Chciałbym, żeby Siedem Drzew było takim miastem, wystukuje Fabian odnóżami i kuli się w oczekiwaniu spodziewanej odpowiedzi.

Ruch nogogłaszczek Violi zachęca go, by mówił dalej.

Nie mogę trzymać was za słowo w naszym układzie, mówi wprost. *Prosiłem o więcej niż sama Emisariuszka. Prosiłem was, byście zapewniły mnie i przedstawicielom mojej płci wolność, którą same posiadacie i w której żyjecie. To nie jest błaha prośba. Niełatwo da się zrealizować. Wiele pokoleń po nas wciąż będzie kręciło nosem na te reformy, będzie też wiele miejsc, w których płeć będzie czynnikiem decydującym, czy można kogoś zabić ot, tak. Są to sprawy trudne do wyrażenia słowami, gdyż język*

jest tak bardzo powiązany z płcią, że Fabian musi długo tłumaczyć na okrężkę, co ma na myśli. *Mogę powiedzieć tylko tyle: miasto, które zapewni mnie i moim braciom podstawowe prawa, będzie miało lojalność moją i moich towarzyszy oraz będzie czerpało z tego zyski. Jeśli nie uczyni tego Siedem Drzew, zrobi to inne, bardziej zdesperowane miasto. Jeśli mnie teraz zabijecie, przekonacie się, że kilku moich braci już przebywa poza miastem, niosąc ze sobą moje Zrozumienie. Pójdziemy tam, gdzie będziemy mile widziani. Chciałbym, żebyście powitały nas tutaj.*

Pozostawia je zatopione w zażartej dyskusji na temat jego losu. Decyzja, którą usłyszy, została podjęta o włos, bo niemal tyle samo było za co przeciw. W Siedmiu Drzewach nieomal doszło do kolejnej schizmy. Szanowane matrony zaczęły mierzyć odnóża niczym młode awanturnice. W końcu wyrachowanie i partykularne interesy przeważają nad wzburzoną poprawnością tradycji – ale tylko o włos.

Samemu Fabianowi nie dane było doczekać świata, który pomagał tworzyć. Dwa lata od kapitulacji Wielkiego Gniazda zostaje znaleziony w swoim laboratorium, wyspany do sucha przez nieznaną sprawców. Wielu uważało, że odpowiedzialne są za to niechętnie mu tradycjonalistki z Siedmiu Drzew. Inni uważają, że to fanatyczki Świątyni z jakiegoś pokonanego miasta w końcu go wytropiły. Wojna w tym czasie jest już jednak zakończona i pająki nie są skore do zemsty na własną rękę. Ich natura jest raczej pragmatyczna i konstruktywna, nawet po porażce.

Niektórzy twierdzą, że sprawczynią była sama Portia, której imię od tej pory zyskało dziwnie mistyczną aurę – osoby, o której się mówi, choć nikt jej nie widział, a jej miejsce zamieszkania i los pozostają tajemnicą.

Wtedy już nie dało się zamknąć odkrycia Fabiana w skarbcu. Jego rozbudowane domostwo, w większości składające się z samców, rozprzestrzeniło się poza Siedem Drzew, cały czas bacznie chroniąc Zrozumienie, lecz jednocześnie ekspansywnie handlując jego produktami. Przez planetę przetoczyła się rewolucja technologiczna.

Dotarła już do tych, którzy rozmawiają z Emisariuszką. Zastosowanie owoców geniuszu Fabiana do spraw boskich wciąż jest jeszcze w powijakach, ale jego odkrycie z czasów wojny – że nowa substancja mogłaby w jakiś sposób zbliżyć ich do tego, czego chce od nich Bóg – jest marzeniem wielu dociekliwych umysłów.

Gdzieś tam wysoko na zimnej orbicie znajduje się hybryda Avrany Kern z Kapsułą Strażniczą, jej system komputerowy wraz z maską Elizy, którą czasami zakłada. Bardzo chce się skomunikować z owocami swej kreacji. Nauczyła już swe małpy, jak o nich myśli, wspólnego języka. Początkowo okrojony Imperialny C ewoluował na zagęszczonym polu nieznanych konceptów, ale jej małpy go zmodyfikowały. Wie dobrze, że nawiązanie kontaktu z mieszkańcami zielonej planety stanowi przełom w długiej historii rasy ludzkiej. Nie mając innych ludzi, z którymi jej zdaniem mogłaby się tym podzielić, nie czuje wcale smaku triumfu. Jest też coraz bardziej świadoma, że punkty odniesienia jej nowych małp zdają się całkiem odmienne. Choć posługują się tym samym językiem, nie ma świadomości jedności pojmowania, tak jak się spodziewała.

Jest coraz bardziej nimi zaniepokojona. Odeszli od niej dużo dalej, niż mogła oczekiwać od pokrewnych naczelnych.

Wie, że jej bezpośrednia interwencja, polegająca na wpychaniu jej pragnień bezpośrednio w tworzącą się kulturę, stoi w całkowitej sprzeczności z założeniami misji Brin, czyli delikatnego zachęcania do działania i przyzwolenia, by zawsze mogli się do niej zwrócić. Nie ma na to czasu. Zbyt długo już trwała w znacznym oddaleniu i wie, że zasoby energii Kapsuły Strażniczej z wolna się wyczerpywały podczas jej długiego snu i zmalały niemal do zera podczas konfrontacji z *Gilgameszem*, jego dronami i wahadłowcami. Komórki słoneczne ładują się powoli, a deficyt energii już dawał o sobie znać. Kapsuła ograniczała się do obsługi systemów autonaprawczych, które z wolna kumulowały olbrzymie, stałe zapotrzebowanie na podtrzymanie pracy kluczowych systemów.

Z goryczą uświadamia sobie, że ona sama jest teraz postrzegana jako jeden z tych kluczowych systemów, a nie jako istota z krwi i kości. Nie ma granicy między maszyną a nią, już nie. Żadna częśćka Avrany Kern nie może funkcjonować samoistnie. Eliza oraz obraz jej mózgu, a także wyschnięty orzech jej biologicznego narządu, są teraz nierozdzielalne.

Próbowała przekazać małpom swoje plany zautomatyzowanego warsztatu, który pozwoliłby na budowanie urządzeń na planecie. Wtedy mogłaby się przetransponować, bit za bitem, do grawitacyjnej studni. Mogłaby w końcu poznać swych nadrzewnych podopiecznych. A co najważniejsze, mogłaby się z nimi właściwie porozumieć. Mogłaby im spojrzeć w oczy i wyjaśnić, o co jej chodzi.

Małpy rozwijają się w zatrważająco wolnym tempie, a czas jest jednym z tych czynników, których Avrana Kern nie ma w nadmiarze. Nie potrafi tego zrozumieć, ale technologia, która powstała na jej planecie, ruszyła w całkowicie odmiennym kierunku niż na Ziemi. Małpy chyba nawet nie wynalazły koła, a jednak mają radio. Wolno pojmują szczegóły zadania, które im zleciła. Ona natomiast nie bardzo rozumie, co chcą jej przekazać. Ich język techniczny to dla niej zamknięta księga.

Szkoda, bo musi je przygotować.

Musi je ostrzec.

Małpy są w niebezpieczeństwie.

Gilgamesz wraca.

— 6 —

ZENIT/NADIR

6.1 BOMBA W GÓRĘ

Portia obserwuje, jak tworzy się sztuka.

Jest niespokojna, nerwowa – nie jest to wina samej sztuki, ale Portia ma przed sobą wielkie zadanie, które całkowicie zaprzęta jej umysł. Nigdy nie miała cierpliwości do żywych rzeźb, nawet w najlepszych momentach. Szkoda, że to wszystko na jej cześć.

Oczywiście nie tylko jej. Cała jej dwunastoosobowa ekipa jest tutaj, widoczna i wychwalana. Portia nie jest nawet nominalnie dowódcą w tej podróży. Jej zadanie jednak wiąże się z największym ryzykiem. To jej imię wystukują w Siedmiu Drzewach w regionie Wielkiego Gniazda.

Stara się opanować nerwy i skoncentrować na występie. Trzech skocznych samców opowiada historię męczennika Fabiana, wielkiego naukowca i twórcy. Posiłkując się tylko kilkoma wersami żywego słowa, snują i splatają nici i węzły, tworząc skomplikowaną, stale zmieniającą się rzeźbę z jedwabiu, która przedstawia sceny z życia słynnego pioniera oraz jego śmierć. Każda scena jest budowana na podstawach ostatniej, tak że efemeryczna i powielająca się rzeźba rośnie i rozgałęzia się, tworząc kinetyczną formę stale ewoluującej narracji.

Portii jest wstyd, że ją to nudzi. Nie ma zamiłowania do poezji, aby właściwie docenić tę formę sztuki – by śledzić rozwój wydarzeń, należy rozumieć wszystkie aluzje i wątki, ale ona nie posiada takiego Zrozumienia. Jest istotą pragmatyczną, która lubi proste i niewyszukane rozrywki. Poluje, ćwiczy zapasy, wspina się i lubi się parzyć – są to tradycyjne zajęcia, może nieco staroświeckie. Ona uważa je za ponadczasowe.

Oczywiście mogłaby pójść do miejskiej biblioteki, by wypożyczyć Zrozumienie, które od razu pozwoliłoby jej docenić sztukę w całej krasie, ale co by straciła? Jakaś mniej ważna umiejętność bądź wiedza zostałyby wypchnięte z jej umysłu, który ma ograniczoną pojemność. Podobnie jak wielu przedstawicieli jej gatunku, dorastała zadowolona z tego, co posiadała, i nienawidziła wszelkich zmian, jeśli nie niosły z sobą czegoś dla niej ważnego.

Trwa w bezruchu tak długo, jak potrafi, uprzejmie przyglądając się coraz bardziej złożonej rzeźbie, czując jednocześnie dreszcz uznania wśród zgromadzonych i wiedząc, że coś jej umyka. W końcu po prostu nie może dłużej wysiedzieć w tym tłumie pod wspianym, rozpiętym sklepieniem i wymyka się bezszelestnie. W końcu to jej noc. Nikt nie może jej tego odmówić.

Wychodzi na zewnątrz do centrum wielkiej aglomeracji, która jest dzielnicą nauki w Siedmiu Drzewach. Wiedziona potrzebą większej wysokości i czystego powietrza wspina się krok za krokiem po linie i gałęziach, aż może zobaczyć ciemne niebo nad sobą, i wyszukuje jasne kropki gwiazd. Wie, za sprawą edukacji oraz Zrozumienia, że są bardzo odległe, co czyni koncept prawdziwej odległości rzeczą zupełnie bez znaczenia. Przypomina sobie jednak noce spędzane w głuszy – ponieważ leśne ostępy wciąż istnieją pomimo rozrostu pajęczych skupisk oraz towarzyszących im budowli. W oddaleniu od poświaty bioluminescencyjnych świateł miasta gwiazdy zdają się czystsze i tak bliskie, że można by ich dotknąć.

Tutaj jednak prawie ich nie dostrzega, bo wszystko wokół rozświetla się setką odcieni zieleni i błękitu oraz ultrafioletu. Dziwne, że ona, której praca umiejscawia ją na koniuszku kła technologicznego postępu, czuje, że życie ją dystansuje i zostawia daleko z tyłu.

Ma w sobie Zrozumienia, jakie posiadała też jej odległa polująca antenatka, której życie było ciągłą udręką – musiała się wyżywić, ona i jej krewni, walczyć z odwiecznymi wrogami, którzy teraz są bezpiecznie oswojeni lub wymarli albo też zostali wygnani w dzicz na obrzeżach map. Portia – ta Portia – może spoglądać w przeszłość na uproszczone, nawet wyidealizowane odziedziczone wspomnienia tamtych czasów i łaknąć mniej skomplikowanego życia.

Czuje wstrząsy na dole i widzi, że ktoś wspina się do niej. To Fabian – jej Fabian, jeden z niezliczonego mrowia samców nazwany tak na cześć wielkiego wyzwoliciela. Jest jednym z dwóch samców w jej dwunastoosobowej załodze i jej osobistym asystentem wybranym z uwagi na bystry umysł i zręczne ciało.

Obezwładniające, prawda?

Ma zdolność do celnych komentarzy i naprawdę nie ma znaczenia, czy mówi o występie na dole czy też o wielkiej podświetlonej plataninie miasta wokół nich. Jutro będą tworzyć historię.

Fabian tańczy dla niej w tym momencie, bo wyczuwa, że jest nieszczęśliwa, a odrobina pochlebstwa i uwagi tej nocy pomoże jej w tym, co ma zrobić jutro. Z dala od tłumu wykonuje dla niej taniec godowy starożytnych pajaków i spotyka się z takim samym odzewem. Monogamia – czy też raczej jednomożostwo – nie jest powszechna wśród pajaków, ale niektóre pary przyzwyczajają się do siebie. Fabian tańczy tylko dla niej, a ona odrzuca zaloty innych.

Jak zwykle w szczytowym momencie, kiedy składa jej ofiarę, ona czuje głęboko zakorzeniony impuls, by posunąć się dalej do dosłownej konsumpcji związku. Ale to wszystko należy do rytuału, a zapal i gwałtowność zostają pospiesznie zagłuszone jej bardziej cywilizowaną naturą. Obecnie takie rzeczy prawie się nie zdarzają.

Na dole występ również dochodzi do kulminacji. Później artyści wszystko zdemontują, pochłoną warstwy sieci i rozbiorą swoje arcydzieło. Sztuka, jak wszystko inne, jest ulotna.

W innym miejscu w mieście, w centrum nauki i badań, które pełni również funkcję świątyni Wielkiego Gniazda dla kurczącej się grupki parafian czujących potrzebę zaznania wielkiej niewiadomej w życiu, Bianca pracuje nad ostatnimi przygotowaniem. Nie należy do wyselekcjonowanej ekipy Portii, ale przyłożyła rękę do całej misji. Jej zainteresowanie jutrzejszym wydarzeniem ma charakter niemal matczynej, gdyż to ona była siłą sprawczą tego, co ma nastąpić. Jej prawdziwe intencje nie są takie, jak się większości wydaje – nie są bynajmniej niegodziwe – posiada niezwykle umysł dostosowany do szerszego myślenia wybiegającego daleko w przyszłość.

Bianca jest urodzoną encyklopedystką, co w tym kontekście oznacza, że potrafi przyjąć o wiele więcej Zrozumień niż przeciętny pajak. W odróżnieniu od Portii często zmienia zdanie. Za swój największy atut uważa umiejętność uczenia się i pragnienie zgłębiania, a nie tylko powierzchownego poznawania poszczególnych dziedzin. Obecnie jest wykwalifikowaną radiooperatorką, chemiczką, astronomką, rzemieślniczką, teolożką i matematyczką, a jej umysł aż kipi od nadmiaru interdyscyplinarnej wiedzy.

Teraz, kiedy jej pobratymcy dawno już odpoczywają, sprawdza dwa razy swoje obliczenia i projektuje architekturę awaryjną dla kolonii mrówek, którą poleciła stworzyć, wielokrotnie korygując wyliczenia.

Świeżo odkryta przez nią teologia w połączeniu z elementarną starannością

jej natury powoduje, że najbliższe przedsięwzięcie wywołuje u niej poczucie nabożnej czci i szacunku. Może nie jest jej znana pycha, ale jest jej bliska, siedząc samotnie w centrum sterowania, kiedy w myślach powtarza złożone fazy całego planu.

Posiada rzadką perspektywę, która pozwala jej patrzeć wstecz na pokolenia pod znakiem walki i rozwoju. Jest w stanie nadać historii kształt i fakturę, docenić rosnący wkład tych wszystkich Portii, Bianek i, tak, Fabianów wielu minionych generacji. Każde z nich miało swój udział w nowych Zrozumieniach, na które składa się suma wiedzy wszystkich pajaków. Każde z nich było kolejnym węzłem w poszerzaniu sieci postępu. Każde planowało zrobić krok dalej, wykraczając poza miejsce, do którego dotarli ich przodkowie. Pod tym względem Bianca jest ich nieodrodnym dzieckiem, produktem ich nauki, śmiałości, odkrywczości i ofiar. Jej umysł tętni żywą wiedzą martwych przodków.

Rozumie w sposób bezpośredni i prawdziwy, że stoi na plecach gigantów i że jej własne plecy będą na tyle silne, by unieść ciężar wielu przyszłych pokoleń.

Na drugi dzień rano Portia i jej ekipa zbierają się w punkcie, w którym ostatnie budowle miasta przerzedzają się, by ustąpić miejsca pustkowiu, czyli wielkiej połaci ziemi uprawnej, gdzie widać tylko kępy przysadzistych drzew usianych naroślami, które ciągną się aż po horyzont. Oddzielają je jedynie przecinki i wydeptane ścieżki mrówek uprawiających ziemię. Jest ładna pogoda – niewielka bryza przegania chmury, tak jak przepowiedziano. Chwilę tę przekładano dwukrotnie z uwagi na niekorzystne warunki pogodowe.

Portia wciąż jest spięta i milcząca. Pozostali radzą sobie z nerwami na swój sposób. Niektórzy kucają, inni biegają w kółko, niektórzy biją się albo gadają od rzeczy, stepując w nerwowym staccato. Viola, przywódczyni, podchodzi do każdego z osobna, dotyka nogogłaszczkami, żeby ich uspokoić.

Fabian jako pierwszy zobaczy Podniebne Gniazdo.

Nawet z tej odległości jest absurdalnie ogromne, kiedy tak unosi się majestatycznie nad Siedmioma Drzewami, płynąc gładko nad regionem Wielkiego Gniazda niczym jakieś złudzenie optyczne. Srebrzysta czasza worka na gaz ma obecnie trzysta metrów długości i przytłacza długą, zawieszoną pod spodem wrzecionowatą kabinę. Później rozwinie się dwukrotnie, aż stosunek nośności do wagi osiągnie maksymalną wartość wymaganą przy tym

eksperymentach.

Pajaki używały jedwabiu do szybowania, zanim w ogóle poznały Zrozumienia, a ich rosnąca inteligencja sprawiła, że wprowadzono liczne ulepszenia tej sztuki. Umiejętność syntezy chemicznej daje im dostęp do dowolnej ilości wodoru. Z technologią opierającą się na jedwabiu i lekkim drewnie nawet ich eksperymenty z obiektami cięższymi od powietrza dają wyniki lotne i lekkie jak piórko. Z ochotą zabrali się do konstruowania sterowców.

Liny zrzuciła załoga statku, miały sto metrów, tak by sięgnęły ziemi. Zadowolona, że w końcu coś się dzieje, Portia i inni pną się w górę, co jest czynnością łatwą, w ogóle niewartą wzmianki. Następuje krótkie, ceremonialne przekazanie statku w ręce Violi i załoga spuszcza się po linach, robiąc w Podniebnym Gnieździe miejsce dla nowych pasażerów.

Statek podniebny jest triumfem inżynierii, na tyle wytrzymały, by znieść kapryśną pogodę niższych warstw atmosfery, a pomimo tego zdolny, przy pełnym worku gazowym rozwiniętym do maksymalnej pojemności, do wznoszenia się na uprzednio niedościgłe wysokości. Profil aerodynamiczny statku jest opływowy i jednocześnie elastyczny, dostosowywany dzięki napiętym linom i strukturze wewnętrznej. Wznosi się teraz przy coraz silniejszym wietrze, a jego struktura zmienia się automatycznie, więc załoga ma czas na zdomowienie się na pokładzie.

Ich docelowa wysokość znajduje się wysoko ponad ich światem, tak że właściwie nie kwalifikuje się do miana wysokości. A nawet tam czeka ich jeszcze większa podróż, a konkretnie najśmielszej z nich wszystkich – Portii.

Viola sprawdza, czy wszyscy członkowie załogi są na swoich stanowiskach, i dołącza do Portii na przedzie cylindrycznej kabiny dla załogi, spoglądając przez cieniutką błonę na oddalającą się ziemię. Worek na gaz wypełnia się i rozwija, wydymany kolejną porcją wodoru, przyjmuje opływowy kształt, a Podniebne Gniazdo wznosi się coraz szybciej. Tutaj, na dziobie, znajdują się radio oraz główny terminal mózgu statku.

Viola wsuwa nogogłaszczki w bliźniacze otwory w pulpicie i Podniebne Gniazdo mówi jej, jak się czuje i czy wszystkie komponenty działają poprawnie. To przypomina nadawanie przez radio, niemal jakby rozmawiać z żywym organizmem. Kiedyś rozmawiała z Emisariuszką i komunikacja z Podniebnym Gniazdem bardzo tę rozmowę przypomina.

Niewielkie czułki dotykają wrażliwych włosków na nogogłaszczkach

i ocierają się o nie, przekazując jej informację za pomocą dotyku i zapachu. Dwójka załogantów czeka w pogotowiu, by przekazać terminalowi chemiczne polecenia, które błyskawicznie rozniosą się po statku.

Nieustanne obliczenia zakładające wyniesienie obiektu z pajęczyny i wodoru w górne partie atmosfery stanowiły wyzwanie nawet dla wszechstronnej Bianki. Dlatego wynalazła statek, który posiadał zdolność myślenia – cierpliwą, przeznaczoną do tego zadania inteligencję podległą rozkazom pajęczej załogi. Na statku roiło się od mrówek. Należały do gatunku tych niewielkich, w większości dwucentymetrowych robotnic, ale podatnych na skomplikowane warunkowanie. W gruncie rzeczy kolonia pisze większość własnego warunkowania, a ich standardowa architektura pozwala na odbieranie bezpośrednich informacji o statku i stałe reagowanie bez udziału załogi.

Choć mrówki potrafią wejść wszędzie, tempo ich przemieszczania się byłoby zbyt wolne, by koordynować stałe metamorfozy przepastnego statku. Pajęcza bioinżynieria obeszła to za pomocą wyhodowanej tkanki. Tak jak od wieków sztuczne mięśnie były wykorzystywane jako mechanizm napędowy jednoszynowych kapsuł transportowych oraz innych urządzeń, tak Bianca stworzyła pionierskie sieci neuronów stosowane w faktoriach chemicznych. Dlatego mrówki nie musiały fizycznie przemieszczać się do dalej położonych elementów swej kolonii. Wysyłały natomiast impulsy przez połączenia nerwowe statku, które następnie były tłumaczone na chemiczne polecenia na drugim końcu. Neuronowa sieć – jednocześnie żywa i martwa – jest częścią tej kolonii, jakby była jakąś dziwnie wyspecjalizowaną kastą. Mrówki mogą nawet zmieniać jej złożoną strukturę, ucinając jedne powiązania i pobudzając rozrost innych.

Bianca jest pewnie jedyną pajęczycą, która zastanawia się, czy to, co stworzyła lub raczej wyhodowała, może pewnego dnia przekroczyć niewidzialną granicę oddzielającą to, co jedynie oblicza i pozostaje nieświadome, od tego, co uważa za prawdziwy intelekt. Taka perspektywa, która pewnie zaniepokoiłaby jej siostry, gdyby się nad tym głębiej zastanowiły, od jakiegoś czasu krąży w jej umyśle. W gruncie rzeczy jej obecny prywatny projekt ma wiele wspólnego z jej bardziej spekulatywnymi pomysłami.

Na pokładzie Podniebnego Gniazda załoga przygotowuje się na warunki panujące w wyższych partiach atmosfery. Kapsuła ma podwójny kadłub,

a warstwa powietrza oddzielająca dwie płachty jedwabiu zapewnia izolację przy wejściu w uboższe w tlen rejony. Zewnętrzne powłoki kapsuły i balonu są uplecione ze srebrzystej, połyskliwej nici – organicznego materiału, który rozprasza i odbija światło słońca.

Podniebne Gniazdo wynosi ich w górę w stronę rzadkiej warstwy chmur. Dwójka załogantów nosi kombinezony z lekkiego jedwabiu, by przejść przez służę i sprawdzić działanie boskich maszyn – nazwanych tak z powodu tego, że ich konstrukcja opiera się na projekcie otrzymanym bezpośrednio od Emisariuszki. Wcześniej projekt był narzucony jako boski nakaz i nikt nawet nie rozważał pomysłu wykorzystania ruchu obrotowego. Teraz bioelektryczne pola kręcą śmigłami z lekkiego metalu, które miarowo podnoszą Podniebne Gniazdo z ziemi.

Niektórzy członkowie załogi zbierają się przy połyskliwych oknach i tłoczą, by zobaczyć, jak miasto kurczy się na obszernej płachcie warstw cywilizacji do rozmiarów nieuporządkowanego szkicu przypominającego schematyczny rysunek dziecka. Panuje nastrój euforii i uniesienia. Portia jest jedyną, która ma inny humor. Pozostaje poważna, skupiona na swoich obowiązkach, starając się przygotować do czekającego ją zadania. Szuka pociechy z dala od innych i starannie plecie i rozplata swoją mantrę, która towarzyszyła jej ludowi od wieków, starożytną, dającą ukojenie matematykę pierwszego Posłania. Nie jest bynajmniej jakąś atawistyczną prawdziwą wyznawczynią, ale hołdowanie tradycji pociesza ją i uspokaja, tak jak pocieszało i uspokajało jej odległych przodków.

W przestrzeni przedniej kabiny Viola daje znak operatorowi radia, który przesyła sygnał, że wszystko w porządku. Na dole w regionie Wielkiego Gniazda Bianca odbierze ich wiadomość, a potem wyśle własną, nie do Podniebnego Gniazda, lecz jeszcze dalej.

Bianca wysyła Bogu prosty komunikat: *Zbliżamy się.*

6.2 STARZEC I TRUDNY SEZON

Obudził go swąd spalenizny. Przez chwilę leżał, czując lekki smród przypalonych kabli wdzierający się do jego nozdrzy, i myślał zupełnie spokojnie: *Zimne zawieszenie, gorący smród, zimne zawieszenie, gorący smród, zabawne...*

Wtedy uświadomił sobie, że to w ogóle nie jest zabawne. Wręcz przeciwnie: *ponownie* leżał w swojej trumnie, tylko że ceremonia pogrzebowa wiązała się z kremacją, a on odżył w bardzo niefortunnym momencie.

Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale zakrzuszył się żrącymi oparami, które wypełniły jego mikroskopijny zamknięty świat.

Wiek odeskoczyło ze zgrzytem umęczonego metalu i trzaskającego plastiku, kiedy tylko na nie napał. Jakby na sekundę otrzymał nadludzką siłę.

Holsten krzyknął – bez słów, głosem, który nawet nie był nacechowany żadnymi emocjami – strachem, triumfem czy zaskoczeniem. Był to tylko okrzyk, głośny i bezsensowny, jakby jego usta zostały nastrojone na martwy kanał. Wierząc i orząc paznokciami, prześliznął się po ścianie komory zawieszenia i nikt go nie złapał na czas.

Twarde zetknięcie z podłogą przywróciło mu świadomość i zobaczył, że leży w pomieszczeniu podstawowej załogi nie tylko jak idiota, ale też obolały idiota, który robi z siebie widowisko na oczach innych. Byli tu ludzie, którzy cofnęli się roztropnie, kiedy wydostawał się na wolność. Przez chwilę nawet nie chciał na nich patrzeć. Mogli to być jacyś buntownicy. Mogli być popapranymi guyenitami, którzy mieli go złożyć w ofierze swemu martwemu, a zarazem żyjącemu po wieki cybernetycznemu bóstwu. Mogły to też być poprzebierane pająki. Miał wrażenie, że nic dobrego nie może wyniknąć z obecności innych ludzi wokół niego właśnie w tym momencie.

– Klasyk, doktor Holsten Mason – odezwał się kobiecy głos. – Tak się pan nazywa?

– Ja... tak, ale co? – Pytanie oscyloowało na granicy między tym, co normalne, i tym, co dziwaczne.

– Zapisz, że potwierdza – powiedział jakiś mężczyzna. – Doktorze Holsten,

proszę wstać. Jest pan przenoszony. Nie ma powodów do niepokoju, ale pańska kapsuła zawieszenia stała się niestabilna i musi zostać naprawiona. –

Nic w jego głosie nie wskazywało na to, że wyrwali wieko jego trumny, żeby się dostać do świeżego mięsa. – Zostanie pan zabrany do innej kapsuły i wprowadzony ponownie w stan zawieszenia albo, jeśli nie ma dostępnej kapsuły, zostanie pan przeniesiony do miejsca tymczasowego pobytu, aż kapsuła się znajdzie. Rozumiemy, że musi to być dla pana nieprzyjemne, ale chciałbym zapewnić, że zrobimy wszystko, by przywrócić normalne funkcjonowanie statku.

W końcu Holsten podniósł na nich wzrok.

Mieli na sobie mundury i to był dobry znak. Spodziewał się, że będą odziani w skóry i skrawki materiału, co było szczególnie niepokojące, biorąc pod uwagę, że na *Gilgameszu* była obfitość zwierzęcia tylko jednego gatunku.

Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, wyglądali zaskakująco czysto i schludnie. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, dlaczego to go tak zaniepokoiło. Wtedy pojął, że gdyby to była jakaś awaryjna sytuacja, kobiety byłyby rozczochrane i miały wory pod oczami, a mężczyzna byłby nieogolony. Ci tutaj poświęcili wiele czasu, by zadbać o swój wygląd. Mundury jednak nie były nowe – materiał był poprzecierany i połatany w wielu miejscach, łata na łacie.

– Co się dzieje?

Mężczyzna, który palnął uspokajającą gadkę, znów otworzył usta, ale Holsten podniósł dłoń, by go powstrzymać, i podciągnąwszy się, stanął na równe nogi.

– Tak, tak, wiem. Ale co się dzieje?

– Gdyby zechciał pan pójść z nami, doktorze Mason... – odezwała się jedna z kobiet.

Zauważył, że jego dłonie zacisnęły się w żałośnie małe piąstki, cofnął się.

– Nie... nie, mam dość tego, że co rusz kolejna banda wariatów wpada na jakiś głupi pomysł, nie informując mnie o niczym. Mówcie, co się dzieje, albo ja... przysięgam, że... – I w tym tkwił główny problem, ponieważ cóż mógł zrobić? Co by wtedy zrobił wielki Holsten Mason? Czy odstawiłby jakiś spektakl, tutaj, w przepastnym kosmosie? Wróciłby do swojej pozbawionej wieka trumny i skrzyżował ręce na piersi, udając, że śpi snem wiecznym? – Więc pomóżcie mi, bo ja... – Znów spróbował, ale stracił rezon.

Trójka ludzi spojrzała po sobie, próbując się porozumieć za pomocą mimiki twarzy i ruchu brwi. W końcu nie próbowali go dokądś zaciągnąć siłą,

przynajmniej jeszcze nie. Rzucił desperackie spojrzenie po pomieszczeniu dla podstawowej załogi, żeby sprawdzić, co tu jeszcze jest.

Przynajmniej połowa komór zawieszenia była otwarta. Niektóre pozostawały zamknięte, a panele na zewnątrz jarzyły się zimną, niebieską poświatą dobrego funkcjonowania. Inne miały odcień zielony wpadający w żółty i takim światłem pewnie świeciła jego własna komora przed otwarciem. Podszedł do jednej i spojrzał na twarz mężczyzny, w którym rozpoznał chyba faceta z ekipy Karsta. Na panelach świeciły się liczne drobne komunikaty, co, jak stwierdził, nie wróżyło dobrze lokatorom.

– Tak – potwierdziła jedna z kobiet, zauważywszy jego spojrzenie. – Mamy mnóstwo pracy. Musimy kierować się priorytetami. Dlatego musi pan z nami pójść.

– Posłuchaj... – Holsten nachylił się bliżej, żeby zerknąć na imię na mundurze. – Ailen, chcę wiedzieć, jaka sytuacja panuje na *Gilu*, i... ty nie jesteś Ailen. – Ponieważ nagle przypomniał sobie prawdziwą Ailen z ekipy naukowców – kobietę o ostrych rysach, która nie dogadywała się z Vitas ani z nikim innym. Znow zaczął się cofać. – Od kiedy to trwa? – zapytał stanowczo.

– Od kiedy? – Podchodzili do niego wolno, jakby nie chcieli wystraszyć jakiegoś nerwowego zwierzęcia, okrążali zepsutą trumnę, żeby go przyszpilić.

– Odkąd ja... odkąd Guyen... – Ale nie mieli prawa wiedzieć. Pewnie nawet nie pamiętali, kim był Guyen, a może dla nich był jakimś demonem z mitów. Ci ludzie urodzili się na statku. To dzieci *Gilgamesza*. Ta gładka gadka, mundury, pozory profesjonalnej kompetencji, to wszystko gra. Byli tylko małpami naśladowującymi dawno zmarłe oryginały. „Nowa komora zawieszenia”, do której mieli go zabrać, po zniszczeniu tej prawdziwej byłaby pewnie pudłem z kilkoma przyczepionymi do niego kablami – kultową trumną skonstruowaną przez naiwnych dzikusów.

Rozejrzał się wokół, szukając potencjalnej broni. Niczego nie było pod ręką. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł, żeby obudzić pozostałych członków załogi podstawowej, wybudzić któregoś z ochroniarzy niczym potwora obronnego, by ich przepędził. Miał przeczucie, że jego prześladowcy raczej nie będą czekać cierpliwie, podczas gdy on się będzie zastanawiał, jak to zrobić.

– Proszę, doktorze Mason. – Jedna z kobiet prosiła go cierpliwie, jakby był jakimś staruszką z demencją, który nie chce wracać do łóżka.

– Nie wiecie, kim jestem! – wydarł się Holsten, po czym uchylił się i chwycił całe wyrwane z zawiasów wieko swojej komory zawieszenia, którego waga przypominała mu w przedziwny sposób, że jest na świecie coś trwałego, nad czym ma kontrolę.

Rzucił wiekiem. Później przypominał sobie z zadziwieniem, jak ten szarżujący nieznamy, w którego na chwilę się przemienił, uniósł ten prowizoryczny pocisk nad otwartą trumną i cisnął w atakujących. Pocisk trafił w cel, uderzając w ich uniesione ramiona, zmiatając ich z drogi, a potem on sam przemknął obok w koszuli rozchełstanej na plecach i wypadł z pomieszczenia.

Nie miał pojęcia, dokąd miałby się skierować, więc ruszył przed siebie, potykając się i przystając. Penetrował zapamiętane korytarze, ale zostały podczas jego snu przekształcone w coś dziwnego i do tego w fatalnym stanie. Usunięto wszystkie panele ze ścian, tak że widać było okablowanie, niektóre kable wyrwano bądź pocięto. Ktoś obdzierał *Gilgamesza* ze skóry od środka, ukazując jego organy i wewnętrzne elementy na wszystkich powierzchniach. Holsten nie mógł się pozbyć wizji ciała w ostatnim stadium groźnej choroby.

Przed sobą zauważył dwójkę ludzi, kolejne uczesane dzikusy w pomarańczowych mundurach. Majstrowali coś w grubej wiązce kabli i gwałtownie wstali na dźwięk okrzyków dobiegających zza pleców Holstena.

Wiedział, że będzie musiał się przez nich przedrzeć. Na tym etapie jedyną jego nadzieją był nieustanny bieg, bo przynajmniej w ten sposób mógł trafić w jakieś inne miejsce. To nie było miejsce dla niego. To był, bez wątpienia, wielki i kruchy statek kosmiczny, rozrywany od środka, i jak niby mieli przeżyć po czymś takim?

Co się stało? – zastanawiał się gorączkowo. *Lain robiła, co mogła, by ograniczyć infekcję Guyena. Nie mogłem jej pomóc. Musiałem w końcu wrócić do komory. A więc jak do tego doszło?* Poczuł, że rozwija się w nim jakaś nieznana do tej pory choroba, jakiś odpowiednik choroby lokomocyjnej będącej skutkiem zbyt wielu oderwanych od siebie momentów w historii włóczonych w okres życia jednego człowieka.

Czy to już koniec? Czy rasa ludzka stanęła na krawędzi zagłady?

Przygotował się, żeby przepchnąć się między dwoma prymitywami, ale oni powstrzymali się od interwencji i zesłi mu z drogi, więc tylko przeszedł między nimi, chwiejnie obrzucany spojrzeniem pustych oczu. Przez chwilę zobaczył siebie ich oczami – starca z oszalałym wzrokiem objającego się

o ściany z gołą dupą w rozcięciu koszuli.

– Doktorze Mason, niech pan poczeka! – wołali za nim, ale nie wolno mu było czekać.

Biegł bez końca i wreszcie zapędzili go w kozi róg w kopule obserwacyjnej z przesuwającym się za oknem gwiazdnym polem, jakby mógł ich tam powstrzymać, grożąc, że wyskoczy.

Wtedy już było ich więcej niż trójka. Poruszenie, jakie wywołał, ściągnęło może z tuzin dzikusów – więcej kobiet niż mężczyzn – i nie znał nikogo z tej grupy ludzi w starych kombinezonach z imionami martwych na naszywkach. Obserwowali go ostrożnie, choć nie miał już dokąd uciekać. Trójka, która go obudziła, była wyraźnie schludniejsza niż pozostali, których zarówno stroje, jak i twarze wyglądały zdecydowanie gorzej. *Komitet powitalny, pomyślał cierpko. Nagrody dla najlepiej ubranych ludożerców za rok... a któryż to może być rok?*

– Czego chcecie? – zapytał, dysząc ciężko i czując, że jest na bakier z całym wszechświatem.

– Musimy przenieść pana do innej komory – zaczął znowu mężczyzna z komitetu powitalnego, uderzając w te same pogodne, spokojne i całkowicie fałszywe tony.

– Nie – powiedziała jedna z kobiet. – Mówiłam ci, nie tego. Dla tego mamy instrukcje specjalne.

No jasne.

– No to kto mi powie? – naciskał Holsten. – Powiedzcie mi, kim naprawdę jesteście. Ty pierwsza. – Wskazał na fałszywą Ailen. – Kim jesteś? Co się stało z prawdziwą Ailen, że wlałaś w jej skórę – w ubrania, w jej ubrania? –

Czuł, jak prawdziwe szaleństwo szarpie się w jego wnętrzu, by się wyzwolić. Ta grupa poważnych, dobrze ułożonych ludzi w skradzionych kombinezonach zaczynała go przerażać bardziej niż wszyscy buntownicy świata, bardziej niż członkowie kultu w poszarpanych szatach. I dlaczego zawsze tak jest? Co się z nami dzieje? I dopiero po minach tych ludzi zorientował się, że powiedział to na głos, ale nie mógł powstrzymać słowotoku. – Co jest z nami, że nie potrafimy żyć w tej pierdolonej skorupie w zgodzie, nie szarpiąc się co chwila? Musimy próbować kontrolować się wzajemnie, okłamywać i ranić? Kim wy jesteście, że mówicie mi, gdzie mam być i co mam robić? Co wy robicie z biednym *Gilgameszem*? Skąd wy, świry, w ogóle się bierzecie? – Ostatnie zdanie było już praktycznie wrzaskiem, który zatrwożył Holstena, bo

najwyraźniej coś w nim pękło i nie dało się ani naprawić, ani kontrolować. Przez chwilę patrzył na swoją publiczność ludzi młodych i obcych z otwartymi ustami, bo każdy spodziewał się kolejnych słów prawdy. Holsten jednak poczuł, że usta mu się wykrzywiają, wiotczeją i w piersi zrodził mu się szloch. Co za dużo, to niezdrowo. Za dużo tego wszystkiego. On, który tłumaczył owoce szaleństwa anioła stróża planety starego jak świat. On, który został porwany. On, który widział obcy świat pełzający przerażającą ziemską grozą. On, który się bał. Który kochał. On, który poznał człowieka, który chciał być Bogiem. Widział śmierć.

To były bardzo ciężkie tygodnie. Wszechświat miał całe wieki na zamortyzowanie wstrząsu, ale nie on. On był budzony i usypiany, budzony i usypiany, a sztywny zastój zawieszenia nie pozwalał mu odzyskać równowagi.

– Doktorze Mason – odezwała się znowu jedna z nich z tą bezlitosną, brutalną uprzejmością. – Jesteśmy inżynierami. Jesteśmy załogą. – A kobieta, którą wywołał do odpowiedzi, dodała: – Ailen była moją babką.

– *Inżynierami?* – wykrztusił Holsten.

– Naprawiamy statek – wyjaśniła druga młódka, bardzo szczerze.

Nowa informacja zawirowała pod czaszką Holstena niczym chmara nietoperzy starających się wylecieć na zewnątrz. *Inżynierowie. Babka. Naprawiają.*

– A zajmie – zapytał drżącym głosem – ta naprawa statku?

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiedziała wnuczka Ailen.

Holsten usiadł. Cała siła, wściekłość, poczucie prawości i strach wyciekły z niego tak gwałtownie, że powinien teraz siedzieć w kałuży zużytych emocji.

– Dlaczego ja? – wyszeptał.

– Pańska komora zawieszenia wymagała natychmiastowej naprawy. Musiał pan zostać wybudzony – powiedział mężczyzna z komitetu powitalnego. – Znajdziemy panu jakieś miejsce, gdzie przeczeka pan okres naprawy, ale teraz... – Zerknął na jedną ze swoich towarzyszek.

– Mamy instrukcje specjalne – potwierdziła jedna z nowo przybyłych osób.

– Niech zgadnę – wtrącił się Holsten. – Wasz szef chce mnie widzieć.

Wiedział od razu, że ma rację, choć patrzyli na niego z czymś w oczach na granicy zabobonnego lęku.

– To Lain, czy tak? – powiedział pewnie, a słowa te wyzwoliły wzmożoną falę wątpliwości. *Moja babka*, powiedziała farbowana Ailen. A gdzie była

teraz prawdziwa Ailen? – Isa Lain? – dodał, słysząc nowe drzenie w swym głosie. – Powiedz mi.

Widział siebie ich oczami – przerażonego człowieka z otchłani czasu.

– Proszę pójść z nami – ponaglili go.

I tym razem poszedł.

6.3 WYNIESIENIE

Bianca już wcześniej rozmawiała z Emisariuszką i przyjęła zestaw Zrozumień przekazanych przez badaczki, które wydestylowały całą historię kontaktu ze sztucznym bogiem do łatwo przyswajalnego formatu. Według Bianki wyniki są fascynujące i nie jest pewna, czy którakolwiek z nich doszła do tych samych wniosków.

Emisariuszka jest najwyraźniej myślącą jednostką orbitującą wokół jej świata w odległości mniej więcej trzystu kilometrów. Najwcześniejsze Zrozumienia podają, że przez nieznaną okres Emisariuszka przesyłała sygnały radiowe składające się z serii sekwencji matematycznych. Stosunkowo niedawno, w ujęciu historycznym, został wysłany przekaz w drugą stronę przez jedną z antenatek Bianki i tak zaczął się dziwny i pełen nieomówień dialog.

To właśnie na tle tego dialogu Bianca ma obsesję. Ślęczała nad przekazami z drugiej ręki tych, które były wcześniej, czuła ich dość mgliste przekonanie, że głos, jaki słyszały, należał do jakiejś istoty inteligentnej, która bardzo interesuje się jej gatunkiem i zamierza się z nim komunikować, i że jest w tym jakiś głębszy cel. Te konkluzje wydają się bezdyskusyjne w świetle faktów. Bianca wie również z poznanych Zrozumień, że jej przodkowie stworzyli pewne wierzenia, które z perspektywy czasu są mniej weryfikowalne. Wielu zaczęło wierzyć, że Emisariuszka jest odpowiedzialna za ich egzystencję, i jest to wiara aktywnie podtrzymywana przez nią samą. Co więcej, wierzyli, że Emisariuszka ma przede wszystkim na względzie ich interes i że plan, który wykonują tak sumiennie – a później tak wielkim kosztem – przyczyniłby się do ich błyskawicznego rozwoju, gdyby tylko potrafili go zrozumieć.

Bianca zastanawiała się nad tym wszystkim i nie znalazła niczego, co by to potwierdzało. Ma świadomość, że wielu jej pobratymców wciąż jest mocno zaangażowanych w Świątynię i że wierzy w to, iż Emisariuszka w jakiś sposób się nimi opiekuje, choć obecna wiara jest tylko cieniem wcześniejszej żarliwości. Tym samym była w miarę taktowna w kwestii swoich konkluzji, ale postawiła jasną tezę, że tradycyjny, przestarzały pogląd na Emisariuszkę, wizja stworzonej przez same pająki o jakiejś wielkiej pajęczycy na niebie, jest

absurdalny.

Nie może kwestionować faktu, że Emisariuszka jest istotą o wielkim intelekcie, ale jest to trudniejszy osąd, gdyż może jedynie stwierdzić, że to typ inteligencji bardzo odmienny od jej własnej. Najwyraźniej istnieją olbrzymie pokłady wiedzy, które Emisariuszka traktuje jak coś oczywistego, a czego Bianca, wysilając umysł do granic możliwości, nie może pojąć. I odwrotnie – wiele z tego, co przekazano Emisariuszce, zostało ewidentnie źle zrozumiane albo spotkało się z kompletnym brakiem zrozumienia z jej strony. Możliwości boskiej istoty są najwyraźniej w dziwny sposób ograniczone. Są idee, które nawet najgłupszy pająk intuicyjnie zrozumie, a które całkowicie umykają Emisariuszce.

I oczywiście tak też jest ze wspólnym językiem mozolnie tworzonym na dwóch końcach drgających fal radiowych. Ergo, co nie pierwsza Bianca zauważyła, Emisariuszka wcale nie jest taka wszystkowidząca i wszystkowiedząca. Musi błądzić po omacku, musi się starać, by coś zrozumieć, i zbyt często się to jej nie udaje.

Najwięcej problemów przysparza jej zrozumienie podstawowych codziennych spraw. Emisariuszka jest najwyraźniej nieświadoma większości wydarzeń występujących w świecie, wokół którego orbity krąży. Co więcej, zwykle język opisowy zawodzi. Radzi sobie z wizualnymi opisami w podstawowych kwestiach, ale kiedy w grę wchodzi język ubarwiony bogatą zmysłowością dotyku i smaku pająka, coś ginie w przekładzie. Tym, co najlepiej przechodzi, są liczby – obliczenia, równania, arytmetyka i fizyka.

Biance znany jest ten rodzaj komunikacji z innych źródeł. W morzu kwitnie cywilizacja skorupiaków, z którą jej pobratymcy utrzymują sporadyczne kontakty od stuleci. Przez lata wypracowano język gestów, a podwodny świat ustonogów doświadczył wielu własnych dramatów, kryzysów, zamieszek, przewrotów i rewolucji. Teraz mają radio i własnych uczonych, choć ich technologia jest ograniczona środowiskiem oraz ich niewystarczającą zdolnością manipulowania nim. Są jednak odlegli o cały świat nie tylko pod względem wodnego środowiska, ale też priorytetów i conceptów. Jediną dziedziną, w jakiej Bianca lubi się poruszać w rozmowach z nimi, jest matematyka, do której ustonogi mają szczególne upodobanie. Wiele lat spędziła na udoskonalaniu i budowaniu kompleksowej architektury kolonii mrówek w celu stworzenia narzędzi potrzebnych jej do bardzo zaawansowanych eksperymentów. Najbardziej złożone systemy, takie jak

autoregulacja lotu wykonywana przez kolonię na pokładzie Podniebnego Gniazda, opierały się na zasadach matematycznych, a ich chemiczna struktura jest w stanie odbierać informacje numeryczne i działać według nich, nawet do wykonywania finezyjnych obliczeń w ciałach mrówek i neuronach poszczególnych osobników.

Bianca żyje powracającą myślą, że teoretyczne podobieństwo między Emisariuszką i kolonią mrówek stało się wystarczająco zaawansowane i złożone. Czy można było komunikować się w podobny sposób z jednym i drugim?

W obecnych czasach aktywna komunikacja z Emisariuszką jest ściśle ograniczona. Zawsze jednak pojawiają się sekty, które to robią – siostrzane domy renegatek, które w jakiś sposób kultywowały i zostały wchłonięte przez zwyrodniałe Zrozumienie. Ponieważ odpowiedź Emisariuszki jest odbierana na całej planecie, tego typu skryci fanatycy są szybko demaskowani i ścigani, gdy staje się jasne, że otworzyli nieautoryzowany kanał do Boga. Każde miasto ustala indywidualnie, kto może mieć dostęp do Emisariuszki. Niemniej jednak niektóre świątynie próbują odnaleźć boską prawdę w tym zdumiewającym planie, który wciąż od czasu do czasu dociera do nich przez radio. W większości przypadków jednak przywilej ten posiadają dociekliwi naukowcy i Bianca knuła, spiskowała, schlebiała i wyświadczała przysługi innym, by kupić sobie szansę na wolną i szczerą wymianę poglądów.

Podniebne Gniazdo płynie sprawnie po niebie w drodze ku swej historycznej misji, wznosząc się miarowo w atmosferze. Kolonia pokładowa nadaje na swojej częstotliwości radiowej, przekazując Biance informacje, potwierdzając, że wszystko idzie zgodnie z planem, a dane z trzech odległych nadajników ustalają pozycję podniebnego statku. To łatwy etap tej podróży. Jeśli warunki pogodowe nie zmienią się nieoczekiwanie, Podniebne Gniazdo powinno dotrzeć do efektywnego pułapu operacyjnego zgodnie z przewidywaniami.

Emisariuszka pojawi się wkrótce na horyzoncie i Bianca wyśle do niej sygnał, zapraszając do dialogu. Dodaje pewną liczbę zwrotów używanych niegdyś przez Świątynię nie dlatego, że uważa, iż są potrzebne, lecz dlatego, że Bóg jest lepiej usposobiony do każdego, kto udaje szczerą pokorę.

Emisariuszka jest na tyle cierpliwa, że trwała tam w górze przez całe pokolenia pobratymców Bianki, i jej myśli biegną takimi torami, że nie zauważa zmiany sytuacji w świecie poniżej – tak przynajmniej głosi teoria.

Bianca nie jest tego taka pewna. Z całą pewnością wiadomo, że pomimo upadku Świątyni Emisariuszka wciąż nakazuje kongregacji pracować nad jej maszyną. Żądania stały się bardziej natarczywe, odkąd siostry Bianki mniej więcej sprzed pokolenia przestały notować postępy w dosłownym tłumaczeniu pragnień Emisariuszki – ani wiara, ani pomysłowość nie były w stanie zasypać luki pomiędzy boską wolą a zrozumieniem śmiertelników. Bianca dobrze wie, że z góry często padają groźby i złorzeczenia. Emisariuszka przepowiedziała nadejście straszliwej katastrofy. Ostatnio siostrzyce Bianki wierzą, że jest to coś więcej niż tylko prostacka próba zmotywowania ich, aby wzmożyły wysiłki w tym nierealnym zadaniu.

Ale tego też Bianca nie jest taka pewna. Posiada dar postrzegania problemów pod nietypowym kątem i wyobrażania sobie skrajnych rozwiązań.

Teraz głównym problemem, jej zdaniem, nie jest zrozumienie Emisariuszki, ale skłonienie jej, by zrozumiała ich. Bianca musi przebić się do tego, co zdaje się głęboko zakorzenionym ciągiem myśli. Przykład historyczny – zapamiętany jak przez mgłę dzięki Zrozumieniu – pokazuje, że Emisariuszka nie zawsze jest zgodna w swoich przekazach. Obsesja czy też frustracja tak ją ukształtowały. *A może desperacja*, zastanawia się Bianca.

Zamierza pokazać Emisariuszce coś nowego.

Jeden z gigantów, na którego ramionach stoi, wciąż żyje i hoduje kolonię widzących mrówek. Ich wzrok jest słaby w porównaniu ze wzrokiem pajaków, ale dzięki karkołomnym wyliczeniom matematycznym można zebrać indywidualne obrazy postrzegane przez kolonię i stworzyć jeden kompletny obraz. Co więcej, obraz ten można zakodować w sygnał. Kod jest prosty – to ciąg czarnych i białych kropek rozchodzących się spiralnie ze środka na zewnątrz, które razem tworzą większy obraz. Jest to zdaniem Bianki najbardziej uniwersalny system.

Ma właśnie taki zakodowany obraz, który przekazała swej kolonii. Jakżeby inaczej – jest to obraz Podniebnego Gniazda, które wznosi się nad miastem.

Przekazuje Emisariuszce, że zamierza przesłać obraz. Nie ma żadnego konkretnego znaku, że została zrozumiana, bo Bóg ciągnie niezmiernie swoją tyradę o konieczności zwiększenia wydobycia metali, ale Bianca ma nadzieję, że jakaś część podniebnej istoty rozumie. Wydaje polecenie swojej kolonii, by zaczęła transmisję, wiedząc, że kilka tysięcy najznamienitszych uczonych nastawi swoje urządzenia na nasłuch w oczekiwaniu odpowiedzi.

Emisariuszka milknie.

Bianca nie może pohamować podniecenia i biega rozgorączkowana po jedwabnych ścianach swego pokoju. Choć nie jest to reakcja, na jaką liczyła, przynajmniej jakaś jest.

Wreszcie Emisariuszka się odzywa, domagając się wyjaśnień. Świat naukowy wstrzymuje oddech. Bóg zrozumiał w końcu, że coś się święci, i odpowiedział w tym swoim dziwnym pozbawionym emocji stylu, który Bianca pamięta z rozmów sprzed wieków, kiedy uczyła tego języka garstkę wybranych. To jest Bóg w całym swym majestacie chcący zrozumieć, co zostało mu wysłane.

Bianca próbuje raz za razem. Emisariuszka rozumie, że przekazana informacja jest przekazem wizualnym, ale najwyraźniej ma problemy z odcodowaniem. W końcu Bianca dzieli zadanie na najprostsze elementy, zbliżając się jak tylko może do uniwersalnej matematyki i wysyłając formuły, by opisać spiralę, oczywisty sposób, w jaki należy odczytać obraz.

Niemal wyczuwa moment, w którym boska świadomość zaskakuje. Chwilę później nadchodzi odpowiedź i Bianca dowiaduje się, że w boskim języku istnieje już określenie na podniebny statek.

Wtedy mniej więcej Emisariuszka mijają linię horyzontu, ale Bóg jest nienasycony. *Pokaż mi więcej* – tak brzmi przekaz, lecz Bianca nadaje do swych sióstr ostrzeżenie, żeby nie podsycaly już tego ognia. W skrytości ducha jest po prostu zazdrosna o swój nowy przywilej, bo w końcu zaburzyła to słynne boskie opanowanie. Mogłaby komunikować się z Bogiem po drugiej stronie planety, przekazując sygnał do innych nadajników, skąd poszedłby wyżej w atmosferę, ale jest gotowa czekać na powrót Emisariuszki, by komunikować się z nią bez pośredników, a siostry niechętnie potwierdzają jej nagle zdobytą pozycję.

Emisariuszka bombarduje planetę, domagając się natarczywie więcej informacji, a Bianca dochodzi do niepokojącego wniosku – Emisariuszka nie może zobaczyć, co się dzieje na planecie tuż pod nią. Daleko jej do wszechwidzącej i choć wie, co to wzrok, sama jest całkowicie ślepa. Radio jest jej jedynym oknem na świat.

Bianca posyła kolejny obraz do swej mrówczej kolonii i transmituje go, kiedy tylko Bóg wraca na niebo. Jest to bardzo prosty obraz – wizerunek Siedmiu Drzew od środka, ukazujący misterny przepych jego rusztowań oraz tętniące życiem miasto i jego pracowitych mieszkańców. Dostawca zakodowanego obrazu wykorzystywał go niegdyś jako obraz kontrolny

w eksperymentach.

Bóg milczy.

Gdzieś w oddali Podniebne Gniazdo dociera w końcu do zamierzonego pułapu i osiąga równowagę w wyższych partiach atmosfery, a jego wór gazowy rozprzestrzenia się teraz na pół kilometra. Bianca z roztargnieniem monitoruje postępy, wiedząc, że załoga będzie teraz testowała mechanizmy i uwarunkowania kolonii w rozrzedzonym powietrzu, sprawdzając, czy wszystko jest gotowe do najbardziej niebezpiecznego etapu tej misji, który ma rozpocząć Portia. Pomimo podwójnej izolacji kabiny zimno jest czynnikiem niekorzystnym. Ich gatunek posiada niejaką zdolność regulowania ciepłoty ciała i metabolizmu, ale i tak przy spadku temperatury robią się ociężałe. Viola, dowódczyni misji, donosi, że prace idą wolniej, niż zakładano, ale wciąż utrzymują się w granicach tolerancji.

Bianca wciąż czeka. Postępy Podniebnego Gniazda to teraz sprawa drugorzędna. Uciszyła Emisariuszkę. Nikt w całej historii gatunku nie dokonał czegoś takiego. Oczy całego świata są teraz skupione na niej, wbijają w Biancę taksujące spojrzenie.

Czeka więc.

6.4 OBJAWIENIE

Wysoko nad zielonym światem, wysoko nad Podniebnym Gniazdem i wszystkimi dokonaniem jego pracowitych pasażerów, doktor Avrana Kern próbuje pojąć, co właśnie jej pokazano.

Widziała już wcześniej te stwory, te śmigające, snujące sieci potwory. Dron wysłany z *Gilgamesza* pokazał jednego na ułamek sekundy przed rozbiciem. Kamery z wahadłowca, który strąciła, uchwyciły kilka obrazów, zanim pojazd spłonął. Wiedziała, że są tam stwory, niezamierzone istoty w Świecie Kern, węże w jej ogrodzie. Nie były częścią planu: ekosystem był idealnie zaprojektowany, by stać się domem jej wybrańców.

Wiedziała od bardzo dawna, że tam są, ale odnalazła w sobie niemal nieskończoną zdolność do przemykania na to oka. W jednej chwili nawet się zatrwożyła, widząc tę straszliwą grozę, i stanowczo zapytała: *Coście zrobili z moimi małpami?* A już dekadę później niemal o tym zapomniała, zatracając się w rutynowych pracach mających zatrzeć to wstrętne wspomnienie w umyśle, aż przestanie drażnić pień jej mózgu. Elektroniczne wnętrze Kapsuły Strażniczej jest pełne tego rodzaju odrzuconych wspomnień, zrozumień, których nie dopuszcza do siebie. Są to zagubione myśli, wspomnienia z domu, którego nigdy już nie zobaczy, obrazy pajęczych potworów, płonącej Beczki z małpami wchodzącej w atmosferę. Wszystko znikło, wykorzenione z jej aktywnego mózgu, a jednak nie do końca. Eliza nigdy niczego nie wyrzuca.

Avrana zawsze wracała do przeświadczenia, że jej plan na ten świat wypalił. Bo w końcu po co się tu znalazła? Od wielu wieków orbitowała w ciszy, nadając swoje niekończące się pytania sprawdzające w kierunku obojętnej planety. Od niepamiętnych czasów trwała w uśpieniu, a wydajne systemy Kapsuły Strażniczej robiły, co mogły, by oddalić postępujące wolno zniszczenia i awarie. Za każdym razem, kiedy Avrana się budziła, w coraz dłuższych interwałach, krzycząc i drąc pazurami wewnątrz swego miniaturowego królestwa, kuliła się przed obojętnym kosmosem.

Systemy kapsuły pracujące przy minimalnym zużyciu energii starały się, by

wszystko działało poprawnie, ale i tak ona ponosiła ofiary – jest ślepa, rozczłonkowana i niepewna, gdzie się kończy ona sama, a gdzie zaczynają maszyny. Kapsuła jest siedliskiem wielu podsystemów, z których każdy ma szcążkową autonomię – jest społecznością elektronicznych półgłówków, która z posępnym uporem trzyma wszystko w żelaznej garści. I ona jest jednym z tych okruchów. Zajmuje wirtualną przestrzeń, załoczoną i ściśniętą niczym w jakiejś melinie. Ona i Eliza oraz wiele innych systemów.

Przelot *Gilgamesza* z całym tym pozbawionym godności wykrzykiwaniem i błaganiem, włącznie z olbrzymią stratą energii potrzebną do wyłączenia ich wahadłowca – teraz to wszystko wydaje się jakimś złym snem, jakby ci pretendenci do miana ludzi przywędrowali z jakiegoś równoległego świata, który miał z nią samą niewiele wspólnego. To spotkanie nauczyło ją jednego, że przed ich pojawieniem się nie wiedziała, co znaczy prawdziwa rozpacz. Milcząca planeta była lepsza niż planeta tętniąca ludzkim życiem, bo ludzkie życie całkowicie zniweczyłoby jej misję. Niech sobie krąży wokół tego globu, aż Kapsuła Strażnicza rozpadnie się na części, tylko żeby wciąż miała nadzieję, że jej małpy w końcu dadzą znać o sobie swej stwórczyni. Brak sukcesu nie oznaczał, że eksperyment był porażką.

Nie było przypadku, by sprawdzała swoje motywy czy priorytety albo pytała, po co tak rygorystycznie wypełnia misję, nie bacząc na nic innego. Kiedy rozmawiała z tymi farbowanymi ludźmi ze statku-arki, było tak, jakby rozmowę z jej strony prowadziły dwie osoby – jedna, która pamiętała, jak to jest żyć, oddychać i śmiać się, i druga, która pamiętała o wadze sukcesu naukowego eksperymentu i osiągnięciach. Nie była pewna, skąd przyszła pierwsza Avrana. W jakiś sposób była zupełnie niepodobna do niej.

Wtedy małpy odpowiedziały i wszystko się zmieniło.

To prawda, z pewnym opóźnieniem. Planowane kilka stuleci minęło bezpowrotnie, a Kapsuła Strażnicza dawno już przekroczyła okres gwarancji przewidziany przez jej twórców. A jednak wtedy budowano rzeczy trwałe. Skoro małpy potrzebowały setek czy nawet tysięcy lat, Avrana i Eliza wraz z niezliczonymi systemami wsparcia były na to gotowe.

Ale małpy były strasznie tępe, a ich sposób myślenia dziwaczny. Próbowwała raz za razem i bardzo często wydawało się, że do czegoś dochodzą, ale małpy miały swoje pomysły, do tego bardzo dziwne. Czasami nie mogły zrozumieć jej dominującego intelektu. Czasami ona nie mogła zrozumieć ich. Małpy miały być łatwym pierwszym krokiem w wynoszonym

uniwersum. Wszyscy zapewniali ją, że będą na tyle bliskie ludziom, że da się je zrozumieć, a jednak wystarczająco odległe, by pozostać ważnym i wartym zachodu obiektem badań. Dlaczego nie mogła się z nimi spotkać oko w oko?

Teraz widzi ich oczy. Wszystkie cztery pary.

Obraz wysłany do niej jest szalony, fantastyczny, rozległy, o wielu warstwach, splątanych liniach, łącznikach i zamkniętych obszarach, które istnieją tylko dlatego, że zostały tymczasowo rozpięte w przestrzeni. Pająki są wszędzie, uchwycone w ruchu. Słowa opisujące ten obraz były proste, jasne i zrozumiałe. *To my.*

Avrana Kern ucieka w ograniczone głębie pozostałości swego umysłu i płacze nad utraconymi małpami, zaznaje uczucia rozpacz i nie wie, co ma zrobić.

Konsultuje się z radą doradców, innymi, którzy dzielą z nią to rozpadające się lokum. Poszczególne systemy informują ją, że wciąż wykonują swoją pracę. Główny system kontroli przechowuje zapis transmisji wysyłanych z powierzchni planety. Inne zapisują przemieszczanie się ciał niebieskich i innych obiektów oflagowanych jako ważne, włącznie z odległą – bardzo odległą – drobiną, która sama siebie nazywa ostatnią nadzieją rasy ludzkiej.

Brnie dalej, szukając innych ognisk obliczeniowych wspólnych z kapsułą, z którymi musi od czasu do czasu negocjować. Jest ich cała masa, ale są tylko dwa łączy z Kapsułą Strażniczą Brin 2 i sięga ostrożnie po drugie.

Elizo, potrzebuję twojej pomocy. Elizo, tu mówi Avrana.

Dotyka strumienia drugiego umysłu i w jednej chwili zanurza się w pędzącą rzekę myśli, która stale tam płynie: *moje małpy gdzie są moje małpy nie pomogą mi teraz jest mi zimno tak zimno a Eliza nigdy nie przyjdzie nie widzę nie mogę się ruszyć chcę umrzeć umrzeć chcę umrzeć...* Myśli napływają cały czas, niepowstrzymane, bezradne, płyną z tego zwyrodniałego umysłu, jakby próbował opróżnić się do reszty, choć nie potrafi, bo jest ich za dużo. Avrana wzdraga się i przez jedną, obezwładniającą chwilę wie, że dotknęła żywego umysłu, *w takim razie ja...* ale w końcu posiada niemal idealną umiejętność odwracania wzroku i chwila autorefleksji zaciera się wraz z każdą niesioną przez strumień myśli groźbą czy objawieniem.

Zostaje jej tylko ten natrętny obraz, zrekonstruowany piksel po pikselu w jej umyśle.

To z tym czymś się komunikowała. Z małp opadły maski i ujawnił się ten ohydny pysek. Wszelkie nadzieje, jakie wiązała ze swym wielkim projektem –

dosłownie z ostatnią rzeczą, jaka jej została we wszechświecie – legły w gruzach. Przez chwilę próbuje wyobrazić sobie, że jej myślący protegowani są gdzieś w innym miejscu na planecie, że chowają się przed pleniącą się cywilizacją pajaków, ale jej pamięć ma dość gierek. Spłonęły. Przypomina sobie teraz. Małpy spłonęły, ale wirus... sam wirus przetrwał. To jedyne wytłumaczenie. Och, może to, co widziała, mogłoby wykształcić się samorzutnie i spontanicznie, gdyby miało miliony lat właściwych warunków. Wirus był jednak katalizatorem skracającym ten okres do ledwie tysiącleci. Instrument jej triumfu przekształcił się w instrument czegoś dziwnego i obcego.

Teraz staje na krawędzi. Widzi wyraźnie ścieżkę odrzucenia – te naprzykrzające się małpoludy z *Gilgamesza* w końcu wrócą i zakończą to wszystko w bezmyślny sposób, do czego ludzie zawsze mieli predylekcję. Małpy czy pajaki – nie będzie miało to dla nich znaczenia. A ona, Avrana Kern, zapomniany geniusz starszej ery, powoli szczerze nad tętniącymi życiem gniazdami tego, co musi formalnie uznać za swój gatunek.

Jej długa historia dobiegnie końca. Ten ostatni zakręt jej czasów i jej ludzi zostanie wymazany przez mnożącą się na potęgę bandę jej odległych i niezasługujących na to miano spadkobierców. Wszystko to przepadnie i nie pozostanie nawet ślad po jej długich spędzonych w samotności eonach czekania i nasłuchiwania, po przełomach i triumfach, i jej ostatnim, strasliwym odkryciu.

We wnętrzu Kapsuły Strażniczej istnieje kilka stałych granic. Różne byty, czy to elektroniczne, czy organiczne, nie są już wyraźnie rozgraniczane, a każdy opiera się i zapożycza od innych w zwykłym, codziennym funkcjonowaniu. Podobnie przeszłość miesza się z teraźniejszością przy lada okazji. Avrana Kern – czy też to, co się za nią uważa – przeżywa na nowo swoją historię z zieloną planetą i jej mieszkańcami, przypomina sobie, jak wysyłali matematyczne odpowiedzi, jak uczyła te potwory języka w bolesnych, trudnych konwersacjach, pamięta ich kult, błagania, oszałamiające, prawie niezrozumiałe opowieści o ich odkryciach. Rozmawiała z niezliczoną liczbą ich wielkich umysłów – wyznawców i astronomów, chemików i lekarzy, przywódców i myślicieli. Była kamieniem milowym ich cywilizacji. Żadna istota ludzka nigdy nie doświadczyła tego co ona, nie stykała się z czymś tak obcym. Tylko że to nie są obce istoty, to jasne. Mają wspólnych przodków, ona i one, sprzed pięciuset milionów lat, zanim istota życia podzieliła się na tych,

którzy mają układ nerwowy w plecach, i na tych, którzy trzymają go schowanego w brzuchu.

Jej ludzie nigdy nie napotkali obcych istot ani o nich nie słyszeli. Albo ich sygnały, jeśli takowe były, zostały przeoczone, pominięte – obcych w tym znaczeniu, że żaden człowiek ich nie widział i nie wziął za dowód istnienia życia poza Ziemią. Odłam Kern i jej ideologia już to wiedzieli i właśnie dlatego postanowili rozsiać życie ziemskie po całej galaktyce w tylu formach, w ilu się dało. Ponieważ było to jedyne życie, jakie posiadali, i byli odpowiedzialni za jego przetrwanie.

Ona żyła przez długi czas z mieszkańcami zielonej planety. Ona i grupa towarzyszących jej systemów przyklaskiwali ich sukcesom, martwili się porażkami, zawsze poszukując wspólnego mianownika ich trudnego i niepełnego zrozumienia. Widzi ich teraz, o, tak. Widzi ich takimi, jakimi są naprawdę.

Są Ziemią. Forma nie ma znaczenia.

Są jej dziećmi.

Cofa się, przywołując zapisy trwających całe wieki rozmów z elektronicznych zakamarków, w których tkwiły ściśnięte po tym, jak zastąpiły ostatnie dramatyczne pieśni starej Ziemi. Przegląda całą tę zaskakującą tajemnicę małych dialogów, które teraz ukazują się w ostrym i bezkompromisowym świetle. Przestaje mówić i zaczyna słuchać.

Tak jak pająki potrafią wykorzystywać swoje Zrozumienia, by zapisywać nową wiedzę w umyśle – choć Kern nie ma o tym pojęcia – tak samo obecny byt Kern potrafi przestawić własny umysł o wiele skuteczniej niż umysł ludzki. Odtwarza całe pokolenia rozmów, orientując swoją percepcję na nadawców, przestaje traktować swoich podopiecznych jako istoty niższe od ludzi.

Rozumie, niecałkowicie – gdyż wiele z ich rozmów pozostaje tajemnicą – ale jej percepcja tego, co mówią, ich zajęcia, rozumowanie, wszystko to nagle wskazuje na swoje miejsce.

I w końcu im odpowiada.

Jestem tutaj. Jestem tu dla was.

6.5 WSZYSTKO SIĘ ROZPADA

Dali mu mundur. Nie mógł przecież paradować w cieniutkiej koszuli do spania z gołymi plecami, gdzie kończyły się rurki, choć i tak już ganiał z gołym pryszczatym tyłkiem po pomieszczeniach załogi, zanim go złapali.

Na jego nowym stroju widniała naszywka „Mallori”. Choć Holsten szukał usilnie w swej poszatkowanej pamięci, nie miał pojęcia, kim był Mallori, a nie chciał się też zastanawiać, gdzie obecnie przebywał. Czy wolał nosić ubranie po trupie czy też po kimś, kto mógł wybudzić się lada moment i zażądać jego zwrotu?

Pytał o swój mundur, ale najwyraźniej zniszczył się już dawno temu.

Kiedy przynosili mu ubranie, zobaczył innych ludzi. Inżynierowie obecnego pokolenia zostawili go w jednej z pracowni naukowych przekształconych w salę sypialną. Spało tu w ścisiku przynajmniej czterdzieści osób, w ścianach tkwiły kołki na hamaki i kilku wciąż w nich leżało. Wyglądali na przestraszonych i zdesperowanych, jak uchodźcy.

Rozmawiał z kilkoma. Kiedy dowiedzieli się, że należał do pierwotnej załogi, zaczęli zasypywać go pytaniami. Byli natarczywi. Chcieli wiedzieć, co się dzieje. Tak jak on, oczywiście, ale ta odpowiedź ich nie usatysfakcjonowała. Dla większości z nich ostatnim wspomnieniem była zatruta, konająca stara Ziemia. Niektórzy nawet nie chcieli uwierzyć, że tyle czasu minęło, od kiedy zamknęli oczy w kapsułach zawieszenia. Holsten był zaskoczony, jak niewielu z tych uciekinierów wiedziało coś o przedsięwzięciu, w którym brali udział.

Byli młodzi – w końcu większość ładunku musiała składać się z ludzi młodych, żeby mogli zacząć od nowa w dowolnych okolicznościach, w których zostaną wybudzeni.

– Ja jestem tylko klasykiem – mówił im Holsten. Prawdę mówiąc, były tysiące rzeczy, o których wiedział, a które byłyby istotne w ich sytuacji, ale o żadnej z nich nie chciał mówić ani też bynajmniej by ich one nie uspokoiły. Najważniejsze pytanie – dotyczące ich najbliższej przyszłości – na ten temat nic nie wiedział.

Wtedy pojawili się farbowani inżynierowie z mundurem i wyprowadzili go stamtąd, wbrew protestom ludzkiego ładunku.

Wtedy miał już ułożone własne pytania i czuł się wystarczająco spokojny, by poradzić sobie z odpowiedziami.

– Co z nimi będzie?

Młoda kobieta, która go prowadziła, zerknęła posępnie wstecz.

– Powrócą do zawieszenia, kiedy tylko będą dostępne komory.

– A jak długo to potrwa?

– Nie wiem.

– A ile to już trwa? – Z samego wyrazu jej twarzy czerpał dostateczne wskazówki.

– Najdłuższy okres wybudzenia z zawieszenia to dwa lata.

Holsten wziął głęboki wdech.

– Niech zgadnę, wybudzacie coraz więcej ludzi, tak? Ładownia się rozpada.

– Robimy, co możemy – warknęła defensywnie.

Holsten pokiwał głową do swych myśli. Na jej naszywce widniało imię „Terata”, kolejne utracone, martwe imię.

– Nie jestem tu, by odpowiadać na pańskie pytania. Poza tym mam inną pracę, do której muszę wrócić.

Holsten rozłożył błagalnie ręce.

– Postaw się w mojej sytuacji.

– Kolego, mam wystarczająco dużo problemów. A tak w ogóle, co jest w tobie takiego szczególnego? Skąd to specjalne traktowanie?

Miał na końcu języka: Nie wiesz, kim jestem? Jakby był jakąś znakomitością. W końcu tylko wzruszył ramionami.

– Nikim. Jestem tylko starym człowiekiem.

Minęli pomieszczenie z około dwudziestką dzieci, a to było tak niespodziewane, że Holsten stanął i się gapił, i nie dało się go od nich oderwać. Miały mniej więcej po osiem–dziewięć lat, siedziały na podłodze z podkładkami do pisania w rękach i obserwowały ekran.

Na ekranie widniała Lain. Holsten aż się zakrztusił na ten widok.

Były też inne rzeczy – trójwymiarowe modele, obrazy czegoś, co mogło być schematem *Gilgamesza*. Mieli lekcję. Byli to przyszli inżynierowie.

Farbowana Terata pociągnęła go za ramię, ale Holsten wszedł do pomieszczenia. Uczniowie zaczęli szturchać się nawzajem, szeptać, gapić na

niego, ale on miał wzrok wbity w ekran. Lain wyjaśniała jakiś element pracy, demonstrując to na przykładzie i wykresie ukazującym, jak przeprowadzić naprawę. Była starsza tu, na ekranie – nie była szefem inżynierów ani wojowniczą księżniczką, tylko... Isą Lain odwiecznie majstrującą przy tandetnych narzędziach, jakie dał jej wszechświat.

– Skąd one...? – Holsten wskazał na koszmarnie rozkojarzone dzieci. – Skąd one się wzięły?

– Kolego, jeśli tego nie wiesz, to ja na pewno nie będę ci wyjaśniać – rzuciła jadownicie farbowana Terata, a niektóre dzieci uśmiechnęły się złośliwie.

– Ale nie, serio pytam...

– Oczywiście, to są nasze dzieci – odpowiedziała ostro. – A co pan myślał? Jak inaczej moglibyśmy kontynuować prace?

– A... ładunek? – zapytał, ponieważ myślał o tych wszystkich ludziach tkwiących poza zawieszeniem od miesięcy, od lat.

Wtedy udało się jej już odciągnąć go od klasy. Surowym gestem nakazała uczniom skupić uwagę na ekranie.

– Mamy ścisłą kontrolę populacji – powiedziała mu i dodała: – Jesteśmy w końcu na statku. – Jakby była to jakaś mantra. – Gdy potrzebujemy świeżego materiału z ładowni, wtedy go pobieramy, ale każda nadprogramowa produkcja... – I tu jej suchy, profesjonalny ton głosu niespodziewanie się nieco zachwiał, najwyraźniej dotknąwszy jakichś spraw osobistych, aż Holsten poczuł nawet odrobinę współczucia. – Embriony są umieszczane w zamrażarkach, gdzie czekają na swoją kolej – dokończyła krzywiąc twarz w uśmiechu, by pokryć własną bezradność. – Łatwiej jest przechowywać embrion w pewnej fazie rozwoju niż w pełni rozwiniętą istotę ludzką. – Znów zabrzmiało to jak wyuczona śpiewka, z którą dorastała.

– Przykro mi, ja...

– Jesteśmy na miejscu.

Dotarli do centrum komunikacji. Dopiero kiedy znaleźli się u celu, dotarło do niego, dokąd szli.

– Ale co...?

– Niech pan wejdzie. – Farbowana Terata pchnęła go dość mocno, a sama sobie poszła.

Przez dłuższy czas Holsten stał przed wejściem do centrum, podświadomie bojąc się przestąpić próg, aż w końcu włąz przesunął się sam, a on napotkał

wzrok kobiety wewnątrz.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Myślał, że w środku w ogóle nie będzie żywej istoty, tylko twarz na ekranie, prawdopodobnie coś na kształt maski pośmiertnej Lain, może ze skazą odziedziczoną po Guyenie czy Avranie Kern albo kim tam jeszcze, kto się tłuł po systemie. Przeraziła go myśl, że jego wzrok może spocząć na czymś takim jak to, w co zmienił się Guyen – wysuszona mumia, która kiedyś była człowiekiem, podtrzymywana przy życiu i nierozzerwalnie związana z mechanizmami statku, hołubiąca marzenia o nieśmiertelności w strupieszalej czaszce. Że zobaczy kobietę, którą znał, zredukowaną do takiej właśnie postaci. Jeszcze gorzej by było, gdyby właz się otworzył i ukazał mu kogoś zupełnie innego.

Ale to była Lain – Isa Lain. Oczywiście starsza. Obecnie jakieś piętnaście lat starsza od niego, weteranka długiej bitwy z entropią i wrogim wirusem komputerowym, z którymi walczyła z przerwami, odkąd widzieli się ostatni raz. Piętnaście lat to tyle co nic w porównaniu z ludźmi Starego Imperium. Wszystkie mity owej starszej ery potwierdzały, że starożytni żyli o wiele dłużej niż zwykli ludzie. Jednak w tych zredukowanych czasach piętnaście lat to już dużo.

Nie była ani naprawdę stara, ani zniedołężniała – jeszcze nie. Była pracującą kobietą na ostatniej prostej życia, patrzącą w dół równi pochyłej, która odbierze jej stopniowo umiejętności, krok po kroku. Była tęsza niż ostatnio, a na jej obliczu widniały wypisane uniwersalnym ludzkim językiem wszystkie trudy i troski. Miała długie, siwe włosy związane z tyłu w poważny kok. Wcześniej nigdy nie widział jej z długimi włosami. Była to jednak Lain – kobieta, której rozwój zobaczył w przyspieszonym tempie w pojedynczych kadrach, choć dla niej było to długie życie. Poczł przyplływ uczuć, patrząc na jej twarz. Zmarszczki i upływ czasu robiły, co mogły, by jej nie rozpoznał, ale nie udało się.

– No popatrz tylko na siebie, staruszku – powiedziała cicho. Jego wiek wciąż robił na niej wrażenie – i odwrotnie.

Miała na sobie mundur z oderwaną naszywką, który pruł się na łokciach i był połatany na kolanach. Postrzępione resztki innego munduru wisiały jej na ramionach niczym szal. Międlila go w palcach, patrząc na niego.

Holsten wszedł do środka. Popatrzył na komunikatory i zauważył dwa ciemne panele i jeden wybebeszony, ale reszta stanowisk zdawała się działać.

– Widzę, że nie próżnowałaś.

Nieodgadnione emocje przemknęły po jej twarzy.

– No tak, znowu? Tyle czasu minęło, a ty wciąż rzucasz kąśliwe uwagi?

Posłał jej spojrzenie pełne spokoju.

– Po pierwsze, nic nie wiem na temat „czasu, który minął”. Po drugie, to ty zawsze pyskujesz, nie ja. – Uśmiechał się, kiedy to mówił, ponieważ był przyzwyczajony do takich przekomarzanek i bardzo chciał teraz coś takiego usłyszeć, ale ona patrzyła tylko na niego, jakby był duchem.

– Nic się nie zmieniłeś. – I kiedy to powiedziała, było jasne, że już wiedziała, jak głupio palnęła, ale i tak musiała coś takiego powiedzieć. Holsten Mason, historyk, był teraz starszy od historii. Przekradał się psim swędem przez czas i przestrzeń, popełniał błędy i bywał nieudolny, jako jedyny stały punkt w zmieniającym się wszechświecie. – O kurwa, chodź tu, Holsten. No już, chodź do mnie.

Nie spodziewał się łez, nie po niej. Nie spodziewał się stalowego uścisku jej ramion, kiedy przytuliła go do siebie, ich drżenia, kiedy walczyła z sobą.

Przytrzymała go na wyciągnięcie rąk i był wstrząśnięty tym, jak obca musiała być to dla niej sytuacja. Jakie normalne dla niego było spotkanie ze starą przyjaciółką, spoglądanie na jej starszą, zmienioną postać i szukanie w twarzy rysów tej kobiety, którą kiedyś była. Jakże bolesne musiało być dla niej odszukanie starego człowieka, którym się kiedyś stanie, w jego niezmiennych rysach.

– Tak – powiedziała w końcu. – Nie próżnowałam. Wszyscy ciężko pracowali. Nie wiesz, jakie masz szczęście, że podróżujesz jako bagaż.

– No to mi powiedz – zachęcił ją.

– Że co?

– Powiedz mi, co się dzieje. Proszę, niech mi *ktoś* w końcu coś powie.

Usiadła bardzo uważnie na dawnym miejscu Guyena, wskazując mu drugi fotel.

– Co? Mam ci zdać raport sytuacyjny? Jesteś nowym dowódcą? Nasz uczonek nie lubi poruszać się po omacku? – Brzmiało to tak typowo dla dawnej młodej Lain, że aż się uśmiechnął.

– Uczony nie lubi ciemności – potwierdził. – Ale serio, ze wszystkich ludzi... na statku jesteś jedyną osobą, której ufam. Ale ty... nie wiem, co wyrabiasz z tym statkiem, Lain. Nie wiem, co ty robisz z tymi... twoimi ludźmi.

– Myślisz, że zmieniam się w *niego*. – Nie trzeba było wymieniać imienia.

– Cóż, zastanawiałem się nad tym.

– Guyen spierdolił komputer – wykrztusiła. – Te jego bzdury, sny o potędze skończyły się tak, jak przewidywałam. Za każdym razem, kiedy próbuje urosnąć, tam, w środku, wyłącza kolejne systemy *Gila*. No bo w końcu ludzki umysł zawiera w chuj informacji, a tam było jeszcze ze cztery–pięć niedokończonych kopii walczących o miejsce. Zabrałam się zatem do pracy, próbując jakoś je okiełznać. Staralam się podtrzymać pracę najważniejszych systemów – żeby utrzymać niską temperaturę ładunku i żeby reaktor się nie przegrzewał. Pamiętasz, taki był plan, kiedy kładłeś się spać.

– I to był dobry plan. Pamiętam, jak mówiłaś, że wkrótce sama pójdziesz w zawieszenie – zauważył Holsten.

– Plan, owszem, był – potwierdziła. – Tylko że wystąpiły komplikacje. Znaczący musieliśmy znaleźć miejsce dla wariatów Guyena. Karst bawił się setnie, krępiąc ich i umieszczając w komorach. Ale niektórzy z nich pracowali z moimi ludźmi, żeby opanować problemy ze sprzętem. Guyen natomiast – pierdolona guyeńska zaraza zaczęła się panoszyć w systemie – wciąż gdzieś wyłaził, próbował się kopiować, zżerał coraz więcej miejsca na dyskach. Czyściliśmy, izolowaliśmy, nawet poszczuliśmy drania stadem wirusów, ale wtedy był już mocno okopany. A kiedy mój zespół był na tyle sprawny, że mogłam im wszystko zostawić, poszłam spać, tak jak mówiłam. Nastawiłam też sobie budzenie. A kiedy się obudziłam, wszystko było w jeszcze gorszym stanie.

– Ciągłe Guyen?

– Tak, wciąż on, wczepiony swoimi pierdolonymi elektronicznymi pazurami, ale moi ludzie odkryli, że o wiele więcej jest spierdolone. – Holstena zawsze zaskakiwały przekleństwa Lain, ale i mu się podobały, pociągały go jak zakazany owoc. Teraz, słysząc takie słowa z jej ust, miał wrażenie, jakby ćwiczyła przez wszystkie te lata, żeby się dostosować do gorzkiego stanu świata. – Utrata części ładunku i problemy z innymi padającymi systemami, za co ani półgłówki Guyena, ani on sam nie byli odpowiedzialni. Stale tkwił tam o wiele groźniejszy wróg, Holsten. Mamiliśmy się tylko, że go pokonaliśmy.

– Pająki? – zapytał od razu, bo nagle wyobraził sobie statek rojący się od pasażerów na gapę z zielonej planety, bez względu na to, jak było to nierealne.

Lain posłała mu poirytowane spojrzenie.

– Czas, staruszk. Ten statek ma prawie dwa i pół tysiąca lat. Wszystko się

rozpada. Czasu, czasu nam brakuje. – Potarła twarz dłonią. Ten gest sprawił, że odmłodziła na chwilę, jakby ścierała z niej dodatkowe lata. – Wydawało mi się, że to opanowałam. I wracałam do wyrka. Ale zawsze było coś jeszcze do roboty. Moja pierwotna załoga... próbowaliśmy robić to na zmiany, dzieląc zadania na kawałki. Ale było za dużo pracy. Straciłam rachubę, ile pokoleń inżynierów zostało wyszkolonych według moich wskazówek. Do tego mnóstwo ludzi wcale nie miało ochoty na zawieszenie. Kiedy się widziało zepsute komory...

Holsten wzdrygnął się.

– Nie myślałaś chyba o... zgraniu na dysk?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Serio mówisz?

– Mogłabyś mieć baczenie na wszystko w nieskończoność, a mimo to pozostałabyś... – *Młoda*. Ale nie mógł tego powiedzieć, choć nie miał innego pomysłu na zakończenie tego zdania.

– Cóż, pomijając fakt, że obciążylabym komputer ze sto razy mocniej, to wszystko w porządku – powiedziała, ale było jasne, że wcale nie. – Poza tym to tylko... ta kopia, ten obraz umysłu przez te wszystkie lata... Ustawiłabym zadanie, które zawierałoby kasację, żeby nie było nikogo w systemie. Ale czy na pewno? Bo skoro to chce żyć, to z całą pewnością by dopilnowało, żebym to ja umarła we śnie. I czy w ogóle pamiętałoby na koniec, która to jestem ta prawdziwa ja? – Na jej twarzy odmalowała się udręka i Holsten wiedział, że myślała nad tym długo i usilnie. – Nie wiesz, jak to jest... Kiedy te fragmenty Guyena się uwalniają, kiedy przejmują kontrolę nad komunikatorami, słuchają... nawet teraz myślę, że z systemem jest coś nie tak. Do tego to upiorne radio, wariackie wiadomości z tego jebanego satelity, bo ja wiem... i... – Ramiona jej obwisły, żelazna dama uniosła przyłbicę, kiedy zostali tylko ona i on. – Nie wiesz, jak tu było, Holsten. Możesz dziękować Bogu.

– Mogłaś mnie obudzić – zauważył. Nie było to może najszcześniejsze, co mógł powiedzieć, ale nie miał zamiaru być uznawany za szczęśliwego ocalonego, nie mając nic do powiedzenia w tej materii. – Kiedy się obudziłaś, mogłaś obudzić też mnie.

Spojrzenie miała opanowane, straszliwe i bezkompromisowe.

– Mogłam. I nawet o tym myślałam. Nie uwierzyłybyś, jak bliska byłam obudzenia cię, kiedy zostałam tu sama z tymi tępymi bachorami, które uczyłam swojej pracy. Och, mogłam mieć cię na zawołanie, prawda? Mojego

osobistego kochasia do zabawy. – Zaśmiała się chropawo, widząc wyraz jego twarzy. – Hop z łóżeczka, hop do łóżeczka, hop na mnie, hop ze mnie, prawda?

– No, ja... no cóż...

– Och, dorośnij wreszcie, staruszk. – Nagle przestały ją bawić własne żarty. – Chciałam – powiedziała miękko. – Mogłam cię wykorzystać, opierać się na tobie, dzielić się z tobą brzemieniem. Mogłam cię wypalić jak świecę, staruszk – i po co? Żeby dożyć tej chwili, w której ja byłabym stara, a ty byś już nie żył? Chciałam cię oszczędzić. Chciałam... – zagryzła usta – cię zachować. Bo ja wiem... Coś w ten deseń. Być może świadomość, że nie każę ci babrać się w tym wszystkim, dodawała mi sił.

– A teraz?

– Teraz i tak musieliśmy cię wybudzić. Twoja komora jest spierdolona. Nie do naprawy, jak mówią. Znajdziemy ci inną.

– Inną? Naprawdę, skoro się obudziłem...

– Wrócisz sobie do łóżka. Każę cię naszprycować prochami i wepchnąć do tego pudła siłą, jeśli będę musiała. Jeszcze długa droga przed tobą, staruszk.

– Kiedy tak się uśmiechała ta twarda kobieta, która nie zawahałaby się przyłożyć pięścią wszechświatowi, gdyby stanął jej na drodze, zrozumiał, skąd się wzięły jej nowe zmarszczki.

– Niby dokąd mam iść? – zapytał ostro. – Co mam robić?

– Daj spokój, staruszk, znasz przecież plan. Guyen z pewnością ci go przedstawił.

Holsten wzdrygnął się odruchowo. *Guyen?*

– Ale on... zabił go.

– Tak, to było najlepsze posunięcie kadrowe – zgodziła się ze smutkiem. – Ale jego plan, owszem, był całkiem do rzeczy. Obmyślał go, nie wiedząc, że statek zaczyna się psuć. No bo co nam pozostaje, Holsten? To my jesteśmy częścią statku. To my, rasa ludzka, i świetnie nam, kurwa, poszło, że w ogóle dolecieliśmy tak daleko wbrew wszystkiemu. Ale ta maszynka po prostu nie może latać w nieskończoność. Wszystko się zużywa, staruszk, nawet *Gilgamesz*, nawet...

Nawet ja, tak miała brzmieć niewypowiedziana myśl.

– Zielona planeta – dokończył Holsten. – Avrana Kern. Robale i spółka?

– No to wypalimy je ogniem, zadomowimy się. Do diabła, może nawet oswoimy te kutasy. Może da się wydoić pająka. Jak te dranie będą wystarczająco duże, może da się na nich jeździć wierzchem. Albo możemy

skurwiele wytruć, wyczyścić całą planetę. Jesteśmy ludźmi, Holsten. W tym jesteśmy nie do pobicia. Co do Kern, to Guyen już zrobił, co należy. Poświęcił całe pokolenia, żeby rozpieprzyć i złożyć na nowo *Gila*, bo trzeba było chronić przed nią system. Na starej stacji terraformacyjnej, do której nas wysłała, były wszystkie potrzebne zabawki. Może próbować przejąć kontrolę czy nas usmażyć, ale teraz będziemy gotowi na jedno i drugie. I nie mamy też specjalnie dokąd lecieć. Przy odrobinie szczęścia już jesteśmy na właściwym kursie, więc wszystko dobrze się układa.

– Wszystko sobie przemyślałaś.

– Myślę, że pozwolę Karstowi na odrobinę zabawy w Dziki Zachód, kiedy tam dolecimy – powiedziała. – Wtedy sobie trochę odpocznę.

Holsten nic nie powiedział i jego milczenie przedłużało się nieprzyjemnie. Nie patrzyła mu w oczy.

W końcu słowa wydostały się na wolność:

– Obiecuj mi...

– Niczego nie obiecuję – warknęła błyskawicznie, jakby na to czekała. – Żadnych obietnic. Wszechświat niczego nam nie obiecuje, ani ja tobie. Tu chodzi o rasę ludzką, Holsten. Ona mnie potrzebuje. Gdyby Guyen nie spierdolił sprawy tak paskudnie z tą swoją nieśmiertelnością, może wszystko ułożyłoby się inaczej. Ale zrobił to, nic się nie ułożyło i jesteśmy, gdzie jesteśmy. Wkrótce wracam do łóżka, tak jak ty, ale nastawię sobie budzenie wcześniej, ponieważ następne pokolenie będzie potrzebowało kogoś, kto będzie im matkę sprawdzał.

– W takim razie pozwól mi zostać z tobą! – poprosił żarliwie. – Nie zanoszę się na to, żeby w najbliższym czasie potrzebny był komuś klasyk. Jeśli w ogóle. Nawet Guyen chciał mnie tylko na swojego biografa. Może...

– Jeśli zaproponujesz, że się razem zestarzejemy, to cię walnę, Holsten – wypaliła. – Poza tym jest jedna rzecz, przy której będziesz potrzebny. Jednego od ciebie chcę.

– Chcesz, żeby ktoś spisał historię twego życia dla potomności? – dopiekl jej tak, jak się dało.

– Jasne, masz rację. Zawsze trzymały się mnie żarty. Więc się zamknij, kurwa. – Wstała i oparła się o konsolę, a Holsten usłyszał, jak trzeszcza i strzelają jej stawy. – Chodź ze mną, staruszkule. Chodź i popatrz sobie na przyszłość.

Poprowadziła go przez zagracone, na poły rozbebeszone pomieszczenia

i korytarze załogi, kierując się tam, gdzie, jak pamiętał, mieściły się laboratoria.

– Idziemy z wizytą do Vitas? – zapytał.

– Vitas – parsknęła pogardliwie. – Z początku ją wykorzystywałam, ale teraz śpi snem niekoniecznie sprawiedliwej. Nie chciała sobie rączek brudzić przy naprawach, a ja nie zapomniałam, jak jeszcze niedawno certoliła się z Guyenem. Nie, zabieram cię do naszego aneksu ładunkowego.

– Wstawiłaś nowe komory? W jaki sposób?

– Zamknij się i poczekaj chwilę, dobrze? – Lain przerwała i Holsten widział, jak łapie oddech, nie chcąc, żeby to zauważył. – Wkrótce sam zobaczysz.

Tak naprawdę właściwie nie zobaczył, kiedy w końcu mu to pokazała. W jednym z laboratoriów znajdowały się próbki – duży stojak z małymi pojemnikami, setkami organicznych próbek w lodzie. Holsten gapił się na to dłuższą chwilę i kręcił głową. I kiedy Lain miała już wytknąć mu brak spostrzegawczości, nagle dodał dwa do dwóch i powiedział:

– Embriony.

– Tak, staruszk. Przyszłość. Nowe życia, które nasz gatunek tak ochoczo produkował, ale nie miał miejsca, by je przyjąć i odchowić. Kiedy tylko jakaś napalona dzierlatka postanawia, że chce założyć rodzinę, na co moim zdaniem nas nie stać, owoce tych westchnień lądują wprost z sali operacyjnej w tym pomieszczeniu. Brutalny świat, no nie?

– Żyją?

– Oczywiście, że żyją – warknęła Lain. – Ponieważ teraz mam nadzieję, że rasa ludzka ma jakąś przyszłość, a nam dotkliwie brakuje ludzi, patrząc z perspektywy historycznej. Więc wkładamy embriony w lód i mamy nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli odpalić sztuczne łona i podarować wszechświatowi gromadkę sierot.

– Rodzice pewnie...

– Oponują? Walczą? Wierzgają i krzyczą? – Jej spojrzenie było całkowicie wyjałowione z emocji. – Owszem, można tak powiedzieć. Ale też wiedzieli, jakie będą konsekwencje ich zalotów, a mimo to się nie powstrzymywali. Imperatyw biologiczny to zabawna rzecz. Geny chcą się wcisnąć do następnego pokolenia, bez względu na wszystko. I oczywiście mamy tu całe pokolenia. Wiesz, jacy są młodzi. Nawet jak dajesz im środki antykoncepcyjne, to i tak ich nie używają. Głupie małe gnojki, że tak powiem.

– Nie rozumiem, dlaczego pomyślałaś, że powinienem to zobaczyć – powiedział Holsten.

– No tak, jasne. – Lain nachyliła się nad konsolą i przeglądała menu, a w końcu podświetliła jeden z pojemników z embrionami. – Ten, widzisz?

Holsten zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy miał zauważyć jakąś mutację albo defekt.

– Co mogę powiedzieć? – nakierowywała go Lain. – Byłam młoda i głupia. Znalazł się taki jeden jurny, młody klasyk, który zawrócił mi w głowie. Zjedliśmy kolację przy świetle ginących gwiazd w stacji kosmicznej, która miała dziesięć tysięcy lat. Cóż, prawdziwy romans. – Ani przez chwilę nie porzuciła obojętnego tonu.

Holsten wpatrywał się w nią.

– Nie wierzę ci.

– Dlaczego?

– Ale ty... nigdy nie mówiłaś. Kiedy walczyliśmy z Guyenem, mogłaś...

– Właśnie wtedy nie byłam pewna, czy w ogóle mamy jakąś przyszłość i czy Guyen się nie dowie, kiedy przejmie kontrolę nad systemem... Tak à propos to dziewczynka. Dziewczynka. To będzie dziewczynka. – Holsten poznał po tym powtarzaniu, jak napięte są nerwy Lain. – Dokonałam wyboru, Holsten. Wybrałam, kiedy byłam z tobą. Ja do tego doprowadziłam. Miałam zamiar... pomyślałam, że będzie czas, żeby później... myślałam, że będzie jakieś jutro, kiedy będę mogła do niej wrócić i... ale zawsze było coś innego, do cholery. Jutro, na które czekałam, nigdy nie nadeszło. A teraz nie jestem pewna, czy...

– Isa...

– Słuchaj, Holsten, wracasz do komory, kiedy tylko ci ją naprawią, dobra? Jesteś najważniejszy i pierdolić wszystko inne. Mam pewne przywileje i przede wszystkim ja tu teraz rządę. Ty idziesz spać. Budzisz się, kiedy wlecimy do układu z zieloną planetą. Dopilnujesz, żebyśmy bezpiecznie wylądowali, i postarasz się, żeby to była nasza planeta, a nie jakiegoś oszalałego komputera czy potwornych pajaków. I zrobisz dla niej miejsce, w którym będzie mogła żyć. Słyszysz mnie, staruszkę?

– Ale ty...

– Nie, Holsten, to ty weźmiesz za to odpowiedzialność. Ja zrobię, co w mojej mocy. Zrobiłam wszystko, co w ludzkiej mocy, by nadeszło to „jutro”. Później wszystko będzie zależeć od ciebie.

Dopiero potem, kiedy odprowadziła go do jego świeżo odrestaurowanej komory zawieszania, zerknął na imię wciąż przyćepione do potarganego szala zrobionego ze strzępów munduru, który nosiła na ramionach. Widok ten zmroził go i zatrzymał w miejscu, kiedy już miał wstawić nogę do odnowionej trumny. *Naprawdę? Przez cały ten czas?* Stojąc w obliczu długiego, zimnego snu w niepamięci, nie mając pewności, czy znów się obudzi, poczuł dziwną otuchę, że ktoś, nawet jeśli była to cyniczna, zgorzkniała kobieta, pamiętał o nim przez te wszystkie lata w niebycie.

6.6 I DOTKNEŁA OBLICZA BOGA

Portia chce wyjść na zewnątrz wraz z resztą załogi, ale Viola jej tego zakazała. Ma tu specjalne zadanie. Do tego czasu Portia ma być hołubiona i rozpieszczana jak królewska ofiara.

Na tak dużej wysokości kolonia Podniebnego Gniazda potrzebuje pomocy w utrzymywaniu czaszy statku oraz w jego obsłudze. Mimo izolacji zimno niekorzystnie wpływa na mrówki. Są małe i nie potrafią regulować sobie ciepłoty, nie mogą też wiele zdziałać poza statkiem, więc pająki odziane w specjalne kombinezony muszą wypełznąć na zewnątrz ich latającego domu, przez hermetyczne włazy splatane i przeplatane na nowo, gdzie śluz powietrzne pojawiają się i znikają w razie potrzeby. Wracają chwiejnym krokiem po dwa, po trzy, bo ich praca jest na razie skończona. Niektóre przypięte do grzbietów swych towarzyszy, powalone przez zimno, pomimo wielu warstw jedwabiu oplatającego ich ciała i chemicznych grzałek założonych pod odwłokami. Portia czuje się niezręcznie, nie mogąc brać w tym udziału, ale rozumie, że oszczędzają jej kolejnej próby.

Niektórzy twierdzili, że bliskość słońca zapewni im ciepło. Zostali szybko wyprowadzeni z błędu. Tu, w górze, rozrzedzone powietrze przywiera do ich ciał niczym niewidzialny wampir. A jednak Portia chętnie by do nich dołączyła, pracując odnóże przy odnóżu, podciągając się bez skarg, choć to sam statek niesie ich wszystkich na grzbiecie.

Kolejnym powodem, dla którego chce się jej pracować, są wszystkie sprawy tam na dole – albo też na górze, w zależności od perspektywy. Nagłe milczenie Emisariuszki dotknęło ich wszystkich. Rozum nakazywał traktować tę misję jako tylko pośrednio z tym powiązaną – w obu przypadkach za sprawą nieobliczalnego geniuszu Bianki – ale, podobnie jak ludzie, pająki bardzo szybko dostrzegają wzorce i potrafią kojarzyć, wyciągać wnioski nawet z niekorzystnych zdarzeń, z przypadku. Wśród załogi zapanowało dziwne uniesienie, choć lata chwały Świątyni dawno minęły. Przebywanie w takiej bliskości tajemnicy Emisariuszki oraz odcięcie od wszystkiego, co znają, wywołuje dziwne myśli.

W końcu Viola zyskuje pewność, że Podniebne Gniazdo będzie stabilnie unosić się w rozrzedzonym powietrzu, i wysyła sygnał radiowy na ziemię. Prądy powietrzne – zaznaczano je dość nieporadnie przez ostatnie kilka lat – niosą ich do punktu krytycznego.

Portia, Fabian, na posterunki, rozkazuje.

Portia to kwestionuje, z szacunkiem sygnalizując lakonicznymi ruchami nogogłaszczek, że uważa, iż tę misję można by wypełnić samodzielnie. Nie kieruje nią brak wiary w umiejętności Fabiana, ale strach o niego. Samce są takie kruche, a ona czuje się za niego odpowiedzialna.

Viola wskazuje, że wszystko odbędzie się zgodnie z planem, a plan zakładał wejście we dwójkę do mniejszej jednostki zamocowanej na górze Podniebnego Gniazda. Nazwali ją Gwiazdą Siecią i ten statek zanieś ich tam, gdzie wcześniej żaden pająk nie dotarł – w rejony, które od niepamiętnych czasów stanowiły domenę mitu i wyobraźni. Niektóre małe bezzałogowe statki docierały do tej granicy. Teraz naukowcy uważają, że poznali warunki panujące na samej krawędzi świata, i wszystko zostało zaplanowane zgodnie z ich wytycznymi. Portia i Fabian będą musieli sprawdzić prawdziwość ich dociekań i lecą jako para, na wypadek gdyby jednemu się nie udało.

Gwiazdna Sieć jest niezwykle mocną jednostką, zdolną przetrwać kapryśne i trudne warunki meteorologiczne, jakie panują aż do samego szczytu ich świata. Przy swoich rozmiarach jest to bardzo lekki obiekt, chmura jedwabiu, drewna i wodoru. Niewielka załoga pająków i kilka silników to najcięższe ładunki na pokładzie. Mimo to nie jest dostatecznie lekka. Przy pełnej czaszy Gwiazdna Sieć osiągnie ułamek rozmiarów Podniebnego Gniazda i będzie niosła ułamek jego wagi – zmniejszona kolonia pokładowa spełniająca funkcje podtrzymywania życia, radio, dwójka załogantów – to cały bagaż.

Bianca i jej koleżanki odkryły jedną rzecz. Na niebie istnieje zwięzająca się warstwa i powietrze zanika w miarę oddalania się od świata, staje się rozrzedzone i zimniejsze oraz jakby bardziej nieprzewidywalne, aż... Cóż, istnieją różne poglądy na temat tego, czy pogoda się tam *kończy*, czy też jest tak rozcieńczona, że żadne z przyrządów nie potrafią jej wykryć. W końcu ile cząsteczek powietrza na kilometr przestrzeni sprawia, że możemy mówić o atmosferze?

Portia kieruje się do pomieszczenia przyodziewku, gdzie dopasowują jej kombinezon. Nie jest to proste okrycie izolacyjne, jakie wkładali załoganci,

ale nieporęczny i dziwny strój, pękaty na stawach i wybrzuszony na odwłoku, w miejscu zbiorników z powietrzem. W tej chwili jest zdehermetyzowany, więc wisi na niej luźno, choć jest zaskakująco ciężki i krępuje ruchy, co sprawia, że pajak bełkocze przy próbach komunikacji. W tej misji Portia będzie mogła używać tylko nogogłaszczek i radia.

Fabian dołącza do niej i jest podobnie jak ona wbijany w strój. Posyła jej krzepiący znak, by podnieść ją na duchu. Został wybrany na jej zmiennika, bo dobrze razem współdziałają, ale też dlatego, że jest niewielki, nawet jak na samca. Jest o połowę mniejszy od niej i waży mniej niż połowę tego, co ona. Gwiezdna Sieć musi przecież wynieść ich wysoko – gwiazdy są bardzo odległe.

Nawet Emisariuszka jest daleko, mknąc po niebie o wiele wyżej, niż Gwiezdna Sieć jest w stanie dotrzeć. Pomijając zastrzeżenia natury teologicznej, tam, w górze, w ogóle nie ma atmosfery. Posłanka jest formą życia mieszkającą w najsurowszym, najbardziej wyniszczającym otoczeniu, jakie pajak jest w stanie sobie wyobrazić.

I Portia nie może przestać się zastanawiać: *Czy uciszyliśmy ją, sięgając tak wysoko? Czy teraz mierzymy się z nią, sięgając gwiazd?*

Kabina załogi Gwiezdnej Sieci jest straszliwie ciasna. Sufit ugina się pod systemami statku – grzejnikiem, faktorią chemiczną, nadajnikiem/odbiornikiem oraz niewielką kolonią mrówek, które mają tylko zapewnić funkcjonowanie. Portia i Fabian sadowią się tak wygodnie, jak tylko mogą w ograniczonej przestrzeni.

Radio przekazuje instrukcję Violi z długiego pomieszczenia dla załogi w Podniebnym Gnieździe i Portia musi teraz przeprowadzić serię testów na podstawie raportów z kolonii na obu statkach, które są jak matka i córka, bo pokrewieństwo pozwala na lepszą komunikację między nimi.

Viola sygnalizuje, że doszli do momentu krytycznego: prądy powietrza wskazują, że statek musi odseparować się od Podniebnego Gniazda, by zyskać optymalne szanse na powodzenie misji. Słowa Violi, transmitowane pod postacią elektronicznych sygnałów, odarte ze wszystkich cech charakteru i osobowości nadającego, brzmią okropnie sucho.

Portia odpowiada, że są z Fabianem gotowi do rozdzielenia. Viola zaczyna coś mówić, ale milknie. Portia wie, że powstrzymała się od jakiegoś frazesu na temat dobrej woli Emisariuszki. Tego rodzaju mrzonki zdają się niestosowne w takiej chwili.

Na dole dziesiątki obserwatorów i stacji radiowych oczekują w napięciu na rozwój wypadków.

Gwiezdna Sieć przywierała do czaszy Podniebnego Gniazda niczym jakiś symbiotyczny pasożyt. Teraz załoga podpełza do niej i ustawia się po bokach, po czym Gwiezdna Sieć delikatnie odłącza się za sprawą mrówek, które przecinają cumy. Widać od razu, że mniejsza jednostka ma lepszą nośność, bo uwalnia się od statku-matki z gracją falującej meduzy. Natychmiast wznosi się wyżej, niż mogłyby polecieć solidniejsze statki, złapana w górne prądy powietrzne, na razie trzymając się wzorców poruszania ustalonych przez naukowców, którzy nie musieli powierzać statkowi swego życia.

Portia i Fabian składają Violi regularne meldunki radiowe, które później lecą dalej w świat. Tymczasem bawią się setnie. Ich zdolność komunikacji sprowadza się do sygnalizacji nogogłaszczkami, a wszelka subtelność konwersacji jest ograniczana ciasnym wnętrzem i niewygodnymi kombinezonami. Pomimo wielu warstw jedwabiu spowijających kabinę załogi do środka wkrada się zimno. Już oddychają powietrzem ze zbiorników, którego mają ograniczoną ilość. Portia wie, że aby wypełnić misję, muszą trzymać się rygorystycznie planu.

Chemiczne światło wskaźników sygnalizuje szybkie wznoszenie. Radio potwierdza pozycję Gwiezdnej Sieci. Portia czuje, że dziwne doznanie ogarnia ją całą – stąpa po ścieżce, po której jeszcze nikt nie szedł. To poczucie koniunkturalnej ciekawości, które towarzyszyło jej antenatom, kiedy były jeszcze bezrozumnymi łowczyniami, rośnie w niej z każdą chwilą. Dla Portii zawsze istnieje nowy horyzont, zawsze jest nowa ścieżka.

Mniej więcej w tym czasie Emisariuszka przełamuje ciszę radiową. Portia nie jest nastawiona na częstotliwość Boga, ale masowe sygnały z ziemi przekazują jej, co się stało. Nie jest biegła w trudnym boskim, sprzecznym z intuicją języku, ale bardzo szybko pojawia się tłumaczenie, przetaczając się po powierzchni ziemi z prędkością myśli.

Emisariuszka przeprasza.

Emisariuszka wyjaśnia, że poprzednio nie zrozumiała pewnych kluczowych elementów całej sytuacji, ale teraz zyskała wyrazistsze zrozumienie tego, jak się sprawy mają.

Emisariuszka odpowie na pytania.

Portia i Fabian zamknięci w swej malutkiej wznoszącej się bańce czekają z niecierpliwością na rozwój wypadków. Wiedzą, że Bianca i jej siostry na

ziemi pewnie gorączkowo debatują nad tym, co dalej. Jakie pytanie może zapoczątkować nowy rozdział w komunikacji z Emisariuszką?

Ależ tak, jest jedno kluczowe pytanie. Portia zastanawia się, czy Bianca w końcu uwzględni opinię innych, czy też po prostu wysła do Boga własne żądanie, by ktoś jej nie ubiegł. Musiało to stanowić nie lada pokusę dla wszystkich innych pajaków mających dostęp do nadajnika.

Bianca pyta:

Co oznacza, że ty jesteś tam, a my jesteśmy tutaj? Czy ma to jakieś znaczenie czy też jest to przypadek? No bo jakież inne pytanie można zadać choćby i złamanemu cybernetycznemu bóstwu niż: Dlaczego tu jesteśmy?

Ze swego wysoko położonego punktu obserwacyjnego doktor Avrana Kern przygotowuje się na pełne wyznanie – oto pytanie, na które może odpowiedzieć bardziej szczegółowo, niż wszystkie pajaki na świecie by chciały. Ona, Avrana Kern, stała się kwintesencją historii.

Bierze coś w rodzaju głębokiego wdechu, co w jej sytuacji jest dość trudne, ale nic nie przychodzi jej do głowy. Jest całkowicie przekonana, że wie, ale tego rodzaju pewność nie jest poparta realną wiedzą. Archiwum danych, o których myśli jako o *swoich wspomnieniach*, jest niedostępne. Kiedy szuka odpowiedzi, wyskakują jej fałszywe wiadomości. Zniknęło. Ów skarb z tym, co było kiedyś, zniknął. Jest jedynym świadkiem całego wieku rodzaju ludzkiego, a mimo to wszystko zapomniała. Nieużywane zasoby były zastępowane innymi informacjami podczas tysięcy lat snu oraz przez stulecia na jawie.

Wie, wie, a jednak w gruncie rzeczy w ogóle nie wie. Został jej tylko zlepek domysłów i wspomnień z czasów, gdy pamiętała o sprawach, których obecnie nie jest w stanie przywołać z własnej pamięci. Jeśli odpowie planecie, będzie to odpowiedź fastrygowana z luźnych fragmentów. Da im spóźnione mity o stworzeniu świata, nasycone dogmatami, lecz ubogie w szczegóły.

Ale oni tak bardzo chcą się dowiedzieć i to jest właściwe pytanie. Czy wolałaby, żeby pytali o specyfikacje techniczne albo o numery seryjne? Nie. Muszą poznać prawdę, taką, jaką będzie mogła im przedstawić.

Więc im odpowiada.

Pyta, co myślą o tych światłach na niebie – mają na tyle rozwiniętą wiedzę astronomiczną, by wiedzieć, że są to niewyobrażalnie odległe ognie.

Są jak wasze słońce, mówi im. I z jednego z takich światów, bardzo podobnego do waszego, spoglądały inne oczy na odległe światła i ludzie zastanawiali się, czy ktoś też na nich patrzy. Płynnie zmieniała czas na przeszły, choć jej pojęcie linearnej przeszłości jest nieco odmienne od wyobrażeń pajaków. Sama Ziemia jest dla niej martwa.

Stworzenia, które żyły w tamtym świecie, były bardzo kłótniwe i agresywne, a większość z nich pragnęła tylko zabijać, kontrolować i uciskać innych i opierały się każdemu, kto chciał poprawić los pobratymców. Ale była garstka takich, którzy wybiegali w przyszłość. Podróżowali do innych gwiazd i światów i kiedy znajdowali świat nieco podobny do ich własnego, zmieniali go za pomocą technologii, aby mogli w nim zamieszkać. W jednym z tych światów żyli, ale na innych przeprowadzali eksperymenty. Zasiwiali życie na tych światach i dodawali katalizatory, by szybciej się rozwijało. Chcieli zobaczyć na własne oczy, jak to się dzieje. Chcieli to zobaczyć, żeby owoce tego życia też ich dostrzegły i zrozumiały.

Coś drgnęło w pozostałościach po Avranie Kern, jakiś zepsuty mechanizm, którego nie używała od bardzo dawna.

Ale kiedy tak czekali, destrukcyjna i marnotrawna większość zaczęła walczyć z prawomyślnymi i zaczęła się wielka wojna. Wie, że jej słuchacze rozumieją słowa takie jak „wojna” czy „katalizator”, podobnie jak większość używanych przez nią terminów. I poginęli. Wszyscy zginęli. Wszyscy ludzie na Ziemi, oprócz garstki. Dlatego nigdy nie przylecieli, żeby sprawdzić, co wyrosło w ich nowych światach.

Nie mówi tego na głos, ale myśli: *Chodzi o was. Moje dzieci to wy. Nie jesteście tym, czego chcieliśmy ani co planowaliśmy, ale jesteście moim eksperymentem, który zakończył się pełnym sukcesem. Znow ta pogruchotana część porusza się i wie, że jakaś jej częśćka, jakaś zakleszczona w maszynie część jej ciała próbuje zapłakać. Ale nie z żalu, raczej z dumy, wyłącznie z dumy.*

W swym miniaturowym, wyizolowanym świecie Portia słucha, co Bóg ma do powiedzenia, i próbuje to przyswoić – podobnie jak inne pajęcze umysły na całym świecie muszą próbować wchłonąć znaczenie tych słów. Część jest niezrozumiała – podobnie jak samo przesłanie Emisariuszki – ale wypowiedź jest wyrazistsza niż zwykle: tym razem Bóg naprawdę się stara, żebyśmy ją

zrozumieli.

Zadaje kolejne pytanie niemal jednocześnie z Biancą:

A więc jesteś naszym stwórcą? Z całą resztą pobocznych pytań: Po co? W jakim celu?

I Emisariuszka odpowiada: Zostaliście stworzeni z mojej woli i za pomocą technologii z innego świata, ale proces ten został przyspieszony na drodze, którą mogliście obrać i beze mnie, mając odpowiednio dużo czasu i możliwości. Należycie do mnie, ale też do wszechświata, a cel wyznaczycie sobie sami. Waszym celem jest przeżyć, rosnąć, prosperować i szukać zrozumienia, tak jak moi ludzie powinni obrać to sobie za cel, gdyby nie popadli w głupotę i nie szczęli z kretesem.

I Portia, choć nigdy nie była głęboko wierząca, czuje, że właśnie ona – wznosząc się w strefy rzednącej atmosfery – wypełnia to posłanie, przekraczając granice zrozumienia.

Wznoszenie jest błyskawiczne, a Bóg gadatliwy.

Zwalniają, a barwa wyświetlacza altymetru sugeruje, że nawet wytrzymała Gwiezdna Sieć, składająca się tylko z cienkiej powłoki wypełnionej wodorem, dźwigająca bardzo niewielki ciężar, dotarła do kresu swych możliwości, czyli miejsca, w którym prawie nie ma już atmosfery i tym samym wodór nie ma od czego być cięższy. Wciąż znajdują się daleko, o wiele za daleko od orbitującej Emisariuszki – przebyli ledwo jedną trzecią odległości do wędrującej iskry na niebie – ale muszą zatrzymać się w tym miejscu.

Ich ładunek ma jednak polecieć dalej. Wysłanie go wzwyż, tam gdzie odnoże żadnego pająka nigdy nie powstało, stanowi najniebezpieczniejszą część tej wyprawy. Portia będzie wysyłać na orbitę pierwszy sztuczny obiekt pochodzący z jej świata. Pająki skonstruowały satelitę.

Jest to szklana kula o podwójnym kadłubie zawierająca nadajnik i odbiornik radiowy oraz dwie kolonie: mrówek i glonów. Wodorosty to specjalny gatunek wyhodowany przez ustonogi, tak zaprojektowany, by dostosować swój metabolizm do otaczających warunków. W słońcu będą się mnożyć, wypełniając skrzydła z jedwabiu, jakie rozwinie satelita, regulowane przez kolonię mrówek, która będzie się nimi karmić i wdychać produkowany przez nie tlen. Satelita to miniaturowa biosfera z wyznaczonym rocznym okresem funkcjonowania. Będzie działała jako przekaźnik radiowy, a mrówkami będzie można sterować z dołu, by mogły wykonywać różne zadania analityczne. Jeśli chodzi o możliwości tego urządzenia, to nie jest to

żadna rewolucja, choć zwiastuje świt nowej ery.

Ma sama odłączyć się od spodu gondoli, co jest kluczowym elementem ekspedycji Gwiazdnej Sieci. Posiada chemicznie napędzane rakiety, które mają wypchnąć ją jeszcze nieco dalej, na stabilną orbitę, a mrówki są już uzbrojone w mechanizmy obliczeniowe pozwalające ustalić dokładną trajektorię lotu. Pomimo biegłości w chemii pająki mają ograniczone zdolności produkcji rakiet zapłonowych, stąd cały pomysł na użycie dwóch statków, by wypchnąć obiekt na orbitę. Kern i jej ludzie nie pomyśleli o tym, ale ta planeta jest bardzo młoda pod względem geologicznym – zbyt młoda, by można było wytwarzać paliwa ze skamielin. Biotechnologia oraz rozwój mechaniki miały wypełnić tę lukę.

Ładunek nie chce się odłączyć.

Portia to odnotowuje. Wraz z Fabianem z trudem radzą sobie z warunkami. Długie wznoszenie w niskiej temperaturze wyczerpało ich siły. Niewystarczająca endotermia działa na ich niekorzyść. Oboje są już głodni jak wilki, pochłaniają wewnętrzne zapasy pożywienia, ale i tak z zimna mają spowolnione ruchy. Teraz coś poszło nie tak i Portia musi opuścić kabinę, wyjść w mocno rozrzedzoną atmosferę, by sprawdzić, jak można to naprawić. Niebezpieczeństwo rośnie z każdą chwilą – jeśli to satelita uległ awarii, spróbuje odpalić rakiety bez odłączania się od Gwiazdnej Sieci i spopieli kabinę, powodując zapłon wodoru. Fabian zawiadamia centrum lotów o sytuacji, przerywając ogólny rwetes, jaki wywołały rewelacje Emisariuszki. Bianca z ekipą bezpośrednio zaangażowaną w projekt Gwiazdnej Sieci milkną w jednej chwili.

Komunikacja jest utrudniona. Fabian powtarza meldunek raz za razem, a Portia szykuje kombinezon do wyjścia we wrogie otoczenie bliskie kosmicznej próżni. Sygnał nadajnika Gwiazdnej Sieci ledwie dociera do powierzchni planety i kolejne urządzenie trzeszczy z wysiłku.

Portia ustawia się do wyjścia, blisko podłogi kabiny załogi. Snuje linę asekuracyjną przymocowaną do wnętrza i do drugiej ściany nad sobą i zamyka kładziołki przedne na odwłoku. Następnie wydostaje się z kabiny do przestrzeni między kadłubami, naprawia wyrwę za sobą, by powtórzyć tę samą procedurę i wyjść na zabójcze zimno na zewnątrz.

Jej kombinezon błyskawicznie wypełnia się powietrzem, uzupełnia wewnętrzne zasoby tlenu w okolicach odwłoka, otworu gębowego, oczu i stawów – tych części ciała, które mogą ucierpieć od gwałtownej zmiany

ciśnienia. Portia ma dużą przewagę nad kręgowcami – jej otwarty układ krwionośny jest mniej wrażliwy na odmrożenia i chorobę kesonową, do tego pancerz zatrzymuje płyny o wiele lepiej niż skóra. Lecz napełniony powietrzem kombinezon ogranicza jej ruchy do powolnego pełzania. Co gorsza, niemal natychmiast zaczyna się przegrzewać. Mogła jeszcze od biedy podtrzymywać temperaturę ciała, ale nie ma żadnej możliwości, by ją obniżyć. Wysoka wytwarzana przez nią temperatura nie znajduje ujścia w tak ciasnym środowisku. Zaczyna się powolny proces gotowania we własnej skórze.

Z trudem podpełza w dół, by dotrzeć do satelity, i widzi lód. Nie może tego przekazać nikomu i może mieć tylko nadzieję, że sam satelita wciąż działa. Z posępną determinacją zaczyna przednimi odnóżami odłupywać kawałki lodu. Szklana kula pozostaje jednak przytwierdzona do jedwabnej powłoki Gwiazdnej Sieci. Portia wie, że lada moment satelita może odpalić silniki rakietowe i najprawdopodobniej spalić całą Gwiazdną Sieć, zanim lód się roztopi. Ta myśl nie zdążyła się jeszcze zadomowić w przegrzanym mózgu, kiedy widzi żar powstały przy mieszaniu się substancji chemicznych, i skokowo rośnie temperatura.

To jej zadanie. Dlatego właśnie została wybrana. Jest pionierką, ryzykantką, pajęczycą, której nie zadowala siedzenie w miejscu i czekanie, aż świat do niej przyjdzie. Jest bohaterką, ale taką, której wszyscy zazdroszczą, lecz jej nie naśladowają.

Niezdarnie odrywa bryłki lodu więżące satelitę i w końcu wyrywa go z lodowych pęt. Przykuca na tylnych odnóżach i wkłada wszystkie siły w jeden wielki skok.

Czuje, jak kombinezon rozrywa się na jednym z tylnych odnóży, bo jedwabna powłoka nie wytrzymała gwałtownego ruchu. Zimno ogarniające nagie odnóże przyjmuje niemal z ulgą. Wykonuje kolejny skok w rozrzedzonym powietrzu, posyłając satelitę w obręb statecznego przyciągania planety. Spazmatycznym wykopem sześciu odnóży odrzuca satelitę jak najdalej.

W tym momencie uruchamia się zapłon rakiet. Dysze przypalają Portię, a satelita wystrzeliwuje, wirując wściekle wokół własnej osi, i wylatuje poza rozpostartą czaszę Gwiazdnej Sieci. Portia nie ma pojęcia, czy będzie on w stanie wyprostować kurs na tyle, by trafić na zamierzoną orbitę.

W jej umyśle pojawia się zaskakująco racjonalna myśl: *Musi być jakiś prostszy sposób.*

I zaczyna spadać, leci w dół i choć próbuje gorączkowo upleść spadochron,

nie udaje jej się to.

Jej spadek kończy się raptownie i boleśnie. Wisi teraz pod Gwiazdną Siecią. Złapała ją lina bezpieczeństwa, ale to nie ma znaczenia. Powietrze w jej kombinezonie się kończy i jest zbyt przegrzana, żeby się ruszyć czy pomyśleć. Poddaje się bez walki.

Fabian już rusza do działania. Nie wie dokładnie, co się stało, ale gwałtowne szarpnięcie liny Portii podrywa go z miejsca. Rozrywa i zaplata kolejne śluzę, a jego kombinezon rozdyma się i kurczy, aż może ją podciągnąć. Ostatek sił wciąga ją do środka i po uszczelnieniu kabiny rozrywa kłami oba kombinezony.

Leży chwilę na grzbiecie spleciony odnóżami z Portią. Ona się nie rusza i widać tylko, jak drga spód jej odwłoka.

Fabianowi udaje się sięgnąć po nadajnik i wysyła niemal spójny raport o ich sytuacji. Odbiera słaby sygnał potwierdzający, że satelita został umieszczony na orbicie, ale nic nie świadczy o tym, że odebrali jego wiadomość.

Próbuje ponownie, wysyła bełkotliwą informację drżącymi nogogłaszczkami i w końcu mu się udaje: *Słyszać mnie? Czy ktokolwiek odbiera mój sygnał?*

Ziemia milczy. Nie wie nawet, czy radio działa. Jest potwornie głodny, a wyprawa Portii poza kabinę oznacza, że zostało im bardzo mało powietrza. Rozpoczyna spuszczenie wodoru w bezpiecznym tempie, ale na dół wciąż wiedzie bardzo daleka droga. Ani on, ani Portia nie mają siły i tlenu, by dotrzeć do bezpiecznego pułapu.

Wtedy odzywa się głos: *Tak, słyszę was.*

Emisariuszka słucha. Fabian zamiera w nabożnej bojaźni. Jest pierwszym samcem, który rozmawia z Bogiem.

Rozumiem waszą sytuację, mówi mu Emisariuszka. *Nie mogę wam pomóc. Przykro mi.*

Fabian wyjaśnia, że ma plan. Dokładnie wyklada jego założenia. *Możesz im to przekazać?*

To mogę zrobić, obiecuje Emisariuszka, a potem, kiedy wracają stare wspomnienia, dodaje: *Kiedy moi przodkowie dotarli do kosmosu, wśród pionierów też notowało się ofiary. Ale było warto.*

Następne zdanie jest całkowicie obce Fabianowi. Nigdy nie dowie się, co znaczyło: *Składam wam hołd.*

Odwraca się do Portii, która ledwo zipie. Leży na grzbiecie bez czucia, reagując tylko na podstawowe bodźce.

Powolnymi, mozolnymi ruchami Fabian zaczyna się do niej zalecać. Porusza nogogłaskami przed jej oczami i dotyka jej, jakby chciał spólkować, wyzwalaając pierwotny instynkt, który cywilizacja nieco zatarła, ale nie wykorzeniła do końca. Nie ma pożywienia, żeby przywrócić ją do życia, oprócz jednego źródła. Powietrza też nie wystarczy dla dwojga, więc może chociaż jej się jakoś uda.

Widzi, jak jej kły się rozwierają i unoszą z drzeniem. Przez chwilę patrzy na nie i rozmyśla o swoich uczuciach wobec towarzyszki podróży i życia. Nigdy mu nie wybaczy – ani też sobie – ale być może przeżyje.

Poddaje się jej odruchowemu uściskowi.

Świadomość wraca Portii później, jest na pokładzie Gwiazdnej Sieci i czuje się najedzona, sponiewierana, dziwnie lubieżna. Straciła całe tylne odnoże i dwa segmenty drugiego, do tego jedno z drugiej pary oczu. Jednak żyje.

Kiedy mówią jej, co zrobił Fabian, żeby ją ratować, przez dłuższą chwilę nie wierzy. W końcu to sama Emisariuszka sprawia, że przyjmuje to, co się stało.

Portia nigdy już nie będzie latać, ale weźmie kluczowy udział w planowaniu dalszych lotów – opracowywaniu bezpieczniejszych i bardziej wysublimowanych metod wynoszenia na orbitę.

Gdyż teraz Emisariuszka znalazła w sobie cierpliwość i perspektywę, by lepiej zrozumieć swe dzieci. W końcu może ostrzec ich na tyle skutecznie, by zrozumieli. Pająki przyjmują do świadomości fakt, że pomijając orbitującego Boga, nie są same we wszechświecie – i wcale nie jest to takie dobre.

— 7 —

STARCIE

7.1 POZYCJE BOJOWE

Znaleźli się w ścisku w sali odpraw. Miał déjà vu, ale ostatnimi czasy było to zbawienne. Holsten był obywatelem niewielkiego świata opierającego się na cyklach i powtórzeniach, a gdy wydarzenia się nie powtarzały, następował rozpad.

Niektóre światła były wygaszone i to naprawdę go przybiło. Wszystkie te cuda technologii, dzięki którym udało się skonstruować *Gilgamesza*, sztuczki wykradzione bogom ze Starego Imperium... a teraz albo nie potrafili uruchomić wszystkich świateł, albo po prostu szkoda było marnować na to energii.

Rozpoznał zaskakująco dużo twarzy. Najwyraźniej było to spotkanie dowództwa. Należeli do załogi podstawowej – albo tego, co z niej zostało. Zobaczył ekipę naukową, garstkę inżynierów, dowództwa oraz ochrony, wszystkich tych, którzy wsiedli na pokład na Ziemi, kiedy wciąż była ona miejscem zamieszkania ludzi. Byli to ludzie, którym powierzono opiekę nad resztką ich rodzaju.

Z pewnymi zauważalnymi brakami. Jediną obecną szefową działu – pomijając Holstena tworzącego dział jednoosobowy – była Vitas, która organizowała zbiórkę świeżo wybudzonych według własnego systemu. Kilkoro młodych ludzi w starych kombinezonach jej pomagało – spadkobiercy Lain, zgadywał Holsten. Mógłby ich zapamiętać z ostatniego przebudzenia, ale podejrzewał, że byli przynajmniej jedno pokolenie młodszy. Jednak przetrwali. Nie zmienili się w kanibali ani anarchistów, o małpoludach nie wspominając. Nawet te kruche przejawy stabilizacji dawały jakąś nadzieję.

– Klasyku Mason, tu pan jest. – Trudno było stwierdzić, co Vitas czuła na jego widok.

W ogóle trudno było odgadnąć, co czuje. Postarzała się, ale z godnością i tylko trochę, jak się zdawało. Holsten zaczął poważnie rozważać możliwość, że w ogóle nie jest człowiekiem. Być może była cyborgiem o rozbudowanej świadomości. Mając w swojej pieczy dział medyczny wraz z infrastrukturą, mogła w końcu w nieskończoność utrzymywać taką tajemnicę w sekrecie...

Odkąd postawił stopę na pokładzie *Gilgamesza*, widział wiele szalonych rzeczy, ale to byłby krok za daleko. Nawet Stare Imperium... chyba że ona należała do Starego Imperium, była istotą liczącą sobie dziesięć tysięcy lat, napędzaną minireaktorem, wieczną.

Folgując przez chwilę wyobraźni, chwycił Vitas za rękę i poczuł ciepło ludzkiego ciała, chciał bowiem zaufać własnym zmysłom. Uczona uniosła kpiąco brwi.

– Tak, to naprawdę ja – rzuciła. – Niesamowite, wiem. Potrafi pan strzelać?

– Bardzo wątpię – wykrztusił. – Ja... a czemu?

– Dowódca chce, żebym pytała o to wszystkich. W pańskim przypadku sama odgadłam, jak się sprawy mają.

Holsten w jednej chwili zamarł i poczuł falę zimna.

– *Dowódca...*

Vitas obserwowała go z chłodnym rozbawieniem, pozwalając sobie na kilka sekund suspensu przed odpowiedzią.

– Lem Karst pełni obowiązki dowódcy, tak dla pańskiej informacji.

– Karst? – Holstenowi bynajmniej nie ulżyło. – Jest aż tak źle, że teraz Karst rozdaje karty?

Na tę uwagę reszta załogi podstawowej spojrziała na niego, niektórzy zmarszczyli brwi, ale inni najwyraźniej podzielali jego zdanie, w tym nawet jeden z zespołu ochroniarzy. Była to rzadka chwila, w której Holsten wolał raczej być w mniejszości.

– Zbliżamy się do układu Kern – wyjaśniła Vitas. Odwróciła się do konsoli za plecami i gestem przyciągnęła do niej uwagę Holstena. – Nie żeby od razu określać konkretny punkt, ale kiedy znajdziemy się na orbicie zielonej planety, dni włości *Gilgamesza* dobiegną końca. – Dziwnie poetycka fraza przydała jej związłym zdaniom niespodziewanej wagi. – Plemię Lain wykonało niezwykłą pracę przy naszym statku, ale tak naprawdę był to rejestr strat, całkiem dosłownie. I usterki zaczęły wygrywać ten wyścig. Teraz na statku jest spora populacja urodzona w kosmosie, ponieważ komory zawieszenia psują się na potęgę. Nikt nie będzie sobie robił więcej przejażdżek w gwiazdy.

– Co oznacza...?

– Co oznacza, że jest dla nas tylko jedno miejsce, tak, Mason. – Uśmiech Vitas był tyleż szeroki, ile przelotny. – I będziemy musieli walczyć o nie ze Starym Imperium.

– Najwyraźniej tylko na to czekasz – zauważył.

– Taki był cel tego dalekosiężnego, bardzo długiego planu, Mason, i wszystkich spędzonych w kosmosie wieków. To najdłuższa z rozgrywek w historii naszego gatunku, oprócz tego, co tam robi ta Kern. I na swój sposób miałeś rację co do dowódcy. To nie on jest tu najważniejszy, lecz realizuje plan Guyena. Tak było od chwili, gdy po raz pierwszy dostrzegł tę planetę.

– Guyen? – zdziwił się Holsten.

– To był człowiek z wizją – potwierdziła Vitas. – Załamał się w końcu pod presją, ale biorąc pod uwagę, co przeszedł, to żadna niespodzianka. Rasa ludzka bardzo wiele mu zawdzięcza.

Holsten wpatrywał się w nią, przypominając sobie, jak podchodziła do katastrofalnego planu przesyłu obrazu mózgu do komputera, w którym widziała jakiś nieszkodliwy eksperyment. Ale tylko coś mruknął, choć wszystko miał wypisane na twarzy, co nie umknęło uwagi rozmówczyni.

– Karst i kilku jego ludzi przystosowali centrum kontroli w pomieszczeniu komunikacyjnym – powiedziała dość chłodno Vitas. – Jesteś członkiem podstawowej załogi, więc chce, żebyś też tam był. Alpash!

Jeden z młodych inżynierów pojawił się u jej boku.

– To jest Alpash. Urodzony na statku – wyjaśniła, jakby przepraszała za jakąś wrodzoną wadę młodzieńca. – Weź i zaprowadź naszego Masona i resztę podstawowej załogi do dowódcy – mówiła do młodzieńca, jakby nie był człowiekiem, ale raczej ulubionym zwierzątkiem albo maszyną.

Alpash ostrożnie skinął głową Masonowi. Jeśli Vitas była dla niego wzorcową przedstawicielką podstawowej załogi, to prawdopodobnie nie spodziewał się po Holstenie wiele, jeśli chodzi o maniery. Widać było u niego wyraźną płochliwość, kiedy zbierał dopiero co wybudzonych inżynierów, ochroniarzy i tym podobnych. Holstenowi przypomniało to, w jaki sposób traktowali go wyznawcy Guyena. Zastanawiał się, na jakich legendach o podstawowej załodze Alpash był wychowany.

W sali komunikacyjnej Karst wyglądał tak samo krzepiąco. Wielki szef ochrony miał czas, żeby zapuścić zawadiacki zarost na swej wyniszczonej twarzy, i najwyraźniej nie kręcił się tu od ostatniego razu, kiedy Holsten go widział, bo niemal się nie postarzał.

Kiedy ostatni przedstawiciele podstawowej załogi weszli do środka, uśmiechnął się do nich drapieżnie, co odzwierciedlało idealnie zarówno oczekiwanie, jak i napięcie.

– Wchodźcie, znajdźcie sobie miejsca do siedzenia albo stójcie, jak wam pasuje. Vitas, słyszysz mnie?

– Słyszę. – Głos szefowej działu nauki zachrypiał gdzieś z niewidzialnego głośnika. – Będę dalej nadzorować rozpakowywanie, ale też słucham.

Karst skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Jasne. – Odwrócił się, by przemówić do nich wszystkich, przesuwając wzrok po kolei po twarzach. Kiedy napotkał spojrzenie Holstena, na jego obliczu nie pojawiła się spodziewana antypatia. Zniknęły wszelkie przejawy jakiegokolwiek rezerwy wobec Holstena Masona. Zniknęła też oczekiwana aura lekceważenia, jaka zwykle się pojawia, kiedy człowiek czynu przebywa w towarzystwie człowieka nauki. Sztuczny entuzjazm Karsta przeszedł tylko w bardziej powściągliwy, lecz i bardzo szczery uśmiech. Było to spojrzenie wspólnie dzielonych doświadczeń, braterstwa ludzi, którzy byli tu od samego początku i wciąż w tym razem tkwili.

– Będziemy walczyć – zapowiedział wszystkim szef ochrony. – Mówiąc szczerze, mamy tylko jedną szansę. Wszyscy znacie stawkę albo powinniście ją znać. Tam gdzieś jest satelita, który prawdopodobnie jest w stanie rozerwać kadłub *Gila* w mgnieniu oka, jeśli na to pozwolimy. I tak, przymocowaliśmy na kadłubie tarcze rozpraszające, w czasach kiedy szabrowaliśmy tę stację terraformacyjną – niektórzy z was pewnie sobie smacznie spali, ale w systemie są zapisane wprowadzone przez nas zmiany. Wzmocniliśmy też nasze systemy komputerowe, żeby ta suka – żeby satelita – nie mogła nas po prostu wyłączyć i otworzyć śluz powietrznych swoimi sztuczkami. Przedsięwzięliśmy wszelkie dostępne środki ostrożności, a jednak podejrzewam, że może nas załatwić na cacy. – Mimo to wciąż się uśmiechał. –

Ale przygotowałem drony w naszych warsztatach. One też mają chronione systemy i lasery, które, jak sądzę, mogą spalić satelitę. Taki jest plan w ogólnych zarysach. Najlepszą obroną jest atak i tak dalej. Nadlatując na orbitę, spalimy tę kurwę i mam nadzieję, że to wystarczy. Inaczej będziemy musieli lecieć wprost na satelitę, co wystawi nas na odwet z jego strony. –

Zamilkł, po czym dokończył: – Więc pewnie się zastanawiacie, po kiego grzyba jesteście mi wszyscy potrzebni, co?

Holsten odchrząknął.

– Vitas pytała mnie, czy potrafię posługiwać się bronią. Przyznaję, nie jestem wielkim strategiem, ale jeśli będziemy musieli ostrzeliwać satelitę z pistoletów, to pewnie już przegraliśmy.

Karst naprawdę się roześmiał.

– No tak, cóż, ja planuję z wyprzedzeniem – planuję, by zwyciężyć. Bo jeśli nie wygramy z satelitą, to i tak nie ma sensu niczego planować. Załóżmy więc, że ją spalimy. Co dalej?

– Planeta – powiedział ktoś.

Przez pomieszczenie przetoczyła się dziwna fala zarazem nadziei i lęku.

Karst pokiwał markotnie głową.

– Jasne, większość z was jej nie widziała, ale możecie mi wierzyć, niełatwo będzie znaleźć miejsce na osiedlenie się, przynajmniej na początku. Mam rację, Mason?

Holsten aż podskoczył, kiedy niespodziewanie zażądano od niego opinii. *Ale oczywiście tylko on i ja byliśmy na powierzchni planety.*

– Masz rację – potwierdził.

– I tu właśnie pojawia się broń osobista dla tych, którzy czują, że mogą się zniżyć do jej użycia. – Zanikający uśmiech Karsta znów się nieco poszerzył. –

Mówiąc krótko, planeta jest pełna różnego rodzaju zwierząt: pajaków, robali i całego tego gówna. Tak więc, zadomawiając się, będziemy je też wypalać. Oczyszczając las, przeganiając dziką przyrodę, eksterminować wszystko, co na nas krzywo spojrzy. Będzie fajnie. Właściwie czekałem na to, odkąd wszedłem na pokład. Twarda robota, trudna. I wszyscy pracują. Pamiętajcie, należymy do podstawowej załogi. Odpowiadamy nie tylko za siebie, ale też za szefów nowej kadry inżynierskiej, takich jak obecny tu Al. To my odwalamy tę robotę. Wszyscy polegają na nas. Pomyślcie sobie o tym – a kiedy mówię wszyscy, to znaczy wszyscy. Liczy się tylko *Gilgamesz*. – Klasnął w dłonie, jakby cała ta przemowa go wzmocniła i podbudowała jego osobiste morale. –

Ekipa ochrony, ten, kto ma wykaz naszych nowych rekrutów, ma ich podzielić na grupy i uzbroić. Macie ich nauczyć, w który koniec broni nie należy patrzeć. Potem wszyscy dołączycie do nas w polowaniu na robale.

Holsten założył, że oznaczało to każdego głupka, który powiedział „tak”, kiedy Vitas pytała, czy potrafi posługiwać się bronią.

– Szczepie nasz – dodał Karst, kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić. – Nie będę wam chrzanił po próżnicy, bo wiecie, co macie robić. Poza tym robiliście to wystarczająco długo. Alpash, ty jednak trzymaj się blisko mnie. Będiesz moim łącznikiem.

„Szczep” to najwyraźniej inżynierowie albo ci potomkowie inżynierów, którzy utrzymywali statek w kupie. Nieliczni, którzy wciąż tu byli, teraz

wychodzili z pomieszczenia z minami ludzi uważających cały ten spęd za nudny i niepotrzebny, choć na samym spotkaniu zachowywali się wzorowo, jak dzieci podczas mszy.

– Jasne, Mason... Harlen?

– Holsten.

– No właśnie. – Skinął głową zupełnie niewzruszony Karst. – Dla ciebie coś specjalnego, tak? Ty naprawdę będziesz miał sporo pracy. Satelita transmituje pokłady tego swojego gówna, a ty jesteś jedyną osobą, która potrafi odczytać, co tam gada.

– Transmituje... do nas?

– Tak. Może. Alpash?

– Prawdopodobnie nie do nas – stwierdził młody inżynier.

– Nieważne, weź Masona i podłącz go do urządzeń. Mason, jeśli coś z tego zrozumiesz, daj mi znać. Moim skromnym zdaniem ta wariatka dostała bzika.

– Raczej zbzikowała do reszty – poprawił go Holsten i choć nie był to dowcip, Karst się roześmiał.

– Płyniemy na tej samej łódce, co nie? – powiedział niemal z czułością, spoglądając dookoła na poobijane ściany *Gilgamesza*. – Wszyscy razem na tej samej starej łajbie. – Na chwilę maska opadła i przez sekundę Holsten patrzył na ściągnięte napięciem rysy Karsta, zauważając fuszerki, które szarpały skołataną nerwy szefa ochrony. Karst zawsze wykonywał rozkazy, a teraz był u władzy, ostatni generał rasy ludzkiej stojący oko w oko z nieznanym, przy najwyższej możliwej stawce tej rozgrywki. Jego dość chaotyczna odprawa z perspektywy wyglądała tak, jakby miała mu pomóc zachować spokój i opanowanie, żeby mógł się trzymać ostatkiem sił. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Karst radził sobie z tym dobrze. Odpowiedni człowiek do konkretnego zadania.

Ponadto mógł też być pijany. Holsten uświadomił sobie, że nie potrafi tego po nim poznać. Alpash poprowadził go do konsoli, wciąż się zachowując, jakby Holsten i Karst oraz pozostali byli bohaterami z legend przywróconymi do życia, choć okazali się nie spełniać pokładanych w nich nadziei. Holsten zastanawiał się z zawodową ciekawością, czy ten szalony zbiór mitów narastał w Szczepie, gdzie on i reszta podstawowej załogi byli panteonem zręczliwych bóstw, oszukańczych bohaterów i potworów. Nie miał pojęcia, ile pokoleń minęło od ich ostatniego kontaktu z osobą nieurodzoną na *Gilgameszu*, od...

Miał zapytać, ale coś w nim zaskoczyło i wiedział, że tego nie zrobi, nie teraz. Za często myślał o Lain. Bo Lain musiała umrzeć dawno, bardzo dawno temu. Czy myślała o nim pod koniec? Czy przyszła, by popatrzeć na zimną zmarzlinę w jego trumnie, jej śpiącego księcia, któremu nie pozwoliła wrócić po siebie?

Alpash odkaszlnął nerwowo, czując nagle zmieniający się nastrój Holstena. Klasyk skrzywił się, rozpraszając troski młodzieńca.

– Powiedz mi o tych transmisjach.

Alpash odwrócił się do konsoli z zatroskanym spojrzeniem. Maszyna była mocno poobijana, jakby została rozebrana na części i ponownie złożona – więcej niż raz. Na boku widniał jakiś symbol i coś było napisane, najwyraźniej niedawno. Holsten wpatrywał się w to przez chwilę, po czym odczytał słowa:

Nie otwierać. W środku nie ma żadnych przydatnych dla serwisanta części.

Zaśmiał się, myśląc, że to żart, rodzaj wisielczego humoru, który, jak pamiętał, był domeną inżynierów w kryzysowych sytuacjach. W twarzy Alpasha nie znalazł jednak niczego, co sugerowałoby w tym coś dowcipnego albo też że napis ten był czymkolwiek poza świętym symbolem Szczepu. Holsten w jednej chwili poczuł gorzkość i mdłości. Poczł się tak, jak musiał czuć się Karst. Był tylko reliktem przeszłości, starającym się pochwycić niemal utraconą przyszłość.

– Dużo tego – wyjaśnił Alpash. – Sygnał jest ciągły, na wielu częstotliwościach. Nie rozumiemy z tego ani słowa. Nie wiem, co to jest ta Avrana Kern, ale myślę, że dowódca może mieć rację. To brzmi jak brednie szaleńca. Jakby planeta szeptała sama do siebie.

– Planeta? – zdziwił się Holsten.

– Nie otrzymujemy sygnału bezpośrednio z satelity, na ile znam się na rzeczy. – Kiedy Alpash zaczął się odzywać, Holsten usłyszał nieznaną rytmy i akcent w jego słowach – nieco z Lain, trochę z systemów automatycznych *Gilgamesza* oraz cząstkę czegoś nowego. Był to najwyraźniej powstały na statku nowy akcent.

Alpash miał wyświetlacz cyfrowy, który najwyraźniej był instrumentem edukacyjnym.

– Może pan zobaczyć, co wywnioskowaliśmy z tych transmisji.

Holsten był przyzwyczajony do „lukrowania” tego typu danych do postaci,

w której każdy laik mógł je zrozumieć, ale obecnie Szczep najwyraźniej nie czuł potrzeby stosowania takich ustępstw.

Widząc jego puste spojrzenie, inżynier ciągnął dalej:

– Stawiamy na to, że wszystkie te transmisje są skierowane na planetę, tak jak pierwotna sekwencja cyfrowa, a teraz przechwytyjemy odbicia. Jednak z całą pewnością dochodzą do nas z planety.

– Czy jacyś inni klasycy nad tym pracowali? Ktoś z ładunku? Przecież musiało tam być kilkoro studentów albo...

Alpash miał poważne spojrzenie.

– Obawiam się, że nie. Przejrzeliśmy manifest. Z początku była ich tylko garstka. Pan jest ostatni.

Holsten wpatrywał się w niego przez chwilę, zastanawiając się nad implikacjami tego wszystkiego: myślał o długiej historii Ziemi przed upadkiem, przed nadejściem lodu. Jego społeczeństwo posiadało tak fragmentaryczną, niedoskonałą wiedzę na temat swych poprzedników, że stale próbowali ich małpować, a teraz jeszcze doprowadzili do tego, że cała ta wiedza skurczyła się do rozmiarów skołatanego umysłu jednego starego mężczyzny? *Cała historia, a jeśli... kiedy umrę...?* Nie widział jakoś chętnych na lekcje historii w tymczasowym Edenie Karsta.

Zadrzał, nie ze zwykłego ludzkiego poczucia śmiertelności, lecz dlatego, iż miał wrażenie, że wielkie, niewidzialne rzeczy rozpadają się w niepamięć, nieodwracalnie i nieodwoalnie. Posępnie wrócił do wiadomości, które pokazywał mu Alpash.

Przy odrobinie wysiłku Holsten w końcu rozpracował działanie wyświetlacza na tyle, że mógł zobaczyć, ile było tych nagrań, choć najwyraźniej był to tylko ułamek całości. *W co gra ta Kern? Może w końcu zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę?* Wszedł w jedną wiadomość, ale nie była w ogóle podobna do transmisji z satelity, jakie pamiętał. Mimo to... poczuł, jak dawno nieużywane akademickie zasoby jego mózgu starają się uaktywnić na widok złożoności i powtarzających się wzorców schematu. Wykonał analizę i odwzorowania na tyle, na ile pozwalała mu konsola. Nie był to wyłącznie elektroniczny szum, ale nie była to też wiadomość w stylu Starego Imperium, które Kern/Eliza wysyłała poprzednio.

– Może jest zakodowana – zastanawiał się, mówiąc głośno do siebie.

– Jest też drugi typ – wyjaśnił Alpash. – Tak wygląda większość z nich, ale są inne, które wydają się odmienne. O, tutaj.

Holsten słuchał wybranego nagrania, kolejnej sekwencji sygnałów, ale tym razem bardziej przypominały wiadomość.

- Tylko tyle? Nie ma sygnału alarmowego? Nie ma ciągu cyfr?
- Tylko to i to drugie, ile dusza zapagnie – potwierdził Alpash.
- Ile mamy czasu, zanim... zanim wszystko się zacznie?
- Przynajmniej trzydzieści godzin.

Holsten skinął głową.

- Mogę dostać coś do jedzenia?
- Naturalnie.

– W takim razie zostaw mnie z tym, a ja sprawdzę, czy mogę coś w tym odnaleźć dla Karsta. – Alpash już miał odejść i Holsten przez chwilę miał zamiar go zatrzymać, zadać mu to absurdalne pytanie, którego historycy nigdy nie zadają, patrząc na obiekt swych badań: *Jak to jest być tobą?* Pytanie, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć, ponieważ nie jest w stanie spojrzeć na siebie obiektywnie.

Z niejaką pomocą Szczepu był w stanie zapolować w systemach *Gilgamesza* na przynajmniej kilka ze swoich elektronicznych narzędzi i dobrać się do wiadomości. Dostał to, czego chciał, po czym zostawili go samego z pracą. Miał wrażenie, że na pokładzie statku wiele osób na nim urodzonych i obudzonych przygotowywało się na chwilę, na którą czekały całe ich pokolenia lub trwały w uśpieniu przez stulecia. Był szczęśliwy, że go to ominęło. Tutaj, na skraju czasu, klasyk Holsten Mason był zadowolony, że ślęczy nad niezrozumiałymi przekazami w bezowocnym poszukiwaniu ich znaczenia. Nie był Karstem. Nie był też Alpashem ani jego krewnym. *Stary, jestem taki stary pod wieloma względami.* Stary, choć wciąż jary na tyle, że wyglądało na to, iż mógł nawet przeżyć sam statek-arkę.

Uświadomił sobie, że z większości tych przekazów nic nie rozumie. Były ogólnie słabe i zgadywał, że wysyłano je z planety we wszystkich kierunkach, w kosmos.

A raczej odbijały się od planety. Bo przecież nie mogły być z niej wysyłane. Zamrugał, dziwnie nieswój. Bez względu jednak na źródło były tak odmienne od wszystkiego, co znał, że nie mógł nawet być pewien, iż w ogóle są to wiadomości zawarte w jakimś kodzie czy języku. Jedynie uporczywie powtarzalna struktura potwierdzała, że nie były to jakieś naturalne zakłócenia czy szum w eterze.

Inne jednak były silniejsze i ostatnie analizy przeprowadzone przez Szczep sugerowały, że mogły nawet być naceLOWANE na kurs zbliżania się *Gilgamesza*, jakby Kern wykorzystywała planetę jako dźwiękową trampolinę, by bredzić coś do nich bez sensu. Albo też sama planeta krzyczała do nich.

Planeta krzyczała?

Holsten przetarł oczy. Pracował zbyt długo. Zaczynał dryfować, porzucać racjonalne teorie.

Te przekazy jednak – z początku myślał, że to tylko takie same brednie jak reszta, ale porównał je ze starymi zapisami wiadomości z satelity i próbował potraktować w taki sam sposób, różnicując kodowanie metodą prób i błędów, aż w końcu z szumu coś wyskoczyło, nagle i niespodziewanie, co przypominało właściwą wiadomość. Były to słowa, czy też wmawiał sobie, że odczytał tam słowa. W Imperialnym C, słowa znane z historii, bo martwemu językowi podarowano nowe, zmutowane życie.

Znów przypomniał sobie nowy akcent Alpasha. Te transmisje wyglądały niemal tak, jakby gdzieś tam ktoś mówił barbarzyńską wersją starożytnego języka, zakodowanego tak, jak Kern kodowała swoje transmisje – w zwyrodniałej czy też przetworzonej bądź po prostu zdegenerowanej jego formie.

Rozwikłanie tego było zajęciem dla historyka. Mógł niemal całkiem zapomnieć o kłopotach, w których tkwili, i udawać, iż jest na skraju wielkiego odkrycia, które kogoś będzie obchodzić. *A jeśli to nie jest stek bzdur oszalałego, konającego komputera? Jeśli to coś znaczy?* Jeśli to jednak Kern próbowała do nich przemówić, to najwyraźniej utraciła większość swej osobowości – kobiety/maszyny, z której zrozumieniem Holsten nie miał większych problemów.

A więc co chciała powiedzieć tym razem?

Im dłużej słuchał najczystszych z tych zakodowanych transmisji – tych wysłanych bezpośrednio po kursie zbliżania się *Gilgamesza* – tym bardziej czuł, że ktoś próbuje do niego przemówić z odległości milionów kilometrów, pokonać przepaść zrozumienia, która była o wiele większa. Mógł się nawet oszukiwać, że te fragmenciki frazowania układają się w coś, co przypomina spójną wiadomość.

Trzymajcie się z dala. Nie chcemy walczyć. Zawróćcie.

Holsten wpatrywał się w to. *Czy ja sobie to tylko wyobrażam?* Nic nie było czyste – transmisja była kiepskiej jakości i nic, co jej dotyczyło, nie

pasowało do wcześniejszego zachowania Kern. Jednak im dłużej się temu przyglądał, tym mocniej się upewniał, że była to jednak wiadomość, i to przeznaczona specjalnie dla nich. Znów ktoś ich ostrzegał, tym razem tuzinem różnych głosów. Nawet we fragmentach, których nie był w stanie rozwikłać, wyławiał poszczególne słowa. *Zostawcie. Pokój. W spokoju. Śmierć.*

Zastanawiał się, co właściwie ma powiedzieć Karstowi.

Wreszcie postanowił przespać się z tym chwilę, a po drzemce poczłapał odnaleźć pełniącego obowiązki dowódcy w pomieszczeniu komunikacyjnym.

– Nieźle to poszatkowałeś – powiedział mu Karst. – Odpaliłem drony kilka godzin temu. Według moich obliczeń potrzebują jeszcze dwóch godzin, żeby zrobić swoje, jeśli w ogóle jest to wykonalne.

– Żeby spalić Kern?

– A żebyś, kurwa, wiedział. – Karst wpatrywał się w działające ekrany wokół niego z nawiedzonym, desperackim spojrzeniem zadającym kłam spokojnemu uśmiechowi, który miał na stałe przypięty do twarzy. – No, Holsten, wyrzuć to z siebie.

– Cóż, wiadomość jest przeznaczona dla nas, przynajmniej tego jestem całkiem pewien.

– „Całkiem pewien”? Jebane belfry – rzucił, ale całkiem pogodnie. –

A więc Kern zasypuje nas teraz dziecięcym gaworzeniem i chce, żebyśmy sobie poleciali.

– Nie rozumiem większości, ale te fragmenty, które mają jakiś sens, zdają się uporczywie krążyć wokół tego tematu – potwierdził Holsten. Mówiąc szczerze, nie był zachwycony wynikami prac, jakby w tym ostatnim profesjonalnym wyzwaniu w swej karierze popełnił jakiś szkolny błąd i wszystko zawalił. Miał przed sobą przekazy, sporą ilość materiału wraz z odnośnikami, i cały czas czuł, że znajduje się na granicy przełomu, dzięki któremu wszystko stanie się przejrzyste jasne. Przełom jednak nie następował i teraz nie było czasu, żeby do tego wrócić. Poczuł, że zbyt mocno się przywiązał do sposobu rozumowania Starego Imperium, tak jak wszyscy do tej pory. Gdyby podszedł do tych transmisji z bardziej otwartym umysłem, zamiast próbować je wtłoczyć w schemat wcześniejszych poczynań Kern, co by znalazł?

– A pierdolić ją! – Karst wyraził własną profesjonalną opinię. – Nigdzie się nie wybieramy. Nie mamy już innych możliwości. Musimy tam wylądować,

zresztą tak było od dawna. Mam rację?

– Masz – odparł Holsten głucho. – Dostajesz jakiś przekaz od tych dronów?

– Nie chcę, żeby transmitowały cokolwiek, zanim zbliżą się na tyle, żeby mogły zabrać się do roboty – odpowiedział Karst. – Możesz mi wierzyć, pamiętam, co ta pierdolona Kern potrafi. Nie było cię w tym wahadłowcu, kiedy tak po prostu przejęła stery, pamiętasz? Dryfowaliśmy w przestrzeni tylko z działającymi systemami podtrzymywania życia, a ona robiła z nami, co chciała. Wcale nie było zabawnie.

– A jednak pozwoliła wam wylądować i nas zabrać – przypomniał Holsten. Pomyślał, że Karst naskoczy na niego za ten komentarz, oskarży go, że jest mięczakiem, ale szef ochrony tylko się zamyślił.

– Wiem – przyznał. – I gdybym wiedział, że istnieje jakiś inny sposób... ale ona nie pozwoli nam wylądować na tej planecie, Holsten. Próbowaliśmy, raz za razem. Będzie tam siedzieć, chomikować ostatnią szansę rasy ludzkiej i pozwoli nam zginąć w kosmosie.

Holsten przytaknął. W głowie kołowały mu szeptu z planety nakazujące im odlecieć.

– Mogę nadawać ze statku? To może odwrócić jej uwagę od dronów... bo ja wiem.

– Nie. Z naszej strony całkowita cisza radiowa. Jeśli jest tak stuknięta, że nawet nas nie widzi, to nie mam zamiaru jej alarmować.

Karst nie mógł usiedzieć na miejscu. Sprawdzał, co u jego zastępcy, u starszych stażem członków – szefów? – Szczepu. Chodził w kółko i się gryzł, próbując uzyskać pasywne dane z lotu dronów bez ryzyka alarmowania Kern.

– Naprawdę myślisz, że nie zauważy, jak nadlatują? – zapytał go Holsten.

– Któż to może wiedzieć? Jest stara, Holsten, naprawdę stara, o wiele starsza od nas. Już wcześniej miała nierówno pod sufitem. Może teraz oszalała do reszty. Nie zamierzam dawać jej forów. Mamy jedną szansę, zanim wszystko skrupi się na *Gilu*. Dosłownie jeden strzał. Serio, wiesz, ile zajmuje zasilenie porządnego lasera? I możesz mi wierzyć, to są nasze dwa najlepiej funkcjonujące drony – dziergane i zszywane z kawałków, jakie zdołaliśmy znaleźć. – Zacisnął pięści, walcząc z ciężarem swej odpowiedzialności. –

Wszystko się rozpada, Holsten. Musimy dotrzeć na tę planetę. Statek kona. Ta głupia baza księżycowa, pomysł Guyena – ona też padła. Ziemia...

– Wiem. – Holsten szukał jakichś słów otuchy, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– Szefie – odezwał się jeden ze Szczepu – nadchodzi przekaz od dronów. Zbliżają się do planety i szykują do odpalenia.

– W końcu! – Karst praktycznie wykrzyknął i zaczął się rozglądać. – Który ekran jest najlepszy? Który działa?

Cztery ekrany zabłyśły nowymi obrazami, jeden zamrugał i zgasł, ale pozostałe działały bez zarzutu. Zobaczyli dobrze znaną zieloną kulę – marzenie, ziemię obiecaną. Drony szły śladem orbitalnej ścieżki satelity, pędziły, by ją dopaść i zniszczyć. Nie dbały o to, że mogą zostać zauważone, w odróżnieniu od ludzkich oczu czujnie obserwujących obraz przez ich obiektywy.

Karstowi opadła szczęka. W tej chwili opuściła go nawet skłonność do przeklinania. Chwiejnie wymacał oparcie fotela za plecami, po czym usiadł na nim ciężko. Wszyscy w pomieszczeniu przestali pracować i tylko wpatrywali się w ekran, patrzyli na to, co zrobiono z ich raję.

Satelita Kern nie był jedynym obiektem stojącym na straży planety.

W obwodzie olbrzymia wstęga splecionych lin, festonów i węzłów otaczała planetę na wysokości równika – nie były to satelity, ale powiązana orbitująca sieć rozpięta wokół całego świata. Zabłyśła jasno w świetle słońca, otwierając zielone płatki w stronę gwiazdy układu. Były to tysiące nieregularnych węzłów zaciągniętych w napięte, kanciaste kształty. Panował tam rwetes ciągłego ruchu.

Była to sieć. Jakby jakaś nieopisana groza zaczęła oplatać kokonem planetę przed jej skonsumowaniem. Sieć na geostacjonarnej orbicie wokół planety, a metalowy domek Kern stanowił jedynie kropkę w tej misternej plątanie.

Holstenowi przypomniły się tysiące transmisji ze Świata Kern, ale nie od niej samej. Pomyślał o tych nienawistnych szeptach nakazujących *Gilgameszowi* wykonanie niemożliwego manewru i zawrócenie z drogi. *Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie...*

Drony zakręcały, wciąż szukając satelity Kern, ponieważ oprogramowanie nie przygotowało ich na coś takiego.

– Pajaki... – powiedział wolno Karst. Jego oczy biegały to tu, to tam, desperacko szukając inspiracji. – To niemożliwe. – W jego głosie pojawiła się błagalna nuta.

Holsten tylko patrzył na przepastne wnyki wokół planety, z każdą sekundą notując kolejne szczegóły w miarę zbliżania się do niej dronów. Zobaczył, jak coś się porusza po sieci tam i z powrotem. Zobaczył długie nici sięgające

w kosmos, niczym macki wygłodniałego zwierzęcia złaknionego ofiary. Wydawało mu się, że dostrzega liny sięgające samej planety. Poczłł ciarki na plecach i przypomniał sobie swój krótki pobyt na planecie i śmierć buntowników.

– Nie – mruknał beznamietnie Karst. I znów: – Nie. Jest nasza. Nasza. Potrzebujemy jej. Nie obchodzi mnie, co te maskary z nią zrobiły. Nie mamy dokąd lecieć.

– Co zrobisz? – zapytał Holsten cicho.

– Będziemy walczyć – oznajmił Karst i z tymi słowami wróciło mu zdecydowanie. – Będziemy walczyć z Kern i będziemy walczyć... z tym. Jedziemy do domu, słyszycie mnie? To jest teraz nasz dom. Tylko taki będziemy mieć. I żeby należał do nas, przeoramy to kurewstwo z orbity. Wypalimy ich wszystkich. Wypalimy do cna. Cóż innego nam pozostaje? – Potarł twarz. Kiedy odsłonił oblicze, był już opanowany. – Jasne, muszę się poradzić innych. Co dwie głowy, to nie jedna. Alpash, już czas.

Inżynier skinął głową.

– Czas na co? – zapytał ostro Holsten.

– Czas obudzić Lain – odparł Karst.

7.2 CO ZA STRASZNA BESTIA

Daleko poza niciami, którymi otoczyły planetę, pająki rozwinęły szerszą sieć. Biotechnologiczne receptory w chłodzie kosmosu słyszały komunikaty radiowe, czekały na ich powrót z próżni, wykorzystując zakłócenia grawitacji oraz spektrum elektromagnetyczne – drgania nici zawiadomią ich, kiedy w ich ogródku pojawi się gość.

Przygotowywały się na ten dzień od wielu pokoleń. Cała planeta posiadała styczność koniuszków palców z końcami odnóży, odkąd w końcu przebyły przestrzeń dzielącą ich od Boga. Cała ich cywilizacja zjednoczyła się we wspólnym celu, a celem tym było *przetrwanie*.

Emisariuszka od dawna chciała ich przygotować, ukształtować na swoje podobieństwo i dać im broń, jakiej jej zdaniem potrzebowali, aby móc walczyć. Dopiero kiedy przestała traktować ich jak dzieci – czy małpy – mogła zrobić to, co prawdopodobnie powinna zrobić od początku – przekazać im problem, pozwolić znaleźć rozwiązanie, które było w zasięgu ich umysłów oraz technologii.

Jedną z zalet tego, że Bóg przestał chadzać niezbadanymi ścieżkami, jest to, że cała planeta od tej chwili odnalazła nieobecną do tej pory jedność. Nic tak nie koncentruje zbiorowego umysłu jak groźba całkowitej zagłady. Emisariuszka niezmiernie potwierdziła, że pająki nie mają przyszłości, jeśli pozwoli się *Gilgameszowi* wrócić. Przeszukiwała skleconą z fragmentów kolekcję historii swego gatunku i znalazła jedynie ciąg zniszczeń: jej gatunek zdewastował faunę na Ziemi, zaczął trzebić odnogi własnego rodzeństwa w królestwie zwierząt, a na koniec, kiedy nie pozostał żaden wróg pod ręką, zwrócił się przeciwko sobie. Rodzaj ludzki nie toleruje konkurencji. Wyjaśniła im to – nawet ze strony tych podobnych do niego.

Odtąd przez pokolenia polityczna jedność pajęczych miast rozpoczęła pracę nad tym olbrzymim orbitalnym tworem za pomocą wszelkich dostępnych narzędzi. Pająki weszły w wiek podboju kosmosu z desperackim wigorem.

I teraz Bianca patrzy w ciemniejące niebo na niewidoczną sylwetkę Wielkiej Gwiazdnej Sieci, orbitalnego miasta, i woli, aby to nie nastąpiło za

jej życia.

Wróg nadciąga.

Nigdy nie widziała tego wroga, ale wie, jak wygląda. Wyszukała starożytne Zrozumienia zachowane przez stulecia, które sięgają czasów, kiedy jej gatunek stanął oko w oko z zagładą za sprawą żuwaczek o wiele bardziej zrozumiałego przeciwnika. Ponieważ podczas podboju superkolonii mrówek przedstawiciele gatunku Bianki napotkali coś – co jak wie teraz – nazywa się człowieczeństwem. W tamtych czasach zawitali do nich giganci.

Widzi przez dawno zapomniane oczy odległej krewnej schwytanego potwora, który spadł z nieba – nie za sprawą Emisariuszki, jak wierzono, ale z tej nadciągającej na nich grozy. Nie wiedzieli wtedy, że był to zwiastun końca.

Trudno uwierzyć, że takie wielkie, ociążałe stworzenia są istotami myślącymi, ale najwyraźniej tak właśnie było. Więcej niż myślącymi. Te stwory – tak jak Emisariuszka niegdyś – należą do pierwotnej rasy starożytnych astronautów odpowiedzialnych za wszystkie przejawy życia, jakie rozwinęły się na planecie Bianki. A teraz wracają, by naprawić swój błąd.

Bianca rozmyśla i nawet nie zauważa, jak kapsuła napędzana sztucznymi fotosyntezującymi autonomicznymi mięśniami wynosi ją poza obszar aglomeracji Siedmiu Drzew aż do najbliższego punktu kotwicznego. Wysiada z niej, czując wielką otwartą przestrzeń wokół siebie. Większość jej świata cechuje klimat tropikalny i wciąż jest on porośnięty lasem, który stanowi źródło pożywienia, rezerwat zwierzyny służy do pozyskiwania materiału na rusztowania, za których pomocą jej gatunek buduje miasta. Jednak obszary wokół kotwicznych punktów wznoszenia są pozbawione drzew i Bianca widzi wielki namiot o jedwabnych ścianach wysokich na kilkadziesiąt metrów zbiegających się stopniowo w górze, tak wysoko, że jej wzrok tam nie sięga. Ona jednak wie, dokąd biegnie: cały czas w górę, wychodzi poza atmosferę i jeszcze dalej, aż wąska lina dociera do połowy łuku księżyca. Równik jest cały nimi opleciony.

Baloniarze z dawnych czasów mieli rację: istniała łatwiejsza droga, by wyjść poza grawitację planety i dostać się na orbitę – wystarczyło tylko upleść odpowiednio mocną nić.

Bianca spotyka się z asystentami, podporządkowaną grupą pięciu samic i dwóch samców. Pędzą razem do kolejnej kapsuły, która porusza się na nieco

bardziej skomplikowanych zasadach wykorzystanych na dużą skalę. Niewyobrażalnie daleko znajduje się bliźniaczy ciężar, teraz opadający w stronę powierzchni planety. W oparciu o reguły matematyczne, z jakimi gatunek Bianki był od wieków za pan brat, ich kapsuła rozpoczyna długi wjazd.

Bianca jest generałem, strategiem. Zajmie miejsce pośród tętniącej życiem społeczności znanej pod nazwą Wielkiej Gwiazdnej Sieci, by opracować plan obrony planety przed obcymi najeźdźcami – Gwiazdnymi Bogami. Jest w pełni odpowiedzialna za przeżycie swego gatunku. Wiele świątlejszych umysłów stworzyło plan, który będzie starała się przeprowadzić, ale to jej decyzje zaważą na sukcesie bądź klęsce.

Podróż w górę jest długa i Bianca ma mnóstwo czasu na refleksję. Wróg, któremu muszą stawić czoło, jest dzieckiem technologii, jakiej ona nie pojmuje, wykraczającej poza wyobraźnię największych umysłów jej gatunku, która wykorzystuje metal, ogień i błyskawice, wszystkie narzędzia mściwych bóstw. Ona ma do dyspozycji słaby jedwab, biochemię i symbiozę gatunków oraz męstwo tych, których życie powierzono jej pieczy.

W zatroskaniu cały czas plecie i rozrywa, plecie i rozrywa, podczas gdy wraz z towarzyszami sunie w górę w stronę ziejącej czerni kosmosu oraz połyskliwej konstrukcji stanowiącej najwyższy architektoniczny triumf jej nacji.

Już na orbicie, na opasującej glob trójwymiarowej strukturze zwanej przez nich Wielką Gwiazdną Siecią, Portia przygotowuje się do walki.

Wielka równikowa sieć jest usiana siedliskami, powiązаныmi ze sobą, które pną się w górę albo schodzą poniżej. Tak teraz wygląda styl życia pajaków, do którego zaadaptowały się bardzo szybko. Są gatunkiem, który jest idealnie przystosowany do ciągłego obiegania planety. Są urodzonymi wspinaczami i doskonale orientują się w trzech wymiarach. Potężne tylne odnóża dają im zdolność skakania do miejsc, które ich bystre oczy i umysły potrafią bezbłędnie zlokalizować, a jeśli popełnią błąd, zawsze mają linę ratunkową. W przedziwny sposób, nad czym zastanawia się od dłuższego czasu Portia i inni, są przystosowani do życia w kosmosie.

Stare, niewygodne kombinezony, w których dawni baloniarze wychodzili w górne partie atmosfery, są już przeszłością. Portia i jej załoga przemierzają próżnię na rozpiętej sieci szybko i skutecznie, wykonując manewry

pozwalające przygotować się do nadchodzącego starcia. Kombinezony opasują ich korpusy – płucotchawki otrzymują chemicznie wytwarzany tlen, który nie musi już być zamykany w zbiornikach. Przy ich wyszkoleniu, technologii i stosunkowo niewymagającym metabolizmie mogą całymi dniami przebywać w kosmosie. Chemiczny ogrzewacz wraz z miniaturowym radiem jest przymocowywany pod odwłokiem. Maski z okularem chroni oczy i otwór gębowy. Na odwłoku ich kładzółki przednie łączą się z urządzeniem, które chemicznie produkuje niezwykle wytrzymały jedwab, jaki można wytwarzać w próżni. No i są wyposażone w plecaki z ustawnymi dyszami pozwalającymi na bezgłośny lot w próżni.

Ich pancerze pokrywa przezroczysta cienka warstwa, która zapobiega dekompresji, utracie wilgotności, nie upośledzając zmysłu dotyku. Końcówki odnóży są spowite izolacyjnymi rękawami chroniącymi przed utratą ciepła. Są idealnymi astronautami i żołnierzami.

Przechodząc z liny na linę, bez wysiłku szacowały odległość każdego skoku, są szybkie, zwinne i całkowicie skupione.

W końcu pojawił się wróg, tak jak przepowiadała Emisariuszka. Idea świętej wojny jest im obca, ale nadciągający konflikt ma wszystkie jej znamiona. Istnieje starożytny wróg, o którym wiedzą, że zaneguje ich prawo do istnienia, jeśli nie będą się bronić. Istnieją rodzaje broni, których nie są w stanie sobie wyobrazić, choćby bardzo się starali. Emisariuszka zrobiła, co w jej mocy, by wysłać im techniczne i wojskowe specyfikacje broni dostępnej rodzajowi ludzkiemu. Przytłaczające wizerunki otrzymane od niej stanowią przerażający, boski arsenał i Portia nie ma złudzeń. Największym atutem jej ludu jest fakt, że najeźdźcy chcą zagarnąć ich planetę, by na niej zamieszkać – najgorszy rodzaj ziemskiej technologii wojennej nie może zostać użyty w tej walce, bo inaczej cały konflikt stałby się bezprzedmiotowy.

Ale jest jeszcze bardzo wiele nieznanymi rodzajów broni, które mogą być w posiadaniu *Gilgamesza*.

Pająki zrobiły, co mogły, na przestrzeni wielu pokoleń, rozważywszy zagrożenie, i przygotowały najlepszą technologiczną i filozoficzną odpowiedź.

Jest też armia – Portia to jedna z setek, które znajdują się na pierwszej linii ognia, jedna z dziesiątek tysięcy, które najpewniej staną do walki. Zginą, wielu z nich, albo przynajmniej tego się od nich oczekuje. Stawka jest jednak bardzo wysoka: życie pojedynczego pająka jest niczym w obliczu wojny, a jeśli istnieje słuszna sprawa, to ta wojna toczy się o nią jak najbardziej. Na szali

leży przetrwanie całego gatunku w całej ewolucyjnej historii planety.

Słyszała, że Bianca też zmierza na górę. Wszyscy są oczywiście uradowani, że dowódca ich globalnej obrony będzie tu razem z nimi, ale już sam fakt, że ich przywódczyni *jest w drodze*, poprawia morale. W końcu nadszedł ten moment. Zaczęła się bitwa o spokojne jutro. Jeśli przegrają, nie będzie dla nich przyszłości – po przegranej walce o przyszłość cała przeszłość zniknie bez śladu. Wszechświat zatoczy koło, ale będzie tak, jakby nigdy nie istnieli.

Portia wie, że wielkie umysły jej gatunku rozważały użycie rozmaitych rodzajów broni i rozpatrywały wiele planów obrony. Musi przyjąć na wiarę, że przekazana jej strategia jest najlepsza – najprostsza w zastosowaniu i najbardziej dopuszczalna.

Wraz ze swoim oddziałem obserwuje inne grupy żołnierzy nadciągające i przeskakujące z innych fragmentów sieci. Jej oczy wędrują ku niebu. Nad głowami widać nową gwiazdę, która samym swym pojawieniem się zwiastuje straszliwy kataklizm i zniszczenie. W tych przewidywaniach nie ma krzty zabobonnej astrologii. Naprawdę zbliża się kres, chwila, w której wielkie koło historii przetacza się, miażdżąc wszystko po drodze.

Nadciągają ludzie.

7.3 DZIEWICA, MATKA, STARUSZKA

Jak to: „obudzić Lain”?

Karst i Alpash odwrócili się do Holstena, starając się odczytać jego nagle zmienione oblicze.

– Zdziwiony? – spytał zaskoczony szef ochroniarzy.

– To ona żyje? – Holsten zacisnęła palce, walcząc z chęcią złapania ich za wytarte mundury i potrząśnięcia nimi mocno. – Dlaczego nikt... dlaczego mi nie... dlaczego budzicie ją dopiero teraz? Dlaczego nie ona tu dowodzi?

Karst wyraźnie się nadał na takie dictum, ale Alpash szybko wkroczył.

– Babki nie budzi się ot, tak sobie, wydała precyzyjne dyspozycje. Tylko w chwili najwyższej konieczności – według jej słów. Powiedziała nam: kiedy się obudzę, chcę się przejść po zielonej planecie.

– Tak powiedziała, co? – rzucił Holsten.

– Powiedziała mojej matce, kiedy ta była jeszcze bardzo młoda – odparł inżynier, bez problemu mierząc się z wyzywającym spojrzeniem Holstena. – Ale to zostało zapisane. Mamy zapiski wielu późniejszych wypowiedzi Babki.

– Nachylił się nad konsolą i przywołał do życia ekran, który budził się z ociąganiem. – Powinniśmy już iść. Dowódco...?

– Jasne, cóż, będę tu stał na warcie, dobrze? – powiedział Karst wciąż wyraźnie zatroskany. – Wybudźcie babeczkę, postawcie ją na nogi i dajcie znać. Przedstawcie jej sytuację i powiedzcie, że razem z Vitas musimy się naradzić.

Alpash poszedł w głąb statku, gdzieś poza pomieszczenie podstawowej załogi i większość pomieszczeń mieszkalnych znanych Holstenowi. Klasyk popędził za nim, nie chcąc zostawać z Karstem, nie mówiąc już o zgubieniu się w zaludnionych, obdartych ze wszystkiego pomieszczeniach *Gilgamesza*. Wszyscy opowiadają o powolnym rozpadzie, o kanibalizmie statku, którego mniej istotne części i systemy są wyrywane z korzeniami, by naprawić usterki urządzeń o najwyższym priorytecie. Ściany straszą otworami ukazującymi kości statku. Ekran szumią i śnieżą albo zieją czarną pustką. To tu, to tam widać pochylone grupki Szczepu, którego zadaniem jest stałe utrzymywanie

statku w jako takiej kondycji pomimo ciągłych sytuacji kryzysowych. Siedzą tak w kręgach, mrucząc jakieś zaklęcia niczym kapłani.

– Skąd w ogóle wiecie, jak naprawiać statek? – To pytanie Holsten skierował do oddalających się pleców Alpasha. – Minęło... nie wiem, jak długo to trwa. Od śmierci Guyena, bo ja wiem? A wy myślicie, że uda się wam utrzymać statek w odpowiednim stanie? Tylko usuwając...? Co wy w ogóle...? Uczycie się instrukcji obsługi statku na pamięć?

Alpash spojrział na niego przez ramię, marszcząc brwi.

– Myśli pan, że nie wiem, co ma na myśli dowódca, mówiąc „Szczep”. Tak samo szefowa działu nauki. Lubią traktować nas jak prymitywów, jak osoby niższego rzędu. My natomiast jesteśmy zobowiązani do okazywania szacunku ich – waszej – władzy jako naszym prekursorom. Tak nakazała Babka. To jest jedno z naszych praw. Ale niczego nie robimy „na pamięć”. Uczymy się od was wszystkiego, od najmłodszych lat. Zachowaliśmy podręczniki, materiały i moduły edukacyjne. Babka nam to zapewniła. Myśli pan, że bylibyśmy w stanie coś zrobić, gdybyśmy *nie rozumieli*? – Zatrzymał się wyraźnie wzburzony. Holsten najwidoczniej dotknął czułego punktu już i tak mocno naruszonego przez innych członków podstawowej załogi. – Pochodzimy od tych, którzy oddali życie, całe swoje życie, by ratować ten statek. To było i jest naszym zadaniem, które podejmujemy, nie licząc na nagrody czy zwolnienie z tego obowiązku. To niekończąca się warta przy serwisowaniu *Gilgamesza*, aż do chwili wylądowania na obiecanej planecie. Moi rodzice, rodzice ich rodziców, wszyscy dokonywali cudów, żeby dopilnować, aby pan i wszyscy inni w ładowni statku mogli żyć dalej, tyłu, ilu udało się nam uratować. I najwyraźniej sprawia wam przyjemność nazywanie nas Szczepem i uważanie za dzieci i dzikusów, ponieważ my nigdy nie widzieliśmy Ziemi na własne oczy.

Holsten podniósł pojednawczo dłonie.

– Przepraszam. Mówiłeś to Karstowi? No bo przecież on jest od was zależny. Moglibyście... wysuwać żądania.

Alpash spojrział na Holstena z niedowierzaniem.

– W takiej chwili? Kiedy przyszłość naszego domu – naszego nowego i starego domu – wisi na włosku? Uważa pan, że to dobry moment na kłótnie?

Przez chwilę Holsten przyglądał się młodzieńcowi, jakby należał do całkowicie nowego gatunku człekokształtnych, od którego dzieliła go wielka poznawcza przepaść. Wrażenie to minęło, a on się otrząsnął.

– Dobrze zrobiła, wprowadzając te wasze prawa – mruknął.

– Dziękuję. – Alpash najwyraźniej potraktował to jako uznanie całej jego kultury czy też tego, co rozwinęło się w ich dziwnym, klaustrofobicznym społeczeństwie. – I teraz będę mógł przynajmniej ją poznać, na koniec tego wszystkiego.

Weszli do obszernego pomieszczenia, które Holsten od razu rozpoznał, widząc podium na jego końcu, gdzie wciąż straszyły resztki popsutej maszynierii. To tutaj przebywał Guyen w drodze do wieczności. To tutaj przodkowie Alpasha walczyli u boku swej wojowniczej królowej i ekipy ochroniarzy Karsta – niektórych wybudzono ostatnio, tych, którzy posiadali wciąż żywe wspomnienia o wydarzeniach, jakie dla Alpasha musiały być częścią jakiejś dziwnie wypaczonej legendy.

Pojedynczy ekran wisiał pod kątem na wyrwanych bebechach urządzenia do zgrywania mózgu, mrugając złowrogo rozproszonymi odłamkami obrazu. *Jakby duch Guyena nadal tam tkwił uwięziony w maszynie*, pomyślał Holsten. Niemal natychmiast wydało mu się, że widzi, przez jedno mgnienie, zniekształcone furią oblicze dawnego dowódcy powykręcane w gnących się pasach na ekranie. A może były to rysy Avrany Kern ze Starego Imperium. Drżąc na całym ciele, pognął za Alpashem.

Z dużego pomieszczenia wychodziło się do składu, jak podejrzewał. Teraz przechowywano tu tylko jedną rzecz – komorę zawieszenia. U stóp piedestału leżało kilka przedmiotów – zatopione w plastiku obrazki przypominające kobiecą postać, ofiary złożone przez jej przybrane dzieci i dzieci ich dzieci ku czci matki-strażniczki rasy ludzkiej. Nad nimi zobaczył dowody desperackiej nadziei i wiary w postaci poupychanych wszędzie kawałków oddartych z mundurów i kombinezonów, gęsto zapisane. Była to świątynia żywej bogini.

Nie tylko żywej, ale też obudzonej. Alpash i dwójka młodych inżynierów cofnęli się z szacunkiem, kiedy Isa Lain odzyskała równowagę, opierając się o metalowy słup.

Była bardzo słaba i krucha, a jej poprzednia korpulentna sylwetka znikła bez śladu i pozostała tylko obwisła skóra, pomarszczona i zwiotczała. Niemal łyśa czaszka była poznaczona plamami wątrobowymi, a dłonie przypominały szpony ptaka niemal pozbawione mięśni. Stała, garbiąc się na tyle mocno, że Holsten zastanawiał się, czy nie zmodyfikowali komory zawieszenia, pozwalając jej długo spać na boku. Kiedy jednak spojrzała na niego, w jej oczach zobaczył dawną Lain, bystrą, dowcipną i sardoniczną.

Gdyby powiedziała: „Cześć, staruszk”, jak to miała w zwyczaju, Holsten nie był pewien, czyby to zniósł. Ona jednak tylko skinęła głową, jakby pojawienie się tu Holstena Masona wyglądającego jak jej wnuk było najoczywistszą rzeczą pod słońcem.

– Przystań się wreszcie gapić – warknęła chwilę później. – Sam nie wyglądasz najlepiej, więc nie dokazuj.

– Lain... – Zbliżył się do niej ostrożnie, jakby silniejszy podmuch powietrza mógł jej zaszkodzić.

– Nie ma czasu na flirty, kochaneczku – powiedziała oschle. – Słyszałam, że Karst wszystko spierdolił, a teraz my musimy ratować rasę ludzką.

I wtedy rzucił się do niej, żeby ją objąć, i poczuł, jak jej kruche, kościste ciało zdrząło nagle od przypływu emocji i wspomnień.

– Puść mnie, ty byku – mruknęła cicho, ale nie zrobiła nic, by go odepchnąć.

– Po prostu cieszę się, że wciąż jesteś z nami – wyszeptał.

– Przynajmniej na jeszcze jedno rozdanie – przyznała. – Naprawdę miałam nadzieję poczuć zdrowe przyciąganie ziemskie i przyzwoite światło słoneczne na twarzy, kiedy mnie znów wyciągną z tego pudła. Czy oczekiwałam zbyt wiele? Najwyraźniej tak. Nie mogę uwierzyć, że będę musiała odwalać robotę za Karsta.

– Nie bądź dla niego zbyt surowa – ostrzegł ją. – Sytuacja jest... bezprecedensowa.

– Pozwól, że ja to ocenię. – W końcu strząsnęła go z siebie. – Klnę się na wszystko, czasami mam wrażenie, że jestem jedyną kompetentną osobą w tym towarzystwie. Myślę, że tylko to trzyma mnie przy życiu. – Chciała przejść obok niego, ale potknęła się przy pierwszym kroku, dlatego jej kolejny krok był zdecydowanie mniej zamaszysty i musiała się oprzeć na lasce. – Nigdy się nie starzej – mruknęła. – Nie starzej się i dobrze się wysypiaj, to podstawa. Masz wtedy sny jak nastolatek. Zapominasz, do czego musisz wrócić. Możesz mi wierzyć, to przewalone.

– W zawieszeniu się nie śni – poprawił ją Holsten.

– No proszę, pierdolony ekspert. – Spojrzała na niego wilkiem. – A może już mi nie wolno przeklinać, co? Nie spodziewaliście się chyba jakiegoś jebanego *decorum*? – Za jej buntem kryła się straszliwa desperacja kobiety, która zawsze była w stanie fizycznie narzucić światu swoją wolę, a teraz musiała prosić świat o pozwolenie na istnienie, pozwolenie na używanie

swojego ciała.

Holsten wprowadził ją w rozwój najnowszych wypadków po drodze do Karsta. Widział, jak konsekwentnie układa wszystko w całość, nie wahała się też mu przerywać i prosić o uściślenie.

– Te transmisje... Naszym zdaniem naprawdę pochodzą z planety? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. To... to wyjaśnia, dlaczego większość z nich jest całkowicie niezrozumiała, jak sądzę. Zupełnie nie przypomina tego, co brzmiało jak Imperialny C, więc może to jest jednak Kern.

– Próbowalesz rozmawiać z Kern?

– Karst zrobił wszystko, żeby był to atak zaskoczenia.

– Jakie to subtelne z jego strony – warknęła. – Myślę, że nadszedł czas, by pogadać z Kern, co? – Zamilkła, dysząc ciężko. – A wiesz, zróbmy to od razu. Miejmy to za sobą. Kiedy dojdziemy do centrum komunikacyjnego, opieprzę Karsta jak należy. Możesz pierdolić z Kern o głupotach, żeby się dowiedzieć, co sądzi. Może nie lubi, jak obłążają ją pająki. Może teraz jest naszą sojuszniczką. Nie dowiemy się, póki nie zapytamy.

Cechowało ją wciąż to samo zdecydowanie, które przywarło do niej niczym strzępy niegdyś wspaniałego stroju, tak że aż Holstena opanowało chwilowe uniesienie, ale kiedy dotarła na miejsce i zobaczyła przekaz z dronów, jej nastrój zmienił się natychmiast. Lain zatrzymała się w drzwiach i przerażona wpatrywała w ekran, zagubiona, podobnie jak wszyscy pozostali. Przez moment oczy wszystkich skupiały się na niej i gdyby w tej chwili oznajmiła, że to przegrana sprawa, nie byłoby ani jednej osoby gotowej podjąć wyzwanie.

Ale to w końcu Lain. Przetrwiała, walczyła – czy to z pająkami, satelitami czy z samym czasem.

– Kurwa mać – rzuciła soczyste przekleństwo i powtórzyła je kilkakrotnie, jakby czerpała z niego siłę. – Holsten, łącz się z Kern. Karst, ściągnij tu Vitas, a potem możesz zacząć mi pierdolić za uszami, co mamy zrobić z tym bajzlem.

Mając komunikatory do dyspozycji – tuż po tym, jak Alpash wyjaśnił kilkanaście obejść, jakie wprowadzili inżynierowie, by zapewnić stabilność systemu – Holsten zastanawiał się, co mógłby nadać. Miał częstotliwość satelity, ale przestrzeń wokół planety wręcz tętniła głosami szepczących duchów – słabymi transmisjami, które nie były, musiał to teraz przyznać, sygnałami odbitymi od planety.

W tych okolicznościach, bo sytuacja była nietypowa, próbował wykrzesać z siebie coś w rodzaju nabożnej czci. Stać go było tylko na wyświechtane przerażenie.

Zaczął tworzyć wiadomość w swym nieskazitelnym Imperialnym C, martwym języku, który najwyraźniej miał zamiar przetrwać rasę ludzką. *Tu statek-arka Gilgamesz, do doktor Avrany Kern...* Zawahał się: *Czy potrzebuje pani pomocy?* W jego umyśle kotłowały się zupełnie absurdalne propozycje. *Doktor Kern, pająki panią oblaży.* Wziął głęboki wdech.

Tu statek-arka Gilgamesz, do doktor Avrany Kern. I, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, ona znała ich i oni znali ją. W końcu byli starymi wrogami. *Nie mamy innej możliwości, musimy wylądować na pani planecie. Chodzi o przetrwanie rasy ludzkiej. Proszę potwierdzić, że nie będzie nam pani przeszkadzać.* Było to podłe błaganie. Wiedział o tym, nawet kiedy posyłał wiadomość z prędkością światła w stronę planety. Co mogła powiedzieć Kern, co by ich zadowoliło? Co on mógł powiedzieć, by odwieść ją od jej wariackiego celu?

Zjawiła się Vitas i wraz z Karstem i Lain zaczęli się naradzać, dyskutując o ważnych sprawach, podczas gdy Holsten wciąż puszczał ten bełkot w kosmos.

Wtedy przyszła odpowiedź czy też coś w rodzaju odpowiedzi.

Została wysłana z miejsca na sieci, gdzie Karst zlokalizował satelitę, i była o wiele wyraźniejsza niż rachityczne transmisje, które do tej pory analizowali. Nie mieli wątpliwości, że została wysłana i była przeznaczona dla *Gilgamesza*. Jeśli była to Kern, to przepadła w swych komputerach z kretesem – nie był to jej dosadny starożytny język, ale raczej dziwaczny prawie-imperialny, który Holsten słyszał wcześniej, płątanina bzdur i strumieni liter, które wyglądały jak słowa, choć słowami nie były, a pośród nich tkwiły pojedyncze wyrazy, nawet fragmenty zdań, jakby analfabeta małpował z pamięci niezrozumiały zapis. Analfabeta z dostępem do radia i umiejętnością kodowania sygnału.

Wysłał wiadomość jeszcze raz, tym razem prosząc Elizę o odpowiedź. Co miał do stracenia?

Odzew był mniej więcej taki sam. Porównał go z poprzednim przekazem – te same powtórzone fragmenty, niektóre nowe, lecz obecnie jego zawodowe oko dostrzegło pewne powtarzające się wzorce w tych fragmentach, których nie był w stanie zinterpretować. Kern próbowała mu coś powiedzieć. Czy też

raczej coś próbowało. Zastanawiał się, czy chodziło tylko o zwykłe „idźcie sobie”, a jeśli tak, to czy ostrzeżenie było skierowane do nich. Zawróćcie, zanim będzie za późno.

Ale dla nich nie było drogi odwrotu. Teraz podróż mogła odbywać się wyłącznie w jedną stronę, jedynie do potencjalnego punktu przeznaczenia znajdującego się w ich zasięgu.

Rozwahał, co mógłby nadać, żeby wstrząsnąć Kern i zmusić do w miarę zrozumiałej odpowiedzi. A może Kern również stała się zepsutą maszyną? Czyżby nadchodził kres dla wszystkich wytworów rąk ludzkich, podobnie jak dla samych ludzi?

To było wręcz nie do przyjęcia, że wszechświat zostanie w dyspozycji twórców sieci spowijającej planetę, hordy bezdusznych pełzających potworów, które nigdy nie poznają trudności i męczarni, z jakimi musiała się zmierzyć biedna ludzkość.

Nadano nową wiadomość na tej samej częstotliwości. Holsten słuchał jej od niechcienia – nie naśladowano w niej nawet języka, był to jedynie ciąg kodów numerycznych.

Poczuł wstyd, bo to *Gilgamesz* rozpoznał wiadomość, a nie on. Był to sygnał, który dawno temu wysyłała Kern w kierunku planety. Był to jej test IQ dla małąp.

Nie wgłębiając się zbyt w swoje motywy, Holsten stworzył odpowiedź – pod koniec z pomocą *Gilgamesza* – i odesłał ją do nadawcy.

Zasypała ich kolejna fala pytań – tym razem nowych.

– Co to ma być? – Lain stanęła u jego boku jak za starych czasów.

Gdyby się nie obejrzał, mógłby sobie wmawiać, że wcale nie upłynęło tak dużo wody, odkąd pierwszy raz zaczęli grać w tę grę.

– Kern nas testuje – powiedział jej. – Może chce sprawdzić, czy jesteśmy godni?

– Poddając nas egzaminowi z matematyki?

– Nawet w najlepszych chwilach w tym, co robiła, nie było większego sensu. Więc dlaczego nie?

– W takim razie podaj jej rozwiązania. No już.

Holsten tak zrobił – okazało się, że stworzenie odpowiedzi przebiegło o wiele szybciej, kiedy znikł problem zagłębiania się w kwestie językowe.

– Oczywiście nie mamy pojęcia, o co tu chodzi – zauważył.

– Ale wciąż możemy mieć nadzieję, że jest w tym jakiś cel – odparła

zwięźle.

Holsten miał świadomość obecności Vitas i Karsta, którzy trzymali się z tyłu, ale z niecierpliwością chcieli wrócić do rozmowy o planowanej ofensywie.

Nie było trzeciej tury egzaminu. Dostali za to kolejną dawkę irytującego przekazu w podrabianym Imperialnym C, który Holsten już widział. Przeanalizował to szybko, przepuszczając przez swoje dekodery oraz programy rozpoznające wzorce językowe. Wiadomość zdawała się prostsza niż wcześniej i powtarzało się w niej więcej wzorów. Dotarło do niego zdanie: *to jak rozmowa z dzieckiem*, i doświadczył kolejnego z tych wzbudzających zamęt momentów, w których zastanawiał się, kto czy co mówi do niego z tej odległości. *Przecież to Kern? Ale Kern pisała dziwnie – dziwniej – za sprawą wykoślawiających przekaz efektów czasoprzestrzeni.* Ale choć niewielka strażnica Kern była źródłowym punktem sygnału, intuicja podpowiadała mu, że jest coś więcej.

– Potrafię zidentyfikować często używane słowa – oznajmił chrapliwie po tym, jak wraz z zestawem programów zakończył prace. Nie potrafił pozbyć się drżenia w głosie. – Odkryłem coś, co jest z całą pewnością formą czasownika „zbliżać się”, i słowo „blisko” oraz inne, które powiązałbym z „pozwoleniem” albo „zgoda”.

To oświadczenie wywołało chwilę zamyślenia u obecnych, na co w pełni zasługiwało.

– W takim razie zmieniała się ich śpiewka – zauważył w końcu Karst. – Mówiłeś, że wcześniej było tylko ciągiem „odpierdolcie się”.

– Tak – zgodził się Holsten. – Teraz to się zmieniło.

– Ponieważ Kern jest w desperackiej potrzebie i chce wykorzystać nasze umiejętności matematyczne? – zapytał szef ochrony.

Holsten otworzył usta, ale zaraz je zamknął, nie chcąc ujawniać swoich podejrzeń.

Lain zrobiła to za niego.

– Jeśli to w ogóle jest Kern.

– A niby kto? – W głosie Karsta było jednak słycać nutę, która świadczyła o tym, że nie jest całkiem tępym narzędziem.

– Nie ma dowodu na to, że oprócz Kern istnieje tam coś, co jest w stanie nadawać – rzuciła ostro Vitas.

– A co powiesz na to? – Holsten dźgnął palcem w ekran wciąż pokazujący

obrazy z drona.

– Nie możemy nijak sprawdzić, co zaszło na tej planecie. W końcu był to eksperyment. Być może to, co widzimy, to aberracja, tak jak w przypadku szarej planety porośniętej grzybami. Chodzi o to, że satelita Kern wciąż tam jest i stamtąd pochodzi sygnał – oznajmiła Vitas z uporem.

– Albo może to też być... – zaczęła Lain.

– Możliwe. – Vitas przerwała jej w pół zdania. Sama sugestia była dla niej odrażająca. – Ale to niczego nie zmienia.

– Jasne – poparł ją Karst. – Znaczy nawet jeśli oni – ci od Kern – mówią: jasne, lądujcie, to co mamy robić? No bo jeśli dalej ma ten swój złom, może nas przeciąć na pół, kiedy tylko sięgniemy orbity. A to dopiero początek, bo nie mówimy nawet o tym pełzającym bajzlu i co *on* może nam zrobić. No bo, jeśli to coś wyrosło na tej planecie, cóż, to jest owoc eksperymentu Kern, no nie? Może robią to, co ona im każe.

Nastąpiła kłopotliwa cisza i wszyscy czekali, by się przekonać, czy ktoś, ktokolwiek, ma odmienne zdanie, choćby dla zasady. Holsten obracał słowa, by stworzyć zdanie, które nie brzmiałoby jak majaczenia wariata.

– W Starym Imperium była kiedyś taka tradycja... – zaczęła wolno Vitas. – Dawali wybór przestępcom, więźniom. Brali takich dwóch i dawali im wybór. Mogli oszczędzić albo oskarżyć jeden drugiego, ale decyzję podejmowali sami, bez możliwości kontaktu ze sobą. Wszystko kończyło się bardzo dobrze, jeśli obaj postanowili, że chcą się nawzajem oszczędzić, ale nie minęła ich kara, jeśli wzajemnie się oskarżali. Ale jeśli jeden z więźniów postanowił oszczędzić kolegę, a dowiadywał się, że został przez niego oskarżony... –

Uśmiechnęła się i po tym uśmiechu Holsten poznał, że jednak się zestarzała, choć na jej twarzy nie było tego widać – bo unikała pokazywania wyrazu twarzy, nad którym nie panowała.

– A więc jaki był właściwy wybór? – zapytał Karst. – Jak więźniowie na tym wychodzili?

– Logiczny wybór opierał się na stawce, na szacowaniu potencjalnej kary przy różnych wynikach – wyjaśniła Vitas. – Obawiam się, że fakty i stawki w naszym przypadku są bardzo jasne i bezwzględne. Możemy zbliżyć się do planety w nadziei, że teraz jesteśmy, pomijając doświadczenia z przeszłości, mile widziani. Jak mówi Karst, w tej sytuacji jesteśmy bezbronni. Narazimy statek na niebezpieczeństwo, jeśli się okaże, że to tylko sztuczka, albo jeśli Mason po prostu pomylił się w tłumaczeniu. – Jej wzrok spoczął na Holstenie,

szukając oznak sprzeciwu, choć mówiąc szczerze, on sam wcale nie był pewien swoich umiejętności. – Albo zaatakujemy, użyjemy dronów i przygotujemy się na odwet, kiedy *Gilgamesz* dotrze na planetę. Jeśli tak postąpimy, to przy założeniu, że się pomyliliśmy, odrzucimy bezcenną szansę na dogadanie się z tym tworem Starego Imperium. – W jej głosie słychać było szczery żal. – Jeśli wybierzemy rozwiązanie pokojowe i okaże się, że się pomyliliśmy, to już po nas, po nas wszystkich, po całej rasie ludzkiej. Nie sądzę, żebyśmy mogli dyskutować z faktami. Według mnie istnieje tylko jedno racjonalne wyjście.

Karst pokiwał posępnie głową.

– Ta suka nigdy nas nie lubiła – przypomniał. – Nie ma mowy, żeby nagle zmieniła zdanie.

Kilkanaście wieków później i planeta pełna pajków to wcale nie jest nagle, pomyślał Holsten, ale zachował to dla siebie. Lain patrzyła jednak na niego, oczekując, że włączy się do dyskusji. *A więc teraz ludzie nagle chcą słuchać klasyków?* Wzruszył tylko ramionami. Podejrzywał, że jeśli wywołają wojnę z fałszywych pobudek, to straty mogą być o wiele większe, niż uważała Vitas, ale nie mógł zanegować jej słów o całkowitej, totalnej utracie wszystkiego, gdyby zbyt błędnie złączyli się na ścieżce pokojowej.

– Co ważniejsze, logika jest wartością uniwersalną – dodała Vitas, patrząc po twarzach zebranych. – Naprawdę nie ma znaczenia, co czeka na nas na tej planecie. To tylko matematyka, nic ponadto. Nasz przeciwnik staje przed takim samym wyborem, przed takimi samymi dylematami. Nawet jeśli najlepszym rozwiązaniem byłoby powitanie nas z otwartymi ramionami, a dla nas odgrywanie roli porządnego gościa, koszt ewentualnej zdrady byłby zbyt wysoki. Możemy więc zajrzeć naszym przeciwnikom w myśl. Wiemy, że muszą podjąć taką samą decyzję jak my – ponieważ koszt niepotrzebnej walki jest dużo niższy niż koszt wyboru rozwiązania pokojowego i pomyłka. I taka sama logika wpłynie na decyzję tego, co tam jest, czy to ludzki umysł, maszyna czy...

Pajaki? Ale było jasne, że Vitas nie potrafi nawet wypowiedzieć tego słowa, i kiedy Lain zrobiła to za nią, szefowa działu nauki nieznacznie drgnęła.

A więc Vitas nie lubi pajków, skonstatował markotnie Holsten. *Cóż, nie było jej na tej cholernej planecie, prawda? Nie widziała tych rozdętych potworów.* Jego oczy wciąż wpatrywały się w obraz otoczonego siecią świata. *Czy mówimy o istotach myślących? A może Vitas ma rację i to tylko złe*

owoce jakiegoś szalonego eksperymentu – a może jednak dobre owoce? Czy Stare Imperium chciało wyhodować wielkie kosmiczne pająki w jakimś konkretnym celu? Czemu nie? Jako historyk muszę przyznać, że zrobili wiele głupstw.

– No to już – ponaglał Karst. – Mam nacisnąć ten głupi guzik czy nie?

W końcu wszyscy patrzyli na Lain.

Staruszka podeszła ostrożnie kilka kroków, stukając laską w podłogę, i wpatrywała się w pochodzący z kamery drona obraz spowitej w pajęczynę planety. Jej oczy, które widziały mijające stulecia w poszczególnych stopklatkach, próbowały to wszystko ogarnąć. Wyglądała jak kobieta wpatrująca się w oko bezwzględного przeznaczenia.

– Rozwalcie satelitę – zdecydowała w końcu cichym głosem. – Będziemy walczyć. Masz rację, stawka jest zbyt wysoka. Położyliśmy wszystko na szali. Strąćcie ją.

Karst bez zwłoki wydał rozkaz, jakby się obawiał, że ktoś się zawaha albo rozmyśli. Miliony kilometrów dalej na trasie, którą zmierzał *Gilgamesz*, drony otrzymały elektryczny impuls. Już namierzyły metalową pięść satelity, uwięziły ją poruszającą się po równikowej pajęczynie.

Miały na pokładzie najlepsze lasery, jakie Szczep był w stanie odrestaurować, podłączone do reaktorów tych zdalnie sterowanych obiektów. Już zawędrowały tak daleko, jak się dało, kierując się na geostacjonarną orbitę nad uwięzionym satelitą przy minimalnym zużyciu energii.

Wystrzeliły jednocześnie, uderzając w ten sam punkt kadłuba satelity. Gdzieś w oddali Karst cały stężał, choć obraz, który widział na monitorze, zdążył się już zdezaktualizować.

Przez chwilę nic się nie działo, kiedy energia wbijała się w starożytny poobijany kadłub Kapsuły Strażniczej Brin 2. Karst zaciskał pięści, wpatrując się w ekrany, a żyły nabrzmiały mu na czole, jakby jego wola mogła przekroczyć czas i przestrzeń, aby tak się stało.

Nagle z bezgłośnym płomienistym wykwitem, który zniknął niemal w momencie powstania, wwiercające się promienie dosięgły jakichś witalnych części satelity i liczący wiele tysięcy dom doktor Avrany Kern został rozerwany na pół, sieci po obu jego stronach zaczęły się kurczyć i odskakiwać pod działaniem wysokiej temperatury. Wciąż wypluwając zawartość w wygłodniałą pustkę kosmosu, satelita uwolnił się z płątaniny cum,

wypalając dziurę w wielkiej sieci, i wystrzelił z miejsca, gubiąc treść ze swych poszarpanych ran.

Drony wykorzystały całą swoją energię, bo po użyciu laserów ich reaktory wyczerpały się i zaczęły stygnąć. Zaczęły koziółkować na tle wielkiej sieci, by spaść albo podryfować w nieznane.

Satelitę jednak spotkał o wiele bardziej definitywny koniec. Podobnie jak obiekty eksperymentu Kern sprzed wielu, wielu lat, został wyrwany ze swej orbity i wpadł w objęcia grawitacji planety, lecąc spiralnie w atmosferę, gdzie poszybował po niebie niczym stara puszka z jedną starożytną małą w rozerwanym wnętrzu, wysyłając ostatnią wiadomość do mieszkańców śledzących jej lot z wielkim niepokojem.

7.4 KONIEC CZASÓW

Patrzyli, jak płonąc, leci po niebie.

Choć kult Emisariuszki praktycznie nie istniał w tych bardziej oświeconych czasach – po co komu wiara, skoro mieli namacalny dowód określonej natury Boga? – pająki obserwowały ten płonący ogon własnymi oczami albo przez zastępcze oczy swych biologicznych systemów i wiedziały, że coś znika z ich świata. Emisariuszka zawsze była tam w górze. Zachowali wspomnienia odległych, prymitywnych czasów, kiedy światło poruszające się po niebie było zarówno kompasem, jak i inspiracją dla nich wszystkich. Wspominali czasy świetności Świątyni oraz najwcześniejsze kontakty między Bogiem i kongregacją. To coś, co zawsze było częścią ich kulturowej świadomości od najdawniejszych czasów, o czym wiedzieli, że jest starsze od ich gatunku, teraz znikało.

W spokojnym półmroku swej pracowni Fabian odczuwa wstrząs emocjonalny, którego się nie spodziewał. On spośród wszystkich pajaków jest najmniej religijny. Nie ma czasu na rzeczy niepoznawalne, chyba że może je przyszpilić eksperymentami i rozumem, czyniąc je poznawalnymi. A jednak...

Obserwuje na półprzezroczystym ekranie obraz stworzony z tysięcy miniaturowych chromatoforów o różnych barwach, rozciągających się i kurczących, by tworzyć punktowe części dużego obrazu. Głęboko pod ziemią, gdzie znajdują się jego pomieszczenia, nie ma szans, by zobaczyć to na własne oczy. Jest bladym, kanciastym, zaniedbanym przedstawicielem swego gatunku i oglądanie słońca nie jest mu do szczęścia potrzebne – pracuje w swoim rytmie, który niewiele ma wspólnego z cyklem dnia i nocy.

Cóż, odzywa się do swego jedyne go stałego towarzysza, myślę, że to potwierdza wszystko, co nam powiedziałaś.

Oczywiście. Odpowiedź nadchodzi ze ścian, a niewidzialna istota jest wszędzie wokół niczym dobrze znajomy demon. I musicie wziąć odwet przy pierwszej nadarzącej się okazji. Nie dadzą wam większych szans.

Zdaje się, że niedawno grupa połączeniowa odnosiła jakieś sukcesy, zauważa Fabian. Zakrzywione ściany pomieszczenia wokół niego zdają się

kipieć i pełzać – tysiące mrówek dwoi się i troi w gorączkowej tajemniczej krzątaninie, która umożliwia tej kolonii – właściwie superkolonii powstałej po raz kolejny po tak długim czasie – funkcjonować w ten niespotykany sposób.

Nigdy nie mieli szansy na powodzenie. Cieszę się tylko, że pokazano im jednoznacznie intencje wroga. Zastanawiam się jednak, jaką strategię zastosować. Ta pozbawiona ruchów ciała przemowa jest bardzo dziwnym zjawiskiem. Mięśniowe tłoki w ścianach tworzą wibracje symulujące eleganckie kroki pająka. Oczywiście gość porozumiewa się również przez radio, ale tutaj Fabian może z nim rozmawiać, jakby był pająkiem – szczególnie powściągliwą, kapryśną samicą, jego zdaniem, ale pająkiem.

Mówi w tym dziwnym ustalonym języku wymyślonym dawno temu na potrzeby komunikacji między pająkami i ich Bogiem, ale ostatnio stosuje parę widmowych nogogłaszczek na ekranach, by przydać emfazy swym wypowiedziom, przyjmując prymitywną wersję wizualnego języka pajaków. Fabian, który nigdy nie czuł się dobrze wśród pobratymców, uważa gościa za pokrewnego towarzysza. Ta cecha oraz jego niezaprzeczalne umiejętności w dziedzinie tworzenia i wykorzystywania związków chemicznych sprawiły, że wcielił się w tę kluczową rolę. Jest prawą ręką i powiernikiem Emisariuszki, w jej obecnym stanie.

Zastanawiam się, czy na koniec zostało coś ze mnie. Słowa padają wolno, z wahaniem. Z początku Fabian się waha, czy nie nastąpiła kolejna awaria maszynierii albo w warunkowaniu kolonii. Po sekundzie stwierdza, że jest to jedna z tych chwil, kiedy jego towarzyszka wykopuje z niebytu intonację, rytm mowy, które mogły być używane w innej epoce, w innej formie.

Doktor Avrana Kern, tak zwraca się do gościa. Gość nie lubi, jak nazywa go Bogiem czy Emisariuszką. Po długich targach odnaleźli pewną formę rozjemczych ruchów, które zdają się odwoływać do imienia, którym się niegdyś posługiwał. Jest to jedno z dziwactw, którym Fabian z radością folguje. W końcu ma szczególne relacje z Emisariuszką-Bogiem. Jest jej najlepszym przyjacielem. Zapewnia jej sprawne funkcjonowanie i naprawia wszelkie błędy.

Wokół niego w sieci tuneli i komnat, których układ jest stale zmieniany, mieszka kolonia złożona ze stu milionów owadów. Ich interakcje nie są tak błyskawiczne jak w przypadku systemu elektronicznego stworzonego ludzką ręką, ale mózg każdego z nich jest sprawną machiną do przechowywania

danych oraz podejmowania decyzji, a zbiorczej mocy obliczeniowej całej kolonii nawet on nie jest w stanie oszacować. Obliczenia w chmurze owadów – nie prędkość, ale nieskończenie powiększalna rozległość i złożoność. Jest tu więcej miejsca niż potrzeba dla przerzuczonego umysłu Avrany Kern.

Sporo czasu zabrało opracowanie metody, by tego dokonać, ale w końcu ona była tylko zbiorem informacji. Wszystko jest informacją, jeśli się ma odpowiednią pojemność i pamięć zdolną ją pomieścić. Oraz sporo czasu, by skopiować informacje z satelity do kolonii na powierzchni planety. Długo, bardzo długo trwało, nim materiał zaczął się samoistnie porządkować do chwili, w której mógł powiedzieć *jestem*. Ale ten etap mają za sobą, bo mieli na to dużo czasu. Kolonia, w której żyje Fabian i której dogląda, jest ciałem Boga, wcieleniem Emisariuszki.

Fabian nawiązuje radiowy kontakt z jednym z orbitalnych obserwatoriów i sprawdza, gdzie jest wróg. Jego trajektoria potwierdza, że będzie chciał orbitować wokół globu. Teraz należy czekać. Czekają na całej planecie – nie tylko pająki, ale również wszystkie gatunki, z którymi się połączono. Wkrótce znajdą się na linii ciosu, stając oko w oko, w całej swej masie i ze swoją pomysłowością, z gatunkiem, który przyczynił się do ich stworzenia, nie mając nawet takiego zamiaru, a teraz równie bezmyślnie chce je zniszczyć. Są tam pająki, kolonie mrówek, ustonogi w oceanie, rozumne żuki i z tuzin innych o różnych proporcjach intelektu do biologicznego instynktu, wszystkie na swój sposób świadome, że nadchodzi koniec czasów.

Na orbitalnej sieci Bianca nie może już planować. Portia czeka ze swym oddziałem, gotowa walczyć z powracającymi kosmicznymi bogami. Na razie przywierają do swych sieci, a wyostrzone zmysły ich technologii śledzą nadejście końca.

Wielka bryła *Gilgamesza* kończy długi proces hamowania, a jego skatowane dysze walczą, by wyhamować do punktu, w którym prędkość lotu pikującego w stronę planety zostanie przechwycona przez rosnącą grawitację i wepchnie statek na orbitę.

Choć ze swych pomiarów i z relacji Kern znają rozmiary statku wroga, skala *Gilgamesza* budzi u nich nabożny lęk. Więcej niż jeden pająk z pewnością myśli: *Jak mamy walczyć z czymś takim?*

I wtedy broń statku-arki pluje ogniem. Jego lot został tak obliczony, by równikowa sieć znalazła się w celowniku przednich laserów, i w tej krótkiej

chwili *Gilgamesz* wykorzystuje w pełni nadarzącą się okazję. Sieć nie ma środka, żadnego witalnego punktu, w którym precyzyjne uderzenie mogłoby spowodować rozprzestrzeniające się uszkodzenia, dlatego lasery tną jak leci, topiąc nici, przecinając węzły, wyrывая wielkie dziury w całej strukturze. Pająki giną – nagle wystawione na działanie próżni, wyrzucone w przestrzeń albo w kierunku planety, niektóre nawet wyparowują pod wpływem niszczycielskiego gniewu laserów.

Portia odbiera raporty strat, a jednocześnie wraz ze swą grupą przygotowuje się do kontrataku. Wie dobrze, że w kilka sekund stracili pewną liczbę żołnierzy i pewną ilość własnej broni, które znikły w oślepiającym płomieniu. Bianca naradza się z nią, a jej radio wibruje prądem elektrycznym, naśladując taniec rytmu mowy.

Plan bitwy pozostaje niezmienny, potwierdza Bianca. Ma już całkowity obraz strat i tego, co wciąż posiadają. Portia nie zazdrości jej zadania koordynacji wszystkich środków orbitalnej obrony. *Jesteście gotowi?*

Jesteśmy. Portia czuje, jak wzbiera w niej złość i determinacja w obliczu takich zniszczeń. Śmierć, spalenie Emisariuszki, bezrozumna bezwzględność tego wszystkiego rozpala w niej sprawiedliwy gniew. *Teraz im pokażemy*.

Teraz im pokażemy, powtarza Bianca równie zdecydowanie. *Jesteście najszybsi, najsilniejsi, najmądrzejsi. Jesteście obrońcami naszego świata. Jeśli zawiedziecie, to jakbyśmy nigdy nie istnieli. Wszystkie wasze Zrozumienia będą niczym pył na wietrze. Proszę, żebyście cały czas trzymali się planu. Wiem, że niektórzy z was mają skrupuły. Nie pora teraz na to. Wielkie umysły naszej rasy ustaliły, że to trzeba zrobić, jeśli mamy zachować to, kim i czym jesteśmy*.

Rozumiemy. Portia wie, że wielka przesłaniająca gwiazdy bryła statku-arki zbliża się do nich. Oddziały już startują.

Dobrych łowów, życzy im Bianca.

Wszędzie wokół uruchamiają się orbitalne sieci – ich broń. Na każdą z nich składa się zbiór odłamków, skała wciągnięta kosmiczną windą albo przechwycona z próżni, naciągnięta bardzo mocno przez fragment sieci – gwałtownie wypuszczana, ciskana z olbrzymią prędkością w próżnię w stronę statku-arki.

Ale to drobiazgi, myśli Portia. Olbrzymie głazy, które widziała, to nic w porównaniu ze statkiem-arką. Przecież ich osłony muszą być odporne na tego rodzaju pociski.

Pająki jednak nie tylko ciskają kamieniami. Wystrzelone skałki spełniają różne funkcje, ale główną jest odwracanie uwagi.

Portia czuje, jak sieć napina się wokół niej. *Pamiętajcie, żeby wasze liny były właściwie zwinięte*, wysyła wiadomość do swoich. *Będzie ciężko*.

Kilka sekund później wraz ze swoją ekipą zostaje wyrzucona w próżnię na linii, która przetnie się z trasą *Gilgamesza*, kiedy ten wejdzie na stałą orbitę.

Mocno przyciska odnóża do ciała, z początku instynktownie, bo nieopisana fala grozy przetacza się przez jej umysł i grozi, że ją z sobą porwie. Wtedy włącza się wyszkolenie i Portia zaczyna sprawdzać, co z jej żołnierzami. Lecą tyralierą ku ich miejscu spotkania z *Gilgameszem*, ale wciąż są połączeni linami z główną łącznicą, tworząc obracające się koło – jedno z wielu pędzących w stronę statku-arki.

Lasery spaliły kilka pierwszych głazów, rozbijając je w precyzyjnie namierzonych miejscach, by je strącić z nieba. Inne wałą w kadłub statku i odbijają się albo wbijają w burty. Portia widzi przynajmniej jedno miejsce, z którego ucieka powietrze po udanym strzale.

Wraz z ekipą szykuje się na uderzenie. Radio podaje jej ściśle instrukcje, krok po kroku z kolonii obliczeniowych na orbitalnej pajęczynie, aby pomóc im spowolnić lot za pomocą niewielkich silników raketowych z odrobiną paliwa napędowego. Portia wie, że to będzie podróż w jedną stronę. Jeśli zawiodą, nie będzie do czego wracać.

Zwalnia na tyle, na ile może, wyplatając więcej liny ze środka sieci, by odlecieć dalej od swych sióstr. Rozpościera odnóża i ma nadzieję, że uda się jej wytracić pęd.

Ląduje fatalnie, bo nie udaje się jej zaczepić haczykami rękawic i odbija się od kadłuba *Gilgamesza*. Pozostałym z jej drużyny poszło znacznie lepiej i przywierają do powierzchni sześcioma odnóżami, pociągając za sobą pechowców, włącznie z Portią. Jedna ma szczególnego pecha, bo ląduje pod kątem i tłucze maskę. Ginie, wierzgając spazmatycznie, a jej żalosne krzyki niosą się do jej towarzyszek po metalowym kadłubie.

Nie ma jednak czasu na sentymenty. Jej ciało zostaje przymocowane do kadłuba siecią, po czym wszyscy ruszają do akcji. W końcu muszą walczyć.

Pokażemy im, myśli Portia. *Pokażemy im, że zblądzili*.

7.5 MANEWRY WOJENNE

Kamienie! Ciskają w nas kamieniami! – rzucił z niedowierzaniem Karst. – To jakaś kosmiczna epoka kamienia łupanego!

Jedna z konsoli zaczęła mrugać i zgasła, a inne zajarzyły się bursztynową poświatą.

– Karst, to nie jest okręt wojenny – warknęła Lain oschłym głosem. – *Gilgamesz* nie został zaprojektowany z myślą o takich funkcjach, miał wytrzymywać tylko przyspieszenie i hamowanie, a nie uderzenia...

– Mamy dziurę w kadłubie w ładowni – zameldował Alpash i zabrzmiało to, jakby ktoś sprofanował jego świątynię. – Wewnętrzne drzwi są... – Przez chwilę nie było wiadomo, co z nimi, ale w końcu wydusił z siebie: – Hermetycznie zamknięte, cały sektor jest zamknięty. Doszło do... utraty ładunku.

– Ładunek już jest w próżni albo zaraz będzie. To nie powinno go uszkodzić – wtrąciła się Vitas.

– Mamy uszkodzonych czterdzieści dziewięć komór – powiedział Alpash. – Od uderzenia i od spięć elektrycznych potem. Czterdzieści dziewięć.

Przez chwilę nikt nie miał ochoty śledzić tych statystyk. Pół setki zabitych od jednego uderzenia. Drobnostka w porównaniu z całym ładunkiem. Jednak przerażające było to, co się kryło pod słowem „ładunek”, oraz cały ciąg implikacji tego znaczenia.

– Jesteśmy na orbicie, sto osiemdziesiąt kilometrów poza siecią – odezwał się Karst. – Musimy przeprowadzić akcję odwetową, bo będą dalej ciskać w nas kamieniami.

– Naprawdę? – Był to minimalny wkład Holstena w dyskusję.

– Może przeładowują.

– Pozostałe uszkodzenia? – zapytała Vitas.

– Ja... nie wiem – przyznał Alpash. – Czujniki kadłuba nie są... wiarygodne, a niektóre zostały nawet zniszczone. Nie sądzę, by ucierpiał któryś z kluczowych systemów, ale mogło dojść do osłabienia kadłuba w niektórych miejscach. Nasze systemy wykrywania awarii zostały tak

ustawione, żeby koncentrować się na sytuacjach krytycznych i najważniejszych obszarach.

Co oznaczało po prostu, że nie panowały nad całą siecią.

– Możemy przestawić lasery – oznajmił Karst, jakby jego propozycja stanowiła logiczne następstwo tego, co zostało właśnie powiedziane. Być może Karst tak właśnie uważał.

– Łatwiej będzie zmienić pozycję statku – powiedziała Lain. – Obróćcie go, tak żeby celowały w sieć. Na orbicie nasza pozycja nie ma znaczenia.

Karst zamrugał, słysząc to, najwyraźniej wciąż trwając w przekonaniu, że dziób powinien iść na początku, ale w końcu pokiwał głową.

– Dobrze, zacznijmy od tego. Jak długo to potrwa?

– Zależy, jak będą reagować systemy. Może będzie trzeba przeprowadzić kilka miejscowych napraw.

– Możemy nie mieć...

– Spierdalaj, Karst. Płyniemy na tej samej łódce. Zrobię to tak szybko, jak się da.

– No dobrze. – Karst się skrzywił, najwidoczniej przypominając sobie, że jego pozycja pełniącego obowiązki dowódcy zmieniła się po obudzeniu Lain.

Wiekowa pani inżynier nachyliła się nad jedną z działających konsoli, a grupka ze Szczepu otoczyła ją, by wykonywać jej polecenia.

Wygląda na straszliwie zmęczoną, pomyślał Holsten, a pomimo to wciąż widać było w niej pokłady energii. Czas walczył z Lain o to pochylone, kruche ciało i jak dotąd przegrywał.

– Po prostu nie będziemy mogli wypalić sobie drogi, żeby kontrolować planetę – oznajmiła Vitas.

– A pewnie, że będziemy mogli – rzucił Karst z uporem. – Serio, pewnie udałoby się nam przeciąć całą tę ich sieć albo wypierdolić ją w kosmos jak starą... no, skarpetę albo coś takiego. – I dodał: – Zamknij się, Holsten – kiedy klasyk zareagował na to uśmiechem.

– Karst, sprawdź, proszę, dostępną moc laserów antyasteroidowych – powiedziała cierpliwie Vitas.

Karst się skrzywił.

– A więc przeładujemy.

– Wykorzystując całą energię, która obecnie zapewnia funkcjonowanie takich systemów, jak podtrzymywanie życia czy pracy reaktora – potwierdziła Vitas. – A nawet jeśli zrobisz to dobrze, to co dalej? Co z planetą, Karst?

– Z planetą? – Zamrugął.

– Planujesz polecieć tam w wahadłowcu i zatknąć flagę? Skoro tak wygląda orbita, to jak twoim zdaniem będzie wyglądać powierzchnia planety? Masz zamiar wyciąć to wszystko laserem, tak? Albo zabierzesz zakłócacz czy spluwę? Ile konkretnie masz kul, Karst?

– Obudziłem już i uzbroiłem ekipę ochrony i kilku pomocniczych – odparł Karst. – Polecimy tam, zdobędziemy przyczółek i założymy bazę, po czym będziemy napierać. Spalimy tych skurwysynów. Co innego mamy zrobić? Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Nikt nie mówił, że pozamiatamy wszystko przez noc.

– Cóż, może do tego dojść – przyznała Vitas. A jeśli dojdzie, to ja zostanę tutaj i będę koordynować atak, a tobie życzę powodzenia. Mam jednak nadzieję, że znajdzie się jakiś skuteczniejszy środek na to robactwo. Lain, będę potrzebowała przynajmniej jednego warsztatu działającego pod moim okiem i wszystkich starych materiałów – wszystkiego, co mamy na temat Ziemi.

– Jaki masz plan? – zapytała Lain, nie oglądając się nawet na nią.

– Mam zamiar uwarzyć im prezent, tym pa...pa... no dla nich tam na dole. – Tym razem Vitas zacinała się ewidentnie i wszyscy to zauważyli. – Myślę, że da się opracować jakąś toksynę na stawonogi, coś, co rozpuści ich pancerze albo zaatakuje układ oddechowy, a dla nas będzie nieszkodliwe. W końcu, zakładając, że pochodzą od ziemskich pajaków, są całkowicie odmienną od nas formą życia. Nie przypominają nas pod żadnym względem.

Holsten słuchał i wyłapał zbyt duży nacisk w tych słowach. Pomyślał o niekompletnych wiadomościach w Imperialnym C. Czy to mówiła sama Kern, czy też coś małpuje jej słowa?

Jednak, jak podejrzewał, nie miało to większego znaczenia. Masowe zabójstwo to masowe zabójstwo. Przypomniało mu się Stare Imperium, które było tak cywilizowane, że na koniec wytruło cały świat. *No i wracamy do punktu wyjścia, bo właśnie mamy zamiar wyrwać z korzeniami fragmenty ekosystemu w nowym świecie.*

Nikt nie zwracał na niego uwagi, zwłaszcza że się nie odzywał i nie dzielił z nikim myślami kotłującymi mu się w głowie, więc znalazł sobie w miarę działającą konsolę i wszedł w system komunikatorów.

Tak jak się domyślał, na planecie wymieniano mnóstwo komunikatów na szerokiej częstotliwości. Zniszczenie Kapsuły Strażniczej wiązało się z tym, że

odbiór nie był już taki klarowny – możliwe, że pod koniec stanowiła jedynie potężny nadajnik dla planety. Ale sam zielony glob ożywił się gorączkowymi, niezrozumiałymi przekazami radiowymi.

Chciał wymyślić coś pięknego – perfekcyjną wiadomość, która w jakiś sposób niosłaby ze sobą zrozumienie, otwierała dialog, dawała wszystkim różne możliwości. Okrutna arytmetyka Vitas w opowiadaniu o więźniach wytrąciła mu oręż z ręki. *Nie mogliśmy im zaufać. Oni nie mogli zaufać nam. Obustronne dążenie do wyniszczenia jest jedynym logicznym rozwiązaniem.* Pomyślał o ludzkich marzeniach – zarówno o tych ze Starego Imperium, jak i nowych – o kontakcie z jakąś pozaziemską inteligencją, jakiej nikt nigdy wcześniej nie napotkał. *Po co? Po co mielibyśmy tego chcieć? Nigdy nie będziemy zdolni do porozumienia, a nawet gdyby, wciąż będziemy jak tych dwóch więźniów zmuszonych do zaufania sobie nawzajem i zaryzykowania albo skazania tego drugiego, żeby ratować przynajmniej swoją skórę.*

Wtedy dotarła kolejna transmisja z planety, bezpośrednio do statku. Słabsza niż wcześniej, ale przecież nie wykorzystywała pośrednictwa satelity. Jedno słowo w Imperialnym C, całkowicie jasne i zrozumiałe.

Pudło.

Holsten wpatrywał się w przekaz, dwa czy trzy razy otwierając i zamykając usta, żeby zwrócić czyjąś uwagę na to, co widział, po czym wysłał prostą odpowiedź na tej samej częstotliwości.

Doktor Avrana Kern?

Mówiłam wam, żebyście się trzymali z dala – nadeszła błyskawiczna, złowróżbna odpowiedź.

Holsten pracował bardzo szybko, świadomy, że nie negocjuje wyłącznie w imieniu *Gilgamesza*, ale jako ostatni klasyk w obliczu tworzącej się historii. *Nie mamy wyjścia. Musimy zejść ze statku. Potrzebujemy nowego świata.*

Wysłałam was do nowego świata, wy niewdzięczne małpy. Z planety nadeszła wiadomość, mocno pulsując na tle ogólnego harmidru sygnałów radiowych.

Nie nadawał się do zamieszkania – wysłał. Doktor Kern, jest pani człowiekiem. My jesteśmy ludźmi. Ostatnimi pozostałymi przy życiu. Proszę pozwolić nam wylądować. Nie mamy wyboru. Nie możemy zawrócić.

Ludzkość jest przereklamowana, nadeszła mroczna odpowiedź Kern. A poza tym wydaje ci się, że ja tu podejmuję decyzje? Jestem tylko doradcą,

a im nie podoba się moje rozwiązanie problemu, który stanowicie. Mają swoje sposoby na radzenie sobie z problemami. Odlećcie.

Doktor Kern, my nie blefujemy. Naprawdę nie mamy innego wyjścia. Ale podobnie jak wcześniej to do niej nie docierało. Mogę porozmawiać z Elizą?

Jeśli w kapsule pozostało cokolwiek, była to Eliza, nie ja, ale to zniszczyliście, odpowiedziała Kern. Żegnajcie, małpy.

Holsten wysyłał kolejne wiadomości, kilkanaście transmisji, ale Kern najwyraźniej skończyła z nim rozmawiać. Jakby słyszał pogardliwy głos kobiety, przedzierając się przez Imperialny C, ale był o wiele bardziej wstrząśnięty sugestią przedwiecznej istoty, że stworzenia na planecie nie dadzą się powstrzymać, nawet jej. *Dokąd doprowadził ją ten eksperyment?*

Rozejrzał się dookoła. Vitas gdzieś zniknęła, najwyraźniej ruszyła do swej pracowni, by majstrować z chemikaliami, gotowa wysterylizować całą planetę, jeśli zajdzie taka potrzeba, aby jej gatunek mógł się osiedlić. Holsten nie był pewien, co zostanie z tej planety, kiedy skończy. *Ale jaki mamy wybór? Zginąć w kosmosie i zostawić to miejsce dla robali i Kern?*

– Wciąż tracimy czujniki na kadłubie – zauważył Alpash. – Uderzenia mogły spowodować większe straty, niż myśleliśmy. – Słychać było, że jest prawdziwie przejęty, i te emocje w jednej chwili podłapali wszyscy pozostali.

– Jak to możliwe? – zapytała Lain gromkim głosem, wciąż skupiona na swej pracy.

– Nie mam pojęcia.

– Wysłałam drona. Musimy się temu przyjrzeć – oznajmił Karst. – O, już. – Majstrował coś przy konsoli i na ekranach pojawił się obraz z kamery drona, który dość niepewnie sunął wzdłuż kadłuba statku. – Ja pierdolę, tu jest wszystko załatane sznurkiem – skomentował.

– Przeważnie z części, które wymontowaliśmy ze stacji terraformacyjnej – potwierdziła Lain. – Wiele razy ją otwieraliśmy i zamykaliśmy, żeby zdobyć nowe części albo by kontynuować naprawy... – Jej głos ucichł po kilku słowach. – Co to było?

– Co znowu? Nie widziałem nicze... – zaczął Karst.

– Coś się poruszyło – potwierdził Alpash.

– Nie bądź głupi...

Holsten obserwował, jak na ekranie przesuwa się wyboisty, najeżony antenami kadłub. Nagle w rogu ekranu coś zaczęło gorączkowo pierzchać sprzed oka kamery.

– Są tutaj – próbował powiedzieć, ale zaschło mu w ustach i zdobył się tylko na szept.

– Niczego tam nie ma – mówił Karst.

Ale Holsten myślał: *Co to za nic biegnie do tej anteny? Dlaczego czujniki kadłuba padają jeden po drugim? Co tam się rusza...?*

– O kurwa. – Nagle Karst wydał się starszy od samej Lain. – Kurwa, kurwa, kurwa mać.

W obiektywie drona sześć przykurczonych sylwetek pospiesznie pełzało po kadłubie, poruszając się z pewnością zaskakującą w próżni, skacząc do przodu, chwytając się lin, pozostawiając nici na *Gilgameszu*.

Głos Lain był bardzo spokojny.

– Starają się dostać do środka.

7.6 PĘKA SKORUPA

Jedna z sióstr Portii używa pękatego urządzenia ze szkła spowitego w jedwab, które funkcjonuje jako oko i zawiera kolonię miniaturowych mrówek, których jedyną funkcją jest tworzenie zwięzłego obrazu, jaki można przekazać do orbitalnej pajęczyny i na planetę. Bianca może im wydawać polecenia na bieżąco, aby jak najlepiej wykorzystały położenie na kadłubie olbrzymiego intruza. I bardzo dobrze, bo Portia nie miałyby pojęcia, jak ocenić to, co widzi. Każdy szczegół jest dziwaczny i niepokojący, estetycznie wywodzi się z wyobraźni innego gatunku, technologii twardego metalu i pierwiastków naturalnych.

Sama Bianca też nie ma większego pojęcia ani pomysłu, co z tym zrobić, ale obrazy są przesyłane do olbrzymiego kompleksu kolonii, którą jest doktor Avrana Kern czy też to, co po niej pozostało. Kern może rozpoznać, co widzi Portia, i zasugerować sposób postępowania, część jej sugestii zostaje przyjęta, niektóre zaś są odrzucane. Kern straciła swój boski status. Toczyła żarliwe spory z przywódczyniami niegdysiejszej trzódki wyznawców na temat losu rasy ludzkiej przebywającej obecnie na pokładzie *Gilgamesza*. Kłóciła się i groziła, a na koniec błagała i prosiła, ale wtedy pająki miały już opracowany plan ataku i nie dały się przekonać. W końcu Kern musiała zaakceptować trudne decyzje tych, którzy niegdyś byli jej wiernymi, a obecnie stali się jej opiekunami.

Właśnie zidentyfikowała czujniki na kadłubie na potrzeby Portii oraz innych oddziałów obrońców orbity. Rozpierzchli się po kadłubie, aby oślepić *Gilgamesza*.

Portia nie ma większego pojęcia o żywej zawartości statku. Instynkt podpowiada jej, że te istoty są tam, za ścianą kadłuba, ale jej umysł koncentruje się teraz na kolejnym etapie akcji, a idea ogromnego statku pełnego olbrzymów wykracza poza jej wyobraźnię. Niemniej obraz tego, co znajduje się w środku, jest zaskakująco precyzyjny. *Wykryją nas i będą wiedzieć, że próbujemy się dostać do środka.* Jej umysł traktuje *Gilgamesza* jak kolonię mrówek, takich paskudnych jak te w przeszłości planety, które za

chwile wyleją się na zewnątrz albo odpalą jakąś broń.

Do środka prowadzi niewiele włazów, przekazuje jej Bianca. *Niszczcie dalej czujniki po drodze, by ograniczyć możliwość ich reakcji. Szukajcie takiego dużego kwadratu...* Z niestrudzoną cierpliwością Bianca podaje im ścisły opis różnych wejść do wnętrza *Gilgamesza* wyciągnięty z zakamarków pamięci Avrany Kern i jej kontaktów ze statkiem-arką – skąd wylatują wahadłowce, gdzie znajdują się włazy konserwacyjne, śluzy powietrzne, wyrzutnie dronów... Większość to przypuszczenia, ale przynajmniej Kern należała kiedyś do tego samego gatunku co konstruktorzy statku. Posiada wspólną ramę odniesienia, a Portia nawet nie jest w stanie odgadnąć celu czy funkcji tych wszystkich szczegółów na kadłubie *Gilgamesza*.

Gdyby pająki były odpowiednio zdeterminowane, mogłyby wejść do statku-arki bez konieczności szukania jego słabego punktu. W końcu mają dostęp do materiałów wybuchowych zawierających tlen, które można odpalić w próżni. Ich technologia kosmiczna ma jednak ograniczenia. Rozerwanie kadłuba nie wchodzi w grę. Choćby dlatego, że Portia i jej grupa mają zamiar skorzystać z powietrza wewnątrz statku, mimo mniejszej zawartości tlenu wobec ich rzeczywistych potrzeb. Respiratory na korpusie pająków mają określoną pojemność i Portia wie doskonale, że woleliby wrócić do domu, pokonując próżnię. Lepiej dokonać kontrolowanego wejścia i zasklepić otwór, kiedy znajdą się w środku.

Opanowuje ją dziwne uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznała, aż receptory dotyku odbierają emocjonalne drżenia. Przypominało to uczucie, kiedy owiewał ją wiatr, ale przecież nie ma tu powietrza. Jej podwładni oraz inne grupy biorące udział w ataku też to poczuli. Pod wpływem tego doznania przekazy radiowe zaczęły się przez chwilę rwać. Portia wie, że jej przeciwnicy wewnątrz statku wywołali falę elektromagnetyczną, by zaatakować pajęczą elektronikę. Dwie technologie wyminęły się dzisiejszej nocy, ledwie się dotykając. Nawet radio Portii jest urządzeniem opartym na biologii. Odrobina dotknięta impulsem zostaje błyskawicznie wymieniona, technologia jest śmiertelna, rodzi się, by umrzeć, więc każdy komponent posiada zamienniki odrastające błyskawicznie.

Portia zlokalizowała właz – olbrzymi kwadrat zamknięty ciężkimi, metalowymi drzwiami. W jednej chwili przekazuje swoją pozycję innym grupom, które nadciągają, gotowe pójść za nią.

Wzywa swoją specjalistkę, która zaczyna kreślić okrąg, znacząc kontur

swym jadem. Metal opiera się jednak przez dłuższą chwilę i Portia z niecierpliwością i podnieceniem przestępuje z odnóza na odnóże. Nie wie, co ich powita we wnętrzu – olbrzymi obrońcy, niebezpieczne otoczenie, niezrozumiałe maszyny. Nigdy nie należała do tych, którzy czekają z założonymi rękami – musi albo planować, albo działać. Kiedy nie może robić ani jednego, ani drugiego, zaczyna się bać.

Kiedy jad zaczyna działać, wchodząc w gwałtowną reakcję z metalem i wzniesając opar, który niemal natychmiast się rozprasza, pozostali członkowie grupy plotą hermetyczną sieć syntetycznego jedwabiu, który zaplombuje dziurę, kiedy wszyscy znajdą się w środku.

Kontakt radiowy zostaje raptownie przerwany, pochłonięty przez gęstą falę zakłóceń. Mieszkańcy statku-arki znów uderzyli. Portia szuka wolnych od zakłóceń częstotliwości. Wie, że giganci też używają radia, jest więc prawdopodobne, że mogą mieć jakieś otwarte kanały. Tymczasem jednak komunikacja z własną grupą i innymi grupami na kadłubie statku jest niemożliwa. Ale znają plan. Już otrzymali instrukcje, w jaki konkretnie sposób poradzić sobie z ludzkim zagrożeniem – zarówno z wybudzoną ekipą, jak i z o wiele większą liczbą śpiących, jak to opisała Kern. Szczegóły pozostają tylko do wiadomości Portii.

Pierwszą, wybijającą się w tym momencie myślą jest to, że mieszkańcy *Gilgamesza* biorą w końcu aktywny udział w obronie. Nie ma pojęcia, jak może się to objawiać, ale wie, że ona zrobiłaby wszystko, gdyby ktoś wgryzał się w ściany jej domu. Pająki jej gatunku nigdy nie były bierne ani defensywne. Nie snuły się leniwie po pajęczynie – atakowały bądź kontratakowały. Są stworzone do ofensywy.

Bez radia komunikacja na krótki dystans jest wciąż możliwa. *Zaraz nas zaatakują, bądźcie gotowi*, wystukuje odnóżami, dodając gesty nogogłaszczkami dla podkreślenia wagi słów. Ci, którzy nie są bezpośrednio zaangażowani w akcję, rozpraszają się i obserwują wszystko swymi licznymi oczami.

7.7 WOJNA NA ZEWNĄTRZ

Ha! – krzyknął Karst w stronę ekranów. – To im spartoli to ich pierdolone radio.

– Nie jest to strasznie zabójczy cios. – Lain przetarła oczy spodem dłoni.

– Poza tym w ogóle nie wiadomo, czy mają jakieś radio – zauważył Holsten. – Z czym mamy tu do czynienia? Dlaczego w ogóle nie zadajemy sobie tego pytania?

– To oczywiste – dobiegł ich powściągliwy głos Vitas.

– W takim razie proszę wytłumaczyć, ponieważ bardzo niewiele rzeczy jest teraz dla mnie oczywistych – zaproponowała Lain.

Była skupiona na ekranach, a Holsten miał wrażenie, że jej słowa miały więcej wspólnego z irytacją, jaką wywołał w niej ton wywyższającej się Vitas.

– Świat Kern był planetą-poligonem dla bioinżynierów – wyjaśnił jakby bezcielesny głos Vitas. – Stworzyła te organizmy. A potem, wiedząc, że wrócimy, wyrwała je z marazmu i poszczuła na nas. Wypełniają swoje zadania nawet po zniszczeniu jej satelity.

Holsten próbował spojrzeć w oczy Lain albo Karstowi, komukolwiek, ale najwyraźniej znów stał się całkowicie obojętnym tłem.

– Co to oznacza? Co będzie na powierzchni tej planety? – zapytał niespokojnie Karst.

– Możemy przeprowadzić powszechne oczyszczenie – rzuciła Vitas z wyraźnym entuzjazmem.

– Czekał – mruknął Holsten.

Lain uniosła pytająco brew.

– Proszę, nie... nie powtarzajmy ich błędów. Błędów Imperium. – *Ponieważ mam wrażenie, że nie robimy nic innego.* – Brzmi to tak, jakbyś chciała zatruć planetę na amen, żebyśmy tylko mogli na niej żyć.

– Może to być konieczne, w zależności od warunków na powierzchni. Pozwolenie na istnienie niekontrolowanych wytworów bioinżynierii byłoby znacznie gorsze – oznajmiła Vitas.

– A jeśli to istoty myślące? – zapytał Holsten.

Lain tylko ich obserwowała spod półprzymkniętych powiek, a Karst najwyraźniej nie do końca zrozumiał pytanie. Znów był to pojedynek Holstena z głosem Vitas.

– Jeśli tak jest – zastanawiała się głośno – to tylko w tym sensie, że komputer też można uznać za istotę myślącą. Wykonują polecenia, być może w takim stopniu, że daje im to swobodę działania pozwalającą reagować na warunki, ale tylko tyle.

– Nie – powiedział Holsten cierpliwie. – A jeśli naprawdę myślą? Żyją, są niezależne, rozwinięte? – *Wyniesione*, to słowo pojawiło się w jego myślach. *Wyniesienie zwierząt*. Ale Kern mówiła tylko o swoich ukochanych małpach.

– Nie bądź śmieszny – warknęła Vitas i wtedy wszyscy usłyszeli drżenie w jej głosie. – Tak czy owak, to bez znaczenia. Logika dwóch więźniów wciąż obowiązuje. Nie ma znaczenia, przeciwko czemu występujemy, to coś usiłuje nas zniszczyć. Musimy odpowiedzieć w stosowny sposób.

– Kolejny dron padł – oznajmił Karst.

– Co? – Lain była szczerze zdziwiona.

– Czujniki znikają, więc staram się mieć oko na te skurwiele za pomocą dronów, ale one je niszczą. Mam tylko kilka w zapasie.

– Masz jakieś uzbrojone, takie, jakie rozwaliły Kern? – zapytała sędziwa inżynier.

– Nie, a poza tym i tak nie moglibyśmy ich użyć. Są na kadłubie. Uszkodzilibyśmy statek.

– Może to już musztarda po obiedzie – skomentował Alpash obojętnym tonem. Pokazał im jeden z ostatnich obrazów z drona.

Grupa pajaków zebrała się wokół grodzi wyrzutni wahadłowców. Widać było nową rysę na metalu w otoczeniu chmury znikającego oparu.

– Skurwiele – zaklął Karst z poważną miną. – Jesteście pewni, że możemy podpiąć kadłub do prądu? – Było to przedmiotem gorącej dyskusji, zanim próbowali zastosować falę elektromagnetyczną. Alpash starał się opracować rozwiązanie, wykorzystując mały obieg elektryczny w miejscu lokalizacji pajaków, ale po prostu nie było tam odpowiednich urządzeń, nie mówiąc już o olbrzymiej ilości energii, jaka byłaby do tego potrzebna. Rozmowa się urwała i skupiła na bardziej prymitywnych rozwiązaniach.

– Masz zbrojnych w gotowości?

– Mam pierdoloną armię. Obudziliśmy kilka setek najlepszych kandydatów

z ładunku i rozdaliśmy im zakłócacze. Zakładając, że w ogóle można te gnojki obezwładnić. Jeśli nie, cóż, otworzyliśmy zbrojownię. No bo – jego głos drżał nieznacznie, a na masce spokoju pojawiły się pierwsze pęknięcia na skutek głębokiego stresu – statek jest już tak rozpiardolony, że kilka nowych dziur mu nie zaszkodzi, mam rację? A poza tym wciąż możemy je powstrzymać przed wdarciem się do środka. Ale jeśli wejdą... możemy nad nimi nie zapanować. – Męczył się ze słowem „możemy”, bo jego optymizm zderzył się z impetem z murem przeciwności. – Przecież kiedy budowano ten statek, nie uwzględniono takiej okoliczności. Kurewskie przeoczenie, ot co. – I znów ten sztywny uśmiech.

– Karst... – zaczęła Lain, a Holsten, zawsze trzymający się z tyłu, pomyślał, że chciała, by się zamknął i oszczędził sobie wstydu.

– No to może ja się przebiorę – powiedział szef ochrony.

Lain tylko na niego patrzyła bez słowa.

– Co? – zaczął Holsten – Poczekaj, nie...

Karst całkowicie go zignorował ze wzrokiem utkwionym w wiekową panią inżynier.

– Pewien jesteś? – Najwyraźniej sama Lain w ogóle nie była pewna, czy powinien to robić.

Karst gwałtownie wzruszył ramionami.

– Po chuj wam tu jestem potrzebny? Musimy strząsnąć to robactwo z kadłuba. – W jego głosie nie było słyhać ani krzty entuzjazmu. Być może czekał, aż Lain poda jakiś przekonujący powód, dla którego powinien jednak zostać.

Jej pomarszczona twarz wykrzywiła się w grymasie zawahania, jakby pani inżynier szukała rozwiązania jakiegoś trudnego problemu technicznego.

W tym momencie konsola Holstena zamigotała, budząc się do życia, i zobaczył, że na zewnątrz atakujący zlokalizowali wolne kanały radiowe, za których pomocą Karst porozumiewał się z dronami, a których wkrótce będzie używać, komunikując się ze statkiem. Zadaniem Holstena było poinformowanie o tym, że pająki dokonały tego odkrycia, ale nic nie powiedział, bo zapatrzył się w nagłe ożywienie sygnałów przechwytywanych przez ocalałe odbiorniki *Gilgamesza*, a jednym uchem słuchał rozmowy toczącej się za jego plecami.

– A jak twój zespół? – odpowiedziała mu w końcu Lain.

– Mój podstawowy oddział jest przebrany i gotowy do działania –

potwierdził Karst. – Wygląda na to, że walka może wybuchnąć w chwili, gdy otworzymy śluzę. Małe gnojki mogą już tam być i przedzierać się do środka. –

Nikt nie zaprzeczał, a on brnął dalej: – Bo właśnie po to tu jestem, co nie? Nie jestem strategiem. Ani dowódcą. Prowadzę moich ludzi, moją ekipę. –

Stał przed Lain niczym generał, który sprawił zawód swej królowej i czuje, że ma tylko jedną drogę odkupienia. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Ochrona była tu potrzebna wyłącznie po to, by trzymać podstawową załogę i ładunek na swych miejscach przez okres podróży. Ale jeśli mamy być żołnierzami, to będziemy, a ja będę dowodził.

– Karst... – zaczęła znowu Lain i umilkła.

Holsten zastanawiał się, czy miała zamiar powiedzieć coś dziwacznie banalnego, w stylu: *Jak nie chcesz iść, to nie idź*. Ale minął moment, w którym ludzie mogli wybierać, co chcą robić, a czego nie. Nikt nie zamierzał doprowadzić do sytuacji, w której się teraz znaleźli, a ich język, podobnie jak technologia, został dopasowany wyłącznie do kwestii niezbędnych do przeżycia. Do niczego innego żadne lingwistyczne ozdobniki czy kwieciste zwroty nie były niezbędne.

Lain odprowadzała Karsta wzrokiem, opierając się na metalowej lasce, i widać w niej było tę samą nieugiętość pomimo wykrzywionego kręgosłupa. Jej kościste kłykcie zbieleły i wszyscy w pomieszczeniu patrzyli tylko na nią.

Zrobiła dwa zdecydowane kroki i stanęła przy ramieniu Holstena, po czym spojrzała wilkiem na kilkoro inżynierów ze Szczepu, którzy stali bezczynnie.

– Bierzcie się do pracy! – warknęła do nich. – Zawsze jest coś do naprawienia. – Oderwawszy ich uwagę od siebie, wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze z płuc na tyle blisko ucha Holstena, że usłyszał słaby poświst. – Miał rację, prawda? – powiedziała bardzo cicho, wyłącznie do niego. – Musimy usunąć je z kadłuba, a oddział ochrony będzie się bardziej starał, kiedy Karst pójdzie z nimi.

Nie chodziło o to, że kazała mu iść, ale jedno jej słowo mogło go powstrzymać.

Holsten podniósł na nią wzrok i próbował skinąć głową, ale coś poszło nie tak w tym geście i wypadło jakoś tak mdło i niezdecydowanie.

– Co to jest? – zapytała Lain ostrym głosem, wskazując szereg sygnałów na ekranie.

– Znalazły lukę w częstotliwościach. Nadają.

– To dlaczego, do kurwy nędzy, nic nie mówiłeś?! – zakrzyknęła. – Karst? –

Poczekala, az Alpash potwierdzil, ze jest polaczona z szefem ochrony. – Zmieniamy czestotliwosci, wiec uprzedz swoich. – Po czym podala mu nowy kanal. – Holsten...

– Vitas sie myli – powiedzial jej. – To nie sa zywe maszyny. To nie sa tylko marionetki Kern.

– A niby skad wysnules taki wniosek?

– Poznalem to po sposobie komunikacji.

Zmarszczyla brwi.

– Rozkminiels to? I nie pomyslales, zeby sie ta wiedza podzielic?

– Nie... nie chodzi o to, co mowia, ale o strukture mowy. Iso, jestem klasykiem, a nauka o jezyku to duza czesc tej galuzi wiedzy – starych jezykow, martwych jezykow, jezykow z czasow, ktore juz poszly w niepamiec. Dam glowe, ze te sygnaly to prawdziwy jezyk, a nie jakies polecenia. Jest zbyt zlozony, ma zbyt misterna strukture. Jest nieskuteczny, Iso. Jezyk jest nieskuteczny. Ewoluuje od podstaw. To jest jezyk – prawdziwy jezyk.

Lain zmruzyła oczy, patrząc przez kilka sekund w ekran, aż transmisja została nagle ucięta, bo zakłócanie zmieniło zakres częstotliwości.

– A jaka to różnica? – zapytała cicho. – Czy to wyciągnie jebanych więźniów Vitas z pierdła? Przecież nie, Holsten.

– Ale...

– Powiedz, jak to ma nam pomóc – zachęcała go. – Powiedz mi, jak cokolwiek z tych... spekulacji może nam pomóc. A może to należy do twojego zwykłego zestawu sztuczek? Akademickich w każdym znaczeniu tego słowa.

– Jesteśmy gotowi. – W tej chwili dobiegł ich głos Karsta, jakby grzecznie czekał, dając jej skończyć. – Jesteśmy w służbie. Zaraz otworzymy właz.

Twarz Lain przypominała maskę pośmiertną. Nigdy nie pisała się na dowodzenie statkiem. W jej zmarszczkach Holsten widział całe wieki trudnych decyzji.

– Ruszajcie – potwierdziła. – I powodzenia.

Karst miał dwadzieścia dwie osoby pod bronią we wszystkich dostępnych pancernych kombinezonach. Nad kolejnymi dwunastoma pracowano i Karst mógł być tylko wdzięczny, że Szczep musiał wyjść na zewnątrz w tych strojach, żeby naprawić kadłub, bo gdyby nie to, nie zebrałyby nawet tylu żołnierzy. *Żołnierze*, myślał o nich jak o żołnierzach. Niektórzy naprawdę nimi byli, wojskowymi wybudzonymi z ładowni albo teraz, albo wcześniej, jako

dodatek do ekipy ochroniarzy za każdym razem, kiedy potrzebował więcej ludzi. Resztę stanowili weterani jego oddziału. Byli to członkowie podstawowej załogi, od początku z nim. Zabierał wyłącznie najlepszych, co w tym przypadku oznaczało każdego, kto przeszedł odpowiednie przeszkolenie.

Bardzo dokładnie pamiętał, kiedy sam przechodził ten trening. Wydawało się, że to kompletna strata czasu, ale chciał zdobyć miejsce w podstawowej załodze *Gilgamesza*, a tego wymagali od kandydatów. Całe miesiące spędził na orbicie, ucząc się poruszać przy braku grawitacji, chodzić w magnetycznych butach, przyzwyczajając się do mdłości i dezorientacji w tak wrogim i nieprzyjaznym otoczeniu.

Nikt nawet nie wspominał o walce z armią pajaków o przetrwanie rasy ludzkiej, ale Karstowi się wydawało, że mogła mu się marzyć podobna sytuacja, mógł sobie coś takiego wyobrazić, kiedy wciąż był młody, a projekt *Gilgamesz* leżał na desce kreślarskiej. Przecież widział się na kadłubie potężnego statku kolonizacyjnego, z bronią w ręku przedzierającego się przez hordę obcych.

Teraz w śluzie oddech dźwięczał mu głośno w uszach, a kombinezon uciskał i ciążył. Nie było tak zabawnie, jak to sobie wyobrażał.

Właz, przez który mieli przejść, był osadzony w podłodze. Kiedy się przez niego wysuną, spięci linami, żeby nie polecieć w bok pod wpływem siły odśrodkowej sekcji obrotowej statku, nastąpi gwałtowna zmiana perspektywy. Będą musieli zaufać magnetycznym butom i poruszać się po powierzchni, która stale będzie próbowała ich strząsnąć. Paradoksalnie sytuacja byłaby korzystniejsza, gdyby statek przyspieszał bądź zwalniał, dając im wrażenie przechyłu ku dziobowi bądź rufie, a wszystkie ruchome części byłyby unieruchomione. Znajdowali się jednak na orbicie, lecąc swobodnym lotem wokół planety, i tym samym zmuszeni do symulowania własnej grawitacji.

– Szefie, tracimy powietrze! – ostrzegł go jeden z jego ludzi.

– Oczywiście, że tra... – Zamilkł, bo przecież nie wydał rozkazu otwarcia zewnętrznych wrót. Niełatwo mu było wydać rozkaz, choć od jakiegoś czasu był tego bliski. Teraz ktoś – coś – zmuszało go do działania.

Gdzieś we włazie musi być szczelina, przez którą ucieka powietrze. Pająki są tam teraz i próbują się wdrzeć do środka.

– Wszyscy uszczelnić kombinezony i włączyć magnesy w butach – rozkazał i teraz, kiedy czekała go akcja, myśli nadchodziły płynnie pozbawione

emocjonalnych ozdobników. – Trzymajcie się nisko. Chcę otworzyć zewnętrzne wrota tak szybko, jak się da, bez spuszczenia powietrza.

Jeden ze Szczepu potwierdził te polecenia wprost do jego ucha, więc Karst poszedł za swoją radą.

Spodziewał się usłyszeć miarowy zgrzyt mechanizmu włazu, ale ktoś najwyraźniej wziął sobie do serca to „tak szybko, jak się da” i uruchomił tryb awaryjny otwierania. Właz otworzył się z głośnym trzaskiem w ciągu kilku sekund, tak że powietrze pod ciśnieniem wypadło przez szczelinę, dudniąc im w uszach niczym młot. Karst poczuł, jak nim szarpie i próbuje wyciągnąć go na zewnątrz, żeby mógł się radować otwartymi przestrzeniami wszechświata. Ale liny i buty wytrzymały, a on opanował burzę. Jedna dziewczyna z jego ekipy została w ułamku sekundy wyrwana z pęt i wyszarpięta do połowy przez otwór, uratowała ją tylko lina. Karst sięgnął do niej i chwycił ją za rękawice, niezdarnie wciągając ją z powrotem, aż stanęła na podłodze obok ziejącej dziury.

Wtedy zobaczył fragmenty ciała – kończyny z dużymi stawami i kawałek czegoś, co musiało być tkanką rozszarpaną przez mechanizm włazu. A dalej...

Dalej był już tylko wróg.

Pająki były w rozsypce i pełzały po sobie. Kilka zostało odrzuconych przez sprężone powietrze i miał tylko nadzieję, że jeszcze parę wystrzeliło w kosmos, ale czekały na nich cztery osobniki dyndające na linach, które zaczęły się wspinać z powrotem do włazu. Karst wycelował broń. Wbudowano ją w rękawicę i ogólnie był to krzepiąco prosty kawałek metalu. Nic w próżni nie mogło powstrzymać chemicznej substancji palnej, jeśli zawierała własny tlen, a pusta przestrzeń stanowiła raj dla strzelca, bo ograniczała go wyłącznie krzywizna kadłubu *Gilgamesza*.

Chciał powiedzieć coś dodającego otuchy czy dramatycznego, ale w końcu widok podpełzających, wymachujących odnóżami, spazmatycznie podskakujących potworów tak go przeraził, że stać go było jedynie na:

– Zabić skurwysynów!

Strzelił, ale spudłował trzy razy. Starając się dostosować do nierealnej perspektywy, źle ocenił odległość i wielkość celu, a jego system celowania w kombinezonie nie nadążał za robalem. Po chwili miał innego i odrzucił jednego pająka, wciąż wczepionego w kadłub, tak że ten poleciał, kręcąc się na swej linie. Jego ludzie też zaczęli strzelać, starannie i bez emocji, a pająki były najwyraźniej całkowicie nieprzygotowane na to, co się działo. Karst

widział ich kanciaste odwłoki ze sterczącymi odnóżami rozrzucone na wszystkie strony, martwe zwisały z kadłuba na swoich linach niczym makabryczne balony.

Ale niektóre z nich odpowiedziały ogniem, co tylko go rozjuszyło. Miały swoją broń, choć pociski leciały wolno i były nieporęcznie duże w porównaniu ze zgrabnymi kulami wystrzeliwanymi z broni człowieka. Przez chwilę Karst pomyślał, że znów rzucają w nich kamieniami, ale pociski przypominały igły albo szkło. Roztrzaskiwały się na ich wzmocnionych kombinezonach, nie robiąc im najmniejszej szkody.

Pająki były niespodziewanie wytrzymałe w pancerzach z gęsto plecionej sieci, bo tylko podskakiwały pod impetem kul, które ich nie przebijały, i Karst ze swoimi ludźmi musieli wywalić w nie wiele pocisków, zanim któryś przebił się dalej.

Kiedy jednak ginęły, eksplodowały aż miło. Po krótkiej wymianie ognia, jeśli któryś z nich przeżył, to pewnie uciekł. Karst zatrzymał się na chwilę i zameldował o sytuacji Lain, po czym zrobił wielki krok, wychodząc na zewnątrz na skrócony horyzont *Gilgamesza*.

Nic się nie wydarzyło – ruszył więc dalej.

Ciężkie kombinezony zostały stworzone dla wojska, choć większość zamontowanych w nich prawdziwych systemów militarnych, które Karst z radością by wykorzystał, nie była podłączona albo została całkowicie usunięta. W końcu inżynierowie nie potrzebowali zaawansowanych programów celowniczych, wychodząc na zewnątrz, aby coś naprawić. Jak w przypadku innych rzeczy pozostałych po rasie ludzkiej, dała o sobie znać tyrania priorytetów. Mimo to kombinezony miały wzmocnienia na stawach i pancerze ze wspomaganiami, by pomóc się poruszać zdeterminowanemu kosmicznemu żołnierzowi. Miały większe zbiorniki z tlenem, system recyklingu, kontrolowaną temperaturę, a gdyby czujniki na kadłubie działały poprawnie, Karst mógłby sobie wyświetlić uroczą mapkę otoczenia. Przecisnął się z mozołem przez właz w tej swojej drugiej skórze, wybrzuszonej na piersi i z dwukrotnie powiększonymi kończynami, mając wrażenie ścisku i żaru oraz czując lekkie zacinać za każdym razem, kiedy przedpotopowe, dobrze utrzymane silniczki z każdym jego ruchem zastanawiały się, czy już mają wyzionąć ducha. Niektóre kombinezony miały wciąż sprawne dysze pozwalające na ograniczone manewrowanie przy kadłubie, ale paliwa było mało, więc Karst rozkazał, by używać ich wyłącznie

w sytuacji awaryjnej. Nie miał pewności, czy używanie przestarzałego, często naprawianego sprzętu nie byłoby przypadkiem jednym krokiem za daleko w stronę śmiertelnej pułapki.

Obraz otoczenia był ściśnięty i wąski na płycie przed jego oczami, do tego dochodziły obrazy pochodzące z kombinezonów członków jego ekipy, ale miał kłopot z przypisaniem ich do konkretnych osób.

– Lain, możesz wysłać każdemu instrukcje co do naszej formacji i jego miejsca w niej? – Było to jak przyznanie się do porażki, ale w kombinezonie nie miał narzędzi, które twórca tego stroju w nim umieścił. – Potrzebuję obrazu ze wszystkich stron. Kierujemy się teraz do grodzi platformy wahadłowców numer siedem. Zamknijcie za nami śluzę. Zewnętrzne wrota są gdzieś jeszcze uszkodzone...

– Nie zamyka się – dobiegł go głos Alpasha. – Tam... coś poszło nie tak.

– Cóż... – I Karst uświadomił sobie, że nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie mógł przecież domagać się od nich, żeby teraz wyszli i to naprawili. – No to zaplombujcie wewnętrzne drzwi do naszego powrotu. Idziemy.

Wtedy nadeszły instrukcje od Lain – opracowała jej zdaniem najlepszą trasę i formację, w jakiej ma się poruszać oddział ochrony z oczami dookoła głowy.

– Musimy odpalić kolejnego drona – dodała. – Poślę go dalej, żeby mógł mieć na was oko z góry, i podepnę go do twojego... kurwa.

– Co? – zapytał błyskawicznie Karst.

– Zapomnij o dronie. Pędźcie do platformy wahadłowców, migiem.

– Spróbuj pędzić w tym złomie, kurwa. – Ale Karst już ruszał niczym strzała wypuszczona z łuku, a jego ekipa ustawiła się na miejscach i krok za ociężałym krokiem postępowała wzdłuż kadłuba. – Niech zgadnę: wyrzutnia dronów za wahadłowcami, mam rację?

– Bystry chłopak.

Dron po prostu nie wyleciał i wisiał wplątany w sieć, której jego czujniki nawet nie zarejestrowały, a grodzie wyrzutni wciąż były otwarte. Holsten nie miał pojęcia, jak można się dostać z wyrzutni do reszty statku, ale Lain już wysłała tam ludzi, więc najprawdopodobniej oznaczało to, że potwory weszły na pokład.

Mieli materiał z kamer od Karsta i kilku jego ludzi, choć bynajmniej nie od

wszystkich, którzy rejestrowali swój mozolny marsz po kadłubie, cały czas sprawdzając teren przed sobą na ograniczonym horyzoncie kadłuba.

– Jesteśmy ślepi! – syknęła wściekle Lain. Sieć czujników kadłuba była w strzępach, setki godzin napraw i konserwacji poszły na marne w dziesięć minut. – No to gdzie one są? Gdzieżby indziej?

Holsten otworzył usta – kolejna szansa na banalną i pozbawioną znaczenia uwagę, lecz właśnie wtedy rozległ się sygnał alarmowy.

– Kadłub uszkodzony w ładowni – rzucił beznamiętnie Alpash i dodał dziwnie martwym głosem: – To druga wyrwa oczywiście. Po wcześniejszym uderzeniu.

– W ładowni jest dziura – powtórzyła Lain informację, szukając spojrzenia Holstena. – Pewnie są już w środku.

– Ale po co miałyby robić drugą dziurę?

– Ładownia jest wielka – powiedział Alpash. – Muszą wiercić dziury w całym statku. Nie potrzebują włazów. My... – Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, kiedy patrzył błagalnie na Lain. – Co my teraz zrobimy?

– Ładownia... – Holsten pomyślał o tysiącach śpiących, nieświadomych niczego w swych małych plastikowych trumnach. Pomyślał o pająkach opadających swobodnym lotem na swoje ofiary. Pomyślał o embrionach.

Być może Lain miała takie same myśli.

– Karst! – warknęła. – Karst, potrzebujemy ludzi w środku.

– Podchodzimy do grodzi platformy wahadłowców – meldował Karst, jakby nie słyszał.

– Karst, one są w środku – powtórzyła dobitniej Lain.

Zaległa chwilowa cisza, choć człapanie, które obserwowali w kamerach, nie zwolniło.

– Wyślij tam ludzi ze środka. Poradzę sobie z tymi tutaj, a potem wrócimy. Czy może chcesz, żeby stały pod twoimi drzwiami?

– Karst, ładownia jest pozbawiona grawitacji i atmosfery. Nie mogę wysłać... – zaczęła Lain.

– Pozwól mi wykończyć to gniazdo, a potem wrócimy. – Karst ją zagłuszył.

– Mamy wszystko pod kontrolą, nie przejmuj się. – Jego głos był irytująco spokojny.

Wtedy nadeszła kolejna transmisja z pokładu statku, chwila zduszonych krzyków i wrzasków... a potem cisza.

Zapadło milczenie. Lain, Alpash i Holsten patrzyli po sobie przerażeni.

– Kto to był? – zapytała w końcu główna inżynier. – Alpash, kogo myśmy tam...?

– Nie mam pojęcia. Staram się... zgłóście się, proszę się zgłóścić.

Nastąpiła fala potwierdzeń od innych grup Szczepu i obudzonych wojskowych z całego statku i Holsten widział, jak Alpash sprawdza ich po kolei. Zanim skończyli, ktoś zaczął krzyczeć:

– Są tutaj! Wychodzić, wychodzić! Są wewnątrz!

– Potwierdzić pozycję. – W głosie Alpasha słyhać było napięcie. – Lori, potwierdź waszą pozycję!

– Alpash... – zaczęła Lain.

– To moja rodzina – powiedział młody inżynier. Nagle zupełnie oderwał się od całej sytuacji. – To nasze kwatery. Wszyscy tam są – moi krewni, nasze dzieci.

– Alpash, zostań na stanowisku! – rozkazała Lain z dłonią drżącą na rączce laski, ale jej władza – wynikająca zarówno z wieku, jak i pochodzenia – w tej chwili rozwiała się jak dym. Chłopak otworzył właz i tyle go widzieli.

– Są tutaj! – Przez komunikatory dotarł do nich triumfalny okrzyk Karsta, a po chwili: – Gdzie reszta?

Lain otworzyła usta, a jej spojrzenie odruchowo powędrowało w stronę ekranów. Przy włazie lądowiska wahadłowców znajdowało się kilka pajaków uchwyconych w promieniach słonecznych. Ich długie, kanciaste cienie widniały na całej długości kadłuba. Było ich jednak mniej niż poprzednio i być może to znaczyło, że pozostałe ruszyły do łatwiejszych punktów dostępu. Chaos w komunikatorach świadczył o tym, że te stworzenia ustanawiały przyczółki na całym statku.

– Karst... – odezwała się Lain za cicho, by mógł usłyszeć.

Holsten zobaczył, że jeden z pajaków zadrzał gwałtownie, rozerwał go strzał Karsta albo kogoś z jego ekipy. Ktoś krzyknął: „Za nami!” i obrazy z kamer w kombinezonach zatańczyły, ukazując obracającą się scenę kadłuba i gwiazd.

– Złapało mnie! – zakrzyknął ktoś i pozostali z oddziału ochrony przestali się poruszać.

Holsten widział, jak jeden z nich uchwycony w obiektywie kamery swojego towarzysza, walczy z czymś niewidocznym, poklepuje się i ciągnie za kombinezon, ale pajęczyna złapała go w niemal niewidzialne sidła, zbyt mocne jednak, by je zerwać.

Pająki zaczęły się wylaniać, pędząc po krzywiźnie kadłuba z prędkością zupełnie absurdalną w porównaniu z mozolnym krokiem Karsta i jego ludzi. Inne zaczęły spełzać z góry, gdzie dryfowały na swoich niciach, wspinały się, walcząc z siłą odśrodkową obrotowej sekcji statku, docierały do miejsc, z których mogły skoczyć Karstowi i jego ludziom na kark.

W rogu obrazu uniesiona rękawica z bronią zabłysła i wystrzeliła ogniem, próbując namierzyć nowe cele, zabijając przynajmniej jednego pająka. Zobaczyli, jak jeden z ludzi Karsta pada od strzału swego kolegi, a impet odrywa jego buty od kadłuba, jak odpada od statku, by zawisnąć na końcu niewidzialnej liny, podczas gdy potwór o ośmiu odnóżach zbliża się do jego bezradnej odlatującej w dal postaci. Mężczyźni i kobiety krzyczeli, strzelali, darli się do siebie, próbując uciekać nieporadnym krokiem.

Karst zrobił dwa ciężkie kroki w tył, cały czas strzelając, widział we wnętrzu hełmu, ile amunicji mu pozostało w spiralnym magazynku. Bardziej dzięki szczęściu niż starannemu celowaniu zdjął stwora, kiedy wpełzał na kobietę obok niego. Padł z chrzęstem w rozbryzgach pancerza i wnętrzości, które odbiły się od Karsta. Dziewczyna została złapana w pajęczynę, te małe gnojki oploty kadłub statku kłębami niezwykle wytrzymałej substancji, która całkowicie obezwładniła jego ludzi.

W uszach rozbrzmiewały mu krzyki ludzi – jego ekipy, innych oddziałów wewnątrz statku, nawet krzyk Lain. Próbował sobie przypomnieć, jak się zamyka kanał radiowy – było za głośno i nie mógł zebrać myśli. Własny dudniący oddech ryczał w słuchawkach, jakby przy każdym uchu miał dyszącego olbrzyma.

Zobaczył, jak kolejny członek jego grupy odlatuje od kadłuba, utraciwszy przyczepność elektromagnetycznych podeszew. Po prostu ulatywał w nieskończoność. Jeśli jego kombinezon miał dysze, to najwyraźniej nie działały. Pechowiec po prostu leciał, niknąc w oddali, jakby nie był w stanie dzielić powierzchni z rozbieranymi potworami chcącymi dostać się do statku.

Kolejny pająk wylądował na uwięzionej w sieci kobiecie obok Karsta, spadł na nią po bardzo długim skoku z wyciągniętymi odnóżami. Słyszał jej krzyk i potknął się, próbując wycelować w potwora, kiedy ona machała na oślep i waliła w niego rękami w rękawicach.

Pająk przywarł do niej i Karst zobaczył, jak wystawia szczęki – albo jakiś inny narząd – i nagle rzuca się naprzód, wbijając kły między płyty

kombinezonu z gwałtowną, nieopanowaną siłą.

Oczywiście kombinezon błyskawicznie zarósł wokół rozdarcia, ale to nie pomogło kobiecie poradzić sobie z tym, co wstrzyknięto w jej organizm. Karst próbował wywołać dane medyczne z jej kombinezonu, ale nie pamiętał, jak się to robi. Odeszła spokojnie, kiwając się tylko bezwładnie na zakotwiczonych w podłożu magnetycznych butach. Cokolwiek to było, działało błyskawicznie.

W końcu udało mu się wyłączyć wszystkie głosy w hełmie i został sam. Nastąpił moment błogosławionego spokoju, w którym, jak się wydawało, będzie w stanie odzyskać kontrolę nad wszystkim. Pewnie istnieje jakieś magiczne słowo, niezawodna komenda wydana przez prawdziwie biegłego dowódcę, który będzie potrafił przywrócić właściwy bieg ewolucji i pozwoli rasie ludzkiej zatriumfować nad tą ohydą.

Coś wylądowało mu na plecach.

7.8 WOJNA W ŚRODKU

Niczym kolonia mrówek, pomyślała Portia. Nie jest to jednak prawda, tylko myśl, którą powtarza sobie co chwila, by jakoś oswoić widok obcego, przytłaczającego miejsca.

Pochodzi z miasta w lesie pełnego złożonych, wielopłaszczyznowych przestrzeni, lecz architekci jej ludu przycięli nawet ten trójwymiarowy układ do swych rozmiarów, dzieląc przestrzeń na kawałki, które można opanować, kontrolować. Tutaj olbrzymi zrobili to samo, tworząc dla siebie komnaty, może nieco nabite i ściśnięte, ale dla Portii ta powiększona skala jest przerażająca, stale przypomina o rozmiarach i sile tych podobnych bogom istot, które stworzyły to miejsce i których potomkowie wciąż tu mieszkają.

Jeszcze gorsza jest bezlitosna geometria tego wnętrza. Portia jest przyzwyczajona do miasta tysiąca kątów, szeregu ścian i podłóg oraz sufitów rozpiętych pod każdym możliwym kątem, do świata naciągniętego jedwabiu, który można zdjąć i założyć ponownie, dzieląc wielokrotnie i bez końca dostosowując do potrzeb. Olbrzymi muszą wieść swe życie pośród tych sztywnych, niezmiennych kątów prostych, uwięzieni w swych potężnych, wytrzymałych ścianach. Nic tutaj nie naśladuje natury. Za to wszystko trzyma żelazną ręką dominująca estetyka obcych.

Jej siostrzana grupa przeszła przez zniszczone grodzie lądowiska wahadłowców, zasklepiając je za sobą, by zminimalizować skutki dekompresji. Ma krótką przerwę na kontakt radiowy z innymi grupami, pospieszne rozmowy, zanim olbrzymi zmienią własną częstotliwość i zaczną zakłócać pozostałe za pomocą niewidzialnej burzy. W wielkim statku przebywa sześć odrębnych grup siostrzanych, a kilkanaście w tej sekcji, gdzie nie ma powietrza. Próby skoordynowania działań są beznadziejne. Każdy oddział posuwa się na własną rękę.

Wkrótce po lądowaniu napotkali pierwszych obrońców – może ze dwudziestu olbrzymów o złych zamiarach, którzy pojawili się, zanim pająki ustawiły swoją ciężką broń. Wibracje wywołane zbliżaniem się wroga są absurdalnie głośne i grupa Portii – teraz już sześć pajęczyc – może zastawić

pułapkę. Pospiesznie tkana sprężynująca pułapka chwytła olbrzymów na przedzie w płataninę prowizorycznej sieci. Nie jest wystarczająco mocna, by uwięzić ich na dłużej, ale wystarczy, aby zatrzymać ich w miejscu, gdzie spadnie na nich druga grupa. Mają broń – nie tylko te zabójczo szybkie pociski, ale też taką, która razi skoncentrowaną wiązką wibracji, przedzierającą się z wściekłym wrzaskiem przez każdą cząstkę ciała Portii, unieruchamia ona wszystkie pająki, a jednego nawet zabija na miejscu.

Wtedy pająki zaczęły się ostrzeliwać. Broń podwieszona pod ich korpusami jest dużo wolniejsza niż ta ludzka, bardziej przypomina starożytne proce używane przez przodków Portii. Amunicję stanowią szklane strzałki o trójgromiastych grotach, żeby obracały się w locie. Tutaj, gdzie występuje grawitacja, ich zasięg jest stosunkowo niewielki, ale na *Gilgameszu* i tak nie ma miejsca na snajperskie strzały z dystansu. Portia i jej siostry są, mówiąc oględnie, wyśmienitymi strzelcami, doskonale potrafią ocenić odległość i względny ruch celu. Niektórzy olbrzymi noszą zbroje, takie jak ci na zewnątrz, większość jednak nie.

Kiedy strzałka przebija skórę, grot pęka i jego zawartość zostaje wtłoczona do tego dziwnie rozbudowanego krwiobiegu, jakim szczytą się giganci, żeby ich galopujący metabolizm mógł rozprowadzić ją w organizmie. Wystarczy odrobina dla pełnego efektu, a starannie przygotowana mikstura błyskawicznie dociera wprost do mózgu. Portia widzi, jak olbrzymi padają w drgawkach, by po chwili zastygnąć, jeden po drugim. W przypadku kilku opancerzonych trzeba było podjąć ryzyko i wstrzyknąć środek bezpośrednio. Portia straciła cztery pająki i wie, że gdyby pułapka zawiodła, wszyscy mogliby zginąć.

Mimo to ich liczba wewnątrz statku stale rośnie. Choć oczywiście wolałyby przeżyć, zawsze ze spokojem przyjmowała fakt, że misja może zakończyć się jej śmiercią.

Jej polowa chemiczka wciąż żyje i jest gotowa do działania. Portia jej nie oszczędza. *Emisariuszka mówiła, że na statku będą kanały rozprowadzające powietrze.* Precyzyjna logistyka dostarczania powietrza do kwater załogi wykracza poza zrozumienie Portii, ale informacje Avrany Kern zostały wystarczająco pojęte.

Pokryte włoskami ciała są wrażliwe na ruch nawet w kombinezonach próżniowych, więc pająki szybko łapią nieznaczny prąd powietrza płynącego z kanałów. Portia wie, że tam dalej będą się zbierały całe armie gigantów, bez wątpienia spodziewających się, że pająki na nich napadną. Ale nie taki jest

plan.

Chemiczka bardzo szybko rozstawia broń, przygotowując sprawnie wytworzoną miksturę do odpalenia w kanały wentylacyjne, którymi powędruje po całym statku.

Ruszaj się, rozkazuje Portia, kiedy tamta kończy. Muszą rozmieścić o wiele więcej takich rozpylaczy. W końcu na statku znajduje się olbrzymia liczba gigantów.

Kiedy w końcu zrozumieją, co Avrana Kern próbowała im przekazać, kiedy stanie się oczywiste, że ścieżka, jaką podążał ich gatunek, prowadziła nieuchronnie do kolizji z cywilizacją wielkich bogów – stwórców, pająki zwrócą się ku przeszłości, by czerpać z niej inspirację, szukać wiedzy sięgającej najwcześniejszych dni ich historii. Ale dla nich historia może być niczym dzień wczorajszy. Nigdy nie miały problemów cechujących archiwa ludzkie, gdzie tak wiele lat ginie na zawsze w żarnach czasu. Ich odlegli przodkowie dzięki nanowirusowi wykształcili zdolność genetycznego przekazywania wiedzy i doświadczenia potomkom, co było kamieniem milowym w rozwoju tego gatunku, zaraz obok opieki nad młodymi. Dlatego też wiedza o bardzo odległych czasach jest zachowywana w najdrobniejszych szczegółach, początkowo przekazywana przez rodziców dzieciom wraz z hemolimfą, a później destylowana i dostępna dla każdego pająka, by mógł ją wchłonąć do umysłu i własnych genów.

Globalnie pająki zebrały olbrzymią bibliotekę, z której mogą czerpać, co spowodowało ich szybki rozwój od prymitywnego instynktu do orbity kosmicznej.

W tej pajęczej bibliotece aleksandryjskiej kryją się niezwykle tajemnice. Na przykład: wiele pokoleń temu podczas wielkiej wojny z mrówkami giganci też na krótko pojawili się w zielonym świecie i była to załoga z tego samego statku-arki, który Portia teraz zdobywa.

Jedna z olbrzymek została schwytana i była przetrzymywana przed wiele długich lat. Zrozumienia tamtych czasów nie zawierały przekonania, iż jest to istota myśląca, i naukowców teraz aż roznosi frustracja, gdyż można było bardzo wiele się od niej nauczyć, gdyby tylko ich przodkowie bardziej się postarali.

Nie oznacza to, że od schwytanej olbrzymki nie dowiedziano się niczego. W ciągu jej życia, ale szczególnie po śmierci, uczone tamtych czasów robiły, co w ich mocy, by zbadać biochemię i metabolizm tego stworzenia,

porównując je do małych ssaków, z jakimi pająki dzieliły świat. W ich wiedzy z pierwszej ręki odkryły bardzo wiele na temat ludzkich procesów biochemicznych.

Uzbrojone w taką wiedzę, z zapasem myszy i innych podobnych zwierząt do testów – nie były to obiekty idealne, ale tylko tym dysponowały – pająki opracowały wspianą broń przeciwko najeźdźcom. Było wiele sporów między przedstawicielami miast i wielkich domostw oraz Avraną Kern. Omawiano inne rozwiązania i możliwości, aż pajęcza natura oraz wyjątkowość sytuacji wyselekcjonowały tę jedną. Teraz Portia i inne oddziały bojowe odkrywały, że to rozwiązanie działa, przynajmniej na razie.

Czujniki *Gilgamesza* prawie nie zauważają obcej substancji wędrującej przewodami wentylacyjnymi, wkradającej się między zmieniającą się załogę, jedno pomieszczenie po drugim. Nie ma tu wyraźnych toksyn, żadnych bezpośrednio szkodliwych związków chemicznych. Niektóre urządzenia zaczęły notować nieznaczną zmianę w składzie powietrza, ale wtedy podstępna broń już zaczęła siać zniszczenie.

Wielcy wojownicy, których pokonała Portia, dostali już stężoną postać tej trucizny. Portia bada ich teraz z dużą ciekawością. Widzi ich obce, dziwnie ruchliwe oczy, jak biegają gorączkowo to w prawo, to w lewo na widok widzialnej tylko dla nich grozy, gdy substancja atakuje ich mózgi. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Chce zostać i ich powiązać, ale nie ma czasu, poza tym nie wie, czy zwykły jedwab może spętać te gigantyczne potwory. Musi mieć nadzieję, że wstępne unieszkodliwienie – które obserwowała u laboratoryjnych ssaków – wywoła zamierzone nieodwracalne skutki. Byłoby kiepsko, gdyby olbrzymy jakoś się otrząsnęły.

Oddział Portii napiera dalej, szybko i zdecydowanie. Substancja jest nieszkodliwa dla ich organizmów, przechodzi przez ich płucotchawki bez szkody.

Wkrótce potem natrafiają na pomieszczenie pełne gigantów. Ci są nieuzbrojeni i występują w kilku rozmiarach, co, jak Portia podejrzewa, oznacza, że są to osobniki dorosłe i młode w różnych stadiach wylinki. Już padają od gazu, chwiejąc się i słaniając na miękkich nogach, albo leżą, wpatrując się w to, co istnieje wyłącznie w ich umyśle. W powietrzu unosi się mocny organiczny odór i Portia uświadamia sobie, że wiele ofiar się zanieczyściło.

Sprawdzają, czy nie został nikt, z kim musieliby walczyć, i ruszają dalej.
Jest mnóstwo innych olbrzymów do pokonania.

7.9 OSTATNIA REDUTA

Słyszą krzyki i wrzaski Karsta przez makabrycznie długie chwile, bo jego mikrofon jest nastawiony na otwarty kanał. Kamera na kombinezonie przekazuje strzępy zamazanych obrazów kadłuba, gwiazd i walczących postaci. Lain krzyczy do niego ochrypłym głosem, każąc mu wejść do statku, ale Karst już niczego nie słyszy i tylko zмага się wściekle z niewidocznym wrogiem. Po niezdarnych ruchach rękawic widzianych przez sekundy na obrzeżach obrazu można sądzić, że próbuje ściągnąć hełm.

Nagle obraz się urywa i przez chwilę wydaje im się, że to koniec przekazu, ale kanał pozostaje otwarty i zaraz słyszą siorbanie i odgłosy krztuszenia się. Kamera przestała wykonywać dzikie skoki i na ekranie widać majestatycznie przesuwające się pole gwiazd.

– Och, nie, nie, nie...! – krzyknęła Lain, kiedy zza kamery wyłoniło się odnoże, by spocząć na szybie hełmu Karsta. Zobaczyli tylko fragment stworzenia, bo najwyraźniej przykucnęło mu na ramieniu, szukając lepszego punktu zaczepienia. Włochaty pajęczak z połyskliwym pancerzem i jakby zarysem zakrzywionych kłów pod jakąś maską – atawistyczny, przedwieczny strach człowieka – czekał na niego w najdalszych regionach ludzkiej peregrynacji, już zdolny do przebywania w kosmosie.

Dochodzą do nich meldunki z całego statku. Zespoły inżynierów przebierają się w kombinezony – lekkie, robocze, bez pancerzy czy systemów, które i tak na niewiele się zdały Karstowi – i kierują się na teraz wrogie i sporne terytorium ładowni. Inni próbowali bronić się tam, gdzie stwory włąziły na statek. Problem polegał na tym, że przy zniszczonych czujnikach komputer *Gilgamesza* mógł jedynie zgadywać, gdzie dokładnie się włązały.

Przez pełne napięcia minuty Lain próbowała koordynować działania poszczególnych grup, z których część działała według rozkazu dowództwa, a część ze Szczepu wymierzała sprawiedliwość na własną rękę albo też byli to ludzie z wybudzonego ładunku, oczekujący na wymianę komór zawieszenia.

Nagle wokół coś się zmieniło. Holsten i Lain wymienili spojrzenia, oboje wiedząc w jednej chwili, że coś jest nie tak, ale nie potrafiąc stwierdzić co

konkretnie. Było to coś banalnego, nigdy świadomie niezauważanego i zawsze przyjmowanego za pewnik, a teraz to znikło.

W końcu Lain powiedziała:

– System podtrzymywania życia.

Holsten poczuł gwałtowne zimno w piersi na samą myśl.

– Co?

– Myślę... – Popatrzyła na ekrany. – Ustał obieg powietrza. Kanały wentylacyjne są zamknięte.

– Co oznacza, że...?

– Co oznacza, że trzeba będzie brać co drugi oddech, bo nagle zabraknie nam tlenu. Co to, kurwa, jest...?

– Lain?

Wiekowa pani inżynier skrzywiła się.

– Vitas? Co się dzieje?

– Zamknęłam obieg powietrza, Lain. – W głosie uczonej słychać było dziwne tony, jakby była jednocześnie zdeterminowana i przerażona.

Lain wbiła spojrzenie w Holstena, starając się zaczerpnąć nieco jego siły.

– Może byś łaskawie wyjaśniła?

– Pajaki wypuściły jakąś substancję chemiczną, broń biologiczną. Dzieleń statek na sekcje i odcinam obszary, które jeszcze nie zostały skażone.

– Odcinasz obszary, które *jeszcze* nie zostały skażone?

– Obawiam się, że to się bardzo rozprzestrzeniło. – Vitas potwierdziła niemal radośnie, jak lekarz, który z uśmiechem przynosi złe wieści. – Myślę, że mogę popracować nad tymi obszarami i przywrócić częściową cyrkulację nieskażonego powietrza, ale na razie...

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała Lain stanowczo.

– Moi asystenci w laboratorium padli jak muchy. Mają jakiś atak. Nie wiedzą, co się dzieje. – Teraz w głosie słychać nieznaczące, szybko stłumione drżenie. – Ja jestem zamknięta w szczelnej komorze testowej. Pracowałam nad bronią biologiczną własnego projektu, żeby wygrać tę wojnę, żeby zetrzeć ten gatunek z powierzchni planety bez jednego wystrzału. Skąd mogłam wiedzieć, że nas prześcignęli?

– Jak sądzę, daleko do końca twoich prac? – zapytała Lain bez większej nadziei.

– Jestem blisko, jak sądzę. Archiwa *Gilgamesza* na temat fauny starej Ziemi są mocno niekompletne. Lain, będziemy musieli...

– Przekierować nieskażone powietrze – dokończyła za nią pani inżynier. Stała zgarbiona nad konsolą i z desperacją dźgała w nią drżącymi palcami. Wyglądała starzej, jakby ostatnia godzina dodała przynajmniej dziesięciolecie do jej metryki. – Jestem za. Holsten, będziesz musiał ostrzec naszych, kazać im założyć maski. Albo niech się wycofają... do... no, tam, gdzie im powiem.

Holsten już walczył z nieregularnie działającym interfejsem *Gilgamesza*, wzywając kolejne grupy, jakie mógł zlokalizować za pomocą systemu. Niektóre nie odbierały. Substancja pajaków rozprzestrzeniała się niepostrzeżenie z pomieszczenia do pomieszczenia, choć Vitas i Lain starały się je pozamykać.

Ku wielkiej uldze udało mu się połączyć z Alpashem.

– Używają jakiegoś gazu...

– Wiem – odezwał się inżynier ze Szczepu. – Mamy maski. Ale nie na długo to pomoże. To zestaw ratunkowy. – Wbrew wszystkiemu słychać było, że jest podekscytowany.

– Lain przygotowuje... – właściwe słowa pojawiły się w samą porę – ... pozycje odwrotu. Widziałeś jakieś...?

– Właśnie rozpierdoliliśmy ich całą bandę – potwierdził wojowniczo Alpash.

Holsten odniósł wrażenie, że dla Szczepu walka była czymś zgoła odmiennym niż dla nich. Owszem, rozum podpowiadał mu, że *Gil* to jedyna ostoja ludzkości i że od niego zależy przetrwanie ich gatunku, ale dla niego wciąż był to tylko statek, pojazd pozwalający się przemieszczać z jednego miejsca w drugie. Dla Alpasha i jego ludzi zaś to był *dom*.

– Jasne, cóż, powinniście się wycofać do... – Wtedy Lain już miała opracowaną trasę, działając z zawziętą koncentracją i dysząc ciężko.

– Vitas? – warknęła wiekowa inżynier.

– Wciąż jestem. – Bezcielesny głos uczonej brzmiał inaczej niż zwykle.

– Cała ta blokada utrudni ci rozpylenie twojej broni, jak rozumiem?

Vitas wydała dziwny odgłos – być może miał to być śmiech, ale histeria zmieniła go nie do poznania.

– Ja... jestem za linią wroga. Jestem odcięta, Lain. Jeśli coś tu upichcę, będę mogła zaaplikować to... im. Jestem blisko, wytruję to robactwo raz-dwa.

Holsten nawiązał kontakt z kolejną zbrojną grupą, usłyszał kakofonię krzyków i wrzasków, po czym połączenie przerwano.

– Myślę, że powinnaś się pospieszyć – rzucił szorstko.

– Kurwa – parsknęła Lain. – Straciłam... tracimy obszary bezpieczeństwa.
– Zaciśnięła kościste dłonie. – Co...?

– Przemieszczają się po statku. – Dobiegł ich upiorny głos Vitas. –
Przecinają drzwi, ściany, kanały. – W jej głosie wyraźnie narastało drżenie. –
Maszyny, to są tylko maszyny. Wytwory martwej technologii. Nie ma innego
wyjścia. To broń biologiczna.

– A kto by, do kurwy nędzy, hodował wielkie pająki jako broń biologiczną?
– zawarczała Lain, wciąż przekalibrowując zamknięte obszary, wysyłając
nowe polecenia Holstenowi, żeby przekazywał je reszcie załogi.

– Lain...

W głosie uczoney było coś, co kazało im przerwać to, co robili.

– Co jest? – zapytała Lain.

Minęło sporo czasu, zanim po kilkakrotnym wywołaniu Vitas po imieniu
dostali w końcu odpowiedź:

– Są tutaj. W laboratorium. Są tutaj.

– Jesteś bezpieczna? Zamknęłaś się?

– Lain, one tutaj są. – I było tak, jakby wszelkie ludzkie emocje, nad
którymi Vitas do tej pory panowała, znalazły ujście w tej właśnie chwili, by
włóczyć się w jej drżący głos i wykrzykiwać oddzielnie każde słowo. – Są
tutaj, są tutaj! One patrzą na mnie. Lain, proszę cię, wyślij ekipę. Poślij po
pomoc, przyślij tu kogoś, proszę. Idą do mnie, one są...

A potem rozległ się taki wrzask, że przez chwilę transmisja przeszła
w szum eteru.

– Są na szybie! Na szybie siedzą! Przedzierają się przez nią! Przegryzają
szybę! Lain! Lain! Lain! Proszę, Lain! Przepraszam, przepraszam!

Holsten nigdy się nie dowiedział, za co Vitas ich przepraszala, bo nie padło
już żadne słowo. Potężny brzęk pękającej szyby było słychać nawet przez
ogłuszający wrzask ofiary.

Głos Vitas zamilkł w jednej sekundzie i słychać było tylko inne
prerażające dźwięki. Lain i Holsten spojrzeli po sobie i żadne z nich nie
znalazło w tym drugim krztyny nadziei.

– Alpash – spróbował klasyk. – Alpash, melduj.

Alpash też zamilkł. Albo zastawiający pułapki sam w nie wpadł, albo radio
przestało działać. Jak wszystko inne, jak ich obrona, to też rozpadało się na
kawałki.

Na *Gilgameszu* zgasły wszystkie światła, jedno po drugim. Strefy

bezpieczeństwa ustalone przez Lain też nikły jedna po drugiej, przestały już być bezpieczne, jak informował ją komputer. Każda grupa obrońców toczyła bój ostateczny, a pająki we wnętrzu statku napływały coraz szerszym strumieniem i z większą pewnością.

W ładowni znikwały dziesiątki tysięcy tych, którzy stanowili trzon rasy ludzkiej. Spali dalej, nie wiedząc, że walka o ich przyszłość jest już przegrana. W zawieszeniu nie ma koszmarów. Holsten zastanawiał się, czy powinni im zazdrościć. Sam jednak był od tego daleki. *Wolę stanąć ze śmiercią twarzą w twarz i z otwartymi oczami.*

– Nie wygląda to dobrze. – Był to spory eufemizm, próba pocieszenia Lain, choćby na chwilę.

Jej pomarszczona, poorana czasem twarz zwróciła się w jego stronę. Sięgnęła do niego, zakleszczając jego dłoń w rękę.

– Przebyliśmy długą drogę. – Nie wiadomo było, czy mówi o statku czy o nich samych.

Każde z nich poświęciło chwilę na ocenę rozprzestrzeniających się strat, a wreszcie odezwali się niemal jednocześnie.

– Nie mogę się z nikim połączyć – to Holsten.

– Straciłam pomieszczenie obok – to Lain.

Tylko my zostaliśmy. Albo komputery znów się psują. W końcu zbyt długo to trwało. Holsten jako klasyk poczuł, że jest człowiekiem wyjątkowo predestynowanym do spojrzenia na szlak, jaki wyznaczył im czas. *Co za historia!* Od małp do człowieka, od pierwszych narzędzi, rodziny, społeczności, wpływania na otoczenie, konkurencji do wojny, trwającego jakiś czas wyniszczenia wielu gatunków, z którymi mieszkali na jednej planecie. I jeszcze kruche apogeum pod postacią Starego Imperium, kiedy byli podobni bogom i chadzali między gwiazdami, tworzyli różne paskudztwa na planetach odległych od Ziemi. I zabijali się nawzajem na sposoby, które nawet się nie śniły ich małpim przodkom.

A potem nastaliśmy my, spadkobiercy konającego świata sięgający gwiazd, kiedy ziemia pod stopami kończyła swój żywot, a rasa ludzka postawiła wszystko na jedną kartę, budując statki-arki. Statek-arka, teraz w liczbie pojedynczej, bo od innych nie było żadnych wiadomości. Jednak dalej się kłócili i walczyli, dając upust partykularnym ambicyjkom, sporom i wojnie domowej. I wszystko to w czasie, kiedy nasz wróg, nasz nieznany wróg rósł w siłę.

Lain podeszła z mozołem do włazu, stukając laską o podłogę.

– Jest ciepły – powiedziała cicho. – Są na zewnątrz. Tną metal.

– Maski. – Holsten znalazł dwie i podał jedną Lain. – Pamiętasz?

– Myślę, że już nie będzie nam potrzebny prywatny kanał do komunikacji.

Musiał jej pomóc z paskami i w końcu usiadła, wyciągając przed siebie drżące dłonie, drobna, krucha i stara.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – To ja do tego doprowadziłam.

Ujął jej dłoń. Była zimna i niemal bezcielesna, niczym miękka rękawiczka naciągnięta na kości.

– Nie mogłaś wiedzieć. Zrobiłaś, co mogłaś. Nikt nie poradziłby sobie lepiej. – Były to tylko pocieszające uprzejmości. – Mamy tu jakąś broń?

– Niesamowite, jak człowiek nie planuje takich rzeczy, prawda? – Coś z jej zgryźliwego humoru powróciło. – Weź moją laskę. Proszę, rozwał dla mnie jednego pająka.

Przez chwilę Holsten myślał, że żartuje, ale ona wyciągnęła do niego metalowy pręt i w końcu go od niej wziął, zaskoczony jego sporą wagą. Czy było to berło, które utrzymywało posłuch wśród tajnego stowarzyszenia Szczepu, z pokolenia na pokolenie? Ilu pretendentów do przywództwa musiała pokonać Lain przez te wszystkie wieki? Była to praktycznie święta relikwia.

Była to jednak pałka, kwintesencja człowieczeństwa – narzędzie do miażdżenia, łamania, służące do tego, by ludzkość w nowatorski sposób mogła poradzić sobie z wszechświatem.

Jak one rozpoczęły życie w swoim świecie? Jakie było podstawowe narzędzie pająków?

Przez chwilę się nad tym zastanawiał. Budowały. I był to dziwnie pokojowy obraz, ale wtedy odezwała się jego konsola i niemal przewrócił się o laskę, rzucając się do niej. Transmisja? Ktoś tam jeszcze żył.

Przez chwilę próbował powstrzymać swoją rękę, podejrzewając, że może być to wiadomość od nich, jakaś płatanina Imperialnego C z tym, co skrywała nieludzka inteligencja, złośliwa i niezaprzeczalna jednocześnie.

– Lain...? – dobiegł ich miękki, drżący głos. – Lain... Czy ty...? Lain...?

Holsten zamarł. Było coś przerażającego w tych słowach, coś, co poruszało go do głębi, ślad zniszczenia, czegoś nieuchwytnego.

– Karst – rozpoznała go Lain. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Lain, ja wracam – mówił dalej Karst dużo spokojniej niż kiedykolwiek wcześniej. – Już wracam.

– Karst...

– Wszystko w porządku – usłyszeli znowu głos szefa ochrony. – Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Karst, co się z tobą stało? – zapytał ostro Holsten.

– Dobrze jest. Teraz wszystko rozumiem.

– Ale pająki...

– One są... – Zapadło długie milczenie, jakby Karst przeczesywał zakamarki umysłu, szukając właściwych słów. – Jak my. One są jak my. One... jak my.

– Karst!

– Już wracamy. Wszyscy.

Holstena opanowała przerażająca, irracjonalna myśl o wysuszonej, wysuszonej ludzkiej skorupie w opancerzonym kombinezonie, która jakimś cudem wróciła do życia.

– Holsten! – Lain chwyciła go za ramię. W powietrzu unosiła się teraz słabo wyczuwalna chemiczna mgiełka – nie zabójcza broń pajaków, ale coś, co przeżerało się przez właz.

Pojawiła się dziura przy jego dolnej krawędzi i coś zaczęło przez nią przełazić.

Przez chwilę patrzyli na siebie – dwoje spadkobierców starożytnych mieszkających na drzewach przodków z dużymi oczami i dociekliwymi umysłami.

Holsten uniósł laskę Lain. Pająk był wielki, ale w pajęczej skali. Mógł go zmiażdżyć. Mógł rozbić tę włochatą skorupę i pokawałkować zakrzywione odnóża. Mógł być człowiekiem do ostatniej chwili. Kultywować swoją zdolność niszczenia.

Ale coraz więcej ich przechodziło przez wyrwę, a on był stary, Lain była jeszcze starsza, więc odnalazł w sobie inną ludzką cechę, ostatnio tak rzadko spotykaną, i objął wiekową inżynier, trzymał ją tak mocno, jak się odważył, a laska upadła z grzechotem na podłogę.

– Lain... – dobiegł ich upiorny głos Karsta. – Mason... – I po chwili: – No, dalej, ruszać się. – To do swoich ludzi. – Jak utknąłeś, to się uwolnij. – Iskra zniecierpliwienia w jego głosie była bardzo charakterystyczna, pomimo spokoju, jaki odnalazł.

Pająki rozstąpiły się nieco, wielkim ślepiami wpatrując się w dwoje ludzi w maskach na twarzach. Spojrzenie w ich obce ślepia wywołało szok, którego

Holsten dotąd doświadczał wyłącznie w kontaktach z przedstawicielami własnego gatunku.

Zobaczył, jak jedno ze stworzeń ugina tylne odnóża i zastyga w tej pozie. Pająki skoczyły i już było po wszystkim.

7.10 ZALETA MIŁOSIERDZIA

Zdawało się, że minęły wieki, od kiedy wahadłowiec zaczął spadać z czystego, błękitnego nieba.

Na pustej przestrzeni na obrzeżach regionu Siedmiu Drzew Wielkiego Gniazda zebrał się spory tłum. Na ziemi, na otaczających drzewach i jedwabnych konstrukcjach siedziało tysiące pajaków stłoczonych i czekających na coś. Niektóre były przerażone, inne podekscytowane, a jeszcze inne niedoinformowane w kwestii tego, co miało się wydarzyć.

Był też z tuzin wszechwidzących kolonii, które przechwytywały obrazy i wysyłały je do milionów pajaków oraz do ustonogów pod powierzchnią morza. Były odbierane na różnych poziomach zrozumienia przez inne gatunki, które znalazły się na skraju zagłady. Nawet płwacze w swych rezerwatach mogły oglądać te sceny.

Tak tworzy się historia. Co więcej, historia ta jest początkiem nowej ery.

Wszechobecna doktor Avrana Kern obserwuje, jak jej dzieci się szykują. Wciąż nie jest do tego przekonana, ale potrzeba wielu mileniów, by rozpuścić ludzki cynizm.

Powinniśmy ich zabić – dręczy ją uporczywa myśl, ale w końcu pomimo swej obecnie bezcielesnej postaci jest tylko człowiekiem.

Ocalone pliki ludzkiej neurochemii wraz z badaniami pajaków przeprowadzonymi przed wiekami na ludzkiej samicy doprowadziły do tego momentu. Nie doktor Kern była jednak główną sprawczynią. Same pająki toczyły długie dysputy dotyczące sposobu postępowania z długo oczekiwany najeźdźcami, raczej ignorując jej rady, zamiast ich słuchać. Były w pełni świadome stawki, o jaką toczyła się gra. Wiedziały, jak jej zdaniem zachowują się ludzie, jeśli zapanują nad planetą. Mordowanie innych gatunków i przedstawicieli własnego zawsze leżało w zestawie wykorzystywanych przez ludzi środków.

Pająki również były odpowiedzialne za kilka rzezi w swojej historii, ale wczesne doświadczenia z mrówkami pchnęły je na inną ścieżkę. Widziały, jak doszło do tej masakry, ale zobaczyły też sposób postępowania mrówek

w ówczesnym świecie. Wszystko może stać się narzędziem. Wszystko jest użyteczne. Nigdy nie wyniszczyły plwaczy, jak też nie eksterminowały mrówek, a decyzja ta stała się później podstawą rozwoju technologii.

W obliczu przedstawicieli rasy ludzkiej, gatunku twórców, gigantów z legend, pająki nie myślały wcale: *Jak mamy ich zniszczyć? Ale: Jak możemy ich schwycić? Jak możemy ich wykorzystać?*

Jakie piętrzą się między nami bariery, że tak bardzo chcą nas zabić?

Pająki również posiadają coś na kształt dylematu więźniów, ale myślą o tym w kategoriach misternych powiązań, świata nie tylko wizualnego, ale też opierającego się na stałych wibracjach i zmyśle powonienia. Dwóch niepotrafiących się porozumieć więźniów nie stanowi dla nich akceptowalnej idei, ale jest problemem do przewyciężenia – dylemat więźniów jest niczym węzeł gordyjski, który należy przeciąć.

Wiedziały od dawna, że w ich ciałach i w ciałach innych stworzeń na planecie istnieje zakodowana wiadomość. W czasach starożytnych, kiedy walczyły z zarazą, rozpoznały w tym formę własnego kodu genetycznego i ustaliły, że jest to dzieło Emisariuszki. W pewnym stopniu miały rację. Dawno temu zlokalizowali nanowirus w swych organizmach.

Nie uszło ich uwagi, że te stworzenia o olbrzymiej posturze, podobnie jak myszy i inne kręgowce, nie są nosicielami nanowirusa, więc także brak im podobieństwa, jakie najwyraźniej łączy pająki i gatunki stawonogów. Myszy to tylko zwierzęta. Nie było możliwości, by ewoluowały w coś więcej. W porównaniu z nimi żuki biegaczowate – a także z tuzin podobnych gatunków – praktycznie tryskały potencjałem.

Pająki pracowały długo i ciężko, by stworzyć wariant nanowirusa, który atakowałby system nerwowy ssaków – nie był to wirus w całej swojej złożoności, ale proste, jednozadaniowe narzędzie. Wirus wystarczająco jadowity, łatwo się przenoszący, dziedziczny i o nieodwracalnym działaniu. Fragmenty nanowirusa odpowiedzialne za wspomaganie ewolucji zostały usunięte jako zbyt złożone i do końca niepoznane, tak że została tylko funkcjonalna podstawa. Swoista zmutowana pandemia umysłowa, zdolna zmienić konkretne obszary mózgu ssaka.

Pierwszym skutkiem oddziaływania nanowirusa, kiedy po raz pierwszy trafił do organizmów pradawnych pajaków z gatunku *Portia labiata* tysiące pokoleń temu, było przekształcenie samotnych łowców w społeczeństwo. Spowodował, że pająki rozpoznawały się nawzajem, nawet jeśli nie miały

wystarczająco rozbudowanego poczucia własnej tożsamości.

Kern i cała reszta obserwują lądowanie wahadłowca. Na *Gilgameszu* orbitującym sto kilometrów nad siecią równikową i windami kosmicznymi przebywa wielu ludzi, wszyscy są skażeni, a tysiące wciąż śpią, im też trzeba będzie zaaplikować wirusa. To zajmie sporo czasu, ale to lądowanie jest pierwszym krokiem w stronę integracji, która również trochę potrwa.

Nawet u pajaków nanowirus stoczył długą walkę z wrodzonym kanibalizmem i zwyczajem pożerania kochanków. Jego zauważalny sukces dokonał się wewnątrz gatunku. Pająki zawsze były myśliwymi, dlatego też rozwój empatii by je okaleczył. To był prawdziwy sprawdzian ich biochemicznej pomysłowości. Pająki zrobiły, co w ich mocy, przeprowadziły wiele testów na ssakach, ale dopiero kiedy Portia i jej grupa przejęły kontrolę nad statkiem-arką i jego załogą, mogły poznać całą prawdę.

Zadanie nie polegało na użyciu okrojonej wersji wirusa i przekonfigurowaniu go w taki sposób, żeby atakował mózg ssaka – co byłoby trudne samo w sobie, ale też całkowicie bezużyteczne. Prawdziwą trudnością dla legionu pajęczych naukowców pracujących od pokoleń z dziedziczną wiedzą było stworzenie takiego ludzkiego wirusa, by rozpoznawał swoich twórców – by rozpoznawał swoją obecność u pajaków i odwoływał się do tych podobieństw. Powinowactwo na poziomie mikrobiologicznym, żeby jeden z tych wspaniałych gigantów z *Gilgamesza* – tych niesamowitych prehistorycznych, beztroskich bogów – mógł spojrzeć na Portię i jej gatunek i uznać go za swoje dzieci.

Kiedy tylko wahadłowiec wylądował, pająki tłoczyły się niczym kipiąca, szarawa fala odnóży i kłów, wpatrując się w scenę oczami pozbawionymi powiek. Kern obserwuje, jak otwiera się właz i pojawia się w nim pierwszy człowiek.

Jest ich ledwo garstka. To eksperyment, lecz można zobaczyć, że fragment nanowirusa dał spodziewany efekt.

Schodzą na ziemię w morzu pajaków, których twarde, najeżone szczecina ciała się o nich ocierają. Nie ma oznak obrzydzenia ani ataków paniki. Ludzie, w nowym spojrzeniu Kern, zdają się całkowicie spokojni. Jedna z kobiet nawet wystawia dłoń, pozwalając sobie na muskanie piętrzących się odwłoków. Wirus w ich organizmach przemawia do nich: *To my, one są takie jak my*. Pająkom mówi to samo, wyizolowany fragment wirusa woła do swego bardziej kompletnego kuzyna: *Jesteśmy tacy jak wy*.

I wtedy Kern zaczyna podejrzewać, że ta integracja może pójść dalej, niż przypuszczali. Skoro w ludzkim mózgu istnieje drobinka, która powiedziała im: *Są takie jak my* i wysunęła jedwabną nić empatii między wszystkimi, oplatając tą siecią całą planetę, to kto wie, co się stanie? Czy powtórzą się wojny, masakry, prześladowania, krucjaty?

Pewnie tak, myśli Kern z goryczą. Chce to omówić z Fabianem, ale nawet jej wierny akolita wypełził na słońce, by obejrzeć to na własne oczy.

We włazie wahadłowca Portia wychodzi za ludźmi wraz z siostrzycami ze swej grupy. Doniosłość gry, w której uczestniczyła, niemal jej umknęła. Cieszy się, że żyje – wiele jej siostr nie miało tyle szczęścia. Koszt ściągnięcia na planetę przedstawicieli rasy ludzkiej był bardzo wysoki.

Ale warto było, zapewnia ją Bianca przez radio. *Po dzisiejszym dniu kto wie, co uda się nam razem osiągnąć? W końcu to za ich sprawą się tu znaleźliśmy. Jesteśmy ich dziećmi, choć wciąż nas nie znają.*

W grupie ludzi jest jedna samica najwyraźniej chora albo ranna, ale Portia teraz rozumie, że to po prostu kres jej długiego życia. Inny człowiek, samiec, wyniósł ją na rękach z wahadłowca i położył na ziemi, a pająki otoczyły ich zaciekawionym, lecz pełnym szacunku kręgiem. Portia widzi, jak zmęczone dłonie dotykają ziemi, chwytają trawę. Podnosi wzrok na błękitne niebo i patrzy tymi swoimi dziwnymi, wąskimi oczami – ale Portia odnajduje z nią łączność, bo wirus teraz działa w obie strony.

Stara kobieta kona – najstarszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył, jeśli Kern obliczyła wszystko poprawnie. Ale umiera w świecie, który stanie się światem jej ludzi i który będą dzielić ze swymi pobratymcami. Portia nie może być tego pewna, ale sądzi, że stara samica jest z tego zadowolona.

— 8 —

DIASPORA

8.1 ŚMIAŁO W DROGĘ

Helena Holsten Lain leży na swej sieci, czując się lekko bez grawitacji, a wokół niej reszta załogi sprawdza wszystko przed startem.

Statek ma dwa imiona i oba znaczą mniej więcej to samo: *Voyager*, *Podróżnik*. Helena nie wie, że dawno temu tak nazywał się pojazd ludzkich pionierów w kosmosie, statek, który milenia po starcie wciąż pędził gdzieś przez przestrzeń kosmiczną, a zapis jego dokonań został już dawno zapomniany przez potomków jego konstruktorów. W *Podróżniku* nie ma żadnej części z dawno rozebranego *Gilgamesza*, poza ideą. Stara technologia z Ziemi została pieczołowicie zebrana przez prapraprababkę Heleny, wskrzeszona, odkryta na nowo i udoskonalona. Naukowcy wśród pajaków najpierw dowiedzieli się, czego mogą się nauczyć od ludzi na temat technologii metalu i elektryczności, komputerów i reaktorów. Później nauczali dzieci swych nauczycieli, poszerzając ich wiedzę o pajęczą perspektywę. W ten sam sposób ludzkie umysły rozplotły nici pajęczej biotechnologii i dodały coś od siebie. Oba gatunki mają swoje ograniczenia, które niełatwo im pokonać – mentalne, fizyczne, czuciowe. Dlatego właśnie potrzebują się nawzajem.

Podróżnik jest żywym organizmem z sercem w postaci reaktora, wielkim tworem bioinżynierii z dostrajanym układem nerwowym oraz symbiotyczną kolonią mrówek, która reguluje, naprawia i ulepsza cały statek. Zabiera na pokład siedemdziesiąt osób załogi, materiał genetyczny dziesiątek tysięcy innych oraz setki tysięcy Zrozumień. Jest to statek badawczy, a nie statek-arka pełen desperatów, ale podróż będzie trwała wiele lat w uśpieniu, więc słuszne wydają się środki zaradcze.

Dwa narody z zielonego świata pracują razem w zgodzie i harmonii. Minęło pokolenie czujnej ostrożności obu stron, a kiedy wirus przełamał te bariery – między gatunkami i poszczególnymi osobnikami – zapobieżono wielu potencjalnym tragediom. Życie nie jest idealne, jednostki zawsze będą miały wady, ale empatia – czysta niezdolność do postrzegania innych jako obcych – na koniec zawsze zwycięża.

Komunikacja była wielkim problemem od samego początku. Helena dobrze

o tym wie. Pająki nie posiadają zmysłu słuchu, dźwięki odbierają jako nikłe łaskotanie w odnóżach, ludzie natomiast nie posiadają bardzo wrażliwego zmysłu dotyku niezbędnego, by poznać bogactwo pajęczego języka. Technologia po obu stronach przyszła im na ratunek, ponadto zawsze istnieje zgorzkniała, uparta Avrana Kern. Wspólny język, drugi język dla każdego obywatela, jest dziwną odmianą Imperialnego C, którą opracowała Kern wraz z pajakami, kiedy była jeszcze Emisariuszką, a one jej wyznawcami. Martwy język wciąż żyje. Praprapradziadek Heleny uznałby to bez wątpienia za niezwykle zabawne.

Wszystkie ożywione systemy statku pracują prawidłowo, co potwierdzają organiczne wskaźniki. Helena również przyłącza się do tego chóru, potwierdzając swoje dane, i czeka na hasło. Nie jest dowódcą w tej misji. Ten zaszczyt przypadł Portii, pajęczej pionierce w kosmosie. Skulona we własnej pajęczynie zwisającej z sufitu, czy też raczej krzywizny ich komnaty na wprost Heleny, pajęczycza zastanawia się przez chwilę, wymienia kilka informacji przez radio z lądowiskiem i światem poniżej, po czym przemawia do samego statku.

Kiedy sobie życzysz.

Statek odpowiada i choć jest to odpowiedź twierdząca, zawiera znamiona cierpkiego humoru doktor Avrany Kern. Jego biomechaniczna inteligencja została ekstrapolowana z tego, kim kiedyś była – z dziecka, które z jej błogosławieństwem zostało z niej poczęte.

Z niezwykłą majestatyczną gracją *Podróżnik* zmienia kształt na optymalny do startu i odrywa się od orbitalnej sieci o wiele wspanialszej, niż widzieli pasażerowie *Gilgamesza*. Rozkwita zielonymi bateriami słonecznymi, na których tle widać inny amorficzny statek kosmiczny wyruszający na rubież układu słonecznego zielonej planety.

Podróżnik jest bardziej ekonomiczny, jeśli chodzi o zużycie paliwa niż *Gilgamesz* – a może nawet bardziej niż statki Starego Imperium, jak mówi Kern. Czasami, żeby rozwiązać problem, wystarczy tylko spojrzeć nań z nowej perspektywy. Reaktor pokładowy może przyspieszać gładko, bez zakłóceń przez o wiele dłuższy czas, podobnie sprawniejsze jest hamowanie, a płynna struktura zewnętrzna statku będzie chronić jego załogę przed skutkami przyspieszenia o wiele lepiej. Podróż będzie wymagała snu trwającego ledwie kilka dziesięcioleci, a nie mileniów czy wieków.

Mimo wszystko jest to wielki krok, którego nie należy traktować zbyt lekko.

Choć powrót do gwiazd był od zawsze pisany obu gatunkom, które na to zapracowały, nikt nie zasugerowałby takiego posunięcia, gdyby nie sygnał, posłanie.

Gdzieś tam wśród punkcików na niebie jeden z nich mówi. Nie jest to nic zrozumiałego, ale to na pewno wiadomość, a nie szum w eterze, coś bardziej złożonego niż dźwięk płynący z pulsarów czy innego zjawiska we wszechświecie. Krótko mówiąc, jest wytworem inteligencji ze źródła, w którym nie ma prawa jej być. Jak mieszkańcy zielonej planety mogliby zignorować taki sygnał?

Podróżnik zaczyna przyspieszać, delikatnie napierając na ciała załogantów, dostosowując swój wewnętrzny rozkład. Wkrótce ułożą się do snu, a kiedy się obudzą, zobaczą czekający na nich nowy świat. Nieznany świat pełen niebezpieczeństw, cudów i tajemnic. Świat, który ich wzywa. Nie obcy jednak, nie do końca. Starożytni przodkowie ludzi z zielonej planety kiedyś tam zawitali. Istnieje na gwiazdnych mapach *Gilgamesza* kolejna wyspa na rozległym archipelagu terraformacji, którą zostawiono własnemu losowi po upadku Starego Imperium.

Po tylu latach, wojnach, tragediach i katastrofach pająki i małpy wracają do gwiazd, by odnaleźć swe dziedzictwo.

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

1. GENESIS

1.1 To tylko beczka z małpami

1.2 Dzielna mała myśliweczka

1.3 Światła gasną

2. PIELGRZYMKA

2.1 Dwa tysiące lat od domu

2.2 Inne ziemskie dzieci

2.3 Wariacje enigmy

2.4 Kiepskie relacje

2.5 Wszystkie te światy są wasze

2.6 Metropolis

2.7 Exodus

3. WOJNA

3.1 Przykre przebudzenie

3.2 Ogień i miecz

3.3 Między młotem a kowadłem

3.4 Nad Zachodnim Oceanem

3.5 Trzymając płonący miecz

3.6 Dulce et decorum est

3.7 Wojna w niebiosach

3.8 Wojna asymetryczna

3.9 Pierwszy kontakt

3.10 Giganci w Ziemi

3.11 Gułag na wyspie

3.12 Głos w dziczy

4. OŚWIECENIE

4.1 Jaskinia cudów

4.2 Śmierć nadciąga błyskawicznie

4.3 Zapiski z Szarej Planety

4.4 Docieklive umysły

4.5 Marzenia starożytnych

4.6 Emisariuszka w Środku

4.7 Nie książę Hamlet

4.8 Wiek postępu

4.9 Ex machina

5. SCHIZMA

5.1 Więzień

5.2 W bożym kraju

5.3 Starzy znajomi

5.4 Prawo do życia

5.5 Najstarszy człowiek we wszechświecie

5.6 Wojna o zasoby

5.7 Wniebowstąpienie

5.8 Zwycięski bohater

6. ZENIT/NADIR

6.1 Bomba w górę

6.2 Starzec i trudny sezon

6.3 Wyniesienie

6.4 Objawienie

6.5 Wszystko się rozpada

6.6 I dotknęła oblicza Boga

7. STARCIE

7.1 Pozycje bojowe

7.2 Co za straszna bestia

7.3 Dziewica, Matka, Staruszka

7.4 Koniec czasów

7.5 Manewry wojenne

7.6 Pęka skorupa

7.7 Wojna na zewnątrz

7.8 Wojna w środku

7.9 Ostatnia reduta

7.10 Zaleta miłosierdzia

8. DIASPORA

8.1 Śmiało w drogę

Tytuł oryginału: *Children of Time*

First published 2015 by Tor, an imprint of Pan Macmillan, a division of Macmillan Publishers International Limited

Copyright © Adrian Czajkowski 2015
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Dzieci czasu*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-834-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**